Krzysztof Ufland

Jakub Bohun

Tomasz Smoter

Jakub Żelepień

70

niezwykłych historii

na 70-lecie

Pogoni Szczecin

Szczecin 2018

Autorzy: Krzysztof Ufland, Jakub Bohun, Tomasz Smoter, Jakub Żelepień

Projekt okładki: Michał Madej

Redakcja: Krzysztof Ufland

Korekta: Katarzyna Świerczyńska

Współpraca historyczna: Michał Elmerych

Skład: Rafał Remont (SITEPRESS)

Druk: PRINT GROUP Sp. z o.o.

Zdjęcia: Marek Biczyk, Wiola Ufland oraz archiwa prywatne Kazimierza Bieli, Adama Benesza, Zbigniewa Długosza, Roberta Dymkowskiego, Waldemara Jaskulskiego, Jana Juchy, Adama Kensego, Zbigniewa Kozłowskiego, Henryka Wawrowskiego, Christosa Mitsopoulosa, Jerzego Słowińskiego, Zbigniewa Wojdaka

www.pogonszczecin.pl

Copyright © Krzysztof Ufland, Jakub Bohun, Tomasz Smoter, Jakub Żelepień

ISBN 978-83-951271-1-3

Wstęp

Wielokrotnie zastanawiałem się, od jakich słów zacząć tę książkę. Z jednej strony chciałem, by wstęp był bardzo godny, jak przystało na pozycję wydaną z okazji 70-lecia największego klubu sportowego na Pomorzu Zachodnim, z drugiej zależało mi na tym, by oddawał charakter samej książki. A ta jest zupełnie inna, niż wszystkie dotychczasowe tytuły o Pogoni Szczecin. Nie było ich znowu wiele, ale przeważnie zajmowały się klubem w ujęciu historycznym i statystycznym.

Kolejne karty zawierają żywe słowo. Oddaliśmy głos bohaterom wielu lat. Chcieliśmy, by opowiedzieli o Dumie Pomorza ze swojej perspektywy. O tym, jaki obraz Pogoni Szczecin mają zapisany w swojej głowie. Naszym zadaniem nie była weryfikacja wypowiedzi naszych bohaterów, nie jesteśmy przecież sędziami historii. Może zatem zdarzyć się tak, że traficie na tę samą historię opowiadaną przez różne osoby i… jej wersje będą inne. Czas robi swoje, dlatego tym bardziej zależało nam, by przynajmniej urywek ciekawych wspomnień zapisać na stałe. Po to, by za kilka, kilkanaście, a może kilkadziesiąt lat ktoś mógł przeczytać naszą książkę i dowiedzieć się, czym dla wielu ludzi była przez pokolenia Pogoń.

Książka jest efektem wielu godzin naszych spotkań i rozmów telefonicznych z bohaterami. Wielu byłych Portowców mieszka dziś za oceanem, nie z każdym mogliśmy zobaczyć się osobiście. Muszę jednak przyznać, że otwartość i zainteresowanie naszych rozmówców były dla nas nobilitujące. Jestem przekonany, że oddajemy dziś w Wasze ręce wartościowy materiał, który utwierdzi Was jedynie w przekonaniu, że wspólnie tworzymy wielką granatowo-bordową rodzinę.

A skoro o familii mowa, to – jak w każdej – pojawiają się lepsze i gorsze dni. Nie brakuje łez szczęścia i historii przykrych. Pięknych chwil oraz momentów, które rodzą ból i o których chcemy jak najprędzej zapomnieć. Dlatego też w książce znajdziecie opowieści zabawne, w formie humorystycznych anegdotek, historie „nie z tej ziemi", ale także te pouczające i najzwyczajniej w świecie straszne. Tych ostatnich – na szczęście – nie ma wiele, ale wydatnie pokazują, że Pogoń to po prostu życie. Całe życie.

Zastanawiacie się, jaki był klucz doboru bohaterów naszych opowieści? Chcieliśmy pokazać nasz klub wielowątkowo. Dlatego w książce znajdziecie wypowiedzi byłych piłkarzy, prezesów, pracowników klubu, ale także osób, których relacja z Pogonią Szczecin ma zupełnie inny wymiar. Międzynarodowego sędziego piłkarskiego, lokalnych i ogólnopolskich dziennikarzy, czy statystyka, który przez całe życie uzupełnia dla potomności liczby związane z klubem. Nie zabrakło głosu twórcy hymnu Pogoni „My Portowcy", czy kibica, który na swoim prywatnym liczniku ma ponad 200 wyjazdów. Dotarliśmy do rodziny legendarnego Floriana Krygiera. Zajrzeliśmy też za kulisy życia towarzyskiego piłkarzy, odwiedzając szczecińskiego restauratora oraz przedstawicielkę bohemy artystycznej. Większość bohaterów na pewno znacie z imienia i nazwiska, ale zaręczam, że historie tych nieznanych są równie ciekawe. Te wszystkie opowieści przede wszystkim pokazują, jak wielka siła tkwi w Pogoni Szczecin, jak ogromną wartość klub stanowi. Stoi za nim rzesza wymagających, ale i oddanych ludzi. Myślę, że to właśnie czyni Pogoń Szczecin niezniszczalną. Bo nawet jeśli wydarzy się coś złego, co niestety mieliśmy okazję wielokrotnie przeżywać, to znajdą się ludzie, którzy wezmą na swoje barki ciężar odbudowy. Dumy Pomorza na pewno nigdy nikt nie pozostawi samej sobie i to jest piękne.

Siedemdziesiąt przeróżnych opowieści. Mieszanka dziesięcioleci, sytuacji, okoliczności. To powoduje, że tej pozycji nie trzeba czytać jak standardowej książki, ale można zacząć i skończyć w każdym momencie. Zabieramy Was w podróż do świata Waszego ukochanego klubu. O części historii na pewno już słyszeliście, w niektórych być może sami braliście udział, a w kolejne nie uwierzycie. Zostawiamy w Waszych rękach fragment granatowo-bordowego świata, w którym wychowujemy się od najmłodszych lat.

Zespół redakcyjny książki stworzyło czterech autorów. Na co dzień wszyscy zaangażowani są w pracę biura prasowego Pogoni Szczecin. Chciałbym podkreślić, że materiały zbierali z pasją, a spotkania z kolejnymi bohaterami były dla nich wspaniałym przeżyciem. To ludzie oddani Pogoni Szczecin, którzy na zaproszenie do wspólnego napisania tej książki zareagowali w sposób jednoznaczny: to honor i zaszczyt. Kubie Bohunowi, Tomkowi Smoterowi i Kubie Żelepieniowi dziękuję za współpracę i za to, z jakim entuzjazmem

tworzyli kolejne strony. Dla nas wszystkich praca nad książką była przede wszystkim ciekawą przygodą, wspaniałą lekcją historii i możliwością dotarcia do miejsc dotychczas niedostępnych, ukrytych w pamięci naszych bohaterów.

Słowa uznania należą się również zarządowi Pogoni Szczecin, który sfinansował wydanie niniejszej pozycji. Książka nie ma charakteru komercyjnego i celem klubu nie było zarabianie na niej. Swój udział ma też Miasto Szczecin, które przekazało dotację na jej powstanie.

Według badań naukowców, różnego rodzaju przedmowy i wstępy są statystycznie najczęściej pomijanymi fragmentami książki. Szanując, drogi Czytelniku, że dotarłeś w to miejsce, nie przedłużam i proponuję zapoznać się z tym, co do przekazania mają ważniejsi od autorów – granatowo-bordowi bohaterzy!

Krzysztof Ufland

Słowniczek

Drogi Czytelniku,

jeśli jesteś kibicem piłkarskim, niniejszy fragment możesz śmiało pominąć. Krótko objaśniamy w nim, jak czytać pewne terminy związane nierozłącznie z futbolem. Język piłki, osobie niezainteresowanej wcześniej Pogonią Szczecin albo piłką nożną w ogóle, może sprawiać pewne trudności. Jeśli więc zaliczasz się do tego grona, zapoznaj się z tym, co przygotowaliśmy dla Ciebie na tej stronie, a lektura naszej książki będzie jeszcze bardziej przyjemna i zrozumiała.

Mistrzostwo Polski – rywalizuje się o nie w formie rozgrywek ligowych. Wszystkie drużyny grają ze sobą dwa razy na przestrzeni 12 miesięcy. Wygrywa ta, która na koniec zdobędzie najwięcej punktów. Obecnie sezon podzielony jest na 2 rundy: jesienną i wiosenną, a rozgrywa się go na przestrzeni dwóch lat (np. 2017/18). Do 1962 roku system był jednak odwrotny: rozgrywki zaczynało się wiosną, a kończyło jesienią. Wtedy też sezon rozgrywało się na przestrzeni jednego roku (np. 1958). Po każdym sezonie najsłabsze drużyny spadają z ekstraklasy na niższy szczebel, z którego awansują z kolei najlepsze. Mistrz oraz najlepsze drużyny w nagrodę otrzymują natomiast możliwość gry w eliminacjach europejskich pucharów.

Puchar Polski – rywalizuje się o niego, pokonując drabinkę (1/64 finału, 1/32, 1/16, 1/8, 1/4, 1/2, finał). Nazywany jest potocznie „Pucharem tysiąca drużyn", gdyż może w nim dochodzić do starć klubów z różnych poziomów rozgrywkowych (np. trzecioligowca z klubem ekstraklasowym). Na różnych etapach gra się albo jedno spotkanie, albo mecz i rewanż. Zwycięstwo w pucharze jest przepustką do eliminacji europejskich pucharów.

Liga Europy (w latach 1971-2009 Puchar UEFA) – „druga liga" europejskich pucharów. Pogoń Szczecin trzykrotnie dostąpiła zaszczytu udziału w eliminacjach tych rozgrywek, nigdy jednak nie przebrnęła do kolejnej rundy: w 1984 roku, po zajęciu 3. miejsca w lidze (odpadła po dwumeczu

z niemieckim FC Köln), w 1987 roku, po zdobyciu wicemistrzostwa (odpadła po dwumeczu z włoskim Hellasem Werona) oraz w 2001 roku, po zdobyciu wicemistrzostwa (odpadła po dwumeczu z islandzkim Fylkirem Reykjavík).

Puchar Intertoto (nazywany też Pucharem Lata) – „trzecia liga" europejskich pucharów. Funkcjonował od lat 60. do 2008 roku. Zgłaszano do niego zazwyczaj drużyny z miejsc w środku tabeli, ale czasem również te, które zajmowały niższe lokaty. Pogoń rywalizowała w tych rozgrywkach dziesięciokrotnie, rozgrywając w nich łącznie 54 spotkania. Dla Portowców było to najczęściej pole do sprawdzenia się na tle rywali z innych krajów.

Nomenklatura ligowa: Ekstraklasa to najwyższy szczebel rozgrywkowy w Polsce. Jej zwycięzca zostaje Mistrzem Polski. Nazywa się tak od sezonu 2007/08, kiedy Polski Związek Piłki Nożnej przeprowadził reformę w nazewnictwie. Poniżej znajdziesz informację, jak ligi nazywały się przed i po reformie. W książce może zdarzyć się na przykład tak, że bohater opowiada o I lidze, mając na myśli najwyższy szczebel rozgrywek.

Do 2007/08	Po 2007/08	Szczebel rozgrywek
I liga	Ekstraklasa	Najwyższy
II liga	I liga	Drugi
III liga	II liga	Trzeci
IV liga	III liga	Czwarty

Transfer - moment, w którym zawodnik zmienia klub na inny. Zazwyczaj wiąże się z opłatą, bywają też transfery czasowe (wypożyczenia), po których piłkarz wraca do poprzedniego klubu. Przez dekady formuła transferu zmieniała się. W latach 80. polscy piłkarze nie mogli przenosić się do zagranicznych klubów przed ukończeniem 30 roku życia. Skutkowało to nielegalnymi ucieczkami, np. do Niemiec. W latach 90. granicę wieku obniżono do 25 roku życia. Wciąż obowiązywało wiele nieżyciowych zasad, jak chociażby to, że piłkarz, już po upływie ważności kontraktu, nie mógł bezgotówkowo zmienić klubu bez zaakceptowanego podania o transfer. Później ucywilizowano

też inne zasady: właścicielem zawodnika mógł być jedynie klub (wcześniej mogła być to... osoba). Wprowadzono też tzw. prawo Bosmana (od nazwiska Jeana-Marca Bosmana), na mocy którego piłkarz mógł rozpoczynać negocjacje i podpisać umowę z nowym klubem, gdy do końca jego obecnego kontraktu pozostało mniej, niż 6 miesięcy. Dziś zasady transferów są uporządkowane i rzadko dochodzi do niejasności. Wszystko definiowane jest przez przepisy FIFA, UEFA oraz regulacje krajowego związku.

Spalony – tego nawet my nie jesteśmy w stanie wyjaśnić właściwie!

ROZDZIAŁ 1

Gdyby wtedy przyszedł ktoś z Pogoni, pewnie wznowiłbym karierę

Marian Kielec
305 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1942 roku w rumuńskiej miejscowości Câmpulung Moldovenesc. Strzelił dla Dumy Pomorza najwięcej bramek w historii (120). W pierwszej drużynie grał od 1959 do 1971 roku, choć powrócił jeszcze na jeden mecz w 1979. Z Pogonią dwukrotnie awansował do najwyższej klasy rozgrywkowej (1962, 1966). Był królem strzelców I ligi, wówczas najwyższej klasy rozgrywkowej (1963). Jest pierwszym w historii piłkarzem Dumy Pomorza, który zagrał w reprezentacji Polski (łącznie 1 mecz, 11.10.1962 przeciwko Maroko).

W 1953 roku moi rodzice przeprowadzili się z ul. Pięknej na Gumieńcach, gdzie mieszkaliśmy od 1945, do Wielgowa. Trafiłem tam do miejscowego LZS-u. Podobnie jak Pogoń, byliśmy w I lidze juniorów szczecińskiego okręgu. Któregoś razu przyjechali do nas Portowcy. Wygraliśmy 5:1, a ja strzeliłem 4 bramki! W tym czasie trenerem juniorów Pogoni był pomocnik pierwszej drużyny Zygmunt Przybylski. Spodobałem mu się, choć nie był to taki typ człowieka, który okazywał zainteresowanie. Taki miał charakter.

Niedługo później do moich rodziców przyjechał pan prezes Lucjan Kosobucki. A razem z nim ówczesny trener młodzieży w Pogoni Janusz Przybylski. Nie „Klops", czyli Zygmunt Przybylski, ale właśnie Janusz, który praco-

wał też w Zarządzie Portu. Gdy zajechali, opalałem się przed domem.

– Nie chciałbyś grać w Pogoni? – zapytał jeden z nich.

– A co wy się mnie panowie pytacie – odpowiedziałem. – Mam 14 lat, rozmawiajcie z rodzicami.

Mama i tata zaakceptowali propozycję. Na początku trenowałem i grałem z juniorami, ale już rok później byłem w orbicie zainteresowań I zespołu. Z seniorami zacząłem ćwiczyć, gdy miałem 15,5 roku. Wówczas bywało tak, że przed ważnymi meczami juniorskimi trener Zbigniew Ryziewicz prosił pierwszego szkoleniowca, bym mógł zagrać w jego drużynie. Pewnie nie byłem jeszcze wtedy wystarczająco dobry albo odpowiednio przygotowany na grę w dorosłym zespole i grywałem w drużynie juniorskiej. A przy okazji podpatrywałem seniorów, żeby później wiedzieć, „z czym to się je".

***

Moim pierwszym patronem w Pogoni był właśnie pan Janusz Przybylski. Miał moją książeczkę oszczędnościową, na którą wpływało to, co zarobiłem swoją grą. Gdy potrzebowałem kupić sobie na przykład garnitur albo koszulę, to szedł ze mną do sklepu, wyciągał książeczkę i płacił. Do pewnego momentu nigdy nie dostałem pieniędzy do rąk. Myślę, że to było dobre dla mnie. O nic nie musiałem się martwić. Gdy mieszkałem na Hoene-Wrońskiego 7, to klub płacił za wikt i opierunek właścicielowi tego domu. Obiady miałem zawsze zapewnione w stołówce albo jakiejś jadłodajni. Czego więcej mogłem potrzebować?

Szybko wyprowadziłem się od rodziców, ale wygląda na to, że wyszedłem na dobrego i normalnego człowieka (śmiech)! Mamę i tatę odwiedzałem może nie po każdym meczu, bo wiadomo, że młody mężczyzna ma swoje różne potrzeby, ale na pewno widywałem się z nimi często.

***

Na początku mojej przygody z I zespołem najstarszym zawodnikiem w szatni był napastnik Józek Piątek. Trafił do nas z Garbarni Kraków. Poza nim szatnię „trzymali" wspomniany już „Klops" Przybylski, czy Zdzichu Nowacki.

Po jednym z kolejnych meczów w seniorskim zespole, gdy w Szczecinie strzeliłem bramkę i wygraliśmy, szliśmy zadowoleni do szatni.

– Panie Józku… – zacząłem mówić do siedzącego na swoim miejscu Piątka. Była wtedy w szatni grupa zawodników, do których zwracałem się właśnie „per pan". Józek wstał i uciszył całe towarzystwo.

– Panowie, Marian po raz kolejny strzelił bramkę, pomógł nam wygrać mecz i zarobić pieniądze – powiedział. – Od dzisiaj do wszystkich mówi „na ty".

Następnie podszedł do mnie i uścisnął mi dłoń. On był z 1928 rocznika, a więc 14 lat starszy ode mnie. Ta sytuacja nie mogła podobać się wszystkim, co Józek zobaczył.

– „Zyga", słyszałeś to? – rzucił do „Klopsa". – Będzie tak, jak powiedziałem.

Każdy ze starszych piłkarzy podszedł, przybili piątkę i miałem już mocniejszą pozycję w szatni. Takie sytuacje nie były codziennością, bo była też inna sytuacja. Do Szczecina przyjechała młodzieżowa reprezentacja Chin. Wracała z Uniwersjady w Helsinkach. Ten sparing wygraliśmy 3:0. Strzeliłem dwa gole, a jednego Rysiek Wiśniewski. W tym spotkaniu grał z nami również Waldemar Folbrycht, który jest moim rówieśnikiem. Po meczu zdarzyło się, że powiedział do „Klopsa" „na ty". Ale się wtedy porobiło! Waldka odsunęli od pierwszego zespołu, przez pewien okres musiał trenować z rezerwami. Nie było zmiłuj.

***

Pod koniec lat 50. i na początku 60. młody w szatni nie miał nic do powiedzenia. Starszyzna miała niepodważalną pozycję na boisku i nie tylko. Myślę, że dobrze zobrazuje to pewna historia.

Rok 1959, sezon, który zakończył się historycznym awansem do najwyższej klasy rozgrywkowej. Był piątek, a w sobotę rano wyjeżdżaliśmy do poznańskiego Lecha. Mieliśmy zgrupowanie przedmeczowe w Hotelu Gryf przy al. Wojska Polskiego. Nieco wcześniej udało nam się przywieźć ze Szwecji takie „badel dresy". Błękitne spodnie i bluzy na suwak. Cała drużyna była ubrana jednakowo, co na tamte czasy na pewno było ewenementem! Na zgru-

powanie Leon Leszczyński, należący właśnie do starszyzny, dotarł jednak w stroju cywilnym.

– Szefie, za chwilę pójdę do siebie się przebrać – rzucił w kierunku prezesa Kosobuckiego, nie robiąc sobie nic z sytuacji. Okazało się jednak, że gdy dotarł do domu, czekała na niego niecodzienna niespodzianka. Jego żona Krystyna przerobiła sobie klubowy dres na kostium kąpielowy albo coś podobnego. Leon wrócił na zgrupowanie w swoich ubraniach, podenerwowany i spieniony. Usiadł przy barze w restauracji, a kelnerka nalała mu „pięćdziesiątkę". Wtedy do baru wszedł prezes Roman Wilczek.

– Czyj to kieliszek? – zapytał pan Wilczek.

– Mój – odpowiedział zły na cały świat Leszczyński.

Wtedy pan Wilczek przewrócił mu kieliszek i wylał wódkę na blat.

– Panie szefie, panie prezesie! – oburzył się Leon. – Jeszcze raz mi tak pan zrobi, to panu przypierdolę!

Po czym skinął na kelnerkę, a ta ponownie napełniła kieliszek. Prezes Wilczek nie zamierzał odpuszczać i ponownie go wywrócił. Leszczyński nie wytrzymał i wystartował do prezesa, zaczęła się awantura. Leona wysłano do domu, a my dzień później ruszyliśmy bez niego do Poznania.

Popołudniem w sobotę mieliśmy na miejscu przedmeczową rozmowę z trenerem Florianem Krygierem. Pierwszy z krzesła podniósł się „Klops".

– Jeśli Leon nie dojedzie do Poznania, to ja nie gram – oznajmił.

Za nim podnieśli się kolejni. Siedziałem cicho w kącie i obserwowałem całą sytuację. Kolejno podnosili się Wiśniewski, Nowacki i następni. Rzucali tylko „ja też nie, ja też nie" i wychodzili z pokoju trenera Krygiera. Szkoleniowiec złapał za telefon i zaczął wydzwaniać do Szczecina.

– Chłopaki powiedzieli, że jak Leon nie przyjedzie, to nie zagrają i meczu nie będzie – relacjonował w rozmowach z kierownictwem.

Decyzja mogła być tylko jedna. Leszczyński mieszkał w domu na Pogodnie, w okolicach ul. Rostworowskiego, u ówczesnego prezesa do spraw finansowych Władysława Wanaga. Przyjechali po niego i przywieźli go autem do Poznania.

W niedzielę Leon zagrał przepiękny mecz, a miał naprzeciw siebie poważnego gracza, Teodora Aniołę. Nie dał mu pierdnąć, takie spotkanie rozegrał!

Wygraliśmy z Lechem 1:0.

Po meczu wcześniejszy incydent oczywiście udało się załagodzić. Pewnie Leon musiał coś odpokutować, ale nie było wielkich restrykcji, bo pan Wilczek to był fajny facet. Wszyscy byliśmy mężczyznami i po prostu gdzieś nagromadziło się za dużo testosteronu.

Dziś lubimy mówić o profesjonalizmie piłkarzy, chcemy od nich świętości. Wystarczy pojechać jednak na Wyspy Brytyjskie, żeby zobaczyć, co po meczach dzieje się w klubach angielskich. Oczywiście mówię o sytuacjach pomeczowych, nikt przecież nie popiera tego, by imprezować przed spotkaniem. Piłkarz musi jednak odreagować. Po prostu musi. Jeden idzie w alkohol, inny w seks, jeszcze inny w hazard. To jest taka dawka emocji, że trzeba ją gdzieś uwolnić, odreagować. Nie ma na to siły.

***

Bardzo wiele mówi się o panu Florianie Krygierze. Nie mam nic do niego, trenował również i mnie. Na pewno jest postacią bardzo zasłużoną dla klubu. Uważam jednak, że w tej sytuacji zdecydowanie za mało docenia się pana Lucjana Kosobuckiego. To on był szefem klubu, do tego bardzo prężnie działającym. Uważam, że jemu w dużej mierze zawdzięczamy to, że Pogoń istniała przez lata. Pan Kosobucki ściągnął też w odpowiednim momencie do Szczecina grupę zawodników, dzięki którym klub sportowo poszedł bardzo w górę. Był bardzo profesjonalny i słowny. Gdy powiedział, że pieniądze będą o godzinie 12, to nie było tak, że były „za pięć dwunasta", ani „pięć po", ale równo w południe.

Według mnie, pan Kosobucki był człowiekiem nie z tej ziemi. Nie każdy potrafiłby tak poukładać wszystkie klocki, jak on to robił. O każdym piłkarzu wiedział wszystko, znał go od A do Z. Do Szczecina ściągnął Przybylskiego, Wiśniewskiego, Nowackiego - wszystkich z Polonii Bydgoszcz, Jerzego Słowińskiego ze Stali Gdańsk, Leszczyńskiego. Nie da się ukryć, że historycznego awansu nie zrobiliśmy wyłącznie ludźmi ze Szczecina i regionu, a właśnie przemyślanymi transferami.

1960 rok. Graliśmy z ŁKS-em w Łodzi. Do przerwy 1:1, bramkę dla nas strzelił Rafał Anioła. Pan Kosobucki był nerwowym człowiekiem, czasami

nie wytrzymywał napięcia. Przed rozpoczęciem drugiej połowy wyszedł ze stadionu, by ochłonąć na spacerze. I gdy tak chodził i trwała druga połowa, strzeliłem bramkę na 2:1. Na trybunach zaszumiało i prezes mógł być przekonany, że to miejscowi prowadzą.

Po meczu szybko musieliśmy biec na stację kolejową Łódź Kaliska, by zdążyć na pociąg do Kutna. Tam z kolei łapaliśmy warszawski skład jadący do Szczecina. Prezesa spotkaliśmy na dworcu w Łodzi.

– No i jak poszło, jaki wynik? – zapytał chyba lekko zrezygnowany.

– Marian strzelił i wygraliśmy! – rzucił mu jeden z kolegów. Pan Lucjan opromieniał.

Gdy wsiedliśmy w Kutnie w drugi pociąg i byliśmy pewni, że dotrzemy do Szczecina, kierownik załatwił kilka stolików w wagonie restauracyjnym. Siedziałem obok pana Kosobuckiego, a wśród starszych zawodników – jak to bywało po wygranych meczach – pojawił się alkohol. Nalewali z ciemnych butelek, żeby nie było widać i polali także mnie. Ja jednak nie podniosłem kieliszka, bo wiedziałem, kto siedzi obok. Nagle poczułem szturchanie w nogę. To był pan Kosobucki.

– Wypij sobie, tylko żebym ja tego nie widział! – powiedział poważnym tonem, po czym odwrócił się do mnie plecami.

O panu Kosobuckim mówi się dziś bardzo mało i trzeba to zmieniać. To on był motorem napędowym tego, co działo się w Pogoni w czasach jej ekstraklasowych początków.

***

W premierowym sezonie w ekstraklasie – w 1959 roku – jechaliśmy do Krakowa. Do dziś uważam, że wygrać z Cracovią aż 5:3 pomogły nam… stroje. Tak, nasze własne stroje! W tym czasie gospodarzem naszego stadionu był Alojz Derendarz. Był to człowiek, który przez długie lata przebywał we Francji, a po wojnie wrócił do Polski. Przed meczem przyszedł do mnie.

– Panie Marianie, które koszulki mam wam przygotować na wyjazd? – zapytał.

– Myślę, że powinniśmy pojechać w tych – wskazałem na… biało-czerwone koszulki w pasy.

Nie wiem skąd te trykoty się wzięły. Jeśli dobrze pamiętam, to ktoś kupił je w Anglii, a następnie nam podarował. Prezentowały się pięknie! Wiadomo, że biało-czerwone pasy to krakusy, ale wzięliśmy te właśnie stroje.

Gdy wybiegliśmy na stadionie na rozgrzewkę, stadion szalał! Kibice byli przekonani, że to ich zawodnicy! Tak nas wspaniale przywitali, że wstydem byłoby nie pokazać się z dobrej strony.

Do przerwy, po moich dwóch bramkach, utrzymywał się wynik 2:2. W szatni pojawili się prezes Bronisław Skobel oraz Marian Hrabik, który był w Radzie Zakładowej Zarządu Portu Szczecin. Prezes położył każdemu po 2,5 tysiąca złotych na stole w nagrodę za zwycięstwo, a następnie pilnował tych pieniędzy do końca spotkania. W końcówce strzeliłem bramkę na 5:3 i w ten sposób skompletowałem swojego pierwszego ekstraklasowego hat-tricka.

W tym czasie mieliśmy też stroje w barwach, bo niegdyś niebiesko-bordowe trykoty kupili dla nas w prezencie bokserzy Pogoni. Jestem jednak przekonany, że te koszulki w biało-czerwone pasy wyprowadziły rywali z równowagi.

***

Dobrze żyłem z wojewodą szczecińskim Marianem Łempickim. Nie było sytuacji, by mój imiennik nie znalazł dla mnie czasu na kawę. Choćby była sobota, choćby miał ważne spotkania, zawsze miał moment na to, by spotkać się i porozmawiać. Dopytywał, co w klubie, czy wszystko się zgadza.

Był nam bardzo przychylny i mocno kibicował Pogoni. Wiązało się to też z tym, że wspierał klub finansowo, bo miał na to wygospodarowany fundusz. Kiedyś też miałem związaną z nim zabawną sytuację. Nieco wcześniej spotkałem jednego z prezesów Pogoni, który pod klub zajechał nowym moskwiczem.

– Piękne auto panie prezesie – zagadnąłem. – Pewnie dobrze się prowadzi!

– A, dziękuję, dziękuję! – odparł sternik klubu. – Wygrałem go na loterii!

Jakiś czas później gościłem u naszego wojewody. Pan Łempicki przywitał mnie z uśmiechem.

– Dzień dobry! Jak się jeździ nowym samochodem? Jest pan zadowolony?

– Ale ja… nie wymieniałem ostatnio auta – odparłem nieco zdziwiony.

– Przecież przekazałem dla pana talon na moskwicza! – odpowiedział jeszcze bardziej zdziwiony wojewoda. Szybko połączyłem fakty i wiedziałem już, co się święci!

***

Powiedziano mi kiedyś, żebym nie odbierał „powiastek" z Wojskowej Komendy Uzupełnień. Zgodnie z sugestią, gdy tylko widziałem list z WKU, udawałem, że go nie ma i nie odbierałem. Wojskowi nie są jednak w ciemię bici. Dowiedzieli się, że Pogoń gra w Szczecinie i przyjechali. Po meczu weszli do szatni i osobiście wręczyli mi wezwanie. Nie miałem wyjścia, musiałem podpisać.

Już w poniedziałek rano, po weekendzie, miałem stawić się na Zawiszy w Bydgoszczy. Pojechałem tam, przyjął mnie pułkownik Haraś. Wpisano mnie do ewidencji i w następną sobotę miałem mieć już przysięgę. Poszedłem do OPO – Ośrodka Przygotowań Olimpijskich, gdzie dostałem pokój. Zacząłem też treningi z Zawiszą. W piątek przed przysięgą przyjechał do Bydgoszczy m.in. pan Antoni Walaszek, który był wówczas I sekretarzem KW PZPR w Szczecinie. Nigdy nie byłem partyjny, ale prawdą było to, że ludzie polityki zawsze pomagali sportowcom. Razem z panem Walaszkiem był także pan Łempicki. Najpierw wybrali się na rozmowę z pułkownikiem, a następnie wezwano mnie.

– Proszę się ubrać, wraca pan do Szczecina! – usłyszałem rozkaz.

W wojsku byłem całe pięć dni. W ten sposób ominęła mnie służba wojskowa, co w tych czasach było naprawdę niesamowite. Dzięki temu nie musiałem też grać w Zawiszy, a często procedura wyglądała tak, że najpierw występowało się w Bydgoszczy, a następnie było się ściąganym przez wojsko do CWKS Legia.

***

Nie przywiązywałem wielkiej wagi do opaski kapitana. Moim zdaniem powinien ją dzierżyć ktoś, kto ma bardzo dużo do powiedzenia i często zwraca się na boisku do sędziego. Wiadomo, że przy emocjach w trakcie meczu można powiedzieć za dużo, a sędzia może za to pokazać żółtą kartkę. Ale gdy jest

się kapitanem, można trochę więcej, można podyskutować z sędzią.

Często było też tak, że opaską kapitańską zamienialiśmy się z Jasiem Gacką. Dziś wyprowadzasz ty, a za tydzień ja. Nie było z tym żadnego problemu.

Z Gacką znaliśmy się jak łyse konie. Razem trenowaliśmy, rozmawialiśmy i chodziliśmy na piwo. Pochodził z Piekar Śląskich, a trafił do nas ze Śląska Wrocław. Był wspaniałym kolegą i bardzo dobrym piłkarzem. Był drobnej budowy ciała, ale za to bardzo zaawansowany technicznie. Lubiłem z nim grać i spędzać czas, mogę powiedzieć, że do końca byliśmy dobrymi przyjaciółmi. W czerwcu 2017 roku niestety pożegnaliśmy go na zawsze, ale budujące było to, że na jego pogrzeb do Berlina dotarliśmy silną reprezentacją byłych boiskowych kolegów. Zawsze był bardzo lubiany w drużynie.

***

Nie grałem w zespole ze szpica tabeli, ale takim, który przez lata był albo średniakiem, albo okupował dolne miejsca. Jednej rzeczy jednak na pewno nie można było nam odmówić – ambicji. Być może nie mieliśmy wielkich umiejętności, może nie wszyscy, może wiele rzeczy mogliśmy zrobić lepiej. Na pewno było też mniej klasowych trenerów, z pewnością nie tylu, co obecnie. Myślę, że i poziom zarządzania był słabszy. Ale kibice umieli docenić naszą ofiarną grę.

„Kielec to jest duma nasza, jak przestrzeli, to przeprasza", „Atak w składzie Kielca, Gacki, Krzystolika, to jest postrach dla Górnika" – niejednokrotnie widziałem na trybunach te transparenty i do dziś nie wiem, kto je przygotowywał. Ale muszę przyznać, że zabrzanie nigdy nie mieli z nami łatwo. W sezonie 1967/68 – to ten kiedy wiosną pokonali Manchester United – dostali u nas 2:0.

Po meczu poszliśmy całą drużyną do Cechu Rzemiosł na Wojska Polskiego. Na dole pan Wiktor, dawny restaurator z Głębokiego, prowadził knajpę ze wspaniałym jedzeniem. A że dobre wieści szybko się roznoszą, to… na miejscu spotkaliśmy też piłkarzy Górnika! Wśród nich był mój boiskowy kolega Staszek Oślizło.

– Dzięki Bogu, że przegraliśmy tylko 0:2 – mówił mi po tym spotkaniu. – Byliście w takim gazie, że to jest aż nie do uwierzenia!

Drużyny przyjezdne bały się meczów w Szczecinie. Ich piłkarze wiedzieli, że będą zmuszeni przez nas do maksymalnego wysiłku. Na pewno w Pogoni nie wszyscy byli wówczas zawodnikami klasowymi. Głównie przez to Pogoń nie osiągnęła w latach 60. więcej. W klubach z czołówki tabeli była plejada gwiazd, większość reprezentantów. Tak było i w Polonii Bytom, i w Gwardii Warszawa, a później w Górniku Zabrze. Do tej ostatniej drużyny z Górnika Radlin przeszedł wspomniany przeze mnie Staszek Oślizło. Niewiele brakowało, a trafiłby do nas! Sprawa rozbiła się o 3 tysiące złotych. Mielibyśmy takiego zawodnika!

***

Przed meczem w Radlinie byliśmy na zgrupowaniu w Świerklańcu. Redaktor z gazety wymyślił sobie tytuł: „Będą stawać na głowie, by nie przegrać z Górnikiem". Poprosił pięciu naszych napastników, w tym mnie, żebyśmy po treningu zapozowali do zdjęcia, właśnie stając na głowie.

Nie mieliśmy z tym żadnego problemu, ale też nie spodziewaliśmy się, że z tym zdjęciem będą aż takie problemy. Redaktor nie mógł zrobić dobrego ujęcia, bo okazało się, że Józek Piątek nie umie choćby przez chwilę utrzymać równowagi. Co chwilę przewracał się i musieliśmy ponawiać ujęcie. Redaktor wykorzystał na nas pewnie całą kliszę, którą miał przeznaczoną na najbliższe dni pracy.

Wygraliśmy tam 2:1 i był to jeden z ostatnich meczów Oślizły w jego Radlinie. Później trafił do już Górnika.

***

Do Chorzowa na mecz jechałem w jednym bucie i jednym kapciu. Lewą nogę miałem obandażowaną, miałem bardzo mocno zbite podbicie stopy.

– Jak się czujesz? – zapytał mnie trener podczas sobotniej, porannej rozmowy.

– Czuję się wspaniale, ale nie mogę wsadzić nogi do buta! – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Zachorował Roman Jaworski i razem z tobą jest nas tylko jedenastu. Zagrasz? – dopytywał szkoleniowiec. – Może wziąłbyś „blokadę"?

Nie bałem się tego zastrzyku, ale był jeden kłopot. Na Górny Śląsk pojechaliśmy bez lekarza i nie było komu zrobić tej „blokady". Na mecz pojechał z nami jeden z wiceprezesów Bronisław Skobel. Wsiadł w taksówkę i zaczął objeżdżać miasto. W tych czasach lekarze mieli przy swoich domach tabliczki z informacją. W końcu udało mu się znaleźć chirurga, a następnie przekonać go, by przyjechał na Ruch i wykonał zabieg.

Na środku szatni w Chorzowie stał stół ping-pongowy. Położono mnie na tym stole i tam dostałem zastrzyk. Nie potrzebowałem nawet już wychodzić na rozgrzewkę, tak byłem zlany potem! Byłem bardzo podenerwowany. W Szczecinie niejednokrotnie miałem już „blokady", ale doktor Danyluk miał wspaniałą siostrę, która potrafiła to zrobić tak, że człowiek nie wiedział, kiedy było po zastrzyku. A tu był obcy człowiek i nie wiedziałem, czego się spodziewać.

Zagrałem, a mecz zakończył się bezbramkowym remisem. Gdy wracaliśmy pociągiem do Szczecina, „blokada" zaczęła odchodzić. Myślałem, że oszaleję! Wcześniej niczego człowiek nie czuje, bo to jest odpowiednio „pomrożone", ale gdy puszcza, to naprawdę nie idzie wytrzymać.

Być może nie mam dziś stóp tak eleganckich, jak normalny człowiek, ale przecież to nie są żadne problemy. Całkiem niedawno, gdy w Kanadzie przeszedłem prześwietlenie stóp, to doktor łapał się za głowę i pytał, co ja w życiu robiłem. Dopiero gdy powiedziałem mu, że byłem zawodowym piłkarzem, nieco się uspokoił.

***

Dziwię się, że trener Gienek Ksol dał się nabrać na ten zaciąg, czyli transfery Romana Jakóbczaka i Włodzimierza Wojciechowskiego, którzy później razem uciekli do Lecha Poznań. Gienka uważam za dobrego szkoleniowca, ale nie rozmawiałem z nim 40 lat. Wszystko zaczęło się na wiosennym obozie w Bułgarii. Koledzy z zespołu nie byli przychylni temu duetowi. Wówczas jeszcze nie odnosiłem się do tego tak jak później. Widziało to jednak też kierownictwo klubu, więc zawołano mnie do siebie.

– Marian, zrób coś, widzimy, co się dzieje – usłyszałem. – Ci zawodnicy będą nam potrzebni, musicie z nimi normalnie żyć.

Namawiałem zespół, by zaakceptowali wspominany duet. Tłumaczyłem, że klub ma wobec nich plan. Ale ci dwaj nie potrafili tego oddać nam na boisku. Zaczęli grać cały czas właściwie tylko ze sobą. Tak się nie da! W piłce wiele rzeczy robisz automatycznie, na pamięć. Na treningach wszystko było świetnie, a później w meczu nic nie grałem. Wszystko dlatego, że nie działały schematy, trzeba było samemu wrócić po piłkę, albo rozegrać ją gdzieś bokiem. Wszystko dlatego, że dwóch zawodników nie grało z drużyną. Oni grali naprawdę dobrze, ale tylko między sobą!

Czułem się z tym wszystkim źle, więc poszedłem do Gienka, który był wtedy w sztabie czechosłowackiego trenera Karela Kosarza, z pewną propozycją.

– Może mi coś jest? – powiedziałem. – Chodź, zrobimy konsylium lekarskie, niech mnie sprawdzą.

Gienek dał się na to nabrać, a ja potrzebowałem argumentów. W Przychodni Sportowej oceniało mnie trzech doktorów. Przeszedłem szereg badań i testów. Orzeczenie było takie, że jedynie olimpijczyk przed olimpiadą może być lepiej wytrenowany ode mnie. To mi wystarczyło.

Przed jednym z meczów, w piątek, mieliśmy trening strzelecki. Co uderzyłem z rzutu wolnego, to „proszę wyjąć".

– Kapitan, jak w niedzielę będzie wolny z tego miejsca, to uderzaj! – krzyczał Kosarz, a ja już cieszyłem się na kolejny rozegrany mecz.

W sobotę w domku klubowym Gienek przeczytał skład. Mnie nie było. Gdybym tylko poszedł do klubu i powiedział, prawdopodobnie Kosarza zaraz nie byłoby w Szczecinie. Ale po tylu latach gry dla Pogoni miałbym prosić się o miejsce w składzie? Wykluczone! Bardzo mnie to zabolało, tego było za wiele.

W przerwie tego spotkania, w szatni, Gienek powiedział mi, żebym rozbierał się i wyszedł na II połowę.

– Nie – powiedziałem, a wszyscy spojrzeli na mnie zdziwieni. – Panowie, to był mój ostatni mecz. Dziękuję bardzo za wszystko.

Zaraz po tej sytuacji o swojej decyzji nie powiedziałem nikomu w domu. Moje córki codziennie rano, na zmianę, chodziły po mleko, bułki i gazetę do sklepu. Dzień po tym, jak powiedziałem „dość", starsza przybiegła zapłakana do domu.

– Co się stało? – zapytałem, domyślając się, że już wie.

– Tato, jak ty mogłeś nic nam nie powiedzieć w takim ważnym dniu! – rozpaczała.

Nie chciałem jednak nikogo angażować i martwić.

***

Niespełna pół roku po tym, jak zakończyłem karierę, na powrót namawiał mnie Edmund Zientara. Pracował jako trener w Legii Warszawa. Myślę, że byłem wtedy najbliżej tego, by odwołać swoją decyzję i ponownie grać. Naprawdę byłem bliski tego, by złamać się, ciągnęło mnie na boisko. Powiedziałem jednak „Mundkowi", że gdyby wtedy przyszedł ktoś z Pogoni, myślę, że dałbym się przekonać. To się jednak nie stało i pozostało mi pływanie.

Przy mojej budowie, zaangażowaniu i trybie życia spokojnie mógłbym grać jeszcze przynajmniej 7 lat. Pozbawiono mnie wielu występów, strzelonych bramek i tytułów. Przez kilka lat na pewno dołożyłbym 20-30 bramek i miał więcej rekordów, których długo nie można byłoby pobić.

***

Miałem 37 lat i po długiej przerwie wróciłem do Pogoni i grania w ogóle. To było za trenera Konstantego Pawlikańca. Miał miejsce pewien incydent. Jasiu Mikulski miał dostać 3-pokojowe mieszkanie. Mieszkał wtedy w 2-pokojowym naprzeciwko mnie, przy ul. Generała Rayskiego. Miał dostać 3 pokoje, a na jego mieszkanie miał przejść Jarosław Biernat. Przychodzę na trening, a Jasiu płacze załamany.

– Co się stało? – zapytałem go.

– Wszystko było ustalone, miałem zapewnienia, ale przyszedł trener Pawlikaniec i dał 3-pokojowe mieszkanie Biernatowi.

Wkurzyłem się i poszedłem do trenera.

– Proszę pana, pan nie jest od mieszkań w klubie, pan jest od trenowania – powiedziałem mu. – Zmienia pan coś, co zostało ustalone. Tak się nie robi.

Decyzji nie zmieniono, a ja miałem pod górkę z trenerem. Pawlikaniec pięknie mówił, ale nic z tego nie wynikało. Najpierw usadził Stal Mielec, później usadził Pogoń Szczecin, a następnie sam osiadł gdzieś tam na północy Kanady.

***

Dziś myślę, że ten mój powrót wiązał się z tym, że chciano bym w szatni zrobił atmosferę. Umiem to robić: kiedy trzeba – pochwalę, kiedy trzeba – opierdolę. A piłkarskie abecadło mam w małym paluszku. Wtedy od kilku lat pływałem zawodowo w PŻM-ie. Zawsze gdy schodziłem na ląd, przychodziłem potrenować na Pogoń. Karierę sportową już zakończyłem, ale chciałem być w dobrej kondycji fizycznej. Po jednym z treningów zawołali mnie pani Zofia Kempa i pan Kosobucki, którzy przyglądali się zajęciom. Padło pytanie, czy nie chciałbym pomóc Pogoni, która jest targana problemami.

– Myślicie, że mógłbym podołać? – zastanawiałem się. Wciąż miałem w sobie głód piłki.

– Przyjdź jutro do klubu – usłyszałem.

Na drugi dzień spotkaliśmy się i długo rozmawialiśmy. Przedstawiono mi wizję rozwoju Pogoni. Przede mną był długi urlop od zawodowej pracy, więc zacząłem regularnie przychodzić na treningi. Wyjechaliśmy na obóz do Wałcza. Przeżyłem tam prawdziwą katorgę! Prawie nic nie jadłem. Były takie bułgarskie słoiki z brzoskwiniami. Wyjadałem pół słoika tych brzoskwiń i to był mój posiłek w tym czasie. W trakcie zgrupowania naprawdę strasznie tyrałem. W okresie przygotowawczym, w sparingach, strzeliłem najwięcej bramek dla Pogoni. Do tego mojego pojedynku przygotowałem się naprawdę dobrze.

Nie mogłem doczekać się startu ligi. Na otwarcie sezonu mieliśmy zagrać u siebie z ŁKS-em Łódź. Żyłem tym meczem, czekałem na niego bardzo. Przed spotkaniem przyszedł do mnie trener Pawlikaniec. On w ogóle miał problem z tym, jak się do mnie zwracać, bo był rok młodszy.

– Ja jestem zawodnikiem i będę mówił „na pan". Pan jest trenerem i proszę mówić do mnie, jak panu wygodnie – uciąłem.

– Marian, ja na te pierwsze mecze mam specjalną wizję – zaczął enigmatycznie Pawlikaniec. – W pierwszym meczu nie wystąpisz, następnie w wyjazdowym ze Stalą Mielec też nie zagrasz. Wystawię cię w 3. kolejce w meczu z Zagłębiem Sosnowiec.

– Proszę pana, jak to! – denerwowałem się. – Ja chcę wyjść na mecz od razu, tu w Szczecinie, przed moją publicznością! Znam tu każdy kamień, tu się wychowałem i chcę grać.

Trener nie zmienił jednak swojej decyzji. Wracając do domu długo rozmyślałem o całej sytuacji. – Może on faktycznie ma rację, może w tym planie jest jakiś sens, może ja jestem zbyt narwany – zastanawiałem się. Odpuściłem, przystałem na to.

Inauguracyjny mecz z ŁKS-em zakończył się remisem. Oglądałem go i wiem, że strzeliłbym w nim gola. Jestem o tym przekonany.

Na następny pojechaliśmy do Mielca. Warto tu na chwilę wrócić do obozu w Wałczu. Stal Mielec, którą Pawlikaniec prowadził przed nami, przyjechała do tego samego ośrodka. Trener rozentuzjazmowany chodził i witał się z kolejnymi zawodnikami. Zauważyłem jednak, że Andrzej Szarmach nie podał mu dłoni i odwrócił się! Byłem już doświadczony, poza tym jestem dobrym psychologiem. Znałem realia, czułem, czym to może śmierdzieć. Widać było, że panowie mają na pieńku.

Przed samym meczem nasz trener urządził pogadankę, którą zaczął od tego, że Szarmach na pewno z nami nie zagra. Chwilę później wziąłem kilku zawodników do siebie do pokoju.

– Chłopaki, gdybym był na miejscu Szarmacha, to nie wiem, co bym zrobił, ale bym zagrał – mówiłem. – Podrutowałbym się, ale chciałbym wystąpić. Oni mają konflikt!

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, nie było mnie w wyjściowym składzie. Przed meczem zjadłem olbrzymią golonkę, a nigdy tego nie robiłem. Ale do Mielca pojechałem przecież na wycieczkę, więc mogłem sobie na to pozwolić. Niestety nie pomyliłem się co do składu Stali. Szarmach wyszedł od początku, a do przerwy miał już dwa strzelone gole. Gdy schodziliśmy do szatni, podszedł do mnie Pawlikaniec.

– Marian, przebieraj się, wchodzisz – powiedział, a mnie zamurowało.

– Panie kochany, przecież tak się nie robi! – odpowiedziałem. – Ustalaliśmy przecież, kiedy wystąpię.

Mimo tej rozmowy przebrałem się i wybiegłem na boisko. Nie mogłem przecież zaprotestować. Nie był to w moim wydaniu taki mecz, jakiego bym sobie życzył. Ale i nie był znowu taki zły. Ostatecznie przegraliśmy 0:2.

Po powrocie do Szczecina powiedziałem komuś w klubie, co myślę o tej całej sytuacji. Musiało to trafić do trenera, bo na mecz 3. kolejki z Sosnowcem

nie zabrał mnie już nawet na ławkę. W ten sposób po raz drugi zakończyłem karierę. Wróciłem do pływania, bo wiedziałem, że dopóki on będzie trenerem, to ja już nie zagram.

***

Nie brakowało meczów, które wygrywałem sztuczkami psychologicznymi. Na boisku zwycięża się przede wszystkim głową! Przy 25 tysiącach ludzi graliśmy z Gwardią Warszawa z bardzo dobrym bramkarzem Tomkiem Stefaniszynem. Ludzie znali mnie z ciętego i ostrego humoru. Wychodziłem na boisko jako jeden z ostatnich, bo szedłem jeszcze jako kapitan do sędziego. Tomek niedługo wcześniej przeszedł jakąś chorobę, chyba ospę i widać to było po jego twarzy.

– Cześć Tomek, ty najpiękniejszy chłopaku Warszawy! – krzyknąłem do niego.

Usłyszeli to siedzący na trybunach kibice i momentalnie podłapali.

– Uważaj tam, bo mecz się dobrze nie zacznie, będzie główka i bramka – docinałem mu, widząc, że nie przechodzi obok tego wszystkiego obojętnie.

A później na boisku tak właśnie było. Szybko udało mi się zdobyć gola głową. Bramkarz rywali nie wytrzymał presji. Podniósł rękę w górę i poprosił trenera o zmianę.

***

Mam dyplom trenera II klasy, ale nigdy nie starałem się być szkoleniowcem. U mnie przygoda z trenerką zakończyła się na pracy z juniorami szczecińskiej Pogoni, a później Pogonią Szczecin TME. Był to zespół, który grał w tej samej lidze juniorów co Pogoń. Podobnie jak dzisiaj, klub nie mógł wystawić dwóch zespołów juniorskich w jednych rozgrywkach, więc pod auspicjami Technikum Mechaniczno-Energetycznego stworzono drugą drużynę. Jasiu Gacka trenował Pogoń, a ja Pogoń TME.

Mam satysfakcję, bo gdy po roku musiałem wracać z lądu i wypłynąć, to na hasło, że kończę pracę z drużyną do klubu przyszli rodzice tych chłopaków i stwierdzili, że nie mogę iść pływać. Mówili, że chłopcy nie wyobrażają sobie, żeby mnie nie było. Do dziś na myśl o tej sytuacji mięknie mi serce.

Po jednym z treningów chłopcy podbiegli też do mnie.

– Panie trenerze, rodzice opowiadali nam, jakie bramki strzelał pan nożycami – krzyczeli podnieceni. – Może nam pan pokazać?

– Pewnie, że mogę – odpowiedziałem. – Który dorzuci piłkę?

Z bramkarzem założyłem się o colę, dostałem dośrodkowanie i strzeliłem nożycami gola. Proszę sobie wyobrazić, jaki w tym momencie zyskałem autorytet u chłopców. Dlatego uważam, że z dziećmi i młodzieżą muszą pracować byli piłkarze.

Podbiegł do mnie mój wychowanek, Edek. – Trenerze, czy ja też mogę spróbować? – zapytał.

– Możesz, ale musisz bardzo uważać – odpowiedziałem. – Szczególnie jak będziesz upadał, bo bardzo łatwo można złamać rękę.

Pokazałem mu również w jaki sposób należy upaść. Po chwili Edek wyskoczył do piłki, upadł i niestety złamał rękę. Wsiedliśmy w auto, pojechaliśmy do kliniki na Pomorzany i chłopaka wsadzili w gips. Reszta zawodników była wpatrzona we mnie jak w obrazek. Najpierw udowodniłem, że umiem wykonać nożyce, a następnie sprawdziło się to, przed czym przestrzegałem. Myślę, że nie powiedzieliby o mnie złego słowa.

***

Pogoń w moim sercu była zawsze. Do Kanady wyjechałem na rok, z którego zrobiły się 33 lata. Teraz to moja druga ojczyzna. Dla mnie jednak zawsze Pogoń była i będzie na pierwszym miejscu… (w tym momencie musimy na chwilę przerwać wspomnienia, bo pan Marian bardzo mocno się wzruszył). No proszę! Niby taki twardziel, a jaki miękki! Ale nie ma się co dziwić, przecież mówimy o naszej wspaniałej Pogoni.

Mam to szczęście, że moja rodzina zawsze wspierała moją miłość do Pogoni. Mam dwie córki – jedna mieszka w Kanadzie, druga w Szwecji. Starsza grała kiedyś w piłkę ręczną w Pogoni, a młodsza jeździła na lodzie. Mężem starszej jest Leszek Wolski, więc siłą rzeczy Duma Pomorza jest jej bardzo bliska. Razem z żoną zawsze mnie wspierały i tak jest do dzisiaj.

– Marian, ale ty świetnie wyglądasz! – zaczepił mnie jakiś czas temu znajomy. – Na pewno nie na swoje lata!

– Wiesz czyja to jest zasługa? – zapytałem. – Moich córek! Jedna kupuje mi dobry krem, a druga dobrą whisky!

ROZDZIAŁ 2

Musicie wyjść! Król Hiszpanii czeka

Dariusz Adamczuk
150 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1969 roku w Szczecinie. W szczecińskim klubie występował w drugiej połowie lat 80. oraz w latach 90. W tym czasie zagrał w 3 meczach reprezentacji Polski (łącznie w karierze 11A/1 gol, debiut 19.05.1992 przeciwko Austrii). Jest wicemistrzem olimpijskim (1992, Barcelona w Hiszpanii). Z Dumą Pomorza wywalczył też raz awans do ekstraklasy (1992). W 2006 roku rozpoczął odbudowę klubu, grając i działając w B-klasowej Pogoni Nowej. Pracował w powracającej do ekstraklasy Pogoni, pełniąc różne role. Od kilku lat jest prezesem Akademii Pogoni.

Myślę, że rola, którą pełnię teraz, jest najtrudniejsza. Wiąże się z największą odpowiedzialnością. Gdy byłem zawodnikiem, to odpowiadałem za siebie i drużynę. Teraz na mojej głowie jest cała młodzież. Wiadomo, że nie robię tego sam, ale jednak to ja jestem szefem Akademii. Myślę też, że nie mógłbym pełnić tej roli, gdybym wcześniej nie przeszedł innych szczebli.

Rozwijamy się, dajemy młodym zawodnikom lepsze warunki, ale staramy się pamiętać o podstawach. Świat poszedł bardzo do przodu, ale są naprawdę proste rzeczy, do których trzeba wrócić i ponownie zacząć je wdrażać. W dzisiejszej erze zdecydowanie brakuje tego podwórkowego grania. Jeszcze do niedawna wszyscy, którzy trenowali w Pogoni, równocześnie grali też na podwórku. To wszystko staramy się wdrożyć w naszej Akademii. Na podwórku było różnie: z młodszymi mogłeś się pobawić, pokiwać, a na starszych

spinałeś się, musiałeś użyć sprytu, by ich przechytrzyć. Pomysł jest taki, aby jednego dnia w tygodniu przemieszać różne grupy wiekowe i pozwolić im rywalizować. Miałaby być tam pełna dowolność, podwórkowa radość z gry. Łącznie z tym, że zawodnicy będą wybierać się sami i sami sędziować swoje mecze. Chcemy to zaszczepić. Trener ma jedynie czuwać nad całym treningiem, ale jak najmniej ingerować.

***

Po dziesięciu latach odbudowy klubu udało nam się wypracować dobrą pozycję wśród młodzieży w Polsce. To prawda, że dziś nasi młodzi zawodnicy szukają wzorów i autorytetów we własnym klubie. Coraz częściej nie chcą być już Robertem Lewandowskim, a np. Ricardo Nunesem. Oczywiście nie jest tak, że nie marzą o największych, ale to pokazuje, jak duży progres zrobiliśmy. Gdy powstanie nowy stadion i Centrum Szkolenia Dzieci i Młodzieży, to ta sytuacja będzie jeszcze bardziej widoczna. Młodzi zawodnicy będą mogli zjeść lunch we wspólnej stołówce z piłkarzami I zespołu. To nie jest nic odkrywczego, ale naprawdę działa na wyobraźnię tych chłopców. Będą mogli czerpać jeszcze więcej od swoich kolegów.

***

Gdy miałem 8-9 lat, to żeby dowiedzieć się wyniku meczu wyjazdowego trzeba było dzwonić pod numer 911[1]. Ta linia była ciągle zajęta, bo przez dwie godziny dzwoniło tam mnóstwo kibiców. A kiedy już udało się dodzwonić, pani podawała suchy wynik i to był koniec. Od zawsze kochałem Pogoń i pamiętam, że przed wyjazdowymi meczami modliłem się, by zwyciężyła. Domowe oglądałem z perspektywy stadionu. A później stałem się częścią tego klubu. Dziś mogę powiedzieć, że w Pogoni robiłem już chyba wszystko i na wszystkich szczeblach. Wliczam w to oczywiście okres B-klasy. Pamiętam, że jak trzeba było, to sprzątałem, budowałem salę tradycji. Niejednokrotnie próbowałem rozmawiać z partnerami, by pozyskać pieniądze dla klubu. A gdy nasza potrzeba, byłem asystentem trenera w I drużynie. W czasach, gdy trener Kazimierz Biela był równocześnie trenerem futsalowej Pogoni 04 Szczecin

1 Numer informacji miejskiej.

i nie mógł wyjechać na jakiś turniej, awaryjnie stawałem się pierwszym trenerem juniorskiego rocznika 1997.

***

Turniej dzikich drużyn. Coś, co zawsze mam w pamięci, bo to mój początek w Pogoni. Na piaszczystych boiskach przy ul. Witkiewicza organizował go Florian Krygier. Wzięliśmy w nim udział podwórkową ekipą z czterech bloków przy ul. 9 Maja, nazwaliśmy się Pomorzanin. Trenerem był mój tato. Mieliśmy białe koszulki i przyszyte fioletowe szarfy, by nieco się wyróżniać. Wsiadaliśmy w sześć osób w trabanta mojego ojca, inny ojciec brał drugą część drużyny i tak jeździliśmy na różne lokalne turnieje. Pamiętam, że gdy raz jechaliśmy na mecz, to wiatr podwiał maskę, ta otworzyła się, pękła na pół i poleciała! Przecież ten samochód był z papieru (śmiech)! Wracając do turnieju. Zajęliśmy trzecie miejsce, a półfinał przegraliśmy 0:3. Pamiętam to jak dziś. W meczu o 3. miejsce wygraliśmy po rzutach karnych. Po turnieju do mnie i dwóch kolegów z drużyny podszedł pan Florian i zaprosił nas na treningi do Pogoni. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, kto to jest. Koledzy poprosili mnie też, jako kapitana naszej drużyny, żebym poszedł do pana Krygiera i zapytał jakie są nagrody za 3. miejsce.

– Nic. Tylko zwycięski zespół dostaje piłkę – odparł pan Florian.

Ogromnie byłem wtedy rozżalony. W tych czasach nowa piłka była marzeniem, rozwiązywała wszystkie problemy całego osiedla.

Po dwóch tygodniach poszedłem na trening. W tym czasie najmłodszą grupą szkoleniową byli chłopcy z roczników 1966-67, a więc starsi ode mnie o 2-3 lata. Po miesiącu zraziłem się, bo trudno było mi rywalizować z tymi chłopakami. Odpuściłem. Po jakimś czasie w Szkole Podstawowej nr 57 nauczycielem WF został Kazimierz Biela. Można powiedzieć, że odkrył mnie na nowo i zaprosił do treningów. Tym razem już do właściwego rocznika.

***

W „złotych" Mistrzostwach Polski juniorów grali zawodnicy urodzeni po lipcu 1967 oraz z rocznika 68. Ja byłem w tej drużynie najmłodszy. Debiutowałem jako piłkarz trzy lata młodszy. Po Mistrzostwie Polski pojechałem z pierwszą drużyną na obóz przygotowawczy, sporadycznie mogłem trenować

z seniorami, ale przez cały kolejny sezon wciąż terminowałem w drużynie rezerw.

Byłem takim chłopakiem, że zawsze krótko cieszyłem się sukcesem. Bardzo krótko. Gdy w wieku 16 lat zadebiutowałem w juniorskiej reprezentacji Polski, czy po Mistrzostwie Polski juniorów, to powód do radości miałem na kilka godzin, a chwilę później miałem już w głowie kolejny obrany cel. Nigdy nie czułem się nasycony. Okej, debiut w ekstraklasie był wielkim przeżyciem, który utkwił mi w pamięci mocniej. Skłamałbym, gdybym powiedział, że i w tym przypadku po kilku godzinach chciałem czegoś więcej.

***

Z falą w szatni spotkałem się, ale umiałem sobie z nią poradzić. Z jednej strony nie wychylałem się i wiedziałem, co muszę robić jako młody zawodnik, a z drugiej byłem megadowartościowany tym, że mogę przebywać wśród ludzi, którym do niedawna podawałem piłkę. Dobrze pamiętam sytuację, w której Marek Ostrowski wykonywał rzuty rożne. Czyściłem mu piłkę i stawiałem w narożniku i niejednokrotnie całowałem, by dobrze wrzucił. Któregoś razu, przed wykonaniem rzutu rożnego, podszedł do mnie.

– Młody, pocałuj i ustaw. Chyba przynosisz szczęście – rzucił w moim kierunku. Pamiętał, że w poprzednim meczu po takim „zabiegu" dośrodkował tak dobrze, że padł gol. Niedługo później dzieliliśmy szatnię. Dla mnie to było na tyle niesamowite, że znałem swoje miejsce w szeregu. Fala oczywiście była, ale ja chyba nawet jej nie odczuwałem, bo po prostu traktowałem to wszystko jako swój obowiązek. Myślę, że starsi zawodnicy mieli ze mnie wiele pożytku. Szatnię trzymali wtedy Marek Szczech, Krzysiu Urbanowicz, Marek Ostrowski, Kaziu Sokołowski, Jurek Hawrylewicz. Grę kończył wówczas Leszek Wolski. Ważnym ogniwem był Marek Leśniak. To były te wielkie nazwiska, na których ja się wcześniej wychowałem jako kibic.

***

W 1989 roku spadliśmy z ekstraklasy po przegranym barażu z Motorem Lublin. Wygraliśmy 3:2 w Szczecinie, chociaż prowadziliśmy już 2:0. W Lublinie to Motor wygrał 2:0 i wyrzucił nas z ligi. Nie chcesz wyobrażać sobie, jak wyglądał nasz powrót autokarem ze wschodu… Kompletnie rozbita drużyna.

Nastąpiła wtedy zmiana generacji. Odeszli Marek Ostrowski, Marek Leśniak, Kaziu Sokołowski. W drużynie została duża grupa młodych chłopaków. Wszyscy z wielkiej Pogoni lat 80. przestali grać. Po trzech latach wróciliśmy do ekstraklasy, chociaż mieliśmy też bardzo trudny okres. W 1990 roku, gdy trenerem był Aleksander Brożyniak, byliśmy na ostatnim miejscu w II lidze. Po pierwszej rundzie mieliśmy 11 punktów w 19 meczach i tylko jedno zwycięstwo! Na koniec fatalnej rundy zremisowaliśmy z Hutnikiem Warszawa 2:2. Na trybunach może 2 tysiące ludzi, wroga atmosfera. Szczecin nie lubi porażek. Piotr Baranowski zrobił ze mną po meczu wywiad do Telewizji Polskiej.

– Czy to już ten moment, kiedy możemy pogodzić się ze spadkiem do III ligi? – zapytał.

– Nie, ja wierzę w utrzymanie i nie odpuścimy – zapewniłem.

W rundzie rewanżowej prowadził nas już Eugeniusz Różański. Zostaliśmy rycerzami wiosny. Ligę zakończyliśmy na 11. miejscu, ale jeśli podsumowalibyśmy jedynie wiosenne spotkania, to bylibyśmy trzeci. Tym razem w 19 meczach ugraliśmy 24 oczka, a wtedy za standardowe zwycięstwo były przecież 2 punkty.

I u trenera Różańskiego, i u Brożyniaka pracowaliśmy bardzo mocno. Nie umiem powiedzieć, dlaczego jesienią aż tak nam nie szło. Brakowało czegoś pomiędzy trenerem i drużyną. Pamiętam, że wyjeżdżałem z kadrą młodzieżową do Londynu na spotkanie reprezentacyjne z Anglią. To był mecz eliminacyjny, mieliśmy grać na Tottenhamie. Trener Brożyniak podszedł do mnie i pokazał mi dwie dłonie. Na jednej cztery palce, a na drugiej złączone kciuk i palec wskazujący. Zapytałem o co mu chodzi.

– 4:0. Tyle dostaniecie – skomentował szkoleniowiec. Taki miał sposób na motywowanie swoich zawodników. Wygraliśmy z Anglikami 1:0 po moim golu, wróciłem do klubu z olbrzymią satysfakcją. Ale nie wydaje mi się, żeby Brożyniak docenił to we właściwy sposób.

– No i co trenerze? – zapytałem. Nic nie odpowiedział.

Cała ta historia jednak do złudzenia przypomina mi naszą ligową sytuację z sezonu 2017/18. I gdy pomyślę sobie, że wtedy niedługo później przyszedł sukces w postaci awansu, to jestem dobrej myśli.

***

55. minuta półfinałowego meczu Igrzysk Olimpijskich w Barcelonie. Sędzia pokazał mi żółtą kartkę. Cóż, miałem w tamtej chwili świadomość, że w finale nie wyjdę na boisko. Przez pierwsze 3 minuty od tej kartki mentalnie nie było mnie na boisku. Myślami byłem zupełnie gdzie indziej. Czułem, że wygramy ten półfinałowy mecz, bo już wtedy prowadziliśmy z Australią 3:1. Głowa uciekała gdzieś w kierunku tego, że straciłem wielką szansę, która już nigdy się nie powtórzy. Tak jak powiedziałem, trwało to może ze 3 minuty. Potem jednak włączyłem ten „motorek", który wcześniej chciałem zachować na finał. To był już piąty mecz w upałach, ale wiedziałem, że to moje ostatnie chwile na igrzyskach. Dlatego przestałem kalkulować i zacząłem szaleć na boisku, wyprułem się do samego końca. Atakowałem prawą stroną, by za chwilę „pressować" i bronić na lewej.

– Misiu, spokojnie! – krzyczał w moją stronę z ławki trener Janusz Wójcik. – Żebyś mi drugiej żółtej nie dostał!

Pamiętam jeszcze, że to właśnie z mojego podania Andrzej Juskowiak strzelił gola, który zapewnił mu tytuł króla strzelców.

***

Na finał, do wspólnego komentowania w studiu Telewizji Polskiej, zaprosił mnie Darek Szpakowski. Odmówiłem mu, zupełnie nie widziałem takiej możliwości. Od początku byłem normalnie z drużyną. Wziąłem udział w rozgrzewce w parze z Tomkiem Łapińskim. Nie było tak rygorystycznego podejścia do regulaminów jak dzisiaj, dlatego cały mecz mogłem oglądać z perspektywy ławki rezerwowych. Poproszono mnie jedynie, żebym ubrał bluzę i odróżniał się od reszty zawodników. Skoro byłem wyłączony z gry, to wziąłem kamerę i nagrywałem. Minęło 26 lat, ale jeszcze tego nie oglądałem. A jest tam parę smaczków. Na pewno to, jak po meczu wrzuciliśmy trenera Wójcika do basenu, czy obrazki z przerwy meczu finałowego, z ceremonii medalowej. Może kiedyś przekażę to do jakiegoś muzeum sportu.

***

Na olimpiadzie dla piłkarza, czy innego uczestnika sportów zespołowych, najgorsze jest 2. i 4. miejsce. Dostajesz wtedy medal za coś, co przegrałeś.

Uważam, że od wicemistrzostwa lepsze jest nawet 3. miejsce, bo jest efektem zwycięskiego meczu. Podczas ceremonii wszyscy staliśmy niesamowicie wkurwieni. Żałowaliśmy, że straciliśmy złoto w takich okolicznościach. Po meczu zamknęliśmy się w szatni, długo nie chcieliśmy jej opuścić. W pewnym momencie ktoś zaczął walić pięścią w drzwi.

– Musicie wyjść! – ponaglali nas organizatorzy. – Król Hiszpanii czeka, by wręczyć wam medale.

Ze względu na połączenie samolotowe byliśmy w Hiszpanii jeszcze trzy dni po meczu finałowym. Wtedy powoli zaczęło do nas docierać, że osiągnęliśmy sukces sportowy. Trochę poświętowaliśmy, ale nie wiedzieliśmy, co w tym czasie działo się w Polsce. Nie mieliśmy pojęcia, jak odbierają nas w kraju. Dowiedzieliśmy się, gdy wylądowaliśmy na Okęciu.

***

Po powrocie z Włoch[2] nie byłem w dobrej formie. Chciałem się jednak odbudować. Wróciłem do Pogoni, zacząłem trenować. Po siedmiu meczach przyszedł do mnie trener Janusz Pekowski i zabronił mi ćwiczyć z I drużyną. Ot tak, po prostu. Zrobił mnie kozłem ofiarnym słabszych wyników. Fatalnie się z tym czułem, bo nosiłem Pogoń w sercu, a od składu odstawił mnie gość, który na co dzień mieszkał w Szwecji i losy Pogoni miał w dupie. Choć muszę przyznać, że ówczesny szef klubu Andrzej Rynkiewicz też nie pomógł wówczas w tej sytuacji. Wyobraź sobie, że przychodzisz na trening, a kierownik obiektu zamyka przed tobą bramy stadionu na kłódkę. A tak właśnie było.

***

Zdobyłem srebro olimpijskie, ale z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że dużym wyzwaniem był dla mnie powrót do Pogoni, a w zasadzie Pogoni Nowej. Byłem kapitanem tej drużyny i podjęliśmy walkę z Antonim Ptakiem. Była to trochę walka maluczkiego z systemem. Nikt z nas nie wiedział wtedy, czy to się uda. Nigdy wcześniej nie byłem tak blisko kibiców. Za Ptakiem i jego, mówię to teraz specjalnie, z przymrużeniem oka, Piotrcovią, stali prawnicy i jego pieniądze. Wydawało się, że mógłby zrobić wszystko. Przegrał

2 Adamczuk był zawodnikiem Udinese Calcio.

jednak tym, że nie stali za nim ludzie. Widziałem w tym wszystkim swoją misję. Generalnie jestem optymistą i wierzyłem, że się uda.

Gra w B-klasowej Pogoni była dla mnie honorem. Naprawdę. Ja wtedy w ogóle nie patrzyłem na to w ten sposób, że to jest najniższa liga. Czułem wsparcie kibiców, dla mnie to była Pogoń. Moja Pogoń, w której się wychowałem.

Co tydzień mieliśmy posiedzenia kierownictwa klubu. Byli kibice, byłem ja, Grzesiu Matlak, Grzesiu Kozak czy Rafał Chlasta. Oni co chwilę wpadali na różne pomysły, co zrobić, żeby zainteresować Pogonią Nową jak najwięcej ludzi, żeby ciekawie opakować mecze. Nie pamiętam już kto wpadł na pomysł zapraszania byłych piłkarzy, ale to był strzał w dziesiątkę. Ewenement jeśli nie na europejską, to na pewno na polską skalę. Świetny pomysł na integrację środowisk. Oczywiście formalnie dużo łatwiej było nam to zrobić, niż w wyższych ligach.

Z B-klasy pamiętam jeden mecz szczególnie. Po błędzie bramkarza przegrywaliśmy 0:1. W tej lidze nam się to nie zdarzało, bo gromiliśmy rywali kilkunastoma golami. Na trybunach ponad półtora tysiąca ludzi, pełne trybuny bocznego boiska przy Twardowskiego. Atmosfera świetna. Udało mi się wyrównać, a był to dzień moich urodzin. Dopełniło to o tyle ciekawą historię, że swoje pierwsze bramki dla Pogoni zawsze strzelałem właśnie w urodziny. W seniorskiej Pogoni premierowe trafienie miało miejsce również w ten szczególny dzień.

***

Pogoń jest dla mnie wszystkim. Poza rodziną jest drugim domem. Mam klub w sercu od 4-5 roku życia. Jeśli wcześniej nikt mnie stąd nie wyrzuci, to być może umrę na tym stadionie. A na pewno umrę za Pogoń. O sobie myślę, że dopiero w drugiej kolejności jestem działaczem, a w pierwszej kibicem. Na żywo widziałem wszystkie trzy finały Pucharu Polski z udziałem Pogoni. Na pierwsze dwa zabrał mnie ojciec, a trzeci oglądałem jako pracownik klubu. Spełniam tu swoją misję.

Oczywiście chciałem, żeby moi synowie grali w piłkę, ale jako ojciec nigdy im tego nie narzucałem. Starszemu, Damianowi, to się nie udało i poszedł

na studia. W rezerwach gra teraz młodszy Patryk i zobaczymy, może jemu się powiedzie. Z jednej strony nie chciałbym, aby grał w Pogoni, bo to dla mnie zbyt duże nerwy. A z drugiej wiadomo – byłoby to dla mnie coś pięknego. Patryka trochę wyhamowały kontuzje, ale uważam, że piłkarska przyszłość wciąż jest przed nim.

ROZDZIAŁ 3

Nie zasłużyłem na tak piękne pożegnanie

Edi Carlo Dias Marcal – „Andradina"
149 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1974 roku w Andradinie, w stanie Sao Paolo.
W Pogoni jako piłkarz, z przerwami, od 2005 do 2013 roku.
Do niedawna najskuteczniejszy zagraniczny zawodnik w historii polskiej ekstraklasy. Z klubem wywalczył awans do ekstraklasy (2012). Jego nr 5 jest zastrzeżony. Po zakończeniu kariery piłkarskiej pracował w Pogoni jako skaut oraz asystent trenera.

Z Pogoni odchodziłem po raz pierwszy po sezonie 2006/07, gdy drużyna spadała z ekstraklasy. Siedziałem wtedy w Szczecinie, patrzyłem na powstający od IV ligi klub i naprawdę zastanawiałem się, czy mógłbym pomóc. Miałem cztery konkretne propozycje z ekstraklasy, nie tylko z Korony Kielce, do której trafiłem. Pogoń zaczynała od zera i nie było wiadomo, co dalej. Nie skontaktował się ze mną jednak nikt z ówczesnych działaczy. Myślę, że mogli się wystraszyć na przykład moich oczekiwań finansowych i nawet nie spróbowali.

Cały czas byłem w kontakcie z „Mizaki"[3], moim kochanym „Mizaki", który jest dla mnie bardzo ważną osobą i dużo mi pomógł. Co tydzień albo dwa dzwoniłem i rozmawiałem z nim o wynikach Pogoni w IV lidze. Śledziłem losy drużyny. Zanim wróciłem do Pogoni w 2011 roku, kilka razy rozmawialiśmy, że może przyszedłbym „już teraz". W klubie wtedy jeszcze chyba nie wierzono, że byłoby to możliwe.

Któregoś dnia zadzwonił do mnie Darek Adamczuk. To był 2011 rok,

3 Były kierownik drużyny Ryszard Mizak.

a ja rozmawiałem z Koroną o przedłużeniu kontraktu.

– Chcemy awansować – powiedział Darek. – Czy jest taka możliwość, żebyśmy mogli mieć cię u siebie?

Zamurowało mnie. Serce zabiło mi mocniej, zrobiło mi się zimno. Nie chodzi tylko o mój stosunek do Pogoni, ale również o to, że miałem osobistą potrzebę wyrównania pewnych rachunków. Nigdy wcześniej w karierze nie spadłem z żadnym zespołem z ligi. Chciałem wyczyścić ten brud z mojego życia. Wróciłem tu z celem, by awansować do ekstraklasy.

– Twoje życie piłkarskie było takie, jakie chciałeś – powiedziałem sobie dopiero po tym, gdy faktycznie ponownie znaleźliśmy się w ekstraklasie.

***

Punktualność wyniosłem z domu. Mój tato był kierowcą autokaru. Pracował w bardzo wymagającej firmie, której właściciele byli Niemcami. Nie było mowy o spóźnieniach. Od małego widziałem, że tato przykłada do tego olbrzymią wagę.

W Brazylii do niedawna punktualność nie była tak istotna. W ostatnich latach to wszystko się zmieniło. Świat idzie do przodu, organizacja i dyscyplina stały się najważniejsze. Sporo rozmawiam z moją rodziną i dziś tego luzu jest mniej. Pod względem punktualności ludzie znacznie upodobnili się do Europejczyków. W innych regionach, jak Bahia czy Rio de Janeiro, być może wciąż ludzie nie przykładają aż tak dużej wagi do czasu. Ale w stanie Sao Paulo to wszystko jest mocno zbliżone do zwyczajów, które mamy w Europie.

***

Miałem 31 lat, gdy po raz pierwszy usłyszałem o zainteresowaniu z Polski. Przyznaję się, że wcześniej o tym kraju wiedziałem bardzo mało. Tak naprawdę, to miałem jedynie wiedzę o tym, że papież Jan Paweł II jest stąd.

W tym czasie nie miałem już planów, by grać zagranicą. Po wojażach w Japonii i Rosji czułem się pod tym względem spełniony. Propozycja zaciekawiła mnie jednak dlatego, że Antoni Ptak chciał mnie w Pogoni naprawdę mocno. W trakcie rozmów zgadzał się na wszystko, o co poprosiłem.

– Skoro właściciel klubu daje tyle od siebie, to powinienem tam pojechać – pomyślałem wtedy.

Oczywiście nie byłem pewny tego, co mogę zastać w Polsce i w Szczecinie. Dlatego też zostawiłem sobie furtkę. Umowę miałem skonstruowaną w ten sposób, że po pół roku mogłem ją jednostronnie rozwiązać. Decyzja należała tylko do mnie. Na to pan Ptak też przystał.

Wcześniej specjalnie przedstawiłem bardzo wysokie wymagania. Jak już powiedziałem, nie paliłem się do kolejnego zagranicznego wyjazdu. Myślałem, że moja oferta nie zostanie zaakceptowana, tym bardziej, że ta, którą po raz pierwszy otrzymałem z Pogoni, w ogóle nie była ciekawa. Odpowiedziałem na nią propozycją siedmio- albo ośmiokrotnie wyższą, po prostu zaporową. Dodałem też, że nie ma żadnego pola do negocjacji. I kiedy spodziewałem się, że ta oferta zostanie odrzucona, on ją… zaakceptował. Nie miałem już pola do ucieczki. Podpisałem dwuletni kontrakt z zastrzeżeniem, że po sześciu miesiącach będę mógł zdecydować o swojej przyszłości.

***

Początki były trudne, bo z Brazylii przyleciałem z lekką kontuzją. Po pierwszym meczu z Legią Warszawa ten uraz się pogłębił. Przez blisko dwa miesiące nie mogłem grać i trenować. Nie rozumiałem wtedy języka, ale od znajomych wiedziałem, że kibice zaczynali już na to narzekać.

– Po co nam tacy Brazylijczycy – skarżyli się. – Przyjedzie taki i nawet nie gra.

Wszystko zmieniło się po… 5 minutach na boisku w Szczecinie. Dochodziłem do siebie i w meczu z Polonią Warszawa miałem zagrać ostatni kwadrans. Uraz złapał jednak Artur Bugaj i musiałem pojawić się na murawie wcześniej. Chwilę po wejściu, gdy po raz pierwszy miałem piłkę przy nodze, wykonałem piękne zagranie. Z trybun usłyszałem brawa i kibiców miałem już za sobą. Naprawdę, potrzebowałem tylko pięciu minut, by znaleźć z fanami wspólny język.

***

W Polsce nie miałem żadnych problemów z aklimatyzacją. Wcześniej, w Japonii i Rosji, było tak, że kontakt z innymi piłkarzami łapałem dopiero po roku. W Pogoni przebiegło to znacznie szybciej.

– Szto ty dielajesz, brat?[4] – zagadał mnie po rosyjsku trzeciego dnia po treningu Artur Bugaj. – Idziemy na piwo!

Po grze w Arsienale Tuła dobrze pamiętałem język rosyjski i nie miałem problemów z komunikacją. W drużynie było kilku zawodników, którzy mnie rozumieli. Jednym z nich był właśnie Artur. Dla mnie to było miłe, bo byłem w kraju, o którym nic nie wiedziałem. Koledzy z drużyny momentalnie wciągnęli mnie w zespół, miałem zjeść z kim obiad i wypić kawę. Szybko zakochałem się w Szczecinie, bo ludzie tutaj są dla mnie bardzo otwarci.

***

Skoszarowanie drużyny w Gutowie w ogóle nie miało sensu. Z drugiej strony rozumiem Antoniego Ptaka, który chciał mieć kontrolę nad zespołem. Gdy masz w jednym miejscu tylu młodych Brazylijczyków, to nie może skończyć się dobrze (śmiech)! Byli w innym kraju, każdy miał swoje potrzeby. Mieli prawo zwariować. Każdy z nich był młody, chciał pobyć z kobietą, pójść gdzieś trochę poimprezować. To przecież normalne. Do pewnego momentu wszystko było „okej", ale po dwóch, trzech miesiącach przestało być fajnie. To było nie do wytrzymania.

Nie powiem, jak większość, że tam byli sami słabi piłkarze. Oni byli wyselekcjonowani, wybrano naprawdę najlepszą grupę. Pierwszy raz byli jednak za granicą, w profesjonalnym klubie i do tego w kraju, gdzie gra się trochę inaczej. Nawet nie mieli czasu na to, by się uczyć, bo po pół roku przyjeżdżał kolejny zastęp. Zostawałem tylko ja i kilku zawodników.

Myślę, że gdyby pan Ptak miał więcej cierpliwości i dał tej pierwszej drużynie dwa lata, to na pewno byłby z niej pożytek. Po roku zaczęlibyśmy grać lepiej. Oczywiście przy tym musielibyśmy funkcjonować normalnie – mieć swoje domy, rodziny. To jest podstawa.

***

W Gutowie o godzinie 22 odłączano nam internet. Chodziło o to, by piłkarze nie spędzali pół nocy na rozmowach z rodziną. Przez różnicę czasową to była właśnie najlepsza pora. Modem był zamknięty w małym pokoiku,

4 Po rosyjsku - „Co robisz, bracie?"

w którym do godziny 22 siedziała pani zajmująca się obiektem. Kończyła pracę, wyciągała kabelek od modemu, zamykała pokój i wychodziła.

Któregoś razu chłopaki wykorzystali moment, że ta pani pilnowała czegoś w innym miejscu. Zabrali klucz, a następnie przykleili go do papieru i z drugiej strony malowali po kartce tak mocno, by zrobił się na niej odcisk klucza. Nie wiem jak oni to zrobili, może mieli tam jakiegoś byłego bandytę, ale później sami dorobili klucz!

Każdego następnego dnia, gdy pani kończyła swoją pracę, jeden z nich szedł do tego pokoiku, otwierał go własnym kluczem, a następnie wpinał kabelek do modemu. Później przez to też mniej spali, bo przez całą noc kontaktowali się z rodzinami.

Podorabiali też klucze do innych pomieszczeń. Godzina 22, a oni otwierali sobie kuchnię, brali mięso i rozpalali grilla.

***

Wiem, że po powrocie w 2011 roku koledzy z szatni bardzo mnie szanowali. Nie tylko przez to, co pokazywałem na boisku, ale doceniali mnie również jako osobę. Oni widzieli, jak dużą pracę musiałem wykonać, by móc dobrze prezentować się na boisku.

– Nie musisz biegać, dużo myślisz na boisku i nie musisz walczyć – śmiali się często moi znajomi.

Nie było to prawdą. Każdy, kto grał ze mną na boisku, dobrze wie, ile kosztowało to nas wszystkich zdrowia. Tym bardziej, że często trzeba było wrócić i pomóc innemu koledze.

– To mój brat – myślałem wtedy na boisku i chciałem zachować się najlepiej, jak potrafię.

Na poziomie ekstraklasy nie da się grać bez ostrej pracy, przygotowania, bez mocy. Wiem, że większość ludzi myśli o mnie tak, że umiejętności załatwiają sprawę. Nie chcę przez to powiedzieć, że ich nie mam, bo jestem ich świadomy, ale bez pracy efektów by nie było.

***

Koniec mojej kariery przyśpieszyły dalekie wyjazdy na mecze. Jechaliśmy do Podbeskidzia Bielsko-Biała. Wyjechaliśmy ze Szczecina rano i po przyjeź-

dzie mieliśmy mieć rozruch. Nie byłem w stanie się ruszać. Na drugi dzień, po tym jak się wyspałem, było już lepiej. Miałem też swój rytuał przygotowań do meczu związany na przykład z rozciąganiem. Najgorsze, że po tym meczu w Bielsku trzeba było jeszcze wrócić do Szczecina i to były dla mnie prawdziwe cierpienia.

Mecze i treningi nie były dla mnie problemem. Czułem się zdrowy na tyle, miałem siłę fizyczną, by jeszcze rok albo dwa pograć na dobrym poziomie. Wykończyły mnie jednak dalekie podróże autokarem. Przez to straciłem ochotę do gry.

***

Uważam, że nie zasłużyłem na tak piękne pożegnanie, jakie przygotował mi w 2013 roku klub. Konferencja prasowa, zastrzeżony numer, zaproszenie mojej mamy do Szczecina, wyprowadzenie zespołu i transparent od kibiców – to wszystko, to było coś cudownego! Do końca życia to zapamiętam.

Myślę, że to mocno załagodziło cierpienie, które wiązało się z decyzją o zakończeniu kariery. Wiesz, że powinieneś już to zrobić, ale i tak ta decyzja cię przerasta. To jest trudne do opisania. To jest prawdziwa żałoba, porównałbym to do żalu, który towarzyszył mi po śmierci taty.

***

W Brazylii potrafię wskazać jednego piłkarza spoza kraju, którego bardzo doceniam. Polak, nieżyjący już Krzysztof Nowak. Grał u nas w Atlético Paranaense, a później dopadła go straszliwa choroba[5]. Taką samą miał mój brat i też już nie żyje.

Nowak robił na mnie wrażenie. Większe niż Serbowie, Urugwajczycy czy Paragwajczycy przewijający się przez naszą ligę. On zostawił po sobie coś w Brazylii. Według mnie pokazywał coś, co cechuje wyłącznie Polaków – umiał połączyć charakter, walkę i umiejętności. Brazylijczycy albo mają wspaniałe możliwości, albo walczą. A Polacy potrafią użyć jednego i drugiego naraz.

5 Nowak cierpiał na chorobę układu nerwowego ALS, zmarł jako piłkarz Vfl Wolfsburg w maju 2005 roku. Miał 30 lat.

***

Gdy zaczynałem pracować w klubie jako skaut, to ten dział nie był do końca profesjonalny. Można powiedzieć, że dopiero kształtował się. Nie mieliśmy pieniędzy na działania, to był początek tej drogi. Zaczynałem od tworzenia bazy piłkarzy, którzy potencjalnie mogliby do nas trafić. Chodziło o wolnych zawodników, bo klubu nie było stać na transfery gotówkowe. Oglądaliśmy wiele meczów i kilka ciekawych nazwisk udało się wtedy wyłapać. Wtedy mogli trafić do nas za darmo, a dziś grają w ekstraklasie. Przykładem może być Jarosław Niezgoda, którego kilka lat temu rekomendowałem. Wtedy jednak wiele osób uśmiechało się, nie doceniali jego potencjału. Dziś widzimy, gdzie jest ten piłkarz. Uważam jednak, że taka forma pracy nie była tym, co kocham. Moje miejsce jest na boisku.

***

W 2018 roku zrezygnowałem z pracy w klubie. Moim marzeniem jest to, by kiedyś wrócić tu jako trener, którego zadaniem jest otoczenie opieką młodego piłkarza tuż przed jego awansem do I zespołu. Specjalizuję się w tym kierunku. Chodzi o odpowiednie przygotowanie go również w kwestiach mentalnych i technicznych. Bo w kwestiach fizycznych Pogoń jest pod tym kątem mocna. Chciałbym móc zrobić wszystko, by nie stracić takiego zawodnika na ostatniej prostej. Życie pokaże, czy to kiedyś się uda.

***

Pogoń to dla mnie drugi dom. Jestem tutaj u siebie. Znam każdego w tym klubie. Od pań, które przygotowują sprzęt, przez dbających o murawę pracowników, ludzi w biurach, po zarząd. Z każdym chcę zamienić słowo, pogadać, pośmiać się. Z każdym mogę się wycałować, przytulić i życzyć dobrego dnia. To jest dla mnie naturalne, przez tyle lat widzimy się codziennie. To nie są słowa rzucane na wiatr, to jest mój dom.

ROZDZIAŁ 4

Nazwisko nazwiskiem, ale Pogoń jest najważniejsza

Bogusław Baniak
Urodził się w 1958 roku. Pochodzi z Pyrzyc. Trener Pogoni w latach 1997-99, 2003-04, 2007. Prowadził drużynę, która w 2004 wywalczyła awans do ekstraklasy.

Moi rodzice są krakusami, ale po wojnie były różnego rodzaju przesiedlenia na tzw. ziemie odzyskane. W związku z tym ja urodziłem się w Pyrzycach, gdzie zaczynałem trampkarską przygodę w miejscowym Sokole. Tata był wielkim fanem Cracovii, ale kiedy byłem mały… zaszczepił we mnie miłość do Pogoni.

Na mecze do Szczecina jeździliśmy razem niebieskim jelczem. Bardzo miło wspominam historyczne spotkania drużyny prowadzonej przez legendarnego Zygmunta Czyżewskiego. Najpierw marzyłem, żeby znaleźć się tam, gdzie ci chłopcy, którzy podają piłki. Wracając z meczu do Pyrzyc częściej opowiadałem tacie o tym, jak bardzo chciałbym być właśnie wśród tych chłopaków, niż o samym meczu.

***

Kiedy przeprowadziliśmy się do Szczecina, wreszcie udało mi się spełnić to marzenie. Wtedy trafiłem do Pogoni, w której pokonałem niemalże wszystkie szczeble rozwoju młodego piłkarza.

Trenowałem w rezerwach pod okiem Eugeniusza Różańskiego. To był okres, w którym bardzo trudno było przebić się do pierwszej drużyny. Mój rocznik 1958 był bardzo mocny. Warto wspomnieć o takich nazwiskach jak Marek Włoch czy Krzysiu Urbanowicz. W pewnym momencie zostałem wy-

pożyczony do Energetyka Gryfino i tam zdawałem maturę. Później powróciłem do drugiego zespołu Pogoni prowadzonego przez Eugeniusza Ksola. Wtedy miałem okazję poznać takie legendy jak Marian Kielec czy Henryk Wawrowski.

***

Jeszcze w trakcie mojej piłkarskiej przygody w Pogoni obrałem kolejny cel. Chciałem zostać zawodowym trenerem. Oczywiście dalej marzyłem o pracy przy Twardowskiego. Może nie liczyłem, że zostanę kiedyś pierwszym szkoleniowcem, ale widziałem siebie w sztabie, czy jako osobę odpowiedzialną za zespół rezerw.

W międzyczasie miałem też przygodę w Katherini, gdzie razem ze Zbyszkiem Długoszem zostaliśmy skierowani przez trenera Jerzego Kopę. „Długi" miał tam rodzinę i bardziej się skupił na pracy. Ja natomiast podjąłem się gry, choć to była amatorska drużyna.

Po kontuzji i powrocie z Grecji pan Florian Krygier zaproponował mi objęcie rocznika juniorów 1973. Później z tej grupy karierę zrobił Grzesiu Matlak. Rocznik był podzielony na dwa zespoły – „A" i „B". Ten drugi prowadził Włodek Obst, z którym rywalizowaliśmy o jak najlepsze wyniki.

Właśnie tak zacząłem przygodę trenerską, w której także pokonywałem wszystkie szczeble aż do zespołu rezerw.

***

To właśnie Włodek wywarł na mnie duży wpływ. Nauczył mnie ogłady, był prawdziwym pedagogiem. Czasami bywało tak, że kłóciliśmy się ze sobą. Wtedy zawsze jednoczył nas nieodżałowany Florian Krygier.

***

W 1997 roku spełniłem swoje kolejne marzenie i objąłem pierwszą drużynę Pogoni. Była to dość niespodziewana propozycja, ponieważ Piotrek Mandrysz, któremu najpierw zaproponowano tę funkcję, nie otrzymał pozwolenia od PZPN.

Starszyzna klubowa, czyli Florian Krygier i Roman Wilczek, uparła się, że

zespół ma poprowadzić osoba ze Szczecina, która szkoliła się tutaj. Spotkałem się z nimi w domu prezesa Wilczka. Pan Florian nie mógł zrozumieć, dlaczego wcześniej poszedłem do Amiki Wronki, którą prowadziłem przez pół roku. Uważał, że byłem gotowy do objęcia drużyny w Szczecinie. Oczywiście szybko przyjąłem tę propozycję.

***

Był to też czas, kiedy do życia codziennego wchodziły telefony komórkowe, a ja w zespole miałem dwóch kpiarzy – Andrzeja Rycaka i „Ola" Moskalewicza. Zadzwonili kiedyś do mnie przed jednym z meczów ligowych i podawali się za dziennikarzy. Oczywiście ich rozpoznałem, ale normalnie udzieliłem im wywiadu. Chłopcy myśleli więc, że mnie nabrali.

***

Pewnego razu zdarzyło nam się zostawić zawodnika na stacji benzynowej. Leszek Pokorski, który był kierownikiem drużyny, jak zawsze policzył piłkarzy. Wszystko mu się zgadzało, więc ruszyliśmy w trasę. Przejechaliśmy kawał drogi, aż jeden z chłopaków zauważył, że nie ma z nami Levana Mikadzego! Nie było zmiłuj, musieliśmy po niego wracać.

Gdy podjechaliśmy na stację… on siedział sam w dresach Pogoni. Okazało się, że tuż przed naszym odjazdem poszedł do toalety i nikomu o tym nie powiedział.

***

Z zabawniejszych momentów przypomina mi się też jeden z letnich obozów za czasów prezesa Waldemara Folbrychta. Zabrałem ze sobą rower. Podzieliłem zawodników na grupy i w odpowiednich odstępach wypuszczałem ich do biegu, a moi asystenci mierzyli czas.

– Powinniście mieć najlepszy wynik, bo jesteście w grupie „wydolnościowców"! – zacząłem nakręcać chłopaków z ostatniej grupy. Poszliśmy jeszcze na układ, że daję im trzy minuty przewagi, a później gonię ich na rowerze i jeśli nie uda mi się ich prześcignąć, to resztę dnia będą mieć wolną. Trasa była na tyle długa, że byłem przekonany, że ich dogonię.

Minęły trzy minuty, wsiadam na rower i patrzę, a… oni wykręcili mi wen-

tylki, więc musiałem pójść na piechotę! Stali i patrzyli jaka będzie moja reakcja, ale wszystko obróciłem w śmiech.

***

Byliśmy z drużyną na obozie przygotowawczym w Malezji i w hotelu poszliśmy z prezesem na masaż. Waldek znał angielski, a ja dopiero się uczyłem. Dowiedział się, że na czwartym piętrze można pójść i się zrelaksować. Na miejscu okazało się, że trafiliśmy nie tam, gdzie chcieliśmy, bo to był… dom publiczny! Wpadli wtedy żołnierze i nawet na moment nas zaaresztowali.

***

Osiągaliśmy niezłe wyniki jak na najbiedniejszy klub w lidze. Kibice skandowali moje nazwisko, a żona z dziećmi oglądała mecze z trybun. Był to jeden z najpiękniejszych okresów w moim życiu. Moi synowie bardzo zżyli się z Pogonią i po przegranych meczach wybuchało wiele konfliktów rodzinnych.

Po jednym ze spotkań była jakaś burda wywołana przez kibiców i zostałem wezwany na komisariat Nad Odrą.

– Rozpoznaje pan kogoś na zdjęciach? – zapytano mnie.

– Panie, ale to są trybuny, co ja mogę wiedzieć… – odpowiedziałem.

– No bo oni krzyczeli „Baniak wypierdalaj!" – usłyszałem od policjanta. – A poznaje pan bluzę bębniarza? Są na niej pana inicjały.

– Nie – skłamałem. W rzeczywistości ta bluza była moja, a tym, który wybijał rytm do tego „Baniak wypierdalaj", był mój syn.

Wróciłem do domu.

– Nazwisko nazwiskiem, ale Pogoń jest najważniejsza – usłyszałem od syna.

***

Z czasów trenerskich najlepiej wspominam biedną Pogoń za Waldemara Folbrychta – wtedy było fajnie. Z kolei najgorzej brazylijską Pogoń za Antoniego Ptaka. Niby bogatą, ale nie naszą. Tamte wydarzenia zrobiły pośmiewisko z naszych kibiców i ja w tym uczestniczyłem.

Choć nie był to fajny epizod, to wówczas udało się nam wypromować chociażby Kamila Grosickiego czy Piotra Celebana, którzy wybili się z tamtej Pogoni i zrobili kariery.

ROZDZIAŁ 5

Połóż się i udawaj, że cię boli, a my znajdziemy szkło

Zdzisław Baśkiewicz
Urodził się w 1943 roku. Pochodzi z Ostrowca Świętokrzyskiego. Klubowy lekarz w latach 1982-94. Z bliska obserwował największe sukcesy klubu: finał Pucharu Polski (1982), trzecie miejsce w lidze (1984) i wicemistrzostwo (1987). Przez lata pracował równocześnie w szczecińskich szpitalach.

W 1981 roku byłem zastępcą komendanta Szpitala Wojskowego przy ul. Piotra Skargi. Pracowałem też w jednostce wojskowej, która była zarazem jednostką budowlaną. Wojskowi stamtąd często zajmowali się remontami na obiektach Pogoni. Wtedy kolegą dowódcy tejże jednostki był dyrektor organizacyjny klubu. W tym samym roku Pogoń wygrała zimowy turniej halowy w NRD i w styczniu 1982 piłkarze szykowali się na kolejną edycję rozgrywek. Mieli bronić zdobytego wcześniej tytułu. Wspomniane turnieje odbywały się w różnych miastach, m.in. w Magdeburgu i Lipsku.

Wcześniej nadszedł sławny grudzień i wybuchł stan wojenny. To oznaczało, że drużyna nie może się udać na zachód. Klub zaczął więc szukać kontaktów w wojsku, by móc jednak wyruszyć na te zawody i wtedy wspomniany dyrektor zgłosił się do mnie z prośbą o pomoc. Udało mi się załatwić zgodę, a następnie zaproponowano mi pracę w klubie. Tak się zaczęła moja przygoda z Pogonią, która była dla mnie odskocznią od codziennej pracy.

***

W pierwszych latach mojej pracy w Pogoni, nikt nie chciał mnie puścić na zagraniczny wyjazd z klubem. W 1986 roku drużyna leciała do Algierii na zaproszenie Stefana Żywotki. Wtedy w Polsce nastąpiła odwilż i napisałem prośbę o pozwolenie na wyjazd. To był kraj, do którego generałowie jeździli na wczasy, a ja po raz kolejny usłyszałem, że nie można mnie puścić. Powiedziano mi, że istnieje możliwość mojej ucieczki z Algieru do Oranu i stamtąd promem do Francji. Uznawano mnie za niepoprawnego politycznie.

Pozwolenie dostałem po tym, jak mój kolega, który był prokuratorem, poręczył za mnie. On także bał się, że mogę nie wrócić.

To był mój pierwszy dalszy wyjazd, pełna egzotyka. Na miejscu już pierwszego dnia się rozchorowałem. Razem ze Zbyszkiem Zieleniewiczem, który był w Zarządzie Klubu, poszliśmy w nocy na plażę, żeby się wykąpać. Woda była zimna i skończyło się zapaleniem krtani. Później jednak wygrzało mnie porządnie na pustyni i szybko wydobrzałem.

Ktoś polecił nam, by zabrać ze sobą stare garnitury, które później sprzedaliśmy na miejscu. Pamiętam, że zbliżały się wtedy Święta Bożego Narodzenia i przed samym powrotem do Polski udaliśmy się na targ owocowy. Każdy z nas nabrał różnego rodzaju smakołyków. Wracałem do kraju z 20 kilogramami pomarańczy i mandarynek spakowanych w reklamówki, które zostały mi po wspomnianych garniturach! Cytrusy były wtedy w Polsce rarytasem.

Nikt nas nie kontrolował, bo na lotnisko wchodziliśmy bocznym wejściem. W samolocie siedział obok mnie marynarz, który podczas rozmowy powiedział, że udaje się do Ostrowca Świętokrzyskiego. Okazało się, że mieszkał obok mojej siostry, w sąsiednim bloku, więc podarowałem mu część owoców i poprosiłem, by także i jej zawiózł prezent ode mnie. W ten sposób udało się zrobić rodzinie świąteczną niespodziankę.

***

Z wyjazdów miło wspominam też Koreę w 1993 roku. Wtedy wyszła taka sytuacja, że miał tam lecieć Manchester United, który ostatecznie nie wybrał się ze względów organizacyjnych. Wskazano na Polskę, a Pogoń po kilku ro-

zegranych kolejkach była na pierwszym miejscu w tabeli, więc wybrano nas na sparingpartnera.

Już wtedy Koreańczycy testowali europejskie drużyny oraz nowe stadiony, na których rozgrywano później mecze Mistrzostw Świata w 2002 roku. Tam na miejscu było jednak bardzo biednie.

***

W Szczecinie mieliśmy swoją ekipę do gry w karty. Jak tylko była okazja, to grywaliśmy z Leszkiem Jezierskim i Pawłem Waniorkiem, który był kapitanem koszykarskiej Pogoni. Czasami grał z nami też Andrzej Rynkiewicz, ale kiedy przegrywał, to szybko się obrażał. Z Leszkiem szczególnie dużo graliśmy w autokarze, podczas podróży na mecze wyjazdowe i oczywiście w hotelach.

***

Podczas jednego ze spotkań w ataku występował Dariusz Krupa, któremu po zderzeniu z rywalem wypadło szkło kontaktowe. Nikt wtedy nie wiedział, że ma on coś takiego, a wówczas takie szkła to był majątek! Darek zaczął wykonywać dziwne, nerwowe ruchy. Trenerem był wtedy chyba Eugeniusz Ksol.

– Leć do niego, dowiedz się, co mu jest! – krzyknął przerażony szkoleniowiec.

Kiedy powiedział mi, o co chodzi, musiałem coś wymyślić.

– Połóż się na ziemi i udawaj, że coś cię boli – powiedziałem po cichu.

Po chwili zawołałem kolegę z drużyny, żeby pomógł mi szukać zguby. Ostatecznie znaleźliśmy to szkło i Darek mógł kontynuować mecz. To była chyba najdziwniejsza kontuzja, z jaką miałem do czynienia.

***

Zdarzały się też oczywiście sytuacje, że piłkarze przychodzili do mnie, bym stwierdził uraz, choć byli całkowicie zdrowi.

Zarówno drużyna, jak i dyrektorzy byli też zadowoleni, bo mieli do dyspozycji szpital. Cokolwiek by się nie działo, czy jakieś kłopoty zdrowotne, czy gdy rodziły się dzieci, to nie „szwędali" się po przychodniach w oczekiwaniu na pomoc, tylko przychodzili do Baśkiewicza i mieli opiekę na miejscu.

***

Moja przygoda zakończyła się w 1994 roku, kiedy zostałem komendantem szpitala. Tuż przed odejściem trener Szukiełowicz namówił mnie, żebym pojechał jeszcze z drużyną do Szwecji. Wybraliśmy się przez Malmö aż do Norrköping. Dwa lata wcześniej odbywały się tam Mistrzostwa Europy i w związku z tym podostawaliśmy pamiątki z tej imprezy, m.in. zegarki z logo ME. To był mój pożegnalny wyjazd z Pogonią.

ROZDZIAŁ 6

„Bekus", co w jednym sezonie grał w trzech klubach

Adam Benesz
174 oficjalne mecze w Pogoni.
Urodził się w 1959 roku. Pochodzi z Dębicy. W klubie występował, z roczną przerwą, w latach 1986-1995. Wicemistrz Polski (1987). Po zakończeniu kariery pracował – również w Pogoni – jako trener młodzieży.

Do Pogoni trafiłem tak naprawdę z drugiego końca Polski. Jako młody chłopak byłem wyróżniającym się zawodnikiem w swojej szkole i kiedy miałem 10 lat, to jeden z przedstawicieli Wisłoki Dębica zaprosił mnie na treningi do klubu.

W pierwszej drużynie zadebiutowałem już w wieku 17 lat. Myślę, że wpływ na to mogła mieć moja wydolność zakodowana w genach po ojcu. Nie miałem problemu z bieganiem, co miało wtedy – i myślę, że ma dalej – ogromne znaczenie dla młodego chłopaka, który zaczyna rywalizować z dorosłymi zawodnikami.

Na jednym z ligowych meczów rozgrywanych w Warszawie wysłannicy Stali Stocznia obserwowali obrońcę, który nazywał się Drzyzga. W tym spotkaniu to ja wpadłem im w oko, dzięki czemu zaczęła się moja przygoda tu, w Szczecinie. Byłem zatrudniony jako pracownik stoczniowy oddelegowany do pracy na stadionie.

***

W 1982 roku tygodnik „Piłka Nożna" zorganizował plebiscyt talentów. Na pierwszym miejscu był Andrzej Iwan, a ja znalazłem się na piątej pozycji.

Tyle że on wówczas grał w Wiśle Kraków, a ja w drugoligowej Stali. Pamiętam również mecz z Pogonią, która spadła sezon wcześniej z ekstraklasy. Graliśmy wtedy derbowe spotkanie, które zakończyło się jej porażką 0:1. Tak się złożyło, że to właśnie ja strzeliłem tę decydującą bramkę.

Nie da się jednak ukryć, że w Szczecinie zawsze liczyła się Pogoń. W tamtych czasach nie było dużej różnicy pomiędzy czołowymi drużynami z II ligi, a zespołami z najwyższej klasy rozgrywkowej. Zawsze na meczach Stali z Pogonią było wielu kibiców, ale spotkaniom towarzyszyła normalna atmosfera. Nie było bijatyk na trybunach. Stal nie miała zagorzałych fanów, na nasze mecze przychodzili głównie stoczniowcy.

***

W 1986 roku, gdy odchodziłem z Radomiaka Radom, miałem propozycje ze Stali Mielec, Iglopoolu Dębica i Pogoni Szczecin. Wiadomo, że Dębica była moim rodzinnym miastem, a poza tym Iglopool miał dobry skład i aspiracje na awans do I ligi. Z kolei w Pogoni był trener Leszek Jezierski, którego wcześniej poznałem jako trenera Widzewa Łódź. Po rozmowie z żoną zdecydowaliśmy się na Szczecin. Jej podobało się to, że stąd jest już niedaleko do morza. Mi imponowała osoba szkoleniowca. To właśnie Leszek Jezierski zaproponował mi przejście do Pogoni.

– Będziemy bić się o najwyższe cele – zapewnił mnie.

Słowa szkoleniowca potwierdzał skład Portowców: Adam Kensy, Marek Ostrowski, Krzysztof Urbanowicz, Kazimierz Sokołowski, Marek Leśniak, Jerzy Hawrylewicz. Te nazwiska robiły wrażenie. Wiedziałem, że w Pogoni jest mocna paka. Grał też z nami jeszcze Leszek Wolski. Legenda klubu, choć miał już swoje lata i pomagał nam głównie wchodząc z ławki rezerwowych.

***

U trenera podobało mi się to, że jeżeli zawodnik w okresie przygotowawczym wywalczył sobie miejsce w wyjściowym składzie, to przez pierwsze sześć spotkań Jezierski nie zmieniał wyjściowej jedenastki.

Z Radomiaka do Pogoni przechodziłem zimą, kiedy miałem jeszcze ważny kontrakt. Żeby móc się przenieść do Szczecina, musiałem zrezygnować

z mieszkania, które wcześniej otrzymałem w Radomiu.

Przed pierwszym meczem w Pogoni przeszedłem klasyczny chrzest zakończony klapsami. Chwilę później podszedł do mnie trener Jezierski.

– Dopiero u mnie nauczysz się grać w piłkę – powiedział w sposób, który nie budził wątpliwości.

Faktycznie, treningi u niego były bardzo wymagające, zwłaszcza zimą. Czasami po kwadransie mieliśmy dosyć. Muszę jednak powiedzieć, że był nie tylko trenerem, ale normalnym człowiekiem, z którym zawsze mogliśmy porozmawiać.

Większość ćwiczeń zadawał nam trener Jan Jucha, ówczesny asystent Jezierskiego. On również świetnie znał się na swoim fachu.

***

Bardzo poważnie traktowaliśmy pucharowe pojedynki z Hellasem i chcieliśmy awansować dalej. Mieliśmy szansę przejść Weronę, ale tylko gdyby był z nami jeszcze Adam Kensy, który zimą odszedł z Pogoni. Bez niego widziałem ten dwumecz w czarnych barwach. Namawiałem prezesów, żeby za niego przyszedł ktoś z trójki piłkarzy Śląska: Prusik, Rudy albo Tarasiewicz, ale usłyszałem tylko, że nie ma pieniędzy na transfer.

– Co trzeba zrobić, żeby pokonać Włochów? – zapytał mnie przed meczem jeden z dziennikarzy.

– Ściągnąć Maldiniego albo Romario – odpowiedziałem z przekąsem.

Ostatecznie nie ukazało się to w prasie, ale ja naprawdę tak wtedy powiedziałem.

Wówczas wszystkie polskie drużyny, które zapewniły sobie grę w europejskich pucharach, otrzymywały całe wyposażenie sportowe wraz z kurtkami – marki Casucci. To właśnie w tych strojach zagraliśmy z Weroną. W tym czasie, gdy w Polsce nic nie było, taki prezent był dla nas czymś fajnym.

Gdy w Szczecinie rozgrywany był pierwszy mecz, to włoscy redaktorzy byli zdziwieni, bo nie mieli nawet przygotowanych stanowisk komentatorskich na stadionie. Trochę wstyd, ale takie były wtedy realia.

W rewanżu zobaczyłem coś, czego nie uświadczyłem ani nigdy wcześniej, ani nigdy później. W pierwszych minutach było tyle rac i petard, że można to porównać tylko do Sylwestra! Gdy zaczęliśmy na to patrzeć, to ani się obejrzeliśmy, a przed przerwą Hellas prowadził już 2:0. Preben-Elkjaer Larsen dwa

razy zapakował piłkę do siatki i było po meczu.

Za wygrany mecz mieliśmy obiecane 50 dolarów premii. Z kolei piłkarze Verony otrzymali po 5 tysięcy na głowę. To była taka kwota, że za te pieniądze kupiłbym dwa domy. Zupełnie inny świat. Po pierwszym spotkaniu Włosi zaproponowali mi też transfer, ale prezes nie wyraził na to zgody.

***

Najbardziej zapamiętałem pojedynki ze Śląskiem Wrocław. Eksperci powiedzieliby, że wówczas to wrocławianie i Pogoń mieli dwie najlepsze drugie linie w Polsce. U nas Benesz-Kensy-Ostrowski, a u nich Rudy-Prusik-Tarasiewicz. W meczu były takie sytuacje, że próbowałem kiwać Tarasiewicza, który stał naprzeciw mnie.

– Adam, nie rób tego – prowokował mnie wtedy.

Miałem jednak za szybkie ruchy i nie był w stanie zabrać mi piłki. W drugą stronę było zresztą tak samo, że kiedy on miał piłkę przy nodze, to trudno było do niego podejść.

***

W szatni byliśmy zgraną ekipą. Kilka razy w tygodniu jeździliśmy z chłopakami po treningu do Redy na kawę. Wychodziliśmy w co najmniej osiem osób. Podobnie było po meczach, wtedy również spotykaliśmy się większą grupą. Nie brakowało wówczas dyskusji o naszych meczach. Mówiliśmy sobie, co było fajne, a kto powinien w danej sytuacji zachować się lepiej.

Jeśli chodzi o treningi, to na głównej płycie mogliśmy ćwiczyć tylko dwa razy w tygodniu, żeby nie zniszczyć murawy. W środy trenowaliśmy taktykę i graliśmy między sobą, a w piątki ćwiczyliśmy stałe fragmenty. Trener organizował nam gry wewnętrzne przeważnie na boisku przy ul. Witkiewicza. Tam zamiast murawy był kiedyś piasek. Zdecydowanie nie były to łatwe warunki do treningów.

***

W 1988 roku Henryk Kasperczak zaprosił nas do Francji na turniej halowy. Pojechaliśmy tam starym autosanem. Gdy zbliżaliśmy się do hotelu, Marek Ostrowski podszedł po kierowcy.

– Może pan zatrzymać się kilkaset metrów przed hotelem? – zapytał.

Prawda była taka, że wstydziliśmy się tego autokaru. Gdy kierowca to usłyszał, to trochę się zagotował, przez chwilę myślałem nawet, że nas pobije.

Graliśmy tam na przykład z Sao Paolo. Oni klepali piłkę, grali na pokaz, a my im w tym czasie wsadziliśmy pięć bramek. Ale wówczas po raz pierwszy widziałem takich zawodników.

Każdy chciał coś wtedy zarobić i mieliśmy ze sobą kryształy przywiezione z Polski. Zaprosiliśmy Brazylijczyków do swojego pokoju i chcieliśmy im je sprzedać. Myśleliśmy, że Brazylia to bogaty kraj. Nie mogliśmy się z nimi dogadać. W końcu jeden z nich pokazał tylko puste kieszenie i już wiedzieliśmy, że nie zrobimy biznesu.

***

W wicemistrzowskim sezonie, w którym uplasowaliśmy się za Górnikiem Zabrze, niewiele zabrakło nam do sięgnięcia po tytuł. W końcówce graliśmy z zabrzanami na wyjeździe i wówczas to oni zwyciężyli. To był decydujący mecz.

Przy wyniku 1:1 Marek Leśniak miał taką sytuację, że powinien strzelić gola, ale po jego strzale Marek Kostrzewa wybił piłkę z linii. Chwilę później Iwan strzelił zwycięską bramkę.

Wtedy wszystkie spotkania były ważne, ale właśnie to zdecydowało o losach mistrzostwa.

Na nasze mecze przychodziło mnóstwo kibiców, którzy czasem siedzieli nawet na bieżni, tuż przy linii bocznej. Gdy chciałem wyrzucić piłkę z autu, musiałem przepraszać ludzi, żeby na chwilę się ścisnęli i odsunęli. A to wszystko tylko po to, żebym mógł wznowić grę.

***

Co do wspomnianego już Marka, to przypomina mi się historia, gdy przed meczem w Białymstoku powiedział mi, że wyjeżdża z reprezentacją do Danii i chcą go do Niemiec. Pytał mnie wtedy o zdanie, co ma zrobić. Nie wiedziałem, co mu właściwie doradzić. Wówczas paszporty były jednorazowe i gdyby zdecydował się na transfer, to nie miałby powrotu do Polski.

Dwa tygodnie później zadzwonił do mnie, że przewieźli go w bagażniku białego mercedesa. Jego menedżerem był Cybulski, który przyjechał kiedyś do mnie z propozycją.

– Nie pograłbyś w Niemczech? – dopytywał.

To był 1989 rok. Myślałem nad tym, ale to nadal były czasy komuny i nikt nie chciał mnie puścić. Poradził mi wtedy, żebym napisał do PZPN-u i odczekał roczną karencję, by móc wyjechać. Tak też zrobiłem i na rok powiesiłem buty na kołku. Po tym okresie miałem wyjechać, ale i tak mnie nie wypuszczono. W tym czasie w „Przeglądzie Sportowym" ukazała się informacja, że zakończyłem karierę.

Zadzwonił do mnie wówczas trener z Australii, który chciał sprowadzić mnie i całą rodzinę do Sydney. Obiecywali mi tam bardzo dobre pieniądze, pracę dla żony oraz załatwienie wszelkich formalności związanych z pozwoleniem na wyjazd. Później do klubu wpływały też propozycje ze Szwecji i Finlandii. Ówczesny prezes Pogoni Andrzej Rynkiewicz stanął przede mną.

– Kluby ze wszystkich kontynentów chcą pana kupić, ale my i tak pana nie puścimy – zapowiedział.

Ostatecznie udało mi się zagrać w szwedzkim Åsele IK. Kontakt z klubem zorganizował mi Mirek Zambrzycki, również były piłkarz Pogoni. Wtedy miałem już paszport i mogłem legalnie wyjechać bez dodatkowych pozwoleń z portu czy policji.

– Albo mnie pan puści, albo kończę karierę – przedstawiłem jasno sprawę prezesowi.

Zgodził się, ale na takiej zasadzie, że pół roku grałem w Szwecji, a pół roku w Pogoni. Tam występowałem od maja do końca września i później tutaj do końca kwietnia. Dwa razy była też taka sytuacja, że prezes Rynkiewicz dzwonił do mojego trenera, czy mogę miesiąc wcześniej przyjechać, bo klub jest zagrożony spadkiem.

Umowa była tak skonstruowana, że Szwedzi pokrywali koszty mojej podróży w jedną stronę, a Pogoń w drugą. Później okazało się, że przez osiem lat Pogoń tylko raz opłaciła moją podróż.

***

Po jednym z moich powrotów ze Skandynawii Jacek Krzystolik, który grał w pięcioligowej Polonii Hamburg, namówił mnie, bym przyszedł i pomógł im awansować. Kiedy przyjechał do mnie ich menedżer, to spytałem czy sobie ze mnie żartuje. Ten obiecał mi 400 marek plus zwrot kosztów za sam przyjazd na mecz. Dla porównania, w Pogoni za wygrane spotkanie miałem 100 marek. Dałem się namówić i grałem z kartą zawodnika, w której miałem wpisane nazwisko Bekus.

Razem ze mną grał Wiesław Wraga, czyli były reprezentant Polski pochodzący ze Stargardu Szczecińskiego. Kiedy mieliśmy dalsze wyjazdy z Pogonią, to nie jeździłem do Niemiec, ale zdarzało się tak, że w jeden weekend grałem dwa spotkania.

W pewnym momencie Rynkiewicz dowiedział się o moich występach w Hamburgu i wezwał mnie do siebie.

– Masz przestać tam jeździć – zażądał ode mnie.

– Zgoda, pod warunkiem, że zapłacicie mi tyle, ile daje Polonia – odpowiedziałem.

Usłyszałem po raz kolejny, że nie ma pieniędzy, więc jeździłem dalej. I tak się złożyło, że prezes wiedział o moich podróżach, a ja w przeciągu jednego sezonu występowałem w trzech klubach. A wszystko to robiło się po to, żeby utrzymać rodzinę.

ROZDZIAŁ 7

Pokolenia Bieli

Kazimierz Biela

Urodził się w 1953 roku. Pochodzi z Krakowa. W 2019 roku obchodził będzie 40-lecie pracy w Pogoni. Do Szczecina trafił po studiach, w 1979 roku. Jest wychowawcą wielu pokoleń piłkarzy Pogoni, ale w sezonie 1985/86 pracował również w sztabie I zespołu Dumy Pomorza. Współtworzył odbudowującą się Pogoń Nową. Od kilku lat jest honorowym prezesem Akademii Pogoni.

Pracę w Pogoni rozpocząłem w 1979 roku, a decydujący był przy tym „głos serca". Moja żona jest szczecinianką, w czerwcu tego roku wzięliśmy ślub, a od sierpnia działałem już przy drużynach juniorskich Dumy Pomorza. Przeprowadzka na drugi koniec Polski była dla mnie ogromną zmianą w każdym wymiarze. Pochodzę z Krakowa, tam grałem w Hutniku, ukończyłem studia na AWF-ie i tam zostawiłem całą rodzinę. Czułem się jednak nieco pewniej dzięki temu, że przed podjęciem decyzji o migracji, spotkałem się z Konstantym Pawlikańcem, który był wówczas trenerem I drużyny.

To właśnie od niego otrzymałem propozycję współpracy w roli szkoleniowca grup młodzieżowych. Od samego początku działalność w klubie łączyłem z pracą w szkole. W placówce nr 57 na Pomorzanach utworzyłem klasy sportowe pod patronatem Pogoni. Bardzo miło wspominam pierwsze zespoły, które miałem okazję prowadzić, a było to już prawie 40 lat temu. Do dziś utrzymuję kontakt ze Zbyszkiem Nowickim, który był dobrze zapowiadającym się młodym piłkarzem. Po dwóch latach naszej współpracy zasłużył na miano najlepszego zawodnika półfinałów Mistrzostw Polski Juniorów

w Opolu, w których zajęliśmy miejsce 5-6. „Sport Katowicki" pisał wtedy, że narodził się nowy Zygfryd Szołtysik. Okazało się jednak, że euforia była przedwczesna, ponieważ Zbyszek dowiedział się, że jest za niski, aby grać w Pogoni. Kolejnym zawodnikiem, który wystąpił w tamtym turnieju, był Andrzej Miązek. Warto wspomnieć, że Andrzeja udało mi się „przechwycić" w ostatniej chwili, ponieważ był już właściwie dogadany z innym szczecińskim klubem. Wypatrzyłem go jednak podczas turnieju juniorów młodszych, kiedy występował w Stali Lipiany jako napastnik. Spotkałem się z nim i przekonałem do przyjścia na Twardowskiego.

***

Właśnie w klasie sportowej w Szkole Podstawowej nr 57 po raz pierwszy zetknąłem się z Darkiem Adamczukiem, obecnym prezesem naszej Akademii. Przyszedł na testy w wieku 10-11 lat. Muszę przyznać, że podczas tych sprawdzianów nie zachwycał. Jego największe atuty: ambicję, upór w dążeniu do celu i bardzo profesjonalne podejście do swoich obowiązków, można było dostrzec dopiero wtedy, gdy się go lepiej poznawało. W mojej grupie był istotną postacią – przekazałem mu nawet opaskę kapitańską.

Kiedy w wieku 15 lat trafił do starszego rocznika, znowu potrzebował trochę czasu na aklimatyzację. Gdy jednak poczuł się częścią zespołu, znów stał się bardzo cennym zawodnikiem, który znacząco pomógł w zdobyciu Mistrzostwa Polski Juniorów w 1986 roku.

***

Z chłopcami z tego rocznika przeżyłem wspaniałe chwile na największym turnieju piłkarskim świata. W lipcu 1988 roku pojechaliśmy do Göteborga na Gothia Cup. Rozgrywki trwały tydzień, a w kategorii U-19 rywalizowało 116 zespołów z całego globu. Dotarliśmy aż do finału, który przyciągnął na stadion 17 tysięcy ludzi! Przegraliśmy 1:2 z norweskim Strømmen, ale pomimo tego uważam, że osiągnęliśmy duży sukces. „Wielkie dni 18 chłopców ze Szczecina" – tak pisały lokalne gazety.

***

Wydarzenia potoczyły się tak, że klasę sportową przeniosłem z Pomorzan do Szkoły Podstawowej nr 51 na osiedlu Kaliny. Moją pierwszą grupą byli chłopcy z rocznika 1973 i 1974. Zespół odnosił wiele sukcesów w turniejach krajowych i zagranicznych. Dla mnie jednak najważniejsze było to, że duża grupa tych zawodników przebiła się do drużyny seniorskiej. Wystarczy wspomnieć chociażby Leszka Pokładowskiego, Olgierda Moskalewicza, Rafała Piotrowskiego, Adama Kulbackiego, Wojtka Wlazłę czy Grzegorza Matlaka. Budujące było dla mnie też to, że kilku z nich próbowało pracy z młodzieżą po zakończeniu swoich karier. Podobną drogę obrał Tomek Brzozowski, który jest przedstawicielem rocznika 1976. Jego rówieśnikami byli Marek Walburg, Tomek Gołaszewski czy Paweł Drumlak.

Muszę przyznać, że praca z młodzieżą jest bardzo wciągająca. Jest także wieloetapowa i wymaga pełnego zaangażowania. Trudno mi było porzucić zajęcie w Szczecinie i przenieść się do innego klubu, w którym prowadziłbym ekipę seniorską, choć ofert nie brakowało. Zdarzały mi się tylko krótkie epizody, podczas których pracowałem z dorosłymi drużynami.

W sezonie 1985/86, wraz z Maciejem Hejnem, dostaliśmy zadanie uratowania Pogoni przed spadkiem do II ligi. Cel osiągnęliśmy i oddaliśmy zespół w ręce Leszka Jezierskiego. Ja natomiast wróciłem do pracy z juniorami.

***

Swoją misję zakończyłem na roczniku 1976, bo uznałem, że była to ostatnia grupa, która miała szeroko otwarte drzwi do I zespołu. W połowie lat 90. klub miał pewne problemy finansowe, ale poniekąd to właśnie dzięki temu w kadrze znajdowało się kilkunastu wychowanków. Zdarzył się nawet taki okres, w którym z 24 piłkarzy aż 16 przeszło przez wszystkie szczeble szkolenia w Pogoni. W 1998 roku w „Głosie Szczecińskim" pojawił się nawet artykuł na ten temat. Zatytułowany był „Pokolenia Bieli". My, trenerzy pracujący w Pogoni, byliśmy bardzo dumni z naszych wychowanków, potrafiliśmy też dobrze współpracować. Przekazywaliśmy sobie zawodników, aby zapewnić im jak najlepszy rozwój. Nigdy nie mówiłem, że byłem jedynym szkoleniowcem danego zawodnika od początku do końca.

***

Trzeba przyznać, że niemal cała pierwsza dekada XXI wieku to trudny czas dla naszych wychowanków i ich trenerów. W rocznikach 79-88 naprawdę nie brakowało utalentowanych chłopców, jednak ich rozwój ograniczały pewne zasady, które wówczas obowiązywały w klubie. Pierwszeństwo mieli zawodnicy ściągani za olbrzymie pieniądze, a później tylko ci, którzy urodzili się w Brazylii. Dochodziło do paradoksu: cała Polska zazdrościła nam juniorów, którzy odnosili znaczące sukcesy, a oni nie mogli liczyć na grę w klubie. Musieli więc szukać sobie innych drużyn, w których stawali się ważnymi postaciami. Wystarczy wspomnieć chociażby Piotra Celebana, Rafała Andruszkę, Bartka Ławę i Kamila Grosickiego.

***

„Grosik" trafił do Pogoni już jako 8- 9-latek. Jego pierwszym opiekunem został Tadeusz Sługocki. Nasze drogi zeszły się natomiast wtedy, gdy Kamil trafił do klasy sportowej w SP 51. Współpracowaliśmy przez wiele lat – całą podstawówkę, gimnazjum i jeszcze troszkę... Być może los tak chciał. Było trochę problemów, ale najważniejsze, że wszystko skończyło się dobrze i Kamil jest tam, gdzie jest.

Mogę powiedzieć o dwóch szczegółach, które, moim zdaniem, miały spory wpływ na rozwój jego kariery. Otóż obaj mieszkaliśmy na Prawobrzeżu, więc musiał jeździć do szkoły... ponieważ woziłem go i pilnowałem, żeby zawsze trafiał na lekcje.

Druga historia wiąże się z krajowym finałem Coca-Cola Cup 2003 w Warszawie. Turniej był o tyle istotny, że zajęliśmy wtedy I miejsce, a Kamil został królem strzelców. Udzielił również swojego pierwszego wywiadu stacji Canal+, a także trafił do notesu selekcjonera kadry U-16. Warto wspomnieć, że we wcześniejszych fazach turnieju Kamil zaczynał mecze na ławce. Nie mógł bowiem zrozumieć, że futbol to gra zespołowa i każdy musi pracować w obronie. Gdy sobie to uzmysłowił, stał się fantastycznym zawodnikiem i w Warszawie pokazał pełnię swoich możliwości. Z perspektywy czasu mogę ocenić, że był to jeden z kluczowych momentów kariery „Grosika". W nagrodę za zwycięstwo pojechaliśmy do Włoch na wakacje.

***

Uważam, że dobrze się stało, iż poprzednia dekada już bezpowrotnie minęła. Teraz możemy chwalić się Akademią z prawdziwego zdarzenia. Mogę śmiało powiedzieć, że jeszcze nigdy nie widziałem w Pogoni tak dużego zaangażowania władz klubu w szkolenie i wychowywanie młodych zawodników – a pracuję tutaj blisko 40 lat! Myślę, że ubiegłe lata, w których nie brakowało sukcesów naszych grup młodzieżowych, są najlepszym dowodem na to, że zmierzamy w dobrym kierunku. Mam nadzieję, że intensywna praca i pełne zaangażowanie przełożą się wkrótce na sukcesy naszych wychowanków w ekstraklasie i reprezentacji Polski.

ROZDZIAŁ 8

Pół nocy spędzone w szafie

Jarosław Biernat
160 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1960 roku w Szczecinie. W klubie występował w latach 1978-83 i 1985. Z Dumą Pomorza wywalczył awans do najwyższej klasy rozgrywkowej (1981) oraz wystąpił w finale Pucharu Polski (1982).

Gdy byłem juniorem Pioniera Szczecin, wystąpiłem w meczu przeciwko rówieśnikom z Pogoni. Dobrze wypadłem w tym spotkaniu, które zresztą wygraliśmy. Kierownik Dumy Pomorza zwrócił na mnie uwagę i zaproponował negocjacje w klubie. Tak też się stało i wkrótce potem podpisałem kontrakt.

Byłem w siódmym niebie, ale dopiero później okazało się, że jednak nie wszystko jest takie różowe. Dostałem karę od federacji za to, że zmieniłem klub w trakcie sezonu. Była ona dość surowa – 5 miesięcy dyskwalifikacji! Szkoda, że tak wyszło. Wolałbym, aby oba kluby dogadały się między sobą i wszystko zostało załatwione tak, jak należy. To już jednak przeszłość.

***

Gdy moje zawieszenie wreszcie dobiegło końca, pozostał mi już tylko jeden warunek, który musiałem spełnić, aby zostać uznanym za pełnoprawnego członka drużyny. Musiałem przejść chrzest. Polegał on na tym, że jako młodziak odwracałem się tyłem do reszty zespołu, wypinałem się i zbierałem lanie w tylną część ciała.

Pół żartem, pół serio mogę powiedzieć, że dzięki temu byłem znakomicie rozgrzany przed debiutem, zanim w ogóle pojawiłem się na murawie.

***

Wiele naszych głupkowatych pomysłów rodziło się saunie. Gdy do środka weszło kilku piłkarzy, inni podbiegali i zamykali ich od zewnątrz. Tamci nieszczęśnicy przesiadywali w tym ukropie nawet pół godziny i wręcz błagali o uwolnienie ich. Gdy w końcu udawało im się wydostać na zewnątrz, rozpoczynały się wielkie gonitwy, a później bitwy na ręczniki. Zachowywaliśmy się jak duże dzieci.

Oczywiście, były pewne wyjątki, jak chociażby Zenek Kasztelan czy Leszek Wolski, którzy byli od nas o 6-7 lat starsi, ale generalnie większość znakomicie się bawiła.

***

Podczas obozów największą rozrywką była dla nas gra w karty. Jeden z piłkarzy – nazwiska nie podam – przegrał raz wielką sumę. Prosił nas, żeby mu podarować chociaż część tych pieniędzy, bo był naprawdę spłukany. Zdecydowaliśmy, że odpuścimy mu nieco, ale pod jednym warunkiem. Otóż przez pół nocy miał spać w szafie. Przyjął nasz warunek bez chwili zastanowienia.

***

Gdy byłem aktywnym zawodnikiem, znano mnie z tego, że wywalczałem wiele rzutów karnych. Nie chcę nazwać tego wymuszaniem, bo ktoś mógłby mi zarzucić, że nie grałem fair. Wolę więc powiedzieć, że dobrze wyczuwałem moment, w którym należało wejść w kontakt z obrońcą i upaść na murawę. Średnio w sezonie dyktowano 2 rzuty karne po faulach na mnie, więc trochę się tego uzbierało przez kilka lat.

Nigdy ich jednak nie wykonywałem – do tego byli wyznaczeni przez trenera inni zawodnicy.

***

Jeżeli chodzi o kolegów z drużyny, to chyba najlepsze relacje łączyły mnie z Kaziem Sokołowskim. Przyszedł do klubu trochę później niż ja, ale bardzo szybko znaleźliśmy wspólny język. Polubiły się także nasze żony. Spotykaliśmy się więc całymi rodzinami, wspólnie spędzaliśmy czas wolny.

Mamy dobry kontakt aż po dziś dzień. Odwiedziłem Kazika kilka razy w Norwegii, byłem także u niego w Warszawie, gdy pracował w Legii Warszawa jako trener. Zdarzyło mi się nawet pojechać do niego do Budapesztu, gdy tam był szkoleniowcem.

Z Kaziem spędzaliśmy czas wspólnie także podczas podróży na mecze wyjazdowe. Graliśmy w karty, rozmawialiśmy, odpoczywaliśmy. Nie znaczy to jednak, że nie integrowaliśmy się z drużyną. Bardzo lubiliśmy siedzieć z chłopakami i słuchać przeróżnych historii. Zazwyczaj jednak około godziny 23 trenerzy nakazywali wyłączyć światło w przedziale pociągu i pójść spać, żebyśmy mogli się odpowiednio zregenerować przed meczem.

***

Mam też w pamięci pewne domowe spotkanie. Graliśmy przy Twardowskiego z Widzewem Łódź. Zainteresowanie kibiców było niesamowite, o biletach można było jedynie pomarzyć.

W II połowie bramy stadionu zostały otwarte dla wszystkich i ludzie wbiegli na trybuny. Fani byli dosłownie wszędzie – na słupach, drzewach, przy linii bocznej, za bramką. To było coś fantastycznego!

Nie trząsłem się z powodu tremy, ale muszę przyznać, że puls delikatnie mi podskoczył.

***

Kibice nie zapominali o nas po wyjściu ze stadionu. Pamiętam pewną sytuację, która miała miejsce w restauracji. Siedziałem przy stoliku i podszedł do mnie jakiś sympatyk Pogoni. Bardzo chciał postawić mi kolejkę napoju wyskokowego.

– Jestem z rodziną, nie będę pił alkoholu – grzecznie mu odmówiłem. – Jeśli pan bardzo nalega, mogę napić się coca-coli albo fanty.

Po pewnym czasie zastanawiałem się też, czy nie była to przypadkiem próba jakiejś prowokacji, żeby przyłapać mnie na gorącym uczynku.

***

Moja kariera przypadła na dość specyficzne czasy. W pewnym momencie musiałem odbyć dwuletnią służbę wojskową, która w przypadku piłkarzy za-

zwyczaj kończyła się przymusowym przejściem do wojskowego klubu. No, chyba że ktoś chciał na 24 miesiące zrezygnować z kopania piłki i zamiast tego włożyć na siebie żołnierski mundur. Ja w każdym razie trafiłem do Legii Warszawa, w której rozegrałem dwa niezłe sezony. Miałem całkiem dobre statystyki bramkowe jak na pomocnika.

Pamiętam z tego okresu jedno szczególne spotkanie. Grałem wtedy przeciwko swojej drużynie, Pogoni.

Tego dnia w granatowo-bordowych barwach nie mógł wystąpić mój przyjaciel, Kazimierz Sokołowski, który brał ślub. Ja i Janusz Turowski byliśmy na liście zaproszonych, więc tuż po końcowym gwizdku udaliśmy się na wesele. Byłem dość mocno pokopany, spuchła mi noga, więc rozważałem pójście na przyjęcie w klapkach! Ostatecznie jednak dałem radę w eleganckich butach.

***

Po dwóch latach spędzonych w Legii chciałem wrócić do Szczecina i Pogoni, bo to tam był mój dom. Nie obyło się to bez problemów, ale ostatecznie udało mi się dopiąć swego. Pomogli mi w tym działacze Dumy Pomorza, którzy prowadzili długie rozmowy z włodarzami CWKS-u.

Kibice bardzo dobrze przyjęli mnie po moim powrocie, nie było żadnych gwizdów. Już w pierwszym meczu strzeliłem bramkę, więc to na pewno pomogło mi w zdobyciu ponownego zaufania fanów.

***

Chciałbym też opowiedzieć nieco o moim wyjeździe do Niemiec. Pewnego dnia Janusz Turowski powiedział mi, że ludzie z Eintrachtu Frankfurt przyjadą do Szczecina w poszukiwaniu napastnika i pomocnika. Upatrzyli sobie akurat mnie i Janusza, byli zdeterminowani, aby nas sprowadzić.

W tym miejscu zaczęły się schody. Musieliśmy znaleźć jakiś sposób na wyjechanie do Niemiec, co w tamtych czasach nie należało do łatwych zadań. Aby można było w ogóle o tym myśleć, trzeba było mieć ukończone 30 lat. My byliśmy zaledwie 25-latkami. Nie było więc mowy o składaniu jakichkolwiek oficjalnych dokumentów do Warszawy, bo i tak spotkalibyśmy się z odmową.

Musieliśmy załatwić to na własną rękę. Uzyskaliśmy więc paszporty turystyczne i na mocy tych dokumentów ruszyliśmy na zachód. Po tym, jak upo-

rządkowaliśmy podstawowe sprawy we Frankfurcie, Eintracht zgłosił się do Pogoni i powiadomił, że chce pozyskać dwóch zawodników. Wtedy dopiero zrobiło się wesoło... Po raz drugi w swoim życiu zostałem zawieszony na długi okres. Tym razem było to aż 14 miesięcy, Janusz został ukarany w dokładnie ten sam sposób. Straciliśmy więc ponad rok kariery, ale się nie poddaliśmy! Dopięliśmy swego i graliśmy w Eintrachcie.

ROZDZIAŁ 9

Gdyby nie Pogoń, pewnie do dziś siedziałbym we Włoszech

Radosław Biliński

111 oficjalnych meczów na szczeblu centralnym plus kilkadziesiąt w IV lidze.

Urodził się w 1972 roku. Pochodzi z Mieszkowic. W Pogoni grał w latach 1991-92, 1994, 2001-04 oraz 2007-09. Z klubem wywalczył awans do ekstraklasy (2004), ale także II ligi zachodniej (2008) i I ligi (2009) w czasach odbudowy.

Do Pogoni trafiłem w 1987 roku za sprawą trenera Włodzimierza Obsta. Podobnie jak wielu chłopaków z regionu, którzy dostali się do klubu, zostałem zaproszony na testy. Pogoń rozesłała wówczas informację po szkołach, że zaprasza wytypowanych przez nauczycieli i trenerów najzdolniejszych chłopców do spróbowania swoich sił w Szczecinie.

Na testy przyjechałem wraz z kilkoma kolegami z Mieszkowic. Zagraliśmy w sparingach i tak się zaczęła moja przygoda. To był koniec podstawówki. W Liceum nr 8 była organizowana klasa sportowa, do której trafiłem.

***

Nie zapomnę swojego chrztu w Pogoni na obozie za trenera Jerzego Kasalika. Musiałem coś przygotować na szybko, więc napisałem wiersz na specjalnym papierze, który pożyczyłem od kolegi piszącego listy do dziewczyny. Napisałem między innymi takie wersy:

„Jest też i Boguś, Bebeto zwany, czarodziej rezerw, mistrz motywacji,
gdyby nagrody za kity dawali, byłby trenerem reprezentacji."

Wszyscy wtedy pospadali z krzeseł! Naprawdę było wesoło.

***

Często ćwiczyliśmy na piasku, ale nikomu to nie przeszkadzało. Jako młodzi chłopcy wręcz frunęliśmy na te górne boiska, żeby trenować. Po zajęciach czekała na nas herbatka w wielkim wojskowym termosie, którą przygotowywała dla nas pani Helenka i to nam wystarczało.

Ćwiczyliśmy w wojskowych dresach, które zakładało się przez głowę. Do tego spodnie na gumkach i korkotrampki. Mieliśmy zielone i czarne stroje. Te czarne były uznawane za lepsze.

Problem pojawiał się, kiedy kibice prosili nas o koszulki. Kierownik w takich sytuacjach robił się blady, bo nie miał skąd wziąć dla nas nowych strojów.

Przez długi czas, także po powrocie z pierwszego wypożyczenia do Błękitnych Stargard, mówiono mi, że mam papiery na granie. Nie szło to jednak w parze z zaufaniem ze strony trenerów. To też jest ciekawe, że do 1994 roku, kiedy odszedłem do Wronek, z Pogonią nie miałem podpisanej żadnej umowy. W obecnych czasach to jest nie do pomyślenia.

***

Zawsze miałem takie podejście, że do Szczecina mógłbym wrócić na piechotę. Cały czas coś mnie tutaj ciągnęło i wracałem raz za razem do Pogoni. Po siedmiu latach gry w Amice Wronki znów zdecydowałem się na powrót. To był czas, w którym ustępował Sabri Bekdas, a klub przejmował Les Gondor. Jestem Portowcem, ale uważam, że ten powrót był moim błędem. W klubie panowało kompletne wariactwo, zwłaszcza w porównaniu do Wronek, gdzie niczego nam nie brakowało. Gra w Amice pozwoliła mi odłożyć trochę pieniędzy, dlatego miałem za co żyć. W Pogoni zaczęły się problemy finansowe i klub nie płacił przez kilka miesięcy. Wtedy pomyślałem sobie, że sytuacja jeszcze się unormuje. Kiedy minął rok, odkąd nie otrzymałem wypłaty, zacząłem się denerwować. Wcześniej podpisaliśmy jednak ugodę i czekaliśmy na pieniądze z praw transmisyjnych od Canal+. Kluby zawsze się na to powoływały. Wyszło tak, że miałem dwuletni kontrakt i dostałem pierwszą pensję, a później nie otrzymałem żadnych pieniędzy, aż do spadku z I ligi.

W historii Pogoni było wiele okresów, w których bywało źle w klubie, ale tutaj zawsze była rodzinna atmosfera. Wszyscy się ze sobą trzymali i potwierdza to fakt, że zawodnicy z zewnątrz chcieli zostawać w Szczecinie.

***

Zawsze byłem częścią ekipy wesołków w szatni, ale nigdy nie byłem w pierwszym szeregu do robienia żartów. Było dużo dobrego humoru, czy to za sprawą Wieśka Latały, czy Wojtka Tomasiewicza, ale trenera Baniaka pod tym względem nikt nie pobije. On podjął się próby wywalczenia powrotu Pogoni do najwyższej klasy rozgrywkowej. Pamiętam, że dojechałem wtedy na obóz do Dębicy, gdzie przewinęło się wielu zawodników. Budowano nową drużynę, a prezesa Antoniego Ptaka było stać, żeby sprowadzić różnych piłkarzy. Menadżerowie podpowiadali, by dać szansę ich podopiecznym, ale z czasem ci chłopcy się wykruszali i wykształtował się nowy skład Pogoni. Była to mieszanka różnych osobowości. Z innego środowiska i innej mentalności byli przede wszystkim Brazylijczycy. Potrafili do wszystkiego podchodzić na luzie. Większość z nich nie miała umiejętności piłkarskich. Okazało się, że masowe ich sprowadzanie nie było dobrym eksperymentem. Po awansie do ekstraklasy nie dostałem propozycji nowego kontraktu. Wtedy mój znajomy wytransferował mnie do Włoch.

***

Pewnie siedziałbym tam do dziś, gdyby nie Pogoń, która po raz kolejny się odbudowywała. Mówi się, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, a ja to zrobiłem nie raz i nie dwa. Zawsze czułem, że to jest mój klub. Każdy z tych, którzy przyłożyli się do odbudowy Pogoni, miał wpływ na mój powrót. We Włoszech spędzałem 10 miesięcy, a na dwa kolejne wracałem do Polski. Gdy tam kończył się sezon, to nie było treningów, mieliśmy wolne. Tak też było w 2007 roku. Wszystkie swoje rzeczy zostawiłem tam i przyjechałem do Szczecina na wakacje. Miałem dogadany nowy klub we Włoszech, z którym miałem przygotowywać się do sezonu, ale do niego nie trafiłem. Przekonano mnie, że wspólnie stopniowo odbudujemy Pogoń.

Na początku panował spory chaos organizacyjny, bo nie wiadomo było czy rozpoczniemy sezon w II lidze, czy przystąpimy do rozgrywek czwartoligowych. Bardzo długo trwały przymiarki do gry właśnie w II lidze. Wtedy nie było jeszcze nowej szatni. Mieliśmy przeciętne warunki, ale nigdy nie patrzyliśmy na takie niedogodności. Kiedy okazało się, że będziemy grać w IV lidze, to kilku zawodników zrezygnowało z kontraktu. W szatni było natomiast spo-

ro młodych chłopaków, którzy wchodzili do Pogoni. Możliwość gry w tym klubie ich nakręcała. Gdyby to była II liga, to wielu z nich nie dostałoby szansy. W IV lidze mieli okazję, żeby się pokazać i zrobić krok do przodu. Chłopcy sami się motywowali, nie trzeba było ich dodatkowo pompować. Byłem dla nich panem piłkarzem, więc na początku się do mnie czaili, obserwowali, co robię, ale tak to już jest.

***

Kibice z kolei zobaczyli, że budujemy tutaj coś naszego, szczecińskiego. Żaden sztuczny twór, tylko nasza Pogoń budowana od zera i coś z tego w przyszłości będzie. Właśnie dlatego mogliśmy liczyć na ich wsparcie. Po rundzie jesiennej byliśmy liderem, a mimo to postanowiono pożegnać się z trenerem Marcinem Kaczmarkiem. Wówczas na tym stanowisku zastąpił go Mariusz Kuras. Chciano w ten sposób wprowadzić do zespołu kolejny szczeciński akcent, bo przecież Mariusz jest stąd. Nie wiem, czy to był dobry moment na zmianę szkoleniowca i czy w ogóle jest na to dobry czas. Z Mariuszem i Marcinem wcześniej dzieliłem jedną szatnię, ale nie było to dla mnie później problemem. Dla mnie szkoleniowiec, choćby był moim najlepszym kolegą, to w czasie pracy zawsze będzie trenerem i pewne zasady trzeba zachować.

***

Gdy jechaliśmy na mecz gdzieś do małej miejscowości, to miejscowi mieli swoje święto. Kibice chcieli zobaczyć nas, ale też wspierali swoje drużyny. Czasem się nasłuchaliśmy... Taki jest folklor w niższych ligach. Sporo meczów, które mieliśmy rozgrywać na wyjeździe, graliśmy przy Twardowskiego, bo klub przeciwny nie chciał mieć nagle najazdu kibiców w swoim miasteczku. Po Mariuszu naszym trenerem, już w II lidze, został Piotr Mandrysz, z którym zrobiliśmy kolejny awans. Byliśmy na to przygotowani, była to naturalna kolej rzeczy. Niestety moje koleje losu tak się toczyły, że znów przyczyniłem się w jakimś stopniu do awansu i nie otrzymałem propozycji nowego kontraktu. Tak się zakończyła moja piłkarska kariera w Pogoni.

ROZDZIAŁ 10

Bramka numer 299, 7 meczów bez gola, zima i dopiero 300. trafienie

Janusz R. Błaszczyk
Urodził się w 1955 roku.
Od lat gromadzi i porządkuje statystyki związane z Pogonią Szczecin. Na 65-lecie i 70-lecie wydał dwie książki o charakterze historycznym. Jest prezesem Stowarzyszenia „Pogoń Walcząca", które dba o aspekty związane z historią Dumy Pomorza. Od kilku lat przyznaje piłkarzom Pogoni, którzy rozegrali 100 i 200 meczów „Floriany" – okolicznościowe statuetki.

Po raz pierwszy na mecz Pogoni poszedłem w 1966 roku. Na stadion zabrał mnie kolega, który już wcześniej był kibicem. Pamiętam, że staliśmy pod bramą i zaczepialiśmy dorosłych, którzy mogliby przez moment udawać naszych rodziców, bo inaczej nie mielibyśmy prawa wejść na trybuny. Połknąłem bakcyla i od tamtego momentu regularnie chodziłem na Pogoń. Później postanowiłem połączyć to z moją drugą pasją, czyli historią. Zacząłem prowadzić kroniki, zapisywać wyniki wszystkich meczów, tworzyć pierwsze opracowania statystyczne. Wciągało mnie to coraz bardziej i oddałem się temu zajęciu niemal bez opamiętania. Spędzałem długie godziny w bibliotece przy ulicy Dworcowej, gdzie starałem się wyszukać archiwalne gazety i dokumenty dotyczące klubu.

Największym wyzwaniem dla mnie było odtworzenie wyników spotkań z pierwszych lat istnienia Pogoni, gdy grała jeszcze w lidze międzywojewódzkiej. Informacje o tym okresie są naprawdę szczątkowe, niestety istnieje wiele

luk. Sytuacja staje się dużo prostsza od kiedy Duma Pomorza awansowała do I ligi, czyli od roku 1958.

Okazuje się jednak, że nie był to pierwszy raz, gdy zespół wystąpił na szczeblu centralnym, bo już w sezonie 1951 zagrał on w Pucharze Polski. Tę informację w swoich opracowaniach pominął pan Florian Krygier, który w ogóle nie brał pod uwagę meczów pucharowych. Muszę powiedzieć dość nieskromnie, że czuję się kontynuatorem dzieła pana Floriana, którego – nawiasem mówiąc – poznałem podczas organizowanych przez niego konkursów wiedzy o Pogoni. Za pierwszym podejściem zająłem drugie miejsce, rok później byłem trzeci i w kolejnej edycji wreszcie udało mi się triumfować.

***

W 2002 roku dołączyłem do Stowarzyszenia „Pogoń Walcząca". Uważam, że grupa ta odegrała niemałą rolę podczas reaktywacji klubu w XXI wieku, a ludzie często o niej nie pamiętają. Chciałbym więc przypomnieć pewne wydarzenia z tamtego okresu. Wobec degrengolady brazylijskiej Pogoni Antoniego Ptaka, „Pogoń Walcząca" założyła swój klub. Nazwaliśmy go Pogoń Nowa. Rywalizację zaczęliśmy od B-klasy w sezonie 2006/07. Szczególnie utkwił mi w pamięci wyjazdowy mecz w Komarowie, na który dotarliśmy wynajętym statkiem białej floty. Po upadku Pogoni prowadzonej przez wspomnianego Ptaka, podjęliśmy starania o to, żeby nasz klub mógł grać w IV lidze. W tym celu należało odwiedzić przedstawicieli wszystkich szesnastu zespołów, które wówczas rywalizowały na tym poziomie rozgrywkowym i poprosić ich o zgodę. Zajmował się tym między innymi Marek Pawlak.

– Nie wiem, jak moja wątroba to wytrzymała! – podsumował koniec swojej misji.

Poświęcenie przyniosło zamierzony skutek. ZZPN wydał Pogoni Nowej zgodę na grę w IV lidze. Wtedy w klubie pojawili się „gastronomicy" – panowie Grzegorz Smolny i Artur Kałużny, którzy byli w stanie zapewnić większy budżet, niż nasze Stowarzyszenie. Po negocjacjach „Pogoń Walcząca" zdecydowała się odstąpić wspomnianym dżentelmenom miejsce w IV lidze.

Pragnę zaznaczyć, że bez naszego udziału tak szybka reaktywacja byłaby niemożliwa. Warunkiem dopuszczenia klubu do rozgrywek IV ligi był bo-

wiem minimum trzyletni czas jego istnienia. Dzięki temu, że Pogoń Nowa powstała w 2002 roku, spełniała to kryterium.

***

Warto pamiętać, że Stowarzyszenie – w ramach umowy z Pogonią o współpracy historycznej – odpowiada również za wręczanie okolicznościowych statuetek „Florianów", które przyznajemy zawodnikom po przekroczeniu przez nich 100 oficjalnych meczów w granatowo-bordowych barwach. Przypominają mi się chwile, w których myślałem nad ostatecznym kształtem tych wyróżnień. Nie chciałem, aby był na nich motyw piłki. To miało być coś oryginalnego. Natrafiłem wówczas na statuetkę św. Floriana, który jest patronem strażaków i moje skojarzenie było jasne – Florian Krygier. Z nazwy usunęliśmy człon „święty" i został po prostu „Florian". Taka forma spotkała się z ogólną aprobatą i statuetki są regularnie przyznawane. Całkiem niedawno Adam Frączczak przekroczył 200 meczów i otrzymał drugiego już „Floriana" – większego. A jeśli dobije do 300 spotkań, otrzyma jeszcze bardziej okazałą statuetkę, a przy okazji stanie się członkiem elitarnego grona. Mam na myśli grupę dziewięciu zawodników, którzy rozegrali w Pogoni co najmniej 300 oficjalnych meczów. Do rekordzistów ma bardzo daleko – Mariusz Kuras zagrał w 487 spotkaniach, Leszek Wolski w 461.

***

Skoro poruszyłem już temat liczb, to myślę, że warto przytoczyć kilka ciekawych statystyk. Otóż okazuje się, że Morten Rasmussen jest 99. obcokrajowcem w historii klubu. Wszyscy stranieri strzelili do tej pory 225 bramek, co daje średnią na poziomie 2,18 gola na obcokrajowca.

Pewna ciekawostka wiąże się też z osobą Dawida Błanika. Został on 550. piłkarzem Pogoni, który wystąpił na szczeblu centralnym, czyli w lidze i pucharach. Ustaliłem, że 62 z tych 550 zawodników zagrało tylko jedno spotkanie. Rekordzistą pod względem najmniejszej liczby minut w Pogoni jest Ukrainiec Serhij Zajcew, który na boisku spędził tylko... 4. Niewiele lepsi byli Jarosław Trzybiński – 7 minut i Wojciech Wlazło – 8 minut. Wyciągnąłem też porcję danych o bramkarzach. Do tej pory między słupkami stało 45 gol-

kiperów. Każdy z nich wpuszczał średnio 1,28 bramki na mecz. Najwięcej rozegranych meczów wśród bramkarzy ma Radek Majdan – 308 występów.

***

Udało mi się dotrzeć do pewnej nietypowej sytuacji, która wydarzyła się w Pucharze Lata w roku 2006. Otóż w drużynie Pogoni zagrało trzech testowanych zawodników, którzy nie mieli podpisanej umowy z klubem: Przemysław Pietruszka, Jakub Szałek i Marcin Miśta. Pierwszy z nich po kilku latach parafował umowę z klubem, do Pogoni trafił też Szałek, ale był to brat Jakuba Mateusz, natomiast ten ostatni nigdy nie związał się z klubem.

***

Nietypowa ciekawostka statystyczna wiąże się z rokiem 1972. Wówczas zawodnicy Pogoni „zacięli się" w lidze i w 7 kolejnych spotkaniach nie potrafili strzelić rywalom bramki. Kolejno przegrywali – 0:1 z ŁKS-em, 0:3 z Gwardią, 0:1 z Górnikiem, 0:1 z Legią, 0:0 z Lechem i ROW-em oraz 0:1 z Ruchem w ostatnim jesiennym spotkaniu. W przerwie zimowej napisałem do „Głosu Szczecińskiego", że ta strzelecka indolencja jest być może związana z faktem, iż upragniony gol byłby 300. bramką dla Pogoni w meczach ekstraklasy. Gazeta wykorzystała moje spostrzeżenie w jednym z numerów. Z przymrużeniem oka mogę to uznać za swój debiut w dziennikarskim fachu. Wracając do meritum: Portowcy odblokowali się w pierwszym wiosennym spotkaniu ze Stalą Mielec. Było 1:3, a bramkę numer 300 strzelił Zenon Kasztelan.

***

Efekty moich poszukiwań zamieściłem w książce wydanej na 65-lecie Pogoni. Jest to pozycja, w której zawarłem wszystkie statystyki, do których udało mi się dotrzeć. Wydałem ją całkowicie prywatnie, zainwestowałem też swoje pieniądze. Uzyskałem pomoc od córek, które edytowały tekst w taki sposób, aby nadawał się do druku, oraz zaprojektowały okładkę. Książka spotkała się z dużym entuzjazmem odbiorców, szybko wyprzedałem pierwszy nakład. Nawet ostatnio dzwonił do mnie jakiś kibic Pogoni mieszkający we Francji, który mówił, że bardzo mu zależy na tej publikacji. Niestety nie mogłem mu jej

sprzedać, ponieważ dodrukowanie jednego egzemplarza to kosmiczne koszty. Ten człowiek musiałby zapłacić około 1000 złotych za książkę.

Obchody 65-lecia wzbogaciliśmy też o konkurs wiedzy o Pogoni, kontynuując poniekąd tradycję pana Floriana. Pamiętam, że zwyciężył wówczas Zenon Celeban, stryj Piotra, który jest obecnie zawodnikiem Śląska Wrocław, a pochodzi ze Szczecina.

Na 70. rocznicę powstania klubu również planuję wydać kilka książek, być może zorganizowany zostanie też konkurs. Oprócz tego cały czas pozostaję w ścisłej współpracy z Andrzejem Obstem, kustoszem Sali Tradycji. Pomagam mu spisywać statystyki, dbamy także o różne zdjęcia i archiwalne dokumenty.

***

Dziś domowe mecze Pogoni oglądam z perspektywy trybuny prasowej. Co prawda nie uważam się za dziennikarza, ale odkąd prowadzę stronę internetową „Pogoni Walczącej", nie mam problemów z otrzymaniem akredytacji. Moim znakiem rozpoznawczym jest granatowo-bordowy kaszkiet, w którym zawsze stawiam się na stadionie. Nie jest to jednak ten sam, który nosiłem jeszcze kilka lat temu. Zgubiłem go po pewnym wygranym meczu, gdy za bardzo celebrowałem trzy punkty. Żałuję, bo byłem do niego bardzo przywiązany. Znalazł go swego czasu na ulicy mój syn Warcisław, podczas jednego z kibicowskich wyjazdów. Tak naprawdę nie był on nawet granatowo-bordowy, a bardziej czerwono-niebieski, bo kolory dość mocno wyblakły.

***

O statystykach, wbrew pozorom, czasami również można mówić z lekkim przymrużeniem oka. Otóż nazwa „Pogoń" pojawiła się w Szczecinie po raz pierwszy w październiku 1955 roku. Ja natomiast urodziłem się w kwietniu tegoż roku. Przeznaczenie?

Dane statystyczne w tekście są aktualne na koniec sezonu 2017/18.

ROZDZIAŁ 11

Synek, nie zesrałbyś się w portki?

Czesław Boguszewicz
188 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1950 roku. Pochodzi ze Słupska. W klubie grał od 1967 do 1976 roku. Jako piłkarz Dumy Pomorza dwukrotnie zagrał w reprezentacji Polski (debiut 6.05.1976 przeciwko Grecji, łącznie 5A). Karierę trenerską zaczął, mając 28 lat.

Dołączyłem do Pogoni Szczecin w ciekawy sposób. Miałem 15 lat, występowałem w Cieślikach Słupsk, a jednocześnie grałem w kadrze województwa pomorskiego. Wraz ze wspomnianą reprezentacją pojechaliśmy na obóz do Szczecinka, gdzie – tak się złożyło – formę szlifowała także Pogoń. Nasze treningi odbywały się w tym samym czasie, więc nie miałem możliwości podpatrywać piłkarzy Dumy Pomorza. Wtedy postanowiłem, że będę symulował chorobę po to, żeby móc oglądać w akcji swoich idoli. Gdy moi koledzy biegali po lesie, ja z wypiekami na twarzy patrzyłem na trening Pogoni i podawałem piłki, które wyleciały za bramkę. Marian Kielec, Jurek Krzystolik, Hubert Fiałkowski, Waldek Folbrycht, Jasiu Gacka – to byli dla mnie herosi, od których nie mogłem oderwać wzroku.

O ustalonej porze wróciłem do hotelu i położyłem się do łóżka. Gdy zespół wraz z trenerami skończył biegać, zastali mnie całego przykrytego pościelą i nie mogli się nawet domyślać, że dopiero co przybiegłem z treningu swoich idoli. Leżałem i marzyłem o tym, że kiedyś zostanę zawodnikiem Pogoni Szczecin.

***

Niedługo później pojechaliśmy do Zielonej Góry na turniej, w którym uczestniczyły kadry województw. Choć miałem zaledwie 15 lat, grałem we wszystkich trzech meczach od deski do deski. Każdy z nich wygraliśmy po 1:0, a ja byłem strzelcem wszystkich bramek. Podczas tej imprezy byłem obserwowany przez działaczy Pogoni. Wpisano moje nazwisko do notesu i zaczęto starać się mnie ściągnąć.

Przedstawiciele klubu przyjeżdżali do mojego domu w Słupsku i próbowali nakłonić ojca, aby puścił mnie do Szczecina. Nie był on zachwycony tym pomysłem, ponieważ uważał, że szkoła jest najważniejsza. Złamał się dopiero po namowach macochy, która przekonywała go, aby pozwolił mi wyjechać. Prawdopodobnie nie robiła tego, aby mi pomóc, ale z uwagi na wygodę własną i dwójki swoich dzieci. W każdym razie udało się – jako 16-latek przeprowadziłem się do Szczecina i trenowałem w Pogoni.

***

Byłem pod wrażeniem ogromu tego miasta. Po raz pierwszy zobaczyłem szerokie, dwupasmowe ulice. Jak na tamte czasy stadion też robił wrażenie, szczególnie podczas meczów, gdy na trybunach było grubo ponad 30 tysięcy ludzi. Tamtej atmosfery nie da się opisać w jakikolwiek sposób. Każdy mecz był świętem sportu. Gdy zdarzały się gorsze okresy i na widowni zasiadało tylko około 15-18 tysięcy fanów, traktowaliśmy to jako ogromną klęskę.

W Pogoni przeżyłem wiele pięknych chwil i nawiązałem silne przyjaźnie. Do dzisiaj mam kontakt z kilkoma byłymi kolegami z drużyny. Spotykamy się, gdy tylko jestem w Szczecinie. Mam tutaj część rodziny, bo moja żona pochodzi właśnie z tego miasta. Starsza córka również się tutaj urodziła. Zawsze znajdę więc pretekst, aby przybyć do Szczecina i przy okazji – albo przede wszystkim – wybrać się na mecz Pogoni.

***

Muszę powiedzieć, że zostałem świetnie przyjęty przez grono starszych zawodników. Dużo pomocy otrzymałem ze strony trenera Stefana Żywotki. Zawsze mogłem też liczyć na Huberta Fiałkowskiego, który wziął mnie pod

swoje skrzydła. Był ode mnie o 11 lat starszy, ale szybko znaleźliśmy wspólny język. Autorytetem pozostawał dla mnie Marian Kielec, na którego nie mogłem się napatrzeć. Przyjazna atmosfera sprzyjała treningom, na które chodziłem z wielką przyjemnością. Wiedziałem, że prędzej czy później dostanę szansę debiutu w I lidze.

Rundę wiosenną 1967/68 inaugurowaliśmy na Stadionie Olimpijskim we Wrocławiu. Mieliśmy taki zwyczaj, że piłkarze podstawowego składu szli do szatni się przebierać, a rezerwowi czekali na nich i później wszyscy wspólnie wychodzili na rozgrzewkę. Pamiętam, że stałem przy bandzie wraz z innymi zawodnikami, którzy mieli zacząć mecz na ławce. Nagle z szatni wyszedł Bogdan Białek, największy kawalarz w zespole.

– Młody! – krzyknął w naszym kierunku, a że wśród rezerwowych byli głównie sami młodzi, to wszyscy spojrzeliśmy po sobie. Wtedy wskazał na mnie i powiedział, że gram od pierwszej minuty.

Byłem pewien, że to kolejny jego żart. Poszedłem jednak w stronę szatni i po drodze spotkałem trenera Żywotkę.

– Synek, gdybym ci powiedział, że wychodzisz w pierwszym składzie, to nie zesrałbyś się w portki? – zapytał szkoleniowiec, jednocześnie obejmując mnie ramieniem.

– Jestem zwarty i gotowy! – odpowiedziałem bez namysłu.

Okazało się, że to nie były żarty, naprawdę grałem w tym spotkaniu od pierwszej minuty. W nieszczęśliwych okolicznościach przegraliśmy wtedy 0:1. Po latach nadal wspominam ten debiut.

***

Wspomniałem krótko o Bogdanie Białku, a to zawodnik, któremu warto poświęcić więcej uwagi. Uważam go za świetnego bramkarza, który jednak miał pecha, ponieważ w tym samym czasie w Pogoni terminował Wojtek Frączczak. Bogdan musiał cierpliwie czekać na swoją kolej i w końcu się doczekał. Gdy Wojtek doznał kontuzji, to Białek wskoczył na jego miejsce. Rozegrał kapitalne zawody, nie wpuścił ani jednej bramki. Kolejny mecz – to samo. Później Frączczak wyzdrowiał, a dostępu do bramki nadal strzegł Bogdan. Po sześciu meczach na „zero z tyłu" przyszedł czas na wyjazdowe starcie

z Legią. W pewnym momencie gospodarze mieli rzut wolny. Do piłki podszedł genialny Kaziu Deyna i w swoim stylu ulokował piłkę w okienku. Na trybunach szał, a sędzia machnął ręką i powiedział, że strzał był przed gwizdkiem. Nakazał powtórzyć wykonanie rzutu wolnego. Kaziu Deyna znów przymierzył, tym razem w drugie okienko. Gol. Po tym spotkaniu Bogdan stracił miejsce między słupkami, a odzyskał je Wojtek Frączczak.

Białek, jak już wspominałem, był największym wesołkiem w drużynie. Gdy do zespołu dołączał nowy zawodnik, musiał przejść chrzest wymyślony właśnie przez Bogdana. Cała drużyna szła na spacer i nagle Białek mówił, że nie graliśmy jeszcze z nowym w basy. Wszyscy, oprócz świeżaka, wiedzieli, co się święci. Nowy miał zaśpiewać „pierwszy bas", a cała drużyna powtarzała. Później innym tonem „drugi bas" i zespół znów wtórował. Na końcu świeżak śpiewał już całkowicie innym głosem „trzeci bas", a pozostali mu odpowiadali: „pocałuj w dupę nas!". Śmiechu było co niemiara, wszyscy wręcz tarzali się po ziemi. Wtedy Bogdan pytał nowego, czy się gniewa, a ten odpowiadał, że nie. A drużyna na to: „pocałuj nas jeszcze raz!".

***

W naszych czasach na zgrupowaniach 25 „chłopa" spało w jednym pomieszczeniu na łóżkach piętrowych. Proszę sobie wyobrazić, jak tam musiało być wesoło. Śmieszyły nas prozaiczne sprawy, jak choćby to, że komuś wydobył się gaz spod kołdry. Lubiliśmy też wyjazdy za granicę na mecze z przeróżnymi drużynami. Pamiętam, że Hansę Rostock traktowaliśmy niemal po koleżeńsku, bo tyle tych sparingów rozgrywaliśmy.

Pewnego razu udało się zorganizować spotkanie z Sheffield Wednesday, bardzo silnym zespołem, który grał wtedy w Premiership. W tamtych latach liga angielska była dla nas obiektem westchnień, jawiła się nam jako coś mitycznego. Okazało się jednak, że nie mamy się czego wstydzić – graliśmy z nimi jak równy z równym i zwyciężyliśmy 3:1. Szczególnie w pamięci zapadł mi bramkarz Wednesday, który mierzył chyba ze dwa metry. W trakcie meczu sędzia podyktował dla nas rzut karny i ja podszedłem do jego wykonania. Stanąłem naprzeciwko tego golkipera i poczułem, że nogi mi się uginają. To było coś niesamowitego, bo do tej pory byłem bardzo pewny siebie przed

„jedenastkami". Ostatecznie strzeliłem bramkę, ale wspomniany bramkarz naprawdę mi zaimponował.

***

Kojarzę również pewną sytuację z meczu ligowego. Otóż szykowaliśmy się na wyjazdowe spotkanie z mocnym w tamtych czasach Ruchem Chorzów. To był sezon 1972/73, w którym chorzowianie zdobyli wicemistrzostwo tuż za Stalą Mielec. Kto wie, czy na tym wyniku nie zaważył właśnie ten mecz!

– Skoro i tak jedziemy tam po to, żeby przegrać jak najmniejszą liczbą bramek, to nie ma sensu marnować pieniędzy na hotel – stwierdził „motywująco" ówczesny trener Edmund Zientara.

Mieliśmy pojechać nocnym pociągiem do Chorzowa, zagrać mecz o godzinie 11 i wrócić jeszcze tego samego dnia.

Dotarliśmy na stadion zmęczeni po całej nocy w podróży. Od pierwszego gwizdka zarysowywała się przewaga Ruchu, który co chwilę dochodził do sytuacji strzeleckich. Żadnej z nich jednak nie wykorzystywał, bo brakowało mu celności. Wtedy postanowiliśmy z chłopakami, że będziemy rozpowiadać rywalom, iż mecz jest sprzedany, choć faktycznie tak nie było. Podchodziliśmy więc do zawodników z Chorzowa i mówiliśmy: „Nie wiesz, że sprzedali mecz? Nie powiedzieli ci koledzy?" Oni zaczęli szukać winnego, jeden drugiemu się przyglądał, popełniali przez to sporo błędów. Udało nam się skłócić przeciwników, a następnie wyprowadzić dwa zabójcze ciosy. Wygraliśmy 2:0 i w radosnych nastrojach wróciliśmy do Szczecina.

ROZDZIAŁ 12

„Bogaty", co gonił za golami

Artur Bugaj
129 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1970 roku. Pochodzi ze Szczecinka. W klubie (z trzema przerwami) grał w latach 1992-2006. Wywalczył awans do najwyższej klasy rozgrywkowej (2004). Obecnie mieszka w Szczecinie i prowadzi własną działalność w branży transportowej.

W szatni staraliśmy się dbać o to, by było wesoło i żeby była dobra atmosfera. To – moim zdaniem – przekładało się na wyniki. Swego czasu mówiło się też o tym, że jest szczecińska szkoła bramkarzy. Przez lata, kto by nie bronił w Pogoni, to należał do krajowej czołówki. Myślę, że mieliśmy w tym swój udział. Przypominam sobie, jak pomagaliśmy bramkarzom szlifować swój talent. Po zajęciach zaczepialiśmy ówczesnego trenera bramkarzy Zbyszka Długosza i rzucaliśmy do niego: – Trenerze, ci bramkarze to się z nas śmieją! Nic nie robią na tych treningach.

Oczywiście nie było to prawdą, bo uważam, że u Zbyszka bramkarze ćwiczyli naprawdę solidnie. I choć znał się na robocie, to nasze przytyki odbierał jednak dość osobiście. Prawda była jednak taka, że bramkarze wracali po zajęciach utytłani, ubłoceni i naprawdę dziś nie podpisałbym się pod stwierdzeniem, że mieli lżej od nas. – Zamknijcie się, już nic nie mówcie, bo nas zajedzie! – krzyczeli w naszą stronę, gdy tylko zobaczyli, że kręcimy się blisko Zbyszka. A prawdą było, że po naszych komentarzach na następny dzień trener potrafił solidnie „poprawić" bramkarzom. Z zajęć schodzili na miękkich nogach, ale myślę, że to wszystko odbywało się w granicach zdrowego rozsądku.

***

Każdy człowiek to inny charakter. Do dziś jestem pod wrażeniem jednego zawodnika. Do perfekcji opanował „oszukiwanie" trenera w trakcie zajęć. Gdy robiliśmy powtórzenia, tylko obserwował, by nie wykonać całej zaordynowanej serii. Gdy biegaliśmy, robił wszystko, by skrócić dystans chociażby o pół metra. Był wtedy najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Co ciekawe, nie wynikało to z jego lenistwa, chociaż do tytanów pracy na treningach też nie należał. Na boisku zapieprzał jednak później za dwóch i w oczach kibiców miał opinię walczaka. A dzisiaj, kiedy już skończył zawodową grę w piłkę, biega w półmaratonach i maratonach. Po prostu punktem honoru było dla niego przechytrzenie szkoleniowca. Był też przy tym na tyle sprytny, że rzadko kiedy trenerzy potrafili złapać go na gorącym uczynku. Założę się, że wśród kibiców, nawet gdybym zaczął podpowiadać i naprowadzać, długo nie znalazłby się taki, który właściwie wytypowałby, o kim mówię. Był to Krzysiek Michalski. Dziś, kiedy widzę jego kolejne wyzwania sportowe, to przecieram oczy ze zdumienia.

***

Kibiców często interesują kulisy transferów. Do Pogoni miał przejść Jacek Wiśniewski, przez lata reprezentujący śląskie kluby, a po karierze piłkarskiej próbujący swoich sił w MMA. Do transferu jednak nie doszło. Zacznę od tego, że Jacek to świetny gość! Wiele osób zna tylko jego groźny wizerunek, ale to fantastyczny, ciepły człowiek. Czasy były takie, że byliśmy mniej profesjonalni od dzisiejszych piłkarzy. Gdy dowiedzieliśmy się, że Jacek dotarł do Szczecina, zaprosiliśmy go na kolację. Wieczór spędziliśmy przy piwku… no może dwóch (śmiech)! Delikatnie zasiedzieliśmy się przy stole. Następnego ranka Jacek miał w klubie testy wydolnościowe... Finał tej historii chyba każdy już zna! W tamtych czasach w Polsce krążyła legenda, że „nad morzem" trudno jest zbudować formę, bo jest tu dużo pokus. Wielu piłkarzy zgubiło chociażby Świnoujście.

***

Naturalnie ciekawym czasem w Pogoni był dla mnie pobyt licznej grupy Brazylijczyków. Nie będę już opowiadał o tym, jak zdziwieni byli, gdy pierw-

szy raz w życiu zobaczyli śnieg i nie mogli wyjść z podziwu, że topi im się w rękach. Rozbrajające było to ich naturalne zdziwienie. Dla nas było to zderzenie dwóch różnych kultur, wiele wtedy zaobserwowałem. Któregoś razu siedziałem w hotelowej restauracji i patrzyłem na nich. – Czemu oni nakładają sobie tak duże porcje? – pomyślałem.

Okazało się, że wielu z nich wywodziło się z dość ubogich rodzin. Wyznawali zasadę „zjedz tyle, jakby to miał być twój ostatni posiłek w życiu". W Brazylii to bardzo powszechne podejście. Bardzo często robili na talerzu taki misz-masz, że nie byłbyś w stanie w uwierzyć, że będą w stanie to pochłonąć.

Wracając do różnic kulturowych, o których wspominałem, fantastyczną rzecz opowiedział mi Edi Andradina. Gdy trenowaliśmy w Gutowie, ja miałem w tym samym czasie mieszkanie w Łodzi. Któregoś razu zaprosiłem Ediego do siebie na kawę. Normalna sprawa. Po pewnym czasie dowiedziałem się, że dla Ediego było to bardzo ważne. Gdy w Brazylii zaprosisz kogoś do swojego domu, dla gościa jest to olbrzymie wyróżnienie. Tam pod swój dach zaprasza się osoby szczególne. Edi przyznał, że byłem w Polsce pierwszym, który ugościł go „u siebie". Wówczas byliśmy kolegami z drużyny, a dziś z całą pewnością mogę powiedzieć, że „Edek" jest kimś szczególnym.

***

Nie będę próbował nawet ukrywać, że jako piłkarzom, często żyło nam się łatwiej. Wiele spraw potrafiły rozwiązać drobne uprzejmości. Zawsze w bagażniku auta woziłem ze sobą obowiązkowo podpisane plakaty, jakąś piłkę czy koszulkę. W różnych sytuacjach to mogło ci pomóc albo uratować skórę.

– Szanowny panie, gdzie się tak spieszymy, będzie mandacik – słyszałem niejednokrotnie od policjanta. Po chwili rozmowy okazywało się jednak, że plakat czy piłka z autografem załatwią sprawę. Powiedziałbym, że to były inne czasy, ale muszę przyznać, że motywem „na piłkarza" udało mi się uniknąć odpowiedzialności całkiem niedawno, bo w 2017 roku. Wtedy jednak musiałem nieco zmodyfikować tę metodę i nazwałem ją „na byłego piłkarza" (śmiech)!

– Panie Arturze, tym razem tylko pouczenie, proszę jechać ostrożniej! Na-

stępnym razem będzie mandat – pan policjant pogroził palcem, a ja mogłem jechać dalej.

***

Pewnie nie będę pierwszą osobą, która opowiada o naszym tournée po Korei Południowej. Przypominam sobie zdjęcie, które zrobiono nam przy autokarze. Stoimy tam w dresach, przeróżne kolory, na pewno nie wyglądamy jak drużyna. Dziś, gdy widzę to zdjęcie, to chce mi się śmiać, bo wygląda niesamowicie obciachowo. Wstydzę się te fotki pokazywać, bo przy tej rewii mody śmiechu jest co nie miara! Prawdą jest jednak to, że wtedy, na warunki panujące w Polsce, my byliśmy ubrani naprawdę dobrze i modnie (śmiech). Naprawdę!

Sam wyjazd – jak na te lata – był niesamowicie egzotyczny. Wyglądało to tak, że musiała lecieć z nami określona świta działaczy PZPN i nie wystarczyło miejsca dla wszystkich z drużyny. Nie poleciał na przykład nasz masażysta. Dlatego też „maserem" został… nasz kierownik Leszek Pokorski. I z miejsca mogę powiedzieć, że Leszek stał się gwiazdą wyjazdu.

Zaczęło się już przed wyjazdem. Dyrektor klubu Andrzej Rynkiewicz nakazał zakupić kryształowe wazony, które mieliśmy wręczać na miejscu w ramach podziękowań. Wyruszaliśmy spod hali przy ul. Twardowskiego i stało się tak, że tuż przed odjazdem „Kiero" pobił te kryształy.

– O Boże, Andrzej, co się stało, o Boże! – siedział z założonymi na głowę rękoma i krzyczał wniebogłosy. Powinniśmy mu współczuć, ale rozpaczał z taką wylewnością, że pół drużyny pokładało się ze śmiechu. Pan Andrzej pokręcił tylko głową, rzucił, żeby zostawić „to szkło" i ruszyliśmy.

Nasz kierownik podczas wyjazdu był osobą wyjątkową. Zajmował się m.in. praniem naszego sprzętu. Pewnie starsi kibice pamiętają pralki, z których wystawała gumowa rura i na czas prania trzeba było ją włożyć do wanny, aby brudna woda miała gdzie odpłynąć. Kierownik ustawił nasze pranie, a następnie mu się przysnęło. Pechowo musiał zostawić też zatkany korek w wannie. Waliliśmy do niego w drzwi, ale spał jak zabity. Gdy woda wylewała się już spod drzwi, ktoś pobiegł do recepcji po zapasowy klucz i w ten sposób dostaliśmy się do jego pokoju. Skończyło się tak, że zalał całe piętro w hotelu.

Nie było mu do śmiechu, tym bardziej, że przez całe tournée właśnie to było głównym powodem żartów.

W samej Korei przeżyłem też traumatyczną chwilę. Spacerowałem po mieście, a na wystawie widziałem małe pieski. Przyglądałem się im z zaciekawieniem i zastanawiałem się, dlaczego są sprzedawane w taki sposób. Dopiero później dowiedziałem się, że była to ekskluzywna koreańska restauracja. Można było przyjść, wskazać palcem, a chwilę później piesek lądował na talerzu. Okropna sprawa.

***

Pogoń poznałem z różnych stron zarządzania. Gdy wracałem do niej kilka razy, była przeorganizowana. Pamiętam czasy dyrektora Andrzeja Rynkiewicza, Antoniego Ptaka, ale zahaczyłem też o okres, gdy w Szczecinie pojawił się Sabri Bekdas. Po tym, jak zaczęły się rządy Turka, byłem jeszcze pół roku w klubie. Następnie skończyło mi się wypożyczenie z Aluminium Konin i przytrafiła mi się moja najgorsza kontuzja w karierze, a do tego w najgorszym momencie. Kto wie, może wówczas zostałbym w Pogoni, może nie…

Zbyt wielu wspomnień z tego okresu nie mam, ale mogę uchylić rąbka tajemnicy, jak wyglądały wówczas moje rozmowy kontraktowe. Gdy wiadomo już było, że będziemy rozmawiać z Bekdasem, negocjował z nami w jego imieniu pan Stanisław Paszyński. Posadził mnie przed sobą i spojrzał na mnie poważnym wzrokiem znawcy.

– Czy gonisz za golami? – zapytał.

Zamurowało mnie, autentycznie nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Trochę lat już w piłce byłem, ale takiego sformułowanie nigdy nie słyszałem.

– No dobrze… – kontynuował. – A ile chciałbyś zarabiać?

Podałem kwotę, następnie bez żadnych emocji odpowiedział: „OK" i to był koniec naszych negocjacji. Gdy podpisałem już umowę, pozostało mi tylko gonić za golami!

Niedługo później odszedłem, w dodatku w najlepszym dla piłkarza okresie, kiedy w Pogoni Turcy działali z rozmachem. Natomiast nieliczni pamiętają, jakiej ksywki dorobiłem się od tureckich właścicieli. Turcy w Pogoni otoczyli się swoimi ludźmi. Jeden z nic nie umiał wymawiać mojego nazwiska i mówił je po swojemu. Tyle, że w języku polskim ono brzmiało bardzo znajomo!

Zamiast Bugaj, mówił do mnie „panie Bogaty". Do dziś dla Radka Majdana, Maćka Stolarczyka i chłopaków z tego okresu jestem właśnie „Bogatym". Choć nie mogę powiedzieć, żebym dorobił się na Turkach!

***

A skoro już mówimy o różnych właścicielach, to mogę zdradzić, że nie z każdym pan Ptak rozliczył się do końca. Dużo mówiło się o tym, że on sam jest fair i dba o swoich ludzi, ale ma złych doradców. Mnie oszukał na dwie ostatnie pensje. Wiadomo, że dzisiaj, po dziesięciu latach, nie ma to już żadnego znaczenia, ale nie chciałbym nawet myśleć, że jego dzisiejsza potęga zbudowana jest m.in. na oszukiwaniu takich maluczkich jak ja. A być może on nawet nie wie, że mnie okradł? Może zrobili to jego ludzie? Ciekawe czy zrobiłoby to na nim wrażenie, gdyby ta informacja teraz doszła do niego.

***

Wielu kibiców pamięta, jak prezesem klubu uczynił dwudziestoparoletniego wtedy syna Dawida. To był najbardziej poroniony pomysł. Dał w ręce syna zbyt drogocenną zabawkę. W mojej ocenie on nie był do końca odpowiedzialny, a przy tym nie znał się na piłce.

Z tym człowiekiem nie dało się niestety współpracować. Gdy drużyna wygrywała, to wszystkich zawodników bolały plecy od jego poklepywania. Ale po porażce… Jedyne, co można było zaobserwować, to atak furii. Sposób okazywania przez niego frustracji z pewnością nie przystawał do jego funkcji.

W miarę fajny wpływ na niego miał jedynie jeden z najbardziej inteligentnych nie tylko piłkarzy, ale i ludzi, których znam – Brazylijczyk Julcimar. Potrafił wziąć go na bok i wytłumaczyć mu jego słabe zachowanie. Ale tych ataków furii nawet on nie był w stanie zatrzymać.

ROZDZIAŁ 13

W Weronie wyglądaliśmy jak handlarze

Jacek Cyzio
127 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1968 roku. Pochodzi z Chrzanowa. W pierwszym zespole Pogoni występował w latach 1986-89, 1991 i 1995-96. Jest juniorskim Mistrzem Polski z 1986 roku. Pomógł drużynie wywalczyć awans do najwyższej klasy rozgrywkowej (1992), choć barwy klubu reprezentował jedynie jesienią tego sezonu.

Pochodzę spod Krakowa, ale z Pogonią byłem związany już od czasów juniorskich. Gdy byłem nastoletnim zawodnikiem, regularnie powoływano mnie na zgrupowania kadr młodzieżowych. Dzięki temu zainteresowało się mną kilka poważnych klubów, między innymi Górnik Zabrze, Hutnik Kraków i właśnie Pogoń Szczecin. Wybrałem – a jakżeby inaczej – drużynę najbardziej oddaloną od domu. Przeprowadziłem się na drugi koniec Polski i bardzo szybko musiałem zacząć radzić sobie sam, bez rodziców. Tak naprawdę do dzisiaj nie wiem, dlaczego wybrałem wtedy Pogoń. Mogłem zostać w rodzinnych stronach, dojeżdżać sobie na trening autobusem, a później wracać do domu. Chyba przekonało mnie to, że przedstawiciele klubu byli bardzo konkretni. Poza tym Pogoń była wtedy prowadzona przez uznanego szkoleniowca, trenera Leszka Jezierskiego i miała w składzie kilku reprezentantów Polski.

Doskonale pamiętam moje pierwsze chwile w Szczecinie. Utkwiły mi one głęboko w pamięci. Moja żona do dzisiaj śmieje się, że jeśli obudzi mnie o 2 w nocy i zapyta, kto strzelił bramkę w 1986 roku w 70. minucie meczu 5. kolejki, to natychmiast jej odpowiem. Nie jest to do końca prawda, ale rzeczy-

wiście zdarza mi się wspominać tamte lata.

Dużym wydarzeniem z perspektywy nastoletniego chłopaka spod Krakowa było wejście do szatni ekstraklasowej drużyny. Przebierało się w niej wielu świetnych zawodników, każdy z mocnym charakterem. Liderem grupy był wtedy Kaziu Sokołowski, który karierę zakończył jako reprezentant Polski. Mieliśmy w drużynie również jego brata, Jurka, a także Krzysztofa Urbanowicza czy Janusza Makowskiego. Przy tak wielu silnych osobowościach młodzi nie mieli łatwo. Trzeba było zapracować sobie na zaufanie starszych kolegów, zarówno na boisku, jak i poza nim.

***

Pamiętam, że Kaziu Sokołowski zawsze lubił poczytać sobie „Przegląd Sportowy". Któryś z młodych piłkarzy musiał przed każdym treningiem biec do kiosku i kupić tę gazetę, aby nie narazić się liderowi grupy. Gorzej, gdy wszystkie egzemplarze były wyprzedane. Wtedy trzeba było szukać kiosku do skutku, nie było zmiłuj!

***

Podczas mojej adaptacji w nowym środowisku niemałą rolę odegrał wspomniany trener Jezierski. Był to naprawdę świetny fachowiec. Najpierw musiał się wykrzyczeć, żeby później podejść i przytulić swojego podopiecznego, gdy była taka potrzeba. Dbał o doskonałą atmosferę, potrafił zająć się grupą różnych charakterów i stworzyć kolektyw. Miał swoje przyzwyczajenia, których nigdy nie zamierzał zmieniać. Po każdym meczu ligowym wsiadał do pociągu i jechał do Łodzi. Zespół natomiast wracał do Szczecina i trenował pod okiem Jana Juchy.

Trener Jezierski wracał w środę, a więc w dzień, w którym zawsze mieliśmy gierki podczas zajęć. Obaj szkoleniowcy wybierali sobie zawodników do drużyny. Każdy modlił się, aby nie trafić do składu Jezierskiego. Dlaczego? Otóż graliśmy wtedy na kasę. Za przegranie meczu płaciło się 5 złotych, a za każdą straconą bramkę – złotówkę. A trener Jezierski był znany z tego, że nienawidził przegrywać. Wiedzieliśmy, że w przypadku porażki, będzie – mówiąc kolokwialnie – niezła jazda. Robił więc wszystko, żeby tylko zwyciężyć.

Zmuszał trenera Juchę do wybrania gorszego składu, nie zaliczał niektórych bramek. Był wielkim krzykaczem, ale jednocześnie naprawdę dobrym człowiekiem i świetnym szkoleniowcem.

***

Była jeszcze jedna rzecz, której trener Jezierski nienawidził tak samo mocno, jak porażek – kontuzje. Zawsze był przekonany, że piłkarz symuluje, niezależnie od tego, jak groźny był uraz. Kiedyś Kaziu Sokołowski leżał u masażysty z nogą w gipsie. Do pomieszczenia wszedł trener Jezierski i poprosił o młotek. Podszedł do Sokołowskiego, rozbił mu ten gips i wysłał na trening. Co prawda Kaziu nie mógł biegać, ale szkoleniowca satysfakcjonowało, że przynajmniej spacerował po boisku.

Innym razem podobna sytuacja spotkała mnie. Wróciłem do Szczecina po mistrzostwach Polski juniorów i miałem bardzo mocno zbity mięsień czworogłowy. Nie mogłem podnosić nogi, nie wspominając już o chodzeniu. Gdy chciałem wstać z krzesła, to najpierw podnosiłem kończynę obiema rękami, a później ciągnąłem ją za sobą. Tak się złożyło, że niedługo po tych mistrzostwach pojechałem z drużyną na obóz do Wałcza. Trener Jezierski zaordynował bieganie po górkach, a później jeszcze granie piłką lekarską, która ważyła 5 kilogramów. Starałem się wytłumaczyć szkoleniowcowi, że nie dam rady, ale on pozostawał nieugięty. Poleciało kilka wyzwisk w moją stronę, po czym zacisnąłem zęby i zacząłem biec. Gdy po kilku okrążeniach trener zauważył, że faktycznie coś jest nie tak, bo wszyscy mnie dublują, podszedł do mnie. Nie wiedziałem, czego się spodziewać.

– Dobra, odpocznij sobie, młody – powiedział trener, a ja nie wierzyłem w to, co usłyszałem. – Usiądź na pomoście i włóż nogę do wody.

***

Nie zawsze w Pogoni wszystko układało się dobrze. Swego czasu klub przechodził ogromne problemy finansowe. Nie było pieniędzy na nic, nawet na wodę. Kiedyś przed Wielkanocą powiedziano nam, że wreszcie dostaniemy wypłatę. Oczywiście były to zaległe pensje, które powinniśmy dostać ponad pół roku wcześniej. Cieszyliśmy się jednak, że cokolwiek przyniesiemy albo

przywieziemy do domów. Dostaliśmy wtedy dokładnie po 200 złotych w bilonie. Ustawiliśmy się jeden za drugim, w kolejności od najstarszego do najmłodszego. Jako że byłem wtedy jednym z bardziej wiekowych zawodników, to dostałem wypłatę w monetach dwu- i pięciozłotowych. Ci, którzy byli na końcu kolejki, otrzymali swoje 200 złotych w dziesięciogroszówkach... Bieda była tak duża, że Radek Majdan musiał wyprzedawać swoje meble, żeby mieć za co żyć. Opowiadał nam kiedyś, że doszło do takiej sytuacji, w której został mu w domu sam materac. Domyślam się, że wielu innych chłopaków dorabiało wieczorami albo w nocy, żeby móc trenować i grać. Wszystkim nam zależało na Pogoni i chcieliśmy pomóc temu klubowi. Ja akurat miałem to szczęście, że grając w Legii i w Turcji, odłożyłem nieco pieniędzy. Nie musiałem wyprzedawać rzeczy codziennego użytku.

***

Kibice doceniali nasze poświęcenie i byli z nami zarówno w dobrych, jak i w złych momentach w historii klubu. Pamiętam, że nigdy nie brakowało fanów na trybunach. Tak było w latach 80., nie zmieniło się to też w latach 90. Zawsze mogliśmy liczyć na ciepłe przyjęcie, gdziekolwiek się pojawialiśmy. Gdy spotykaliśmy kibiców w dyskotekach, było bardzo sympatycznie. Mieliśmy zawsze swój stoliczek, mogliśmy w miłej atmosferze potańczyć lub posłuchać muzyki. Czasem ktoś przychodził i prosił o wspólne zdjęcie lub autograf. Zdarzało się nawet, że ktoś płacił za nas rachunki w restauracjach czy pubach, chcąc w ten sposób dać dowód swojej sympatii. Byli też tacy, którzy zapraszali nas do domu na obiad. To wszystko było bardzo miłe i pozwalało budować więź pomiędzy sympatykami Pogoni a nami. Do dzisiaj mam kontakt z kilkoma rodzinami w Szczecinie. Odwiedzam je, gdy mam okazję. Nawet po spadku w 1996 roku nie spotkaliśmy się z jakimiś przykrymi sytuacjami. Kibice rozumieli położenie klubu, wiedzieli, że nie wszystko zależało od piłkarzy.

***

Moje wspomnienia związane z Pogonią to jednak nie tylko biedne czasy. Byłem również uczestnikiem pięknych, pamiętnych chwil w historii Dumy

Pomorza. Mam tu na myśli przede wszystkim dwumecz z Hellasem Werona w Pucharze UEFA. Rewelacyjne przeżycie, które na zawsze pozostanie w mojej pamięci.

Zdarzyła się jednak pewna smutna sytuacja podczas wyjazdu do Włoch. Trzy godziny przed meczem Mariusz Kuras leżał na hotelowym łóżku i zaczął kręcić stopami. Prawdopodobnie się nudził i szukał zajęcia. Spotkał go niewyobrażalny wręcz pech – podczas tak prozaicznej czynności puściło mu ścięgno Achillesa. To była fatalna informacja dla całej drużyny. Nagle najlepszy zawodnik nabawił się poważnej kontuzji, leżąc na łóżku. Brzmi to paradoksalnie, ale tak właśnie było! Co prawda Mariusz zagrał w tym meczu, ale tylko dzięki końskim dawkom leków przeciwbólowych. Później, gdy te środki przestały działać, zaczął odczuwać wielki ból wywołany tym urazem. Pomimo jego poświęcenia, nie zdołaliśmy wygrać tego spotkania. Zaprezentowaliśmy się jednak bardzo dobrze, zebraliśmy pozytywne recenzje. Pamiętam, że wystąpiliśmy nawet w wieczornym programie we włoskiej telewizji. Dostaliśmy tłumacza, który rozmawiał z nami o meczu i kilku innych tematach.

Pomimo porażki bardzo miło wspominam tamten wyjazd. Zobaczyliśmy inny świat. Zwiedziliśmy Weronę, przy okazji pojechaliśmy też do Wenecji, która leży niedaleko. Wszystko robiło na nas ogromne wrażenie. Życie we Włoszech wyglądało zupełnie inaczej, niż w odizolowanej wówczas Polsce. Gdyby ktoś na nas spojrzał, mógłby pomyśleć, że przyjechaliśmy tam pohandlować. Każdy z nas był inaczej ubrany, każdy miał inną torbę. Nie było mowy o jednolitych dresach, nikt się o to nie troszczył w Polsce. Włoscy piłkarze mieli natomiast eleganckie ubrania, wyglądali bardzo profesjonalnie. W dniu meczu przyjechali na stadion w garniturach. Byliśmy oszołomieni tym wszystkim. Zdaliśmy sobie sprawę z tego, jak wielkie były dysproporcje.

ROZDZIAŁ 14

Nie masz stówy? Za pięć dych też polecę!

Krzysztof Czemarmazowicz
Urodził się w 1947 roku. Pochodzi z Łodzi. Uznany sędzia piłkarski. W latach 1985-1989 prowadził mecze ligi polskiej, ale także spotkania międzypaństwowe oraz klubowe na arenie europejskiej. Od dziecka kibic Dumy Pomorza. Pierwsze spotkania, które oglądał z trybun rozgrywały się w latach 50. Skarbnica wiedzy o naszym klubie.

Pogonią zaraziłem się przez mojego ojca, który zabierał mnie w różne miejsca. On znał wielu ówczesnych piłkarzy. Znał też Floriana Krygiera, który bywał u nas w domu. Wtedy klub nazywał się jeszcze Kolejarz Szczecin. Byłem na pierwszym meczu przy świetle elektrycznym, który miał miejsce w Szczecinie. Pogoń grała z Kolejarzem Poznań, późniejszym Lechem. Pamiętam dokładnie, jak zainstalowane były reflektory.

***

Pierwsza siedziba klubu mieściła się przy obecnym Placu Żołnierza Polskiego, w kamienicy o numerze 5, niemal vis-à-vis Bramy Królewskiej. To tak zwane kamienice hugenockie, powstały w XIX wieku i należały do Francuzów. Według moich informacji, tak jest do tej pory. Odbywały się tam spotkania, stamtąd ruszały w pierwszych latach funkcjonowania klubu słynne wyjazdy na mecze na samochodach marki Star. Ja w tym uczestniczyłem osobiście. Mój pierwszy mecz wyjazdowy miał miejsce w 1957 roku w Szczecinku. Pogoń grała wtedy w klasie międzywojewódzkiej, czyli na trzecim poziomie rozgrywkowym.

***

Urodziłem się w Łodzi, jestem szczecinianinem od 1951 roku. Mieszkałem na Pogodnie, a to miejsce, skąd pochodzą najwięksi piłkarze Pogoni, jak na przykład Zenek Kasztelan. Z jego rodziną wiążę się także ciekawa historia. Józef Kasztelan, straszy brat Zenka, był największym talentem jaki pojawił się w Pogoni. To on miał pseudonim „Jojo". Był nieco wyższy od Zenona, ale gdy stanęli obok siebie, to wyglądali niemal jak bliźniacy, choć różnica wieku była spora. Grał w środku pola, to był „kelner", rzucał piłki dokładnie tam, gdzie chciał, miał podanie, uderzenie, był dynamiczny. Józek nie zaistniał, ponieważ na turnieju o Puchar Michałowicza doznał otwartego złamania nogi. To był dramat, ówczesna medycyna nie potrafiła doprowadzić go do stanu, w którym mógłby dalej grać w piłkę. Potem było jeszcze gorzej, ponieważ stracił obie nogi wpadając pod tramwaj. Wielka tragedia. Pseudonim „Jojo" koledzy przenieśli właśnie z Józka na Zenka.

***

4 maja 1958 roku byłem na pierwszym meczu z Lechem w Poznaniu. Pojedynek odbywał się na stadionie Warty, choć Lech miał już swój obiekt na Dębcu. Uzyskali jednak zgodę na grę na Dolnej Wildzie, ponieważ przyjechała nieprawdopodobna liczba widzów ze Szczecina. Mówiło się, że pojawiło się nawet 3 tysiące kibiców Pogoni. Podobno pobito wtedy rekord kibiców ŁKS-u Łódź, którzy sezon wcześniej wybrali się do Zabrza, gdy ich zespół walczył o tytuł mistrzowski.

Lech miał w składzie wielokrotnego króla strzelców Teodora Aniołę. W roku 1957 spadli jednak z I ligi i trafili w II lidze do grupy północnej z Pogonią. Pierwszy mecz odbył się w Poznaniu. Nie mógł w nim zagrać świetny napastnik Pogoni – Henryk Kalinowski. W tym czasie był bożyszczem stadionu, każdy chciał mieć go w drużynie. Do przerwy był remis z lekkim wskazaniem na Lecha. W drugiej połowie Józiu Piątek strzelił po pięknej akcji na 1:0 dla Pogoni. Od tamtego momentu Lech zepchnął nas całkowicie. W samej końcówce Anioła posłał potężną bombę, którą wypiąstkował nasz Ludwik Konarski, a dobitkę zablokował ofiarnie Mieczysław Domżalski. Mecz trwał 97 minut. Sędzia z Koszalina robił wszystko, by doprowadzić do remisu, ale

udało się utrzymać wynik. Wtedy stało się coś nieoczekiwanego.

Poznańscy kibice przymknęli bramy stadionu i gromadzili się na koronie stadionu. Po ostatnim gwizdku zaczęli rzucać wszystkim co mieli pod ręką… kamieniami, butelkami. Polała się krew. Takiej bijatyki wcześniej nie widziano w polskiej piłce. Ja z tatą i jeszcze jednym człowiekiem wydostaliśmy się i udaliśmy na dworzec, ale wiem, że pod stadionem dochodziło do kolejnych burd, wybijano szyby samochodów, przebijano opony. Interwencji milicji praktycznie nie było, może dlatego, że w pamięci były jeszcze wydarzenia z marca 1956 roku.

Jesienią grano rewanż w Szczecinie. Stadion był wypełniony po brzegi. Wtedy Pogoń była faworytem, ale zaczęło się od straty gola. Byłem bardzo zdenerwowany, a miałem tylko 11 lat. Przez płotek przeskoczył kibic z Poznania z bukietem kwiatów i biegł do strzelca gola. Prawdopodobnie był pijany. Wszyscy byli w szoku, że coś takiego się dzieje. Nikt nie mógł go złapać. W końcu jeden z piłkarzy Pogoni, możliwe że Mieczysław Domżalski, podstawił mu nogę. Pogoń potem wyrównała i strzeliła zwycięską bramkę. Tamten sezon Portowcy zakończyli bez porażki i awansowali do I ligi po raz pierwszy w historii.

Od tamtego momentu nastawienie szczecińskiego środowiska sportowego do Poznania było bardzo negatywne. Często ktoś mówi, że Lech to taki i taki, a ja go pytam, dlaczego tak mówi. Mało kto wie, od czego to się zaczęło. To jest prawdziwa historia.

***

W 1957 roku ściągnięto do Szczecina zawodnika, który grał co prawda w drugiej reprezentacji Polski, ale był jednym z najlepszych napastników w kraju. Nazywał się Zdzisław Nowacki. Na stoperze występował z kolei Jan Kauder, nie grał w Szczecinie długo, a przyszedł z Polonii Bytom. Wraz z Leonem Leszczyńskim mieli skłonności do picia alkoholu i jednego z nich trzeba było usunąć. Padło na Kaudera i wówczas napastnik Nowacki zmienił pozycję na stopera.

***

Kibice przychodzili często i w dużej liczbie na treningi. Każdy, kto miał pieniądze, mógł zmierzyć się z piłkarzem w biegu na 400 metrów. Zawodnicy byli zmęczeni po treningu i biegli 400 metrów, a kibice o 100 mniej. Ludzie wpłacali po 100 złotych. Największe wrażenie w tych zawodach robił Zygmunt Przybylski. Był trochę misiowaty, ale szybki. Potrafił czasami ścigać się tak za 50 zł, jeśli ktoś nie miał stówy.

– Za pięć dych też polecę – mówił.

W krótkim czasie potrafił przebiec 800 metrów i zarobić 150 zł. To wszystko działo się na moich oczach.

***

W 1958 roku Pogoń weszła do I ligi. Mistrzem Polski był wtedy ŁKS Łódź, w barwach którego grał Leszek Jezierski zwany „Napoleonem", późniejszy trener Pogoni. To była nieprawdopodobna drużyna, która przyjechała do Szczecina i w 85. minucie straciła gola. Miałem chyba 11 lat, stałem oparty o barierkę i pamiętam, że emocje były ogromne. Wtedy stała się tragedia, ŁKS „wyrwał" remis w 90. minucie! Cały Szczecin płakał, ale najpierw zapanowała śmiertelna cisza! Wtedy Czesław Suszczyk, reprezentant Polski, piłkarz Ruchu Chorzów, który tworzył parę z Gerardem Cieślikiem, napisał list do szczecińskich kibiców, w którym uspokajał ich i pocieszał.

***

Największym prezentem urodzinowym w moim życiu był dla mnie debiut Pogoni w najwyższej klasie 15 marca 1959 roku z Gwardią Warszawa w Szczecinie. Stadion pękał w szwach, przyszło 20 tysięcy widzów, którzy zobaczyli porażkę 0:1. Bramkę zdobył słynny Stanisław Hachorek z podania Krzysztofa Baszkiewicza. Z jednej strony radowałem się z debiutu w elicie, z drugiej w domu płakałem, ponieważ Pogoń przegrała.

***

Człowiekiem bardzo zaangażowanym w organizowanie życia Pogoni był pan Stanisław Lajpold, który wspomagał Lucjana Kosobuckiego. Nie było dla

niego rzeczy nie do załatwienia. Nowi piłkarze mieszkali przez pierwsze dni u niego. Oddawał serce dla klubu. Dostawał zadanie i precyzyjnie wykonywał. W czasie meczów stał zawsze przy bramce i jeśli Pogoń wygrywała, to kazał trampkarzom wolno podawać piłkę. Opieprzał ich, ale sam też zbierał od zawodników rywali. Na przykład od przyszłego trenera Pogoni, a wówczas zawodnika ŁKS-u – Leszka Jezierskiego. Lajpold lubił się z nim drażnić.

***

Ryszard Wiśniewski, który był kapitanem drużyny pod koniec lat 50., grał też w hokeja na lodzie i to nawet w tym samym czasie. Trenował w Pogoni i jeździł na same mecze do bydgoskiej Polonii. Nie było to regularne, ale wiele razy wyjeżdżał. Razem z nim jeździł Zygmunt „Mucha" Czyżewski. Wiśniewski był jednak podstawowym zawodnikiem Polonii, a starszy od niego Czyżewski jedynie rezerwowym.

***

Joachim Gacka przyszedł do Pogoni ze świetnej wówczas Polonii Bytom. Był dobry, ale nie miał tam przebicia, a poza tym był gnębiony ze względu na to, że z pochodzenia był Niemcem urodzonym na Górnym Śląsku, choć oczywiście mówił po polsku. Po wojnie nie wygasły jeszcze wszystkie spory. Służbę wojskową odbył już w Śląsku Wrocław, a gdy miał 26 lat, to przyszedł do Szczecina z trenerem Zygmuntem Czyżewskim. Wcześniej, tuż po wojnie, Gackowie nosili się z zamiarem wyjazdu do Niemiec, bo mieli taki pomysł. Jego rodzina uznała to jednak za zbyt niebezpieczne, ponieważ część pociągów docierała tylko do NRD, a potem ci ludzie trafiali do obozów przejściowych. W Pogoni był kapitanem drużyny. Po karierze wyjechał na chwilę do Stanów Zjednoczonych, a następnie wrócił i chciał na stałe przenieść się do Niemiec, ale to nie było proste. Musiał uciekać. Jego żona Basia miała paszport NRD, w którym wpisany był ich syn Uwe. Wyszło jednak tak, że Uwe miał zostać w Polsce, a pozwolenie na wyjazd dostali tylko oni dwoje. Wyglądało to tak, jakby ich syn miał być zakładnikiem. Na szczęście syn miał też swój paszport, tylko zdeponowany w zespole, w którym śpiewał jako dziecko. Przy pomocy działacza Arkonii udało się odzyskać dokument i jak stali, tak pojechali. Led-

wo przeszli kontrolę na granicy Berlina Zachodniego i Wschodniego. Potem udali się jeszcze do misji wojskowej, by zrzec się polskiego obywatelstwa, bo nie czuli się Polakami, a mieli podwójne obywatelstwo. Achim miał dokumenty, na których było jego pierwotne nazwisko, czyli Gatzka, a nie Gacka jak w polskich papierach. Ubecy i tak zażądali pieniędzy. Ostatecznie wzięli kredyt i wpłacili komunistom dużą kwotę. Joachim przyjeżdżał potem wiele razy do Polski. To mój wielki przyjaciel. Byłem też na jego pogrzebie. Achim był lubiany w Szczecinie, on wychował między innymi Marka Włocha, prowadził w Pogoni juniorów. Nie był wysoki, ale na boisku nadrabiał techniką. Nie bał się wykonywać rzutów karnych.

ROZDZIAŁ 15

Wchodził Marian i orkiestra przestawała grać

Tadeusz Czubak
112 oficjalnych meczów.
Urodził się w 1949 roku. Pochodzi ze Słupska. W klubie występował w latach 1968-1974.

Do Pogoni trafiłem w sierpniu 1967 roku. W Zarządzie Portu byłem zatrudniony dokładnie od 1 września. Przyjechałem do Szczecina na studia. Pochodzę ze Słupska i wychowałem się w klubie Cieśliki. Pogoń już mnie znała, jej ludzie przyjeżdżali na mecze i mnie podglądali, a trochę wcześniej zabrali do siebie Czesława Boguszewicza i Mirka Justka, również chłopaków ze Słupska. Skończyłem ogólniak, zdałem egzaminy na Politechnikę Szczecińską i zacząłem treningi na Twardowskiego. Przez pierwsze trzy lata trenowałem jedynie w rezerwach.

Zatrudnieni byliśmy w Zarządzie Portu, ale… nikt z nas tam się nie pojawiał. Byliśmy oddelegowani na stadion i graliśmy w piłkę. Wcześniej było inaczej. Starsi koledzy opowiadali, że oni rzeczywiście musieli pojawiać się w pracy na kilka godzin, a potem dopiero szli na trening.

Łączyłem studia z grą, ale było dość trudno. Ważniejsze były treningi, a w międzyczasie zaliczałem egzaminy. Najtrudniej było w okresie obowiązkowego studium wojskowego. Bardzo dużo meczów graliśmy na Górnym Śląsku. Czasami jeździliśmy tam co dwa tygodnie. Wracaliśmy całą noc pociągiem, a na godzinę 8 rano trzeba było stawić się już na Krzekowie w jednostce. Człowiek albo się spóźniał, albo był zmęczony. Były z tego kłopoty. Mi nie groziła zmiana klubu, ale gdybym zawalił wojsko, to byłbym usunięty z uczelni.

***

W najlepszej formie byłem za trenera Eugeniusza Ksola. Szkoda, że on wyjechał wówczas do Ameryki. Być może byłbym lepszym zawodnikiem, niż byłem? Mocno się rozwijałem. Potem przyszedł Edmund Zientara, człowiek z innymi treningami i odmiennym podejściem. Mi to nie odpowiadało i zatrzymałem się. Trener Ksol zwracał uwagę nie tylko na technikę, ale też przykładał dużą wagę do tego, żebyśmy dobrze wyglądali fizycznie. Teraz gdy spoglądam na trybuny, to od razu przypomina mi się jak biegaliśmy po tych schodach. Góra, dół, góra, dół. W każdy poniedziałek była taka rundka. Moim kolanom to służyło. Miałem umięśnione nogi, które stabilnie trzymały uszkodzone kolana. Można się śmiać, ale czułem się świetnie. Z Ksolem pracował jeszcze Karel Kosarz, ale on był spoza Polski i nie znał naszych realiów.

W poniedziałki mieliśmy odnowy biologiczne, bo już wówczas funkcjonowały. Chodziliśmy na plac Orła Białego. Odnowa to była sauna oraz masaż. W środy graliśmy często sparingi, a czwartek i piątek to już był przedmeczowy luz.

***

Na naszych meczach zawsze było sporo kibiców. Z niektórymi rywalami, jak z Legią, zdarzało się, że naprawdę dużo. Najczęściej dostawało się sędziemu, ale było to co najwyżej wyzwisko „sędzia kalosz". Nam też się momentami obrywało. Po słabszym meczu można było usłyszeć od fanów: „na Łasztownię wory nosić!". Nie zmienia to faktu, że kibice byli fantastyczni. Gdy jeszcze grał Marian Kielec, to był ich bożyszczem. On czasami trochę udawał, wywracał się w kontakcie z rywalami. Sędziowie się nie nabierali, ale Marian wstawał, podnosił ręce do trybun w geście dezaprobaty, a cały stadion wstawał i z rykiem do sędziego. Następna akcja w polu karnym to już często był rzut karny dla nas.

***

Jeśli ktoś jest legendą Pogoni, to jest to właśnie Kielec. Bardzo fajnie odnosił się też do młodych. Nigdy nie krzyknął, nie powiedział złego słowa, ale

zawsze z uśmiechem tym swoim głosem mówił: „Tadek, przyłóż się, cofnij, powalcz". On zresztą sam zasuwał cały czas. To prawdziwy wojownik. Ludzie go uwielbiali. Cały Szczecin go kochał. Jak Marian wchodził do Kaskady, to orkiestra przestawała grać i robiło się cicho.

– Witamy pana Mariana – mówił prowadzący.

Wiele do powiedzenia w szatni miał też Hubert Fiałkowski, fajnym gościem był Wojtek Frączczak. To byli liderzy, którzy potrafili zmotywować.

***

Mnie też zdarzały się oznaki sympatii. Był taki mecz ze Stalą Rzeszów. Myślę, że oni go doskonale pamiętają. Wygraliśmy go 4:3, ja zdobyłem trzy gole, w tym tego zwycięskiego w samej końcówce. Stal spadła i do tej pory Rzeszów nie wrócił do elity, a mnie tam wspominają.

Nie byłem wielkim piłkarzem. Dla mnie zaszczytem było wyjść w pierwszym składzie. Zagrać przed pełnym stadionem, a później wyjść na miasto i cieszyć się, że ludzie cię poznają i mówią „dzień dobry". Człowiek chciał tylko zagrać cały mecz, bo jak schodziło się przed końcem, to już nie było to samo. Pieniądze się nie liczyły, a zresztą były średnie. Byliśmy drużyną. Wspólnie chodziliśmy na obiady i na basen przy stadionie. Ja byłem w młodszej grupie, w której było kilku chłopaków z rezerw, ale też m. in. Mirek Justek, Czesiek Boguszewicz czy Zenon Kasztelan. Zenek, mimo że był w zbliżonym wieku, to nas ochrzaniał. On zwyczajnie bardzo dobrze grał w piłkę i często miał rację. Też był wojownikiem, potem ciągnął drużynę do przodu.

Zdarzały się spotkania, w których nie szło nam najlepiej. Wtedy do szatni wchodził w przerwie szef Lucjan Kosobucki i motywował. Miał rację – na trybunach tyle osób, a my graliśmy słabo.

– Jak wygrywacie, to mi załoga w porcie lepiej pracuje – mówił.

Po sezonie wyjeżdżaliśmy w nagrodę do NRD, Danii czy Szwecji. Graliśmy kilka meczów towarzyskich dla przyjemności, ale mogliśmy też sobie kupić ciuchy, których u nas nie było.

***

Karierę zakończyłem wcześnie. Nie mogłem znaleźć sobie odpowiedniego miejsca na boisku. Nie miałem jednej pozycji, na której mógłbym grać.

Ktoś zagrał słabo? To Czubak w następnym meczu zagra za niego. Grałem w pomocy, na skrzydle, w ataku, w obronie. Nie pomogło mi także to, że gdy miałem kilkanaście lat, wycięli mi łąkotkę. Zapowiadałem się naprawdę dobrze. Grałem w kadrze narodowej juniorów, ale w małej miejscowości nie mieli innego sposobu leczenia. Potem się z tym męczyłem do samego końca gry w piłkę. Lekarze powiedzieli, że nie mam dużej szansy, żeby grać poważnie w piłkę. Wytrzymałem jednak do 1975 roku.

Potem jeszcze pograłem w Stali Szczecin, byłem też w Stali Mielec. W Pogoni nie chciał mnie już trener Edmund Zientara. Zostałem przesunięty do rezerw, nie pojechałem na obóz, więc zdecydowałem się na przeprowadzkę do Mielca i grałem tam rok. Los tak sprawił, że Zientara potem także trafił do Mielca. Delikatnie mówiąc… nie miałem u niego „chodów".

ROZDZIAŁ 16

Chodź, potańczymy, bo co innego nam zostało?

Dariusz Dalke
Urodził się w 1966 roku.
W latach 90. rozpoczął pracę w Pogoni Szczecin jako masażysta. Pełnił tę funkcję do 2004 roku. Do klubu powrócił w 2011 roku w roli fizjoterapeuty i pracuje w nim do dziś.

Z początkiem lat 90. zaczęła się moja przygoda z Pogonią Szczecin. W dużej mierze dzięki temu, że jednym z moich nauczycieli akademickich był Bogusław Baniak, który pełnił wówczas jednocześnie funkcję asystenta trenera w klubie. Podczas jednych z zajęć „Bebeto" zapytał mnie, czy nie chciałbym spróbować swoich sił w Pogoni, która akurat potrzebowała masażysty. Nie zastanawiałem się długo i skorzystałem z propozycji. Gdy po raz pierwszy wszedłem do szatni Pogoni, przeżyłem lekki szok. Byłem oko w oko z zawodnikami, których do tej pory widziałem tylko w telewizji albo słyszałem o nich w radiu. W tamtych latach przebierali się tutaj tacy piłkarze, jak Andrzej Miązek, Jacek Cyzio, młody Dariusz Adamczuk albo Mariusz Kuras. Te nazwiska robiły na mnie wrażenie. Spodobało mi się i zostałem w Pogoni na dłużej. Pamiętam doskonale moje początki: byłem jedynym masażystą na 20 „chłopa", więc ręce bolały jak diabli. Gdy kończyłem pracę, czułem się jak „RoboCop". Nie mogłem ruszać rękoma! Bardzo mi jednak zależało na tej pracy. Podobnie jak piłkarze mogę powiedzieć, że cechowała mnie ogromna ambicja. Wtedy nie miałem jednak jeszcze wystarczającej wiedzy.

***

Największą katorgę przeżyłem podczas obozu w Polanicy w 1991 roku. Brakowało mi umiejętności organizacji pracy, dopiero poznawałem specyfikę

tej profesji. Zapamiętałem jedną śmieszną sytuację z tamtego zgrupowania. Trener Eugeniusz Różański miał dwóch asystentów: Bogusława Baniaka i Jerzego Jatczaka. Ten drugi miał dość poważne problemy z kolanami. Na jego nieszczęście trener Różański lubił dzielić piłkarzy na dwie grupy, każdej z nich przypisywał jednego ze swoich asystentów, którzy mieli biegać z zawodnikami. Szkoleniowiec Jatczak, chcąc tego uniknąć, siadał wieczorami na krześle, brał łyżeczkę i stukał sobie w kolana, aby spowodować opuchliznę. Wiedzieli o tym wszyscy, tylko nie trener Różański. Cały obóz śmiał się z tej sytuacji. Podczas tego samego zgrupowania spotkało mnie też mniej śmieszne doświadczenie. Pewnego dnia chciałem być jak najbardziej profesjonalny, więc wyczytałem w jakiejś książce, jak przygotowuje się specjalne napoje odżywcze. Zrobiłem te mieszanki, zapakowałem do torby i poszedłem na miejsce, w którym miał czekać autokar. Okazało się, że drużyna nie poczekała na mnie i pojechała sama. Czułem wtedy duży niesmak, bo bardzo się starałem, a nie byłem doceniany. Zawziąłem się jednak, zmotywowałem jeszcze bardziej i od tamtego czasu wstawałem wcześniej, żeby zawsze zdążyć przygotować odżywki. Dzięki takiemu przetarciu byłem pewny, że dam sobie radę w tym zawodzie. Później było mi już dużo łatwiej, bo potrafiłem odnaleźć się właściwie w każdej sytuacji. Zacząłem też zgrywać się z drużyną, miałem coraz lepsze relacje z piłkarzami i trenerami. Dzięki temu byłem świadkiem wielu ciekawych wydarzeń, które z biegiem lat zamieniły się w anegdoty.

***

Jedna z nich wydarzyła się jeszcze za czasów trenera Różańskiego. Otóż pewnego dnia ten szkoleniowiec przyszedł do mnie.

– Darek, daj mi witaminę C w tabletkach – rzucił.

– Coś trenerowi dolega? – dopytywałem.

– Po prostu daj mi te tabletki i łyżeczkę – nalegał.

Nie wnikałem już więcej, dałem te witaminy i zająłem się swoimi sprawami. Później widziałem, jak trener skruszał te tabletki, wzywał do siebie 2-3 zawodników, o których wiedział, że są słabi psychicznie i nie zawsze dają z siebie wszystko podczas meczu. Każdy osobno wchodził do gabinetu i dostawał enigmatyczne lekarstwo, które według trenera miało spowodować ogromny przypływ siły i motywacji. Po jednym z meczów piłkarz, który zażył skruszo-

ną witaminę C przyszedł do mnie i zapytał, co takiego dał mu trener. Skłamałem, że nie mam pojęcia.

– Wiesz co? Po tych tabletkach czuję, że mógłbym jeszcze raz wybiec na murawę i dosłownie zaorać boisko! – przekonywał piłkarz.

To się dopiero nazywa placebo!

***

Inna anegdota dotyczy trenerów Leszka Jezierskiego i Bogusława Baniaka. „Bebeto" zawsze lubił przeprowadzać analizy taktyczne przeciwnika przed meczami. Drużyna siedziała wtedy w jakimś pomieszczeniu, słuchała tego, co trener Baniak miał do powiedzenia. Nagle pojawiał się trener Jezierski.

– Boguś, o czym ty opowiadasz? – pytał z przekąsem. – Ja tu nikogo nie znam, chłopcy też nikogo nie znają. To rywale mają znać nas! – dodawał, podnosząc głos.

Wszyscy zawodnicy byli wpatrzeni w tego szkoleniowca. Był naprawdę wielką osobowością. Ja zawsze się śmiałem, że gdy jechaliśmy gdzieś z trenerem Jezierskim, to bramy same się otwierały.

***

Kilka lat później, gdy Bogusław Baniak był już I trenerem Pogoni, jechaliśmy na turniej beniaminków do Mławy. Wraz z drużyną był Grzesiu Więzik, który przez tydzień był testowany w Pogoni. Gdy dotarliśmy na miejsce, zespół dowiedział się, że zawodnik ten trafił już do Dyskobolii Grodzisk Wielkopolski. Piłkarze i trenerzy uznali go więc za zdrajcę. Tak się złożyło, że pierwszy mecz tego turnieju rozgrywaliśmy właśnie z Dyskobolią. Podczas odprawy przed tym spotkaniem trener Baniak całą uwagę poświęcił Więzikowi. Mówił, że gościliśmy tego zawodnika, chcieliśmy go przyjąć do drużyny, a on pod osłoną nocy dopuścił się zdrady i zmienił barwy. Ta przemowa tak na mnie zadziałała, że gdy wyszedłem z szatni, to dosłownie chciałem biegać z nożem za tym Więzikiem! Trener Baniak był zdecydowanie jednym z najlepszych motywatorów, jakich kiedykolwiek widziałem. Pamiętam, że lubił też odwoływać się do rodziny i regionu, z którego dany zawodnik się wywodził. Kiedyś w przerwie jakiegoś meczu podszedł do Artura Bugaja, który nie wy-

korzystał dogodnych okazji strzeleckich.

– Słuchaj, ty się dzisiaj skompromitowałeś. Ale wiesz co jest najgorsze? Że skompromitowałeś całą swoją rodzinę, cały Szczecin, cały region! – krzyczał na naszego napastnika.

Trener nie oszczędzał nikogo, potrafił dosadnie wyrazić swoje przemyślenia. Myślę, że też lubił robić show wokół siebie.

***

W końcówce lat 90. Pogoń przeżywała olbrzymie problemy finansowe. Brakowało pieniędzy dosłownie na wszystko. Doszło nawet do tego, że klub zalegał z opłatami za energię elektryczną, w związku z czym musieliśmy kąpać się w zimnej wodzie. Pamiętam, że był to październik, 10 dni przed meczem z Legią Warszawa. Chłopaki radzili sobie w tej sytuacji bardzo sprytnie: kąpali się pod zimną wodą, a następnie biegli do sauny, żeby się ogrzać. Ogrzewanie zadziałało ponownie dopiero w dniu meczu z Legią, żeby nie skompromitować się przed klubem ze stolicy. Nawiasem mówiąc, wygraliśmy tamto spotkanie 3:1.

Co ciekawe, w okresie największej biedy atmosfera wewnątrz zespołu była najlepsza. Wszyscy się wzajemnie szanowali, razem wychodzili na jakieś zabawy. Gdy natomiast było dużo pieniędzy, jak za czasów Sabriego Bekdasa, to nie było już takiego „team spirit". Przed wspomnianym meczem z Legią doszło do jeszcze jednej pamiętnej sytuacji. W moim gabinecie zawsze było radio. Przyszedł do mnie Piotr Mandrysz, podkręcił maksymalnie dźwięk. Obok przechodził Andrzej Rycak.

– Rycy, chodź, potańczymy sobie, co nam innego zostało? – rzucił z uśmiechem w kierunku kolegi.

Chłopaki próbowali zdjąć z siebie presję przed ważnym meczem. Mam też wrażenie, że to był wyraz ich bezsilności wobec panującej wtedy sytuacji.

***

Trenerzy też lubili oddać się innym zajęciom, niż piłka nożna. Przypomina mi się wyjazd na obóz do Słubic z trenerem Romualdem Szukiełowiczem. Był to człowiek, który chętnie grywał w tenisa. Nie byłoby w tym nic nadzwy-

czajnego, gdyby nie fakt, że grał on wyłącznie forhendem[6]. Gdy posyłałem mu piłki, które należałoby odbić bekhendem, on odwracał całe ciało i znów zagrywał forhendem. Wychodziło mu to prawie równie dobrze prawą, jak i lewą ręką. Trzeba przyznać, że trener Szukiełowicz prezentował niespotykany sposób gry w tenisa. Standardowo grał natomiast Piotr Mandrysz, który stał się całkiem dobry w tej dyscyplinie sportu za sprawą pewnej kontuzji. Po prostu musiał grać w tenisa w ramach rehabilitacji. Darek Szubert i Darek Adamczuk również dobrze czuli się na korcie.

***

Oczywiście nie jest tak, że wszystkie moje wspomnienia związane z Pogonią to luźne, śmieszne anegdoty. Wspomniałem wcześniej o tym, że w czasach, kiedy nie było na nic pieniędzy, wszyscy tworzyliśmy zgraną paczkę. Gdy natomiast klub został przejęty przez Antoniego Ptaka, który nie żałował grosza i wprowadził do Pogoni wielu swoich ludzi, atmosfera znacznie podupadła. W klubie kręciło się wiele osób, które nie miały do siebie wzajemnie zaufania. Odnosiłem też wrażenie, że tak naprawdę nie interesuje ich los Pogoni, bo większość z nich pochodziła z Łodzi i ze Szczecinem nie miała nic wspólnego. W końcu doszło do bardzo smutnego dla mnie dnia. Był to 13 grudnia. Dowiedziałem się wówczas z gazety, że nie pracuję już w Pogoni. Taki sam los spotkał „Ola" Moskalewicza i Sławka Rafałowicza. Do dziś nikt mi nie powiedział prosto w oczy, dlaczego zrezygnowano ze współpracy ze mną. Po wielu latach, gdy rozmawiałem z chłopakami, powiedzieli mi, że było to spowodowane kontuzjami Brazylijczyków, którzy grali wówczas w Pogoni. Ja zawsze zalecałem cierpliwość przy różnego rodzaju urazach, chciałem, żeby piłkarze spokojnie doszli do siebie. Władzom klubu brakowało jednak tej cierpliwości i wysyłali zawodników do lekarza w Łodzi, który robił zastrzyki domięśniowe, żeby tylko uśmierzyć ból i zezwolić na grę. Nikt nie myślał o dalekosiężnych konsekwencjach, wszystko odbywało się na dużym ryzyku. Problemy nawarstwiały się, a ja opuściłem Pogoń na kilka lat. Wróciłem jednak w 2011 roku i od tamtego momentu pracuję już bez przerwy w Dumie Pomorza.

6 Sposób uderzenia rakietą tenisową, podobnie jak bekhend.

ROZDZIAŁ 17

Biegłem z wielkim telefonem przy uchu, a obok latały ławki

Piotr Dębowski
Urodził się w 1965 roku. Pochodzi z Koszalina.
Początki jego dziennikarstwa wiążą się ze Szczecinem. W latach 90. relacjonował mecze Dumy Pomorza dla Radia AS i Radia ABC. Zdarzało mu się być spikerem podczas meczów Pogoni. Od 20 lat w redakcji sportowej TVP, z którą – jako sprawozdawca – relacjonował Igrzyska Olimpijskie w Sydney 2000, Atenach 2004, Turynie 2006, Pekinie 2008, Vancouver 2010, Londynie 2012, Soczi 2014 oraz Pjongczangu 2018.

Urodziłem się w Koszalinie, tam też ukończyłem Technikum Elektroniczne. Chciałem kontynuować kształcenie w tym kierunku, więc zdecydowałem się na przeprowadzkę do Szczecina, aby uczyć się na tutejszej Politechnice. W trakcie studiów dołączyłem do klubu studenckiego „Pinokio", dzięki któremu łatwiej mi było znaleźć sobie różne zajęcia. Pomagałem na przykład przy organizowaniu koncertów, zająłem się także konferansjerką. Kiedyś zorganizowano nabór do pierwszego radia komercyjnego w Szczecinie. Rozgłośnia nosiła nazwę AS. Zainteresowanie było naprawdę duże, zgłosiło się ponad stu kandydatów. Udało mi się jednak przekonać do siebie ludzi odpowiedzialnych za rekrutację i tak zaczęła się moja przygoda z dziennikarstwem. Na początku nie pracowałem w redakcji sportowej. Przeszedłem do niej dopiero po jakimś czasie, gdy mój pracodawca nabrał do mnie zaufania. Wtedy właśnie zetknąłem się z Pogonią i zacząłem pracować przy niej jako dziennikarz.

Relacje z zawodnikami budowaliśmy jako dziennikarze na stadionie, ale nie tylko. Zawsze przypominają mi się moje wizyty na dawnym basenie WDS-u. W miesiącach letnich, zwłaszcza w przerwie między sezonami, spotykałem tam często piłkarzy Dumy Pomorza. Bywał tam i Radek Majdan, i Maciek Stolarczyk, i Grzesiek Niciński, i wielu, wielu innych. Takie spotkania były świetną okazją do tego, aby poznać się od nieco innej strony, porozmawiać na spokojnie, pożartować.

***

Co tydzień w Radiu AS mieliśmy audycję, w której podsumowywaliśmy najważniejsze wydarzenia sportowe w regionie. Poza tym zapraszaliśmy zawsze jakąś znaną osobę do studia. Pewnego razu zawitał do nas Radek Majdan i to właśnie z nim wiąże się ta historia. Dawaliśmy naszym słuchaczom szansę na aktywne uczestniczenie w audycji – mogli dzwonić i zadawać pytania naszemu gościowi. W przypadku Majdana skończyło się to tak, że dzwoniły głównie kobiety i dyskusja o sporcie przerodziła się w cykl porad dotyczących pielęgnacji włosów. Muszę przyznać, że Radek miał o tym naprawdę duże pojęcie i dzielił się ze słuchaczami cennymi wskazówkami.

***

Pogoń nierozłącznie będzie mi się kojarzyć z meczem z Lechem Poznań z sezonu 1994/95. Mówię o legendarnym spotkaniu, w którym szczecinianie przegrywali 0:2, a ostatecznie zwyciężyli 3:2. Miałem przyjemność komentować tę potyczkę dla Radia ABC, do którego przeszedłem z ASa. W tamtych czasach relację na żywo prowadziliśmy za pomocą wielkich telefonów z antenami. Pamiętam, że po trzeciej bramce dla Pogoni stadion wręcz oszalał ze szczęścia. W zdecydowanie innych nastrojach byli kibice przyjezdnych, którzy z wściekłości zaczęli wyłamywać ławki.

Tak się złożyło, że moje stanowisko ulokowane było bardzo blisko sektora poznaniaków. Biegałem więc z potężnym telefonem przy uchu, nadawałem na żywo, a obok mnie przelatywały różne drewniane fragmenty ławek. To była dość nietypowa sytuacja, ale nie chciałem przerywać swojej relacji. Kilka dni po tym meczu mój kolega Marek Biczyk, który jako fotoreporter pracował

dla wielu szczecińskich gazet, opowiadał mi, że jechał samochodem podczas trwania tego meczu. Słuchał wówczas mojej relacji i w pewnym momencie musiał zjechać na pobocze, aby dotrwać do końca. Sytuacja była na tyle dramatyczna, że Marek nie mógł skupić się na prowadzeniu pojazdu i wolał nie prowokować niebezpiecznej sytuacji na drodze.

***

W 1995 roku trener Orest Lenczyk rozpoczynał pracę w Pogoni. Chciałem umówić się z nim na wywiad dla TVP Szczecin, w której wówczas byłem zatrudniony. Wiedziałem, że jest on dość specyficznym, trudnym w kontaktach medialnych szkoleniowcem. Zadzwoniłem jednak do klubu, uzgodniłem datę rozmowy. We wskazany dzień przyjechałem na stadion, podszedłem do trenera Lenczyka i przedstawiłem się. Nowy sternik Portowców wyciągnął do mnie rękę na przywitanie, a następnie trzymał moją dłoń przez kilkadziesiąt sekund, patrząc jednocześnie na mnie. Czułem się dość niezręcznie, nie wiedziałem, o co chodzi trenerowi. Myślę, że chciał mi się po prostu dobrze przyjrzeć, ocenić, kim jestem. W każdym razie udało nam się nagrać tę rozmowę.

***

Kilka razy zdarzyło mi się zastępować Piotra Baranowskiego w roli spikera stadionowego. Wiedziałem mniej więcej, na czym to polega, ale nie zajmowałem się tym na co dzień. Pamiętam, że podczas jednego z meczów, w którym pełniłem funkcję spikera, nie działo się zbyt wiele. Po kilku minutach nudy rywale przeprowadzili akcję skrzydłem i jeden z piłkarzy dośrodkował piłkę w pole karne. Bez problemu złapał ją Radek Majdan. Ja natomiast sięgnąłem po mikrofon i wykrzyczałem: „Piękna interwencja Radosława Majdana!". W tym momencie kilkanaście tysięcy widzów wybuchnęło śmiechem. Wszyscy kibice wiedzieli, że wyłapanie takiej piłki nie może być dla golkipera żadnym wyzwaniem. Ja jednak uznałem, że warto byłoby cokolwiek powiedzieć i okazało się, że rozbawiłem tym fanów Pogoni. Być może uznali oni, że mój komentarz miał formę żartu?

ROZDZIAŁ 18

Jeden z wnuków ma na imię Florian

Barbara Dilmann (z d. Krygier)
Urodziła się w 1951 roku w Szczecinie. Córka śp. Floriana Krygiera, którego imieniem nazwane są Stadion Miejski w Szczecinie oraz jedna z głównych arterii wjazdowych do Szczecina.

Urodziłam się w 1951 roku w Szczecinie, w szpitalu przy ulicy Piotra Skargi. Moim tatą jest Florian Krygier. Jestem jedynaczką. Od 1989 roku mieszkam w Niemczech. Obecnie we Frankenthal, 10 kilometrów od Ludwigshafen. W Niemczech rozwiodłam się z pierwszym mężem i wyszłam za mąż po raz drugi w 2011 roku. Obecny mąż bardzo żałuje, że nie poznał mojego taty. Jest kibicem piłki nożnej, jako młody człowiek grał w piłkę amatorsko.

***

Moi rodzice żyli od około 1954 roku w separacji. Tata po paru latach wyprowadził się, my z mamą też zmieniłyśmy mieszkanie. Mogę jedynie podejrzewać, że małżeństwo moich rodziców rozpadło się z powodu Pogoni i tego, że tata wiele czasu spędzał na stadionie. Żadne z nich nie wystąpiło jednak o rozwód.

***

W 1960 roku szłam do pierwszej komunii. Wtedy do naszego domu przyszedł ksiądz. Nie pamiętam już jak się nazywał, ale był wielkim kibicem Pogoni.

– Przystąp do sakramentu tydzień później – zaczął mnie prosić.

Akurat w tę niedzielę tata był z drużyną na meczu wyjazdowym. Ja się wtedy nie zgodziłam, bo chciałam iść do komunii razem z moimi koleżankami. Tata nie był więc na uroczystości, ale później robił mi zdjęcia, ponieważ przez cały tydzień po komunii musiałam chodzić rano do kościoła.

***

Gdy byłam mała, to chodziłam z mamą na mecze. Raz nawet miałam mały wypadek. W czasie przerwy bawiłam się na niedokończonej budowie na stadionie i „nadziałam" się nogą na wystający drut. Mama wyciągnęła mi nogę i zaniosła mnie do lekarza Pogoni – pana Danyluka. Nie doszło do żadnego złamania, ale bliznę mam do dzisiaj. Działo się to na jakimś bardzo ważnym meczu wiosną albo latem 1958 roku. Później nie chodziłyśmy już na mecze.

***

Tatę odwiedzałam dosyć często. Mama wsadzała mnie do autobusu, a wieczorem tata odwoził taksówką. Gdy byłam starsza, to chodziłam już do niego sama. Jeśli miałam coś ważnego, to szłam też na stadion, aby się z nim spotkać. Czasami się nie udawało. To były czasy bez telefonów komórkowych i sekretarek w telefonie.

***

Naturalnie rozmawialiśmy czasami o tym, co robi na stadionie, czym się zajmuje. Jeśli czegoś potrzebował, to mu pomagałam. Szyłam na przykład flagi państw na Minimistrzostwa Świata. Tata pracował z młodzieżą jeszcze przed II wojną światową, gdy był nauczycielem w gimnazjum. Może stąd jego zamiłowanie do szkolenia młodych piłkarzy?

***

Był raczej skrytym człowiekiem. Bywał pogodny najczęściej, gdy była mowa o piłce. Bywał też zły, gdy coś nie szło po jego myśli. Robił mnóstwo zdjęć. Jego mieszkanie było pełne fotografii, a na biurku leżała cała masa piłkarskich zapisków. Mogę też powiedzieć, że bardzo dobrze gotował. Jego bigos był wspaniały. Potrafił też przyrządzić sandacza w galarecie. Nie piekł

jedynie ciast, ale gdy tylko mógł, to celebrował popołudniową kawę, do której koniecznie zajadał kawałek ciasta albo tortu.

Potem odwiedzał nas często w Niemczech. My też przyjeżdżaliśmy do Szczecina. Ostatnie lata jeździłam sama albo z moimi córkami na jego urodziny. Mamy dużo miłych wspomnień.

***

1 listopada nie byłam na grobie taty, ale moi przyjaciele, państwo Surmaczowie, w moim imieniu opiekują się grobem, stawiają znicze i kwiatki. Mogę sobie wyobrazić, że na grobie stoi bardzo dużo lampek. Przecież podczas pogrzebu było parę tysięcy ludzi.

Co do pochówku, to tata chciał pierwotnie być pochowany w swoich rodzinnych stronach, a dokładnie w miejscowości Kołdrąb, tuż obok Posługowa, gdzie się urodził. Ja oraz kilka innych osób, a myślę, że udział w tym mieli też Andrzej Obst, przyjaciele z portu, może Waldek Kaszubski, przekonaliśmy tatę, że jego serce należy do Szczecina i on zmienił swoją pierwszą decyzję.

Spowodowało to pewne nieporozumienia w rodzinie. Część bowiem pragnęła tego, by tata spoczął w pobliżu rodzinnej wsi. Do tej pory z częścią rodziny nie mam z tego powodu kontaktu.

***

Pierwszą osobą, która kojarzy mi się z Pogonią, jest Andrzej Obst. On opiekował się tatą, działał też w Pogoni. Tej starszej generacji, którą znałam, już nie ma. Był to między innymi pan doktor Danyluk, pan Roman Wilczek, pan Kliks, który pracował w porcie i często bywał u taty. Naturalnie znałam też Włodka Obsta.

***

Jestem bardzo dumna, że stadion i była Szosa Poznańska noszą imię mojego ojca. Mam dwie córki, które są także bardzo dumne z dziadka i wiedzą, jak ważną był osobą dla Pogoni. Jeden z moich wnuków ma na imię Florian. Mamy świadomość tego, jaką legendą jest ojciec dla Pogoni.

ROZDZIAŁ 19

Kałuża! Duża? Józek Kałuża!

Zbigniew Długosz
104 oficjalne mecze w Pogoni.
Urodził się w 1954 roku. Pochodzi z Wrocławia. W klubie występował w latach 1978-85. Wywalczył awans do ekstraklasy (1981). Zagrał w finale Pucharu Polski (1981). W lidze zdobył z Dumą Pomorza brązowy medal (1984). Przez lata pracował w klubie jako trener bramkarzy. Pełnił tę rolę, gdy Pogoń ponownie dotarła do finału Pucharu Polski (2010).

Moi rodzice mieli we Wrocławiu trudne warunki lokalowe. Chciałem im pomóc, wyprowadzając się z domu, bo w dwupokojowym mieszkaniu było nas osiem osób. Mieszkali tam rodzice, siostra z mężem i dwójką dzieci, brat i ja. Nie było tam normalnych warunków do życia, nauki czy wypoczynku. Musiałem coś z tym zrobić i starałem się w Śląsku o kawalerkę. Niestety w klubie nie było wówczas takiej możliwości, żeby dostać mieszkanie. Kazimierz Igielski przenosił się wówczas z wrocławskiej Stoczni Rzecznej do Żeglugi Szczecińskiej. Znał moją sytuację i postanowił ściągnąć mnie do Pogoni. Zdecydowałem się na przenosiny, ponieważ tutaj zagwarantowano mi właśnie mieszkanie.

Jestem typem domatora i sporadycznie wychodziłem na imprezy. Być może to zaważyło też na tym, że nie miałem przełożenia na kolegów z drużyny. Wszyscy bawili się i integrowali podczas wyjść, a ja wolałem zacisze domowe.

Po przeprowadzce moim sąsiadem był nieżyjący już były piłkarz Pogoni Andrzej Krawczyk. Mieszkaliśmy drzwi w drzwi. Wspólnie zabudowaliśmy

korytarz i dużo czasu spędzaliśmy razem.

Przychodząc do Pogoni, trafiłem na Wojtka Frączczaka, Ryśka Buta i Marka Szczecha. Takie trio w drużynie, naprawdę miałem z kim rywalizować!

***

Po tym, jak przeniosłem się z Wrocławia do Szczecina, niestety napotkałem na trudności z edukacją. Wcześniej, także dlatego, by uniknąć powołania do wojska, studiowałem zaocznie na Dolnym Śląsku turystkę i rekreację. Po przeprowadzce nie przepisano mi ocen i studia dzienne na Wydziale WF WSP musiałem zaczynać od nowa. Nie była to łatwa uczelnia, ale udało mi się ją skończyć.

Musiałem pogodzić treningi w Pogoni z zajęciami na uczelni. Nieraz usypiałem nad książką, bo nie byłem w stanie fizycznie tego wytrzymać. Trzeba było chodzić na uczelnię, a treningi najczęściej wypadały mi w tym samym czasie, kiedy trwały zajęcia z języka rosyjskiego. Nie zaliczyłbym tego przedmiotu, gdyby nie pomoc dziekana, który był kibicem naszego klubu. Poszedł do pani magister i jakoś tam ją udobruchał.

***

Odkąd trafiłem do Pogoni, to żartów w zespole nigdy nie brakowało. Byliśmy kiedyś w Kopenhadze i tam jest hala Broendby, która wygląda jak bunkier. Tylko beton, stal i szkło. Sama surowizna, wszystko zrobione oszczędnie. Poszliśmy tam pod prysznice. U nas były dwa kurki, z ciepłą i zimną wodą. Z kolei tam był jeden. Numer polegał na tym, że jak ktoś nie wiedział, w jaki sposób to się obsługuje, to nie miał szans na umycie się. Można było kręcić ile się chciało, ale woda leciała dopiero po tym, gdy pociągnęło się kurek do siebie.

Wszyscy zdążyli się wykąpać i dopiero wtedy przyszedł Roman Klasa, który nosił długie włosy. Wycieraliśmy się i patrzyliśmy na to, co Roman robi. On kręcił kurkiem w lewo i prawo, a woda nie leciała.

– Roman, tupnij nogą, wtedy na pewno poleci! – wypuściłem go.

On to zrobił.

– No, mocniej tupnij! – zachęcałem.

On znowu. Z prysznica nie poleciała jednak ani kropla.

– Czemu to robisz prawą nogą? – zapytałem. – Lewą musisz!

No to on dalej tupał. Wtedy podszedłem do niego, tupnąłem nogą i puściłem wodę. Roman był zadowolony, ale zanim odszedłem, to wyłączyłem mu prysznic.

– Pamiętaj, musisz mocno tupać, wtedy to działa – dopingowałem go, a cała drużyna miała używanie. W końcu zlitowałem się i pokazałem mu, jak naprawdę odkręca się wodę.

Po kąpieli przyszedł do szatni, gdzie znajdował się głośnik do złudzenia przypominający suszarkę. Ja akurat stałem pod nim.

– Świetna ta suszarka, można elegancko wysuszyć włosy i do tego porządnie się wyczesać – zachęcałem go.

Chwilę później i on stanął pod głośnikiem, licząc, że też uda mu się wysuszyć swoje długie włosy. Wtedy nie wytrzymaliśmy i wszyscy zaczęliśmy pokładać się ze śmiechu.

***

Po tym, gdy w 1984 roku zapewniliśmy sobie możliwość gry w europejskich pucharach, Jerzy Korzonek, który był ówczesnym Ministrem Gospodarki Morskiej oraz działaczem Pogoni, wyszedł z propozycją, że załatwi nam autokar. Wszystko po to, żebyśmy godnie reprezentowali Polskę na arenie międzynarodowej.

W lidze na mecze wyjazdowe jeździliśmy starym słoweńskim TAM-em, a tu przyjechał trochę lepszy autokar. To był chyba ikarus. Nowy pojazd zrobił na nas rewelacyjne pierwsze wrażenie.

Ze Szczecina do Niemiec wyjeżdżaliśmy dwa dni przed pucharowym meczem z FC Köln. Przywitało nas dwóch kierowców, ubranych w eleganckie garnitury.

Ruszyliśmy wreszcie w trasę, ale daleko nie ujechaliśmy. Po około 100 kilometrach pękła nam pierwsza opona. Panowie kierowcy jeszcze się nie przebierali, tylko szybko ją wymienili. Po przejechaniu kolejnych 150 kilometrów pękła kolejna! Wtedy już nie mieli wyjścia i zmienili garnitury na robocze uniformy. Wymiana tej opony zajęła im już więcej czasu. Wszystko działo się

na autostradzie. Ruszyliśmy dalej w drogę i niedługo później… wystrzeliła nam trzecia opona, a nie mieliśmy już żadnego koła zapasowego! Normalnie „śmiech na sali"! Kierowcy zmuszeni byli robić „przekładki". Przełożyli jedną oponę ze środka i dali ją na zewnątrz, by móc jakoś kontynuować podróż.

I tak sobie później jechaliśmy z prędkością 50 km/h. Zakładaliśmy, że do punktu docelowego dojedziemy o godzinie 20. Na kolację mieliśmy dotrzeć do hotelu położonego około dwóch godzin drogi od Köln. Nie było wtedy telefonów komórkowych, więc nie mogliśmy nikogo poinformować o sytuacji i naszym spóźnieniu.

Gospodarze naszego hotelu w Niemczech denerwowali się, wyjeżdżali na autostradę i szukali nas. Ostatecznie dotarliśmy na miejsce około godziny 2 po północy! Na szybko coś zjedliśmy i poszliśmy spać.

Z rana autokar trafił na warsztat, gdzie mechanicy wymienili pięć opon. Śmiali się, kto mógł wypuścić w trasę taki pojazd. Kierowcy byli tak zestresowani pierwszym etapem naszej podróży, że pozostałą drogę z hotelu do Köln pokonaliśmy już nie autostradą, ale bundesstraßen[7].

W samym mieście też mieliśmy przygody, bo kierowcy zgubili się i wjechali w ślepą uliczkę. Mieli problemy z wymanewrowaniem i pytali nas, siedzących z tyłu, czy coś jest za pojazdem?

– Kałuża – krzyknąłem!

– Duża? – zapytali?

– Józek Kałuża! – odkrzyknąłem, nawiązując do byłego piłkarza Cracovii i reprezentacji Polski, a cała drużyna pokładała się na siedzeniach. Jedynie kierowcom nie było do śmiechu, bo nie za bardzo wiedzieli, co się dzieje.

Na samym stadionie atmosfera była rewelacyjna. Świetną robotę robiła maskotka FC Köln, żywy koziołek, który bawił kibiców.

***

Kiedy trafiali do naszej szatni nowi zawodnicy, to trzeba było młodych trochę „wpuścić w maliny". W jednym czasie do Pogoni przyszło dwóch zawodników pochodzących z Choszczna, Jurek Hawrylewicz i Mirek Czerniawski. Przy basenie na Twardowskiego mieliśmy kiedyś saunę i powiedzieliśmy im,

7 Drogi handlowe, odpowiednik polskich dróg wojewódzkich.

w formie żartu, że potrzebny jest do niej węgiel. Dostali zadanie, żeby koniecznie go przynieść, ale w bryłach, a nie taki miałki.

Następnego dnia patrzymy, a oni we dwójkę, umęczeni, ciągną reklamówkę pełną węgla!

Innym razem kąpaliśmy się po meczu w basenie i wzięliśmy patyk, który służył do wyciągania korków. Zaczęliśmy udawać, że jest to termometr. Zrodziła się dyskusja.

– Ale dzisiaj zimna woda, tylko 40 stopni – powiedział z miną eksperta, patrząc na patyk, jeden z nas.

– Eee tam, w porządku, 43 stopnie – odpowiedział mu drugi.

Każdy po kolei złapał za tego kija i wyraził swoją opinię. Później wyszliśmy z basenu, a weszli do niego właśnie Jurek z Mirkiem. Obserwowaliśmy ich, a oni… szukali skali na patyku, bo chcieli sprawdzić temperaturę! Komicznie to wyglądało.

***

Kiedyś jako bramkarz byłem najlepszym strzelcem w drugiej drużynie Pogoni. Miało to miejsce za trenera Eugeniusza Różańskiego. Strzeliłem w sezonie pięć goli z rzutów karnych, bo koledzy pozwalali mi wykonywać jedenastki. Na koniec rozgrywek okazało się, że wielu zawodników z pola zdobyło tylko po cztery bramki i tak, jako golkiper, zostałem najskuteczniejszym piłkarzem w drużynie.

Przy jedenastkach zawsze czekałem na ruch bramkarza. Pamiętam swojego pierwszego karnego, którego strzelałem jeszcze w drugiej drużynie Śląska. Wtedy też czekałem na ruch stojącego w bramce, ale się… nie doczekałem. Chciałem uderzyć tak, jak teraz karne wykonuje Harry Kane. Wówczas bramkarz się nie ruszył, więc uderzyłem z całej siły pod poprzeczkę. Piłka tylko przeczesała mu włosy i wpadła do siatki.

***

Z Pogoni zostało mi wiele wspaniałych znajomości, a bardzo blisko trzymam się od lat z Bogusiem Baniakiem. Jednym z ciekawszych epizodów naszej znajomości był wspólny wyjazd do Grecji. Pojechaliśmy do mojego

znajomego, który tam mieszkał. Miałem wtedy wypadek samochodowy i musiałem wracać do Polski, a on… poszedł na trening, dobrze się zaprezentował i załapał się do drużyny w Katerini.

Z Bogusiem wspólnie uczęszczaliśmy na studia. Bardzo angażował się w sprawy uczelni. Zdobył nawet akademickie Mistrzostwo Polski w piłce nożnej. Jednym z zawodników tej drużyny był Kaziu Sokołowski junior. Nie był wybitnym piłkarzem, ale od początku kariery miał myśl, że zostanie trenerem. I muszę przyznać, że robił wszystko, aby tak się stało.

***

W 2003 roku miałem zaplanowany wyjazd do Niemiec i praktycznie już wychodziłem z domu, kiedy zadzwonił do mnie właśnie Boguś.

– Chcę odbudować Pogoń – powiedział mi wtedy przez telefon. – Zostaw te torby, bo liczę na twoją pomoc.

Miałem naprawdę ogromny dylemat. Ostatecznie dałem się przekonać i następnego dnia razem z Grześkiem Matlakiem pojechaliśmy pociągiem na obóz do Dębicy. Tam odbywał się casting, po którym miała być skompletowana drużyna. Codziennie przewijało się po 30-40 zawodników. Byli zarówno piłkarze z wyrobioną marką, jaki i gracze z łapanki.

Na zakończenie zorganizowaliśmy wraz z Dawidem Ptakiem integracyjnego grilla. Oczywiście nie było wielkiego picia, ale przy okazji wypiło się dwa piwka. Cały czas prowadzone były wtedy rozmowy dotyczące przyszłości Pogoni.

Stamtąd pojechaliśmy do Gutowa, by rozkręcić bramki, spakować je do autokaru i później jak cyganie wracaliśmy do Szczecina.

***

Mniej więcej w tym czasie w szatni Pogoni zjawiła się pierwsza, bardziej liczna grupa Brazylijczyków. Nie zapomnę nigdy, jak oni się zachowywali, gdy po raz pierwszy w życiu zobaczyli w Gutowie śnieg. Zaczęli się wygłupiać i jeść go!

Sposób, w jaki obchodzą urodziny, to kolejna kwestia, która dziś kojarzy mi się z nimi. Wtedy był jeden wielki kabaret, po którym trzeba było dłu-

go sprzątać. Lubili rozbijać sobie jajka na głowie i obsypywać się mąką. Na sam koniec wrzucali takiego delikwenta-jubilata do stawu. Najpierw przy tym wszystkim było mnóstwo śmiechu, a później każdy dostawał szczotkę w rękę i zaliczali trening poprzez sprzątanie.

W tych czasach istotny dla funkcjonowania Pogoni był fakt, że cały czas graliśmy na wyjeździe. Nawet po meczach w Szczecinie wracaliśmy właśnie do centrum w Gutowie. To niestety źle wpływało na zespół.

Były i dobre strony – można było nieco podszkolić się z języka portugalskiego, bo w Gutowie wisiała specjalna tablica, na której powypisywane były słowa w języku polskim i właśnie portugalskim. Trzeba przyznać, że prezes Ptak dbał o asymilację Brazylijczyków.

***

Z czasów Ptaka przypomniała mi się też pewna historia, gdy graliśmy kiedyś mecz towarzyski w Niemczech z drużyną SSV Jahn Regensburg, której trenerem był Mario Basler, kiedyś czołowy napastnik Bundesligi. Przegraliśmy wtedy po bramce straconej z ewidentnej pozycji spalonej.

Po spotkaniu, razem ze Sławkiem Rafałowiczem, poszedłem na konferencję prasową. Nieco znam język niemiecki, więc chciałem pomóc.

– Nie mów za szybko i nie twórz za długich zdań, żebym mógł cię spokojnie przetłumaczyć – poprosiłem Sławka.

Oczywiście podczas konferencji Sławek się rozkręcił. Stukam go w nogę, żeby się uspokoił, a on nic. Dalej mówił szybko i dużo. Stwierdziłem wtedy, że nie dam rady i muszę zacząć mówić po swojemu. Sławek mówił swoje, Niemcy nie rozumieli, co on mówi, a ja przekazywałem im to, co sam chciałem powiedzieć. Powiedziałem im, że wygrali 2:1, ale nie za bardzo zasłużenie.

ROZDZIAŁ 20

Nie jestem Andrzej

Artur Dyczewski
Urodził się w 1968 roku w Szczecinie. Pracuje jako dziennikarz i sprawozdawca sportowy w Radiu Szczecin. W latach 90. i pierwszej dekadzie XXI wieku relacjonował na żywo setki meczów Dumy Pomorza, również tych wyjazdowych.

Wielokrotnie jeździłem po całej Polsce i komentowałem mecze Pogoni. Duma Pomorza nie kojarzy mi się jednak wyłącznie zawodowo, bo Pogoń mam w sercu od najmłodszych lat, gdy byłem jeszcze uczniem szkoły podstawowej. Na samym początku lat 80. pojechałem z rodzicami do Warszawy na mecz Legia – Pogoń. Wybór padł na stolicę, ponieważ po pierwsze istniała wówczas jeszcze przyjaźń pomiędzy kibicami Wojskowych i Portowców, a po drugie mamy tam rodzinę, więc mogliśmy ją przy okazji odwiedzić. Ciocia zrobiła nawet dla mnie szalik w barwach Pogoni na tę specjalną okazję, więc byłem bardzo podekscytowany. Niestety, szczecinianie przegrali tamten mecz dość wysoko. Kolejny mój wyjazd, który nie był jeszcze związany z pracą w radiu, miał miejsce kilka lat później, gdy uczęszczałem już do liceum. Pojechaliśmy z kolegą na mecz do Głogowa. Nie byliśmy jednak w zorganizowanej grupie fanów z Młyna, tylko podróżowaliśmy na własną rękę.

– Może poszlibyśmy do sektora kibiców Pogoni, żeby poczuć atmosferę tego wyjazdu? – zasugerowałem koledze, gdy dotarliśmy na stadion Chrobrego.

Jak pomyśleliśmy, tak zrobiliśmy. Najpierw musieliśmy jednak udowodnić milicji, że jesteśmy ze Szczecina i nie zamierzamy powodować burd na stadionie. Gdy w końcu weszliśmy na granatowo-bordowy sektor, przywitały

nas dziwne spojrzenia. Fani Pogoni nie wiedzieli, kim jesteśmy i co robimy w ich strefie. Powiedzieliśmy im, że przyjechaliśmy ze Szczecina i chcemy dołączyć się do dopingu. To było niesamowite przeżycie, cały czas mam ten mecz w pamięci. Po ostatnim gwizdku zostaliśmy odprowadzeni przez policję poza stadion i skierowani na dworzec, skąd mieliśmy odjechać do domu.

– Chodźmy coś zjeść, do odjazdu pociągu jest jeszcze sporo czasu – powiedziałem do kolegi Janka i odłączyliśmy się od kolumny.

Trafiliśmy do baru, przekąsiliśmy co nieco i poszliśmy w kierunku dworca. W pewnym momencie zatrzymała nas grupka czterech czy pięciu chłopców, którzy mówili nam, że nikt nie może wejść na peron, bo policja eskortuje kibiców przyjezdnych. Zapewniliśmy ich, że damy radę i ostatecznie wsiedliśmy do pociągu. Oczywiście znów musieliśmy udowadniać, że jesteśmy ze Szczecina i nie zamierzamy się z nikim bić. Kibice na wyjazdach nigdy nie mieli i pewnie dalej nie mają łatwo.

***

Od 1995 roku z Pogonią jestem związany zawodowo za sprawą pracy w redakcji sportowej Radia Szczecin. Przez kilka sezonów jeździłem na większość meczów wyjazdowych, aby komentować te spotkania, a także nagrywać rozmowy z zawodnikami. Obecnie już tego nie robię, ponieważ telewizja „zabiła" radio i nie ma potrzeby opowiadania o meczach, skoro każdy może je obejrzeć w Canal+, czy innej stacji.

Gdy jeszcze podróżowałem za Pogonią po całej Polsce, to bardzo lubiłem konfrontacje na Górnym Śląsku, a szczególnie w Wodzisławiu. Jedzie się tam bardzo dobrą drogą, nie ma wielkiego ruchu. Sam stadion także jest przyjemny, kameralny. Miałem tam zawsze dobre miejsce do oglądania i komentowania meczów. Wszyscy byli niezwykle życzliwi. Dziennikarzom pozwalano wręcz wchodzić do szatni, aby ułatwić pracę. Troszkę żałuję, że dzisiaj jest to nie do pomyślenia, bo atmosfera pracy była naprawdę znakomita.

Mówiąc o Wodzisławiu, przypomina mi się jeden z meczów za czasów brazylijskiej Pogoni. Zawodnicy z Kraju Kawy nie zawsze zostawiali serce na boisku, można im było zarzucić brak zaangażowania. Kiedyś trener postanowił zdjąć z boiska najmniej produktywnego Brazylijczyka, który wybitnie się

obijał. Wtedy, komentując ten mecz, powiedziałem, że wreszcie widziałem tego piłkarza biegnącego. Szkoda tylko, że jedynie w momencie opuszczania murawy.

***

Ciekawa sytuacja miała też miejsce w Olsztynie, gdy Pogoń grała ze Stomilem. Był to ostatni mecz sezonu i niektórzy piłkarze nie wracali nawet do Szczecina, tylko rozjeżdżali się w swoje strony. Klubowy autokar był więc niemal pusty i Mariusz Kuras proponował mi nawet, abym wracał razem z drużyną, ponieważ mieli bardzo dużo miejsca. Odmówiłem, bo w tamtą stroną przyjechałem samochodem, więc musiałem też nim wrócić. Wyjechałem więc autem w stronę Szczecina. Zdecydowałem się na postój w Toruniu, żeby się przespacerować i trochę odpocząć. Poszedłem na rynek i zauważyłem piłkarza Pogoni Andrzeja Rycaka.

– Dzień dobry panie Andrzeju, co słychać, też wracacie przez Toruń? – zagadnąłem. – A gdzie podziała się reszta zespołu?

– Nie jestem Andrzej – odpowiedział, a mnie zamurowało!

– To niemożliwe, jest pan identyczny! – nie dawałem za wygraną.

Okazało się, że był to… Wojciech Rycak, brat bliźniak Andrzeja! To był niezwykły zbieg okoliczności, że akurat w tamtym dniu spotkaliśmy się w Toruniu.

***

Zawsze bardzo lubiłem jeździć na mecze również do Warszawy. Wiadomo, Legia to najsilniejszy klub w Polsce, stadion przy Łazienkowskiej także robi wrażenie. Pewnego razu mecz został przełożony z soboty na niedzielę ze względu na potworną ulewę nad stolicą. W pamięci utkwił mi jeden niezwykły obrazek – trener bramkarzy Pogoni niósł na plecach szkoleniowca Leszka Jezierskiego, aby ten nie ubrudził sobie swoich eleganckich butów i garnituru!

Przy Łazienkowskiej wielokrotnie spotykałem też dziennikarzy Polskiego Radia, między innymi Andrzeja Janisza, który jest wielkim fanem piłki.

– No i co, znowu przyjechałeś na tę swoją Pogoń? – zawsze powtarzał, witając się ze mną. – Ale przecież oni znowu przegrają, nie mają szans z Legią

– dodawał.

Właściwie wyrażał to nieco dosadniej, ale sens pozostawał taki sam. Starałem się odbijać jego argumenty.

– Andrzej, zobaczysz, będziesz bardzo zdziwiony, jak dobrze gra ta nasza Pogoń – starałem się mieć inne argumenty. Niestety, Andrzej zawsze miał rację, bo Legia wychodziła zwycięsko z tych pojedynków.

***

Ciekawą sytuację przeżyłem też w Łęcznej. Na wschód Polski pojechałem pociągiem i planowałem wrócić tym samym środkiem transportu. Problem polegał na tym, że mecz kończył się późno i była mała szansa na to, że zdążyłbym na pociąg do Warszawy, z którego później przesiadłbym się w skład zmierzający do Szczecina. Musiałem coś wymyślić. Nie było możliwości na przejazd z naszą drużyną. Poszedłem więc do Czarka Kucharskiego[8], który wtedy występował w Górniku.

– Nie ma problemu, zawiozę pana do Warszawy – usłyszałem od niego, gdy przedstawiłem mu swoją sytuację.

Ruszyliśmy spod stadionu, a Czarek po chwili odebrał telefon i powiedział mi, że jednak nie może jechać do stolicy. Dodał, że skontaktował się z dziennikarką „Przeglądu Sportowego" Aldoną Marczuk, która wraz z trenerem „Bobo" Kaczmarkiem miała zmierzać do Warszawy. Zabrałem się więc razem z nimi. Rezultat tego wszystkiego był taki, że „Bobo" na swój pociąg zdążył, a ja nie. Nie miałem innego wyjścia, musiałem zostać na noc w stolicy i wrócić do domu następnego dnia. Jak już wspominałem, mam rodzinę w Warszawie, dzięki czemu miałem się gdzie przespać. Ciocia była nieco zdziwiona, gdy chwilę przed północą zadzwoniłem do niej i powiedziałem, że niedługo do nich zawitam, ale na szczęście przyjęła mnie ciepło.

***

Na starym stadionie w Gdyni byłem z kolei świadkiem meczu, który Pogoń zremisowała z Arką 0:0. Niby mecz bez historii, natomiast sędzia, który prowadził te zawody, robił wszystko, aby pomóc gospodarzom w odniesieniu

8 Przez wiele lat menedżer Roberta Lewandowskiego.

zwycięstwa. Nie ukrywałem tego podczas transmisji, wielokrotnie powtarzałem, że praca arbitra była bardzo zła. Gdy po meczu rozmawiałem z miejscowymi dziennikarzami, nawet oni byli zdania, że sędzia ewidentnie chciał, aby to gdynianie zdobyli 3 punkty. Byłem mocno zdegustowany, ale co mogłem zrobić…

***

Mój najlepszy wyjazd na mecz Pogoni to finał Pucharu Polski w 2010 roku. Jechaliśmy wtedy do Bydgoszczy bardzo dużą ekipą radiową, na parkingach przy drodze spotykaliśmy naszych kibiców. Wszyscy mieliśmy ogromną nadzieję, że przy trzecim podejściu uda się zdobyć to trofeum. Niestety, znów trafiliśmy na niewłaściwego sędziego, który moim zdaniem faworyzował Jagiellonię. Pogoń była pierwszoligowcem, białostoczanie grali w ekstraklasie, więc nikomu nie było na rękę, aby teoretycznie gorszy zespół pokonał ten rzekomo lepszy. Być może powinienem teraz przeprosić Radka Janukiewicza za to, że przeze mnie nie został wybrany najlepszym zawodnikiem tego finału. Gdy wszyscy dziennikarze dostali od organizatorów tego plebiscytu karteczki do głosowania na swojego faworyta, to ironicznie wpisałem tam nazwisko arbitra. Kto wie, może ten jeden głos przechyliłby szalę zwycięstwa na korzyść naszego bramkarza? Nie dowiemy się już tego. Pamiętam smutek, który towarzyszył mi po ostatnim gwizdku, zwłaszcza gdy szedłem korytarzem obok szatni i z jednej strony słyszałem okrzyki radości, a z drugiej przytłaczającą ciszę. Teoretycznie dziennikarz powinien być obiektywny i ja zawsze staram się sprawiedliwie oceniać piłkarzy, ale przecież nie będę ukrywał swojej sympatii do Pogoni. Szczecin to moje miasto, granatowo-bordowe barwy są ze mną od dziecka, zawsze jestem sercem za swoją drużyną i nie zamierzam tego zmieniać. Przeżywam wszystkie porażki tak samo mocno jak piłkarze i rozumiem ich żal po meczach przegranych w nieszczęśliwych okolicznościach. Nie dziwię się zawodnikom, gdy nie chce im się rozmawiać z dziennikarzami po klęskach, ale z drugiej strony oni muszą zrozumieć, że taka jest nasza praca. Mamy za zadanie wyciągnąć coś od piłkarzy nawet w trudnych chwilach.

***

Kiedyś moje stanowisko pracy znajdowało się na płycie boiska mniej więcej na wysokości linii środkowej. Nie komentowałem wtedy meczu, tylko miałem za zadanie przeprowadzić szybkie rozmowy z zawodnikami, którzy schodzili z murawy. Po zakończeniu spotkania zlecono mi zrobienie na żywo wywiadu z kierownikiem drużyny Leszkiem Pokorskim.

– Panie Leszku, to bardzo ważne zwycięstwo dla Pogoni, bo zwiększa nasze szanse na utrzymanie w ekstraklasie – zacząłem od stwierdzenia, które brzmiało tak lub bardzo podobnie.

– O czym pan mówi? Jakie utrzymanie? To zwycięstwo daje nam szansę na walkę o awans do Pucharu UEFA! – odpowiedział bardzo nerwowo.

Pan Leszek strasznie się zagotował, więc nie było już mowy o kolejnych pytaniach. Jak się później okazało, w tym sezonie Pogoń spadła z ekstraklasy.

ROZDZIAŁ 21

Na sobie dwie albo trzy koszulki, ale kiedyś i tak zabrakło

Robert Dymkowski
347 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1970 roku. Pochodzi z Koszalina.
W klubie grał od roku 1990, z przerwą, do 2002. Z Dumą Pomorza był królem strzelców ówczesnej II ligi (1991), wywalczył też awans do najwyższej klasy rozgrywkowej (1992) oraz zdobył wicemistrzostwo Polski (2001).

Pamiętam pierwszą wzmiankę w szczecińskiej prasie na mój temat. Wówczas „Kurier Szczeciński" napisał tak: „Prawdopodobnie w roli napastników wystąpią dwaj nowo pozyskani przez klub piłkarze: Ryszard Dymkowski z Gwardii Koszalin i Wiesław Latała z Zagłębia Wałbrzych".

W Pogoni byłem dwa dni, odbyłem trening i zagrałem swój pierwszy mecz. Mierzyliśmy się ze Stalą Rzeszów, a naszym trenerem był Aleksander Brożyniak. Nie zapomnę, jak podczas odprawy mówił o wyjściowej jedenastce na to spotkanie i nie do końca przychylnie wypowiadał się na mój temat.

– Zagra Dymkowski, choć powinien wystąpić Jasiu Daniec – mówił coś w tym stylu.

Do tego czasu to właśnie Janek był pierwszym wyborem trenera. Zabolało mnie to wtedy bardzo. Wyszedłem na ten mecz i strzeliłem dwie bramki. Drugiego gola zdobyłem przewrotką. Wtedy też na koniec sezonu świętowałem króla strzelców ówczesnej II ligi.

***

Nigdy w życiu nie zapomnę, jaki chłopaki zrobili mi kiedyś kawał. Wszedłem do szatni, a na moim miejscu mam… Adama Małysza! Wisiał z nartami zrobionymi z desek, miał też kombinezon narciarski.

Wcześniej w gazecie ukazał się wywiad ze mną.

– Gdybyś mógł wskazać, kogo właściwie chciałbyś poznać? – dopytywał dziennikarz.

– Małysza – odpowiedziałem.

Dość banalnymi i najczęstszymi odpowiedziami wówczas były wskazania na Madonnę czy papieża. Ich wszyscy chcieli poznać, a że wtedy na topie zaczynał być nasz Małysz, to odpowiedziałem, że chciałbym spotkać właśnie jego. Później znalazłem na swoim miejscu w szatni Małysza poprzywiązywanego sznurkami, żeby się nie przewracał. Chłopaki musieli poświęcić na to sporo czasu! Oczywiście byłem na to zły, trochę się zagotowałem. Do dziś jestem przekonany, że palce maczał w tym nasz bramkarz Wojtek Tomasiewicz.

W każdej drużynie powinni być i żartownisie, i zawodnicy skorzy do bardzo wytężonej pracy. Powinna być to mieszanka ludzi o różnych charakterach, którzy tworzą trzon.

Razem z chłopakami z Koszalina często wracaliśmy też w weekendy po meczach do domu. Janusz Studziński miał wtedy dużego fiata, do którego pakowaliśmy się we trzech, bo był z nami jeszcze Krzysiek Smoliński. Na miejscu trzymałem się jednak bardziej z ekipą młodych zawodników, czyli ze Sławkiem Rafałowiczem, Radkiem Majdanem, Maćkiem Stolarczykiem czy później Olkiem Moskalewiczem.

***

W latach 90. Janusz Pekowski był jednym z pierwszych trenerów, który posiadał tablicę zmazywalną. Przyjechał do nas ze Szwecji i nie widział na jedno oko. Trener nigdy nie rozstawał się z tą tablicą.

Pewnego razu trenowaliśmy na głównej płycie, a wtedy nie było tak jak teraz, że wszystko było uporządkowane i gotowe do ćwiczeń. Na przykład, gdy została skoszona trawa, to my, jako zespół, musieliśmy grabiami zebrać ją na kupkę i dopiero wtedy odpowiednie służby ją wywoziły.

Czasami te kupki zostawały na murawie i pewnego razu po rozgrzewce trener rzucił swoją tablicę gdzieś na boisko, a chłopaki zasypali mu ją wspomnianą, skoszoną trawą. Było wtedy naprawdę dużo śmiechu, bo trener nie potrafił się bez niej odnaleźć! Czas na pracę, ale i na żarty musi w szatni być!

***

Na zgrupowanie do Karpacza Sławek Rafałowicz i Maciek Stolarczyk przyjechali własnym samochodem. Dziś byłoby to nie do pomyślenia, ale tak właśnie było. Pojechali tak pod pretekstem przywiezienia mandarynek, bo wtedy nie było takich suplementów, jak dzisiaj. Owoce kupowaliśmy sami i trzeba było jakoś to zapakować i przetransportować. Zobligowali się, że zorganizują to i przywiozą autem. To przypominam jednak tylko jako ciekawostkę organizacyjną, bo podczas samego zgrupowania wydarzyła się inna historia.

Biegaliśmy po górach, bo wtedy tak się szlifowało formę. Byliśmy podzieleni na grupy i wbiegaliśmy na Śnieżkę w trudnych warunkach atmosferycznych. Nie byliśmy na to w ogóle przygotowani, bo robiliśmy to w korkotrampkach, a część z nas wyszła nawet w „lankach"! Okazało się, że część zawodników zagubiło się. My natomiast, w grupie z trenerem Eugeniuszem Różańskim, przybiegliśmy do naszego hotelu i piliśmy herbatkę. Nagle z soplami lodu na wąsach wpadł Bogusław Baniak!

– Gienek, no nie wiem gdzie oni są, zniknęli! – krzyczał przerażony.

Ruszyliśmy na poszukiwania, niedługo później chłopaki znaleźli się i była kupa śmiechu z tej sytuacji. Myślę, że każdy chciałby zobaczyć wyraz twarzy trenera Baniaka wbiegającego wtedy do hotelu.

***

Przypomina mi się jeszcze jedna historia związana z obozami. W 1997 roku mieliśmy zaplanowany lot do Malezji na zgrupowanie, gdzie mieli udać się podstawowi zawodnicy. Na ostatnim treningu przed wylotem skręciłem kostkę, ale nie można było nikogo za mnie wymienić. Wizy, paszporty i bilety były już przygotowane.

Poleciałem z drużyną, ale trochę na wakacje, bo zamiast trenować, to się rehabilitowałem. Tam rozgrywaliśmy sparingi, a jedno spotkanie mieliśmy

w planach poza Kuala Lumpur. Nocowaliśmy wtedy w hotelu na przedmieściach. W środku obiektu spacerowały olbrzymie jaszczurki. Trener wyznaczył skład na to spotkanie, a zawodnicy, którzy nie występowali, mieli wolne.

Wpadliśmy wtedy na pomysł z Olkiem Moskalewiczem i Andrzejem Rycakiem, że pojedziemy na plażę. Tam nie było dosłownie nikogo, więc bez zastanowienia wskoczyliśmy do morza. Kąpaliśmy się, dookoła wielkie fale, było naprawdę pięknie. Nagle przybiegła do nas kobieta, ubrana w ten sposób, że widać jej było tylko oczy.

– Chodźcie za mną, musicie iść za mną! – krzyczała, pokazując przy tym, że coś się dzieje!

– Weź nasze rzeczy, bo to wszystko podejrzanie wygląda – powiedziałem do Andrzeja i poszliśmy za nią.

Okazało się, że tuż obok topiła się inna kobieta! Bez zastanowienia wskoczyliśmy za nią do wody. Na plaży w tym miejscu było kilka osób, ale nikt nie próbował jej pomóc. Wyciągnęliśmy ją i później wróciliśmy do hotelu.

Zaraz po tym wydarzeniu dowiedzieliśmy się też, że ta kobieta została poparzona przez meduzy. Właśnie dlatego wszyscy ludzie – podobnie zresztą jak kobieta, która nas wołała – byli poubierani w specjalne stroje. My, nieświadomi, wskoczyliśmy tam oczywiście w samych slipkach. Na szczęście nic nam się nie stało, choć pewnie było w tym dużo przypadku. Trudno sobie nawet wyobrazić, co myśleliby kibice, gdybyśmy z Malezji wrócili poparzeni przez meduzy.

***

W swojej karierze miałem też zagraniczną przygodę. Dyrektor Andrzej Rynkiewicz, poprzez Jerzego Kopę, w zimie załatwił mi testy w Panioniosie Ateny. To był dla mnie egzamin. W Grecji byłem parę dni, po czym wróciłem do Szczecina. Po rundzie dostałem kontrakt… w PAOK-u Saloniki.

Pogoń spadła wtedy z najwyższej klasy rozgrywkowej, a ja byłem wicekrólem strzelców i uznałem, że to jedna z ostatnich szans, by wyjechać zagranicę. Trafiłem do Grecji na wypożyczenie i po roku wróciłem do Pogoni. Kiedy wylądowałem w Salonikach, to na lotnisku witało mnie ponad pół tysiąca kibiców. Było to dla mnie szokiem! Po obozie przygotowawczym, który prze-

pracowałem z drużyną, PAOK ściągnął Zisisa Vryzasa. Później ten zawodnik zdobył z reprezentacją Grecji Mistrzostwo Europy w 2004 roku. Kupili go za milion dolarów ze Skody Xanthi. Już wtedy wiedziałem, że za dużo to sobie nie pogram. Trudno było mi z nim rywalizować. Na Zachodzie trzeba być o wiele lepszym zawodnikiem od rodzimego, żeby grać. Jeśli jest się nawet na równym poziomie, to tam trener zawsze wybierze piłkarza ze swojego kraju. W Polsce było z tym na odwrót.

Wiele tam nie pograłem, choć w pierwszym meczu z OFI Kreta strzeliłem bramkę, gdzie na boisku pojawiłem się, wchodząc z ławki rezerwowych. Nie było tam zespołu rezerw, więc jak się nie grało w pierwszej drużynie, to miało się tylko treningi wyrównawcze. To nie jest przyjemne dla piłkarzy.

Dodatkowo nabawiłem się koszmarnej kontuzji w meczu z Olympiakosem Pireus. Walczyłem o górną piłkę z bramkarzem, do którego byłem odwrócony plecami. On wyskoczył i zaatakował mnie kolanem w okolice kręgosłupa. Upadłem i dosłownie byłem sparaliżowany! Przez miesiąc nie grałem, a niewiele brakowało, bym jeździł na wózku.

***

Wychodząc na mecze w barwach Pogoni miałem na sobie zawsze dwie lub trzy koszulki. Sam je zamawiałem i były identyczne jak „meczówki", które otrzymywał klub. Zakładałem te trykoty po to, by po strzelonym golu rzucić je kibicom i tym samym nie zostać ukaranym przez sędziego żółtą kartką.

Kiedyś w Poznaniu zabrakło mi koszulek, bo miałem na sobie dwie i ustrzeliłem dublet! Jedną oddałem po pierwszym strzelonym golu, drugą też chciałem, ale zorientowałem się, że już nic więcej pod spodem nie mam! W ostatniej chwili musiałem więc zrezygnować z tego pomysłu.

Na meczach w Szczecinie, na łuku po lewej stronie, był kiedyś Młyn. Właśnie tam po zdobytym golu zawsze wskakiwałem na płot, żeby móc się cieszyć razem z kibicami.

***

Nie pojechałem na olimpiadę do Barcelony w 1992 roku, choć byłem powoływany do tej kadry. Zagrałem nawet w meczu z Czechami, ale wtedy

w naszej reprezentacji było sporo świetnych napastników. Ja grałem wówczas tylko w drugiej lidze, z kolei Andrzej Juskowiak, Grzegorz Mielcarski, Wojciech Kowalczyk, Tomasz Dziubiński czy Mirosław Waligóra – to byli zawodnicy, którzy w większości występowali w najwyższej klasie rozgrywkowej albo byli już po zagranicznym transferze i to z nimi przegrałem konkurencję. Nie było łatwo mi się przebić, zwłaszcza że z Pogoni w kadrze było już dwóch zawodników. Pod uwagę dodatkowo był brany także Radek Majdan. Wydaje mi się, że nie chciano wtedy powołać aż trzech piłkarzy z drugoligowego klubu. Trener postawił akurat na Darków – Adamczuka i Szuberta.

***

Kiedy w 2002 roku pojawiła się informacja, że mogę odejść do Lecha Poznań, to kibice byli oczywiście niezadowoleni. Ich reakcja była normalna. Dookoła słyszałem głosy, że to jest nie do pomyślenia, żebym poszedł do Kolejorza, choć nikt nigdy w związku z tym mi nie groził.

Byłem już w Poznaniu u prezesa i miałem przed sobą kontrakt. Wtedy zawahałem się.

– Potrzebuję chwili na zastanowienie – powiedziałem.

Być może nie zachowałem się wówczas profesjonalnie, tak jak powinni postępować zawodowcy. Miałem obiecany bardzo wysoki kontrakt. W Pogoni musiałbym grać kilka lat, żeby otrzymać tyle, ile oferował mi wówczas Lech. Natomiast po zastanowieniu się, doszedłem do wniosku, że nie będę czuł się dobrze w tym klubie, a pieniądze to nie wszystko. Z Lechem toczyłem przecież same walki, w których strzeliłem mnóstwo bramek. Bardzo utożsamiałem się też z klubem, w którym wtedy mnie nie chciano. Ja dalej chciałem wtedy grać dla Pogoni, ale włodarze nie widzieli już dla mnie miejsca. Szukałem dla siebie nowej drużyny. Wtedy pojawił się też Widzew Łódź, z którym nie miałem żadnych problemów emocjonalnych. Uratowaliśmy ten klub przed spadkiem, a ja strzeliłem kilka bramek.

***

Już po zakończeniu kariery piłkarskiej w Pogoni pełniłem dwie funkcje. Byłem trenerem juniorów starszych i dyrektorem sportowym. Najmilej z tego

okresu wspominam brązowy medal Mistrzostw Polski wywalczony w 2008 roku właśnie z juniorami. W tej drużynie nie było wielu wyróżniających się zawodników, ale stworzyłem zespół, który był silny. Wtedy wszystko raczkowało, nie było jeszcze Akademii.

Pamiętam, że w tym czasie musiałem od prezesów wyciągać pieniądze na wyjazd do Rzeszowa na finały. Był to też pierwszy sukces klubu w trakcie jego odbudowy.

***

Do końca życia nie zapomnę przygody z piłką w Pogoni Szczecin. Spotkałem w klubie wielu świetnych ludzi. Utożsamiam się z miastem od momentu przeprowadzki tutaj. Czasami, jak oglądam dziś ponagrywane mecze, czy czytam artykuły ze wspomnieniami tamtych czasów, to aż się łezka w oku kręci.

ROZDZIAŁ 22

Ta kwota to w jakiej walucie?

Dariusz Dźwigała

Urodził się w 1969 roku. Pochodzi z Warszawy. W klubie występował, z kilkumiesięczną przerwą, w latach 2000-02. Z Dumą Pomorza wywalczył wicemistrzostwo Polski (2001). Był kapitanem Portowców. Po zakończeniu kariery piłkarskiej został trenerem. Prowadził m.in. juniorskie reprezentacje Polski, do których wielokrotnie powoływał młodych piłkarzy Akademii Pogoni.

Do Pogoni trafiłem wiosną 2000 roku. Już wcześniej interesował się mną trener Albin Mikulski, od którego otrzymałem zaproszenie na zgrupowanie Pogoni w Sosnowcu. Pamiętam, że ten obóz zakończył się bardzo szybko ze względu na problemy organizacyjne klubu. Wówczas bardzo zaimponowała mi atmosfera, jaka była w zespole. Z chłopakami przebywałem krótko, ale od początku czuć było chemię w szatni, w której prym wiedli Robert Dymkowski i Radek Majdan.

Pomimo problemów finansowych klubu, drużyna była bardzo skonsolidowana. Zresztą jako piłkarz zawsze kierowałem się zasadą, żeby wskoczyć jak najszybciej do ekstraklasy i jak najdłużej się w niej utrzymać. By grać w niej, nawet kosztem mniejszych pieniędzy. Teraz, gdy jestem trenerem, to samo powtarzam swoim podopiecznym, żeby trzymali się jak najmocniej możliwie jak najwyższych lig.

W tym samym czasie chciał mnie też Śląsk Wrocław, który grał na zapleczu najwyższej klasy rozgrywkowej. Tam miałbym korzystniejsze warunki organizacyjne, ale wolałem grać w Szczecinie i z perspektywy czasu uważam, że wybrałem bardzo dobrze.

***

Najpierw Pogoń nie dogadała się z Górnikiem Zabrze, który nie chciał mnie puścić do Szczecina. Temat mojego transferu upadł, ale co się odwlecze, to nie uciecze. Kiedy przychodziłem do Pogoni to trenerem nadal był pan Mikulski, ale właścicielem był już Sabri Bekdas i to z nim ustalałem warunki swojego kontraktu.

W Zabrzu miałem określoną pensję w skali rocznej i przyjechałem do Warszawy na rozmowy z panem Bekdasem.

– Ile chciałbyś zarabiać? – zapytał mnie szef klubu.

Powiedziałem mu wtedy kwotę ponad dwa razy większą, niż to, co miałem wcześniej w Górniku. Plan miałem taki, by po prostu zacząć z wysokiego C i móc się potargować.

– O pensji w jakiej walucie mówisz? – dopytywał Bekdas.

Na taki przebieg negocjacji nie byłem już przygotowany. Zaskoczył mnie i powiedziałem, że mam na myśli oczywiście złotówki. Nawet nie targował się ze mną i podpisaliśmy umowę.

Po fakcie okazało się, że piłkarze, którzy przychodzili wówczas do Pogoni, otrzymywali podobne sumy. Tyle, że w markach niemieckich, a więc dwukrotnie więcej ode mnie. Po pewnym czasie, kiedy prezes zobaczył, jaka jest moja pozycja w zespole, zaprosił mnie do gabinetu i zwiększył mi kontrakt.

***

Od samego początku mojej gry w Szczecinie podchodziłem do kibiców z szacunkiem i oni obdarzyli mnie tym samym. Uważam zresztą, że broniłem się postawą na boisku. Chciałem pokazać kibicom, że będę przydatnym dla klubu zawodnikiem.

Z czasem na jednym z sektorów powstał nawet mój osobisty fan club! Docierały do mnie też słuchy, że są kibice, którzy mają plakaty ze mną na ścianach swoich mieszkań. Nigdy nie spotkałem się z agresją czy złym słowem ze strony fanów. Mógł mieć na to wpływ fakt, że trzymałem się z Radkiem Majdanem, który był uwielbiany przez fanów Pogoni. Dzięki temu pewnie było mi łatwiej.

Przy Twardowskiego zaczynałem z numerem 31. Liczba na plecach nawią-

zywała do mojego wieku. Później, co pewnie nikogo nie zdziwi, miałem na trykocie numer 32. I tak sobie zmieniałem co sezon.

***

Bardzo dobrze czuję się w bieli. Kiedy tylko wychodziłem na boisko w białych butach, to czułem się troszeczkę lepszy i szybszy. W korkach takiego właśnie koloru występowałem również w Pogoni. Zresztą do dzisiaj mi to zostało i kiedy tylko mam możliwość gry w piłkę, to wychodzę właśnie w białych butach. Trenerzy nie robili mi z tego powodu problemów, choć w moich czasach było zdecydowanie mniej miejsca na ekstrawagancję.

Wtedy w Pogoni nie było ważne, czy do szatni trafiał zawodnik młody, czy stary. Funkcjonowała jeszcze dawna zasada, że nowy piłkarz przechodzi chrzest. Mnie to oczywiście nie ominęło, choć trochę mnie oszczędzono ze względu na wiek. Kilka klapsów jednak dostałem.

***

Kibice pamiętają moje bramki z dystansu. Jeśli chodzi o silne strzały, jest to mój wrodzony atut, który doskonaliłem od początku swojej przygody z piłką. Jestem wychowankiem Drukarza Warszawa, czyli klubu z Parku Skaryszewskiego. Tam, między drzewami, na drewnianej tablicy narysowana była bramka, w której powycinane były okienka. Właśnie na tej tablicy doskonaliłem uderzenia z rotacją nad murem. Przyznam się, że bez muru nie lubiłem strzelać. Kiedy jest ustawiony, ma się większą wyobraźnię uderzenia.

Jako dziecko poświęcałem temu elementowi bardzo dużo czasu. W każdym kolejnym klubie tę kwestię dopieszczałem i w efekcie miałem dużą różnorodność uderzenia. Lubiłem kopnąć piłkę zarówno prostym podbiciem na siłę, jak i zewnętrznym podbiciem nad murem. Później stało się to moim znakiem rozpoznawczym.

***

Uważam siebie za zawodnika, który – jak na posiadane umiejętności – osiągnął za mało. Na boisku byłem spryciarzem, bo lubiłem wykorzystać moment, kiedy bramkarz ustawiał mur i sędzia nie powiedział, że „czekamy na gwizdek".

Tego typu trafienia zaliczałem na przykład w meczach ze Śląskiem Wrocław i Fylkirem Reykjavik. Wykorzystywałem gapiostwo przeciwnika.

W wicemistrzowskim sezonie mieliśmy wielu świetnych zawodników. Wiadomo, że kiedy w grę wchodzą duże pieniądze, jest wyrównana kadra i ma się obiecane duże premie, to każdy chce grać i nikt nie chce czuć się gorszy od kolegi.

W rundzie rewanżowej zaczęły się między nami lekkie zgrzyty. W tym czasie niefortunnie przegraliśmy kilka meczów i w takiej sytuacji to normalna rzecz. Dodatkowo pojawiały się lekkie zaległości, ale nie dam złego słowa powiedzieć o tamtej drużynie oraz prezesie Bekdasie. Dużo mu zawdzięczam.

***

Do sezonu wicemistrzowskiego przygotowywał nas Janusz Wójcik. Nie byłem jego zwolennikiem, gdyż stawiał bardziej na Darka Gęsiora i Pawła Drumlaka, a nie na mnie. Później do klubu przyszedł trener Edward Lorens, od którego dostałem duży kredyt zaufania. On bardzo we mnie wierzył i był dla mnie jak ojciec, co później przełożyło się na moją pozycję w zespole i całej lidze. Byłem wtedy bardzo pewny siebie i swoich umiejętności.

Każdy piłkarz dochodzi do takiego momentu, że chciałby spróbować swoich sił w zagranicznym klubie. W 2001 roku zrobiłem dobre wrażenie podczas towarzyskiego turnieju Antalya Cup. Pamiętam, że Galatasaray Stambuł po tych rozgrywkach bardzo chciało pozyskać Pawła Drumlaka. Ten jednak zrezygnował z wyjazdu. Prezes Bekdas otrzymał także zapytanie o mnie od Diyarbakirsporu Kulübü. Trener tego klubu przyjeżdżał oglądać mnie również w Szczecinie i następnie trafiłem do Turcji. Tam spotkałem się z Olgierdem Moskalewiczem, który trafił do Diyarbakir razem z Arturem Sarnatem z Wisły Kraków. We trzech mieszkaliśmy w jednym bloku. Diyarbakirspor miał zapłacić za nich określoną kwotę, ale nie zrobił tego na czas. W efekcie obaj po miesiącu wrócili do Wisły. Wspólnie spędziliśmy tam krótki okres, ale z „Olem" utrzymuję kontakt do dzisiaj.

Również moja przygoda w Turcji trwała krótko, bo nie sprawdziłem się tam sportowo. W trakcie mojego wypożyczenia zmienił się trener. Wtedy przestałem w ogóle grać. Moja frustracja pogłębiała się. Rodzina wróciła do

Polski i ja także chciałem wrócić do domu, bo to dodatkowo był okres przed świętami Bożego Narodzenia. Klub z kolei nie chciał mnie puścić. Nie wiem, czy robiono mi to po złości.

Byłem na tyle zdołowany psychicznie, że podjąłem decyzję, że chcę rozwiązać kontrakt. Robiłem wszystko, aby tak się stało.

***

Na początku 2002 roku zrezygnowałem z dużych pieniędzy i wróciłem do Szczecina. Wtedy prezes Bekdas wyszedł do mnie z pomocą i zanim klub przejął Les Gondor, to ja miałem zwiększony kontrakt. Wszystko po to, by zniwelować stratę pieniędzy, które miałbym zarobić w Turcji.

Jak się później okazało, zwiększone pieniądze miałem tylko na papierze. Chwilę później szczeciński klub miał już spore problemy finansowe. W szatni też nie było różowo. Mieliśmy słabszy zespół i więcej meczów się przegrywało, niż wygrywało. Między nami, a ówczesnym prezesem odbywały się też rozmowy o tym, jak ma nam zapłacić. Nie miał gotówki i w zamian oferował nam na przykład… meble.

W szatni też był już inny zespół niż ten, do którego przychodziłem. Nie było między nami takiej chemii. Do tego nabawiłem się kontuzji i przyszedł czas, że rozwiązałem kontrakt z klubem i wróciłem do Polonii Warszawa, w której się wychowałem.

***

Można powiedzieć, że najwyższą formę sportową osiągnąłem po ukończeniu 30 lat. Wtedy grałem w drużynie, która zdobyła wicemistrzostwo Polski i byłem jej ważną częścią. Aby móc utrzymać się w tak silnym zespole, musiałem pokazywać się z jak najlepszej strony. Moja psychika była na wysokim poziomie i wierzyłem w swoje umiejętności.

Do tego dochodził fajny klimat na stadionie. Naprawdę czekało się cały tydzień, by móc znowu wyjść na boisko i grać dla szczecińskiej publiczności. Na pewno nasze wyniki także napędzały widownię, która licznie przychodziła nas oglądać.

W tym czasie do Szczecina trafiali też zawodnicy o naprawdę uznanej

marce. Jako przykład niech posłuży Oleg Salenko, choć on akurat kariery w Pogoni nie zrobił. Ale na wyobraźnię kibiców działał fakt, że przychodził do nas król strzelców Mistrzostw Świata. Wtedy przy Twardowskiego był klimat na piłkę nożną. To wszystko sprawiło, że najlepszy moment swojej kariery miałem właśnie w Szczecinie.

***

Pogoń zawsze będę miał w sercu, bo tu poznałem bardzo wielu ludzi, którzy tworzyli świetną atmosferę. O tym klubie mogę wypowiadać się tylko dobrze. Oczywiście były też słabsze momenty, ale nigdzie w Polsce nie było dane mi grać na stadionie, gdzie na meczu było ponad 20 tysięcy kibiców. Pamiętam takie spotkania, jak to z Legią Warszawa, w którym na murawę poleciało kilkanaście tysięcy serpentyn. To są przeżycia nie do zapomnienia.

Byłem kapitanem drużyny, a zatem czułem podwójną dumę. Muszę przyznać, że Szczecin jest fajnym miejscem do życia. Otoczka wokół Pogoni i świetni piłkarze z całej Polski, których sprowadził Sabri Bekdas, to było coś wielkiego. Wtedy też osiągnęliśmy wielki sukces, choć po latach muszę przyznać, że czuję niedosyt. Powinniśmy wtedy zdobyć Mistrzostwo Polski.

ROZDZIAŁ 23

Jesteś wyrzutkiem, ale trwasz na przekór wszystkim

Michał Elmerych

Urodził się w 1970 roku w Szczecinie. Wychowany w rodzinie, w której dziadek i ojciec kibicowali Pogoni Szczecin. Od blisko 40 lat ogląda mecze Pogoni z trybun. Następnie, poprzez dziennikarstwo, klubem zaczął zajmować się zawodowo. Pracował m.in. w szczecińskich rozgłośniach: Radiu AS i Radiu ABC. Był też regionalnym korespondentem Radia Zet i telewizji Polsat. Przez kilka oceniał klub z perspektywy Warszawy, pracując tam w „Dzienniku" (szef działu kraj), „Przeglądzie Sportowym" (zastępca szefa działu piłka nożna) i „Focusie Historia". Obecnie jest zastępcą kierownika redakcji w Radiu Szczecin.

Od lat na mecze Pogoni przychodzę w kamizelce z dużą naszywką „Paprykarz Szczeciński". To stara, radiowa kamizelka, którą mam od czasów, gdy pracowałem w Radiu Zet. Oryginalnie z tyłu było duże logo radia, z przodu małe. Lubiłem tę kamizelkę, ale znaki firmowe radia mi przeszkadzały. Mieszkałem wtedy w Warszawie i miałem koleżankę artystkę, która zajmowała się krawiectwem i projektowaniem ubrań.

– Zróbmy naszywkę w granatowo-bordowych barwach, z napisem „Paprykarz Szczeciński" – zaproponowałem. – Tak, by zakryła całe te radiowe logosy.

Pomysł był mój, wykonanie koleżanki. Wszystko ręczna robota, sam napis wycięty z ręcznika. Po dwóch tygodniach kamizelka wróciła do mnie prze-

robiona i oglądałem w niej mecze Pogoni w telewizji. Później zacząłem też w niej chodzić po Warszawie. Wtedy kibice Pogoni mieli jeszcze sztamę z fanami Legii, więc kończyło się to się poklepywaniem po plecach.

Innym razem, gdy dochodziłem do stacji metra Służew, dogonił mnie pewien człowiek.

– Sprzedałbyś mi tę kamizelkę? – zapytał.

– Za ile? – zapytałem odruchowo.

– Pięćset złotych – zaproponował.

Pięć stów za używaną kamizelkę… to jednak sporo. Nie sprzedałem, ważniejsze były dla mnie zwycięstwa Pogoni, bo później okazało się, że ta kamizelka przynosi szczęście.

Teraz ma już swoje lata i trochę zaczyna się rozsypywać. Trzeba będzie coś z tym zrobić – albo ją podreperować, albo zrobić nową. Od pewnego czasu jest już zakładana tylko na szczególne okazje.

***

Pewnie obrażą się teraz wszyscy moi bliscy, którzy to przeczytają, ale Pogoń zawsze była dla mnie bardzo ważna, jeśli nie najważniejsza. Obrazi się Katarzyna, obrazi się mama… chociaż nie, mama to przecież wie.

Nie mogło być jednak inaczej. W latach 50., 60. i 70. za Pogonią na wyjazdy jeździł mój dziadek Ignacy Boguszyński. Na początku rundy zawsze w „Głosie Szczecińskim" ukazywał się terminarz, który dziadek wycinał z gazety i miał przy sobie w portfelu. Mój ojciec Stanisław miał przyjaciół wśród piłkarzy, którzy w 1958 roku po raz pierwszy wywalczyli awans do ekstraklasy. Tato słuchał też studia S-13 i na tej podstawie sam pisał sobie tabelę ligi. To były dużo bardziej romantyczne czasy.

Dziadek miał pracę, która pomagała mu realizować tę wyjazdową pasję. Był kurierem i woził dokumenty. Trasy dobierał sobie w ten sposób, by znajdować się w mieście, gdzie Pogoń gra mecz. Ja zresztą na początku podróżowałem za Dumą Pomorza podobnie, jak robił to dziadek. Nie w zorganizowanej grupie, ale na własną rękę. Byłem tak chociażby na 700. meczu Pogoni w najwyższej klasie rozgrywkowej, w Krakowie z Wisłą. Dziś za Pogonią jeździ moja córka Małgorzata. I chociaż zaczynała tak jak ja, „z partyzanta", to teraz już dopinguje oficjalnie w ekipie wyjazdowej.

***

W 1975 roku byłem na stadionie Pogoni po raz pierwszy. Długo zajęło nam z ojcem ustalenie, kiedy to dokładnie było, ale na koniec pomogła nam… kupa. Tak, kupa. Miałem wtedy niespełna 5 lat. Przed meczem, jak to małemu dziecku, zachciało mi się właśnie kupę. Pamiętam, że potrzebę załatwiałem – to też ciekawe, jeśli weźmiemy pod uwagę miejsce, w którym teraz pracuję – w drodze na stadion, pod budowanym wieżowcem radia i telewizji. Właśnie to zdarzenie pomogło nam dojść do tego, że na pewno było już ciepło. Pod koniec kwietnia 1975 roku Portowcy wygrali 2:1 z Arką Gdynia i to był właśnie mój premierowy mecz.

Cztery lata później Pogoń grała o utrzymanie z Polonią Bytom. Portowcy niestety spadli, ale pamiętam, że tego dnia przed meczem denerwowałem się, bo ojciec długo nie wracał z pracy. Czas mijał, jego nie było, a do pojedynku było coraz bliżej. A to nie było tak, że na stadion można było przyjść kwadrans przed rozpoczęciem spotkania, jak obecnie. Przychodziło się dwie, a czasem i trzy godziny przed meczem, żeby zająć jak najlepsze miejsce. To wcześniejsze przychodzenie to był zresztą cały ceremoniał. Na trybunach były karty, wódeczka i inne przyjemności. Ostatecznie tato dotarł do domu i mogliśmy ruszyć na Twardowskiego. Na ten mecz poszedłem z granatowo-bordową flagą, którą mama uszyła mi z materiałowych pasków. Właściwie to flaga była niebiesko-czerwona i jeśli spojrzeć na barwy Polonii Bytom, to… komuś mogło wydawać się, że przyszedłem kibicować gościom! Ten mecz zremisowaliśmy 1:1 i w ten sposób po raz pierwszy spadłem z moim klubem z ekstraklasy.

***

Samo wyjście na mecz również było wielkim świętem. Człowiek od rana przygotowywał się do tego spotkania, czekał na nie. Mieliśmy też z ojcem utarte drogi, bo z ul. Unisławy, gdzie mieszkaliśmy, chodziliśmy na stadion na pieszo. Przy pl. Lenina[9] stał człowiek pracujący przy saturatorze. To był jakiś znajomy ojca i piło się u niego tę „gruźliczankę". Ten człowiek miał też, oczywiście wyłącznie dla dorosłych będących jego znajomymi, wzmacniacz

9 Następnie Sprzymierzonych, a dziś Szarych Szeregów.

do tej wody. To wszystko składało się właśnie na ten rytuał dnia meczowego.

W latach 80. była też tradycja, że po meczach ludzie wracali ulicą Jagiellońską. Idąc od strony stadionu, tuż po minięciu szpitala dochodzi się do najwyższego jej punktu. Gdy, będąc tam, zobaczyło się to morze ludzi na dole, to było to niesamowite przeżycie.

Ostatnio łapię się też na tym, że sport jest sportem, wynik wynikiem, ale najważniejsze są trybuny. Atmosfera miejsca, meczu. To jest magiczne.

***

Spotkaniami najbardziej ekscytowałem się jako dziecko, ale z powodu Pogoni płakałem już jako człowiek dorosły. Raz po meczu, a drugim razem w sytuacji, która miała związek z klubem.

Kilka lat mieszkałem w Warszawie i przyjechałem do Szczecina na pojedynek z Lechem, który Pogoń wygrała 5:1. W przerwie zadzwoniłem do mojej Katarzyny ze łzami w oczach. Nie mogłem powiedzieć słowa.

– Tu dzieje się teraz historia – w końcu coś z siebie wydusiłem. Ten mecz był dla mnie ważny, być może też dlatego, że żyłem wtedy w stolicy, rzadko przyjeżdżałem na szczeciński stadion i trafiłem na coś, co było niezwykłe. Emocje musiały być spotęgowane.

W tym samym czasie dość długo w ogóle nie chodziłem na mecze. Na Legię mnie nie ciągnęło, a do Szczecina nie przyjeżdżałem często, zresztą Portowcy grali wtedy w niższych ligach.

– Chodź, wezmę cię na Legię – zaproponował któregoś razu kolega z „Przeglądu Sportowego" Adam Dawidziuk. Dałem się zaprosić.

Gdy wszedłem na stadion, pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, była wisząca na płocie flaga Pogoni. Jeśli chodzisz na mecze co dwa tygodnie, czujesz zapach tej trawy, słyszysz muzykę tego stadionu, widzisz tych wszystkich ludzi, to jest to dla ciebie normalne. Ale gdy tego nie masz, jesteś na emigracji i widzisz nagle coś, co jest twoje… no, nie ma słów, żeby to opisać. Wtedy też miałem łzy w oczach. Myślę, że to są takie emocje, których nie trzeba się wstydzić i których nie trzeba się bać.

***

Piłkarze byli świadomi tego, o co walczą. Grają o życie tysięcy ludzi. O to, jak ich kibice będą czuć się nie przez 2-3 godziny po zakończonym meczu, ale przez następne dni, a czasami i dłużej.

Gdy kibicujesz swojej drużynie, każdy wynik buduje twoje życie. Zwycięstwo, remis, ale i porażka. Remisy są chyba najłatwiejsze.

– A, dobra, nie ma tego złego – zawsze możesz powiedzieć po takim meczu. Chyba, że był to remis, po którym lecisz z ligi albo nie zdobywasz mistrzostwa, to co innego. Wtedy remisy też potrafią być bolesne. Ale generalnie z remisem najłatwiej jest żyć. Oczywiście oprócz zwycięstwa, bo ono unosi, pcha do przodu. A porażki trzeba sobie tłumaczyć.

– Dobra, już mi nie zależy – staram się czasami oszukiwać sam siebie po przegranym meczu. Tak naprawdę zaczyna mi zależeć w momencie, gdy kończę mówić, że mi nie zależy.

***

W latach 90., podobnie zresztą jak teraz, zajmowałem się Pogonią zawodowo. Wtedy środowiska dziennikarzy i piłkarzy były jednak bliżej. Moimi dobrymi kolegami byli Robert Dymkowski czy Andrzej Rycak. Spotykaliśmy się przed meczami, po meczach, chodziliśmy razem na piwo. To było normalne.

W maju 1999 roku, w dniu finału Ligi Mistrzów Bayern – Manchester United, robiłem parapetówkę. Tego samego dnia Pogoń walczyła z GKS-em Bełchatów w bezpośrednim pojedynku o utrzymanie w ekstraklasie. Portowcy wygrali 1:0 i po meczu na moją imprezę wpadł Rycak. Po finale Ligi Mistrzów pojechaliśmy do restauracji El Greco na kolejną imprezę. Tam wspólnie bawili się i dziennikarze, i piłkarze.

Dzień po tej imprezie zadzwoniłem do redakcji i poprosiłem o dzień wolnego, tak miałem po meczu zdarte gardło. Nie byłbym w stanie pracować i wcale nie chodziło o kaca. Naprawdę to utrzymanie „okrzyczałem". Chwilę później zadzwonił Andrzej.

– Może wpadniesz do mnie? – zapytał. Było już po sezonie, więc kupiłem piwko i pojechałem.

Gdy wszedłem do niego do domu, akurat wychodził spod prysznica.

Mieszkał wtedy w „desce", tym długim wieżowcu przy Wojska Polskiego. Jak stał w negliżu, tak otworzył drzwi od balkonu i stanął w progu.

– Mam czyściutkie sumienie! – wrzeszczał, stojąc w drzwiach swojego balkonu, jak go Pan Bóg stworzył.

Andrzej nigdy nie wytłumaczył, o co mu chodziło. Trzeba jednak wiedzieć, że kibice przed tym spotkaniem mieli dużo wątpliwości co do zamiarów Portowców. Tak, piłka potrafi wywołać niesamowite emocje. Również u piłkarzy.

***

Mam nadzieję, że za tę historię, jeśli ją przeczyta, nie obrazi się Robert Dymkowski. Relacjonowałem mecz Pogoni dla Radia Zet i musiałem nagrać relację do serwisu. Nie pamiętam, jakie to było spotkanie. Szło to jakoś tak: „Dymkowski zmarnował sytuację, której nie zmarnowałby chyba żaden zawodnik, który gra w polskiej lidze…".

Niedługo później, gdy siedziałem na piwie po pracy, zadzwonił do mnie „Dymek".

– Co to ma być, co ty o mnie mówisz, dlaczego tak o mnie powiedziałeś! – słyszałem zdenerwowanego Roberta w słuchawce.

– Ty, o co właściwie ci chodzi? – dopytywałem.

– O tę twoją relację, o to jak skomentowałeś moją zmarnowaną sytuację! – krzyczał na mnie. – Przecież wiesz, o co mi chodzi!

– A słyszałeś, co było dalej? – domyślałem się już, jaka będzie odpowiedź Roberta.

– Nie, wkurzyłem się, wyłączyłem radio i zadzwoniłem do ciebie!

„… później jednak Dymkowski strzelił gola w sytuacji, w której nie strzeliłby chyba żaden zawodnik, który gra w polskiej lidze". Tak właśnie brzmiał cały cytat.

– Robert, chłopie, przecież jesteś ostatnią osobą, której swoją pracą chciałbym wyrządzić krzywdę – powiedziałem mu, co raczej go przekonało. – Muszę jednak relacjonować obiektywnie, a ty nie dosłuchałeś do końca. Przecież zmarnowałeś sytuację, ale za tę, w której strzeliłeś, doceniłem ciebie i twoją pracę.

Wzajemne relacje piłkarzy z dziennikarzami trzeba kształtować. Ci są cza-

sem przewrażliwieni na własnym punkcie, czasem czegoś nie doczytają do końca. Z drugiej jednak strony my, dziennikarze, często też zbyt łatwo podejmujemy się kategorycznych i surowych ocen, bądź robimy to niewłaściwie.

***

Szczecin jest miastem, które od samego początku w Polsce nie było nikomu potrzebne. To było miejsce, do którego wpadali – ale tylko na chwilę – ci najsłynniejsi, że wymienię choćby literatów Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego i Jerzego Andrzejewskiego. Przyjeżdżali na chwilę i spieprzali. Stąd wszędzie było daleko, dopiero teraz jest blisko do Berlina, bo jest otwarta granica. Kiedyś tego nie było, najbliższej było do Świnoujścia, a w Poznaniu, gdy tylko pociąg opuszczał stację, gaszono w nim światło.

Przez to wszystko na ten pierwszy, historyczny awans potrzebowaliśmy aż 10 lat. Górnik Zabrze powstał pół roku po Pogoni, ale w I lidze grał wcześniej. W Szczecinie nikt nie chciał inwestować, nikt nie chciał tu przyjeżdżać. I – mimo tych przeciwności losu – udało się jednak stworzyć tu klub. To jest olbrzymi sukces tego miasta. Pusta gablota może uwierać, ale trzeba spojrzeć na to inaczej. Jesteś wyrzutkiem, nikt cię nie lubi, nikt cię nie chce, najchętniej spuściliby cię z ligi, bo do ciebie zawsze jest daleko. A ty bronisz się, utrzymujesz w tej lidze i trwasz na przekór wszystkim.

Historia pokazała, że na te dwa sukcesy, które nam się zdarzyły, a mówię o wicemistrzostwach, nie byliśmy gotowi. W 1987 byliśmy wicemistrzem, a dwa lata później nie było nas w lidze. W 2001 roku osiągnęliśmy sukces, a dwa lata później szykowaliśmy się do rozgrywek na zapleczu z nowym właścicielem. Nie umieliśmy zarządzać sukcesem. Oczywiście, że wiąże się to wszystko ze specyfiką miasta, w którym Pogoń występuje. Na szczęście naszą siłą jest to, że zawsze będziemy umieli się podnieść. Zawsze.

ROZDZIAŁ 24

Junior, nie trenuj mnie tak!

Waldemar Folbrycht
236 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1942 roku. Pochodzi z Poznania. W granatowo-bordowych barwach, z przerwą, grał od końca lat 50. do 1973 roku. Jako Portowiec zagrał raz w reprezentacji Polski (24.04.1968 przeciwko Turcji). Z Pogonią dwukrotnie wywalczył awans do najwyższej klasy rozgrywkowej (1962, 1966). W latach 90. wrócił z emigracji w Szwecji i udzielał się w klubie jako działacz.

Historię mojej przeprowadzki do Szczecina znam z opowiadań, bo miałem wtedy 3 lata. Nasz dom w Poznaniu został zbombardowany w 1945 roku przez Rosjan. Mama, babcia i ja z rodzeństwem zmuszeni byliśmy do wyprowadzki. Ojciec zaginął w trakcie wojny, nie wiem, co się z nim stało. Potem mieszkaliśmy w Borku Wielkopolskim, a następnie, w 1948 roku, trafiliśmy do Szczecina, a dokładnie do Mścięcina między Skolwinem a Policami. Mama otrzymała pracę w Hucie Szczecin.

W szkole spotkałem się z Jurkiem Krzystolikiem, który potem także grał w Pogoni. On mieszkał na Skolwinie. Zanim zacząłem grać w Świcie, to oglądałem mecze tamtejszej Unii. Na derbowe pojedynki drużyn huty i papierni przychodziło mnóstwo kibiców. To było wielkie wydarzenie i jedyna atrakcja. Wtedy człowiek cieszył się, że dostał przed grą buty. Polegało to na tym, że opiekun rzucał pęk butów i z nich się wybierało. To, że jeden był większy, a drugi mniejszy, nie miało znaczenia.

***

Gdy miałem 16 lat, szefostwo Pogoni zgłosiło się po mnie. Grałem w reprezentacji województwa, obserwatorzy notowali najlepszych, potem jechało się na konsultację kadry juniorskiej Polski we Wrocławiu. Ja byłem tam trzy razy. Bywał tam też Marian Kielec, syn pana Lucjana Kosobuckiego – Romek, ale też zawodnicy Czarnych i Arkonii Szczecin.

W każdym razie zaczęły się podchody, a następnie panowie Florian Krygier, Kosobucki i pani Zofia Kempa podjechali czarną wołgą pod nasz dom. Rozmawiali z mamą, a ona wyraziła zgodę na moje przejście do Pogoni. Świt próbował jeszcze negocjować, ale ostatecznie udało się. Byłem wtedy rezerwowym w seniorach Świtu, Jurek Krzystolik był rok starszy i grał już więcej. W drużynie byli też jego dwaj bracia. Jeden z nich, Janusz, był dla mnie idolem.

***

Chodziliśmy na każdy możliwy mecz, jeszcze na Kolejarza, gdy spotkania odbywały się na obecnym boisku nr 2. Na Pogoń przyjeżdżało całe województwo autokarami i ciężarówkami, czymkolwiek. Z Jurkiem jeździliśmy ze Skolwina na Pogodno specjalnie podstawionym na mecz pociągiem. Kiedyś siedzieliśmy na łuku i oglądaliśmy mecz.

– Może kiedyś i my zagramy – westchnął Jurek.

To było jesienią, a wiosną kolejnego roku byliśmy już w szatni I zespołu Pogoni. To było przeżycie, być w szatni ze Zdzisławem Nowackim, Józefem Piątkiem, Jerzym Słowińskim czy Henrykiem Kalinowskim.

***

W pamięci zapadł mi pierwszy trening z I zespołem. Ćwiczyliśmy w dwójkach i mi do pary przypadł pan Józef Piątek. To była przepaść, on miał ponad 30 lat, ja byłem nastolatkiem. Piątek ocierał się o reprezentację. Mieliśmy tylko wymieniać podania między sobą. Byłem mocno zestresowany i podawałem mu na 10 metrów, a on biegał za piłką.

– Junior, nie trenuj mnie tak! – rzucił po jednym z zagrań, a ja pamiętam to do teraz.

Krępowałem się do niego odezwać. Mówiłem tylko na „pan". Kazali mi

tak nie robić, bo byliśmy w jednej drużynie, ale trudno mi to przychodziło. Już gdy przestałem grać w piłkę, to spotykałem kilku starszych piłkarzy, a że miałem firmę, to zdarzyło mi się im pomagać i zatrudniać.

***

Zacząłem od zespołu juniorów, potem były dość szybko rezerwy, gdzie już można było spotkać piłkarzy I zespołu. Debiut zaliczyłem w II lidze, gdy Pogoń spadła po pierwszym w historii awansie. Trener Edward Brzozowski w jednym z meczów w II lidze dość niespodziewanie postawił na mnie. Na mojej pozycji grał Leon Leszczyński, więc początkowo występowałem na łączniku. Potem dość szybko wróciliśmy do elity. Pamiętam też debiut w I lidze z Ruchem Chorzów. Moją stroną atakował reprezentant Polski Eugeniusz Faber. Był bardzo szybki, strzelił pierwszego gola, ale potem już nie dałem mu pograć. Wygraliśmy 3:1. Tytuł w jednej z gazet brzmiał: „Folbrycht najlepszy na boisku". Potem już miejsca nie oddawałem. W podobnym czasie do drużyny wchodził Marian Kielec. Na początku gwiazdą był Henryk Kalinowski, ale po zawirowaniach wszedł w jego miejsce Kielec.

***

Mocna Pogoń zaczęła się od tego, że w Zarządzie Portów była grupa 5-6 szaleńców, którzy podjęli się stworzenia drużyny ligowej. W tej grupie byli m.in. Lucjan Kosobucki, Władysław Wanag, Roman Wilczek. W dodatku wojewodą był entuzjasta futbolu Marian Łempicki. To było trudne zadanie. Całe szczęście, że się udało. Mi trudno wyobrazić sobie miasto bez takiego klubu.

Ktoś wpadł w pewnym momencie na pomysł, by zaprosić na mecz drużynę z Poznania, wówczas grającą w ekstraklasie z wielką trójką „ABC" – Anioła-Białas-Czapczyk. Zagrali wówczas przy sztucznym świetle. Był też pomysł, żeby ściągać drużyny, które grały swoje mecze w weekend w Poznaniu, a na początku tygodnia mogły przyjeżdżać do Szczecina.

***

Przez dwa lata, ze względu na służbę wojskową, byłem piłkarzem Zawiszy Bydgoszcz, ale mogę powiedzieć, że nie żałuję tego czasu. Spotkałem tam

świetnych ludzi, z którymi awansowaliśmy z III do I ligi, a potem wróciłem do Szczecina. W Bydgoszczy było kilku poborowych, a reszta drużyny to byli miejscowi. Musiałem czekać na swoją szansę, ale jak ją dostałem, to już nie oddałem miejsca. Byłem chyba pierwszym żołnierzem PRL, który napisał podanie o przedłużenie służby. Kończyła się w październiku, a runda trwała do listopada, więc chciałem dokończyć ją w Zawiszy. Potem ekipa szczecińska po każdym meczu przestrzegała mnie, żebym czasem niczego nie podpisywał w Bydgoszczy, ale ja i tak chciałem wrócić do Szczecina. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że Zawisza chciał ściągnąć do siebie w pierwszej kolejności Mariana Kielca, ale ostatecznie trafiłem tam ja. Przyznam szczerze, że dla Pogoni byłaby to większa strata, niż moje odejście.

Po mnie z kolei do Bydgoszczy zawitał Zenon Kasztelan. Miałem kontakt z kolegami z Zawiszy i wiem, że Zenka chcieli już wysyłać do jednostki karnej. Był nonszalancki, a w wojsku tak się nie da. Był już odsunięty do rezerw Zawiszy. Ja miałem w klubie dobrą opinię i porozmawiałem z kapitanem, który miał wpływ na generalicję. Gdyby on trafił do jednostki karnej, to byłby koniec. Tam się ładowało 24 godziny na dobę wagony z amunicją, a potem 24 godziny stało się na warcie. On musiał czuć, że chcą go tam umieścić, ale nie miał w sobie zacięcia. W cywilnym klubie pewnie do takiego piłkarza przyszliby sami i porozmawiali, ale w wojsku tak nie jest. Byle kapral mógł go ukarać. Udało mu się na szczęście z tego wyjść, a potem wrócił do Szczecina.

***

Zagrałem jeden mecz w kadrze Polski. Mierzyłem się z Turcją. To było wielkie przeżycie zagrać z Hubertem Kostką, Stanisławem Oślizłą, Jackiem Gmochem, Włodzimierz Lubańskim, Robertem Gadochą oraz Kazimierzem Deyną. Wystąpiłem na Stadionie Śląskim, była piękna pogoda i kilkadziesiąt tysięcy widzów. Zaśpiewałem Mazurka Dąbrowskiego i spełniłem marzenia. Koledzy gratulowali mi dobrego debiutu, ale potem „spaliłem się" i zagrałem słabo w meczu z jakąś drużyną klubową. Pojechałem jeszcze do Dublina, gdzie siedziałem na ławce i na tym właściwie był koniec reprezentacyjnej przygody. Z Pogoni trudno było dostać się do kadry narodowej. Dobrym przykładem jest Marian Kielec. Gdyby był piłkarzem Legii, to grałby regu-

larnie w reprezentacji. Ja byłem namawiany do przejścia do CWKS-u przez doktora Soroczkę, który był lekarzem Legii i kadry. Wiedziałem już jednak, że w wojsku jest tak, że jak idzie, to noszą cię na rękach, ale jak tylko coś nie wyjdzie, to od razu trzeba stawać do raportu.

***

Na co dzień mieszkam w Ystad i gdy mi się nudzi, to zwyczajnie idę na prom i płynę do Szczecina do siostry oraz przyjaciół. Mieszkam w Szwecji, ale Szczecin zawsze pozostanie na pierwszym miejscu. Córka i syn także byli związani z futbolem. Natalia grała w szwedzkich zespołach piłkarskich i wystąpiła nawet w kobiecej Champions League, a syn, studiując w USA, został akademickim mistrzem Stanów Zjednoczonych. Moją drugą pasją jest brydż, występuję w turniejach i teraz przebywam na przykład w Hiszpanii. Chcę też być w ruchu, dlatego staram się żyć aktywnie. Czasami biegam, ale tyle, ile może sobie pozwolić 76-latek.

Jesienią 2017 roku bywałem na meczach Pogoni często, bo przebywałem w Polsce i chodziłem na mecze z Jurkiem Krzystolikiem. Niestety, często wtedy przegrywaliśmy. Chodziliśmy jednak także na pojedynki juniorów. Byłem i nadal jestem zachwycony i zauroczony tymi chłopcami. Oni grają bardzo dobry futbol. Zastanawialiśmy się, czy my graliśmy tak dobrze jak oni i stwierdziliśmy, że nie. Byliśmy słabsi od nich, a dostawaliśmy szansę gry w I zespole. Im też trzeba ją dać, oni muszą poczuć ten zapach. Pamiętam, że dla mnie samo to, że byłem w szatni, to było coś wielkiego. Oczywiście, piłka jest obecnie całkiem inna, ale ich wiek jest ten sam jak ten, gdy my debiutowaliśmy. Nie tak dawno oglądaliśmy mecz Polska – Włochy z Mundialu w 1974 roku i jeśli porówna się go z tym, jak grają obecne zespoły, to jest to inny sport. My byśmy musieli chyba brać doping, bo teraz wszystko dzieje się kilka razy szybciej.

ROZDZIAŁ 25

Załóżmy cel i mówmy o nim głośno

Adam Frączczak

245 oficjalnych meczów w Pogoni i ta liczba wciąż rośnie. Urodził się w 1987 roku. Pochodzi z Kołobrzegu. W Pogoni występuje od 2011 roku. Z klubem wywalczył awans do ekstraklasy (2012). Obecnie jest kapitanem I drużyny. Spokrewniony z Wojciechem.

Z racji wieku, wujka Wojciecha nie widziałem nigdy w akcji, nie miałem też okazji obejrzeć jakiekolwiek zapisu z jego występem. Właśnie dowiedziałem się, że ma 247 oficjalnych występów w Pogoni, a ja 245 i jest teraz pierwszym zawodnikiem, którego będę mógł przeskoczyć[10]. Przy okazji uroczystości rodzinnych spotykamy się i rozmawiamy o piłce. Zawsze dostanę wtedy kilka cennych rad. Nawet ostatnio widzieliśmy się przy – niestety – smutnej okoliczności. Zmarła moja babcia i zarazem jego siostra. Znaleźliśmy chwilę, by wymienić spostrzeżenia. Cenię je, bo wujek jest bardzo inteligentnym człowiekiem i widział dużo w piłce.

– Wszędzie jesteś, biegasz jakbyś był nieopierzony – ostro skomentował moją grę. – Można biegać mniej, ale mądrze! – dodał po chwili ze śmiechem.

Cieszę się, że mogę kontynuować rodzinną tradycję. Mam też nadzieję, że nie będę ostatnim z Frączczaków, którzy zagrają w Pogoni. Syn Alan chodzi na treningi do Akademii i byłbym szczęśliwy, gdyby kiedyś mógł zagrać przy Twardowskiego. Wiadomo jednak, że do tego długa droga.

10 Stan na koniec sezonu 2017/18.

***

Gdy w 2009 zakończyło się moje wypożyczenie do Dolcanu Ząbki, wróciłem do Kołobrzegu i przez pewien czas nie miałem klubu. Nie chciałem jechać daleko w Polskę, by grać w III albo II lidze. Chciałem znaleźć klub przynajmniej w pierwszej. To był chyba lipiec i kadry większości drużyn były już zamknięte. Pomóc próbował właśnie wujek, który rekomendował mnie ówczesnemu kierownikowi Ryszardowi Mizakowi. Dowiedział się jednak, że jedyną opcją jest gra w rezerwach. Nie chciałem tego, tym bardziej, że wiązało się to z finansami. W drugim zespole większość stanowili juniorzy, którzy mieli zapewnione wyżywienie i noclegi. Ja miałem 22 lata i nie mogłem pozwolić sobie na to, by grać za 500 złotych miesięcznie, a taka kwota wtedy padła. Zostałem więc w Kotwicy.

***

Półtora roku później, zimą 2011, w Szczecinie organizowano casting. Wzięło w nim udział kilkudziesięciu zawodników. Parę miesięcy wcześniej w Kołobrzegu prowadził mnie Mariusz Kuras.

– Jeśli będziesz prezentował się dobrze, to możesz liczyć na moje dobre słowo – zapewniał mnie wtedy. – Na pewno będziesz miał szansę, żeby się pokazać.

Tak też się stało. W tych testmeczach wzięło nas udział wielu. W trakcie testów byliśmy zakwaterowani w hotelu „Marina" obok stadionu. Spaliśmy po 7 osób w pokoju (śmiech)!

Ten czas wspominam miło i pewnie w dużej mierze dlatego, że dzięki castingowi udało mi się dostać do Pogoni. Uważam też jednak, że na tle wszystkich, którzy przyjechali wtedy do Szczecina, zaprezentowałem się najlepiej.

Cieszyłem się, że trafiłem do największego klubu w regionie, który w dodatku jest niedaleko od domu. Nie mogłem spodziewać się jednak, że to wszystko tak się potoczy. Za mną 7,5 roku w Pogoni, pewnie wtedy nikt nie uwierzyłby, gdybym to zapowiedział. Kiedyś zawsze moim marzeniem było to, żeby zagrać przynajmniej jeden mecz w ekstraklasie.

***

Zastanawiam się nad statystykami indywidualnymi. Nie jest tak, że nie mają dla mnie znaczenia. Jeśli jest taka szansa, to chciałbym pobić kilka rekordów. W poprzednich sezonach ze strzelaniem było u mnie różnie, ale to także dlatego, że nie miałem jednej, określonej pozycji. Zawsze powtarzam, że jeśli grałbym nominalnie w ataku, to celem byłoby złamanie bariery 10 strzelonych goli. Uważam, że dla każdego napastnika powinien być to cel minimalny. W ostatnim sezonie strzeliłem kilkanaście bramek i stawiam przed sobą kolejne cele. Chciałbym zapisać się w historii Pogoni. Widzę na to szansę. Myślę, że w kolejnych latach trudno będzie znaleźć zawodnika, który tyle lat będzie grał w jednym klubie i będzie tak mocno utożsamiał się z Pogonią. Ja uważam się za taką osobę. O ile zdrowie dopisze, przede mną jeszcze kilka lat grania i będę chciał pobijać rekordy. Także indywidualne, jak miało to miejsce w sezonie 2017/18. Od lipca celem będzie pobicie tego obecnego. Wciąż jest sporo elementów, które mogę poprawić. Wiem, ile miałem sytuacji i gdybym wykorzystał więcej, to poprzednie rozgrywki mógłbym skończyć zdecydowanie wyżej w klasyfikacji snajperów. Może nie byłbym królem strzelców, ale spokojnie mógłbym przekroczyć granicę 20 strzelonych goli. Muszę pracować nad wykończeniem i spokojem pod bramką. Cały czas mogę to jednak robić. Patrzę na Marcina Robaka, który ma 36 lat i od czterech sezonów, każdego roku bije się o koronę króla strzelców. Ja mam 31 i uważam, że jeszcze wszystko przede mną. Do tego potrzebuję jednak zdrowia i stabilnej pozycji na boisku.

***

Jakiś czas temu miałem bardzo dobrą zagraniczną ofertę. Zdecydowałem się zostać. Rozmawiałem z wieloma osobami i przekonywały mnie, że jestem Pogoni potrzebny. Nie odszedłem i w ogóle tego nie żałuję. Niczego wykluczać nie można, ale na pewno nie chciałbym zmieniać klubu na inny w Polsce. Ekstraklasową karierę chciałbym zakończyć w Pogoni. Wybiegając daleko w przyszłość, jeśli byłbym w stanie dać drużynie tyle, ile sam od siebie oczekuję, będę się dobrze prowadził i będę miał dobre liczby, to być może w ekstraklasie będę mógł pograć jeszcze nie trzy lata, ale może sześć. Jeśli natomiast

nie będę w stanie grać na wysokim poziomie, to pewnie karierę zakończę w innym klubie, w słabszej lidze. Ostatnio myślałem o tym i chyba będę chciał grać jak najdłużej i cieszyć się tym wszystkim. Choćby tak jak Bartek Ława, który gra teraz w Chemiku Police dla swojej przyjemności.

***

Najpiękniejszym wspomnieniem z gry w Pogoni był awans do ekstraklasy w 2012. To było wielkie wydarzenie, choć z drugiej strony bardzo stresujące. Dobrze zaczęliśmy, a później mieliśmy spory kryzys. O awans musieliśmy bić się do samego końca. Po zwycięstwie w ostatniej kolejce z Arką Gdynia zapanowała niesamowita radość. Wróciliśmy w środku nocy do Szczecina, a na płycie stadionu było mnóstwo ludzi. Cieszyliśmy się wspólnie z nimi, unosząc puchar. To było niezapomniane przeżycie.

Wbrew pozorom, z sezonu 2017/18 również można wyciągnąć kilka fajnych momentów. Sztuką było podnieść się z wielkiego kryzysu, a my to zrobiliśmy. Będzie to sezon do zapamiętania. Mam też nadzieję, że to był dobry rok na to, by zrobić krok w tył, po to, żeby zaraz zrobić dwa do przodu. Z ekstraklasy trudno awansować wyżej, ale można wywalczyć udział w europejskich pucharach. Zależy mi na tym, żeby w trakcie swojej kariery osiągnąć z Pogonią sukces. Teraz jesteśmy bardzo silni psychicznie i możemy grać o coś więcej.

***

Brak jakiegokolwiek trofeum w historii Pogoni na pewno uwiera. Jako drużyna i klub jesteśmy w takim miejscu, że powinniśmy założyć sobie, że gramy o coś i do tego dążyć. Nie ma co mówić, że najpierw gramy o „ósemkę", a później będziemy myśleć, co dalej. Musimy stawiać przed sobą cele i nie możemy bać się o nich mówić. Puchar Polski powinien być pierwszym trofeum, na którym powinno nam najbardziej zależeć. Wiadomo, że na to składa się wiele czynników, jak chociażby drabinka, ale to najprostsza droga do zdobycia trofeum i gry w europejskich pucharach. Masz kilka spotkań, po których możesz zapisać się w historii polskiej piłki i klubu. Powinniśmy się na tym skupić, a poza tym grać o najwyższe miejsce w lidze. Patrzę na Jagiellonię Białystok i uważam, że personalnie jest bardzo podobną drużyną do nas.

A drugi rok z rzędu biją się o mistrza do ostatniej kolejki.

Musimy w to wierzyć, dążyć do tego i głośno o tym mówić. W Polsce jest takie przeświadczenie, że lepiej nie mówić o celach. Powiesz, nie wyjdzie ci i będą z tobą „jechać". Uważam, że nie ma się czego bać. Mamy świadomość własnego potencjału i wiemy, co udało nam się zrobić wiosną 2018 roku. Po tym możemy zakładać sobie najwyższe cele.

***

Czasami zastanawia mnie to, że przez ponad 7,5 roku nigdy nie spotkałem się z bezpośrednią krytyką. Nie było osoby, która podeszłaby do mnie na ulicy i powiedziała: „nie nadajesz się, odejdź", „przegraliśmy przez ciebie", cokolwiek. Spotykam się raczej z wyrazami sympatii. Dlatego też trudno mi przejmować się anonimowymi, internetowymi hejterami. Choć przyznam się, że czasami denerwują mnie niewybredne komentarze, często niesprawiedliwe, które można usłyszeć z trybun w trakcie meczu. I wówczas cieszę się, gdy mogę odpowiedzieć im dobrą grą, czy strzelonym golem. Sprawia mi olbrzymią satysfakcję, gdy mogę ich uciszyć. Mam też oczywiście świadomość, że tak naprawdę nie ma ich wielu.

Dla mnie największą wagę ma krytyka trenera. A tej – gdy jest to potrzebne – nigdy nie brakuje. Dzięki temu każdy wie, co ma do poprawy.

***

Jesienią 2017 roku miała miejsce nieprzyjemna sytuacja. Przegraliśmy u siebie z Bruk-Betem Termaliką Nieciecza. Wśród kibiców zapanowała duża złość. Pod szatniami stała policja, usłyszeliśmy, że ktoś chce do nas przyjść. Później okazało się, że nie byli to wcale ci najzagorzalsi kibice, ale ludzie spod „krytej". Ktoś poprosił mnie na dół. Zszedłem i zaczęliśmy rozmawiać o sytuacji. O tym, dlaczego tak jest, o drużynie, o trenerze i nie tylko. Ten człowiek to później opisał i umieścił w internecie, używając fałszywych słów. Opowieść zaczęła żyć własnym życiem, choć cytowano słowa, których nigdy nie powiedziałem. Zrobił to chyba, by podkręcić i tak zaognioną już sytuację. Po tej akcji napisałem do niego, a on wszystkiego się wyparł. Mnie to dziwiło, bo uważam, że nie miało to nic wspólnego z kibicowaniem

swojej drużynie. Po co robić takie rzeczy… Nie wiem, czy zrobił to specjalnie, czy nie. Uważam, że nie powinien tak się zachować. Cieszę się, że tę sytuację udało mi się wyjaśnić i mam dowody na to, jak naprawdę było.

***

Jestem pod wrażeniem projektu, według którego ma zostać wybudowany stadion i jego otoczenie. Nie chodzi nawet o sam obiekt, ale wszystko to, co będzie wokół. Dzieciaki będą mieć fantastyczne warunki do treningu i rozwoju. Za trzy lata, gdy to wszystko już będzie, to będziemy mogli usiąść i zastanowić się, gdzie jako klub będziemy za kolejne trzy. Myślę, że wtedy będziemy mogli mieć już aspiracje, by być klubem w top 3 w Polsce. To powinien być nasz cel, by być najlepszymi w kraju. Już teraz mamy argumenty, a gdy powstanie stadion i nowoczesna akademia, będziemy mieć ich jeszcze więcej. Myślę, że wtedy będzie to klub, który doczeka się pucharu w gablocie, a później dalej będzie budował swoją siłę.

***

W listopadzie 2016 roku graliśmy w Gdańsku. Sędzia podyktował rzut karny dla nas. Podszedłem, by go wykonać i tuż przed tym jeden z kibiców Lechii rzucił pod moje nogi knoppersa. Odpakowałem wafelka, ugryzłem go, odrzuciłem na bok, a następnie strzeliłem bramkę.

W internecie film z tego zdarzenia znaleźć można było w wielu miejscach. Niedługo później od producenta wafelków otrzymałem specjalną paczkę. W klubie wymyślono też akcję, dzięki której producent przysłał 10 tysięcy wafelków, które następnie rozdano kibicom. Na koniec sezonu klubowe działy marketingu i PR otrzymały też od Ekstraklasy SA nagrodę finansową za ciekawe działania, którą zresztą przekazały na hospicjum. Wyszła z tego naprawdę fajna akcja.

Dla mnie najważniejsze było to, że po ugryzieniu tego wafelka wykorzystałem „jedenastkę". Nie chcę nawet myśleć, co byłoby wówczas, gdybym tego karnego nie wykorzystał. Czasami trzeba ryzykować i mieć przyjemność z tego, co się robi. Wplątało się w to wszystko trochę humoru i cieszę się, że był tego taki odbiór.

***

Dziś nie wiem, czy będzie to mój ostatni kontrakt w Pogoni, czy nie. Jakby nie było, swoją przyszłość chciałbym związać ze Szczecinem i Dumą Pomorza. Po zakończeniu kariery piłkarskiej chciałbym znaleźć tu swoje miejsce. Na przykład przy młodzieży, żeby dalej być w tym klubie.

Pogoń dała mi wszystko, z czego mogę się teraz cieszyć. Chciałbym pracować do tego klubu, by był coraz większy.

ROZDZIAŁ 26

Pogoń pierwsza w Polsce miała trenera od bramkarzy

Wojciech Frączczak
247 oficjalnych meczów w barwach Pogoni.
Urodził się w 1939 roku. Pochodzi z Gryfic. Grał głównie w latach 60. i 70. Trzykrotnie udawało mu się wywalczyć z klubem awans do najwyższej klasy rozgrywkowej (1958, 1962, 1966). Był w Pogoni, która w 1958 roku pod wodzą Floriana Krygiera pierwszy raz w historii wywalczyła awans do ekstraklasy. Później, w latach 70. i 80., pracował w Pogoni jako trener bramkarzy. Spokrewniony z Adamem.

Pochodzę z województwa bydgoskiego, skąd w 1946 roku przeprowadziliśmy się z rodzicami na ziemie odzyskane, ponieważ mój tata dostał pracę w Gryficach. Po dwóch latach zamieszkaliśmy w Szczecinie. Właśnie wtedy powstała Pogoń, a ja miałem 9 lat.

Razem z Waldkiem Kaszubskim uczęszczałem do Technikum Budowy Dróg i Mostów, w którym graliśmy też w piłkę ręczną. Byłem dobrze zapowiadającym się zawodnikiem, ale moją karierę przerwała kontuzja kolana.

Na operację łękotki jeździłem aż do Piekar Śląskich. Wtedy medycyna nie była na takim poziomie, jak obecnie i mało kto wracał do sportu po tego typu urazie. To właśnie Waldek namówił mnie później na przyjście do Pogoni.

***

Po dwóch latach przerwałem naukę i zatrudniłem się do pracy w porcie. Tam przyjmował mnie sam Florian Krygier, który był dla mnie jak ojciec.

U niego też zacząłem trenować piłkę w drużynie seniorów. Było tak, że jeśli nie miało się aktualnego zajęcia, bo na przykład tak jak ja skończyło się już szkołę, to szło się do pracy właśnie do Portu Szczecin. To był nasz zakład opiekuńczy. Jedyną styczność z pracownikami portu mieliśmy tylko przy okazji odbierania swoich pensji w kasie.

Pracownikom zależało na tym, żeby poznać piłkarzy, których obserwowali z trybun, więc często rozmawialiśmy z nimi przy odbieraniu pieniążków w porcie.

***

Swoją przygodę z futbolem zacząłem bardzo późno, bo w momencie, gdy zbliżał koniec mojego wieku juniora. Moim pierwszym trenerem był Zdzisław Nowacki. Następnie przyszedł okres wojska i próbowano sprowadzić mnie do Zawiszy Bydgoszcz. Pogoń postarała się jednak, żebym został i służbę odbyłem w wojskowym klubie sportowym Wiarus Szczecin. Skrócono mój pobyt w wojsku z 2 lat do roku i kilku miesięcy. Było to spowodowane kontuzją drugiego kolana.

W 1958 roku, kiedy Pogoń po raz pierwszy awansowała do I ligi, nasz zespół składał się z wielu chłopaków stąd, ale też dużej grupy zawodników, którzy przyszli do klubu z różnych regionów Polski. Tutaj dopiero tworzyła się piłka na wysokim poziomie.

Jako dojrzały senior grałem w Pogoni od 1961 roku, kiedy karierę zakończył Ludwik Konarski.

***

W 1963 roku pojechaliśmy z zespołem na letni obóz do Suchedniowa. Tam cała ekipa sportowa, wraz z prezesem Lucjanem Kosobuckim, została umieszczona w niewielkiej świetlicy, w której znajdowała się scena oddzielona od reszty sali kotarą. Część zawodników spała właśnie na tej scenie, a reszta rozłożona była na podłodze w świetlicy. Nie mieliśmy takich warunków, jak obecni piłkarze.

***

Pierwszym trenerem, który w Pogoni wprowadził prawdziwe treningi bramkarskie, był Gienek Ksol. Wymyślił nam chociażby ćwiczenie w piaskownicy, przed którą ustawiał ławeczkę. Rzucał nam piłkę, a zawodnik musiał rozpędzić się na 2-3 metrach, przeskoczyć ławkę i złapać piłkę w locie. Poprzez to zadanie uczyliśmy się parad bramkarskich. Później dokładał nam kolejne ławki, tak że w pewnym momencie trudno było przez nie przeskoczyć. Jak człowiek potrenował tak w piaskownicy, to później mógł latać na linii, ponieważ miał bardzo wzmocnione nogi.

Gienek potrafił fachowo przeprowadzać ćwiczenia i porządnie dawał w kość. Wówczas tworzyliśmy parę bramkarzy razem z Bogusiem Białkiem. Ja byłem raczej takim wyrobnikiem, natomiast on miał świetną technikę i na meczach potrafił porywać publikę. Miał ogromny talent, podobnie jak Radek Majdan i Marek Szczech, który był dla mnie najlepszym bramkarzem w historii Pogoni.

***

Mieliśmy też problem z tym, gdzie trenować. Ruszaliśmy się na łukach bramkarskich, na górze stadionu, a do parku chodziliśmy z chłopakami tylko wtedy, kiedy wiedzieliśmy, że ziemia jest tam miękka. Trener wydzielał nam teren 10 na10 metrów, żeby trochę nas przeczołgać.

Na stadionie bramkarze trenowali z całym zespołem tylko wówczas, gdy ćwiczyliśmy różnego rodzaju zagrywki taktyczne. Najlepiej ćwiczyło mi się właśnie na stadionie, ponieważ w tym samym czasie trenowali z nami lekkoatleci, bokserzy, koszykarze czy piłkarze ręczni. Z radiowęzła grała muzyka i była prawdziwie rodzinna atmosfera.

Do godziny 18 dla wszystkich ludzi był z kolei czynny basen na stadionie i kiedy był zamykany, to my chodziliśmy po treningu na pływalnię.

***

Wtedy w zespole potworzyły się różne grupy. Ja trzymałem się ze Zbyszkiem Łowkisem, Bronkiem Szlinterem, a także Waldkami – Kaszubskim i Ptaszyńskim. Inną grupą byli chociażby Ślązacy na czele z Gienkiem Ksolem,

z którym zaprzyjaźniłem się dopiero po zakończeniu kariery piłkarskiej. Na mecze ligowe jeździliśmy autokarami, a czasami nawet pociągiem w kuszetkach. Mieliśmy wtedy swój wagon i specjalnego kolejarza.

Bywało tak, że jak jechaliśmy na drugi koniec Polski, to jak dotarliśmy na miejsce, to nasz wagon był odczepiany, a my mogliśmy sobie spokojnie pospać, zjeść w nim śniadanie i dopiero później ruszaliśmy do hotelu.

Gdy jeszcze występowałem w drużynie rezerw, to na mecze rozgrywane w regionie jeździliśmy ciężarówką z plandeką. Gdy wracaliśmy do Szczecina i kibice gospodarzy mieli coś do nas, to trzeba było zamknąć tę plandekę, bo leciały w naszą stronę nawet kamienie!

***

W 1974 roku miałem przerwę od gry w Pogoni, ponieważ wyleciałem do USA, żeby przez rok występować w Chicago Lions. Wtedy była swego rodzaju moda, że pod koniec kariery wyjeżdżało się za granicę, żeby zarobić na życie. Najpierw wyjechał Waldek Kaszubski, który tam mnie ściągnął. Nie wolno nam było wyjeżdżać za pracą, ale my właśnie po to się tam udawaliśmy. Leciało się jako czyjś kuzyn, chociaż nie było się spokrewnionym.

Tworzyła się wówczas zawodowa drużyna Stings, której menadżerowie wyłapywali dobrych zawodników z amatorskich zespołów, które występowały w ich stanie. Mnie także zaproponowano kontrakt i duże pieniądze, ale tęsknota za rodziną sprawiła, że wróciłem do domu.

***

Pod koniec kariery piłkarskiej zacząłem zastanawiać się nad tym, czym będę zajmował się w przyszłości. Postanowiłem więc, że zrobię kurs instruktorsko-trenerski. W tym samym czasie robiłem też kurs masażysty sportowego i próbowałem poznawać różnego rodzaju tajniki od Józia Krasuckiego, by móc później pracować w klubie. I choć kilku zawodników wymasowałem, to nigdy nie byłem zatrudniony jako „maser".

Moim cichym marzeniem była praca z bramkarzami, co w klubie bardzo chętnie przyjęto i otrzymałem propozycję pracy. Wcześniej takiej funkcji w Pogoni nie było. Po zakończeniu kariery piłkarskiej zostałem trenerem

bramkarzy i tym samym Pogoń – jako pierwsza w Polsce – wprowadziła taką asystenturę dla trenerów. Dopiero później inne kluby zaczęły wprowadzać funkcję asystenta – trenera bramkarzy.

***

Po latach kolejny Frączczak kontynuuje tutaj karierę. Adam jest wnukiem mojej siostry i dobrze, że jest w Pogoni. Ja chciałem wprowadzić go do klubu wcześniej, niż ostatecznie tutaj trafił. O szansę dla Adama pytałem Ryśka Mizaka, który był wówczas kierownikiem pierwszej drużyny.

– Mamy już skompletowaną drużynę, grałby tylko w rezerwach – powiedział mi.

Poza tym klub musiałby zorganizować mu hotel, na co nie chciano przystać. Dwa lata później dowiedziałem się, że bez mojej wiedzy dostał się do Pogoni. Klub musiał wówczas za niego zapłacić Kotwicy Kołobrzeg, w której miał kontrakt. A wcześniej mógł go mieć za „czapkę śliwek". Najważniejsze jednak, że ostatecznie znalazł się w Pogoni.

ROZDZIAŁ 27

Żaden inny klub nie miał swojego artysty

Iwona Gacparska
Urodziła się w Szczecinie. Od wielu lat kibicuje Pogoni, bywa częstym gościem trybun stadionu przy ul. Twardowskiego. Jest aktorką, pracuje też w TVP3 Szczecin. Jest wdową po śp. Arkadiuszu Gacparskim (żył w latach 1962-2013), który przez lata rysował karykatury piłkarzy oraz pomagał kibicom tworzyć sektorówki. Po jego śmierci wydała album pt. „Arkadiusz Gacparski. Twórczość niedokończona…", zawierający jego prace.

W środowisku artystycznym Szczecina Arek był jedynym, który w tych czasach był zaprzyjaźniony z Pogonią, klubem, a także z zarządem. Po jego śmierci klub umieścił w jednej z gazet bardzo piękny nekrolog. Poza tym przyjaźnił się też z kibicami z „Młodych Wilków" i stowarzyszenia „Portowcy". Przychodził na mecze, a później szedł z chłopakami na piwo i rozmawiali o futbolu.

– Piłka to nie tenis. Musi być na ostro! – mawiał, a transparent z tym cytatem zawisł na stadionie podczas jednego z meczów, gdy upamiętniono jego twórczość.

Na świecie nie było jeszcze naszej córki Anielki, gdy między naszą rodziną a piłkarzami Pogoni wytworzyła się może nie przyjaźń, ale bardzo dobra i silna więź. To był sezon, gdy Pogoń zdobywała wicemistrzostwo.

***

Tworzenie ręcznie malowanych sektorówek było dla niego ogromnym wyzwaniem. Ze wszystkich był zadowolony, usatysfakcjonowany. Z kilku był

natomiast dumny. Całe życie hołdował tradycji i historii. Pierwszą sektorówką, z której był cholernie dumny, była ta z wizerunkiem świętej pamięci Floriana Krygiera i hasłem „Dziękujemy za Pogoń". Podobnie odnosił się do tej w kształcie olbrzymiego herbu, narysowanej na 60-lecie klubu.

Fenomenem była też olbrzymia sektorówka stworzona przez Arka i kibiców na zamówienie fanów Chicago Fire. Była malowana własnoręczne, zwykłymi farbami, miała 80 na 20 metrów i była największa w amerykańskiej piłce. Zaczął sam, a w pewnym momencie poprosił o pomoc chłopaków z „Młodych Wilków". Malowali ją w hali po salonie meblowym w środku zimy, a farba prawie zamarzała.

Byliśmy ze sobą wiele lat, ale kiedy zaczął pomagać kibicom przy sektorówkach, byłam w szoku. To było olbrzymie wyzwanie. Najpierw rysował szkic, a następnie malował flagę fragment po fragmencie. Powstawał kawałek litery, następnie zwijał materiał, by ten wysechł i malował inny element. Miał taką starą, ukochaną bluzę, zakasywał rękawy i zabierał się do pracy. Korzystał z podstawowych narzędzi: ołówka oraz zrobionego z jakiegoś patyka wysięgnika. Malował zwykłymi farbami i normalnym pędzlem malarskim. Ołówkiem rysował na przykład litery albo fragmenty wizerunku. Jak on wyczuwał proporcje, by przełożyć je z kartki A4 na wielką sektorówkę, to tego nie umiem powiedzieć. Miał wyjątkowy talent i robił to z serduchem. Wchodził w to aspekt emocjonalny, bo robił te sektorówki dla Pogoni, dla klubu z miasta, z którego jest. Dla kibiców, którzy go uwielbiali. On to czuł. – Zrobię wam to, ale za ile? – od tego nigdy nie zaczynał rozmowy.

– Jak będziecie mieli kasę, to wtedy pomyślimy – mówił zawsze. – Ile będziecie mieli, tyle dacie.

Za to cieszył się u kibiców sporym szacunkiem. Wiadomo, że to wszystko funkcjonowało dzięki zrzutkom, nie było w żaden inny sposób finansowane.

– Nie mów nikomu, ile za to dostałem, bo w środowisku mnie zabiją! – śmiał się zawsze do mnie.

Poświęcał siły i czas, by powstało coś wartego uwagi. Do tego trzeba było też sporo siły fizycznej. Często wszyscy pracowali albo w przeraźliwym zimnie, albo latem na koronie stadionu, gdy ukrop był nie do wytrzymania. Chłopaki pomagali mu i zarazem uczyli się od niego.

***

Przez długi czas po śmierci męża nie chodziłam na stadion. Nie mogłam. Żal ściskał serce, wszystko mi się przypominało, nie byłam w stanie. Stanęłam jednak na nogi i życie toczy się dalej. Cały czas noszę w sercu Pogoń, to wszystko co dzieje się na stadionie. Teraz odczuwam to jednak zupełnie inaczej. Widzę wszystko z perspektywy tego, co on tutaj zrobił. Gdy patrzę na powiewającą sektorówkę z wizerunkiem Floriana Krygiera, jestem po prostu dumna. A gdy widzę inne, których on nie zrobił, to zwracam uwagę na liternictwo, kolorystykę, sposób wykonania i zachwycam się nimi. Mam wrażenie, że jego cząstka gdzieś tam ciągle jest.

Minęło 14 lat od debiutu sektorówki „Dziękujemy za Pogoń" i to, że ona dalej pokazuje się na stadionie, świadczy jedynie o tym, że jest dobra, kibicom wciąż się podoba i w dalszym ciągu jest pamięć o Florianie. I chyba też, a przynajmniej ja prywatnie tak to odbieram, człowieku, który to wykonał.

Podczas meczu z Sandecją Nowy Sącz na 70-lecie Pogoni stałam daleko i podziwiałam kolorową sektorówkę z Gryfusem i piñatą. Byłam pod wielkim wrażeniem. Widać było, że ona jest robiona z wielkim serduchem. A skoro była malowana, to tym bardziej jestem dumna, bo wiem, że tworzyli ją albo ci sami ludzie, którzy uczyli się na Arku, albo ich wychowankowie.

***

Przyjaźń z kibicami to jedno, ale w 2000 roku zawiązała się fajna więź z drużyną. Przez sześć lat, z powodu pracy, mieszkaliśmy w Poznaniu. Wróciliśmy jednak do Szczecina, bo tu jest nasze miejsce i zaczęliśmy myśleć o dziecku. Arek rozglądał się za zleceniami. Odnawiał znajomości, był wolnym ptakiem i spotykał się z różnymi ludźmi. Któregoś razu, pewnie przypadkiem, poznał Radka Majdana, który zrobił na nim olbrzymie wrażenie.

– Fajny, równy gość – mówił o nim, zafascynowany jego osobą.

Doceniał to, że Majdan nie miał w sobie nic z bufona, że można było z nim normalnie pogadać. Niedługo później Arek zrobił Radkowi na szybko kolorową karykaturę, która była chyba potrzebna do jakiejś gazety. A skoro już ją narysował, to oryginał dał w prezencie Radkowi.

Klub stał wtedy dobrze sportowo i finansowo. Radek musiał to komuś

pokazać i „poszło". Wtedy dobre kontakty z drużyną miał też kolega Arka Krzysiek, który rozwijał agencję reklamową. On także był zamieszany w nietypowy projekt.

– Chłopaki walczą o mistrza i jest pomysł, by zrobić kalendarz z ich karykaturami – oznajmił mi pewnego razu Arek, gdy wrócił do domu.

W tym czasie Radek Majdan miał w Szczecinie swoje puby. I chłopcy z drużyny spotykali się u niego przy Małopolskiej i przy Żupańskiego.

– Chodź ze mną, wypiję jedno piwo i w tym czasie będę rysował – Arek namawiał mnie i zabierał ze sobą.

Po kolei rysował ich i poznawał. Na tamtej drużynie te karykatury wywarły olbrzymie wrażenie. Spodobały się też ich kobietom, żonom, które u Arka zaczęły zamawiać portrety.

– Panie rysuję pięknie, panów charakterystycznie – mawiał wtedy.

Arek musiał poznać zawodników. Zanim w ogóle usiadł do rysowania, rozmawiał z nimi, dowiadywał się, jakie mają pasje. W przypadku jego twórczości karykatury to nie tylko głowa, ale również całe ciało. A do tego potrzebne są atrybuty, przez dobry rysunek musi przemawiać osobowość.

Kalendarz udał się świetnie, a jego promocję zorganizowano w pubie u Radka. Przyszedł cały zespół z osobami towarzyszącymi, to było otwarcie tego klubu. Oprócz kalendarzy, karykatury zostały wydrukowane i zrobiono z nich wystawę.

***

W trakcie tworzenia karykatur poznawaliśmy piłkarzy, otwierali się przed nami. Rozmawialiśmy w sumie o wszystkim. O życiu na walizkach, o zbliżającej się dla nich nieuchronnie sportowej emeryturze. Zastanawiali się, co dalej. Arka to inspirowało i cieszyło, że chociaż jest z zupełnie innego środowiska, to oni lubią go i lubią z nim po prostu pogadać. Część tych relacji pozostało do dziś.

Bardzo serdecznie rozmawiamy zawsze z Bartkiem Ławą, a gdyby do Szczecina przyjechał Radek Majdan, na pewno wyściskalibyśmy się. Po dramacie, który mnie spotkał, od dwóch piłkarzy dostałam telefon z wyrazami współczucia, ale i… radości, że mają u siebie w domu pamiątkę po Arku.

Duże wrażenie robił na nas Darek Dźwigała. Fantastyczny, ciepły człowiek. Rozmowy z nim były emocjonalne i bardzo prawdziwe. Poznaliśmy się z dwójką jego dzieci oraz z żoną. Jej portret Arek także narysował.

Cholernie inteligentny i błyskotliwy był też Grzesiu Mielcarski. A przy tym bardzo skromny. Rozmowa z „Mielcarem" zawsze była przyjemnością. Byliśmy też gośćmi w jego domu.

Ta grupa zarabiała duże pieniądze, miała sukcesy sportowe, ale w ogóle się tym nie obnosiła. Wszyscy byli bardzo przystępni, nie mieli w sobie nic z gwiazdorstwa. Pomimo tego, że byli tak wysoko. Przy nas zachowywali się w taki właśnie sposób i dlatego też ich polubiliśmy.

Siedzieliśmy w pubie, Arek rysował jednego z zawodników, a inni już tupali nogami. Też chcieli mieć swoje karykatury.

– Na kiedy się umawiamy? – dopytywali.

I gdy tylko kończył karykaturę, za chwilę pojawiała się też żona piłkarza z prośbą o wykonanie portretu. W pewnym momencie szło to lawinowo.

***

W 2014 roku na płotach stadionu zawisły prace Arka. Żałuję, że fragmenty wystawy „Pogoń Gacpara" nie pokazały się również przy okazji 70-lecia, ale to nie jest już istotne. Dla mnie wtedy była to najpiękniejsza sprawa, bo żaden klub piłkarski w Polsce nie miał „swojego" artysty.

Zaproponowano mi, by zrobić wystawę. Wyciągnęłam setki prac Arka i zmierzyłam się z przeszłością. To nie były tylko te karykatury, ale przecież też piłkarskie rysunki satyryczne. Dzięki temu wiele osób dowiedziało się o jego artystycznej wszechstronności.

***

Szkoda, że Arka nie ma z nami. Jestem przekonana, że na 70 lat Pogoni przybiegłby do was i zaproponował: „narysujmy całą drużynę". Cenił sobie pracę zespołową i rzadko kiedy oceniał, że ktoś jest lepszy od reszty. Wiedział, że na sukces pracują wszyscy, łącznie z asystentami, rehabilitantami, lekarzami. Dlatego też na pewno chciałby narysować wszystkich, bez wyjątku. Zawodników i trenera. Dla wielu byłaby to wspaniała pamiątka na całe życie.

Myślę, że nie ma już prac Arka dotyczących Pogoni, które nie zostałyby jeszcze pokazane. Po jego śmierci wydałam książkę, do której zebrałam wszystko, co tylko możliwe, łącznie ze zdjęciami samych sektorówek. Wszystko co mam, ujrzało już światło dzienne. Być może są jednak rysunki, o których ja po prostu nie wiem? Może kibice, z którymi po meczu szedł na piwo, mają swoje karykatury? Czasami potrafił na szybko narysować coś „na kolanie", na serwetce i dać to komuś w prezencie. Jeśli w czyichś zbiorach znajduje się jakaś pogoniarska praca Arka… odbitkę poproszę. Na pamiątkę.

ROZDZIAŁ 28

To dzieci są moim szefostwem

Tomasz Gierwiatowski
Urodził się w 1985 roku w Szczecinie. Założyciel Szczecińskiej Ligi Superbohaterów. W 2013 roku wygrał casting na Gryfusa i od tego czasu wciela się w rolę maskotki szczecińskiej Pogoni. Wzorce czerpie z USA, ale nie tylko. Piłkarzy Pogoni potrafi zaskoczyć znajomością… języka japońskiego.

Gryfusem jestem od ponad 5 lat. Właśnie wtedy klub przeprowadzał casting, który miał wyłonić nowego „nosiciela" stroju naszej maskotki. Jako że jest to nietypowa praca, a ja mniej więcej w tamtym okresie założyłem Ligę Superbohaterów i latałem po mieście przebrany za Spidermana, to uważałem, że nadaję się do tej roli.

Mój pierwszy mecz w roli Gryfusa odbywał się w lutym. Śniegu było ponad kostki, wokół murawy tworzyły się zaspy. Nie znałem jeszcze wtedy powierzchni stadionu, nie wiedziałem, w którym miejscu są dziury. Gdy spacerowałem wokół murawy, to wpadłem w jakieś zagłębienie, omal się nie wywróciłem. Teraz znam już na pamięć każdą kępkę trawy. Podczas tego spotkania miałem jednak też dużo milsze doświadczenie. Gdy stałem przed pierwszym gwizdkiem w tunelu, zobaczyłem japońskich piłkarzy, którzy przygotowywali się do wyjścia na boisko. Tak się składa, że znam język japoński, więc będąc już w pełnym, gryfusowym rynsztunku, zagadałem do Takafumiego Akahoshiego i „Taku" Murayamy w ich języku. Chłopaki wyglądali na bardzo zdziwionych – w końcu gadał do nich koleś w ogromnym, czerwonym stroju z dziobem. Nawiązaliśmy jednak fajny kontakt. Z „Aką" do dzisiaj jesteśmy kolegami.

W trakcie tego samego meczu chodziłem od trybuny do trybuny, nagle jakiś kibic zawołał mnie i zaproponował wypicie wódki. Odmówiłem mu, tłumaczyłem, że nie mogę, bo jestem w pracy i jeśli się napiję, to momentalnie ją stracę. Starszy pan nie rezygnował, mówił: „Gryfus, dawaj, poleję ci setę, od razu zrobi ci się cieplej!"

***

W tej pracy nigdy nie jest nudno. Kiedyś dostałem od kibica szalik Pogoni, który kazał mi później nosić. Innym razem jakiś fan włożył mi do ręki 5 złotych za wspólne zdjęcie, choć fotka ze mną jest darmowa. To w końcu część mojej pracy – chodzę, zabawiam ludzi, robię sobie zdjęcia. Ten człowiek mówił jednak, że wykonuję dobrą robotę i chce mi w ten sposób podziękować.

Dodam, że strój Gryfusa kieszeni nie ma, ale są za to nacięcia na dłonie, żebym w razie potrzeby mógł je sobie wyciągnąć. Najczęściej robię to, gdy starsze dzieci częstują mnie słonecznikiem. Przy młodszych nie mogę pokazywać swoich prawdziwych części ciała, bo one naprawdę wierzą w Gryfusa – uważają, że jest on prawdziwą postacią. Wracając do tej monety – schowałem ją właśnie w tym nacięciu, a w przerwie odłożyłem do szatni.

***

Zawsze staram się robić coś nowego, a jednocześnie fajnego. Lotto – sponsor naszej ligi – ustawia obok ławki rezerwowych takie kostki ze swoim logiem, mają około metra wysokości. Kiedyś wziąłem taki sześcian i zacząłem go toczyć po trawie, dzieciaki śmiały się do łez. Nagle podszedł do mnie szef ochrony i powiedział, że klub spotkają za moje zachowanie wielkie kary, że sponsor jest obrażony i inne tego typu rzeczy. Oczywiście nic takiego nie miało miejsca. Wręcz przeciwnie – logo Lotto było wychwytywane przez wszystkie obiektywy, bo to jednak niecodzienna sytuacja, żeby Gryfus toczył takie duże kostki. À propos ochroniarzy – kiedyś kibice z Młyna przybijali mi piątki i nagle podszedł do mnie jeden z porządkowych, pytając co zostało mi przekazane do ręki. Zdziwiłem się i nie wiedziałem, jak zareagować. Zacząłem więc tłumaczyć temu ochroniarzowi, że jestem Gryfusem i przyszedłem podać rękę fanom, więc jak mógłbym przemycać coś nielegalnego. Pan w po-

marańczowym ubraniu nie odpuszczał – zaczął straszyć mnie monitoringiem i tak dalej. W końcu jednak, przy pomocy kibiców, udało mi się przekonać go, że nie zostało mi przekazane nic zagrażającego bezpieczeństwu na stadionie.

***

Pamiętam, że kiedyś naokoło boiska były wystawione jakieś rowery, nie przypomnę sobie, o co dokładnie chodziło. Wziąłem wtedy jeden z nich i, będąc w stroju Gryfusa, zacząłem na nim jeździć. Dzieciaki miały naprawdę dużo śmiechu. Innym razem bramki nie były jeszcze na swoim miejscu, tylko postawiono je gdzieś na skraju boiska. Podszedłem wtedy do jednej z nich i położyłem się na siatce, udając, że to hamak. Dzieciaki krzyczały: „Gryfus, wstawaj!", a ja im odpowiadałem, że jestem zmęczony i idę spać.

Zdarzają się też takie dzieci, które przeszkadzają, to normalne. Na szczęście nie ma ich zbyt wiele, ale gdy już się zdarzą, to naprawdę potrafią dać do wiwatu. Ciągną mnie za kostium, wyrywają palce, a przecież ja odpowiadam za ten strój. Cztery lata zajęło mi wymyślenie sposobu na takich delikwentów. Gdy w pierwszej połowie meczu zauważam, że będę miał do czynienia z niesfornymi dziećmi, to w przerwie idę do szatni, wkładam rękę pod kran, namaczam ją „na maksa" zimną wodą. A że strój jest zrobiony z futra, to bardzo dobrze chłonie tę wilgoć. Będąc tak przygotowanym, wychodzę na drugą połowę. Idę do niegrzecznych dzieci i przybijam im piątki. One pytają się, dlaczego mam tak mokrą rękę. Ja udaję zdziwienie i odpowiadam im, że byłem w toalecie i narobiłem sobie na dłoń. Po takiej informacji mam spokój do końca meczu.

***

Zima jest dla mnie najlepszą porą roku. Chodzę tylko w tym grubym stroju i bokserkach pod spodem. No i oczywiście mam jeszcze buty. W środku jest naprawdę gorąco. To latem przeżywam prawdziwe katusze. Szczególnie w pamięci utkwił mi jeden mecz z lipca 2013 roku. W Szczecinie był wtedy przeraźliwy upał. Myślałem, że zemdleję pod tym futrem. W przerwie wlałem w siebie trzy litry wody, ale na niewiele się to zdało. Gdy tylko założyłem głowę Gryfusa, znów poczułem się jak w piekle. Dodam tylko, że ta głowa waży

aż 6 kilogramów. Dzięki temu mam teraz kark jak Bruce Lee! Było trudno, ale wytrzymałem. Nie mogłem zrezygnować, bo wiem, jak ważna jest ta maskotka dla dzieci, które przychodzą na stadion. Jest sporo grupa milusińskich, których mecz raczej nie interesuje. Dla nich najważniejsza jest zabawa ze mną przez 90 minut.

***

Zaczepiam nie tylko dzieci. Zdarza mi się podrywać dziewczyny. Często wysyłam im buziaki, kreślę w powietrzu duże serca. Dorośli często robią sobie ze mną zdjęcia, nierzadko zachęcają też, żebym wskoczył na boisko i zastąpił jakiegoś piłkarza, któremu nieszczególnie wychodzi dany mecz. Wszystko odbywa się na tak zwanym „spontanie". Nie mogę sobie niczego planować, bo każdy mecz to osobna historia, spotykam się z innymi ludźmi, których śmieszą różne rzeczy. Muszę reagować na bieżąco. Pamiętam, że kiedyś oberwałem śnieżką od któregoś z kibiców. Otrzepałem się, podniosłem koszulkę, odwróciłem plecami do trybun i pokazałem tyłek. Cały sektor zaczął się śmiać. Innym razem dzieci zapytały mnie, czy chcę słonecznik. Ja akurat nie byłem głodny, więc powiedziałem im, że lubię tylko kiełbasę i żelki, bo byłem pewny, że tego nie będą miały w zanadrzu. Przychodzę do nich w drugiej połowie, a one... mają dla mnie żelki i kiełbasę!

Raz zdarzyła się taka sytuacja, że na meczu były pokazy cheerleaderek. Nie byłem jednak wcześniej o tym poinformowany, nie wiedziałem nawet, do jakiej piosenki będziemy tańczyć. Improwizowałem, próbowałem naśladować kroki dziewczyn i podobno wyglądało to komicznie, bo jednak mój zakres ruchów jest ograniczony z racji rozmiarów tego stroju. Ciało szło w jedną stronę, głowa w drugą, żyła swoim życiem.

***

Przypomniała mi się jeszcze jedna miła historia związana z Gryfusem. Kiedyś mecz wypadał w dniu moich urodzin. Spiker ogłosił to przez głośniki i po chwili dorośli zaczęli podchodzić do płotu i śpiewać mi „Sto lat". Po cichu liczyłem na to, że zrobi to w jednym momencie cały stadion, ale niestety się nie udało. Mimo wszystko to było bardzo przyjemne doświadczenie.

***

Gdy zgłosiłem się na casting, zacząłem podpatrywać zachowania amerykańskich maskotek, bo wiedziałem, że Stany to kraj, który wyznacza trendy w tej branży. Szczególnie zainteresowała mnie maskotka Chicago Bulls. Nazywa się ona Benny The Bull. To, co ona wyrabia, jest po prostu niesamowite. Wydaje mi się, że kilka osób wciela się w tego byczka.

Mnie nigdy futbol nie interesował. Pewnie dlatego dostałem tę pracę. Gdyby jakiś zapalony kibic miał stać przez niemal 90 minut odwrócony plecami do boiska, to raczej by tego nie wytrzymał. Mimo wszystko muszę przyznać, że przez te 5 lat zacząłem identyfikować się nieco z Pogonią, przeżywam porażki i zwycięstwa. Zbratałem się już z kilkoma chłopakami i trzymam za nich kciuki. Czasami staję za bramką i ją czaruję.

***

Z wychodzeniem na boisko razem z piłkarzami też wiąże się pewna anegdota. W jednym z meczów ruszyliśmy w kierunku środka murawy, szliśmy jeden za drugim. Przede mną podążał chłopiec, który wyprowadzał pewnego piłkarza – nie pamiętam już nawet, którego. Patrzyłem na trybuny, machałem rękoma, udając dyrygenta. Nie zauważyłem, że bardzo zbliżyłem się do tego chłopca i nadepnąłem mu na nogę. W konsekwencji spadł mu but. Piłkarz, który szedł za rękę z tym dzieckiem, zatrzymał się, podniósł obuwie i założył je temu dziecku. Myślę, że chłopiec wybaczył mi tę wpadkę.

Zdecydowanie gorzej jest, gdy te najmniejsze dzieci zorientują się, że Gryfus jest tylko przebraniem. Muszę bardzo uważać, aby nie pokazać żadnej części swojego prawdziwego ciała, bo to byłaby katastrofa. Kiedyś jednak zdarzyło mi się duże niedopatrzenie. W przerwie jakiegoś meczu siedziałem w tunelu ze zdjętą głową, żeby choć trochę odpocząć i ochłodzić ciało. Akurat w tym momencie przechodził tamtędy Donald Djoussé ze swoim małym synkiem, który po raz pierwszy zobaczył Gryfusa w niepełnym stroju. Maluch był zrozpaczony, przeżył istną traumę.

***

Ja jestem rozliczany przez dzieci, to one są moim szefostwem. Najtrudniejszą weryfikacją jest odpytka z imion. Setka dzieciaków oczekuje, że Gryfus

będzie pamiętał, jak każde z nich się nazywa. Niektórzy mali kibice są charakterystyczni i ich jestem w stanie rozpoznać, bo pojawiają się na większości meczów. Gorzej z tymi, które przychodzą rzadziej, bo trudno jest mi spamiętać ich imiona. No, ale od czego jest Gryfus?

Przytoczę słowa Konfucjusza, który powiedział, że jeżeli znajdziesz pracę, którą lubisz i która daje ci satysfakcję oraz pozytywne emocje, to tak naprawdę nie przepracujesz ani jednego dnia w życiu. Zgadzam się z tym w pełni. Bardzo lubię być Gryfusem i tak naprawdę nie traktuję tego nawet jako pracę. Uważam tę działalność raczej za fajną zabawę.

ROZDZIAŁ 29

Pierwszy reprezentant z okręgu szczecińskiego

Teodor "Bajbek" Jabłonowski
140 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1936 roku. Pochodzi z Mławy. W Pogoni występował jeszcze pod jej poprzednimi szyldami, w latach 50. i 60. Z Dumą Pomorza wywalczył awans do najwyższej klasy rozgrywkowej (1962).

Można powiedzieć, że jestem pierwszym stuprocentowym wychowankiem Pogoni. Nigdzie wcześniej nie grałem, do klubu trafiłem z ulicy, choć urodziłem się w Mławie. Do Szczecina przyjechałem z rodzicami w 1946 roku. W mieście było dużo szabrowników i sporo Niemców. Na początku mieszkaliśmy w „dzielnicy cudów". To były ulice Dubois, Swarożyca, ja mieszkałem na Sławomira. Na tej ulicy nie było nic… no, był komisariat portowy. Mieszkali tam najlepsi sportowcy, były restauracje, port, statki, byli też złodzieje i tzw. „mewki". Mieliśmy swoją drużynę podwórkową i rozgrywaliśmy mecze między dzielnicami. Wtedy pan Stanisław Lajpold – jeden z pierwszych działaczy klubu – werbował takich chłopaków jak ja.

Jako juniorzy mieliśmy sprzęt po seniorach i to było coś wspaniałego. Te koszulki były oczywiście za duże na nas, ale nigdy nie dostawaliśmy nowego sprzętu. Piłki były jeszcze sznurowane. Jak raz zagłówkowałem, to potem miałem przez kilka tygodni znak na czole. Namoknięta piłka mogła ważyć kilka kilogramów.

***

Ksywkę „Bajbek" nadał mi wujek. Byłem mały, więc byłem „Bajbusiem". I potem tak już zostało. W klubie grał też mój brat, więc jakoś tak się przyjęła ksywa „Bajbek". W szatni nikt mi nie mówił po imieniu, tylko „Bajbek".

Moja karta zgłoszeniowa jest z 1950 roku, mam ją w domu. Gdy zaczynałem, to pierwszy zespół grał w A-klasie. Jeździliśmy do różnych miejscowości w regionie. Trening polegał na kilku okrążeniach wokół boiska. Nie ma co porównywać do tego, co jest dzisiaj. Każdy miał swoją pracę, grał z nieprzymuszonej woli. Chcesz pokopać? Proszę bardzo. Z tego stworzyła się drużyna. Na wyjazdy jeździło się odkrytym samochodem ciężarowym marki Star, na którym stawiało się ławki. Boiska to często był kawałek placu, a bramki skręcano z rur. Potem były już salonki i na dalsze wyjazdy udawaliśmy się pociągami. Nawet nie mieszkaliśmy w hotelach, tylko w salonce. W końcu graliśmy w Kolejarzu.

***

Z panem Florianem Krygierem, jako trenerem, współpracowaliśmy krótko. To był człowiek szanowany. Nikomu nie mówił na „ty", zawsze na pan. Prosił, żeby zawodnicy nie palili i nie pili alkoholu, a to wtedy było częste. To jednak byli dorośli ludzie, inne czasy, no i przede wszystkim inne pieniądze niż teraz. W 1958 roku skończył pracę jako trener, a ja wtedy wracałem z wojska. Trenował mnie natomiast przed moim odejściem do Arkonii. Później był już działaczem, szkolił młodzież. Ten człowiek nie nadawał się do dorosłych piłkarzy. Był za łagodny i to wiedział. Piłkarz to piłkarz, nie zawsze jest pokorny. Z czasem doszedł do wniosku, że nie warto. On był idealnym człowiekiem do szkolenia młodzieży. Był bardzo zaangażowany. Oddał całe życie i całe zdrowie Pogoni. Chwała mu za lata pracy. Gdyby nie on, to klub miałby duże problemy. Do tej grupy najbardziej zaangażowanych należeli też panowie Roman Wilczek i Lucjan Kosobucki.

***

Trenowałem też w reprezentacji juniorskiej u Kazimierza Górskiego. On i pan Krygier to podobne charaktery. Poszli jednak inną drogą. Pana Górskiego znałem, ponieważ na ulicy Sławomira, tam gdzie ja, mieszkali jego rodzice.

My pod numerem 16, oni pod 17. Byli tam jego mama, ojciec, brat i siostra. To była końcówka lat 40. On grał wówczas w CWKS-ie Warszawa, czasami przyjeżdżał do rodziny. Jako piłkarz po raz pierwszy miałem z nim styczność na mistrzostwach Polski juniorów w Świdnicy w 1954 roku. Byłem w zespole juniorów Kolejarza. To były pierwsze po wojnie mistrzostwa juniorów. Zajęliśmy 5. albo 6. miejsce. Oprócz meczów, mieliśmy jeszcze „pięciobój piłkarski", czyli konkurencje takie jak slalomy między tyczkami, strzelanie. Trener Górski zbierał reprezentację juniorską, bo wcześniej żadnej takiej w Polsce nie było. Wtedy dostałem powołanie. Byłem na obozie w Rzeszowie. Drużyna juniorów jechała pociągiem na mecz do Rumunii wraz z pierwszą reprezentacją. Ja nie zmieściłem się w składzie, a byłem pewniakiem.

Wtedy było też wielu zawodników z Krakowa, a Szczecin nie był uznanym ośrodkiem. Ja w 1954 byłem pierwszym reprezentantem powołanym z okręgu szczecińskiego. Marian Kielec był królem strzelców i zagrał tylko jeden mecz w kadrze! Kiedyś zapytali Stanisława Oślizłę, wybitnego stopera, kogo się najbardziej bał. Odpowiedział, że Mariana Kielca. Szczecin był daleko, to był wtedy „dziki zachód". Trenerzy byli z Warszawy, z Krakowa, ze Śląska. Liga nie chciała Szczecina, Gdańska czy Gdyni. W reprezentacji było trudno o powołanie.

***

W Pogoni była dobrana ekipa działaczy. Pan Kosobucki, pan Władysław Wanag, pan Wilczek, pan Sadowski. Jeszcze wcześniej byli inni – na przykład pan Feliks Gawroński. Oni byli pracownikami Zarządu Portów i jednocześnie zajmowali się Pogonią.

Najważniejszy był Lucjan Kosobucki, a jego prawą ręką był Stanisław Lajpold. Kosobuckiego nazywaliśmy szefem, on w Zarządzie Portów był chyba wiceprezesem do spraw finansowych. Często wysyłał Lajpolda w Polskę, bo sam miał zapewne jakieś układy i wiedział o tym, że gdzieś tam jest dobry zawodnik. Lajpold jechał i go oglądał, a potem z nim rozmawiał. Kosobucki sam nie robił wiele, ale trzymał pieczę nad wszystkim.

– Premia leży na murawie – mówił szef przed meczami z Górnikiem Zabrze czy Polonią Bytom, a wtedy to były rasowe drużyny.

***

Odkąd trafiłem do klubu, to zawsze mieliśmy swoje boiska na Twardowskiego. W późniejszych latach chodziło się jeszcze na Wyspiańskiego, bo tam też było boisko. Grała tam m.in. Unia, którą prowadził trener Jan Dixa. Plac użytkowali też piłkarze Żydowskiego Klubu Sportowego. Boisko było w okolicy obecnego Pomnika Czynu Polaków. Pierwszy zespół moim zdaniem zawsze jednak grał na Twardowskiego. To były prawie zawsze klepiska. Sami pracowaliśmy, odgruzowywaliśmy i doprowadzaliśmy je do porządku.

W zimie jechaliśmy w góry i tam w śniegu robiliśmy kondycję. Pan Florian zrobił kiedyś buty z metalu, które ważyły po 5 kilogramów. Zakładało się je i biegało po lesie. Czasami zapraszał do nagrzanego pokoju, ubierało się ortalion i w nim na materacu wykonywało ćwiczenia.

***

Oficjalnie klub powstał w 1948 roku, ale już w 1946 roku istniał Sztorm Szczecin. To była taka portowa drużyna. Były wtedy już jakieś rozgrywki, ale jako nastolatek nie interesowałem się tym mocno. W seniorach Kolejarza zacząłem występować, mając 17 lat. Doszliśmy do III ligi, a potem otrzymałem powołanie. Arkonia była gwardyjskim klubem, grała w wyższej lidze, obserwowała rozgrywki i wiedziała, że mają gotowego chłopaka do gry. To równało się zmianie klubu. Od 1956 do 1958 roku byłem jej zawodnikiem, Pogoń była ligę niżej. Gdy wracałem na Twardowskiego w 1959, to drużyna była już w elicie. Miałem podpisane zwolnienie in blanco z Arkonii. Zmieniałem klub właśnie pod takim warunkiem, że wrócę do Pogoni. W tym czasie był przepis, który mówił, że powołany zawodnik mógł grać w dalej swoim macierzystym klubie. W tym samym mieście. Arkonia jednak powiedziała „nie". Jej władze stwierdziły, że jeśli nie przejdę do nich, to wyślą mnie na granicę, a byłem w WOP-ie[11].To oznaczało, że nie będę grał nigdzie. Sam więc zacząłem prosić o zwolnienie do Arkonii. Spotkaliśmy się z prezesami i zaproponowałem, żeby na okres służby przejść do Arkonii, ale żeby jej władze zapewniły, że po tym czasie będę mógł wrócić do Pogoni. Arkonia była klubem gwardyjskim, takim jak np. Wisła Kraków, Zawisza Bydgoszcz, Gwardia Koszalin.

11 Wojska Ochrony Pogranicza

Jeszcze będąc w wojsku, jeździłem z Pogonią na mecze pucharowe. Dostałem pozwolenie, ale jeździłem w mundurze. Można było się spodziewać tego, że Pogoń awansuje szybko z III ligi wyżej. Nie miała swoich wychowanków, ale solidnych piłkarzy. Większość z nich grała już wcześniej w dobrych drużynach, wracali z wojska. Taki Leon Leszczyński był piłkarzem, wybijającym się dużo ponad III ligę. Już w I lidze grał Waldek Kaszubski ściągnięty z Połczyna-Zdroju.

***

Derby Szczecina odbywały się i były bardzo popularne. W 1958 roku graliśmy mecz ligowy na Twardowskiego pomiędzy Pogonią i Arkonią. Ja wtedy jeszcze grałem dla drużyny z Lasku Arkońskiego. Zdobyłem gola, ale wygrała Pogoń 4:2. Wtedy jeden z moich lepszych kolegów, Jurek Słowiński, złamał mi przypadkiem trzy żebra. W drugim meczu był z kolei remis. Wszystkie drzewa były zajęte przez kibiców. Atmosfera była świetna. O derbach mówiło się już długo wcześniej. Na co dzień byliśmy jednak kolegami. Kibice tak samo, nie było podziałów, bo chodziło się na mecze jednej i drugiej drużyny. Inaczej niż na przykład w Krakowie.

Te kluby dopiero się tworzyły, nie było między nimi większych różnic. Ja nie zauważam, żeby Arkonia była faworyzowana, bo to klub milicyjno-wojskowy. Z jednego stadionu szło się na drugi. Derbów nie było wiele. Gdy zbliżał się termin meczu, to atmosfera była trochę podgrzewana. Bitwa była jednak na boisku, ale poza – już nie.

***

Uczciwie powiem, że wtedy alkohol był często spożywany przez niektórych zawodników. Zdarzało się, że także w trakcie zgrupowań. Ale ci piłkarze później grali. W drużynie było może 16 zawodników i jeden trener. Kto miał grać, jak nie oni? Kto chciał wypić, ten miał z kim.

Lekarze to byli w szpitalach, a masażyści… Jeden tak mi zrobił, że biegałem do tyłu! Nie chciałem już żadnego masażu.

Było kilka miejsc, do których chodziliśmy. Przy obecnej Alei Kwiatowej, w jednej z kamienic był klub, gdzie można było posłuchać muzyki z płyt i po-

grać w bilard. Na 3 Maja była świetlica kolejowa. Chodziliśmy po wygranych meczach do Kaskady z żonami i dziećmi. Spotykaliśmy się często.

W latach 50. drużyna spotykała się regularnie w restauracji zapalonego kibica. Miał świetną koninę i chodziliśmy do niego po meczach. Ja byłem wtedy gówniarzem, możliwe, że najmłodszym w drużynie.

– Nie będziesz pił, nie będziesz grał! – usłyszałem podczas jednego ze spotkań.

Ostatecznie nikt mnie do tego na szczęście potem nie zmuszał. Papierosów też nie paliłem.

***

Był u nas taki zawodnik, którego podziwiałem jako dziecko, gdy klub był jeszcze w niższych ligach. To był Stasiu Sójka, czyli „Cygan". Ksywka stąd, że był pochodzenia romskiego. Miał bujną czuprynę. Trener Edward Brzozowski cały czas prosił go, żeby ściął włosy. Umiał z piłką robić bardzo dużo, ale nie potrafił przewrotek. U nas grał rok. Nie miał nawet mieszkania, za bardzo nawet nie potrafił sypiać w hotelach. Zamieszkiwał w cygańskim taborze przy ulicy Energetyków. Były tam konie i wozy. Któregoś dnia nie pojawił się na treningu, więc pojechali sprawdzić, a tam już żywej duszy. Pojechali dalej, Stasiu z nimi, nawet nic nie powiedział. Czytałem, że grał jeszcze w Pafawagu Wrocław.

Grałem też z dziadkiem Łukasza Zwolińskiego – Tadeuszem. Ja poszedłem wyżej, a on zakończył chyba na rezerwach. Potem byłem żołnierzem zawodowym wojsk granicznych i zdarzało się, że przyjmowałem go na granicy, ponieważ on pracował jako marynarz.

***

Nasz kolega, świętej pamięci Józef Piątek, miał rower. Przyjechał nim na mecz, to go wyśmiali: – Józek, rowerem na mecz?!

Samochodów jednak było wtedy mało. Zarobki nie były duże. Świetny polski piłkarz Gerard Cieślik mówił kiedyś, że dostał pralkę. To był luksus.

Mocno zapamiętałem także spotkanie na Stadionie Śląskim z Ruchem. Po nas grała Polonia Bytom z Polonią Bydgoszcz. Jeden z ostatnich meczów grał

wtedy właśnie Cieślik. Na trybunach było 70 tysięcy widzów. To była największa publiczność, przy jakiej grałem. Potem w reprezentacji juniorskiej zagrałem na stadionie Levskiego w Sofii przy 30 tysiącach.

***

My nie byliśmy wybitną drużyną. Przegrywaliśmy mecze, a z Legią czy Górnikiem Pogoń zaczęła wygrywać później. Nam przytrafiło się to słynne 4:0 w Warszawie, Marian Kielec zdobył wtedy trzy gole. To był mecz o utrzymanie, ale Cracovia musiała też przegrać z Górnikiem Zabrze. Kosobucki z telefonem cały czas słuchał relacji z tamtego meczu. To był chyba pierwszy mecz Mariana w Warszawie.

Kiedyś graliśmy też z Polonią Bytom, która potem leciała na turniej do USA. Napastnik Polonii i reprezentant Polski – Jan Liberda – kilka razy był już z piłką niemal na naszej linii bramkowej, ale zawsze wycofywał ją do tyłu. Kibice w Bytomiu śmiali się z nas. Nie mogliśmy tam nic zrobić, a wygraliśmy ten mecz. Obrońca rywali przelobował własnego bramkarza w dość prostej sytuacji. Ja nie mogę powiedzieć, że to był kupiony mecz, bo tego nie wiem, ale… taki się odbył. Nie byliśmy jednak lubiani. „Tych śledzi trzeba wyrzucić" – mówili.

***

Część zawodników miała etat w Zarządzie Portu. Sekcja piłki nożnej była właśnie pod tym patronatem. Koszykówka chyba pod PŻM. Ja, Eugeniusz Ksol i Joachim Gacka pracowaliśmy na Basenie Górniczym w Zarządzie Portu. Był taki przepis, że zawodnicy najwyższej klasy muszą pracować 4 godziny dziennie. Pracowaliśmy na przykład w kadrach. Prace fizyczne nas omijały. Około południa jechało się na trening.

Osobiście nic wielkiego nie dostałem jako piłkarz. W 1965 roku, odchodząc z klubu, nie dostałem nawet dyplomu. Nigdy nie chodziłem i nie prosiłem o żadne talony. Przez pewien czas byłem kapitanem drużyny i wojewoda szczeciński Marian Łempicki dał mi swój telefon prywatny.

– Gdybyś czegoś potrzebował, zadzwoń, dostaniesz – powiedział mi wtedy.

Kiedyś zaproponował mi mieszkanie w okolicy Zamku Książąt Pomorskich.

– Za małe, u mnie jest 6-7 osób – odpowiedziałem. Nie chciałem robić mu przykrości, nie chciałem tego mieszkania. Nie wykorzystywałem tego, że byłem piłkarzem. Teraz? Brałbym wszystko, co dają. Niektórzy tak robili. Ja byłem wychowankiem. Nie mam jednak żadnego żalu ani pretensji.

***

W Szczecinie odbył się mecz Polska – Norwegia, w którym debiutował Włodzimierz Lubański. Działaczem przy reprezentacji był Wiesław Motoczyński. Przypadkiem usłyszałem jego rozmowę z dyrektorem Pogoni Romanem Wilczkiem.

– Dopóki ja jestem dyrektorem, to Jabłonowski już w Pogoni nie zagra – powiedział wtedy.

Mnie to bardzo zabolało. Poczekałem tydzień i te słowa potwierdzały się. Poszedłem więc na rozmowę do Wilczka, który był zaskoczony, że wiem co powiedział. Jeszcze przez jakiś czas próbowali mnie sprzedać do innego klubu, ale ja już nie chciałem grać. Musiałem iść aż do Komitetu Wojewódzkiego, żeby dali mi zwolnienie. Potem miałem oferty z Lublina i Olsztyna, ale żona postawiła zdecydowane weto – „albo zostajesz, albo rozwód". Odszedłem z Pogoni, mając 29 lat.

***

W Pogoni pracowałem jednak z przerwami do początku XXI wieku. Zajmowałem się młodzieżą. Wtedy przyszedł prezes Zbigniew Koźmiński i nakazał likwidować grupy młodzieżowe. Przenieśliśmy je do szkół. Rodzice narobili wtedy trochę szumu. Ja powiedziałem sobie, że kończę pracę, ale moi chłopcy nie przyjęli się w nowym miejscu. Ich rodzice zadzwonili do mnie i pytali „co teraz?". Skontaktowałem się więc z Heniem Wawrowskim z Arkonii i przeniosłem ich tam. Byłem jeszcze 5 lat z nimi. Potem wiek już nie pozwalał. Miałem 70 lat. Jeszcze wcześniej byłem działaczem TKKF, prowadziłem ligi zakładowe, działałem w Pogoni, gdzie byłem krótko m.in. kierownikiem sekcji piłki nożnej.

***

Byłem bardzo wzruszony, będąc na meczu Pogoni z Sandecją Nowy Sącz w 2018 roku. Serce zabiło mi, gdy odbieraliśmy prezenty od klubu, a kibice krzyczeli „sto lat", „dziękujemy". Po meczu wracałem do domu ze spotkanym małym chłopcem i jego mamą, którzy widzieli mnie w przerwie na murawie. Pieszo przeszliśmy kawał drogi i rozmawialiśmy. Dla mnie to jedna z najbardziej wzruszających chwil. Tak bardzo cieszyłem się z tej atmosfery.

ROZDZIAŁ 30

Kary nie będzie, jak nie przegracie z Legią!

Waldemar Jaskulski
193 oficjalne mecze w Pogoni.
Urodził się w 1967 roku w Sępólnie Krajeńskim. W klubie występował głównie w latach 90. Z Pogonią wywalczył awans do ekstraklasy (1992). Jako piłkarz Dumy Pomorza zagrał 10 razy w reprezentacji kraju (debiut 27.10. 1993 roku przeciwko Turcji, łącznie w karierze 13A/1 gol). Ostatni dotąd piłkarz Pogoni, który strzelił bramkę w reprezentacji Polski (w wygranym przez Polskę 4:1 meczu z Litwą, 15.03.1995).

Przygodę z piłką rozpoczynałem w moim rodzinnym Sępólnie Krajeńskim. Następnie do moich rodziców przyjechali na rozmowę przedstawiciele Chojniczanki Chojnice, ale za namową starszego brata, który także grał w piłkę, w wieku juniorskim trafiłem do trzecioligowego Chemika Bydgoszcz. Była to dla mnie prawdziwa próba, by przebić się w drużynie seniorskiej i muszę przyznać, że nieźle mi to wyszło. Zagrałem większość meczów w sezonie.

Po dwóch latach gry przyszedł czas na służbę wojskową w Policach. Szykowaliśmy się z bydgoskim Chemikiem na obóz do Niemiec, ale zamiast zgody na wyjazd, usłyszałem że czeka mnie wojsko. Trafiłem z Bydgoszczy pod Szczecin, ponieważ trenerem Chemika Police był w tym czasie Wiesław Durda, który wcześniej był wojskowym i miał znajomych w tamtejszym okręgu.

W wojsku miałem niewiele obowiązków, skupiałem się głównie na grze i treningach w policki Chemiku. W jednostce potrzebowali mnie tylko w okresie świątecznym, kiedy chłopaki dostawali przepustki, żeby jechać do domu. W trakcie służby wojskowej awansowaliśmy z Chemikiem do II ligi

i graliśmy na tyle dobrze, że Pogoń zwróciła na mnie uwagę.

Po rozmowach z prezesem Zbigniew Popikiem podpisałem kontrakt i tak zaczęła się moja przygoda w Szczecinie. Warto zaznaczyć, że do Pogoni przychodziłem jako pomocnik.

***

Pojechaliśmy na mecz Pucharu Intertoto. Podczas jednego z postojów podszedł do mnie trener Romuald Szukiełowicz.

– Zagrasz na stoperze – oznajmij mi.

Trzeba było uzupełnić lukę po Stefanie Machaju, który odszedł z klubu. Nie ukrywam, że byłem zaskoczony tą informacją, ale trener był pewien, że sobie poradzę.

Wygraliśmy to spotkanie 1:0 i następnie mieliśmy grać na wyjeździe z Lechem Poznań, w którym z przodu występowali Mirosław Trzeciak i Jerzy Podbrożny, a więc klasowi napastnicy. Pomyślałem sobie wtedy, że nas rozjadą. Ostatecznie zagrałem jednak taki mecz, jakbym występował na tej pozycji przez lata. I tak już zostało, że resztę kariery spędziłem na środku obrony. Obok mnie występowali Andrzej Miązek i Jasiu Studziński. W pewnym momencie uważano nas za najlepszą defensywę w Polsce, traciliśmy najmniej bramek.

***

W zespole najlepiej dogadywałem się z Darkiem Szubertem, Adamem Beneszem i Wojtkiem Tomasiewiczem. To była nasza czwórka „do kolacji". Po latach wspólnej gry w Pogoni, miałem nawet okazję zagrać przeciwko Darkowi w Belgii, kiedy on grał w KFC Lommelse. Przy okazji przypomniała mi się sytuacja, gdy w 1992 roku wracaliśmy z meczu ligowego i w autokarze wypiliśmy z Dariuszem i Jasiem Studzińskim kilka piwek „po cichu", bo trener wcześniej nie dał nam pozwolenia. Wiadomo jak to jest po piwie, co chwilę człowiek musi chodzić za potrzebą.

– Kiero, stajemy, toaleta! – zawołał Darek.

Zatrzymaliśmy się, ale nie zdążyliśmy dobrze ruszyć, a ten znowu krzyczy, że musimy zrobić postój. Za trzecim razem trener Szukiełowicz zawołał Dar-

ka do siebie i wtedy kierownik drużyny wyczuł alkohol.

– Chwila, co jest grane!? – zaczęli wypytywać wyraźnie zdenerwowani.

– Chyba coś musiało być nie tak z jedzeniem – tłumaczył pokrętnie Darek.

Chwilę później mieliśmy zorganizowany kolejny postój. Akurat wtedy bardzo wiało i coś bujnęło wysiadającym z autokaru Jasiem. Zawołał go do siebie kierownik.

– Nawet nie musisz mi już chuchać! – wściekał się na niego.

Do mnie trener i „Kiero" nic nie powiedzieli, ale następnego dnia mieliśmy rozruch.

Już na początku zawołał mnie „Szukieł".

– Jutro o 9:30 jesteś ze mną u pana dyrektora – zaczął ostro rozmowę.

– W jakim celu? – zapytałem, udając zdziwionego.

– Jutro przyjedziesz, to się wszystkiego dowiesz – odparł szkoleniowiec, wyraźnie sugerując, że to koniec tej rozmowy.

Następnego dnia przyjechałem do klubu, a tam czekał na mnie trener z kierownikiem. Dyrektora jeszcze nie było, więc usiedliśmy na kawę.

– Chcesz iść do dyrektora Rynkiewicza, czy pogadamy teraz? – zapytał.

Zaczęliśmy rozmowę, która nie trwała jednak długo.

– Od razu ci mówię, że Szuberta i „Studnię" upierdolę, bo jak nie mogą, to niech nie piją! – grzmiał szkoleniowiec.

Trener chciał dla nas kary finansowej. Zbliżał się wtedy ligowy mecz z Legią Warszawa. Poszliśmy więc na układ, że jeśli nie przegramy tego spotkania, to nie będzie kary. Zremisowaliśmy 1:1, ale ostatecznie Szubert, który w tym meczu strzelił dla nas bramkę… został ukarany. W sposób symboliczny, ale jednak. W sumie na karę złożyliśmy we trzech i wszystko rozeszło się po kościach, bo informacja nie dotarła do dyrektora.

***

W reprezentacji debiutowałem w meczu przeciwko Turcji. Już wcześniej dostałem powołanie na spotkanie z Holandią, ale wtedy graliśmy mecz Pucharu Polski w Zamościu. Selekcjonerem był Andrzej Strejlau, a jego asystentem Lesław Ćmikiewicz. W trakcie spotkania z Hetmanem doznałem kontuzji, a zaraz po spotkaniu do klubu przyszło powołanie dla mnie. Wezwał mnie dy-

rektor Rynkiewicz. Powiedział, jaka jest sytuacja oraz żebym podał wszystkie swoje rozmiary, by przygotowano mi ubrania reprezentacji. A przecież ja nie nadawałem się do grania! Dopiero na zakończenie eliminacji, kiedy Polska nie grała już o nic, a z funkcji trenera zrezygnował Strejlau, otrzymałem szansę debiutu.

Później, gdy selekcjonerem został Henryk Apostel, to regularnie występowałem z orzełkiem na piersi. Szkoda, że ominął mnie najważniejszy mecz na Parc des Princes, w którym Polacy zremisowali z Francją 1:1, a debiutujący Andrzej Woźniak został po nim nazwany „Księciem Paryża".

Mieliśmy świetną „kapelę". Do dziś czuję wielki żal, że nie udało się wygrać tego meczu. Za każdym razem na zgrupowaniach kadry mieszkałem w pokoju właśnie z Andrzejem, z którym cały czas byłem w kontakcie. Bardzo często namawiał mnie na przejście do Widzewa, ale ja wtedy nie chciałem się zgodzić.

***

Na przełomie 1995 i 1996 roku Pogoń potrzebowała pieniędzy i musiała kogoś sprzedać. Trafiłem do Łodzi na półroczne wypożyczenie. W Szczecinie nie mogłem liczyć na podwyżkę, a Widzew złożył konkretną propozycję.

– Czas odejść – usłyszałem od pana dyrektora.

Pod koniec sezonu, po kilku miesiącach w Łodzi, podpisałem umowę ze Standardem Liege i po tym, jak wywalczyłem mistrzowski tytuł z Widzewem, to trochę było mi szkoda, że nie zagram z tą drużyną w Lidze Mistrzów.

***

Po długim czasie, w 2000 roku, zadzwonił do mnie Andrzej Czyżniewski, który w latach 90. był w Widzewie asystentem Janusza Wójcika i powiedział, że chcą mnie w Pogoni. Kilka tygodni wcześniej skończyłem 33 lata.

Najpierw trenowałem z drużyną w Szczecinie, a później pojechaliśmy na obóz. Tam „Wójo" przyjechał do nas na jeden sparing i później jeszcze raz na dwa dni. Na co dzień treningi prowadził jednak Mariusz Kuras. Do tego samego miejsca na obóz przyjechał też Widzew. Z łodzianami zagraliśmy mecz kontrolny, a żeby było zabawniej, to wygraliśmy go 1:0 po mojej bramce strze-

lonej Woźniakowi. I znowu „Woźny" zaczął mnie namawiać na przyjście do nich.

Mariusz z kolei chciał, żebym pojechał z Pogonią do Austrii. Nie mogłem się na to zgodzić, bo jednocześnie nikt ze mną nie rozmawiał o kontrakcie, nie miałem też podpisanej żadnej umowy i gdybym nabawił się kontuzji, to mógłbym zostać na lodzie.

Wróciłem do Belgii i wtedy zadzwonił do mnie prezes Widzewa z propozycją. Uzgadniałem z nim szczegóły na stacji benzynowej CPN, bo już wtedy popularne były telefony komórkowe. Udałem się do Łodzi i na pierwszym treningu coś strzeliło mi w kręgosłupie!

Pojechałem do masażysty ŁKS-u, który pracował wówczas z młodzieżową reprezentacją Polski. Poustawiał mi kręgi i pomyślałem, że jest już dobrze. Kiedy jednak obudziłem się następnego dnia, to nie mogłem się ruszyć. Ledwo wsiadłem w auto i pojechałem na Widzew, żeby oddać torbę ze sprzętem. Kontrakt czekał na podpis, ale odmówiłem. Nie chciałem być nieuczciwy. Następnie trafiłem do Radomska, gdzie zagrałem jeden mecz i na tym zakończyło się moje poważne granie w piłkę.

ROZDZIAŁ 31

Pepiki, musicie dużo biegać i walczyć

Jerzy Jatczak
90 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1948 roku w Szczecinie. W Pogoni grał w latach 1967-77. Dwukrotnie był też I trenerem (1988, 1990).

Urodziłem się w Szczecinie, a do klubu trafiłem w 1960 r. dzięki panu Florianowi Krygierowi. Mieszkałem przy ulicy Jagiellońskiej, a on chodził po podwórkach i placach szkolnych. Wielu zawodników Pogoni mieszkało z kolei na Pogodnie. Trafił na nasz mecz podwórkowy. Popatrzył, a potem zagadnął mnie i dwóch kolegów, czy nie chcielibyśmy trenować w Pogoni. Pamiętam, że zebrał reprezentację z takich chłopców i zagraliśmy przedmecz przed spotkaniem mistrzowskim seniorów z drużyną trampkarzy, którą już prowadził. Ten pojedynek wygraliśmy. Taki był początek.

***

Kibiców było mnóstwo na każdym spotkaniu. Nie było wówczas krzesełek, więc trudno to dokładnie policzyć, ale myślę, że spokojnie przychodziło po 20 tysięcy widzów. Mój tata był fanatykiem Pogoni, ale gdy nasz klub grał na wyjeździe, to chodziliśmy też na Arkonię. Nie przypominam sobie żadnych antagonizmów między kibicami. Co weekend byłem na meczu z ojcem. Czasami tato był w delegacjach, więc chodziłem sam. Młodzież wchodziła wtedy bez biletu, o ile miała dorosłego opiekuna. Szukaliśmy więc z kolegami pod stadionem „wujka", który nas wprowadzi.

***

Od wieku trampkarza do juniora prowadził mnie pan Florian, a potem Zbyszek Ryziewicz. Miałem szczęście do tych ludzi. W 1965 roku pojechaliśmy na finały mistrzostw Polski juniorów w Toruniu. W tamtej drużynie grał między innymi Zenek Kasztelan, który już trenował z seniorami, był też Andrzej Rynkiewicz. My byliśmy o rok młodsi od rywali. Potem ja i wielu moich kolegów trafiło do I zespołu. Zadebiutowałem w 1967 roku, ale od 1965 bardzo często trenowałem już z seniorami. Było kilku zdolnych zawodników, którzy mimo sporego talentu nie zaistnieli.

Florian Krygier był wzorem pracowitości, poświęcał Pogoni całe dnie. Chodził po boisku trawiastym i dbał o jego jakość. Młodzież trenowała jednak na boiskach piaskowych. Śmiali się z nas, że dostaniemy pylicy. Każdy z nas miał jednak piłkę, bardzo dużo było zajęć technicznych. Pan Florian do każdego podchodził, pokazywał, ustawiał stopę. Ja zaczynałem u niego jako piłkarz ofensywny, ale potem kolega złamał nogę i musiałem zagrać na stoperze. Tak już zostało na całą przygodę z piłką. Jestem wysoki, ale szczupły i tak zawsze było, więc wydawało się, że nie mam warunków na obrońcę. Mi to jednak bardzo pasowało.

Przez ręce trenera Zbyszka Ryziewicza przechodzili wszyscy. On prowadził I zespół juniorów. U niego było bardzo dużo zajęć indywidualnych. Doskonaliliśmy uderzenie głową, a nawet wślizgi. Kazał wtedy ubierać dresy i iść z nim na boisko trawiaste. Przez 30 minut robiliśmy tylko wślizgi na zmianę prawą i lewą nogą. Miały to być interwencje czyste, tak żeby przeciwnik się nie przewrócił. To wchodziło w krew. Wiadomo, że wślizg to ostateczność, ale my graliśmy mecze na tych żwirowych boiskach i potem byliśmy cali pozdzierani. Zbyszek Ryziewicz to był zupełnie inny charakter niż Florian Krygier. Zajmował się starszą młodzieżą, nie było z nim dyskusji. Mówił, że nie jesteśmy tu za karę, a dlatego, że lubimy być. Był stanowczy. Pan Florian to był tata, a my byliśmy jego dziećmi.

***

Za pana Edmunda Zientary na treningach podchodziliśmy do piłek zawieszonych na linkach i ćwiczyliśmy uderzenia głową. On lubił zawodników, którzy mieli dobrą technikę użytkową. Zientara duży akcent kładł na technikę

i taktykę. Sam był reprezentantem Polski i w treningach wchodził do gry, trudno było mu odebrać piłkę. On często obrażał się na nas. Graliśmy dobrze, ale najczęściej osiągaliśmy wyniki 1:0, 0:0 lub 0:1. Prasa pisała, że pięknie gramy, ale jesteśmy nieskuteczni. On był warszawiakiem i gdy graliśmy w stolicy, to niemal zawsze potem składał rezygnację. Dla niego to był święty mecz, chciał pokazać, że Pogoń potrafi. Zarząd go jednak zawsze zatrzymywał.

Został i wreszcie doczekał się zwycięstwa. Grałem wtedy przeciwko Kazimierzowi Deynie. Miałem za zadanie przeszkadzać mu w grze i wyszło dobrze. On, gdy miał „plastra", to wręcz nienawidził tego człowieka. Faulował, uderzał łokciami, robił się nerwowy, a ja byłem zadowolony, że mu przeszkadzam. To był jedyny mecz, gdy miałem takie zadania.

***

Już w seniorach starsi przyjęli nas bardzo dobrze. Na boisku nie było „proszę pana", tylko ksywy albo po imieniu, ale gdy zabrzmiał ostatni gwizdek, to zwracaliśmy się do naszych starszych kolegów z drużyny na „pan". Atmosfera była bardzo fajna, byliśmy traktowani na równi. Marian Kielec i Hubert Fiałkowski to było dwóch facetów, których głos mocno się liczył.

Najczęściej na mecze jeździliśmy pociągami z zarezerwowanymi przedziałami, ale zdarzyły się też dwie podróże samolotem, gdy graliśmy w Rzeszowie i Mielcu. Jeśli chodzi o pociągi, to przez pewien czas musieliśmy omijać Poznań. Do tej pory są na tej linii nieporozumienia. Zdarzyła się nawet sytuacja, gdy na stacji w Poznaniu odczepili wagon Pogoni. Pociąg pojechał, a piłkarze zostali.

W kolejnych latach pojawiły się lepsze autokary i podróżowaliśmy także nimi. To były pojazdy przystosowane do dalekich podróży.

Za kadencji trenera Bogusława Hajdasa wielu chłopaków grało w brydża. W autobusie były specjalnie przystosowane miejsca do gry ze stolikiem, lampkami i fotelami. Tak upływał czas, często pół nocy.

***

Po debiucie długo siedziałem na ławce. Premierowy mecz wyglądał tak, że w sobotę na rozruchu trener Stefan Żywotko podał skład, ale nie powiedział, kto zagra na lewej obronie. Wymienił tylko trzech, którzy mogą zagrać,

w tym mnie. W dniu meczu wszyscy się przebierali, a my we trzech siedzieliśmy w kącie i czekaliśmy.

– A ty co? Przebieraj się! Grasz! – krzyknął do mnie, a ja oblałem się potem.

Na boisku mi przeszło i zagrałem nawet dobry mecz. Wygraliśmy ze Śląskiem Wrocław 2:0. Starsi zawodnicy mnie pochwalili. Zawsze po meczu kupowaliśmy albo „Tempo", albo „Sport", bo tam były oceny za mecze. Dostałem wtedy najwyższą ocenę z obrońców. Potem Bronisław Szlinter, którego zastąpiłem, wyzdrowiał i znowu grałem epizody. Czasami zastępowałem Zenka Kasztelana. Przez te trzy lata byłem takim „zapchajdziurą".

Gdy odchodził pan Żywotko, to namaścił Eugeniusza Ksola. Ale władze sprowadziły Karela Kosarza, a Ksola mianowały na jego asystenta. Szczerze mówiąc, to drużynę prowadził właśnie Gienek. Kosarz decydował o tym, kto będzie grał, prowadził odprawy, ale często to było tylko podanie składu i... „pepiki, musicie dużo biegać i walczyć", „Juro, Miro a Wojciechowski uważajcie na szpetne przygrafki". A potem szło się na rozgrzewkę. Porozumiewał się z nami mieszanką polskiego i czeskiego.

***

Za trenera Żywotki latem jeździliśmy do NRD, a zimą między innymi do Świnoujścia. Tam zjeżdżało się dużo zespołów, można było rozgrywać sparingi. Mieszkaliśmy w hotelu Atol. Za trenera Kosarza jeździliśmy z kolei do Czechosłowacji, do Jablonca na trzy tygodnie. Nie mogliśmy już na siebie patrzeć. Rada drużyny wystąpiła z wnioskiem, by zgrupowania były krótsze. Boiska też pozostawiały wiele do życzenia. To był lód i twarda ziemia.

***

Bardzo długo leczyłem kontuzję i rehabilitowałem się. W zasadzie wlokło się to za mną od 1973 do 1976 roku. Leżałem w szpitalu w Piekarach Śląskich, chwilę potem był tam też Włodzimierz Lubański. Miałem zerwane więzadła krzyżowe i uszkodzone łąkotki. Przeleżałem wiele tygodni w szpitalu, totalnie pozanikały mi mięśnie. Potem trzeba było doprowadzić to do takiego stanu, by można było normalnie trenować. To było fatum. Po względnym dojściu do

zdrowia trener Edmund Zientara zabrał mnie na mecz, w którym zagrałem może 10 minut i stało mi się to samo w drugiej nodze. Lekarz powiedział, że w I lidze już nie zagram, ale się uparłem. Leczyłem się kolejne pół roku, ale już dokładniej. Trudno było jednak potem wrócić do składu, bo moi koledzy zbierali w tym czasie doświadczenie. W zasadzie musiałem skończyć grę na poziomie pierwszoligowym, trudno jest grać bez więzadeł i łąkotek. Teraz operacje polegają na rekonstrukcji, a wtedy tylko czyściło się kolano. Dzisiaj to nie do wyobrażenia. Pokopałem jeszcze w Chemiku Police i wyjechałem do USA.

***

Kilka lat potem byłem już trenerem. Po trenerze Leszku Jezierskim drużynę Pogoni objął Jan Jucha wraz ze mną. Po pierwszym meczu wiosennym Jasiu złożył rezygnację. Zostałem sam, ale miało to trwać tylko do znalezienia nowego szkoleniowca. Nim miał być Jerzy Kopa, który prowadził wtedy Olimpię Poznań i musiał się z nią rozstać. Miało to początkowo polegać na tym, że ja prowadziłem zajęcia w tygodniu, a on miał pojawiać się na meczach, a właściwie przed nimi, bo na samych spotkaniach już nie. Dochodziło do takich sytuacji, że nie prowadziłem odpraw, bo czekaliśmy na telefon od Kopy. On się pojawiał lub nie. Chłopacy się denerwowali. Nie szło nam dobrze. Pewną ciekawostką jest to, że Marek Leśniak, który wtedy „uciekł" do RFN, był na każdym meczu wyjazdowym. Nie wiem, jak przekraczał granicę. Prasa podawała go normalnie w składzie. W ostatniej chwili podjeżdżała taryfa, wyskakiwał Marek, przebierał się i wbiegał na boisko. Nie wiem, jak go przywozili do Polski, ale chyba była zgoda, żeby grał. Przecież był traktowany jak zbieg. Wchodził na boisko i nie odstawał. Musiał więc gdzieś trenować. Inni zawodnicy chcieli, żeby Marek grał.

ROZDZIAŁ 32

Na Dolny Śląsk zamiast do papieża

Jan Jucha

Urodził się w 1950 roku. Był asystentem trenera Leszka Jezierskiego w drużynie, która zdobywała wicemistrzostwo Polski. Następnie samodzielnie prowadził zespół w latach 1987-88 oraz wiosną 1999 roku, kiedy drużyna uniknęła degradacji.

Z juniorską drużyną Arkonii Szczecin zdobyliśmy Mistrzostwo Polski zespołów gwardyjskich. Zaczynam od tej historii, bo razem ze mną grał wtedy Heniek Wawrowski. Różnica polegała na tym, że występował jako… napastnik. W nagrodę pojechaliśmy na juniorskie Mistrzostwa Polski. W tym samym turnieju zagrał zespół Cieślików Słupsk, który był wylęgarnią talentów. Grali tam m.in. Tadeusz Czubak, Mirosław Justek i Czesiek Boguszewicz, a więc trio, które później wzmocniło właśnie Pogoń.

***

Nie wie o tym nikt, ale mam także zaliczone dwa występy w pierwszym zespole Pogoni Szczecin. Miałem wtedy 37 lat i byłem… trenerem Pogoni. Skorzystaliśmy z zaproszenia i w 1987 roku pojechaliśmy do Danii, a w tym czasie odbywały się matury. Przez to kilku zawodników nie mogło udać się z nami. Zagraliśmy wtedy z FC Roskilde i Broendby Kopenhaga. W tym drugim meczu przeciwko nam wystąpił Brian Laudrup, który po spotkaniu podszedł do mnie.

– Na pewno nie jesteś trenerem tego zespołu? – zagadnął.

Byłem na boisku, a mimo to wyczuł, że chłopcy inaczej zachowują się

w stosunku do mnie. Na boisku przeżył jednak wiele, więc trudno byłoby się temu dziwić.

Karierę sportową zakończyłem przez kontuzję po trzydziestce. Nadal jednak dobrze grałem, z czego korzystał na przykład Marek Leśniak podczas treningów indywidualnych.

***

Swoją pracę trenerską w Pogoni zacząłem w trudnym okresie dla klubu. Był wtedy 1985 rok, a drużyna broniła się przed spadkiem. Pierwszym szkoleniowcem był Maciek Hejn i asystował mu Kazimierz Biela. Udało im się pozostać w lidze. Ja wtedy prowadziłem Błękitnych Stargard.

– Nie chciałbyś współpracować z Leszkiem Jezierskim? – zaproponował pewnego razu kierownik sekcji Andrzej Rynkiewicz, z którym grałem wcześniej w Stali Stocznia. Zgodziłem się.

Na początku wyglądało to tak, że pracowałem… i w Pogoni, i w Błękitnych. Włodarzom ze Stargardu bardzo zależało na tym, żebym został w klubie. Dopiero, gdy oba kluby dogadały się, to pojechałem na obóz, gdzie dołączyłem do trenerów Jezierskiego i Wojtka Frączczaka.

Cieszę się, że nie byłem asystentem tylko od noszenia teczek, ale w dużej mierze to ja prowadziłem zajęcia. Z Leszkiem byliśmy kumplami i do prowadzenia drużyny, i do wypitki. Dosłownie do wszystkiego. Do samego końca mieliśmy bardzo dobry kontakt. On był dla mnie trochę jak ojciec.

W pewnym okresie, gdyby był na chodzie, to zostałby selekcjonerem pierwszej reprezentacji Polski. Być może byłbym wtedy jego asystentem. Gdy ważyły się losy kadry i mógł zawieźć swoje CV do Warszawy, to uważał że jest na tyle mocny, że nie musi tego robić. Jego zdaniem PZPN powinien sam się po niego zgłosić. Dobrze przygotowane papiery złożył jednak Wojciech Łazarek i to on został pierwszym trenerem. Leszek miał wtedy ogromną szansę, ale gdzieś się schował.

Miał charakter, potrafił powyzywać i poustawiać wszystkich. Zawodnicy cenili w nim jego baciarskie podejście. Ja takiego charakteru nie miałem i dobrze, bo gdyby w sztabie było dwóch trenerów o takim samym podejściu, to najpierw obróciłoby się to przeciwko drużynie, a następnie przeciwko nam.

***

Mieliśmy model „menedżera-trenera", który w Polsce raczej nie był stosowany. Leszek był szanowany w klubie i w Zarządzie Portu, dzięki czemu potrafił załatwić wiele spraw.

– Zawodnik musi umieć wykonać korner i z lewej, i z prawej strony! – uwielbiał to powtarzać. – Nieważne, którą nogę ma mocniejszą.

Za jego czasów mieliśmy drużynę grającą najładniejszą piłkę w historii i wspólnie sięgnęliśmy po wicemistrzostwo Polski. Cały czas staraliśmy się grać ofensywnie.

Był też pamiętny mecz w Zabrzu, w którym przy remisie Marek Kostrzewa wybił piłkę, zmierzającą do pustej bramki, po strzale Marka Leśniaka. Później Andrzej Iwan zdobył bramkę na 2:1 i to Górnik na koniec sezonu cieszył się z tytułu.

***

Tydzień po zakończeniu rozgrywek ligowych wystartowaliśmy w Pucharze Intertoto, w którym wygraliśmy swoją grupę. Przez to nie mieliśmy wiele odpoczynku przed dwumeczem z Hellasem Werona w Pucharze UEFA.

Przed pierwszym spotkaniem w kościele przy ul. Witkiewicza odbyła się specjalnie zorganizowana msza, na której było mnóstwo kibiców z szalikami. Jak na tamte czasy, to było duże wydarzenie. Wówczas ludzie licznie przychodzili do kościoła, choć to był taki okres, że nie wszyscy oficjalnie to okazywali. Mimo tego przybyło mnóstwo ludzi, którzy pokazali, że są z nami. To było bardzo miłe.

Okazało się, że mszę prowadził ksiądz Mariusz Śliwiński, z którym później spotkałem się podczas mojej pracy w szkole salezjańskiej. Śmiał się, że gdyby wiedział o tym, że dzięki temu uda się awansować, to zorganizowałby jeszcze jedną mszę przed spotkaniem rewanżowym.

Była taka sytuacja, że w Weronie czekał na nas Władek Żmuda, który grał we Włoszech i był wówczas na miejscu. Był z nami, kiedy mieliśmy rozruch i służył nam pomocą. Jeszcze przed nami do Werony poleciał Andrzej Rynkiewicz. Trochę czasu tam pobył i zebrał nieco informacji na temat rywali.

Praktycznie nic nie wiedzieliśmy o stylu ich grania. Z kolei Włosi wiedzieli

o nas więcej, bo w Szczecinie była nawet włoska telewizja, która nas podglądała. Różnica pomiędzy zespołami była taka, że oni się nas nie bali. My za to znaliśmy tylko ich nazwiska. Byliśmy też w trakcie rozgrywek, a oni dopiero zaczynali sezon.

W pierwszym meczu u siebie powinniśmy zdobyć przynajmniej cztery bramki, a skończyło się remisem 1:1. Była ogromna szansa, żeby ułatwić sobie sprawę przed rewanżem. Kiedy pojechaliśmy do Werony, to otoczka meczu, wyjście na boisko przed spotkaniem, fajerwerki na początku – to wszystko nas przytłoczyło. Włosi wzięli się za nas od samego początku i przy dużej pomocy sędziów szybko zrobiło się 3:0 dla Hellasu. My odpowiedzieliśmy piękną akcją Leśniak – Hawrylewicz i na tym skończył się udział Pogoni w Pucharze UEFA.

Przy okazji nieco pozwiedzaliśmy. Zrobiliśmy wypad nad jezioro Garda, zwiedziliśmy Wenecję, zjedliśmy spaghetti i przylecieliśmy do Polski. Zaraz po powrocie mieliśmy mecz ligowy z Lechią Gdańsk, który chcieliśmy przełożyć. Oni, jak na złość, nie zgodzili się na to, więc pojechaliśmy do nich i wygraliśmy 1:0.

***

Gdybyśmy zrobili wtedy mistrza, to być może coś jeszcze drgnęłoby i udałoby się sprowadzić do nas kilku klasowych zawodników. Niestety później wielu piłkarzy zaczęło odchodzić z klubu i wyjeżdżać na zachód.

Po tym sezonie Zagłębie Lubin proponowało mi posadę trenera, obiecywało talon na ładę oraz niezłe pieniądze. Do Szczecina przyjechał Jan Paweł II, a ja zamiast na Jasne Błonia, udałem się na Dolny Śląsk. Byłem już z nimi po słowie, ale podkusiła mnie chęć bycia najmłodszym trenerem w I lidze i postanowiłem kontynuować swoją przygodę w Szczecinie.

Za moich czasów były jeszcze wyniki. Żegnałem się z drużyną, która była na 5. miejscu. Wtedy z trybun usłyszałem nieprzychylne okrzyki. Żebym wtedy wiedział, jak trenerzy postępują i czekają, aż zarząd sam podziękuje im za współpracę, to pewnie dalej pracowałbym w klubie. Widziałem jednak, że nie szło i sam zrezygnowałem, a zespół przejął Jurek Jatczak.

***

W Pogoni miałem pod swoją opieką kilku piłkarzy, których wcześniej prowadziłem też w Stali Stocznia, między innymi Adama Benesza, Janusza Makowskiego, Jerzego Hawrylewicza i Marka Kalisza. Mieliśmy wówczas świetną politykę transferową stworzoną przez Floriana Krygiera. Chodziło o wskazówki dotyczące uzupełniania składu, przeglądu kadr i przede wszystkim bazowania na wychowankach klubu.

Poza pierwszym zespołem mieliśmy stworzoną grupę młodzieżową, z którą dodatkowo pracowaliśmy. Wtedy też Włodek Obst trenował zdolnych juniorów, którzy zdobyli Mistrzostwo Polski. Wielu zawodników trafiło później do pierwszej drużyny.

To były też czasy, że piłkarze potrafili zrobić wszystko. Odbyć trening, pójść się zabawić i następnie przyjść na następne zajęcia bez większych uszczerbków na formie. Zdecydowanie aniołków w zespole nie mieliśmy. Były grupki Kazia Sokołowskiego, Krzysia Urbanowicza czy „Hawryły" i Benesza. Chłopcy trzymali się ze sobą.

Gdy mieszkałem na Redzie, to także większość piłkarzy miała tu swoje mieszkania. Można powiedzieć, że nieraz było słychać, jak niektórzy zawodnicy świętują po zwycięstwach.

***

Nasz klub jest prawdopodobnie pierwszym w Polsce, który miał okazję zagrać na sztucznej murawie. W przerwie zimowej 1986 roku pojechaliśmy do Algierii na zaproszenie Stefana Żywotki. Dostaliśmy zgodę i udaliśmy się tam na handel i wycieczkę. To co zabraliśmy ze sobą na sprzedaż, to miejscowi niemalże z nas ściągali! Z kolei ich towary były bardzo marne. Już na miejscu dowiedzieliśmy się, że mamy tam zagrać mecz właśnie na sztucznej nawierzchni, co było dla nas absolutną nowością.

Część z nas była zupełnie nieprzygotowana do gry w takich warunkach i w efekcie pogonili nas aż 0:5.

W ogóle z klubem bardzo dużo podróżowaliśmy. Pamiętam swój pierwszy wyjazd z Pogonią, kiedy zostałem pierwszym trenerem. Jechaliśmy wtedy do Magdeburga na mecz Pucharu Intertoto. Na granicy dałem swoje dokumenty.

– Dalej pan nie pojedzie – powiedział do mnie celnik.

– Proszę pana, jadę na swój mecz jako pierwszy trener! – tłumaczyłem. – To dla mnie kluczowa sprawa!

Okazało się, że jakieś pozwolenie było nieważne. Jechał z nami też Zdzisław Baśkiewicz, nasz lekarz klubowy. Zadzwonił gdzieś i na szczęście mnie puścili.

***

Ponad dekadę później, w kwietniu 1999 roku, razem z Leszkiem Jezierskim podjęliśmy próbę ratowania Pogoni przed spadkiem. Przejęliśmy zespół po „Bogdanie" Baniaku. Pieniędzy w klubie nie było wcale. Na ostatnie mecze sami zbieraliśmy na wyjazd, żeby tylko dograć sezon i utrzymać się.

Na pierwszym treningu było aż 31 zawodników, bo „Bogdan" chciał mieć co najmniej po dwóch graczy na pozycję. Przed meczem z Polonią Warszawa zrobiłem rozruch.

– Trenerze, dotąd nie mieliśmy tak ciężkich treningów, jak ta rozgrzewka – usłyszałem od jednego z zawodników.

Daliśmy im wybór – albo zapieprzasz, albo dziękujemy i nie ma ciebie w zespole. Z Polonią graliśmy 11 kwietnia 1999 roku, a dzień wcześniej zmarł mój ojciec. Dedykowałem mu to spotkanie i wygraliśmy je 1:0.

Kilka kolejek później mieliśmy mecz w Poznaniu z Lechem. Powiedzieliśmy sobie przed nim, że jeśli tam przynajmniej zremisujemy, to utrzymamy się w lidze. Skończyło się wynikiem 2:2 i choć po tym spotkaniu nie mogliśmy być niczego pewni, bo do końca było jeszcze parę kolejek, to ostatecznie pozostaliśmy w lidze.

Za utrzymanie obiecywano nam olbrzymie pieniądze, których oczywiście nie zobaczyliśmy. Później siedzieliśmy w restauracji „u Greka", przy okazji imprezy po zakończeniu sezonu. Prezes Krzysztof Lewanowicz zaczął rozmowy o dalszych losach klubu i namawiał mnie, żebym prowadził drużynę w kolejnym sezonie. Nie mógł jednak nic zaoferować i tak zakończyła się moja przygoda z Pogonią.

ROZDZIAŁ 33

Syria? Nawet z nogą w gipsie pojadę

Marcin Kaczmarek
103 oficjalne mecze w Pogoni.
Urodził się w 1974 roku w Sztumie. W klubie występował w latach 1994-98. Wywalczył awans do najwyższej klasy rozgrywkowej (1997). W sezonie 2007/08 był pierwszym trenerem Dumy Pomorza w czasach odbudowy. Jesienią 2007 roku prowadził zespół, który po sezonie awansował do II ligi zachodniej.

W 1994 roku byłem wyróżniającym się piłkarzem zaplecza ekstraklasy. Zdobyłem dla Lechii Gdańsk chyba 14 goli. Miałem kilka propozycji. Wybrałem wtedy Pogoń między innymi dlatego, że znałem trenera Jerzego Kasalika. On o mnie zabiegał, a ja byłem młodym piłkarzem i uważałem, że będzie mi łatwiej wejść w zespół prowadzony przez szkoleniowca, którego znałem. Nie bez znaczenia był też fakt, że w drużynie byli inni zawodnicy w moim wieku – Olek Moskalewicz, Radek Majdan czy Maciek Stolarczyk.

***

To były trudne lata, czas przemian, ale mnie wtedy to nie interesowało. Liczył się rozwój i szansa, jaką mogłem dostać. Pieniądze były gdzieś w tle. Było też barwnie. Pogoń na pewno nie była krezusem finansowym, nie przelewało się w klubie. Nikt z nas nie był w czołówce pod względem zarobków w lidze.

W całej naszej piłce kręcili się różni szemrani sponsorzy. Pamiętam sytuację, w której część zespołu, około ośmiu zawodników, a wśród nich ja, zdecydowało się ogolić głowy na zero.

To był nasz protest i akt solidarności z Olkiem Moskalewiczem, któremu

władze klubu zalegały jakieś pieniądze. Tylko Radek Majdan nie ściął swoich bujnych włosów. W ramach protestu jedynie lekko pofarbował fryzurę. W „Piłce Nożnej" pojawił się nawet artykuł pod tytułem „Protest ogolonych".

Myślę też, że właśnie z takich względów wielu utalentowanych piłkarzy ze Szczecina kontynuowało swoje kariery w bogatszych wówczas klubach. Tworzyliśmy jednak zgraną paczkę chłopaków, którzy doskonale radzili sobie życiowo w trudnych warunkach.

***

Spadek z ekstraklasy w sezonie 1995/96 dokonał się w Bełchatowie i będę pamiętał go do końca życia. Zostaliśmy wtedy ewidentnie skrzywdzeni. Leszek Pokładowski na samym początku meczu dostał dwie żółte kartki. Drugą za to, że lekko odrzucił piłkę w kierunku rywali. Przez cały mecz dzielnie się stawialiśmy, zdobyliśmy gola na 1:1 i remis dawał nam utrzymanie. W samej końcówce sędzia kolejny raz zagwizdał wątpliwy faul na korzyść GKS-u. Możliwe, że było to przewinienie, które powinien podyktować… w drugą stronę. Po zamieszaniu straciliśmy gola na 1:2 i spadliśmy z ekstraklasy.

Co ciekawe, prawdopodobnie przez cały ten sezon nie byliśmy na miejscu spadkowym. Zostaliśmy tam przekręceni. Cóż, takie to były czasy. Nie mogliśmy wtedy pogodzić się z tym jako młodzi piłkarze, którzy byli idealistami. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że dzieją się poza nami różne dziwne rzeczy. Nie byliśmy niewidomi. Oczywiście, teraz mogę jedynie podejrzewać, bo nikt nikogo za rękę wtedy nie złapał.

***

Prowadził nas wtedy trener Janusz Pekowski i nie była to wielce udana współpraca. Choćby właśnie dlatego, że spadliśmy z ligi. Trener pojawił się po wielu latach w Polsce, dużo wcześniej pracował między innymi w Arce Gdynia, a potem wyjechał do Szwecji. Jakimś zbiegiem okoliczności trafił do Pogoni. Do końca życia zapamiętam jedną z jego filozofii.

– Jak nie masz do kogo podać, to podaj do nikogo – mawiał.

To pewna ciekawostka, ale jednocześnie wiem, jak trudny jest zawód trenera, więc nie będę nikogo mocno krytykował.

***

Doskonale pamiętam mecz, w którym zdobyłem swoją jedyną bramkę w ekstraklasie. Graliśmy z Widzewem Łódź na własnym stadionie, a ja strzeliłem z rzutu wolnego. Łodzianie byli wtedy mocnym zespołem. Wygraliśmy po mojej bramce 1:0.

Z kolei na Legii Warszawa zremisowaliśmy 1:1, zagrałem dobry mecz i udzieliłem pierwszego wywiadu dla wchodzącej na rynek stacji telewizyjnej Canal+. Rozmawiali ze mną, na tak zwanych „stołkach", początkujący dziennikarze – Tomasz Smokowski i Andrzej Twarowski. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że mam do czynienia z przyszłymi legendami tej telewizji.

Grałem też w spotkaniu z Lechem Poznań, w którym w ostatnich minutach drużyna wyszła z wyniku 1:2 na 3:2. Moim kolegom należą się gratulacje, bo ja sam grałem przeciętnie i opuściłem plac gry tuż przed tymi dwoma golami.

***

W sezonie po spadku z ekstraklasy dołączył do nas Kameruńczyk Heuyot Tobit, pierwszy czarnoskóry piłkarz w historii Pogoni. Wówczas nie spotykało się jeszcze wielu piłkarzy z Afryki w naszej lidze. Tobit zaprosił drużynę na kolację do siebie do domu. Zaserwował nam potrawy z kuchni swojej ojczyzny, ale… nie byliśmy nimi zachwyceni.

***

Z Pogonią udało mi się zwiedzić kawałek świata, a to pomimo tego, że klub nie grał w europejskich pucharach, ani nie był bogaty. Byłem z drużyną w Malezji za trenera Bogusława Baniaka. To była pełna egzotyka.

Celem drugiego wyjazdu była Syria. Nie było to do końca racjonalne, ponieważ w tym czasie byłem kontuzjowany i miałem nogę w gipsie. Trener Romuald Szukiełowicz zabrał nas jednak po zakończonej rundzie do Damaszku. Zgodził się na to, bym ja także poleciał, chociaż od kilku tygodni chodziłem o kulach. Przy takim wyjeździe wymagałem pomocy, ale mogłem liczyć na kolegów, którzy nosili za mną choćby bagaże. Bardzo chciałem jechać, bo

wtedy taki wyjazd to było coś. Wcześniej bywałem jedynie w demoludach[12] i Finlandii. Byłem tam „osobą towarzyszącą", koledzy zagrali może dwa mecze sparingowe, a potem zwiedzaliśmy kraj, który jest kolebką chrześcijaństwa. Dla piłkarzy nie było to chyba jakoś bardzo atrakcyjne. Na pewno więcej rozmachu było w Malezji, która mocno się rozwijała. Widzieliśmy między innymi Petronas Towers, czyli jedne z najwyższych budynków świata.

***

Gdy w 2007 roku przychodziłem do Pogoni już jako trener, miałem sporą szansę na to, by prowadzić drużynę drugoligową. Trwała jeszcze o to walka, by klub zaczął sezon na zapleczu ekstraklasy. To się nie udało. Szefostwo przekonało mnie, żebym pokierował zespołem także w IV lidze. Zapowiadał się ciekawy projekt, więc przystałem na to, także z sentymentu. Losy potoczyły się w ten sposób, że po kilku miesiącach już nie byłem trenerem Pogoni. Cieszę się jednak, że na samym początku położyłem jakąś cegiełkę w odbudowie klubu.

Na początku usiedliśmy ze Sławkiem Rafałowiczem i zaczęliśmy główkować, jak to wszystko poukładać. Na szczęście klub, jak na ten poziom rozgrywkowy, był bardzo stabilny finansowo. Panowie Grzegorz Smolny i Artur Kałużny zapewniali godne warunki. Inną sprawą były personalia, nie mieliśmy dużo czasu na skompletowanie kadry. Oparliśmy się na zawodnikach doświadczonych, jak Grzesiek Matlak, Radek Biliński, Paweł Skrzypek i Marek Walburg. Z młodych bardzo utalentowany był Czarek Przewoźniak, który nie zrobił jednak kariery. Udało nam się to poskładać na tyle, że zakończyliśmy rundę jako lider. Wiosną Pogoni już nie prowadziłem.

***

Nigdy nie poznałem przyczyn zwolnienia. Ta decyzja była dla mnie niezrozumiała. Moim zdaniem rozmowa, podczas której mi podziękowano, była pierwszą i ostatnią, podczas której władze klubu nie miały zupełnie argumentów i nie potrafiły racjonalnie wytłumaczyć swojej decyzji. Panowie zachowali się jednak z klasą, jeśli chodzi o finanse. Bez żadnego zająknięcia wypłacili to,

12 Potoczne określenie krajów bloku wschodniego. Blok ten istniał po II wojnie światowej do początku lat 90.

co było zapisane w umowie.

Zastanawiałem się, co mogłem więcej zrobić. Domyślam się jednak, że był nacisk, by drużynę poprowadził Mariusz Kuras, legenda Pogoni i człowiek z większym doświadczeniem trenerskim. Tak też się stało. To już historia i teraz traktuję to jako ciekawostkę. Nie każdemu zdarzało się być zwolnionym, gdy zajmował pierwsze miejsce w tabeli.

ROZDZIAŁ 34

„Pan Elegancja" uderzał z rotacją

Zenon „Jojo" Kasztelan
369 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1946 roku w Szczecinie. W klubie występował głównie w latach 60. i 70. Dwukrotnie wywalczył awans do najwyższej klasy rozgrywkowej (1966, 1981), z Pogonią zagrał w finale Pucharu Polski (1981). Jako piłkarz Dumy Pomorza wystąpił w sześciu meczach reprezentacji Polski (debiut 16.05.1973 roku przeciwko Irlandii), w których zdobył jedną bramkę (10 sierpnia 1973 roku, ustalając wynik meczu USA – Polska na 0:4). Był to pierwszy gol piłkarza Pogoni w kadrze narodowej.

Moi rodzice pochodzili z poznańskiego, a ja urodziłem się już w Szczecinie. Nie mam sympatii do Poznania, jestem rodowitym szczecinianinem. Razem z bratem mieliśmy duży talent do piłki. Od małego graliśmy na ulicy, bo nie było nic ciekawszego do roboty. Poza grą w chowanego, od zawsze biegałem też za innymi piłkami, gumowymi albo do palanta. Każdy z nas myślał tylko o tym. Dzięki temu uczyłem się również techniki.

Do Pogoni trafiłem po jednym z turniejów dzikich drużyn, w którym grali chłopcy z całego Szczecina. Zawody organizowali Florian Krygier i Janusz Przybylski. Występowałem też w reprezentacji juniorów Szczecina, która składała się z zawodników Pogoni, Arkonii i Czarnych.

***

Pod wodzą trenera Zbigniewa Ryziewicza zdobyłem z drużyną juniorów wicemistrzostwo Polski. Przed samym meczem finałowym zostałem wezwany

przez trenera Stefana Żywotkę na spotkanie pierwszej drużyny. Wówczas starsi zawodnicy powoli kończyli z graniem i potrzeba było młodych.

Z zespołu juniorów później w lidze grali ze mną Ryszard Malinowski, Andrzej Rynkiewicz czy Jurek Jatczak.

W międzyczasie odbyłem służbę wojskową w Zawiszy Bydgoszcz, ale tam byłem krótko. Nie łapałem się do składu, bo była tam duża koalicja „krzyżaków"[13].

***

Po powrocie do Pogoni wskoczyłem do pierwszej drużyny i już w niej zostałem. Naszym interesem było wygrywanie meczów, bo wtedy mieliśmy płacone w klubie. Nieistotne były układy, tylko dobro drużyny. Wiadomo, że młody szczawik to był też od podawania i usługiwania. Kiedy w drużynie nie ma gwiazd, to cały zespół musi być zgrany. Ekipy, które przyjeżdżały na mecze do Szczecina miały świadomość, że u nas trudno będzie im osiągnąć dobry wynik. My byliśmy rodziną.

***

Najlepszy kontakt w szatni miałem z Ryśkiem Mańką. Mieszkaliśmy niedaleko siebie i po treningach chodziliśmy do kawiarni Marzenie. Trzeba powiedzieć, że jak wygrywaliśmy mecze, to wszystko było w porządku, ale kiedy dostawaliśmy w łeb, to już nie było dobrze. A przecież niejednokrotnie przychodzą stagnacja i kontuzje, które mają wpływ na grę drużyny.

Ja miałem umiejętność mijania przeciwników i kontuzje mi się nie przydarzały. Nie stawiałem nóg tam, gdzie nie trzeba. Nie musiałem też walczyć ze stoperami, tylko rozrzucałem piłki ze środka pola.

***

Bardzo lubiłem improwizować na boisku. Dostałem nawet przydomek „Pan Elegancja", ponieważ grałem w piłkę ładnie dla oka. W tamtych czasach niemalże wszyscy kopali rzuty wolne z „dużej stopy", a ja dokładałem do tego

13 Pejoratywne określenie torunian.

rotację. Podpatrzyłem to w telewizji, ponieważ miałem stację DDR-owską[14] i później ćwiczyłem strzały na treningach.

***

Przeciwko Stali Mielec zdobyłem bramkę numer 300 dla Pogoni w I lidze. Dopiero po meczu dowiedziałem się z prasy, że to jubileuszowy gol. Wówczas nikt z nas nie prowadził statystyk i się tym nie interesowaliśmy.

***

Każdy piłkarz liczy, że kiedyś dostanie swoją szansę w reprezentacji. Dzięki niej mogłem pozwiedzać trochę świata. Cała plejada chłopaków, która wtedy grała w kadrze, występowała w lidze, więc dobrze się znaliśmy. Kolegowaliśmy się, ale tam toczyła się walka o pieniądze i granie.

W reprezentacji strzeliłem bramkę w meczu z USA, który wygraliśmy 4:0, ale oni to byli leszcze.

***

Po ukończeniu 30 lat, kiedy mogłem już wyjechać do zagranicznego klubu, trafiłem do Admiry Wacker. Kibice początkowo nie wiedzieli o moich przenosinach. Tam polecił mnie Antoni Brzeżańczyk, były selekcjoner selekcjoner młodzieżowej reprezentacji Polski. On wówczas prowadził ten klub, ale kiedy się wreszcie przeniosłem, to on wyjechał do Grecji. Spotkaliśmy się jeszcze na miejscu, ale nie był moim trenerem.

W Austrii podejście do treningów było na naprawdę wysokim poziomie. To była zawodowa liga, choć nie wszyscy mieli profesjonalne kontrakty.

Po dwóch latach w Austrii wróciłem jeszcze do Pogoni. Z czasem w Admirze zmienił się trener, który uznał, że jestem już za stary. Po powrocie do Szczecina jeszcze dwa lata pograłem w piłkę i zakończyłem karierę.

***

Pogoń jest bliska mojemu sercu, bo od małego do samego końca zawodowego grania była moim klubem.

14 W tych czasach oprócz dwóch programów Telewizji Polskiej w Szczecinie odbierać było można także program publicznej telewizji NRD nadawany z Berlina.

ROZDZIAŁ 35

Jak nie wiecie, co zrobić z piłką, grajcie ją do Adama

Adam Kensy
288 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1956 roku. Pochodzi z Białośliwia, nieopodal Nakła nad Notecią. W klubie występował w latach 70. i 80. Z klubem zajął 3. miejsce w rozgrywkach o mistrzostwo Polski (1984) i zdobył wicemistrzostwo kraju (1987). Jako piłkarz Dumy Pomorza trzykrotnie zagrał w reprezentacji Polski (debiut 22.05.1983 przeciwko ZSRR).

W Zachemie Bydgoszcz walczyliśmy o awans do II ligi. Dobre występy na trzecim poziomie rozgrywkowym sprawiły, że otrzymałem powołanie do młodzieżowej reprezentacji Polski, w której grał także bramkarz Portowców Marek Szczech. Włodarze Pogoni podpytywali go, czy nie ma w kadrze zawodnika występującego poza I ligą. Wtedy właśnie wskazał na mnie.

Wówczas nie mieliśmy telefonów komórkowych, ale tak się złożyło, że po treningu zostałem w klubie, kiedy akurat zadzwonił dyrektor Pogoni Roman Wilczek.

– Przyjedź do Szczecina – zaproponował, a następnie dłużej porozmawialiśmy.

Parę dni później wsiadłem w autobus i pojechałem. Co ciekawe, nieco wcześniej wróciłem z Kuby, gdzie odbywało się zgrupowanie reprezentacji. W związku z tym byłem bardzo opalony. W autobusie jechała ze mną pewna dziewczyna, która wracała do swojego domu w Szczecinie. Mieszkała przy ul. Mickiewicza, czyli przy samym stadionie. Ośmieliłem się usiąść koło niej

i przez całą drogę rozmawialiśmy. Dojechaliśmy na miejsce, poprosiłem o numer telefonu do jej domu. Dostałem go. Następnie pojechałem na Tor Kolarski, bo w tamtych okolicach miałem spać. Niestety w nocy okradziono mnie z portfela, pieniędzy i moich notatek. Najbardziej było mi żal tego numeru!

W taki sposób rozpoczęła się moja przygoda w Szczecinie. Na szczęście zapamiętałem imię i nazwisko dziewczyny, dzięki czemu odnalazłem ją w książce telefonicznej. Dziś Teresa jest moją żoną.

***

Pamiętam, jak przed jednym z treningów bardzo wiało i wziąłem sobie kurtkę. Jak się później okazało, należała do Zenka Kasztelana. Nie zapomnę tej sytuacji. Bardzo długo go przepraszałem, bo respekt czułem przed nim ogromny. Chłopak z trzeciej ligi zabrał kurtkę piłkarzowi wielkiego formatu, jakim był Zenek! Na szczęście nie było sprawy.

***

Cała drużyna przyjęła mnie dobrze. Przez część swojej kariery miałem coś takiego, że za dużo kiwałem się na boisku. Nawet w prasie ukazała się notatka, że „Kensy mija rywali, jakby zjeżdżał na nartach między słupkami". Było to po tym, gdy w trakcie meczu wyminąłem czterech legionistów.

Często wręcz za bardzo się podpalałem, więc starsi koledzy, którzy byli jak profesorowie – Rysiu Mańko, Jasiu Mikulski, Zenek Kasztelan – zrobili mi na treningu numer. Podczas gierki oddawali mi piłkę i zatrzymywali się. I tak każdy po kolei. Wtedy zrozumiałem, na czym polega gra zespołowa.

***

Pamiętam też specyficzne ćwiczenia u Konstantego Pawlikańca, za którego Pogoń spadła z I ligi. Nigdy wcześniej, ani nigdy później nie miałem takich zadań, żeby grać piłkę na utrzymanie ręką. On twierdził, że wówczas popełnia się mniej błędów, a mieliśmy przecież grać w piłkę nożną.

Żeby było śmieszniej, nie pozwalał nam podrzucać tej piłki nad rywalem, ale już w trakcie spotkania ligowego mogliśmy futbolówkę rozgrywać między sobą górnymi podaniami.

***

Po pierwszej przygodzie z Pogonią musiałem odbyć służbę wojskową w Zawiszy. Po jej zakończeniu zaczęły się zgrzyty, ponieważ w Bydgoszczy chcieli mnie dalej u siebie. Z kolei ja nie chciałem grać w wojskowym klubie. Wówczas pojawiły się dwie oferty. Jedna to powrotna do Szczecina, druga była z Zabrza. Ze względu na to, że mieliśmy małe dzieci, postanowiliśmy z żoną, że będę kontynuował karierę w Pogoni. Górnik oferował mi w tym czasie trzykrotnie wyższą pensję! Po latach mogę powiedzieć, że podjęliśmy dobrą decyzję. Jedyne czego mogę żałować, to występów w reprezentacji Polski. W tamtych czasach zdecydowanie łatwiej było dostać się do niej właśnie z Górnika.

Antoni Piechniczek w podsumowaniu roku 1983 powiedział, że w reprezentacji, w której rozegrałem w sumie trzy spotkania, sprawdziło się czterech zawodników: Zbigniew Boniek, Józef Młynarczyk, Włodzimierz Smolarek i Adam Kensy. Znalazłem się w gronie wyróżnionych, a później już nigdy więcej nie otrzymałem powołania do kadry. Mam o to żal do szkoleniowca.

***

W 1984 roku ten historyczny dwumecz w Pucharze UEFA przegraliśmy trochę dlatego, że zabrakło nam szczęścia. Z drugiej strony brakowało nam doświadczenia na arenie międzynarodowej. Przegraliśmy przede wszystkim organizacyjnie. Na mecz do Köln przysłano nam specjalnie z Warszawy autokar prosto z ministerstwa. Byli z nami dwaj kierowcy ubrani w białe koszule. Na polskich drogach, gdzie jechało się po 60-70 km/h, nie było jeszcze żadnych problemów. Co innego na niemieckich autostradach, gdzie pojazd mógł rozpędzić się do prędkości ponad 100km/h. Zaczęły pękać koła! Co chwilę było słychać głośne „bum!". Po kolei pękały pierwsza, druga, trzecia, czwarta opona.

Nie zapomnę, że jak dojechaliśmy do miejsca, gdzie mieliśmy zapewniony nocleg, było około 4 nad ranem. Przed meczem mieliśmy praktycznie zarwaną noc, więc nasze przygotowanie nie było optymalne. Przegraliśmy tam 1:2.

W obu spotkaniach krył mnie Engels, który był reprezentantem Niemiec. Musiałem mieć zatem jakiś szacunek w zespole z Kolonii. W rewanżowym

spotkaniu u siebie na pewno nie byliśmy gorsi od rywala. Przez cały mecz byliśmy aktywniejsi, aż przyszła ta nieszczęsna jedenastka.

Kilka dni wcześniej, w meczu z Górnikiem Zabrze, nie strzeliłem rzutu karnego i w związku z tym wtedy byłem dopiero trzeci w kolejce do wykonywania jedenastki. Psychicznie nie nastawiałem się, że będę strzelał, ale chłopaki przede mną nie chcieli zdecydować się egzekwować tego karnego. Podszedłem więc do piłki i uderzyłem w słupek. Gdybym wtedy strzelił na 1:0 w drugiej połowie, to prawdopodobnie utrzymalibyśmy ten wynik, zwłaszcza że mieliśmy bardzo dobrą obronę. Może dołożylibyśmy nawet z Januszem Turowskim i Markiem Leśniakiem jeszcze jednego gola. Nawet gdy jesteś lepszy na boisku, to trudno wygrać, kiedy w jednym meczu twój zespół nie wykorzystuje dwóch rzutów karnych.

Po meczu Pierre Littbarski i trener Köln chwalili mnie za grę. Niedosyt był wielki, ale nogi trochę się trzęsły na myśl, że gra się przeciwko Mistrzom Świata. Do dziś uważam, że młodzi piłkarze muszą rozegrać jak najwięcej spotkań na arenie międzynarodowej, żeby nabrać obycia. To jest najważniejsze w piłce nożnej.

***

W Pogoni miło wspominam współpracę z Eugeniuszem Ksolem.

– Jak nie wiecie co zrobić z piłką, to po prostu grajcie ją do Adama – powtarzał często do innych zawodników.

To właśnie pod jego wodzą zdobyliśmy brązowy medal Mistrzostw Polski. Pamiętam z tego okresu przegrany mecz z Widzewem Łódź. Strach było grać, bo na trybunach było 40 tysięcy ludzi. Kibice siedzieli nawet na bieżni, tuż przy boisku. Grało się niełatwo, kiedy fani siedzieli tak blisko ciebie. Nigdy później w Szczecinie nie oglądało nas tak wiele osób.

Równie liczną publiczność zgromadził nasz wyjazdowy pojedynek z Lechem Poznań. Gdyby rywale przegrali wtedy z nami, to straciliby mistrzostwo. Ostatecznie skończyło się wynikiem 1:1 po mojej bramce strzelonej z rzutu karnego.

Mecz na żywo oglądała moja żona i dwójka małych dzieci. Po ostatnim gwizdku staliśmy przy linii autowej i nagle podeszła do nas spora grupa ki-

biców Lecha. Nie ukrywam, że trochę się wystraszyłem, bo nie wiedziałem, czego chcą. Ostatecznie podeszli, żeby się przywitać.

– Panie Adamie, ale nam pan strachu dziś napędził – powiedzieli, zachowując się przy tym bardzo grzecznie.

***

Wspomniałem wcześniej, że to Marek szepnął za mną słowo i dzięki temu trafiłem do Pogoni. Muszę też powiedzieć, że to właśnie z nim najbardziej się zżyłem w drużynie. Na początku mojej przygody w Pogoni dostaliśmy pokoje obok siebie w mieszkaniu przy ul. Łukasińskiego. Można zatem powiedzieć, że od początku byliśmy na siebie skazani. W szatni nazywaliśmy go „Sprężynka", ponieważ miał niesamowity wyskok.

Najpierw graliśmy razem i wspólnie wychodziliśmy na dyskoteki, a później nasze rodziny zaprzyjaźniły się i tak już zostało.

***

Za komuny nie można było wyjechać z Polski do zagranicznego klubu, jeśli nie ukończyło się 30 roku życia. Kiedy wreszcie przekroczyłem ten wiek, to pod wodzą Leszka Jezierskiego Pogoń zdobyła srebrny medal Mistrzostw Polski.

Warto podkreślić, że był to mój bardzo dobry sezon i zimą zgłosił się po mnie LASK Linz z półtorarocznym kontraktem. Długo nie zastanawiałem się, gdyż miałem już swoje lata i kolana dawały mi się we znaki. Podjęliśmy z żoną decyzję o wyprowadzce do Austrii. Jestem bardzo wdzięczny trenerowi Jezierskiemu, że puścił mnie już w przerwie zimowej, choć mieliśmy szansę nawet na mistrzowski tytuł. Po wyjeździe także radziłem sobie dobrze. Na tyle, że widziano mnie w tamtejszej reprezentacji. Nie mogłem jednak przecież dla nich zagrać, bo miałem na swoim koncie oficjalne mecze w kadrze Polski.

***

Po latach miałem okazję jeszcze raz wystąpić przy Twardowskiego, w barwach Pogoni Nowej. Na mecz zaprosił mnie Darek Adamczuk. Wiadomo,

że do Szczecina zawsze chętnie przyjadę. Miałem okazję zagrać na boisku, na którym zawsze trenowaliśmy, a do tego spotkałem Kasztelana i Zbyszka Kozłowskiego, więc wróciło wiele wspomnień. Po spotkaniu poszliśmy na golonkę, a Zbyszek zażartował, że nie będzie jej jadł, bo nie ma włosów i pieczątki, tak jak kiedyś. Wesoło wspominam całą swoją karierę. Bez Teresy na pewno bym tego wszystkiego nie osiągnął. Dobrze, że jechała wtedy tym autobusem.

ROZDZIAŁ 36

Tam węgiel był wyciągany spod ziemi, u nas tylko wożony statkami

Jerzy Kopa

Urodził się w 1943 roku w Baranowiczach (wtedy terytorium zajmowane przez III Rzeszę, obecnie Białoruś). Był trenerem Pogoni w latach 1979-82. Jako szkoleniowiec wywalczył z klubem awans do najwyższej klasy rozgrywkowej (1981). Dwukrotnie dotarł też z Dumą Pomorza do finału Pucharu Polski (1981, 1982).
Od 30 lat mieszka w Poznaniu.

Choć zawodowo pracowałem w Pogoni niespełna 3 lata, to w Szczecinie mieszkałem prawie trzydzieści. Trafiłem tu w 1947 roku z mamą. Mój ojciec dołączył do nas około 3 lata później, bo wcześniej był na wojnie, w niewoli. Tatę wzięli na do wojska i myśleliśmy, że zaginął. W rodzinnych Baranowiczach były zmiany, wyrzucano stamtąd ludzi, tworzyła się chyba nowa granica. Na kilka miesięcy zatrzymaliśmy się w Gorzowie Wielkopolskim, a później otrzymaliśmy ofertę przeniesienia się na szczecińskie Niebuszewo. Masowo wyjeżdżali stamtąd Niemcy, a sprowadzali się Polacy. Później mieszkaliśmy już przy ul. Leszczyńskiego, nieopodal ul. Jacka Soplicy i chociaż na stadion Pogoni miałem niedaleko, to bliżej nam było do Arkonii. Dlatego też na mecze częściej chadzaliśmy właśnie do Lasku Arkońskiego. W tym czasie, w latach 50., Pogoń nie była jeszcze pierwszą siłą miasta.

***

W Szczecinie chodziłem do szkoły, juniorsko grałem w piłkę w Chrobrym oraz pobierałem edukację… muzyczną. Tato również był muzykiem i musia-

łem kontynuować tę tradycję. Przez kilka lat uczyłem się gry na fortepianie i nie tylko.

– Z tego będziesz miał chleb, więc się tego ucz! – poganiał mnie ojciec.

To muzykowanie przyniosło mi wiele przyjemności, bo później założyliśmy z kolegami własną kapelę bigbeatową. Mieliśmy dwóch dobrych wokalistów, a ja grałem na fortepianie. Muszę przyznać, że to nam też pomagało, bo – gdy już studiowałem na Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego w Poznaniu – pozwalało nam się utrzymać.

***

Mam ten feler, że nigdy nie piłem, nie piję, nie paliłem i nie palę. Przez to czasami nie byłem poważnie traktowany w środowisku. Mimo tego wciąż studiowałem, dzięki czemu zdobyłem tytuł trenera piłki nożnej. Później edukowałem się dalej, by w 1974 roku odebrać papiery szkoleniowca I klasy i licencjonowanego. W 1968 roku wróciłem do Szczecina i zacząłem pracę z juniorami Arkonii. Pogoń była już wtedy pierwszym zespołem na mapie miasta. Natomiast ja zostałem skierowany do pracy w gwardyjskiej Arkonii. Jednocześnie szkoliłem juniorów OZPN-u[15]. Później, dzięki dyplomowi z 1974 roku, pracowałem w śląskich klubach – Stali Stalowa Wola i Szombierkach Bytom. Poważniej zaczęło się w pierwszoligowym Lechu Poznań.

Do Pogoni trafiłem między innymi dzięki rekomendacjom i dobremu słowu legendarnego trenera Kazimierza Górskiego. Zresztą, gdy kończyłem pracę w Dumie Pomorza, to odwiedził mnie wówczas w domu. Do Szczecina przyjeżdżał do swojej rodziny.

Już wcześniej doceniano mnie w PZPN-ie, bo gdy trener Górski prowadził reprezentację Polski podczas Mundialu w 1974 roku w RFN, ja byłem „obserwatorem" z ramienia kadry. Podobnie było 4 lata później, w Argentynie. Byłem wtedy „obserwatorem" i współpracownikiem Jacka Gmocha. To było coś na kształt banku informacji.

Po powrocie do Szczecina najpierw wprowadziłem się do mamy. Później kupiliśmy swoje mieszkanie, „przez ścianę" właśnie z mamą. Do dziś mieszka w nim mój młodszy o 10 lat brat.

15 Okręgowy Związek Piłki Nożnej.

***

Na przełomie lat 70. i 80. oceniałem Pogoń jako zespół zagubiony. Pokrzywdzony o 24 godziny w stosunku do pozostałych, centralnie położonych miast. Drogi były inne niż teraz i wtedy były to straszliwe odległości. W tych czasach osiem do dziesięciu zespołów w lidze to były kluby „węglowe". Śląsk operował o wiele większymi możliwościami. Nie mówię tego ze skargą, ale tak to wyglądało. Jeśli nasz portowiec zarabiał półtora tysiąca złotych, to w tym samym czasie górnik dostawał trzy i pół, może trzy dwieście.

– Tam węgiel był wyciągany spod ziemi, a u nas już tylko przewożony statkami – mawiałem często.

Trudno było nam utrzymać zawodników, którzy otrzymywali oferty z klubów silniejszych finansowo. Pogoń nie była w stanie zaoferować zbliżonych warunków. Klub był wspierany przez Zarząd Portu, ale nie miał takich możliwości, by windować wynagrodzenia dla zawodników. Przecież piłkarz nie mógł zarabiać więcej od dyrektora portu! Prezes Roman Wilczek był wspaniałym człowiekiem, ale nie mógł załatwić tyle, ile mogli jego odpowiednicy w klubach na Górnym Śląsku, czy w stolicy.

Mieliśmy też stary, przechodzony autokar. Podczas niemal każdej podróży coś się z nim działo. Wiadomo było, że przy trasie powyżej 500 kilometrów będziemy mieli przynajmniej jeden dodatkowy postój awaryjny. Albo trzeba będzie wymienić oponę, albo naprawić inną drobną usterkę. Na pewno to nam nie pomagało, gdy jechaliśmy na mecz.

***

W 1981 roku graliśmy o Puchar Polski w Kaliszu. Jeśli dobrze pamiętam, to w tym sezonie finał pierwotnie miał odbywać się właśnie w… Szczecinie. Skoro jednak Pogoń tam dotarła, to trzeba było szukać nowego miejsca do rozegrania meczu. Zasady były takie, że żaden z uczestników, a więc w tym przypadku Pogoń i Legia Warszawa, nie mógł być uprzywilejowany z powodu miejsca rozgrywania pucharu. Padło na Kalisz.

Lata mijają i samego spotkania nie pamiętam w jakiś szczególny sposób. Nie był to łatwy mecz, w dogrywce szykowaliśmy się już do rzutów karnych, ale na dwie minuty przed końcem straciliśmy bramkę i przegraliśmy 0:1.

***

Po awansie do ekstraklasy szliśmy jak burza. Miałem satysfakcję i radość z pracy, bo rok 1981, a więc nasz premierowy po powrocie do ligi, zakończyliśmy jako mistrz jesieni. Beniaminek na 1. miejscu! Nie była to nasza dominacja, bo w zespole było wielu młodych zawodników, ale na pewno zmiany w sposobie gry Pogoni były odczuwalne. Wiosna następnego roku była trochę słabsza, ale drugi raz z rzędu dotarliśmy do finału Pucharu Polski. Tym razem czekał tam na nas Lech Poznań.

To był trudny wyjazd. Mecz finałowy graliśmy na stadionie Śląska Wrocław. Dzień przed spotkaniem wyjechaliśmy naszym „wspaniałym" autokarem. W środku gorąco jak cholera. Drogi były puste, bo w tym czasie na podróże międzymiastowe trzeba było mieć jakieś specjalne papiery[16]. My jednak i tak mieliśmy po drodze dwie awarie. Najpierw o godzinie 18, a następnie około 21. Ta druga dotyczyła opony i pamiętam, że wymieniano ją u jakiegoś kowala w stodole. Do bazy noclegowej dotarliśmy niedługo przed północą, chyba przed godziną 23.

Na miejscu czekała na nas porządna kolacja.

– Tu macie szynkę, tu polędwicę – zachwalali gospodarze. – Było tego mnóstwo, kilka pater.

To był przecież czas, że wszystkiego brakowało. Stało się w kolejce do sklepu mięsnego po kilka godzin, a wychodziło z niczym. Drużyna pojadła porządnie, wielu zawodników nabrało jeszcze zapasów na drugi dzień. Zamiast dobrze się wyspać, wszyscy kładli się do łóżek już po północy, rozemocjonowani wszystkimi przygodami, które spotkały ich tego dnia.

To wszystko wpłynęło na to, że do meczu nie byliśmy przygotowani optymalnie. Lech i bez tego był mocniejszy, a my w kolejnym finale przegraliśmy 0:1. Byliśmy finalistami i uważam, że nie był to powód do wstydu.

***

Wraz z sukcesami sportowymi, przychodziły i wyróżnienia indywidualne. W 1980 roku tytuł trenera roku Pomorza Zachodniego. Rok później zostałem też wybrany trenerem roku w Polsce przez prestiżowy tygodnik „Piłka Nożna".

16 Ograniczenia były spowodowane wprowadzonym 13 grudnia 1981 roku stanem wojennym, obowiązującym na terenie całego kraju.

Pogoń jako beniaminek była liderem w najwyższej klasie rozgrywkowej, a pół roku wcześniej awansowaliśmy do tej ligi i walczyliśmy w finale Pucharu Polski. Było to dla mnie olbrzymie wyróżnienie. Eksperci uznali moje umiejętności i docenili mnie.

W trakcie pracy trenerskiej nie umiałem przywiązywać się do klubów, ciągle szukałem czegoś nowego. Po 2-3 latach w jednym miejscu wszyscy piłkarze przyzwyczajali się do ciebie i już nic nowego nie mogłeś im pokazać. Do tego dochodziło też to, że gdzieś indziej pojawiały się lepsze warunki do pracy. Dlatego też po drugim z rzędu finale Pucharu Polski z Pogonią wiedziałem już, że zmienię otoczenie. Stery po mnie przejął Gieniu Ksol.

***

Zaraz po Pogoni pracowałem właśnie w Warszawie i był tam wątek szczeciński. Legia penetrowała rynek pierwszoligowy. Szukali młodych piłkarzy i najpierw chcieli dogadywać się z klubami, a jeśli te nie chciały odstąpić zawodnika, to kaperowały go do wojska.

– Nie chcieliście się dogadać? – pytała Legia. – To teraz panowie będą w wojsku.

Na takich właśnie zasadach do CWKS-u[17] trafili Janusz Turowski i Jarosław Biernat. Mogę przyznać, że na początku trenowałem ich w Legii z obrzydzeniem.

– To ty ich przecież sprowadziłeś do Warszawy – zarzucano mi wielokrotnie. – Podkradłeś Pogoni zawodników!

To nieprawda. Bardzo dobrze żyłem z młodymi piłkarzami w Szczecinie i nigdy nie było takiej rozmowy z działaczami Legii. Jedyne co mogłem zrobić, to zgodzić się, bo klubem rządzili pułkownicy. Warszawski klub nie mógł w tym czasie, tak jak śląskie, oferować konkurencyjnych warunków. Używał więc innych argumentów: „albo pójdziesz do wojska, albo będziesz grał u nas".

Jasiu i Jarek pograli w Legii 2 lata, zapisano im w książeczkach wojskowych, że odbyli służbę i rozeszli się do innych klubów.

Kiedyś, gdy ktoś zaczepił mnie i oskarżał, to tłumaczyłem i wyjaśniałem. Dziś już nawet tego nie robię, bo nie ma sensu. Wiem jak było i mam spokojne sumienie.

17 Pełna nazwa klubu to Centralny Wojskowy Klub Sportowy Legia Warszawa.

***

Z objawami sympatii na stadionie Pogoni spotykam się do dzisiaj. Mieszkam w Poznaniu, ale raz do roku wpadam do Szczecina i odwiedzam mojego brata. Staram się wtedy zajrzeć na jakiś mecz Portowców. Nikomu nie zapowiadam się, że przyjeżdżam, po prostu kupuję bilet. Zdarza się, że rozpozna mnie jakiś kibic, który ma siedem albo sześć dych na karku.

– O, popatrz, Kopa przyjechał! – zagadują. – Miło pana widzieć!

Z kolei Jasiu Turowski, który grał u mnie w Pogoni i w Legii dzwoni do mnie co dwa lata z Frankfurtu.

– Panie trenerze, żyje pan? – zagaduje mnie żartem.

Myślę jednak, że przy okazji sprawdza, czy wszystko ze mną w porządku. To dobry chłopak.

ROZDZIAŁ 37

Trener rywali aż krzywo na mnie spojrzał

Aneta Korpowska
Urodziła się w 1978 roku w Szczecinie. Przede wszystkim oddana fanka Pogoni. Sędzia piłkarska, przez kilka lat pracowała z grupami przedszkolnymi i dziecięcymi w klubie. Jest nauczycielką i dba o to, by jej podopieczni również kibicowali Pogoni.

Moim największym piłkarskim idolem w Pogoni od zawsze był Darek Adamczuk. To dzięki niemu zainteresowałam się granatowo-bordowymi barwami i zrozumiałam, czym tak naprawdę jest ten klub.

Wielu moich kolegów ze szkolnej ławy grało w piłkę w barwach Pogoni, ale dla mnie to nic nie znaczyło. Ja zawsze byłam „koszykarą". Od małego pierwsze skrzypce w moim sercu grał Michael Jordan. Wszystko zmieniło się po Igrzyskach Olimpijskich w Barcelonie w 1992 roku. Dariusz Adamczuk i Dariusz Szubert – pomyślałam, że to znane nazwiska, ale nie dlatego, że są z Pogoni, tylko że reprezentują Szczecin.

***

Przyszedł czas na pierwszy mecz, który obejrzałam zza płotu. Nie miałam pieniędzy na bilety, ale jakoś udawało się przedostawać na stadion razem z kolegami z Gocławia. Z czasem regularnie zaczęłam oglądać spotkania na stadionie i piłka całkiem mnie pochłonęła. Niestety z poważnej koszykówki musiałam zrezygnować ze względu na słabe warunki fizyczne. Moja mama nie wyraziła zgody na to, żebym przyjmowała hormon wzrostu. Wtedy obraziłam się na tę dyscyplinę i postanowiłam, że zajmę się trenowaniem dzieci.

***

Na IKF-ie otrzymałam kursy instruktorskie za dobre osiągnięcia w nauce, a w międzyczasie zrobiłam też kurs sędziowski. Swoje pierwsze kroki nauczycielskie stawiałam w Świnoujściu, gdzie uczyłam WF-u. Wówczas Flota awansowała do I ligi. Dostałam propozycję stworzenia żeńskiej drużyny i tak zaczęła się moja przygoda z piłką. Po jakimś czasie zadzwoniła do mnie Małgorzata Pakulska, która pracowała już jako trenerka w Pogoni.

– Wracaj do Szczecina, mamy tu coś ważnego do zrobienia – przekonywała.

Właśnie wtedy spotkałyśmy się we dwie z Włodzimierzem Obstem. Jest to mój ukochany trener, który na zawsze będzie w moim sercu. To on wprowadził mnie do Pogoni i zauważył, że mogę pracować z dziećmi, bo do starszych grup to się nie nadaję. Powiedział też, że chce rozpropagować inicjatywę pod tytułem „Pogoń w przedszkolach". Przez pięć lat jeździliśmy po placówkach i prowadziliśmy treningi dla dzieci. Naszym zadaniem nie było nauczanie futbolu, a sprawianie, by maluchy pokochały piłkę.

***

Trenera Obsta zdecydowanie za szybko zabrakło wśród nas. Często zastanawiam się, co on zrobiłby z dzieciakami w różnego rodzaju sytuacjach. Niestety nie będę miała już okazji, by go o to zapytać. Nie zapomnę też sytuacji, gdy byłam sędzią liniowym podczas meczu juniorów Pogoni z rocznika 1995. W tym spotkaniu młody Miązek, syn Andrzeja, strzelił bramkę w stylu „stadiony świata".

Patrzę, a po drugiej stronie siedzi Włodzimierz w swoim legendarnym foteliku. Pomyślałam, że na bank śpi i nie widzi tego, co się dzieje, ponieważ miał tradycyjnie spuszczoną głowę. Podeszłam do niego po spotkaniu „na cwaniaka" i spytałam, jak podobał mu się mecz.

– Ale „Miązal" wsadził brameczkę – powiedział szkoleniowiec, zupełnie mnie zaskakując.

Dosłownie opadła mi szczęka. Byłam przekonana, że przespał tego gola, a on dokładnie wiedział, który chłopaczek co zrobił na boisku i jaki popełnił

błąd. Miał niesamowitą wprawę dydaktyczną, by te niedoskonałości wytknąć, ale robił to w taki sposób, że chłopcy nigdy nie byli urażeni.

Mówił tak, że zawodnicy wiedzieli, że to właśnie o nich chodzi, choć trener nigdy nie wymawiał konkretnych nazwisk. Bardzo mu zależało, żeby Pogoń nie była klubem jednego sezonu. Powtarzał, że trzeba pamiętać o legendach. Dla niego wzorem był Florian Krygier, a dla mnie osobiście jest nim właśnie trener Włodzimierz Obst.

***

Organizowaliśmy w Pogoni turniej z okazji Dnia Dziecka. Trener Włodek porozdzielał nam zadania, a my z Gośką przytakiwałyśmy, choć później i tak robiłyśmy wszystko po swojemu. On zauważył, że działałyśmy nie po jego myśli i po zawodach kazał nam przyjść do swojego gabinetu.

– No, wszystko fajnie wyszło, ale teraz robicie składanki[18] – powiedział.

– Ale jak to trenerze? – zapytałyśmy zdziwione.

Włodek stwierdził, że nie zrobiłyśmy tak jak trzeba i mamy robić „składaneczki", bo inaczej wyciągnie skakankę, a to oznaczałoby lanie. Byłyśmy już dorosłymi kobietami, ale to były dawne metody wychowawcze. Czasem było też tak, że jeśli coś nie szło po myśli trenera i miał do nas pretensje, to zwalałyśmy winę na pracującego z nami Łukasza Szczota. To jest przesympatyczny chłopak, ale czasami był zakręcony jak „naleśniczek". Dlatego zganiałyśmy na niego, żebyśmy same nie musiały robić już składanek, które należały do sposobów wychowawczych trenera.

***

Wielokrotnie zdarzyło mi się prowadzić z chorągiewką mecze z udziałem chłopców Pogoni. Przyznam się szczerze, że nigdy nie byłam dla nich pobłażliwa, a nawet wymagałam od nich więcej, niż od ich rywali. Nie lubiłam być sędzią głównym, ale jak już się tak zdarzało, to w meczach Pogoni pokazywałam nawet po trzy żółte kartki. Po spotkaniach aż się zastanawiałam, dlaczego tak zrobiłam, bo przecież zawsze starałam się w ogóle nie sięgać do kieszeni. Po jednym z meczów trener z naszej

18 Pompki z wyskokiem.

Akademii miał nawet do mnie pretensje, dlaczego wyciągnęłam kartkę. – Słuchaj, bo to jest Pogoń i oni muszą więcej – odpowiedziałam stanowczo.

***

Oczywiście był też sentyment do tych chłopców, bo z wieloma z nich jeździłam na obozy. To jednak zawsze było dopiero po meczu, ewentualnie przy wejściu i zejściu z murawy. Wolałam, kiedy „moi chłopcy" strzelali gola na połowie, po której ja nie biegałam z chorągiewką.

Nie zapomnę, gdy pewnego razu bramkę zdobył „Korcik", a ja z radości krzyknęłam i podskoczyłam. Trener drużyny przeciwnej aż na mnie krzywo spojrzał, bo akurat stałam po stronie zespołu gości. Po meczu jednak ten sam szkoleniowiec pochwalił mnie, bo spalone były odgwizdywane jednakowo u jednych i drugich. Obyło się bez afery.

***

Sama również organizowałam wyjścia na mecze Pogoni ze swoimi szkolnymi uczniami. Zależało mi, żeby dać im możliwość połknąć granatowo-bordowego bakcyla. Zawsze cieszyłam się, kiedy przynajmniej dwójka z nich z czasem zaczynała regularnie przychodzić na Twardowskiego. Kupowałam za swoje pieniądze klubowe długopisy, szaliki i różne gadżety, które na koniec sezonu trafiały do moich zawodników. Wszystko po to, by możliwie jak najmocniej wspierać klub.

ROZDZIAŁ 38

Żona wysłała męża na zakupy do stolicy

Zbigniew Kozłowski
268 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1954 roku w Szczecinie. W klubie występował w latach 70. i 80. Jest jednym z ośmiu piłkarzy w historii Dumy Pomorza, którzy dwukrotnie wystąpili z klubem w finale Pucharu Polski (1981, 1982). Wywalczył też awans do ekstraklasy (1981).

Pamięć ludzka jest ulotna, dlatego moja mama zawsze zbierała przeróżne zdjęcia i wycinki prasowe na mój temat. Dzięki temu mam teraz w domu wiele pamiątek z czasów, w których grałem w piłkę. Oczywiście nie wszystko zostało udokumentowane na fotografiach – choćby sytuacja, o której właśnie opowiem.

Otóż istniała kiedyś w Anglii taka firma, która załatwiała mecze towarzyskie na całym świecie. Nam zorganizowali pewnego razu sparing w Libii. Na miejscu okazało się, że premia za zwycięstwo wynosiła 15 dolarów. W końcówce spotkania nasz golkiper zawinił przy straconej bramce i skończyło się wynikiem 1:1. Po ostatnim gwizdku śmialiśmy się, że przez bramkarza dostaniemy tylko 7,5 dolara. A był to przecież mecz międzykontynentalny, pokonaliśmy tysiące kilometrów, aby rozegrać tę potyczkę.

Z tym wyjazdem wiąże się kilka zabawnych anegdot. Dotarliśmy do Trypolisu i od razu podszedł do nas jakiś Libijczyk i powiedział, że za chwilę wsiądziemy do kolejnego samolotu i polecimy wzdłuż wybrzeża do Bengazi. Gdy weszliśmy na pokład i zobaczyliśmy czarnoskórego pilota, byliśmy kompletnie zdezorientowani. W tamtych czasach osoba o innej karnacji była dla Polaków rzadkim widokiem, więc reagowaliśmy mało elegancko. Gdy znaleź-

liśmy się już w Bengazi, przestrzegano nas, abyśmy nie wychodzili poza hotel, ponieważ wiąże się to z dużym niebezpieczeństwem. Ciekawość nas jednak zżerała, więc oddaliliśmy się na kilkaset metrów od miejsca zamieszkania i robiliśmy sobie zdjęcia. Nagle w naszą stronę zaczęło biec dwóch mężczyzn z karabinami. Wytłumaczyli nam, że jesteśmy w porcie, a więc miejscu strategicznym, którego nie wolno fotografować. Nazywanie tego portem było lekkim nadużyciem, bo stała tam jedna stara barka, ale nie chcieliśmy się kłócić z uzbrojonymi funkcjonariuszami.

***

Wiele moich wspomnień wspomagają dziś stare wycinki gazet. Mam na przykład fragment, który opisuje nieprzyjemne dla mnie wydarzenie, do którego doszło, gdy byłem trenerem Pogoni – potrącenie przez autobus w Chorzowie. Wyszliśmy wtedy na spacer wraz z trenerem Romualdem Szukiełowiczem i kierownikiem Leszkiem Pokorskim. Szedłem najbliżej jezdni i nagle poczułem, że coś uderza mnie w głowę. Okazało się, że było to lusterko autobusu. Miałem wiele szczęścia, ponieważ Szukiełowicz zdołał jeszcze przyciągnąć mnie do siebie. Gdyby tego nie zrobił, być może wpadłbym pod koła rozpędzonego pojazdu.

***

Pożółkły już papier jest też nośnikiem dużo piękniejszych chwil. Moja mama zachowała na przykład „Piłkę Nożną" z 27 września 1976 roku. Na okładce jest duże zdjęcie Kazia Deyny i informacja o tym, że Pogoń wygrała przy Łazienkowskiej. Strzelcem jedynej bramki był Zenek Kasztelan.

Z jego trafieniem wiąże się ciekawa historia. Otóż wykonywał rzut wolny: wziął rozbieg, zbliżył się do piłki i nagle się zatrzymał, po czym zawrócił. Cały stadion zaczął się z niego wyśmiewać. On natomiast poprawił piłkę i huknął w samo okienko. Momentalnie uciszył trybuny.

***

W domowym archiwum mamy znajdują się też liczne fotografie. Jedna z nich przedstawia naszą drużynę, a w tle tak zwany sektor pod topolami. Proszę zwrócić uwagę na zapełnienie trybun – nie było gdzie wetknąć szpilki.

Wtedy zamiast krzesełek ustawione były ławki. Dzięki temu na miejscu, które obecnie zajmuje jedna osoba, wówczas mieściły się nawet dwie. Na nasze mecze przychodziło po 30-40 tysięcy ludzi. Atmosfera była niesamowita, chciało się zostawić całe zdrowie na boisku dla tych wszystkich kibiców. Zainteresowanie było tak ogromne, że niektórzy fani wchodzili na drzewa lub słupy i stamtąd oglądali nasze spotkania. Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden ciekawy szczegół. Któryś z kolegów założył mi na rękę plaster, bo nie mieliśmy akurat pod ręką opaski kapitańskiej. W tamtych czasach nie stanowiło to problemu, teraz pewnie byłoby inaczej.

***

Jest też pewien fakt, którego nie da się uchwycić na zdjęciach. Można ewentualnie przeczytać o nim w jakichś opracowaniach statystycznych. Otóż przez całą swoją karierę w Pogoni nie dostałem ani jednej żółtej kartki. A grałem na pozycji stopera! Dzięki temu, że nigdy nie zostałem zawieszony, występowałem „od deski do deski". W konsekwencji tego przez 4 sezony z rzędu otrzymywałem Złote Buty, czyli nagrodę dla zawodnika, który rozegrał najwięcej minut. Pamiętam, że rywale zakładali się między sobą, któremu uda się w końcu tak podłożyć, aby sędzia musiał pokazać mi żółty kartonik. Przypomina mi się teraz ciekawa historia, która miała miejsce podczas finałowego meczu Pucharu Polski z Lechem Poznań. Przegrywaliśmy 0:1 i wszystkie siły rzuciliśmy do ataku. Jak wiadomo, taka strategia niesie za sobą niebezpieczeństwo „nadziania się" na kontrę rywala. Tak też się stało – jeden z zawodników Lecha dostał podanie za plecy obrony, a ja nie mogłem go dogonić. Wtedy, nie zastanawiając się długo, uderzyłem go na tyle mocno, że się wywrócił. Natychmiast podbiegł do mnie sędzia i gdy już miał wyjmować kartonik, tylko na mnie spojrzał:

– Nie, tobie nie pokażę kartki! – krzyknął.

Arbiter nie chciał mi psuć renomy. Muszę przyznać, że to była dość zabawna sytuacja.

***

Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że niezwykle cenne okazały się dla mnie indywidualne treningi ze świętej pamięci Hubertem Fiałkowskim, które

zarządzał nam trener Edmund Zientara. Pamiętam, że gdy byłem młodym, 19-letnim zawodnikiem i mówiłem szkoleniowcowi, że nie mogę przyjść na trening, bo mam szkołę, to on kazał Hubertowi zostawać po zajęciach i ćwiczyć wraz ze mną. To było bardzo nowatorskie podejście jak na tamte czasy.

Podczas jednego ze sparingów trener wymyślił coś jeszcze ciekawszego – ustawił mnie w linii pomocy. Chciał, żebym dzięki temu lepiej wyprowadzał piłkę, widział więcej na boisku, podejmował optymalne decyzje. Trener Zientara był jednym z pierwszych, który przykładał dużą wagę do taktyki – uczył nas nowych formacji, tłumaczył teorię futbolu. Co prawda nie dawało to fantastycznych wyników, ale wszyscy czuliśmy, że dużo zyskujemy przy tym szkoleniowcu.

***

À propos wyniku – przypomina mi się pewien mecz ligowy z Legią, który rozgrywaliśmy w Świnoujściu. Była to już końcówka sezonu i warszawianie walczyli o prawo udziału w europejskich pucharach. Tymczasem po pierwszej połowie to my prowadziliśmy 1:0. W trakcie przerwy podszedł do mnie Paweł Janas, z którym znaliśmy się z gry w juniorskich reprezentacjach Polski i powiedział, że Legia musi wygrać ten mecz. Prosił mnie, abym nakłonił chłopaków do odpuszczenia tego spotkania. Odpowiedziałem Pawłowi, że na pewno nie zrobimy tego za darmo, a on zaproponował mi swoją obrączkę. Zaśmiałem się i powiedziałem mu, że mam swoją. Ostatecznie nie zgodziłem się na żadną transakcję i Legia nie zagrała w pucharach.

***

Dzięki grze w Pogoni doznałem zaszczytu wyjechania na zgrupowanie seniorskiej reprezentacji Polski. Do Portugalii lecieliśmy samolotem silną ekipą z Pogoni. Mam nawet zdjęcie, na którym obok mnie są: Henryk Wawrowski i Zenek Kasztelan z Pogoni oraz Władek Żmuda ze Śląska. Nie zagrałem w tym spotkaniu, ale mimo wszystko miło wspominam zgrupowanie. Uczciwie oceniając, trzeba powiedzieć, że mój dorobek reprezentacyjny nie jest imponujący – zagrałem pół meczu z Rumunią. Nigdy jednak nie zapomnę chwili, w której odebrałem telegram informujący o powołaniu.

***

Swego czasu włodarze Pogoni chcieli zatrudnić Eugeniusza Ksola jako szkoleniowca I drużyny, ale okazało się, że miał nieważne papiery trenerskie. Musiano więc sięgnąć po fachowca zza granicy – Karela Kosarza. Po pewnym czasie na jaw wyszedł ogromny paradoks. Okazało się, że Kosarz miał uprawnienia do prowadzenia zespołu pierwszoligowego, ale w siatkówce! Czy ktoś jest w stanie wyobrazić sobie podobną sytuację w obecnych realiach?

Przypomina mi się jeszcze jedna anegdota. Tym razem dotyczy ona trenera Jerzego Kopy, którego żona miała butik przy Alei Piastów. Podczas jednego z okresów przygotowawczych trener zarządził sparing z drugoligowym Ursusem Warszawa. Wszyscy się dziwiliśmy, po co jedziemy 500 kilometrów na mecz z takim przeciwnikiem. Rozwiązanie zagadki poznaliśmy podczas drogi powrotnej, gdy w autokarze zobaczyliśmy ogromne bele materiału. Krótko mówiąc, żona wysłała męża po zakupy do stolicy.

ROZDZIAŁ 39

Działacze respektowali umowę z moimi rodzicami

Jerzy Krzystolik
233 oficjalne mecze w Pogoni.
Urodził się w 1941 roku. W klubie występował głównie w latach 60. Z Pogonią dwukrotnie wywalczył awans do najwyższej klasy rozgrywkowej (1962, 1966). W latach 1974-79 pracował w Dumie Pomorza jako klubowy lekarz.

Mój tato pracował w przemyśle papierniczym i po zakończeniu II wojny światowej przenieśliśmy się do Szczecina. Wcześniej mieszkaliśmy w Czułowie, kilkanaście kilometrów od Tychów. Po wojnie ojca skierowano zawodowo na odbudowę i uruchomienie poniemieckiej papierni w Skolwinie. Prawdopodobnie zbombardowano ją przez naloty Aliantów, w tym czasie poginęły również maszyny. Przez pierwsze trzy lata od 1946 roku tata pracował w Skolwinie, a my pozostawaliśmy na Śląsku. Najpierw dołączyli do niego dwaj starsi bracia, a w 1950 roku przyjechałem ja, młodszy brat i mama.

Nadodrzańskie dzielnice były wówczas bardzo prężne. W Stołczynie funkcjonowały Huta Szczecin i zakłady fosforowe. Była też cementownia i wspomniana papiernia. Wszystko tętniło życiem. Pociągi towarowe i pasażerskie kursowały cały czas. Zupełnie inaczej niż dziś, choć słyszałem, że papiernia podnosi się.

Dorastałem pod skrzydłami starszych braci. Janusz i Piotr grali w piłkę, a był też jeszcze młodszy Ludomir, który uprawiał lekkoatletykę. Od niego zyskałem wszechstronne przygotowanie sportowe. Wtedy w Skolwinie funkcjonowała Unia, a później Świt. W tamtejszym klubie spotkałem Waldka Folbrychta. W tym klubie pracowali pan Dixa i pan Kotowicz, który prywatnie

był szwagrem legendarnego trenera Kazimierza Górskiego. Debiutowałem tam w seniorskim składzie, gdy miałem 16 lat. Trafiłem też do reprezentacji juniorów Szczecina i tam również grałem z Waldkiem. Myślę, że to właśnie w kadrze zauważyli nas działacze Pogoni.

***

Kończyłem szkołę średnią i planowałem rozpoczęcie studiów. Do mojego domu przyjechali przedstawiciele Dumy Pomorza. Najpierw Stanisław Lajpold, a później panowie Wanag, Skobel i Kosobucki. Rozmawiali z moimi rodzicami. Chcieli mnie w Pogoni i zapewnili, że nie będą przeszkadzali mi w nauce. Warunkiem rodziców było to, że mieli pomóc mi łączyć piłkę ze studiowaniem. Nauka miała pozostawać na pierwszym miejscu, sport miał być przyjemnością. Tej zasady trzymałem się przez cały okres szkoły wyższej.

Wiedziałem, że przy podjęciu studiów będę bardziej obciążony nauką i będę musiał przenieść się do Szczecina. Po to, żeby nie tracić czasu na dojazdy. Pogoń uzgodniła z rodzicami, że udostępni mi mieszkanie w hotelu, a ja nie traciłem dzięki temu 2-3 godzin dziennie na podróże.

Czasami godziny treningów kolidowały z zajęciami na studiach. Miałem jednak świadomość, że rodzice postawili warunek i każdy szanował warunki uzgodnienia pomiędzy nimi, a klubem.

– O ile będę mógł przyjść na trening z I drużyną, to będę – mówiłem zawsze. – A jeśli będę miał w tym czasie pilne zajęcia na uczelni, to przyjdę wieczorem ćwiczyć z drużyną rezerw.

W trakcie I i II roku na uczelni około 40 procent treningów odbywałem z drugim zespołem. Starałem się jednak, żeby wszystko pogodzić jak najlepiej i myślę, że działacze Pogoni widzieli, że nie odbiegam poziomem.

***

W tym czasie byłem jedynym studiującym zawodnikiem. Później na Politechnice Szczecińskiej, na wydziale mechanicznym, kształcił się też bramkarz Zygmunt Mendalko. Uległ chyba jednak presji i zakończył edukację na IV roku. Zmieniali się trenerzy i byli tacy, którzy stawiali swoje warunki. Później, na Politechnice, studiowało też kilku młodszych kolegów. Uczyli się tam Ta-

deusz Czubak, czy Andrzej Rynkiewicz, który ukończył wymagający wydział.

Dla zawodników funkcjonowały stypendia oraz „dożywiania" i na podstawie tego trenerzy formułowali swoje wymagania. Z tych dodatków finansowych nigdy nie korzystałem. Na pierwszym miejscu musiała pozostawać nauka i wszystko było jej podporządkowane. Wiedzieli też o tym działacze i dotrzymywali słowa danego rodzicom.

***

Po pierwszym i drugim roku studiów „wykoszono" 50 procent osób, które dostały się na uczelnię. Dlatego też musiałem bardzo się pilnować. To był najtrudniejszy czas. Poprzez to nieco inaczej wyglądało też moje funkcjonowanie w drużynie. Trenowałem więcej z rezerwami, ale miałem miejsce w pierwszym zespole. Na mecze też nie jeździłem razem z drużyną, ale w ostatnim dniu. Klub wykupował mi miejsce w wagonie sypialnym, a zespół wyruszał ze Szczecina dobę wcześniej.

– Spójrz na Jurka! – komentowali czasami trenerzy. – Przyjechał dopiero w sobotę, a grał nie gorzej, niż ty!

***

Moimi idolami byli Ryszard Wiśniewski i Zygmunt Przybylski. Dwaj pomocnicy, byłem w nich wpatrzony. Oglądałem ich jeszcze z trybun, gdy z Waldkiem Folbrychtem przyjeżdżaliśmy z rodzicami ze Skolwina na mecze Pogoni.

Po pierwszym treningu w pierwszym zespole siedzieliśmy z Waldkiem w rogu szatni. Do niedawna podziwialiśmy idoli z trybun, tego dnia byliśmy pomiędzy nimi.

– Czego my między tymi staruszkami szukamy? – szeptaliśmy sobie wtedy do ucha. Widzieliśmy olbrzymią różnicę pomiędzy nimi i nami.

W szatni na pewno dużym autorytetem cieszył się stoper, pan Zdzisław Nowacki. Nazywano go „Futerałem" z uwagi na dużą stopę. Liczyło się również słowo Eugeniusza Ksola, czy bramkarza Ludwika Konarskiego.

Nie zawsze było i jest tak, że najzdolniejsi robią karierę. Młodzi powinni mieć umiejętność zaadaptowania się w środowisku starszych. Respekt

i posłuch są zawsze ważne. Junior może brylować w swoim zespole, ale jeśli starszyzna go nie zaakceptuje, to nie zrobi kariery. Ta umiejętność adaptacji pozwala na dalszy rozwój. Znam wiele przypadków, gdy juniorscy średniacy robili o wiele większe kariery niż ci, którzy zapowiadali się na wielkie gwiazdy.

***

W latach 60. byliśmy jedyną drużyną z północy kraju w I lidze. Nie było Poznania, Gdańska, Bydgoszczy. Cała liga to było południe. Śląsk, Kraków, oni bardzo niechętnie przyjeżdżali do nas, zawsze narzekali, jak to mają daleko. Myślę, że to trwanie wśród najlepszych jest naszym sukcesem lat 60., bo nikomu nie było z nami po drodze. I nawet kiedy raz spadliśmy do II ligi, to już niedługo później byliśmy z powrotem.

Po pierwszej w historii degradacji z najwyższej klasy rozgrywkowej pracowaliśmy z trenerem Edwardem Brzozowskim. Nie prowadził zajęć z kartki, wszystko miał w głowie! Treningi były prowadzone w formie zabawowej, a jednak potrafił z piłkarzy wycisnąć siódme poty. A mimo tego, nie czuło się zmęczenia.

Byliśmy na zgrupowaniu letnim w Świnoujściu. Mieliśmy ćwiczenie biegowe w lesie.

– Każdy wybiera sobie jedną sosnę! – zaordynował trener Brzozowski. – I gdy już tylko do niej dobiegniecie i dotkniecie drzewa, macie na głos wykrzyczeć „będziemy z powrotem w I lidze!".

Nie da się ukryć, że miał niecodzienne pomysły, ale naprawdę umiał zbudować zespół. Był dowcipny, atmosfera w jego drużynie była bardzo przyjemna. Każdy czuł do trenera respekt, ale ten umiał rozładować presję.

***

W październiku 1966 roku graliśmy z Górnikiem Zabrze. To była piekielnie mocna drużyna, rywalizowała wtedy w 2. rundzie obecnej Ligi Mistrzów. Ich mecz z CSKA Sofia oglądaliśmy z Bogdanem Maślanką.

– Gramy z nimi za kilka dni, nie mamy zbyt dużych szans – rozmawialiśmy wówczas ze sobą.

Zabrzanie przyjechali, a ja w tym meczu zdobyłem jednego z 3 goli, które

najchętniej wspominam. W tym spotkaniu strzeliłem bramkę bezpośrednio z rzutu rożnego reprezentantowi Polski Hubertowi Kostce i z tym wielkim Górnikiem wygraliśmy w Szczecinie 1:0. Byliśmy beniaminkiem, Górnik na koniec i tak zdobył Mistrzostwo Polski, ale tego dnia musiał uznać naszą wyższość.

***

Gdy kończyłem podyplomowy, dwuletni staż, wciąż jeszcze grałem. Miałem dylemat, bo chciałem poświęcić się ortopedii sportowej i chodziłem już do kliniki ortopedycznej do pana profesora Tomasza Żuka. Asystowałem przy zabiegach i liczyłem, że rozpocznę specjalizację. Miałem wtedy 26 lat i wchodziłem w najlepszy wiek piłkarski. Rozmawiałem z wieloma osobami i doradzały mi, by nie rezygnować z piłki, mówili też, że jestem Pogoni potrzebny. Wybrałem więc laryngologię, rozpocząłem pracę w klinice Pomorskiej Akademii Medycznej i jednocześnie grałem.

W klinice byłem najpierw młodszym, a później starszym asystentem, zrobiłem specjalizację pierwszego i drugiego stopnia, a równolegle rywalizowałem na boisku.

Decyzję o końcu kariery „pomogła" mi podjąć kontuzja. Zerwałem przednie więzadła krzyżowe w kolanie. Miałem wtedy 31 lat. Obeszło się bez operacji i po rehabilitacji udało mi się wrócić. Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że będzie to końcówka piłkarskiej kariery na wysokim poziomie. Wyjechałem więc do Stanów Zjednoczonych, bo była taka możliwość. Pierwszy wyemigrował Waldemar Kaszubski, później Joachim Gacka i jeden drugiego tam ciągnął.

***

Po powrocie do Polski, w latach 1974-79, pracowałem w Pogoni jako klubowy lekarz. Gdy wróciłem, pan Florian Krygier postanowił zorganizować mnie i dwójce innych zawodników uroczyste pożegnanie. Takie nie odbyło się, gdy kończyłem karierę piłkarską. Żegnano Waldka Kaszubskiego, Bronisława Szlintera i właśnie mnie. Przy okazji ktoś zaproponował mi funkcję w Pogoni. Po powrocie ze Stanów zacząłem pracę w klinice laryngologicznej

i przychodni sportowej w Szczecinie.

W pierwszoligowych drużynach były coraz większe wymagania co do lekarzy. Chciano, by jeździli na mecze wyjazdowe. Ja z kolei mogłem sobie tak ustawić pracę, że faktycznie na te spotkania mogłem wyjeżdżać. Myślę, że byłem w Pogoni pierwszym lekarzem, który uczestniczył w większości meczów wyjazdowych.

***

W grudniu 1977 roku, podczas meczu w Łodzi, bardzo poważnego złamania kości podudzia doznał Zbigniew Kozłowski. Mieliśmy spory dylemat, czy zostawić go w szpitalu właśnie w tym mieście, czy transportować do Szczecina. Było to jednak niebezpieczne, tym bardziej, że wracaliśmy autokarem. Miałem kontakt z panem profesorem Żukiem i pomyślałem, że skonsultuję z nim tę sprawę i telefonicznie uzgodnię, co będzie lepsze. Decyzja była taka, że zabierzemy go do Szczecina i po drodze przekażemy do kliniki ortopedycznej w Szczecinie-Zdunowie. Zbyszek dostał środki przeciwbólowe, a w autokarze, w ostatnim rzędzie, zrobiliśmy mu miejsce leżące. On szybko zasnął i mogliśmy go transportować. Dzięki temu profesor, który go operował, mógł nad nim czuwać. Mieliśmy z nim bieżący kontakt i drużyna odwiedzała go codziennie.

Na Śląsku kontuzję miał też Henryk Wawrowski. Nie pamiętam już, co to był za uraz, ale musiał zostać w szpitalu. Chodziło chyba o wstrząśnienie mózgu. Po kilku dniach postanowiliśmy sprowadzić go do Szczecina. Załatwiłem samolot sanitarny i razem z pilotem polecieliśmy na Śląsk po Henia. Karetka przetransportowała naszego zawodnika na lotnisko i tego samego dnia, po kilku godzinach, byliśmy z powrotem w Szczecinie.

***

Klan Sokołowskich, klan Frączczaków, ale i klan Krzystolików. Grałem ja, ale w Pogoni występował też Jacek Krzystolik[19]. To mój bratanek, najstarszy syn mojego najstarszego brata Janusza. W latach dziecięcych, dla mnie i dla Waldka Folbrychta, Janusz był w Skolwinie idolem. Uważam, że był

19 Jacek Krzystolik rozegrał 132 oficjalne mecze w Pogoni w latach 80.

niewykorzystanym talentem i do dziś – gdy w środowisku rozmawiamy – zastanawiamy się, jak taki zawodnik mógł się nie przebić. Brat był środkowym napastnikiem, operował prawą i lewą nogą, a w jego czasach 80 procent bramek dla Unii padało właśnie po jego strzałach.

Jacek zapowiadał się świetnie. Widziałem go w jednym albo dwóch meczach, gdy zaczynał i wróżyłem mu sporą karierę. Miał swój czas, ale gdy później przeszedł do Olimpii Poznań, doznał ciężkiej kontuzji stawu skokowego, skomplikowanego złamania. Nie był w stanie wrócić do dobrej dyspozycji.

ROZDZIAŁ 40

Do Niemiec nawet na Wszystkich Świętych

Eugeniusz Ksol
166 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1933 roku. Pochodzi z Chorzowa. W klubie występował w latach 1959-65. W tym czasie wywalczył awans do najwyższej klasy rozgrywkowej (1962). Następnie pracował w Dumie Pomorza jako asystent trenera i samodzielny szkoleniowiec. Tę ostatnią funkcję pełnił w latach: 1970, 1982-85 oraz 1989. Zajął z trenowaną przez siebie drużyną 3. miejsce w rozgrywkach o mistrzostwo Polski.

Zwrócono na mnie uwagę podczas jednego ze sparingów rozgrywanych w Szczecinie. Wtedy w Pogoni grał „Zyga" Przybylski. To on namawiał mnie, żebym w 1959 roku dołączył do drużyny. Wtedy występowałem jeszcze w Ruchu Chorzów. Znaliśmy się ze wspólnych występów.

Dla mnie to był szok, bo Szczecin leży daleko od Chorzowa.

– Przecież to jest na końcu świata, co ty tam będziesz robił! – martwili się moi rodzice. – Chyba ryby łowił!

W końcówce lat 50. w Polsce były kłopoty ze zdobyciem mieszkania. Nie każdy mógł je dostać, a mnie obiecano jedno za przejście do Pogoni. To był ważny argument. Poza tym z poprzednim klubem umowę miałem skonstruowaną w ten sposób, że jak będę chciał, to mogę odejść. To właśnie wykorzystała Pogoń.

Na nasze mecze przychodziło wielu kibiców. Nigdy nie miałem sytuacji, żeby mnie ktoś nie lubił, albo żeby mnie wygwizdano. To było dla mnie bardzo ważne, bo czułem się pewnie. Po przeprowadzce musiałem też zmienić

sposób bycia. Zupełnie inaczej żyje się na Śląsku, a inaczej poza nim.

Na obiecane mieszkanie czekałem rok. Otrzymałem je, gdy zostało wybudowane i dopiero wtedy sprowadziłem tutaj żonę.

***

Szczecińska drużyna była w tym czasie zbieraniną zawodników z całej Polski. Klubu nie było stać na kupno piłkarzy. W szatni kolegowałem się ze Stanisławem Mielniczkiem, który przyszedł z Odry Opole. Byliśmy kiedyś we Lwowie na zaproszenie ukraińskiego związku piłkarskiego. Mieliśmy zagrać mecze sparingowe. Podczas zwiedzania Stasiek popłakał się.

– W tym miejscu mieszkali moi rodzice – pokazywał na jedną z kamienic. – Musieli się jednak stąd wyprowadzić – dodawał.

W drużynie byli ludzie, którzy naprawdę potrafili grać w piłkę. Wydawało mi się, że przychodzę do mocnego zespołu, ale po roku spadliśmy z ówczesnej I ligi. Nie byliśmy wtedy zgraną grupą.

***

Gdy źle zagraliśmy, to prezes mógł przyjść i powiedzieć zawodnikowi, że pójdzie pracować na nabrzeże. Byliśmy w końcu pracownikami Portu Szczecin, którzy grali w Pogoni. System był podobny jak u piłkarzy ze Śląska, tylko że oni nie zjeżdżali na dół kopalni. A u nas często bywało tak, że w tygodniu chodziliśmy na 4 godziny do portu.

Plusem było to, że jeśli piłkarze kończyli kariery i zostawali w Szczecinie, to z miejsca byli przydzielani właśnie do pracy w porcie.

***

Razem ze mną w drużynie była dość liczna grupa zawodników z Górnego Śląska. Do Pogoni z Bytomia trafili na przykład Joachim Gacka i Stanisław Krasucki. Razem żeśmy się trzymali. Niektórzy próbowali się z nas naśmiewać. Nie mówiliśmy dobrze po polsku, tylko bardziej zaciągaliśmy śląską gwarą. W szatni szybko jednak przestali z nas żartować, bo dobrze graliśmy w piłkę. Był jeszcze jeden powód. Gdy ktoś zaczynał śmiać się z jednego z nas, to wszyscy Ślązacy momentalnie stawali w obronie swojego.

***

Już w trakcie kariery zawodniczej byłem szykowany do tego, żeby zostać w klubie w roli trenera. Na początku szkoliłem drużynę rezerw i dodatkowo kończyłem szkołę trenerską. Nie było problemu z łączeniem obu rzeczy, ponieważ ludziom z klubu zależało, żebym w przyszłości objął pierwszą drużynę.

Niedługo później zostałem asystentem Karela Kosarza. On siedział u mnie w domu dłużej, niż w hotelu robotniczym, który zamieszkiwał! Dogadywaliśmy się dobrze w języku niemieckim. To był bardzo sympatyczny pan, ale jako trener to za wiele nie potrafił.

Prawda jest taka, że gdyby był dobry, to w tamtych czasach nie uzyskałby pozwolenia na pracę zagranicą. Nawet jeśli byłyby to dwa państwa z systemem demokracji ludowej.

***

Pamiętam jak karierę zakończył Marian Kielec. W tamtych latach to była gwiazda i trzeba było wiele odwagi, żeby takiego człowieka wypchać z piedestału. Myśmy mocno się przyjaźnili i zanim ożenił się, to często bywał u mnie w domu. Po meczach lubił przychodzić do mnie na telewizję.

Żartowałem sobie, że to jest „cygańskie dziecię". Chodziło oczywiście o jego pochodzenie oraz ciemną karnację. Tylko ja mogłem go tak nazywać, bo jakby kto inny spróbował, to Marian zaraz by go lał.

Był bardzo uparty i kiedyś powiedział, że jak go posadzę na ławkę, to on przestanie grać w Pogoni. Tak też się stało, że zaczął jeden z meczów jako rezerwowy i zakończył karierę.

Był temat, żeby wrócił do klubu, ale on nie chciał. Ludzie mówili, że to jest „syn" Floriana Krygiera, bo on Mariana bardzo lubił. Marian miał trudny charakter, ale przecież aniołek nie zostanie piłkarzem.

***

Graliśmy z GKS-em Katowice. Do mojego domu przyszedł prezes tego klubu. Chciał, żeby Pogoń się podłożyła.

– Nie ma mowy – powiedziałem krótko.

– Jak wrócisz na Śląsk, to zobaczysz – groził mi.

Do przerwy przegrywaliśmy 1:2 i kibice posądzali nas, że odpuściliśmy ten mecz. W przerwie wybili nam nawet szyby w szatni.

– Panowie, albo chcecie wyjść żywi z tego stadionu, albo nie – powiedziałem wtedy zespołowi w przerwie. – Wszystko jest w waszych nogach!

Ostatecznie to Pogoń wygrała. Było to bardzo trudne spotkanie, ale na pewno nie sprzedane.

Po meczu zostaliśmy wezwani razem z prezesem Lucjanem Kosobuckim do Komitetu Partii, ale co oni, razem z I sekretarzem, mogli znać się na piłce. Zwyczajnie chcieli nas ustawić i pogrozić palcem.

– Żeby mi to było po raz ostatni, towarzyszu – mówił do mnie sekretarz.

– Ale ja nie jestem towarzyszem – odpowiedziałem mu.

– To jest wsio rawno[20] – grzmiał. – Nam zależy na dobru drużyny!

– Panie sekretarzu, przecież pan mieszkał na Śląsku – szedłem na wymianę zdań. – Dobrze wie pan, jak wyglądają tam mecze.

– Ksol, wy mi tu nie mędrkujcie! – rzucił tylko krótko na koniec dyskusji.

Wtedy mówiło się, że trzeba robić tak, żeby tylko nie być wzywanym do tego czerwonego budynku partii. Byłem tam wtedy pierwszy i ostatni raz. Jak wyszliśmy z Komitetu, to Kosobucki poklepał mnie po ramieniu.

– Stawiam piwo, dobrze pan wypadł przed partyjnymi – pochwalił mnie. – Jest pan w porządku, panie trenerze.

***

Dzięki Waldkowi Kaszubskiemu, z którym się przyjaźniliśmy, miałem też epizod w USA. Poleciał tam rok wcześniej i namówił mnie, żebym do niego dołączył i spróbował swoich sił w trenerce. Początkowo miałem prowadzić polonijny klub w Chicago, ale nie dogadaliśmy się. Objąłem więc zespół Chicago Lions, gdzie grał właśnie Waldek. To on mnie polecił.

Nie znałem angielskiego, ale jako że potrafiłem posługiwać się swobodnie językiem niemieckim, to zostałem przyjęty. Tam była wówczas ogromna kolonia Niemców.

Poza trenowaniem drużyny, pracowałem też w zakładzie, który produkował silniki elektryczne. Właścicielem tej fabryki był jeden z prezesów klubu, który był Niemcem.

20 Z rosyjskiego – wszystko jedno.

– Będziesz miał u mnie dobrze, jeśli tylko zostaniesz – powtarzał często.

Miałem jednak małą córkę, która chciała, żebym wracał. Tęsknota za rodziną sprawiła, że po roku znów znalazłem się w Polsce.

***

Moi chłopcy bardzo lubili jeździć do Niemiec na sparingi. Niekoniecznie dla samej gry w piłkę, ale również na zakupy. W Szczecinie nie było nic, więc prosili mnie o wyjazdy, szczególnie w okresie świątecznym. Dla mnie to nie był problem, bo miałem sporo kontaktów z drużynami z DDR-u.

– Zawsze możecie do nas przyjechać, a i my chętnie zagramy z wami w Szczecinie – powtarzali mi trenerzy Unionu Berlin. Śmiałem się wtedy, że oni nie mają tutaj czego szukać. To było ciekawe, bo mimo wszystko oni też chcieli przyjeżdżać do Szczecina.

Mieliśmy na tyle dobre kontakty, że kiedyś Zarząd Portu załatwiał im wczasy tu, w Międzywodziu. Był taki okres, że nawet co tydzień dostawałem telefony z DDR-u, żeby przyjechać na mecz. A kiedy w Pucharze Lata wylosowaliśmy jakąś drużynę z Niemiec, to żartowaliśmy, że ile razy można tam jeździć!

Z kolei na granicy denerwowaliśmy się tym, którzy celnicy mieli służbę danego dnia. Czasami byli tam kibice Pogoni. Wówczas podpowiadali nam, o której godzinie mamy wracać z powrotem, aby spotkać niemieckiego celnika interesującego się piłką nożną. Wszystko po to, żeby przymknął oko na nasze towary. Zawsze załatwiałem wyjazdy na sparingi przed świętami, ale zawodnicy tak często chcieli tam jeździć, że kiedyś wymyślili, żeby się wybrać do Niemiec nawet na Wszystkich Świętych, bo to też przecież święto.

***

U mnie nie było dyskusji z piłkarzami. Wymiana zdań, poglądów i pomysłów mogła pojawić się dopiero w momencie, kiedy ja swoje przekazałem i wyszedłem z szatni do swojego gabinetu. Zawodnicy nie podskakiwali. Trener musi wyrobić sobie charakter, żeby piłkarze go nie wyśmiewali.

Czasami zbyt ostro komentowałem pewne rzeczy. Później myślałem, po co w ogóle się odzywałem. Wiedziałem, że jeden czy drugi będzie to prze-

żywał. Moim największym trenerskim sukcesem było zdobycie brązowego medalu Mistrzostw Polski w 1984 roku. Wtedy w Polsce liczyły się kluby z Górnego Śląska, Warszawy i Krakowa, które chciały wywalić Pogoń z ligi. Do Szczecina zawsze miały daleką podróż i to im nie pasowało. Ta Pogoń – ku zaskoczeniu reszty Polski – zrobiła 3. miejsce. W tym czasie to był pierwszy i największy sukces szczecińskiego klubu. Takiej euforii to tutaj nie było nigdy wcześniej.

ROZDZIAŁ 41

Aj, Jezus Maria! Ten chłopak jest cudowny!

Marek Leśniak
180 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1964 roku. Pochodzi z Nowogardu. W klubie grał w latach 80. Wywalczył z Pogonią 3. miejsce (1984) i wicemistrzostwo kraju (1987). Jest królem strzelców najwyższej klasy rozgrywkowej (1987), a jako piłkarz Pogoni wystąpił 10 razy w reprezentacji Polski i strzelił 5 bramek (debiut 7.10.1986 przeciwko Korei Północnej, łącznie 20A/10 goli).

W 1980 roku w II lidze Pogoń grała u siebie z Zagłębiem Wałbrzych. Miałem 16 lat, chodziłem już do szczecińskiego liceum, ale nie byłem jeszcze zawodnikiem klubu. Byłem natomiast zwykłym kibicem. Ten mecz oglądałem na głównej trybunie w miejscu, które kiedyś należało do ówczesnych ultrasów. Portowcy przegrali 0:1, ale to nie było najgorsze. W pewnym momencie zaczął padać ogromny grad, lodowe kulki wielkości jajek! Wszyscy zaczęliśmy chować się pod ławkami, które były wtedy na stadionie zamiast krzesełek. Leżałem na betonie i pamiętam, że dodatkowo zrobiłem na ławce osłonę z flagi, którą wtedy przynosiłem na mecze. Po to, by nie dostać tym gradem w łeb! Moim zdaniem na stadionie nie było wtedy nawet 2 tysięcy ludzi. A już dwa lata później grałem na Twardowskiego przy pełnych trybunach, gdy na obiekt potrafiło wejść 25, czy prawie 30 tysięcy ludzi. Biletów w kasie już nie było, więc ludzie wchodząc, wrzucali pieniądze do kartonów ustawianych przy wejściach.

***

Wychowałem się w Nowogardzie i w moich czasach był to bardzo silny kibicowsko ośrodek w województwie. Na mecze Pogoni jeździło mnóstwo kibiców z naszego miasta. Do Szczecina wyruszało nawet po siedem autokarów, a wiem to, bo czasami sam wsiadałem do jednego z nich. A przecież kolejna grupa kibiców dojeżdżała jeszcze pociągami. Pierwszy raz na mecz Portowców zabrał mnie tato. Nie pamiętam, który to był rok, ale Pogoń grała z Wisłą Kraków. Stadion był wypełniony do ostatniego miejsca, a ja byłem za tą bramką, za którą nie ma łuku. Stałem przy jakimś płotku oddzielającym nas od boiska, a za mną były jeszcze dwa albo trzy rzędy ludzi. Nie było miejsca, żeby usiąść. To nie było tak, że nie wiedziałem jak to wygląda, bo już wtedy grałem w Pomorzaninie w piłkę nożną i ręczną, ale to, co zobaczyłem na Twardowskiego, zszokowało mnie!

– Chciałbym zagrać na tym stadionie i strzelić bramkę – powiedziałem wtedy do taty.

Niedługo później w Pomorzaninie rywalizowaliśmy z Pogonią II Szczecin w klasie okręgowej. Akurat mecz oglądali działacze Pogoni. Zwrócili na mnie uwagę i niebawem byłem już zawodnikiem Dumy Pomorza. Muszę jednak przyznać, że wtedy wejście do futbolu było inne, niż dzisiaj. Mnie nikt nie uczył jak operować piłką, poruszania się, taktyki. Do 22., 23. roku życia wszystkiego uczyłem się sam. Myślę, że to również wiąże się z tym, że dojrzałem piłkarsko później i najlepszą piłkę prezentowałem od czterech lat przed trzydziestką. Wtedy grałem może nie tyle „na wariata", co z czystą głową. Instynktownie, bez zastanawiania się.

***

Chciałoby się powiedzieć, że w piłkę grało się od urodzenia, chociaż oczywiście to nie do końca prawda. Ale kiedy już człowiek umiał zrobić te parę kroków o własnych nogach, to ganiał za futbolówką. Z kolei gra w piłkę ręczną przyszła wraz z rozpoczęciem nauki w podstawówce. Szkoła Podstawowa w Nowogardzie była w tym czasie jednym z najsilniejszych ośrodków w Polsce, jeśli chodzi o szkolenie szczypiorniaka. Tam właśnie zebrałem pierwsze szlify i w liceum ogólnokształcącym w Szczecinie chodziłem do klasy sporto-

wej o profilu „piłkarz ręczny". Miałem wtedy 17 lat. Nie chcę się chwalić, ale do tego czasu byłem najlepszym w swojej kategorii wiekowej rozgrywającym w Polsce, grałem w juniorskiej reprezentacji kraju. Nie miałem jednak warunków fizycznych, by w piłce ręcznej zaistnieć w takim wymiarze, jak mogłem to zrobić na trawiastym boisku. Do 18. roku życia swoje braki fizyczne nadrabiałem innymi walorami: szybkością i zmysłem do gry. Ale w perspektywie całej kariery? Gdzie ja pasowałbym do tych dwumetrowych szczypiornistów! Proponowano mi jeszcze, bym sprawdził się na skrzydle, ale gry na tej pozycji specjalnie nie lubiłem. W tym czasie nastąpił też moment, gdy jednoznacznie określiłem się, że będę grał w piłkę nożną. Mój talent do futbolu dostrzeżono również we wspomnianym liceum i nikt nie robił mi specjalnych problemów.

***

Z Mundialu U-20 z Meksyku przywiozłem dwie rzeczy. Jedną był brązowy medal, a drugą… strach przed lataniem samolotami! Po zwycięskim meczu z Koreą Południową o 3. miejsce lecieliśmy z Guadalajary do Mexico City. W pewnym momencie wlecieliśmy w burzę, a samolotem zaczęło rzucać tak, że ludzie w środku mogli czuć się jak zapałki w pudełku, którym ktoś potrząsa. Zupełnie szczerze mogę powiedzieć, że nie wiedziałem wtedy, co będzie dalej. Od tego czasu moja „przyjaźń" z samolotami znacznie osłabła. Wtedy nie latało się znowu aż tak dużo, ale jako reprezentant Polski, czy nawet czasami z Pogonią miałem sytuacje, w których planowano właśnie podniebną podróż. A od lotu nad Meksykiem każdy kolejny znosiłem coraz gorzej. Do dziś, gdy wsiadam do samolotu, najzwyczajniej w świecie boję się. Nie umiem tego przezwyciężyć.

***

Naszego trzeciego miejsca na Mistrzostwach Świata U-20 do tej pory nie powtórzył żaden rocznik reprezentacji, a minęło przecież już 35 lat. To była piękna przygoda, pierwszy raz w życiu przeżywałem coś takiego. Już sama podróż do Meksyku była przeżyciem, a najważniejsze czekało nas przecież na miejscu. Finałowe spotkanie Brazylia – Argentyna oglądało na Estadio Azteca 100 tysięcy kibiców! Nasze mecze też rozgrywaliśmy przy pełnych stadionach.

– Polska! Polonia! – słyszeliśmy przed wyjściem na murawę. Wtedy jeszcze nie mieliśmy nawet takiej świadomości, że ze względu na sytuację polityczną miejscowi kibice, a więc Meksykanie, bardzo mocno kibicowali nam w starciach z Amerykanami czy Urugwajczykami. Jedynym spotkaniem, w którym ściany nam nie pomagały, był przegrany z Argentyną 0:1 półfinał.

Dziś, gdybym wrócił jako 19-latek z Mundialu U-20 z medalem, na pewno w moim życiu zmieniłoby się wiele. Wtedy jednak nie było na to szans. Gdy wyjeżdżałem, starsi koledzy z Pogoni życzyli mi sukcesów. W tym samym czasie trwały jednak mecze ligowe i im dłużej nie wracałem z Meksyku, tym gorsze były wyniki Pogoni. I kiedy wróciłem, to zanim odebrałem jakiekolwiek gratulacje, najpierw drużyna pośmiała się, że nie zdobyliśmy mistrzostwa. Zostałem zapytany o to, czy wszyscy byli aż tak słabi, że udało nam się zdobyć 3. miejsce, a na koniec dostałem burę, gdzie włóczyłem się tyle czasu, zamiast pomagać Pogoni. Dopiero po takim szatniowym rytuale mogłem liczyć na dobre słowo (śmiech).

***

Przeboleć nie mogę, że tym składem, z tymi piłkarzami, nie zdołaliśmy zdobyć z Pogonią Mistrzostwa Polski. Dobre okazje były dwie, choć ja uważam, że zdecydowanie bliżej byliśmy w sezonie 1983/84, gdy ostatecznie skończyliśmy na 3. miejscu. Wówczas, przy odrobinie szczęścia, mistrzostwo mogliśmy zapewnić sobie jeszcze wcześniej, niż w sezonie 1986/87, zakończonym wicemistrzostwem. Myślę, że o braku sukcesu przesądziła wówczas krótka ławka rezerwowych. Gdybyśmy mieli jeszcze jednego albo dwóch dobrych zawodników więcej, to jestem przekonany, że dziś gablota Pogoni Szczecin nie byłaby pusta. Takiej drużyny jednak przez następne lata już nie było i nie wiadomo, kiedy będzie.

***

Książkę to można byłoby napisać o samej szatni, o tym, co wyprawiało się w tych czterech ścianach. Myślę jednak, że jako młody zawodnik miałem trochę lżej od innych. Po krótkim czasie byłem już zawodnikiem pierwszej jedenastki i strzelałem bramki. Dużo wsparcia na początku zyskałem ze stro-

ny nieżyjącego już Krzysztofa Urbanowicza. Trzymałem się też z Darkiem Krupą i Kaziem Sokołowskim, który był ode mnie rok starszy i był w drużynie właśnie od roku. W tym czasie do zespołu nie wchodziło wielu młodych zawodników, a drużyna była mocna silnymi nazwiskami: Adama Kensego, Andrzeja Woronki, Jurka Stańczaka, Zbigniewa Kozłowskiego, Zbyszka Czepana. Młodzi nie mieli z tą ekipą łatwo, ale myślę, że moją skórę ratowały strzelane gole.

***

Wracaliśmy z jednego z meczów na Śląsku. Mieliśmy wagon sypialny. Pociąg dojechał do Szczecina około godziny 5 nad ranem. Nie wiem dlaczego, ale konduktorzy nie dotarli do dwóch albo trzech przedziałów. A w jednym z nich ja. Pobudki nie było, więc spaliśmy w najlepsze. Trening rozruchowy mieliśmy zaplanowany bezpośrednio po powrocie, więc część zawodników wsiadła na dworcu w autobus miejski i pojechała bezpośrednio na stadion. Pociąg w tym czasie zjechał na bocznicę, a w środku kilku smacznie śpiących piłkarzy Pogoni. Przebudziłem się porządnie wyspany około 10 i zobaczyłem, że pociąg jest w już Szczecinie. Pozbieraliśmy się z resztą „niedobudzonych" i jak gdyby nigdy nic pojechaliśmy na stadion. Dotarliśmy na miejsce, odbyliśmy rozruch i… nikt nie miał o to pretensji. Jedyna różnica była taka, że my byliśmy dobrze wyspani i w świetnych humorach!

***

Przed rewanżem z Hellasem Werona doszło do niecodziennej sytuacji. Po przyjeździe do Włoch weszliśmy do hotelowych pokoi i okazało się, że nie ma w nich telewizorów. W tych czasach w ośrodkach tego typu był to już raczej standard, tym bardziej, że w każdym z pokoi ewidentnie stał stolik pod telewizor. Zaczęliśmy zastanawiać się, o co właściwie chodzi.

– Poprosiliśmy obsługę, by zabrała z waszych pokoi teleodbiorniki – usłyszeliśmy od kierownictwa klubu. – Macie położyć się spać, dobrze wypocząć, a nie gapić w telewizor!

Myślę, że był to największy błąd, jaki wtedy szefostwo mogło zrobić. Nie rozumieliśmy włoskiego, ale można byłoby przynajmniej wyciągnąć nogi i po-

patrzeć w to pudełko. A skończyło się tak, że drużyna cały dzień przed meczem z Weroną spędziła na grze w karty.

***

Sporo przebojów mieliśmy z naszym klubowym autokarem. Któregoś razu w trakcie podróży jeden z kolegów opierał się o szybę. Nie trwało to jednak długo, bo ta wypadła i z hukiem roztrzaskała się o ulicę. Wcześniej mieliśmy też takiego dużego jelcza. To dopiero była maszyna! W trakcie podróży było bardzo gorąco i otworzyliśmy luk w dachu, by trochę przewietrzyć wnętrze. Autobus jechał z prędkością może 80 km/h, ale to i tak było za dużo, bo wyrwało klapę od tego luku. Do samego Szczecina jechaliśmy z dziurą w dachu. Późnym wieczorem zrobiło się zdecydowanie zimniej i zaczęliśmy z utęsknieniem wspominać klapę, która została gdzieś na poboczu jednej z polskich dróg.

***

Skłamałbym, gdybym powiedział, że w latach 80. nie mieliśmy ulg. Sportowcy mieli łatwiej. Inni ludzie musieli czekać w sklepie na towar tydzień, a ja mogłem dostać go spod lady, od ręki. No, w najgorszym przypadku kolejka dla mnie wynosiła dzień albo dwa. Pamiętam, że na kolorowy telewizor nie czekałem pół roku jak inni, ale dwa tygodnie. Na samochód także nie musiałem odkładać talonów nie wiadomo jak długo, tylko sprawę można było załatwić w miesiąc. Zarząd Portu czy Zarząd Pogoni mocno starały się o to, by nam w takich sprawach pomagać. W Warszawie czy na Śląsku piłkarze mieli jeszcze lepiej, ale gdy grało się w Pogoni, nie można było narzekać. Żyliśmy na dobrym poziomie. Normalni ludzie mieli o wiele, wiele gorzej niż my. Wiem, jak żyli moi rodzice czy sąsiedzi w Nowogardzie. Po latach naprawdę doceniam to, że byliśmy wówczas traktowani w wyjątkowy sposób.

***

Można powiedzieć, że w seniorskiej Pogoni grałem przez około 6 lat. Statystycy wyliczają mi 180 oficjalnych spotkań w Pogoni. Wychodzi na to, że średnio przez sezon rozgrywałem 30 meczów. Solidna liczba. Ale prawdą jest,

że rzadko kiedy nie było mnie w kadrze meczowej. Było blisko 200 oficjalnych występów, ale wcześniej zdarzył się transfer zagraniczny. Do pewnych wydarzeń nie chcę już wracać. Było, minęło. Nie uważam też, że tło tego transferu mogłoby posłużyć za scenariusz filmu akcji, bo… żaden reżyser by tego na pewno nie wymyślił! W wieku 24 lat wyjechałem z kraju i nie wróciłem. Wiem, że różnie odbierano to w Polsce. Ja jednak mam pewność, że ten krok i tak by się wydarzył. Jeśli nie wtedy, to może rok, dwa lata później. Tym bardziej, że był to pewnego rodzaju precedens i kilka miesięcy później polscy piłkarze mogli już oficjalnie wyjeżdżać do zagranicznych klubów. Chwilę po mnie wyjechali Jan Furtok i Andrzej Rudy, ale oni zrobili to już oficjalnie. Byłem tym pierwszym, który otworzył drogę dla młodych piłkarzy, którzy chcieli spróbować swych sił w zagranicznym klubie. Po latach wiem, że wiele wspólnego z tą całą sytuacją miało Wojsko Polskie. Miałem żonę, dwójkę dzieci. A był w tym czasie taki klub, który bardzo naciskał na transfer, chciał mnie u siebie. Powiedziałem sobie jednak, że w Polsce mogę grać tylko w jednym klubie i tylko w jednym grałem. Ta ucieczka była naprawdę przemyślanym krokiem.

***

Do tej pory po meczu Polska-Anglia z 1993 roku nie jest mi do śmiechu. Zmarnowałem dwie świetne sytuacje, a po drugiej Dariusz Szpakowski wykrzyczał na wizji: „Aj, Jezus Maria! Jak to było możliwe!". Dziś wiem, że gdybym tę sytuację wykorzystał, to moja kariera reprezentacyjna potoczyłaby się całkiem inaczej. Myślę, że wówczas ludzie w Polsce kojarzyliby mnie raczej z cytatu: „Jezus Maria! Ten chłopak jest cudowny!". Przez lata ta akcja była przecież fragmentem czołówki popularnego piłkarskiego magazynu „GOL" pokazywanego w telewizji publicznej. I byłoby przyjemniej, gdyby pojawiała się w pozytywnym kontekście, po strzelonej bramce. Ale z drugiej strony najważniejsze, że moje nazwisko regularnie gościło w domach kibiców piłkarskich w całej Polsce. Do dziś każdy wie, o kogo chodzi. Wiadomo, że mówię teraz trochę w żartach, chciałem strzelić te bramki, ale ja już się wypłakałem z tego powodu. Teraz pozostaje się pośmiać.

***

Ciągle czuję się młody i wciąż czekam na pełnoletniość. Obecnie mam dopiero nieco ponad 13 lat. Urodziłem się 29 lutego i ten dzień w kalendarzu kolejny raz będzie dopiero w 2020 roku. Wtedy będę mógł świętować 14. urodziny, więc może udałoby mi się jeszcze załapać do trampkarzy (śmiech). A już mówiąc zupełnie na poważnie, to naprawdę urodziny obchodzę raz na cztery lata. Ale za to wtedy są wyjątkowe. Czasami rozmyślam już o sześćdziesiątce, czyli… swoich 15. urodzinach. Jak widać, do siedemdziesiątki Pogoni naprawdę sporo mi brakuje i raczej jej nie dogonię!

ROZDZIAŁ 42

Srebrny medal, którego nie było

Bartosz Ława
170 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1979 roku w Szczecinie. W klubie, z przerwami, występował od drugiej połowy lat 90. do 2014 roku. Z Dumą Pomorza zdobył wicemistrzostwo Polski (2001), wywalczył też ostatni awans do najwyższej klasy rozgrywkowej (2012).

Do Pogoni trafiłem w wieku 10 lat. Swój pierwszy dzień w klubie z trenerem Zbigniewem Piaseckim pamiętam bardzo dobrze. Na zajęcia przyprowadzili mnie tata z wujkiem. Chłopcy z mojego rocznika 1979 trenowali wspólnie już od czerwca, a ja dołączyłem do nich we wrześniu. To był czwartek i mieliśmy gierki. Trener powiedział, że mi się przyjrzy.

– Chciałbym, żebyś zaczął z nami trenować – powiedział po treningu. – W niedzielę mamy pierwszy mecz i myślę o tym, żebyś w nim wystąpił.

Z dni roboczych został więc tylko kawałek czwartku i piątek, a żebym mógł w tym spotkaniu zagrać, musiałem przejść jeszcze badania lekarskie. W piątek załatwiałem wszystko na szybko w przychodni sportowej na WDS-ie.

Dwa dni później zadebiutowałem w meczu na Stali Stocznia, gdzie wygraliśmy 15:0. Bardzo dobrze zapamiętałem to spotkanie, bo strzeliłem wówczas pięć bramek. Rodzice byli ze mnie bardzo dumni. Tata w nagrodę naprawił mi rower i jeszcze tego samego dnia wyszedłem na dwór pojeździć. Mówię o tym dlatego, że… podczas jazdy złamałem rękę i tak właśnie zaczęła się moja przygoda z Pogonią. Już na starcie miałem trzy miesiące przerwy.

***

Kontuzje ciągnęły się za mną przez dłuższy okres kariery spędzonej przy Twardowskiego. W trakcie pierwszej rekonwalescencji poznałem też pana Floriana Krygiera. Cały czas przebywał w klubie, można nawet powiedzieć, że otwierał i zamykał obiekt. Gdy jako chłopcy trenowaliśmy, to on w tym czasie, będąc już bardzo sędziwym człowiekiem, doglądał boisk, zbierał kamienie i papierki. Zawsze był widoczny na stadionie i dbał o to, by Pogoń miała jak najlepszy wizerunek.

***

Pochodzę z Prawobrzeża. Kilku chłopaków stąd zrobiło później duże kariery w klubie. W tamtym czasie drogi każdego z nas prowadziły jednak inaczej. Wówczas nie znaliśmy się ze sobą. Pamiętam, że kiedyś, gdy na osiedlu Słonecznym mieszkał też Marek Leśniak, to chodziłem do niego z kolegami po autografy. Cały czas spędzaliśmy wtedy na podwórku i graliśmy w piłkę. Radek Majdan był ode mnie zdecydowanie starszy, a z kolei Kamil Grosicki sporo młodszy. Nie było zatem okazji, żeby wspólnie spędzać czas. Poznaliśmy się dopiero później w klubie.

W pamięci utkwił mi moment, kiedy w jednym z moich pierwszych seniorskich meczów w barwach Pogoni Szczecin, na boisko wyprowadzał mnie właśnie Kamil. Rzucał się w oczy od początku. Nosił kolorowe buty i „10" na plecach, co wśród dzieci oznaczało, że jest najlepszy. Od razu go zapamiętałem.

Jako młody chłopak nie tylko byłem zawodnikiem Pogoni, ale również kibicem. Zdarzyło mi się zaliczyć nawet kilka meczów wyjazdowych, w tym wyjazd pociągiem specjalnym do Poznania.

Na Prawobrzeżu do dziś mieszka też trener Kazimierz Biela. Jako młody chłopak miałem „sektor buforowy" od jego miejsca zamieszkania, choć często widywaliśmy się z trenerem. Trener Biela w trakcie mojej kariery bardzo mi pomógł. Z Prawobrzeża na Pogoń jeździło kilku trampkarzy i później juniorów. Szkoleniowiec często pomagał nam w kwestii transportu. Dojazd na stadion nie był żadnym problemem. Gorzej było z powrotem, gdy było już ciemno. Nie było to nic przyjemnego, więc trener Biela po prostu zawoził nas

do domu. Doceniam to, bo z perspektywy lat wiem, że ta prozaiczna sprawa była nas bardzo istotną pomocą.

***

We wszystkich kategoriach juniorskich byłem napastnikiem i strzelałem mnóstwo bramek. Zdarzało się, że zdobywałem po 50-60 goli w sezonie. Wreszcie przyszedł taki moment, że pół roku przed ukończeniem wieku juniora trener Biela wziął mnie na rozmowę.

– Jeśli chciałbyś zaistnieć w dużej piłce, powinieneś przekwalifikować się na lewego pomocnika – stwierdził. – Tam w tym momencie jest najmniejsza konkurencja. Na skrzydle gra jedynie Andrzej Rycak i na tej pozycji byłoby najłatwiej ci się przebić.

W tym czasie w ataku grali Olgierd Moskalewicz, Grzegorz Niciński i Robert Dymkowski. Za tę przytomną radę jestem trenerowi wdzięczny, to pomogło mi szybko wejść do dorosłej drużyny. Niemalże od razu wskoczyłem do pierwszego zespołu. Później zacząłem też strzelać zdecydowanie mniej bramek, a skupiłem się na dogrywaniu piłek. Goli nie zdobyłem może dużo, ale wszystkie pamiętam.

***

Na moim pierwszym seniorskim obozie w Turcji była taka tradycja, że robiło się żarty młodym chłopakom. Było nas wtedy tak wielu, że mnie oszczędzono i skupiono się na innych zawodnikach.

Mi i jeszcze kilku kolegom upiekło się i skończyło się tylko na klapsach. Reszta natomiast musiała się pogimnastykować, żeby starsi mieli trochę śmiechu. Bywało też tak, że kiedy zawodnicy wchodzili do seniorskiej drużyny, to dostawali sprzęt po kimś. Na przykład koszulkę XXL, bo tylko taka była dostępna.

***

W moim pierwszym wyjazdowym meczu w dorosłej drużynie Pogoń jechała do Zabrza na spotkanie z Górnikiem. Ruszaliśmy pociągiem wczesnym rankiem. Pierwotnie nie byłem powołany do osiemnastki na to spotkanie.

Przyszedłem rano do klubu, ale tylko po buty, bo następnego dnia mia-

łem zagrać w rezerwach. Wtedy też w klubie pojawił się Paweł Drumlak ze zdjęciem RTG barku. Okazało się, że ze względu na uraz nie może jechać na mecz. Trener Bogusław Baniak spojrzał wtedy na mnie.

– To ty jedziesz za niego – zdecydował szkoleniowiec.

I tak jak stałem, tak pojechałem. Bez szczoteczki do zębów, bez żadnych pieniędzy i majtek na przebranie. W tej historii nie byłoby może nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że mecz ostatecznie nie doszedł do skutku. Były w tym czasie jakieś przepychanki pomiędzy klubami popierającymi ówczesnego prezesa PZPN Mariana Dzurowicza i jego przeciwnikami. Większość drużyn postanowiła strajkować i nie grać. W tym gronie była Pogoń, więc pojechałem na swój pierwszy mecz, jak na wycieczkę do Zabrza i z powrotem.

***

Premierową bramkę dla Pogoni strzeliłem w 1999 roku meczu z Zagłębiem Lubin. Kilka miesięcy wcześniej skończyłem 20 lat. Wszedłem wtedy na boisko w drugiej połowie przy wyniku 0:0 i w 86. minucie strzeliłem zwycięską bramkę na 1:0. Ten gol dał nam ważne punkty, bo walczyliśmy o utrzymanie. Maciek Kaczorowski miał wtedy dobrą okazję do strzału, ale nie trafił w piłkę, czym zmylił wszystkich. Ta spadła mi pod nogi i uderzyłem po długim rogu. To była szalona radość i bieganie po boisku. Nie zapomnę tego do końca życia.

***

Byliśmy kiedyś na zimowym obozie przygotowawczym, podczas którego mieliśmy zabawy biegowe po górach. Naszym zadaniem było wbiegnięcie na górę, a następnie powrót. W tym samym czasie, kiedy my biegliśmy na szczyt, trener Bogusław Baniak wjeżdżał kolejką linową i już tam na nas czekał.

Przed treningiem poszliśmy z chłopakami do sklepu i kupiliśmy plastikowe jabłuszka, które później wsadziliśmy pod ortaliony. Wbiegliśmy na górę i kiedy przyszedł czas powrotu, trener Baniak tradycyjnie udał się do kolejki. My w tym czasie wyciągnęliśmy jabłuszka i zjeżdżaliśmy na nich, machając mu z uśmiechami. Trener nam odmachiwał, coś też pogroził, ale ostatecznie uśmiał się z tego pomysłu. Umiał docenić naszą kreatywność.

***

Przed rozpoczęciem wicemistrzowskiego sezonu naszym opiekunem został Janusz Wójcik. Do klubu sprowadzono wielu zawodników, w tym byłych i ówczesnych reprezentantów Polski. Na pierwszym treningu mieliśmy gierkę wewnętrzną. 11 na 11 na całym boisku. Mecz z trybun oglądał trener Wójcik z Mariuszem Kurasem i wspólnie analizowali grę wszystkich piłkarzy. Moja drużyna po 45 minutach prowadziła 3:0, ja strzeliłem wszystkie trzy bramki.

– Nie musisz już grać – powiedział mi w przerwie trener Kuras.

Pomyślałem sobie, że chyba zaprezentowałem się dobrze. Po tym meczu pojechaliśmy na obóz, podczas którego w ośmiu sparingach zagrałem łącznie całe 5 minut.

Nie było łatwo się przebić. Na moje szczęście trener Wójcik został zwolniony jeszcze przed pierwszym meczem. Drużynę przejął Edward Lorens, który już w pierwszym meczu wystawił mnie w wyjściowym składzie. Z czasem wywalczyłem sobie miejsce w srebrnej jedenastce na stałe.

Uznaję za sukces zarówno przebicie się do pierwszego składu, jak i srebrny medal, którego… do dziś nie mam! To był bodajże jedyny raz w historii, kiedy PZPN nie wręczał medali za drugie i trzecie miejsce.

***

Kolejny rok był dla nas trudny, bo w klubie nie było pieniędzy. Prawdą jest to, że bieda spaja przyjaźnie. Nie jest łatwo w takiej sytuacji, ale tak też buduje się ducha w zespole. Zdarzyło się tak, że przez kilka miesięcy nie dostaliśmy choćby złotówki. Wówczas mieszkałem wspólnie z Tomkiem Podobasem, który także był w kadrze Pogoni. Nastał taki moment, że odcięto nam prąd i gaz w domu. Dziś to nie do pomyślenia, że na poziomie ekstraklasy można było tak funkcjonować.

Między sobą umawialiśmy się tak, że zawodnicy, którzy w danym meczu nie zagrali lub zeszli z boiska przed końcowym gwizdkiem, zaraz po spotkaniu biegli do budynku klubowego i starali się przejąć jakiekolwiek pieniądze, które trafiały do kas jako utarg z biletów. Czasem dostawaliśmy zaliczki po 500 złotych. Starsi zawodnicy otrzymywali je w banknotach, a młodsi posegregowane już pieniądze w… bilonie.

***

W tych trudnych czasach, gdy w klubie się nie przelewało, doznałem poważnej kontuzji i musiałem jak najszybciej przejść operację za granicą. Potrzebowałem na to środków i usłyszałem, że włodarze mi ich nie zagwarantują. Pieniądze musiałem pożyczyć od kolegów. Bardzo szybko przeszedłem operację w Austrii. W tym czasie kibice postanowili zebrać pieniądze na ten zabieg. Była to fajna inicjatywa, ale chciałem odmówić przyjęcia tej pomocy.

Przed jednym z meczów pucharowych podszedł do mnie z kamerą pan Piotr Baranowski z TVP3.

– Panie Bartoszu, kibice zebrali część pieniędzy na pana leczenie – mówił. – Musi pan je przyjąć.

Wziąłem je i następnie przekazałem do domu dziecka.

Była to świetna akcja, ale później bardziej odbiła się przeciwko mnie, niż mi pomogła. Wiem, że zdania co do mojej osoby – po odejściu z Pogoni – były i są bardzo podzielone. Wiele osób ma do mnie żal za grę w Arce Gdynia i nawet słyszałem głosy, że odszedłem z Pogoni dla Arki. Nie jest to prawdą.

Z Pogoni dwa razy mnie wyrzucono. Za pierwszym razem zrobili to panowie Les Gondor i Piotr Werner. Dostałem zakaz przychodzenia do klubu i szatni, zamykano przede mną bramę stadionu. Z kolei u pana Sabriego Bekdasa najpierw otrzymałem swój pierwszy, profesjonalny kontrakt, a po zmianie władz wspomniani panowie próbowali wywrzeć na mnie presję, żeby tę umowę renegocjować. Nie chciałem zgodzić się na to. Musiałem odejść z klubu, co dla mnie, jako wychowanka Pogoni, było trudną sytuacją.

***

Tak też się zaczęła moja tułaczka. Najpierw była Amica, później Widzew, gdzie miałem zakręt w swojej karierze i myślałem nawet o jej zakończeniu. Przypadkowo znalazłem się w Gdyni na turnieju Mistrzostw Polski w piłce plażowej. Tam wyciągnięto do mnie rękę i rozpocząłem nowy etap w swojej karierze. Dużo zawdzięczam Arce, podobnie jak Pogoni.

To prawda, że uwielbiam siatkonogę, ale nie zawsze podczas treningów była okazja, by szlifować ten element. Wszystko zależało od trenera. Często było tak, że u szkoleniowców jeden dzień w tygodniu był luźniejszy. Wtedy

królowało bieganie i właśnie siatkonoga. Grając w Pogoni i Arce mieliśmy dwie takie ekipy, że nasze pojedynki nigdy nie wyglądały jak rozbieganie, ale zawsze jak najbardziej poważny trening.

***

Jeśli chodzi o piwko po meczu, to wszystko zależało od szkoleniowców. Część trenerów pozwalała nam na to, a część uzależniała to przede wszystkim od wyniku sportowego. Gdy wygraliśmy, to był hurraoptymizm i przyzwolenie. Po remisach zazwyczaj też była zgoda, ale po porażkach – w ramach kary – nie można było tego piwa wypić.

Trzeba pamiętać, że niemalże każdy nasz wyjazd trwał co najmniej kilka godzin i nie było tak dobrych dróg jak dzisiaj. Po meczu człowiek był tak wyeksploatowany, a zarazem nakręcony emocjami i adrenaliną, że nie mógł zasnąć i to piwko ratowało życie. Wiadomo, że jeden wypije jedno czy dwa, a inny nie będzie potrafił się powstrzymać. Później było już tak, że to kierownik kupował piwo do autokaru i trener widział dokładnie, ile zespół wypił. To też nie były już czasy jak kiedyś, gdy piłkarze pili wódkę i później wypadali z autokaru. Teraz każdy ma świadomość tego, na co może sobie pozwolić.

***

Po latach wróciłem do Pogoni, a celem klubu było wtedy wywalczenie awansu do ekstraklasy. Pierwszy sezon nie wyszedł nam tak, jak sobie to wszyscy wyobrażaliśmy. Miałem wtedy moment zawahania, czy powrót był dobrym krokiem. Ostatecznie czekaliśmy na awans jeszcze rok, który też nie był lekki i przyjemny. Wiosną w pewnym momencie nie byliśmy już zależni wyłącznie od siebie, musieliśmy liczyć na to, że wyniki w innych meczach też ułożą się na naszą korzyść.

Sam finał w Gdyni, zwłaszcza dla mnie, był szczególnym meczem. Zwycięstwo, awans, a później świętowanie, powrót i feta na stadionie. To były jedne z piękniejszych chwil w mojej karierze. Byłem w szoku, że tylu kibiców przyszło na stadion, żeby świętować razem z nami. To był przecież środek nocy!

Opaska kapitańska, którą nosiłem w tym czasie, jest dużym wyróżnieniem.

Wielu piłkarzy marzy o tym, by ją otrzymać. Wiąże się z szacunkiem działaczy klubu, kibiców i kolegów z drużyny. Waży dużo, ponieważ dotyczy odpowiedzialności. Kiedy przychodziłem do Pogoni, to kapitanem był „Olo" Moskalewicz. Po jego odejściu to ja otrzymałem opaskę.

ROZDZIAŁ 43

Nie ma sianka, nie ma granka!

Radosław Majdan
309 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1972 roku w Szczecinie. Wychowanek, grał w klubie do 2001 roku, a następnie wrócił w sezonie 2006/07. Dwukrotnie awansował z Pogonią do najwyższej klasy rozgrywkowej (1992, 1997), z Pogonią zdobył wicemistrzostwo kraju (2001). Jako piłkarz Pogoni zagrał raz w reprezentacji Polski (debiut 26.01.2000 przeciwko Hiszpanii, łącznie w kadrze 7A).

Gdy grałem w Pogoni, nigdy nie było wystarczająco dużo pieniędzy, ale zawsze była świetna atmosfera. Do dziś pamiętam, jak razem z chłopkami z drużyny, a także z ich żonami czy dziewczynami, przesiadywaliśmy po wygranych meczach w restauracji El Greco. Świętowaliśmy zwycięstwa, cieszyliśmy się. Nie było oczywiście mowy o żadnych libacjach alkoholowych – po prostu spędzaliśmy tam czas w gronie przyjaciół, śpiewaliśmy stadionowe piosenki. Kiedyś jeden z piłkarzy spoza Szczecina, który dołączył do Pogoni, podszedł do mnie i zagadał:

– Słuchaj, Radek, ja myślałem, że tu będzie raczej spokojnie, może nawet nudno – mówił. – Z kasą faktycznie jest średnio, ale takiej atmosfery nie widziałem jeszcze nigdy!

***

Będąc tak zgraną paczką, potrafiliśmy poradzić sobie właściwie w każdej sytuacji. Był taki okres, kiedy przez chyba dwa sezony z rzędu nie mieliśmy

w klubie ciepłej wody. Poszliśmy wtedy do kierownika i zgłosiliśmy mu ten problem. On spojrzał na nas i zamyślił się.

– Panowie, jest zima, więc i woda jest zimna! – wypalił, rozładowując atmosferę.

Dostosowaliśmy się do tego, nikt już więcej w tej kwestii nie narzekał. Trudno się było zresztą dziwić, że brakowało pieniędzy na ogrzewanie, skoro my, piłkarze, czekaliśmy wtedy na wypłaty nawet po dwa lata. O premiach meczowych mogliśmy tylko pomarzyć.

***

Mieliśmy w klubie masażystę, który lubił wypić sobie piwko, niekoniecznie po pracy. Warto dodać, że w tamtych latach nikt nie robił przelewów bankowych, wszyscy dostawali pieniądze „do ręki". Czekaliśmy więc zawsze na to, aż kierownik przyjdzie z dużą walizką i powie, że wręczy nam wynagrodzenia. Doczekaliśmy się w końcu takiego dnia. „Kiero" poszedł do pewnego pomieszczenia obok szatni, w którym zawsze odbieraliśmy pieniądze. W jakiś sposób wspomniany masażysta dowiedział się wcześniej od nas, że wreszcie dostaniemy wypłaty i w przypływie radości przesadził trochę z alkoholem – zamiast wypić zwyczajowe piwko, wypił pewnie ze trzy. Weszliśmy razem z kierownikiem do tego pomieszczenia i zastaliśmy tam śpiącego na krześle „masera". Postanowiliśmy mu jednak nie przeszkadzać – wszyscy stanęliśmy dookoła niego i odbieraliśmy nasze pieniądze. Dzień wypłaty był przecież tak rzadko, że masażysta miał prawo świętować z tego powodu.

***

Bieda nas integrowała, to nie ulega żadnej wątpliwości. Byliśmy jak jedna wielka rodzina. Kiedyś doszło do „Protestu ogolonych". Nie jestem w stanie przypomnieć sobie szczegółów, ale pamiętam, że Darek Adamczuk i „Olo" Moskalewicz zostali zesłani do drużyny rezerw. Wówczas cała nasza ekipa ogoliła się na łyso na znak protestu. Ja dostałem wyjątkowe pozwolenie, aby jedynie podciąć sobie boki. Chłopaki byli dla mnie wyrozumiali – wiedzieli, że od zawsze miałem długie włosy i wiele czasu musiałoby minąć, żeby mi znowu odrosły. Nie znaczyło to jednak, że nie popierałem protestu – stałem

murem za kolegami!

Byliśmy tak samo lojalni względem siebie, jak i względem klubu, choć – jak wspominałem – bardzo często musieliśmy czekać na swoje pieniądze. Pewnego razu pojechaliśmy do Krakowa na ligowy mecz z Wisłą. Chłopaki z Białej Gwiazdy śmiali się, że Portowcy to prawdziwi zawodowcy – nie dostają pensji, a grają. Obracaliśmy to w żart, mówiliśmy, że my jesteśmy amatorami. Mieliśmy naprawdę dużo cierpliwości, ale kiedyś musiała się ona skończyć także nam. Zdarzały się sytuacje, kiedy głosowaliśmy, czy wychodzić na trening, czy nie. Chcieliśmy dać do zrozumienia działaczom, że nie może być cały czas tak, że czekamy nie wiadomo ile na swoje wypłaty. Trener przychodził do szatni, a my przedstawialiśmy mu całą sytuację i odmawialiśmy wzięcia udziału w zajęciach. Starano się załagodzić sprawę, ale byliśmy naprawdę zdesperowani.

***

Kiedyś wymyśliliśmy nietypowy sposób pokazania swojego rozgoryczenia. Przed sezonem 1999/2000 do drużyny dołączył Kameruńczyk Ferdinand Chi Fon. „Ferdek" – jak go nazywaliśmy – prawie w ogóle nie umiał mówić po polsku. Udało nam się jednak wyuczyć go jednego zdania, które miał wypowiedzieć w kluczowym momencie. Kiedy po raz kolejny nie dostaliśmy swoich pieniędzy, postanowiliśmy nie wychodzić na trening. Do szatni wszedł nasz ówczesny trener i zapytał, dlaczego nie jesteśmy jeszcze na boisku. Wszyscy staliśmy wtedy w półkolu, z którego nagle wystąpił „Ferdek".

Podszedł do szkoleniowca i stanął przed nim.

– Nie ma sianka, nie ma granka! – powiedział z poważną miną.

Jak nietrudno się domyślić, to właśnie był ten zwrot, którego wyuczyliśmy naszego kameruńskiego kolegę.

***

Ogromne problemy finansowe nie zmieniały jednak faktu, że znakomicie czuliśmy się w swoim towarzystwie i potrafiliśmy robić sobie bardzo fajne kawały. Pierwszy nasz numer, który przychodzi mi do głowy, dotyczył Roberta Dymkowskiego. W jednym z wywiadów dziennikarz zapytał go, jakiego

człowieka najbardziej chciałby poznać. Robert powiedział, że zdecydowanie Adama Małysza, bo bardzo go podziwia. W szatni zapanowała konsternacja – dziwiliśmy się, że nie wskazał papieża albo jakiejś pięknej modelki czy aktorki. Postanowiliśmy jednak spełnić jego marzenie. Wzięliśmy mój jednoczęściowy strój bramkarski, powiesiliśmy go na wieszaku obok miejsca, które zawsze zajmował Robert. Wypełniliśmy go jakimiś butelkami, żeby wyglądał jak sylwetka człowieka. Obok stadionu trwała akurat budowa, więc znaleźliśmy tam dwie deski, z których zrobiliśmy narty. Obkleiliśmy je plastrami firmy Elan, czyli tej, z której produktów korzystał Małysz. Mieliśmy także trochę szczęścia – tego dnia na okładce „Przeglądu Sportowego" znalazła się twarz Adama, więc jeden z nas kupił gazetę, wycięliśmy zdjęcie i włożyliśmy do naszej konstrukcji. Gdy Robert wszedł do szatni, czekał na niego idol w pełnym stroju narciarskim!

***

Zdarzały się też kawały bardziej – nazwijmy to – inwazyjne. Mieliśmy swego czasu takiego zawodnika, który zawsze niemiłosiernie się spieszył i był pierwszy w szatni po każdym treningu. Trochę nas to irytowało, bo my nie zdążyliśmy jeszcze zejść z boiska, a on już stał ubrany i gotowy do odjazdu. Kiedyś postanowiliśmy, że musimy go trochę spowolnić. Zauważyliśmy, że nigdy nie brał butów do ręki, tylko kładł na podłodze, rozwiązywał sznurówki, wkładał stopy i następnie zawiązywał. Wysmarowaliśmy mu więc podeszwy bardzo silnym klejem – pewnie jakimś Super Glue albo czymś podobnym. To jednak nie wszystko! Obcięliśmy mu jeszcze skarpetki. Chwilę później ktoś wpadł na pomysł, żeby wysmarować jego bieliznę maścią ABC. Stosuje się ją, gdy jest bardzo zimno, ponieważ ma ona właściwości silnie rozgrzewające. Gdy wspomniany kolega pojawił się w szatni i ubrał swoje rzeczy, natychmiast pobiegł pod prysznic, aby zmyć z siebie tę maść. Można powiedzieć, że to była terapia wstrząsowa.

***

Klubowym wesołkiem, który swego czasu zasłużył na rewanż, był Wojtek Tomasiewicz. Pewnego dnia mieliśmy spotkanie z inspektorem przepisów

BHP. Żaden z nas tego nie lubił, bo były to dosyć nudne prelekcje. Wszyscy więc sobie żartowaliśmy, nieszczególnie słuchaliśmy inspektora. Jedynie Wojtek siedział cicho, nie brał udziału w naszych wygłupach. Byliśmy bardzo zdziwieni, bo przecież zawsze był pierwszy do różnego rodzaju żartów. Dopiero po zakończeniu spotkania dowiedzieliśmy się, że człowiek, który prowadził to spotkanie, był… teściem Tomasiewicza. Na naszą reakcję nie trzeba było długo czekać. Któryś z chłopaków włożył do torby Wojtka największą możliwie gaśnicę i kilka ramek z wydrukowanymi przepisami BHP. Ten się nie zorientował i podczas wyjazdu nosił te niepotrzebne ciężary. Balast zauważył dopiero w autokarze, gdy poszedł czegoś szukać w torbie.

***

Żarty robiliśmy jednak nie tylko sobie nawzajem, ale również innym ludziom, którzy pojawiali się na Pogoni. Gdy nie szło nam najlepiej i przegrywaliśmy mecze, na stadionie zaczynali się kręcić tak zwani przyszli trenerzy, którzy chcieli zaznaczyć swoją obecność i ubiegać się o pracę w klubie. Przychodzili więc na nasze treningi, siadali na trybunach i przyglądali się zajęciom. Pamiętam, że pewnego razu jeden z takich szkoleniowców nie domknął okna w swoim samochodzie. Któryś z chłopaków wsadził rękę do środka, wrzucił bieg neutralny i wypchnęliśmy auto za bramę. Później poszliśmy w piętnastu i wynieśliśmy pojazd za drzewo.

Gdy ten niedoszły trener przyszedł pod szatnię i zorientował się, że nie ma jego samochodu, to myśleliśmy, że dostanie zawału. Przez około godzinę trzymaliśmy go w niewiedzy, chciał już nawet dzwonić na policję. W końcu ktoś się jednak zlitował i powiedział mu, że przecież auto stoi za drzewem. Gdy ten człowiek odnalazł swój pojazd, podszedł do mnie i zaczął się głośno zastanawiać.

– Radek, ja naprawdę nie wiem, o co mogło chodzić temu złodziejowi – mówił sam do siebie.

Z trudem powstrzymywałem śmiech.

***

Byliśmy pomysłowi, ale niektórzy trenerzy nie pozostawali nam dłużni.

Pamiętam, że Orest Lenczyk bardzo nie lubił, gdy piłkarze spóźniali się na treningi. Pełnił on funkcję szkoleniowca w czasach, gdy ja mieszkałem na Osiedlu Słonecznym, więc zawsze musiałem podejść kawałek do autobusu, żeby dojechać na zajęcia. Pewnego razu zdarzyło mi się trochę zaspać. Ubrałem się więc w błyskawicznym tempie i pobiegłem na przystanek. Byłem na styk, autobus znajdował się w odległości 50 metrów ode mnie i zobaczyłem, że nagle rusza. Wyrwałem w jego stronę, zacząłem machać i nagle pojazd się zatrzymał. Okazało się, że był to żart trenera Lenczyka, który wcześniej poprosił kierowcę, aby tak właśnie zrobił, gdy zobaczy akurat mnie. Poczułem dużą ulgę, gdy wsiadłem do środka, bo oczami wyobraźni już widziałem siebie tłumaczącego się, dlaczego nie zdążyłem.

ROZDZIAŁ 44

Rondak i salto były jego znakiem rozpoznawczym

Piotr Mandrysz
174 oficjalne mecze w Pogoni.
Urodził się w 1962 roku w Rybniku. W klubie grał w latach 90. Wywalczył awans do ekstraklasy (1997). W 2008 roku został trenerem odbudowującej się Dumy Pomorza, z którą najpierw wywalczył awans do I ligi, a następnie poprowadził ją do finału Pucharu Polski (2010).

Marzyłem o grze w najwyższej klasie rozgrywkowej, w której – przed przyjściem do Pogoni – występowałem przez 1,5 roku w barwach Zagłębia Sosnowiec. Gdy dowiedziałem się od znajomego menedżera, że będąca beniaminkiem Pogoń jest mną zainteresowana, to bardzo się z tego ucieszyłem. Miałem wtedy prawie 30 lat.

Odległość pomiędzy moim rodzinnym Rybnikiem a Szczecinem sprawiła, że musiałem jednak zastanowić się nad tym transferem. Impulsem do przenosin była decyzja mojej żony, która miała na Górnym Śląsku dobrze płatną pracę. Ja nie wyobrażałem sobie mieszkania tutaj samemu. To ona zostawiła posadę i namówiła mnie na przeprowadzkę.

***

Na pierwszy obóz pojechaliśmy do Austrii. To zgrupowanie było dość dziwne, bo nie było z nami pierwszego trenera. Leszek Jezierski po wprowadzeniu Pogoni do I ligi złożył rezygnację, a nowego szkoleniowca jeszcze nie było. Pojechaliśmy na obóz z opiekującymi się nami Zbyszkiem Kozłowskim i Bogusławem Baniakiem. Obaj zostali później asystentami nowego szkoleniowca Romualda Szukiełowicza.

Z trenerem mieliśmy jeden problem, ponieważ w tamtych czasach mecze były transmitowane przez szczecińską „Trójkę", w której gospodarzem programu był Piotr Baranowski. W tygodniu poprzedzającym spotkanie ekipa telewizyjna lubiła przyjechać na stadion, żeby zrobić materiał przedmeczowy. Ilekroć przyjeżdżali, to Szukiełowiczowi bardzo zależało, by jak najlepiej wypaść, dlatego na treningu nas katował! Prosiliśmy chłopaków z telewizji, aby nie przyjeżdżali dzień przed spotkaniem, bo zamiast rozruchu, dostawaliśmy ostro w kość.

***

Byliśmy kiedyś na obozie zimowym i trenerzy asystenci „wypuszczali" nas co dwie minuty, żebyśmy wchodzili na górę pod wyciągiem narciarskim. Tam czekał na nas pierwszy szkoleniowiec i później musieliśmy zbiec na dół. Trzymaliśmy się za ramiona, bo było bardzo stromo i szliśmy do przodu, a jadący wyciągiem narciarze naśmiewali się, że nie stać nas na bilet.

Z wesołych momentów pamiętam też, gdy pewnego listopadowego dnia, przy okazji meczu Andrzeja Rycaka odwiedził brat bliźniak. Wiedzieliśmy, że przyjechał, ale nie spodziewaliśmy się, iż przyjdzie do naszej szatni. Siedząc w pomieszczeniu Darka Dalkego zobaczyłem, że przechodzi Andrzej.

– Możesz zamykać te drzwi, nie czujesz, że ciągnie zimne powietrze?! – zrąbałem go, a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Była przecież późna jesień, a my przebieraliśmy się w dawnym baraku. Ten zmieszany zamknął drzwi i poszedł. Po chwili przyszedł drugi z Rycaków, inaczej ubrany. Zrozumiałem, że to Wojtek dostał ochrzan za Andrzeja, który wcześniej nie domknął drzwi i zrobiło mi się głupio. Na szczęście potrafiliśmy obrócić to w żart i nikt się nie obrażał.

Oni wcześniej wspólnie występowali w Hetmanie Zamość i żartowaliśmy, że są do siebie tak podobni, iż mogliby w przerwie robić zmiany i przeciwnicy nie zorientowaliby się w sytuacji.

***

Za namową mamy w młodości uprawiałem gimnastykę sportową i stąd też moje zdolności akrobatyczne. Tyle tylko, że zawsze na treningi gimnastyczne chodziłem z piłką i kiedy już zrobiłem wszystko, co mi kazano, to leciałem do

kolegów, żeby grać z nimi w futbol.

Często po strzelonych bramkach lubiłem robić rondak i salto w tył. W Pogoni jako pierwszy wykonywałem tego typu cieszynki.

W meczu z Wisłą Kraków przegrywaliśmy 0:2 i wyciągnęliśmy wynik na 2:2. Po zdobytej bramce zrobiłem salto, a noga wpadła mi w dziurę. Wówczas murawa nie prezentowała się tak dobrze jak teraz i niewiele zabrakło, a skręciłbym nogę.

***

W sezonie 1992/93 jako beniaminek zrobiliśmy z Pogonią 7. miejsce, a rok później skończyliśmy na 5. pozycji. Przez 9 kolejek rundy jesiennej byliśmy liderem. Wówczas przyjechał do nas Górnik Zabrze, który przy pełnym stadionie ograł nas 2:1 i zrzucił z pierwszego miejsca.

W lecie, przed rozpoczęciem tych rozgrywek, praktycznie nie mieliśmy odpoczynku, ponieważ zostaliśmy zgłoszeni do Pucharu Intertoto. Naszym rywalem była FC Kopenhaga, którą pokonaliśmy aż 5:0. Następnie przegraliśmy z IFK Norrköping 1:4 i mierzyliśmy się z Austrią Wiedeń. Zagraliśmy bardzo dobry mecz, ale ostatecznie uległiśmy 0:2. Pokazaliśmy się w Europie z dobrej strony, ale później odbiło się to na naszej formie i w trakcie rundy jesiennej brakowało nam sił. Nie wiadomo też, co by było, gdyby został z nami trener Szukiełowicz, który zimą odszedł do Zawiszy Bydgoszcz.

Posadę po nim przejął debiutujący w roli pierwszego szkoleniowca Jurek Kasalik.

Zależało mu, żeby jak najlepiej pokazać się w nowej pracy i trochę za mocno „przykręcił nam śrubę" zimą, przez co początek wiosny mieliśmy słaby. Końcówka sezonu wyglądała natomiast fajnie, stąd zakończyliśmy rozgrywki na 5. miejscu. Zabrakło nam niestety punktów z początku rundy.

Mimo wszystko trzeba przyznać, że patrząc na ówczesne możliwości organizacyjne klubu, to zrobiliśmy wynik ponad stan.

***

Po krótkiej przygodzie w Austrii trafiłem do Rakowa Częstochowa. Nie było wtedy oferty z Pogoni. Być może uznano, że jestem już za stary. Życie

napisało jednak taki scenariusz, że dzięki dobrej postawie na boisku w 1996 roku w Szczecinie znowu pojawiło się zainteresowanie moją osobą.

Początkowo nie chciałem się przenosić, ponieważ w Częstochowie mieliśmy szansę na europejskie puchary, lecz dyrektor Andrzej Rynkiewicz skusił mnie propozycją roli grającego asystenta. Moim celem była praca jako trener i taka okazja otwierała mi do tego furtkę. Zgodziłem się rozwiązać swój kontrakt z Rakowem i powrócić do Pogoni. Wiosną pomogłem zespołowi awansować do najwyższej klasy rozgrywkowej.

***

W 1997 roku, już po awansie do I ligi, klub zaskoczył mnie propozycją objęcia zespołu. Miałbym pracować jako pierwszy trener po tym, jak nie przedłużono umowy z „Szukiełem". Musiałbym wówczas zawiesić karierę zawodniczą, a miałem 35 lat i czułem się na siłach do gry.

Ostatecznie podjąłem decyzję, że zostanę pierwszym szkoleniowcem. Spełniałem wszystkie wymogi, aby otrzymać licencję, ale PZPN odrzucił mój wniosek i po dwóch tygodniach prowadzenia zespołu przekazałem stery w ręce Bogusia Baniaka, pozostając grającym asystentem.

***

Muszę przyznać, że na mieście byłem osobą rozpoznawalną. Było to bardzo miłe, choć czasem też uciążliwe. W okresie gry dla Pogoni podjąłem decyzję o budowie domu na Śląsku i ciekawostką jest to, że połowa produktów znajdujących się w tym domu, to są rzeczy pochodzące ze Szczecina. Właśnie ta popularność sprawiła, że często dostawałem różnego rodzaju rabaty na dobra, które kupowałem. Dlatego, kiedy po raz drugi żegnałem się z tym miastem w 1999 roku, to znajomi podstawili mi czterotonowy samochód, żebym mógł wszystko ze sobą zabrać! To również był przejaw sympatii kibiców Pogoni w stosunku do mnie.

***

Blisko dekadę później rozpocząłem swój ostatni epizod w Szczecinie. W 2008 roku Pogoń wykorzystała fakt, że po wprowadzeniu Piasta do eks-

traklasy nie przedłużono ze mną kontraktu w Gliwicach, choć mieliśmy już uzgodnione warunki. Pogoń była wtedy w II lidze zachodniej, a więc na trzecim szczeblu rozgrywek. Zadzwonił do mnie we wrześniu Robert Dymkowski, który był dyrektorem sportowym. Pogoń szukała trenera, ponieważ wyniki nie były takie, jak zakładano przed sezonem.

Przyjechałem do klubu na rozmowy. Dyskutowaliśmy bardzo długo z panami Grzegorzem Smolnym i Arturem Kałużnym. Trwało to do późnych godzin nocnych. W pewnym momencie chciałem się wycofać, ale ostatecznie mnie przekonali. Zobaczyli, że waham się z podjęciem decyzji i dopóki nie zgodziłem się na podjęcie pracy, to nie pozwolili mi położyć się spać. Tak długo mnie przekonywali, że w końcu się zdecydowałem.

Drużyna bardziej musiała oglądać się za siebie, niż liczyć na awans do I ligi. Zadecydował sentyment, bo Pogoń to zawsze będzie mój klub. Już po 9 miesiącach od podpisania kontraktu udało nam się awansować, a rok później przeżyliśmy piękną przygodę w Pucharze Polski, w którym dotarliśmy do samego finału.

ROZDZIAŁ 45

Drużyna wraca do Szczecina. To mój warunek

Grzegorz Matlak
71 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1973 roku w Szczecinie. Jest wychowankiem Pogoni, ale w pierwszym zespole zadebiutował dopiero dwa tygodnie po 30. urodzinach. W klubie – z przerwą – występował w latach 2003-08. Współtworzył odbudowującą się Pogoń Nową.

Nie sprawdzałem tego nigdzie, ale myślę, że jestem najstarszym wychowankiem, który w barwach Pogoni zadebiutował w ekstraklasie. Pomimo tego, że jestem stąd i tu się wychowałem, to premierowy mecz w granatowo-bordowych barwach w najwyższej klasie rozegrałem dopiero po trzydziestce. A plany miałem już nieco inne. Zakończyłem swój poprzedni kontrakt w Warcie Poznań. Ze Stanów Zjednoczonych przyleciał do mnie mój syn Kevin, który spędził ze mną całe wakacje. Wspólnie pojechaliśmy do Warszawy i nawet dostałem wizę. Kupiłem bilety na samolot do Ameryki i szykowałem się do wyjazdu. Wstępnie byłem też umówiony z moim byłym klubem w Stanach, widzieli mnie u siebie. Poza tym obiecałem też Kevinowi, że polecę z nim do Ameryki, co mocno przeżywał. Wtedy jednak zaczął do mnie wydzwaniać mój wychowawca, trener Bogusław Baniak.

– Pan Antoni Ptak przeniesie Piotrcovię do Szczecina – mówił. – Są plany szybkiego awansu. Chcę mieć cię u siebie w Pogoni!

Na początku w ogóle nie brałem tego pod uwagę, bo miałem już swój plan. Ale w przeciągu tygodnia trener Baniak wykonał do mnie ze sto telefo-

nów. Dzwonił nieustannie. W pewnym momencie poczułem, że to silniejsze ode mnie. Nie zabrzmi to dobrze, ale klub wygrał z rodziną. Trudno mi się teraz o tym mówi, bo wiem, że bardzo zawiodłem swojego syna. Ale z drugiej strony stanąłem przed szansą spełnienia swojego marzenia z dzieciństwa – zadebiutowania w Pogoni Szczecin.

Miałem siedem lat, gdy mój wujek i zarazem ojciec chrzestny, zabrał mnie na mecz Pogoni. Wiąże się z tym ciekawa historia. Pewnie wiele osób kojarzy takie kamienie, które są w okolicy obecnego sektora rodzinnego. Pierwszy raz w życiu byłem na meczu właśnie na tych kamieniach. Niedawno z tej samej perspektywy oglądałem mecz z kilkuletnią córką Marysią. I muszę przyznać, że przed oczami przeleciały mi lata 80., gdy kibicowałem, a drużyna była blisko sukcesów i trofeów. Swego czasu byłem przecież ultrasem i dopingowałem w Młynie. Niejednokrotnie było też tak, że miałem iść do kościoła, ale uciekałem i przechodziłem przez płot, by znaleźć się na stadionie. A jak się spóźniłem, to w domu czekała już na mnie nagroda – dostawałem pasem za kłamstwo.

***

Jak każdy mały chłopak, grałem w piłkę na podwórku. Przepisy były takie, że do klubu dołączyć można było od 10. roku życia, więc wcześniej pozostawało mi ustawiać bramki z cegły i ostrzeliwać mamę, która wcielała się w bramkarza.

Mieszkałem przy obecnej ul. Rayskiego w tzw. „dolarowcu". Naszym niedalekim sąsiadem był Marian Kielec. I gdy tak grałem, mając może 6, może 7 lat, dostrzegłem, że podpatruje mnie człowiek, którego wówczas nie znałem.

– Nie chciałbyś spróbować swoich sił w Pogoni? – podszedł do mnie któregoś dnia i zagadał. – Wyróżniasz się wśród chłopaków, z którymi grasz tu pomiędzy ławkami i może coś z ciebie być.

Mama zawsze uczulała mnie, że gdy podchodzi ktoś obcy, to należy po prostu… uciekać. A już na pewno nie rozmawiać.

Pan Marian po chwili się jednak przedstawił, ja powiedziałem o całej sytuacji mamie i wiem, że niedługo później doszło do spotkania u niego w mieszkaniu. Trochę to jednak jeszcze wszystko potrwało, bo do klubu zostałem

zapisany dopiero później, gdy miałem już 9 lat i mieszkałem przy ul. Santockiej. To i tak wówczas był chyba wyjątek, że rok młodszy chłopak trenował z grupą 10-latków.

***

Jako młody zawodnik byłem tym wybijającym się w rezerwach. I nawet, gdy na meczach pojawiali się zawodnicy z I drużyny, to dalej wyglądałem dobrze, miałem plac. Pomimo tego, że pierwszeństwo mieli ci schodzący z „jedynki". Nie zmieniało to jednak faktu, że wielu moich rówieśników wcześniej otrzymało szansę treningów z seniorami. Ja cały czas czekałem na swoją kolej. Myślę, że do pewnego momentu powodem mogło być to, że brakowało mi centymetrów. Byłem „z metra cięty", ale starałem się to nadrabiać ambicją i wolą walki. Chciałem pracować dalej, ale miałem już 19 lat i zaczęło mnie wkurzać, że wciąż omija mnie to, co najważniejsze. Zaczęło mnie to męczyć, myślałem o tym, czy nie rzucić piłki i zająć się czymś innym.

***

Miałem 20 lat. Ponownie nie zmieściłem się w koncepcji trenera I zespołu. Wiosną 1993 roku pojechaliśmy razem ze świętej pamięci Jasiem Dańcem, Robertem Adamkiewiczem, Władysławem Kornakiem i Czesławem Zającem ratować Dąb Dębno przed spadkiem z III ligi poznańskiej. Dąb był beniaminkiem, miał hojnego sponsora i zdołał wejść na trzeci poziom rozgrywek. Jesień miał jednak fatalną. Nasza piątka miała pomóc wiosną. Oprócz Czesia wszyscy dalej mieszkaliśmy w Szczecinie i codziennie dojeżdżaliśmy po 100 kilometrów w jedną stronę i z powrotem. Na początku wyglądało to jeszcze bardziej kuriozalnie: wsiadaliśmy w pociąg, jechaliśmy do Dębna 2,5 godziny, na zajęciach byliśmy może z godzinę, a to dlatego, że zaraz później był pociąg powrotny, na który musieliśmy zdążyć. Ale „fantastyczna piątka ze Szczecina" dała radę! Zdobyliśmy Puchar Polski OZPN Gorzów Wielkopolski, w lidze pięliśmy się w górę w tabeli, a na mecze przychodziło coraz więcej ludzi. Z osiemnastozespołowej wtedy ligi spadało aż 5 drużyn. Gdy przychodziliśmy, Dąb był przedostatni. Sezon zakończyliśmy na 7. miejscu, mając tylko 3 punkty mniej niż 5. w tabeli Unia Swarzędz. Do Pogoni wracałem z podnie-

sioną głową. A przynajmniej tak mi się wydawało. Od obecnego prezesa Andrzeja Rynkiewicza dostałem w nagrodę za pół roku fajnej gry… buty spod szafy. Wyciągnął z tej szafy korki typu „lanki", copa mundiale.

– Pamiętaj, że możesz grać w nich tylko, gdy jest sucho! – instruował mnie prezes, a ja nie wiedziałem co mu odpowiedzieć. – Jak zobaczę, że grasz w nich na deszczu i się poślizgniesz, to ci je zabiorę! – groził.

***

Wcześniej było sporo fuzji. Olimpia z Lechią Gdańsk, Sokół Tychy z Miliarderem Pniewy. Zawsze to źle się kończyło. Dlatego też mocno zastanawiałem się, jak wyjdzie to w przypadku Pogoni Ptaka. Okazało się, że i tutaj finał był tragiczny. Myślę, że wszystko zaczęło się psuć w momencie, gdy pan Ptak wyjechał ze Szczecina i zarządzał zdalnie. Dopóki kierował klubem tutaj, na miejscu, wszystko było w porządku. Nie mogę powiedzieć na niego złego słowa – wszystkie pieniądze były zawsze na czas. A czasami nawet dzień albo dwa wcześniej. A w tych latach – co sam przeżyłem na własnej skórze – to nie była wcale oczywistość. W wielu klubach kontrakty i wypłaty istniały często tylko na papierze. To wbrew pozorom bardzo ważny aspekt, bo gdy sprawy finansowe są poukładane, masz czystą głowę i wiesz za co zapieprzasz na boisku.

Zaproponowany przez pana Ptaka system płacowy wydawał nam się słaby i dziwny. Było to „50/50". Połowę wypłaty i premii dostawaliśmy od razu, a druga była zamrażana i mieliśmy ją dostać w przypadku awansu do ekstraklasy. Ale okazało się, że była to dla nas dodatkowa motywacja, by po tę drugą połowę sięgnąć. Tym bardziej, że w trakcie sezonu zdążyliśmy się zorientować, że jeśli tylko osiągniemy cel, to te pieniądze naprawdę dostaniemy.

***

Później jednak to poszło w bardzo złą stronę, to był wielki błąd. Dwóch czy trzech Brazylijczyków o odpowiednich umiejętnościach mogłoby nam pomóc. Ale nie cała drużyna! Byliśmy w Brazylii na obozie. Zostało nas kilku Polaków i był wyraźny plan, by to właśnie obywatele Kraju Kawy stanowili najliczniejszą grupę. Gdy na miejscu zobaczyłem, jak wielu piłkarzy gra tam w piłkę, jak menedżerowie w dziurawych skarpetkach i sandałach opychają ich

do przeróżnych klubów, to nabrałem pewności, że do Pogoni trafia właśnie siódmy sort pomarańczy. A jak dołożymy do tego trenera „Osrało", czy jak mu tam (śmiech), który nie miał w ogóle wiedzy i pojęcia na temat tego, co spotka go w Polsce, to naprawdę nie miało prawa się udać.

***

Podobnie jak u kibiców, wygrany w 2004 roku mecz z Lechem Poznań 3:1, do dziś wzbudza we mnie olbrzymie emocje. Strzeliłem wtedy najpiękniejszą bramkę w swojej karierze. Ostatnio nawet jeden z kolegów podesłał mi link do tego trafienia. Od razu udostępniłem to na Facebooku.

Dla nas, wychowanków Pogoni i Lecha, spotkania Portowców z Kolejorzem zawsze były elektryzujące. Sama otoczka spotkania dodaje smaczku, czekasz na takie wydarzenia.

Przed samym spotkaniem usłyszeliśmy od szefostwa, że jest kolejny transfer, że przyleci do Szczecina Urugwajczyk o wielkim talencie. Nie wiedzieliśmy jednak, czego się spodziewać, bo nikt o nim wcześniej nie słyszał. Niestety świętej pamięci Claudio Milara nie ma już z nami, ale za to, co zrobił w debiucie, mam do niego ogromny szacunek. Jeszcze kilkadziesiąt godzin przed meczem był na drugim końcu świata. Przeżyłem przeloty do Brazylii na obozy przygotowawcze z Pogonią, więc wiem doskonale, z jakim obciążeniem wiąże się taka podróż. Nie tylko fizycznym, bo zmienia się przecież strefa czasowa. A on, po tylu godzinach w samolocie i następnie samochodzie, wszedł w ligę z buta, pozamiatał, od razu rozkochał w sobie szczecińskich kibiców. To, że miał asystę i strzelił gola to mało, liczył się sposób, w jaki tego dokonał. Raz po raz ośmieszał obrońców na te swoje słynne zakosy, po golu pobiegł w kierunku kibiców. Widać było, że kocha grać.

Dla mnie to spotkanie również było huśtawką nastrojów. Najpierw zdobyłem pięknego gola, a już chwilę później Lech miał rzut karny, po tym jak zahaczyłem gdzieś w polu karnym Piotra Reissa. Liczyłem, że „Rejsik" zachowa się fair play i nie strzeli, ale to nie było w jego stylu (śmiech)! Tuż przed przerwą czerwoną kartkę dostał Paweł Magdoń i stało się jasne, że w tym meczu czeka nas strasznie trudna przeprawa.

Do przerwy 1:1. – No, to teraz się zacznie. Zaraz w szatni wszystko będzie

fruwało – pomyślałem o tym, co będzie wyprawiał w szatni trener Bogusław Baniak. „Bebeto" wszedł jednak do nas, uklęknął i w ciszy i spokoju błagał nas o to, żebyśmy po zmianie stron byli konsekwentni, żebyśmy grali swoje i nie zważali na to, że jesteśmy w dziesiątkę. To nie było do niego podobne, ale pamiętam, że po tej przemowie miałem ciarki na plecach.

To, co działo się w drugiej połowie, było odzwierciedleniem sytuacji z szatni. Graliśmy z pasją i charakterem. Bramki Tomasza Parzego i Milara nie tylko dały nam zwycięstwo 3:1, ale i… szacunek kibiców rywali. Strzeliłem w tym meczu gola, wygrałem ze zwaśnionym klubem. I kiedy szedłem do szatni, przechodząc obok sektora kibiców gości, niespodziewanie usłyszałem brawa. Za grę w tym meczu i za wcześniejsze lata spędzone w Lechu. Fani potrafią docenić również moment, kiedy jesteś po prostu słabszy od rywala i tego dnia choćbyś zrobił wszystko, to i tak przegrasz. Ważne, żebyś godnie reprezentował swój klub. A tego dnia Lech nie miał prawa z nami wygrać.

***

Głównym powodem rozwiązania mojego kontraktu z Pogonią Antoniego Ptaka były kwestie związane z naszym skoszarowaniem w Gutowie. Byłem kapitanem i chciałem coś z tym zrobić, uważałem, że musimy być w Szczecinie. Po pół roku powiedziałem sobie: dość. Od nas, Polaków, wymagano, żebyśmy uczyli się języka portugalskiego. Okej, mogę pouczyć się go dla siebie, ale nie uważałem tego za stosowne, by w moim własnym kraju narzucano mi obcy język, jako podstawowy w komunikacji.

Chciałem spotkać się z panem Antonim, ale ten wyjechał nagle do Brazylii. Na miejscu byli jedynie kierownik zespołu Rysiu Mizak, doradca pana Ptaka Marek Łopiński oraz reszta przytakujących włodarzom klubowych klakierów. W tym czasie trwały rozmowy kontraktowe ze wszystkimi zawodnikami, był pomysł na renegocjacje pensji. Do pana Łopińskiego wszedłem jako ostatni z drużyny. Kontrakt miałem ważny jeszcze przez 1,5 roku.

– Nie zgadzam się na renegocjację umowy – powiedziałem krótko. – Poza tym, żądam przeniesienia zespołu do Szczecina.

– Nie ma takiej opcji – usłyszałem w odpowiedzi. – Możesz dostać swoje mieszkanie w Łodzi.

– Opcji to nie ma, ale żebyśmy tu zostali – kontynuowałem rozmowę. – Albo przeniesiecie nas do Szczecina, albo rozwiązujemy umowę za porozumieniem stron. A poza tym nie będę z wami o tym gadał, mogę rozmawiać jedynie z panem Antonim Ptakiem. Tu macie mój numer telefonu, wszelkie papiery dotyczące rozwiązania umowy wyślijcie mojemu mecenasowi – zakończyłem i wyszedłem.

Szczerze mówiąc, to nie spodziewałem się, że działacze jakoś specjalnie przejmą się moimi żądaniami, więc już wcześniej spakowałem się i byłem gotowy do wyjazdu. Auto miałem zawalone swoimi rzeczami po sufit, a na dachu przymocowany rower. Wyjechałem z Gutowa do Warszawy, gdzie wtedy była moja dziewczyna. Po kilku dniach odezwał się ktoś z obozu pana Ptaka. Przez 10 dni negocjowaliśmy, w tym samym czasie o sprawie było już głośno w mediach i z propozycją gry dla futsalowej Pogoni 04 Szczecin zgłosił się do mnie ówczesny prezes tego klubu Maciej Karczyński. Ostatecznie nie porozumiałem się z Pogonią pana Ptaka i doszło do rozwiązania umowy.

***

W tym czasie nasilały się moje problemy zdrowotne związane z kręgosłupem. Wróciłem do Szczecina i myślałem, że to już chyba koniec gry w piłkę. Z zagranicznych wojaży wrócił Darek Adamczuk, działał przy Salosie. Któregoś dnia spotkaliśmy się z nim oraz Markiem Pawlakiem, który z ramienia kibiców pełnił funkcję w klubie u pana Ptaka. Niedługo dołączył do nas Kazimierz Biela. Szybko doszliśmy do wniosku, że jedyną alternatywą, „po szczecińsku", jest odbudowa klubu od samego dołu. Wzięliśmy długopis, kartkę papieru, odświeżyliśmy swoje kontakty i zaczęliśmy dzwonić po ludziach, którzy chcieliby nam pomóc. Czas nas naglił, bo był już czerwiec albo lipiec, a rozgrywki startowały w sierpniu. Pamiętam, że dziennikarze „Przeglądu Sportowego" mieli do nas pretensje, że robimy sobie jakąś wojenkę, a w ogóle to działamy w ramach kiełbasy wyborczej. A my chcieliśmy jedynie normalności w tym klubie.

Działaliśmy „w podziemiach". Dosłownie! Co tydzień spotykaliśmy się w restauracji Tiger i planowaliśmy działania. Razem z Darkiem byliśmy twarzami tego projektu. Ale muszę przyznać, że całe środowisko było nam przy-

chylne. To wszystko było takie prawdziwe. Udało nam się wygrać wojenkę z „ekstraklasą brazylijską". Jestem dumny z tego, że w taki sposób mogłem pomóc Pogoni. Sam najlepiej wiem, ile mnie to kosztowało, ile nocek musiałem zarwać, żeby bywać w różnych miejscach, pokazywać się na bankietach i spotkaniach. Ale to były fundamenty pod dzisiejszą ekstraklasę.

***

W B-klasie zdarzył się taki mecz w Kretlewie. Po nieco ponad 20 minutach meczu sędzia pokazał mi czerwoną kartkę. Czułem, że to niesłuszna kara, a w dodatku miałem wrażenie, że ambicją tego arbitra było ukaranie Grzegorza Matlaka. Krew uderzyła mi do głowy, „odcięło mi prąd" i zacząłem gonić tego sędziego po boisku oraz go wyzywać. W tym czasie na nasze mecze jeździła telewizja regionalna i niestety całe zdarzenie zostało sfilmowane. Z ZZPN-u dostałem naganę, a telewizja wyemitowała materiał z tego spotkania.

Spotkaliśmy się w Tigerze i zastanawialiśmy, co zrobić z moim niewłaściwym zachowaniem. Wpadliśmy na pomysł, że skoro jestem po gastronomiku, a kartka była czerwona, to połączymy to, przebiorę się za kucharza i przez cały następny mecz „u siebie" będę serwował kibicom czerwoną zupę – barszczyk. Jednostka NATO ugotowała nam kilkadziesiąt litrów barszczu i przywiozła go kuchnią polową. A ja w ramach skruchy i przeprosin częstowałem wszystkich chętnych. Myślę, że w ten sposób odpokutowałem, a później trzymałem się już na baczności. Tym samym pokazaliśmy też, że znamy swoje miejsce w szeregu, nie czujemy się lepsi od nikogo w B-klasie. No i daliśmy frajdę kibicom.

***

Pierwszą moją miłością nie była kobieta, ale piłka. Ja od najmłodszych lat przesiąkłem magią całego klubu. Na Pogoni się wychowałem, mieszkałem w pobliżu. Ćwiczyliśmy na piaskach na Witkiewicza, cały czas byłem gdzieś blisko. Mogę powiedzieć, że Pogoń jest moją drugą matką. A Pogoń Nową traktuję jak swoją córkę.

ROZDZIAŁ 46

Chciałem spuścić ŁKS z ligi

Bogdan Maślanka
167 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1939 roku. Pochodzi z Obornik. W Pogoni grał w latach 1963-71. Wywalczył awans do ekstraklasy (1966).

Znalazłem się w Szczecinie, bo moja obecność w ŁKS-ie Łódź to był niewypał życia. Uciekłem z tego klubu. Znalazłem się w domu w Obornikach i chciałem kończyć krótką karierę. Wtedy pojawił się Stasiu Lajpold, który zabrał mnie do Zarządu Portu i do szefa Lucjana Kosobuckiego. On mnie pamiętał z meczu Olimpii Poznań z Arkonią, w którym zdobyłem dla poznaniaków cztery gole głową po kornerach.

Byłem zauroczony i nie czekałem nawet 5 minut. Dla mnie pan Kosobucki jest ikoną nie tylko Pogoni, ale wszystkich polskich klubów. Nie spotkałem drugiego tak mądrego człowieka. Mówił kilka zdań w tygodniu i wszystkie były trafne. Gdyby nie on, to nie wiem, czy Pogoń istniałaby dalej. Oczywiście należy też wymienić Władysława Wanaga, Romana Wilczka, Bronisława Skobla i Zofię Kempę.

Pogoń powstała z pobudek patriotycznych, jako kopia Pogoni Lwów. Szef Kosobucki pochodził z Wołynia i uwielbiał ten klub. Wielu innych tak samo. Na przykład bracia Danyluk, z których jeden był lekarzem. Inni próbowali zrobić Pogoń w Bytomiu i w Gdańsku, ale nigdzie to się nie udało.

***

Floriana Krygiera pamiętam od strony szkolenia młodzieży. Opiekował się młodymi chłopakami. Nie miałem z nim kontaktu, rzadko go widywałem.

Kosobucki i Skobel pracowali w Zarządzie Portu, więc na co dzień klubem zarządzali Staś Lajpold, księgowa Zofia Kempa i kierownik Zbigniew Sadurski. Wszystko funkcjonowało jak w szwajcarskim zegarku. Dla mnie to był najlepszy klub w Polsce i nie było konkurencji. Widziałem inne, byłem w ŁKS-ie, wiem jak było w Legii, ale nikt nie umywał się wtedy do Pogoni. Jeśli ja miałbym nazywać stadion Pogoni czyimś imieniem, to nazwałbym imieniem Lucjana Kosobuckiego.

Wtedy nie było żadnych kontraktów i umów.

– Synu, grasz słabo, przerzuć się na śpiew – mógł powiedzieć ci szef.

To znaczyło, żeby pakować walizkę i wyjeżdżać ze Szczecina.

***

W 1941 roku do mojego domu przyszło dwóch SS-manów i zabrali mnie, dwuletniego chłopca, oraz moją matkę do obozu w Konstantynowie pod Łodzią. Tam mordowali dzieci, mama uratowała mnie jakimś cudem. Ojca wywieźli do Niemiec, gdzie musiał dla nich pracować jak niewolnik.

Lata później byliśmy w Berlinie na meczu z Dynamem. My często jeździliśmy do NRD na sparingi i znaliśmy trochę niemieckiego.

– Polnische schweine![21] – w pewnym momencie krzyknął do mnie jeden z rywali.

Nie wytrzymałem. Goniłem go 60 metrów, złapałem i zacząłem dusić. Pewnie zrobiłbym mu krzywdę, może byłby to okropny błąd. W każdym razie, „rozerwali" nas koledzy z drużyny. Gdy schodziliśmy do szatni, Niemcy stali w szpalerze i chcieli mnie pobić, ale zespół mnie obronił. Ja nie jestem rasistą, ale jak sobie przypomnę, co mnie spotkało, to uważam, że nie mogłem postąpić inaczej.

***

Przychodziłem jako napastnik, ale trener Stefan Żywotko przesunął mnie po roku albo dwóch na środek obrony i to było moje miejsce. Taka pozycja mi odpowiadała, pomimo tego, że w Olimpii Poznań udało mi się zdobyć aż 26 goli. Radziłem sobie jako obrońca z takimi tuzami jak Włodzimierz Lubański

21 Z niemieckiego: „polska świnio!".

i Lucjan Brychczy.

W Pogoni nie strzelałem tyle, co Marian Kielec, ale zdobywałem ważne gole. Choćby z Górnikiem w Zabrzu. Tam wszyscy przegrywali już po 20 minutach. My przywieźliśmy remis i w Szczecinie myśleli, że to nie jest prawda. Zdobyłem dla klubu gola numer 100 w ekstraklasie. Zdarzyło się też strzelić z rzutu wolnego z odległości około 60 metrów. To było w II lidze w meczu z Cracovią. Piłka skozłowała jeszcze przed bramkarzem i wpadła w okienko.

Za kadencji trenera Stefana panowała świetna atmosfera i dlatego tak długo pracował w Pogoni. Na mecze jeździliśmy pociągiem. Każdy dbał o to, żeby w kuszetce znaleźć się obok pana Stefana. To był mistrz dobrej atmosfery. Zawsze jego zdanie było ważniejsze.

– Kot przebiegł mi przez drogę! – rzucił jeden z zawodników.

– Mi też przeleciały, ale dwa! – szybko ripostował trener.

Mówiliśmy nawet, że nie ma większego zucha jak Stefek burczymucha!

***

Najlepszym piłkarzem Pogoni był w mojej opinii Wojtek Frączczak. Był dużo lepszy od Jana Tomaszewskiego. Gdyby Szczecin był bliżej Warszawy, to w kadrze grałby on. Z Wojtkiem grałem wiele lat i nie pamiętam, by popełnił choć jeden duży błąd. Dla mnie to kolejna ikona Pogoni. Oglądam teraz mecze w telewizji i Adam jest tak samo ambitny, jak był Wojtek. On także strasznie mało mówił. Małomówni i lewonożni to najlepsi piłkarze.

***

Marian Kielec miał instynkt do strzelania bramek i za to należy mu się szacunek. Nie liczę mu tych trzech goli z Legią w Warszawie, bo to był ustawiony mecz. Mnie wtedy w klubie nie było, ale tak słyszałem od starszej generacji.

Raz zawiódł nas w meczu z Zawiszą Bydgoszcz. Był wtedy poborowym i być może zależało mu na tym, by pójść tam do wojska. Wtedy najlepszych zabierała Legia, ale on jeszcze nie miał takiej opinii. My ten mecz powinniśmy wygrać w cuglach, on spokojnie mógł strzelić gole. Można go jednak zrozumieć, że jeśli już gdzieś miał trafić, to wolał iść do wojska w Bydgoszczy. Ostatecznie nie poszedł nigdzie. Nie żyliśmy w jakiejś przyjaźni, ale cenię go

za wyjątkowego nosa do bramek. Zawsze liczyliśmy, że on zdobędzie gola. Czasami potrafił go wyczarować nawet z niczego.

Ustawione mecze nie zdarzały się często. Jeśli takie były, to moim zdaniem głównie na terenie Górnego Śląska. W Szczecinie Lucjan Kosobucki miał taki szacunek, że raczej to nie było możliwe.

***

Chciałem spuścić ŁKS z ligi. W sezonie 1967/68 graliśmy w Łodzi w ostatniej kolejce. Oni musieli wygrać, bo w innym wypadku spadali. Wyszliśmy na prowadzenie po golu Waldemara Ptaszyńskiego, który nigdy nie strzelał.

W przerwie przyszedł do mnie jeden z tamtejszych cwaniaczków, który wcześniej mnie tam gnębił.

– Podnieś nogę w odpowiednim momencie w polu karnym – prosił mnie.

Zakończyło się tak, że wybiłem piłkę z naszej linii bramkowej i wygraliśmy, a oni spadli na kilka lat. Mój rewanż był może brzydki, ale za to, co tam przeżyłem, uważam, że im się należało. Wcale się nie martwiłem.

Już przed tym meczem było wiele głosów, że odpuścimy. Kosobucki wleciał nawet na dworzec, gdy ruszaliśmy do Łodzi i nie pozwolił jechać Hubertowi Fiałkowskiemu, bo krążyły różne podejrzenia w stosunku do każdego. Szef wsiadł w pociąg z nami, później usiadł na ławce i pilnował, by wszystko było uczciwe. Pamiętam jak cieszył się, że wybiłem tę piłkę z linii. Chyba spodziewał się, że to przepuszczę.

***

Po meczu ze Śląskiem Wrocław w Szczecinie dostałem polecenie od Lucjana Kosobuckiego, by porozmawiać z piłkarzem Śląska – Romanem Jakóbczakiem. Miałem iść na most na Mickiewicza i tam go złapać. Chodziło o przejście do Pogoni. Nie zdążyłem jednak i chłopacy ze Śląska odjechali tramwajem na dworzec. Goniłem więc ich taksówką. Dorwałem go na dworcu i namówiłem! Takie było polecenie szefa. On mnie doceniał i ufał, bo byłem porządnie wychowany. Miałem też udział w sprowadzeniu Włodzimierza Wojciechowskiego, o którym usłyszałem w pociągu od jego kolegi z Olimpii Poznań.

Nie było jednak tak, że ja jako piłkarz zajmowałem się transferami. Raz to był przypadek, a drugi raz polecenie szefa. Coś jednak w tym musiało być, bo gdy już mieszkałem w Szwecji, to mój zięć był dziennikarzem. Namówiłem go, żeby to rzucił i zaczął przygodę w branży agentów piłkarskich. To dopiero raczkowało, a w Polsce był tylko jeden menadżer. Zajmowałem się tym 20 lat, a ostatnim transferem, w który byłem zamieszany, było przejście Piotra Zielińskiego do Udinese. Nawet nie wiedziałem, że on istnieje, bo grał w juniorach Zagłębia Lubin, ale Włosi mają rozwinięty skauting i go znali.

***

Szef Kosobucki zabraniał nam chodzenia do Bajki – gdzie królowały prostytutki i cinkciarze, czy Kaskady, a wiem, że poprzednia generacja chadzała tam często.

Raz do roku zabierał nas do Rostocku.

– Na tym wyjeździe możecie sobie pochlać, ile chcecie – mówił wtedy.

Dodawał tylko, żeby nie ważyć się pić w Szczecinie. Ja wódkę po raz pierwszy wypiłem, gdy miałem ponad 20 lat. Jeśli gdzieś chodziłem, to nie po to, żeby się upijać. Pamiętam jednak, że w Rostocku z Wojtkiem Frączczakiem raz nie mogliśmy trafić do swojego pokoju. Ale co tu ukrywać – byli tacy, którzy nie wylewali za kołnierz. Mieli potem z tym problemy.

***

Poza Polskę wywoziliśmy papierosy, które sprzedawaliśmy Niemcom, a potem próbowaliśmy kupić coś ładnego i przywieźć do domu. U nas wielu rzeczy nie było. Prawda jest jednak taka, że często oni dzwonili na granicę i tam już wiedzieli o naszym handlu. Zabierali nam to, co chcieliśmy przywieźć.

Żyło nam się dobrze. Dostawaliśmy pensję z Zarządu Portu. Otrzymywaliśmy też premie za wygrane mecze. To zazwyczaj były pieniądze z biletów. Moi i mojej żony rodzice mieli trudno w tych czasach, ale piłkarze nie.

Czytam często wypowiedzi byłych piłkarzy Pogoni i wszyscy mówią, że w Szczecinie było im dobrze. Ja tak samo – czułem się tu wspaniale. Byłem doceniany.

ROZDZIAŁ 47

Dobrze zrobiłeś, a za mecze z pauzą i tak ci zapłacimy

Andrzej Miązek

449 oficjalnych meczów w Pogoni, co daje mu obecnie 3. miejsce w historii.

Urodził się w 1964 roku. Pochodzi z Lipian. W klubie występował w latach 80. i 90. Z Pogonią wywalczył wicemistrzostwo Polski (1987) oraz zajął 3. miejsce w lidze (1984). Dwukrotnie awansował też do najwyższej klasy rozgrywkowej (1992, 1997).

Odkąd zostałem zauważony przez Pogoń i dołączyłem do drużyny, miałem w życiu dużo łatwiej. Nie zamierzam tego ukrywać. Taryfa ulgowa zaczęła się właściwie już w liceum. Pamiętam, że pewnego dnia szedłem korytarzem i natknąłem się na dyrektora szkoły.

– Dokąd idziesz, Andrzejku? – zapytał zaczepnie.

– Na lekcje – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Jakie lekcje? Chodź do mnie do gabinetu – zaproponował, a ja, nie wiedząc zupełnie, o co chodzi, przystałem na tę propozycję. W jego gabinecie wypiliśmy kawę, miło pogadaliśmy, ale po jakimś czasie powiedziałem mu, że chyba wypadałoby, abym w końcu poszedł na zajęcia. Dyrektor miał jednak zupełnie inne zdanie na ten temat.

– Po co ci lekcje? Idź lepiej na trening! – zaordynował. Wyraźnie było widać, że zależy mu na tym, że skoro nie ma szans zrobić ze mnie naukowca, to chciałby wychować chociaż Portowca dla Pogoni.

Nie przemęczałem się więc w szkole. A gdy podarowałem wspomnia-

nemu naczelnikowi mojej placówki karnet na mecze Pogoni, to już w ogóle o nic nie musiałem się martwić. W końcu nadszedł czas matury. Pamiętam, że siedziałem, rozwiązywałem kolejne zadania i nagle natknąłem się na takie, którego nie umiałem zrobić.

– Panie dyrektorze, nie potrafię wykonać tego polecenia! – krzyknąłem wówczas w stronę dyrektora.

A on przyszedł, usiadł na moim krześle, bardzo sprawnie rozwiązał zadanie i w ten sposób miałem zdaną maturę.

***

Gdy ukończyłem edukację, wciąż w wielu sytuacjach obowiązywały mnie specjalne przywileje. Pamiętam dzień, w którym dostałem talon na samochód. Problem w tym, że nie miałem wówczas jeszcze prawa jazdy. Poprosiłem więc mojego kolegę, który był policjantem, aby pojechał ze mną do Lipian, do mamy, bo bardzo chciałem jej pokazać nowe auto.

– Mam lepszy pomysł – powiedział mój mundurowy kolega. – To twoje auto, więc ty je poprowadzisz!

Najpierw byłem lekko zdziwiony, ale ostatecznie usiadłem za kółkiem. Zaprezentowałem pojazd mamie, wróciłem do Szczecina i dopiero później poszedłem na egzamin, aby otrzymać prawo jazdy. Bez kłopotu zdałem test ze znajomości przepisów. Dużo ciekawiej było jednak podczas części praktycznej. Pamiętam, że wyszedłem z budynku i…

– Andrzej, Andrzej! – usłyszałem, że ktoś woła mnie po imieniu. Nie znałem nikogo w ośrodku egzaminacyjnym.

Spojrzałem na tego człowieka i stwierdziłem, że faktycznie go nie znam. Skoro mnie wołał, to poszedłem z nim, wsiedliśmy razem do samochodu, po czym przejechałem może z dwieście metrów.

– Zatrzymaj się – powiedział nagle do mnie, a ja, zdezorientowany, zrobiłem, jak kazał.

– O co cho… - zacząłem pytać, ale nie zdążyłem, bo przerwał.

– Dziękuję, zdałeś – oznajmił. W taki sposób stałem się właścicielem prawa jazdy.

***

Moje życie wyglądało jak bajka dzięki temu, że grałem w Pogoni. Muszę dodać, że to były trudne czasy, kiedy wszystkiego brakowało, a towary i inne dobra były na kartki. Mnie i innych piłkarzy to nie dotyczyło, bo mieliśmy przy ulicy Sikorskiego taką stację benzynową, na której mogliśmy tankować tyle, ile chcieliśmy. Na Boże Narodzenie z kolei klub załatwiał nam coś w rodzaju sklepu, w którym wszystkie towary mogliśmy brać za darmo. Zaopatrywaliśmy się tam w szynki, owoce, różne napoje. Niezwykłe przywileje!

Piłka nożna pozwalała mi wieść życie na dobrym poziomie. Ubierałem się w Peweksach, gdzie płaciłem dolarami kupionymi od znajomego cinkciarza. Dość szybko nabyłem też odtwarzacz kaset VHS oraz telewizor. Mówię o tym, bo na tamte czasy naprawdę mało kto miał dostęp do takich luksusów. Przypomina mi się dzień, w którym moi koledzy z Lipian przyjechali do mnie w odwiedziny. Pokazałem im nowoczesne jak na tamte lata sprzęty, a oni byli zachwyceni.

– Przecież ty żyjesz jak jakiś król z bajki! – mówili mi zgodnie.

Muszę dodać, że to nie koniec długiej listy przywilejów, którymi się cieszyłem. Po każdym meczu wyjazdowym na moim miejscu w autokarze czekał na mnie czteropak piwa. Kładł go tam nasz kierowca, który nigdy nie chciał zapłaty za ten alkohol.

***

To, że było mi w życiu łatwiej, nie było jednak dziełem przypadku. Zawsze dawałem z siebie wszystko na treningach, podczas meczów również nie odpuszczałem. Do intensywnej pracy najbardziej zachęcał, a właściwie zmuszał mnie trener Leszek Jezierski. Podczas jednego z treningów zarządził zrobienie dziesięciu podskoków. Jako młody zawodnik zasuwałem najbardziej. Trener podszedł do mnie.

– Oszukiwałeś – powiedział i nakazał powtórzyć ćwiczenie.

Sytuacja zaczęła się powtarzać. Męczył mnie tak przez trzy tygodnie. Gdy skończył się okres przygotowawczy, szkoleniowiec zawołał mnie do siebie.

– W pierwszym meczu zagrasz w wyjściowym składzie – powiedział.

Byłem zszokowany tą informacją. Trener natomiast powiedział mi, że za pomocą katorżniczej pracy na treningach chciał sprawdzić, jak silny psychicz-

nie jestem. To był bardzo sprawiedliwy szkoleniowiec, który miał niezwykle innowacyjne podejście do swojego zawodu. Po zdobyciu wicemistrzostwa Polski podszedł do mnie wraz ze swoją żoną, przyniósł kieliszek i nalał wódki.

– Pij, młody, dobry byłeś – podsumował moją pracę w żołnierskich słowach i dał przyzwolenie. Umiał docenić dobrą robotę.

***

Dobrze wspominam też współpracę z trenerem Eugeniuszem Ksolem. Za jego czasów często biegaliśmy ze stadionu do Lasku Arkońskiego. Tam robiliśmy kilka kółek, a na koniec rywalizowaliśmy w trzydziestu seriach po sto metrów. Wszystko na czas. Dzięki takim treningom zawsze miałem świetną kondycję. Żeby nie być gołosłownym, opowiem pewną historię. Otóż po każdej przerwie świątecznej robiono nam badania wydolnościowe. Po jednych z nich wezwał mnie do siebie trener Eugeniusz Różański.

– Jesteś na pierwszym piętrze – powiedział, a ja nie miałem pojęcia, co to znaczy.

Szkoleniowiec wytłumaczył, że chodziło o to, iż miałem znakomite wyniki badań, podczas gdy reszta była w „piwnicy". Zawdzięczałem to temu, że zawsze podczas świąt, na które jeździłem do mamy, wychodziłem biegać. Kilkukrotnie okrążałem jezioro, poza tym nie objadałem się przy wigilijnym stole. Korzyści z takiej aktywności zbierałem później, podczas obozu w Szklarskiej Porębie. Gdy wszyscy zawodnicy biegali w śniegu po pas, ja zjeżdżałem sobie wraz z bramkarzami z górki na kurtce ortalionowej.

Pamiętam też pewne zgrupowanie w Sosnowcu. Trener Różański zamknął nas wtedy na dwadzieścia minut w saunie. Po wyjściu z niej, mieliśmy wskoczyć do basenu, na dnie którego czekała na nas skrzynka piwa. Jako że byłem już wtedy nieco starszym zawodnikiem, to wrzuciłem jednego z młodych do wody i powiedziałem, żeby podał mi butelkę.

***

Częścią wspomnień moich i wielu szczecińskich kibiców są na pewno wyjazdy na mecze w europejskich pucharach. Doskonale pamiętam starcie z niemieckim FC Köln. Problemy zaczęły się już w drodze. Jechaliśmy w stro-

nę Kolonii i nagle w autokarze pękła nam opona. Kierowca zatrzymał pojazd, wysiadł i poszedł ją wymienić. Przejechaliśmy kilka kilometrów... i znów to samo! O tym na pewno lepiej opowiedzą inni koledzy.

W samym meczu kryłem Pierre'a Littbarskiego, reprezentanta naszych zachodnich sąsiadów. Muszę powiedzieć, że nie pograł sobie wtedy przy mnie. Z kolei dwumecz z Weroną rozpoczął się dla mnie fatalnie. Nie mogłem zagrać w pierwszym spotkaniu z powodu kontuzji mięśnia dwugłowego prawej nogi. Nabawiłem się tego urazu podczas treningu, gdy skakaliśmy przez płotki. Trener nakazał mi wtedy używać jedynie lewej kończyny. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – dzięki tej kontuzji potrafiłem grać równie dobrze obiema nogami.

Wracając do pucharów: na rewanż do Werony już pojechałem. Pamiętam, że specjalnie na tę okazję dostaliśmy nowe, ładne stroje i jeansy, abyśmy mogli godnie reprezentować nasz kraj zagranicą. Pojechaliśmy również zwiedzić Wenecję, która zrobiła na mnie olbrzymie wrażenie. Szczególnie spodobały mi się tamtejsze kościoły, ponieważ wiele lat temu byłem ministrantem. Pojawiliśmy się też we włoskiej telewizji. Na koniec otrzymaliśmy również wino prosto z Italii.

***

Nie da się ukryć, że udało mi się trochę pograć w lidze, więc i ze starć ekstraklasowych mam historie do opowiadania. Pierwsza wiąże się z Grzesiem Mielcarskim, który grał później przecież również i w Pogoni. Grałem przeciwko niemu, pamiętam, że bardzo mocno się zastawiał i w końcu uderzył mnie łokciem w twarz. Zdenerwowałem się na niego i obiecałem zemstę. Kilka minut później próbował przyjąć piłkę, a ja wtedy podbiegłem i zrobiłem mu wślizg od tyłu. W konsekwencji został zniesiony z boiska.

– Ostrzegałem, że ci oddam – podszedłem tylko do niego i rzuciłem, gdy zwijał się na noszach z bólu.

Innym razem graliśmy w Katowicach, utrzymywał się remis 1:1. W drugiej połowie Jasiu Furtok wychodził „sam na sam" z naszym bramkarzem. Złapałem go w pasie i przewróciłem na ziemię. Sędzia Tadeusz Diakonowicz pokazał mi za to czerwoną kartkę i musiałem opuścić boisko. Po spotkaniu,

które zakończyło się podziałem punktów, podszedł do mnie trener Jezierski.

– Dobrze zrobiłeś – niespodziewanie pochwalił mnie szkoleniowiec.

– Jak dobrze? – nie mogłem się nadziwić reakcji trenera. – Teraz będę pauzował trzy mecze…

– Nie martw się, Andrzej. I tak będziesz miał płacone za te trzy spotkania. Ten twój faul uratował nas przed stratą bramki i dał nam punkt. Należy ci się.

Trener zachował się fantastycznie, byłem pod wrażeniem. Nie chodzi nawet o kasę, ale o to, że umiał docenić podjęte przeze mnie ryzyko. Muszę jednak zaznaczyć, że poza tymi dwiema sytuacjami zazwyczaj grałem czysto. Byłem twardym obrońcą, ale nie brutalnym. Taką opinię głosiły zresztą o mnie wszystkie gazety sportowe.

ROZDZIAŁ 48

Opiekowałem się przyszłymi Mistrzami Europy przez trzy dni

Christos Mitsopoulos

Grek urodzony w 1955 roku w Szczecinie. Kibic Pogoni od wielu dekad. W przeszłości kibicował Portowcom na własnym stadionie i w delegacjach, teraz jedynie przed telewizorem. Jest właścicielem restauracji El Greco, w której gościł wielu piłkarzy i trenerów Pogoni. Do tej pory utrzymuje kontakty z zawodnikami Dumy Pomorza z różnych okresów. Jego syn – Nikos – także był graczem Portowców.

Urodziłem się w Polsce, ale mam obywatelstwo greckie. Moi rodzice przyjechali do Polski kilka lat po II wojnie światowej, ponieważ w Grecji rozpętała się wtedy wojna domowa. Wówczas do Szczecina i Polic przyjechała spora grupa Greków, ale większość już wyjechała. Moja mama ma 95 lat i mieszka w Atenach, a siostry oraz jeden brat także są w Grecji.

Od 1997 roku prowadzę restaurację El Greco przy ulicy Mickiewicza. Od dawna jestem kibicem Pogoni, to dla mnie numer jeden, a w Grecji trzymam kciuki za Panathinaikos. Przez lata poznałem wielu piłkarzy, a oni niezliczoną ilość razy gościli u mnie w restauracji.

***

Przyjaźnię się z Adamem Kensym, odwiedzają mnie Jerzy Krzystolik, Marian Kielec, Waldemar Folbrycht, Czesław Boguszewicz, ale też młodsi, jak Radek Majdan, „Olo" Moskalewicz, Kamil Grosicki, Maciek Stolarczyk, Marek Walburg czy Bartek Ława. Tych starszych poznawałem w Cafe Venus przy

Łukasińskiego, gdzie często gościli, gdy jeszcze grali. To byli szczecinianie, większość z nich się u nas wychowała. Dobre kontakty miałem też z Leszkiem Jezierskim.

– Tego trenera nie dało się oszukać – mówił mi Adam Kensy.

On wiedział, kto potrafi grać w piłkę, a przy tym był otwartym człowiekiem. Piłkarze chwalili też Edmunda Zientarę.

***

Przed Mundialem w 2002 roku żegnaliśmy u mnie Radka Majdana, który jechał na mistrzostwa. To wydarzenie zapadło mi w pamięci. Radek to był typowy Pogoniarz. U mnie było tyle imprez, że nie jestem w stanie tego wszystkiego zapamiętać. Każdy sukces świętowano w El Greco. Bywali trenerzy, dziennikarze i piłkarze.

Nikt się u mnie nie upijał. Jasne, było wino i piwo, ale w normalnych ilościach. Jedliśmy kolację, czasami grała muzyka, był taniec i to wszystko. Niektórzy z Huberta Fiałkowskiego zrobili pijaka, a jaki to był pijak? To był człowiek, jak każdy. On, gdy jeszcze żył, to też często u mnie bywał.

***

Nie pamiętam dokładnie, kiedy po raz pierwszy byłem na meczu Pogoni, ale było to w latach 60. Na pewno byłem małolatem, który chodził nawet na treningi, bo wtedy sporo ludzi odwiedzało zajęcia w tygodniu.

W pamięci zapisał mi się natomiast mecz z Lechem w Poznaniu. Zdarzało mi się bowiem jeździć na spotkania wyjazdowe Pogoni. Najdalej byłem w Mielcu. Siadałem jednak zazwyczaj na trybunie gospodarzy, a nie z zagorzałymi kibicami Pogoni.

To był sezon 1981/82. Pojechaliśmy do Poznania we czterech. Wszyscy byliśmy Grekami ze Szczecina. Cały mecz siedzieliśmy między kibicami Lecha cichutko, nawet rozmawialiśmy po grecku między sobą. Na boisku długo utrzymywał się wynik 0:0. Człowiek tylko drżał, żebyśmy nie stracili bramki w końcówce. Były słupki i poprzeczki. Wtedy dość niespodziewanie nasi piłkarze zrobili kontrę. Piłkę przejął Zenek Kasztelan i zagrał do szybkiego Janusza Turowskiego. Ten poszedł jak burza, odegrał do Zbigniewa Stelmasiaka

i gol! Wybuchliśmy radością, by po chwili uciekać w popłochu ze stadionu. Gonili nas, wyzywali od śledzi, ale koniec końców nic poważnego nam się nie stało. To były piękne czasy.

***

W latach 90. w klubie było bardzo biednie, nie było pieniędzy na nic. Władze Pogoni dogadały się ze mną, że piłkarze mogą jeść obiady w mojej restauracji. Znałem ich, lubiłem, kibicowałem Pogoni, więc nie widziałem problemu. Po treningach przychodziła cała drużyna i się stołowała. A to byli piłkarze, nie mógł to być jakiś mały obiadek. Nigdy nie zobaczyłem pieniędzy za tamten okres, a wyszło tego naprawdę sporo. Machnąłem ręką, nie mam pretensji. Pozostał jednak żal do kilku działaczy ze starych czasów, ale nie chcę o tym publicznie mówić. Jestem kibicem Pogoni i pomagałem klubowi, a nie im.

***

W Pogoni grał mój syn – Nikos. Doszedł do I zespołu, był nawet na ławce w meczu z Wisłą Kraków. Potem przeniósł się do Stali Stocznia, następnie do Grecji, gdzie grał w II lidze w zespole Atromitos. Po roku jednak zrezygnował z piłki. Zakończył studia, a obecnie pływa barkami rzecznymi w Holandii.

Nikos brał ślub w dniu meczu Polska – Grecja na Euro 2012. Na weselu pojawiły się media, bo część gości kibicowała Polakom, a inni, jak ja, Grekom.

Kilka lat wcześniej reprezentacja Grecji zdobywała mistrzostwo Europy w Portugalii. Moi rodacy przed turniejem zagrali z Polską w Szczecinie, a ja opiekowałem się drużyną przez trzy dni. Pamiętam, że trenowali na stadionie przy Twardowskiego i trener Otto Rehhagel wygonił mnie i prezesa federacji z ławki rezerwowych na trybuny. U niego panował ogromny porządek i dlatego Grecy wtedy wygrali Euro, a przed turniejem marzyli tylko, żeby nie przegrać wszystkich meczów w grupie, bo w Grecji kibice roznieśliby ich.

ROZDZIAŁ 49

Uwielbiałem wskoczyć na płot i cieszyć się z kibicami

Olgierd Moskalewicz
316 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1974 roku. Pochodzi ze Świdwina. W Pogoni występował w latach 90., a następnie, z przerwami, do 2010 roku. Trzykrotnie wywalczył z Dumą Pomorza awans do ekstraklasy (1992, 1997, 2004), z klubem dotarł do finału Pucharu Polski (2010).

Co roku do Świdwina na obóz przyjeżdżali z trenerem Włodzimierzem Obstem juniorzy Pogoni. My mieliśmy swoją drużynę, Spójnię, w której trenowaliśmy w trampkarzach i juniorach. W mieście była tylko jedna hala. Pewnie było tak, że my kończyliśmy trening, a zaczynała Pogoń albo odwrotnie. U nas było kilku utalentowanych zawodników i potwierdzały to wyniki, bo w województwie koszalińskim, jeśli chodzi o futbol młodzieżowy, w tym czasie liczyliśmy się my i Gwardia Koszalin.

Po jednym z takich treningów trener Obst zaproponował trzem zawodnikom, w tym mnie, przejście do Pogoni. Jacek i Grzesiek byli o rok starsi i przeprowadzili się wcześniej.

Był taki pomysł, żebym dokończył szkołę podstawową w Szczecinie i przeniósł się jeszcze przed 8. klasą. Miałem trafić do klasy trenera Kazimierza Bieli w SP 51. Nie zdecydowałem się na to, bo chciałem skończyć podstawówkę w Świdwinie. Po roku trener Obst ponowił propozycję i trafiłem do Pogoni.

Miałem wtedy 15 lat. Mieszkaliśmy w internacie przy ul. Łaziebnej. Na pewno to pomogło mi w szybkiej aklimatyzacji. W tym miejscu było wielu

sportowców. Wspólnie spędzaliśmy czas, pomagaliśmy sobie odrabiać lekcje, nawiązywałem nowe znajomości. Dzięki temu Szczecin szybko stał się moim drugim miastem.

***

W moim pierwszym kontrakcie był taki zapis, że w Pogoni jestem tylko na okres szkoły. Przyszedł taki moment, że regularnie zacząłem grać w pierwszym zespole, jak na swój wiek strzelałem sporo bramek i zainteresowanie moją osobą było coraz większe. Grałem też w reprezentacjach młodzieżowych. Na pewno było tak, że jakieś pieniądze za mnie chciała otrzymać Spójnia, a chętnych klubów nie brakowało. Były prowadzone negocjacje z władzami Świdwina, w których uczestniczył też burmistrz Franciszek Paszel. Na pewno dużą rolę odegrał tu mój tato Stefan, który był moim wielkim kibicem. Dopingował mnie nie tylko w piłce, ale również innych sportach, ponieważ w podstawówce trenowałem tenis stołowy i szczypiorniaka w wymiarze podobnym, jak futbol. W Szczecinie czułem się dobrze, ale poza mną toczyły się rozmowy na szczeblu działaczy szczecińsko-świdwińskich. Tato był też kibicem Pogoni, więc możliwe, że to wpłynęło na jego zdanie. Myślę, że miał duży wpływ na to, że zostałem w Szczecinie.

***

Po awansie na najwyższy szczebel rozgrywkowy w 1992 roku z klubu odszedł trener Leszek Jezierski. Być może nie zostały spełnione jego oczekiwania transferowe. Szefujący klubowi Andrzej Rynkiewicz zatrudnił nieznanego szerzej szkoleniowca Romualda Szukiełowicza, który wcześniej prowadził między innymi Moto-Jelcz Oława. Ja wcześniej o takim nazwisku nie słyszałem. W pierwszym zespole było wtedy wielu młodych, a łącznie kilkunastu zawodników, którzy wcześniej nie zagrali w ekstraklasie.

W premierowym meczu z Ruchem Chorzów, jeśli dobrze pamiętam, w naszych barwach na tym szczeblu debiutowało ośmiu zawodników! Przegraliśmy 0:3 i pewnie trochę ostudziliśmy nadzieje kibiców. Później jednak okrzepliśmy i spokojnie utrzymaliśmy się w lidze. Szczególnie dobrze graliśmy wiosną – gdyby uwzględnić wyniki jedynie z pierwszej połowy 1993 roku, bylibyśmy

drugą w tabeli drużyną za Legią Warszawa. Pojawiły się głosy, że w kolejnym sezonie możemy grać o europejskie puchary.

***

W latach 90. cała nasza liga nie wyglądała najlepiej. Wiele klubów miało olbrzymie problemy finansowe. W Pogoni pieniędzy też nie było za dużo. Niby powinniśmy mieć zabezpieczone suplementy, napoje i inne przyziemne sprawy, ale nie zawsze tak było. W tym czasie pani Irenka, gospodyni obiektu, w trakcie zajęć organizowała dla nas herbatę. Sęk w tym, że musieliśmy pić ją z dużych metalowych czajników, bo nie mieliśmy do dyspozycji bidonów. Sportowo wyglądaliśmy nieźle, ale organizacyjnie bywało trudno.

Podobnie było też z kontraktami, które często były tylko na papierze, a nie były realizowane. Nie istniało jeszcze prawo Bosmana, nie było przepisu pozwalającego wystąpić o rozwiązanie umowy z winy klubu, gdy ten miał duże zaległości. Byliśmy trochę niewolnikami klubów, bo nawet gdy skończył się kontrakt i nie było nowego, to nie można było, ot tak, przejść do innej drużyny.

Dziś nawet w grupach młodzieżowych nikt nie wyobraża sobie, żeby dzieci przychodziły na treningi w różnym sprzęcie. My w ekstraklasie trenowaliśmy tak, że każdy miał inną koszulkę, bluzę czy getry. Teraz możemy śmiać się z tego, ale tak właśnie było.

***

W tym czasie byliśmy na zgrupowaniu w Korei Południowej. Mieszkaliśmy w bardzo luksusowym hotelu. Nie było tam jednak pralni, dlatego też naszym sprzętem zajmował się kierownik Leszek Pokorski. Po zajęciach zbierał nasze brudne rzeczy do torby i zabierał do swojego pokoju, na siódme albo ósme piętro.

Pewnego dnia w hotelu włączył się alarm. Dowiedzieliśmy się, gdzie jest pokój kierownika, wbiegliśmy na to piętro. Stanęliśmy przed otwartymi drzwiami i zobaczyliśmy biednego, załamanego „kiera". Okazało się, że wrzucił sprzęt do wanny, puścił wodę i zapomniał o tym. Wiadomo, było gorąco, człowiek zmęczony, a do tego miał wiele innych obowiązków. Lało się jednak

tak długo, że pływało całe piętro. Musiała interweniować straż pożarna, która odpompowywała tę wodę.

Kierownik czuł się odpowiedzialny za całą sytuację i nie wiedział też, co – w związku z tą sytuacją – będzie go czekało. Z jednej strony człowiek uśmiechnął się pod nosem, a z drugiej było mu przykro, bo jednak wydarzył się nieprzyjemny incydent.

***

Za trenera Janusza Pekowskiego, w 1995 roku, trafiliśmy z Darkiem Adamczukiem do rezerw. Nie pamiętam, co było tego przyczyną. Mieliśmy swoje specyficzne poczucie humoru i być może podpadliśmy szkoleniowcowi. Naprawdę, nie przypomnę sobie teraz szczegółów. Zostaliśmy wezwani do klubu i mieliśmy zgodzić się na coś albo kogoś przeprosić. Podjęliśmy decyzję, że nie zrobimy tego. Darek wszedł pierwszy, ja drugi i oba spotkania trwały po minucie. Następnie z mediów, chyba z telewizji, dowiedziałem się, że jestem zawieszony w prawach zawodnika. To był listopad i nie zagrałem w kilku ostatnich kolejkach.

Bardzo fajnie zachowała się natomiast drużyna. Większość chłopaków, w tym również my, następnego dnia udała się do fryzjera i ogoliła głowy „na zero". W ten sposób, poprzez „protest łysych" pozostali solidaryzowali się z nami.

Na wiosnę moja kara została odwieszona, a Darek zimą odszedł do zagranicznego klubu.

***

Spadliśmy w 1996 roku, w czasach korupcji. Nie zdawałem sobie wtedy z tego sprawy, choć wśród starszych zawodników, działaczy i kibiców krążyły różne głosy. Słyszało się, że zakładane są „spółdzielnie", że jest osoba, która jest w Polsce szefem mafii układającej wyniki. Nie brałem wtedy tego na poważnie, ale późniejsze wydarzenia pokazały skalę tego procederu. Końcówka sezonu w wykonaniu GKS-u Bełchatów, który jesienią po 17 meczach miał dwa zwycięstwa, to było jakieś kuriozum. Krążyła wtedy plotka, że któregoś dnia z kopalni zabrano cały utarg, by następnego opłacić nim wynik meczu.

Spadek w tym sezonie bardzo bolał. W ostatniej kolejce niepewny los mia-

ły cztery drużyny. Wszystkie wyniki poukładały się w ten sposób, że zlecieliśmy. Być może ich działacze zrobili wszystko, by to właśnie Pogoń znalazła się na miejscu spadkowym. My kończyliśmy sezon właśnie w Bełchatowie. Już po 25 minutach Leszek Pokładowski schodził z boiska po tym, jak dostał 2 żółte kartki. Do 85. minuty utrzymywał się remis 1:1, który dawał nam utrzymanie. Decydującego gola minutę później zdobył Jacek Berensztajn. W tej sytuacji faulowany był nasz zawodnik, ale sędzia tak to ładnie odwrócił, że rzut wolny otrzymał GKS. Berensztajn strzelił, a my spadliśmy z ekstraklasy.

***

Latem 1996 roku spotkaliśmy się po przerwie urlopowej w nietęgich humorach. Wrócił do nas trener Szukiełowicz. Na kolejny sezon zostało nas wielu. Nie było łatwo, a wtedy, z tej ligi, awansowała z nami Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski. To były początki tego klubu, który później grał w europejskich pucharach.

Na dwie kolejki przed końcem tego sezonu jechaliśmy do Chrobrego Głogów. Zwycięstwo w tym meczu dawało nam awans. Wygraliśmy tam 5:1. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w Kalsku, bo wtedy jeździło się innymi drogami. Była tam stacja benzynowa CPN i hotelik przy drodze. Trener i kierownik kupili kilka szampanów i właśnie tam świętowaliśmy szybki powrót do ekstraklasy.

***

Jestem osobą wierzącą. Byłem dumny z tego, że Polak został papieżem. Gdy grałem w Wiśle Kraków, miałem okazję być na prywatnej audiencji u Ojca Świętego. Uścisnąłem jego dłoń, pocałowałem pierścień papieski, stanąłem twarzą w twarz. Dla mnie to był szok.

– Ojcze Święty, kochamy cię – powiedziałem wtedy, choć to był tylko moment, bo nie było czasu na specjalne rozmowy. Poza tym emocje były takie, że człowiek nie za bardzo wiedział, co mówi.

Po powrocie do Szczecina, najpierw w 2003, a następnie w 2009 roku, zdecydowałem, że będę grał z numerem 78 na plecach. Liczba symbolizuje rok, w którym Karol Wojtyła został wybrany na papieża.

***

2010 rok. Mówi się „finalista Pucharu Polski", ale gdy nie ma medalu na szyi, to przecież to nic nie znaczy. Pamięta się, kto zdobył puchar. Pogoń trzy razy grała w finale Pucharu Polski i za każdym razem przegrywała 0:1.

Początek meczu, faul na Marcinie Bojarskim. Albo w polu karnym i wtedy powinniśmy otrzymać jedenastkę, albo przed i wówczas sędzia powinien dać czerwoną kartkę rywalowi. Nawet gdyby to był tylko rzut wolny, odległość była taka, że na pewno byłoby zagrożenie.

W tym czasie Jagiellonia Białystok była już dobrym zespołem, grali tam przecież Kamil Grosicki i Tomek Frankowski, ale przy takim obrocie spraw różnie mogłoby to się potoczyć. W drugiej połowie po uderzeniu Maksa Rogalskiego, piłka odbiła się od poprzeczki. Mogło być 1:1, bo rywal wcześniej objął prowadzenie i naprawdę inaczej mogłoby to wyglądać.

Do Bydgoszczy przyjechało kilka tysięcy fanów ze Szczecina, którzy dopingowali nas cały mecz. Chwała im za to. Ten puchar Pogoń jeszcze zdobędzie.

***

Legenda Pogoni… to na pewno fantastycznie brzmi. Wiem, że przez lata w tym klubie grało wielu doskonałych piłkarzy. Skoro jednak zostałem wybrany do jedenastki 50-lecia, a po dwudziestu latach, gdy trochę czasu upłynęło, znalazło się dla mnie miejsce również w jedenastce 70-lecia, to chyba jestem postacią, która wryła się w klubowe annały. Nie chcę wypowiadać się, czy jestem legendą, bo to nie do mnie należy, ale na pewno mogę czuć się jedną z wielu ważnych osób.

***

Z kibicami miałem dobrą więź. Zarówno na boisku, jak i poza nim. Dla mnie najważniejsza po strzeleniu bramki była radość, możliwość wspólnego cieszenia się z kibicami. Uwielbiałem podbiec do płotu, wskoczyć na niego, przybić z kibicami piątkę. Kiedyś nie karano za to kartkami. To nie było wymuszone, ale było efektem tego, że jesteśmy razem. Wspólnie przyjechaliśmy do innego miasta, oni poświęcali swój czas i pieniądze i należał im się szacu-

nek. Ale ja czułem go też w drugą stronę. Myślę, że zasłużyłem sobie na niego tym, że zawsze oddawałem serce na boisku. Być może piłkarsko nie zawsze wyglądało to tak, jak chcieliby tego kibice, ale nikt nie może zarzucić mi, że odpuszczałem, symulowałem, czy byłem poza grą. Nawet gdy nie szło, to trzeba było pokazać tę złość, że chcemy, że nie poddajemy się.

Przestałem grać 8 lat temu, a wciąż wielu ludzi o mnie pamięta. Znają mnie też ci młodsi, dzieci, które nie mogą pamiętać mnie z boiska. Bardzo mile mnie to dziwi. Za to dziękuję.

ROZDZIAŁ 50

Usiąść na nowym stadionie i powiedzieć: wreszcie jest

Jarosław Mroczek

Urodził się w 1955 roku w Pile. W Pogoni trenował w grupach trampkarskich i juniorskich. Pod koniec I dekady XXI wieku wraz ze swoją firmą EPA Sp. z o. o. zainwestował w Pogoń, a od lutego 2011 roku jest prezesem Dumy Pomorza. Pod jego wodzą klub awansował do ekstraklasy (2012), a następnie trzy razy z rzędu grał w grupie mistrzowskiej.

Zaczynałem jako trampkarz Pogoni. Miałem 11 lat i do drużyny wciągnął mnie Zbyszek Piasecki, z którym uczyliśmy się w jednej klasie szkoły podstawowej. Trafiłem pod skrzydła Floriana Krygiera. Wiąże się z tym też ciekawa historia, bo do szkoły poszedłem rok wcześniej i w klasie zawsze byłem z chłopakami starszymi o rok. W klubie trenowałem natomiast w swoim roczniku. Wtedy w Pogoni była taka zasada, że podczas meczów I zespołu piłki podawali trampkarze. Juniorem stawało się natomiast po ukończeniu „podstawówki". Razem z kolegami z klasy zaczęliśmy naukę w liceum, ale w Pogoni przez kolejny rok byłem wciąż trampkarzem. I przez następnych 12 miesięcy, jako jedyny z całej klasy, nadal musiałem podawać piłki. Było to dla mnie nieco krępujące. Moi koledzy grali w juniorskich rozgrywkach, oglądali mecze z trybun, a ja przez jakiś czas wciąż byłem tuż przy linii autowej.

***

Nie pamiętam dlaczego, ale w przerwie kazano mi pójść do szatni. Chwilę wcześniej z boiska sprowadzano mocno utykającego Mariana Kielca. I gdy

wszedłem to tej szatni, to zobaczyłem coś, czego na pewno wtedy nie chciałem widzieć. Na środku, na zwykłym drewnianym stole, leżał Kielec. Lekarz ściągnął mu buta i zobaczyłem jego bardzo mocno obitą stopę. Doktor wyciągnął dużą strzykawę z metalowej puchy i wbił mu ją w stopę. Pewnie to była „blokada". Mariana musiało to bardzo mocno zaboleć, bo głośno krzyczał. Byłem przerażony, bo widziałem, że jego stopa nie zachowuje się normalnie, była usztywniona. Ale mógł dograć ten mecz. Zastanawiałem się, co działo się później, gdy zastrzyk przestawał działać i czy nie wpływało to na późniejsze kontuzje.

***

Moi rodzice byli nauczycielami, a ojciec nie kochał piłki. W domu nie było zbyt wielu pieniędzy. Jeśli nie miałem wcześniej zarobionych paru groszy, na przykład ze sprzedaży butelek, szukałem innej możliwości, by wejść na mecz. Jedną z opcji w tych czasach było „podczepianie się" pod dorosłego. Mając opiekuna, dziecko mogło wejść na stadion za darmo.

Zdarzało się też, że czekaliśmy pod bramami, by wejść jako tzw. „milionerzy". Kwadrans przed końcem meczu wrota stadionu otwierały się i wówczas biegło się ile sił w nogach, by zająć jakieś miejsce i zobaczyć fragment meczu.

***

Obecne boisko nr 2 w latach 60. było klepiskiem. Mam nawet takie zdjęcie, gdy strzelam na bramkę i na tej fotografii widać bardzo dobrze stan placu gry. Mecz na trawie był wtedy rarytasem zarezerwowanym dla I zespołu, my grywaliśmy głównie na prymitywnych boiskach.

Niewiele osób też pamięta, że w tych czasach trampkarz naprawdę grał w trampkach! Dopiero junior mógł grać w korkach. Ja tę zmianę odczułem bardzo mocno, bo na początku nie wiedziałem nawet, jak w tych korkach chodzić, nie mówiąc o grze. Tym bardziej, że na nowe nikt nie mógł liczyć. Szło się do magazynu, gdzie stał wielki karton ze starymi butami i wybierało się pasującą i najmniej zniszczoną parę.

W jednym z pierwszych meczów juniorskich trener wystawił mnie na skrzydle. Nie czułem się tam dobrze, nie byłem zbyt szybki. Po jednej z akcji,

gdzie miałem zacentrować piłkę w pole karne, futbolówka poleciała na głowę kolegi… razem z moim butem. Te korki nie najlepiej trzymały się stopy.

***

Nie nastawiałem się na to, że będę zawodowym piłkarzem. Obok treningów realizowałem wiele innych pasji. Żeglowałem, byłem gospodarzem klasy w szkole. To wszystko poskutkowało tym, że po pierwszym półroczu II klasy liceum moje oceny nie wyglądały różowo. Zacząłem zastanawiać się, co chcę w życiu robić. Tym bardziej, że nie byłem żadnym piłkarskim talentem. Grałem w swoim roczniku, ale wiedziałem, że są lepsi ode mnie. W rodzinie miałem wielu ludzi po studiach, którzy opowiadali o swoim ciekawym życiu. Imponowało mi to.

– Jeśli chcesz w przyszłości żyć tak jak oni, musisz mieć więcej czasu – powiedziałem sobie wtedy. – Musisz więcej się uczyć.

Podjąłem decyzję, której nie konsultowałem z rodzicami. Wziąłem jakąś szmacianą torbę, spakowałem do niej buty, sprzęt i pojechałem na trening.

– Przepraszam, muszę zrezygnować, nie dam rady wszystkiego pogodzić – powiedziałem trenerowi.

– Może odpuść żeglarstwo, przecież możesz dać radę – namawiał mnie szkoleniowiec.

Byłem jednak na tyle zdeterminowany, że ta decyzja była nieodwołalna. Stadion opuszczałem powoli i ze spuszczoną głową. Wcale nie byłem pewny tego, że ten ruch był dobry. Tym bardziej, że było w nim mnóstwo emocji, a mniej racjonalności. Piłka zawsze była czymś, co bardzo kochałem.

***

Gdy pod koniec pierwszej dekady XXI wieku zaczęliśmy partycypować w kosztach Pogoni Szczecin, nie spodziewałem się, że to wszystko tak mnie pochłonie. Nasza firma prosperowała wtedy bardzo dobrze i mogliśmy zainwestować w klub. Cieszyłem się, że mogliśmy przychodzić na stadion w nieco innej roli, ale nie myślałem, że to się tak rozwinie. Później zaczęły się większe potrzeby, ale zarazem też emocje oraz wewnętrzne przekonanie, że bez tej dodatkowej pomocy, bez wyciągnięcia pieniędzy z kieszeni, ta Pogoń nie wejdzie do ekstraklasy. Gdy zaczęliśmy podsumowywać poniesione nakłady

i okazało się, że zaczynamy być głównym dostarczycielem pieniędzy, rozpoczęliśmy rozmowy z dotychczasowymi akcjonariuszami. Chcieliśmy dostać prawa i odpowiedzialność. Zaczęliśmy nabywać akcje, a gdy mieliśmy ich więcej niż 50 procent, to wtedy zadziałały już zasady rynku, czyli kodeksu handlowego. W tej sytuacji z definicji powinienem mieć prawo do kierowania organizacją. A dziś jest tak, że akcji mamy ponad 90 procent.

***

Nie wiem, czy mam w domu najwierniejszego kibica, ale myślę, że najgłośniejszego (śmiech)! Ma to olbrzymią zaletę, ponieważ moja żona Bożena nigdy nie powiedziała mi choćby jednego złego słowa za to, ile pieniędzy włożyłem w klub. I mam świadomość, że pewnie nigdy nie dostanę ich z powrotem. Nas to jednak nie boli. Do pieniędzy podchodzimy w ten sposób, że owszem, pomagają poprawiać sobie standard życia, ale przede wszystkim powinny służyć temu, by dzięki nim zrobić coś pożytecznego dla siebie i innych.

Czasami, szczególnie podczas meczów, z żoną kibicem jest trudno. Szczególnie, gdy wyraża jednoznaczne opinie na temat sędziego. Ma głębokie przekonanie, że właściwy jest tylko taki rodzaj arbitra, który nie widziałby fauli piłkarzy Pogoni, czy nie dostrzegał tego, że nasi zawodnicy są na pozycji spalonej. Jest z tego zresztą znana na trybunie, z której zawsze ogląda mecz. Nawet prezes PZPN-u Zbigniew Boniek podczas jednej z poważnych narad w Warszawie opowiadał, że Szczecinie jest taki kibic, który ma trochę nietypową relację do przepisów i zna inne (śmiech).

Zdarzało się też tak, że nie podobało jej się, gdy żegnaliśmy jakiegoś piłkarza, bo akurat go lubiła. Ale oczywiście to tylko na poziomie zwykłego kibicowania, bo zupełnie nie wtrąca się w kwestie decyzyjne.

***

Awans do ekstraklasy w 2012 roku był dla mnie wielkim wydarzeniem. Bardzo go przeżywałem. Starałem się tego nie pokazywać, ale gdy wbiegłem na murawę, leciały mi łzy. To było wielkie szczęście.

***

Bardzo zwracam uwagę na głosy płynące ze środowiska kibiców. Jednocześnie chcę też mocno podkreślić, że na koniec decyzję podejmuję sam. To nie jest tak, że gdy pojawi się grupa wywierająca naciski, to zmienię zdanie, wycofam się z pomysłu albo na pewno coś wdrożę. Słucham jednak możliwie największej liczby wypowiedzi. Również tych krytycznych, po których zaczynam się nad daną kwestią jeszcze mocniej zastanawiać. Nad tym, czy w konkretnym głosie jest ziarno prawdy i czy nie warto tego sprawdzić. Najczęściej podejmuję działanie i zaczynam o danej sytuacji rozmawiać w klubie. Na podstawie takiej analizy i wniosków mogę podjąć decyzję.

Choć nie jest to żadną winą kibiców, często nie mają tak dużej wiedzy o wielu sytuacjach, jak my tu wewnątrz. To normalne, bo wszędzie tak jest. Nie rozmawiają z trenerem, fizjoterapeutą, lekarzem, dietetykiem, psychologiem. Często jest więc tak, że nasze decyzje nie są takie, jak oczekiwałby tego kibic. One nie biorą się jednak z tego, że boimy się jakiegoś działania, ale właśnie z większej wiedzy, nazwijmy to – „operacyjnej".

Na pewno jednak opinia i oczekiwania kibiców mają na nas olbrzymi wpływ. Jednym razem możemy odpowiedzieć na nie pozytywnie, drugim niestety nie.

***

W przeciągu tych kilku lat na pewno najtrudniejszym momentem była dla mnie jesień 2017 roku. Szczególnie niełatwa była decyzja o rozstaniu z Maćkiem Skorżą. Tym bardziej, że miałem dość obiegowej opinii, według której jesteśmy klubem zmieniającym szkoleniowców jak rękawiczki. Wiedziałem o tym, że to nieprawda, ale z drugiej strony ktoś brał statystyki i mówił, że w Pogoni trener średnio pracuje krócej niż rok. Nikt nie uwzględniał tego, że raz nie przedłużyliśmy ze szkoleniowcem kontraktu, a inny zrezygnował z powodów osobistych. Dla większości liczy się średnia ze statystyk.

Zwolniliśmy Maćka i zastanawialiśmy się, kto powinien poprowadzić zespół. Decyzja o pójściu „w zagranicę" była trudna. Wśród polskich trenerów w tamtej chwili nie widzieliśmy kandydata, który byłby w stanie wydźwignąć nas z tej bardzo złej sytuacji. Z drugiej strony miałem jednak głęboką wiarę w to, że nie spadniemy. Po meczu z Arką Gdynia, gdy już się utrzymaliśmy, do-

szło do mnie, w jak trudnym położeniu byliśmy. Bardzo mocno przeżywałem ten mecz, po ostatnim gwizdku nie mogłem wstać z krzesełka.

– Boże, przecież tyle rzeczy tu się mogło stać – pomyślałem wtedy. Na szczęście udało nam się wywalczyć to utrzymanie.

***

Gdy kilka lat temu zostałem prezesem Pogoni, zacząłem udzielać się w środowisku. Jeździłem na spotkania i zjazdy organizowane przez PZPN i Ekstraklasę SA. Na początku byłem anonimowy, później uczyłem się, następnie mój głos stawał się ważny, a dziś jestem jednym z najstarszych stażem. Wiem o tym, że jestem słuchany. Często swoje pomysły konsultuje ze mną prezes Boniek. Oczywiście nie jest tak, że pyta mnie o zgodę, bo byłby to absurd. Chce natomiast usłyszeć moje zdanie. Daje mi to olbrzymią satysfakcję, bo wiem, że nie jestem tylko takim facetem, który liczy, czy mu się w bilansie „lewa" zgadza z „prawą". Robię coś dla piłki i staram się wdrażać też swoje pomysły.

***

Nie mam już niestety ani 40, ani 50 lat i wieczny nie będę. Kiedyś będę musiał rozstać się z Pogonią. Na razie wyznaczam sobie jednak kolejne cele. Wiem, że zrobię wszystko, by dotrwać do momentu powstania nowego stadionu w Szczecinie. Chcę, by powstał jak najszybciej. To taki mój cel, by usiąść na krzesełku nowego obiektu i powiedzieć: „jest". Chcę mieć tę świadomość, że powstało coś, o co między innymi ja walczyłem. Choć wiem, że mnóstwo ludzi miało i ma na to pozytywny wpływ. To jest bezwzględnie mój cel i tutaj nie odpuszczę.

Chciałbym też, żebyśmy odnieśli jakiś piłkarski sukces. Nie chcę pompować balonika, bo to tylko i aż piłka. To traktuję jednak bardziej jako marzenie. Myślę, że im bardziej będziemy wszyscy napinać się na ten sportowy sukces, tym trudniej może być go osiągnąć. Może potrzebujemy w tej kwestii trochę luzu i powinniśmy traktować to tak, że jeśli zdarzy się, to będzie super? Być może dzisiaj ważniejsze jest to, żeby pokazać się w Europie? Są różne drogi do osiągnięcia sukcesu. Chcemy grać coraz lepiej i za tym mogą przyjść sukcesy.

***

Pogoń to przede wszystkim ludzie. Wiem o tym. Spotykam się z osobami z różnych środowisk, często bardzo zajętymi. I nawet kiedy nie przychodzą na stadion, bo nie mają na to czasu, to zawsze dopytują o klub, dobrze życzą Pogoni. Mają dużą wiedzę o klubie, a spotkania oglądają w telewizji. Również są wiernymi kibicami. Myślę, że wielu do przychodzenia na mecze zmotywuje nowy stadion. Dla wielu ludzi z Polski i zagranicy Szczecin stał się atrakcyjny dzięki niecodziennej, białej Filharmonii. Przy Twardowskiego powstanie wyróżniający się w skali całego kraju stadion, który poprzez swój kolor będzie bardzo silnie kontrastował z Filharmonią. Mam nadzieję, że będzie to stadion budzący lęk w przeciwnikach.

***

Marzę o tym, by dożyć takiej sytuacji, gdy fani w każdej sytuacji będą wspierać drużynę. Czy przegrywa, czy wygrywa, żeby mogła liczyć na doping. Bez gwizdów, ale z mocnym wsparciem dla swojego ukochanego klubu. To pragnienie bierze się stąd, że dużo rozmawiam z naszymi zawodnikami i przez parę lat mogę wyliczyć na palcach jednej ręki tych, dla których nie było ważne, gdzie są. Cała reszta utożsamia się z klubem, a wśród nich są też tacy, którzy w Pogoni są zakochani. Myślę, że to wsparcie się im należy. Oni chcą grać o sukcesy dla swoich kibiców.

***

Dla mnie Pogoń jest brakiem wolnych weekendów, po których, gdy skończy się sezon, nastaje… pustka. Nie wiem co ze sobą zrobić. Przychodzi sobota, niedziela i brakuje mi meczów. Nie Mistrzostw Świata, Ligi Mistrzów, ale właśnie spotkań tutaj, w Szczecinie, czy też wyjazdów z drużyną.

Zawsze dwa dni przed meczem nie mogę już spać, życie toczy się wokół Pogoni. Na szczęście mam żonę, która do tego wszystkiego podchodzi w taki sam sposób jak ja, a czasami jeszcze gorszy. Ona przeżywa to jeszcze mocniej. Dwie godziny przed wyjściem na mecz musi dobrać garderobę w ten sposób, żeby była dokładnie w kolorach Pogoni. Inaczej nie wyjdzie na stadion. Żyjemy tym klubem, Pogoń to moje życie.

ROZDZIAŁ 51

Na obozie nie dotknęli piłki... ani razu!

Andrzej Obst

Urodził się w 1951 roku w Szczecinie. Był dobrze zapowiadającym się juniorem Pogoni, nie zadebiutował jednak w dorosłym zespole. Przez lata pracował w klubie jako kierownik drużyn młodzieżowych (był członkiem sztabu juniorów, którzy w 1986 roku zdobyli Mistrzostwo Polski). Od 2008 roku jest też gospodarzem Sali Tradycji Pogoni Szczecin.

Jestem związany z Pogonią przez niemal całe życie. I swoje, i Dumy Pomorza, a już na pewno jej ekstraklasowe. Po raz pierwszy zetknąłem się z klubem w 1961 roku, gdy uczęszczałem jeszcze do podstawówki. Grałem wtedy wraz z bratem i kolegami na szkolnym boisku, nie wiedząc, że na trybunach siedział pan Florian Krygier. Obserwował nasze zmagania, a gdy skończyliśmy mecz, zawołał kilku z nas do siebie i zapytał, czy nie chcielibyśmy przyjść do Pogoni. W taki sposób ja i mój brat Włodzimierz, trafiliśmy do klubu z Twardowskiego.

Przypomina mi się anegdota z pewnego meczu towarzyskiego, w którym obaj wystąpiliśmy. Byliśmy w tamtym okresie niemal tacy sami, jeżeli chodzi o wygląd zewnętrzny, więc niezwykle trudno było nas rozróżnić. We wspomnianym spotkaniu trzykrotnie zagrałem piłkę ręką i sędzia ostrzegł mnie, że jeżeli powtórzy się to raz jeszcze, to usunie mnie z boiska. Pech chciał, że kilka minut później Włodek przyjął futbolówkę w niedozwolony sposób. Arbiter pokazał mu czerwoną kartkę, bo myślał, że to znów ja zagrałem ręką!

***

Wesołych momentów nie brakowało, ale przez większość czasu intensywnie pracowaliśmy, nie było czasu na żarty. Prowadził nas pan Krygier, który uparł się, że będę grał w ataku. Wielokrotnie starałem się mu powiedzieć, że wolę występować w bramce, ale on nie chciał nawet tego słuchać. To był człowiek, który nie lubił głosów sprzeciwu. Cieszył się przy tym ogromnym autorytetem, więc po sporadycznych próbach odpuściłem.

Po kilku latach w zespołach juniorskich awansowałem do drużyny rezerw. Na krótko zostałem też zawodnikiem drugoligowej Stali Szczecin, jednak gdy dowiedział się o tym pan Florian, natychmiast musiałem opuścić ten klub. Nie chciał, abym odchodził z Pogoni. Uważał to za zdradę. Pomimo licznych przeprosin, mój najwspanialszy wychowawca nie odzywał się do mnie przez dwa lata!

***

Gdy gra w I drużynie była już na wyciągnięcie ręki, podjąłem jedną z najtrudniejszych decyzji w moim życiu. Poszedłem do trenera Eugeniusza Ksola i powiedziałem mu, że rezygnuję z piłki. Przyczyną mojej decyzji była ciemna strona futbolu, o której wówczas się dowiedziałem. Zdałem sobie sprawę z tego, że mecze są kupowane i sprzedawane, że nie wszystko rozgrywa się na boisku. Nie chciałem uczestniczyć w takich procederach i odwiesiłem korki na kołek. Nie wiem, czy to był dobry wybór. W każdym razie pozostałem przy Pogoni, choć już nie w charakterze piłkarza.

Wraz z bratem zajęliśmy się prowadzeniem grup młodzieżowych. Włodek był trenerem, natomiast ja – kierownikiem. Powiedziałem mojemu bratu, żeby on zajął się sprawami boiskowymi, a mi zostawił wszelkie inne kwestie. To ja byłem odpowiedzialny za wychowywanie chłopców, organizowanie wyjazdów i innych rzeczy. Taki model współpracy funkcjonował niemal do końca życia Włodka.

Od początku naszym przełożonym był pan Florian, który wolał pracę z młodymi od prowadzenia seniorskiej kadry. Miał on świetne podejście do sportowców, potrafił doskonale wydobyć ich potencjał. Mało kto o tym wie, ale pan Florian zajmował się sportem także w obozie jenieckim, w którym

przebywał podczas wojny. Chciał w ten sposób zachować sprawność fizyczną współtowarzyszy na wypadek, gdyby pojawiła się sposobność do ucieczki.

***

Różnie to wcześniej wyglądało z podejściem do młodych w Pogoni. Nie wszyscy prowadzili się przecież tak, jak chcielibyśmy. Najłatwiej jest wyrzucić niesfornego zawodnika, ale przecież nie o to chodzi. Co później? Być może chłopak potrzebował wsparcia, którego my mu nie udzieliliśmy? Byliśmy zdania, że musimy nie tylko szkolić naszych podopiecznych, ale również – a może przede wszystkim – ich wychowywać. Czasy były naprawdę trudne, bo w Szczecinie grasowały różne bandy chuligańskie.

Pewnego razu jeden z moich kolegów został napadnięty przez takich zbójów. Sytuacja miała miejsce jeszcze w czasach, gdy ja byłem juniorem Pogoni. Partner z drużyny przyszedł na trening pobity. Trener Andrzej Ryziewicz zapytał, co się stało. Poszkodowany wszystko mu opowiedział, a szkoleniowiec wykrzyczał: „Przyprowadzić mi tutaj jednego z nich!" Zaczailiśmy się więc i schwytaliśmy jednego z tych chuliganów. Zaprowadziliśmy go do hali, w której trenowaliśmy i postawiliśmy przed trenerem. Następnie wszyscy ustawiliśmy się w taki sposób, że utworzyliśmy okrąg. Wtedy pan Ryziewicz zdjął marynarkę i powiedział do tego chłopaka, żeby się szykował, bo teraz czeka go pojedynek z nim. Ten sprawiał wrażenie przestraszonego. Trener podszedł więc do niego.

– Słuchaj, synek – zaczął szkoleniowiec. – Będziemy tu trenować przez całą zimę. Jeżeli przez ten czas moim chłopakom stanie się cokolwiek złego, to będziesz pierwszym, który za to odpowie.

Rozmowa poskutkowała. Od tego czasu nie stało nam się nic złego. Co więcej, członkowie bandy odprowadzali nas na przystanek i do hali.

***

W 1986 roku zostaliśmy Mistrzami Polski juniorów. Sezon nie przebiegał jednak bez zakłóceń. W ostatnim meczu fazy grupowej mierzyliśmy się na wyjeździe z Lechem Poznań. Autokar miał przybyć po nas o godzinie 5. Minęło 10 minut – autokaru brak. 20 – cały czas to samo. Po 45 minutach chłopcy

zaczęli denerwować się i płakać z bezradności.

– Pozwólcie mi spokojnie pracować! – wkurzyłem się. – A wtedy na pewno dotrzemy na czas.

Wsiadłem w samochód i pojechałem do szwagra. Skontaktowaliśmy się ze znajomymi i zorganizowaliśmy cztery samochody. Wiem, że dziś nie brzmi to sensacyjnie, ale 30 lat temu nie wyglądało to tak, że w każdej rodzinie były przynajmniej po trzy auta. Wszyscy zawodnicy zapakowali się, ale zabrakło miejsca dla trenera. Włodek powiedział mi, żebym to ja pojechał do Poznania.

– Niedawno egzamin na prawo jazdy zdał Piotrek Czubko – rzuciłem do Włodka. Piotrek był naszym byłym podopiecznym. – Wiem, że ma auto, na pewno pomoże ci dostać się do Poznania.

Mój brat starał się skontaktować się z Piotrkiem, a my spóźnieni wyruszyliśmy na mecz. Dotarliśmy na czas. Poszedłem do sędziego, żeby wypełnić protokół. Postanowiłem zagrać na czas. Specjalnie wypełniłem dokument w niewłaściwy sposób, aby ukraść kilka minut. Później to samo. Włodka nadal jednak nie było. Poszedłem więc do chłopców, aby porozmawiać z nimi przed spotkaniem. Zauważyłem, że wszyscy zawodnicy patrzą w jeden punkt. Spojrzałem w tym samym kierunku i zobaczyłem... mojego brata. Zdążył! Wygraliśmy mecz i znaleźliśmy się w fazie pucharowej.

***

Na pierwszy z dwóch meczów finałowych też dotarliśmy nie bez przeszkód. Gdy jechaliśmy autokarem do Bydgoszczy, nagle mój brat wstał z fotela jak rażony piorunem.

– Co się stało?! – zauważyłem, że sytuacja jest poważna.

– Zapomniałem zabrać ze sobą dokumenty chłopaków – powiedział Włodek już blady na twarzy.

Poprosiłem go, aby nie dał po sobie niczego poznać, bo to źle wpłynie na chłopców. Zapewniłem go też, że wymyślę sposób na to, by dokumenty znalazły się na czas na stadionie. Nie było to łatwe. Nie mieliśmy przecież w tamtych latach telefonów do dyspozycji. Kazałem więc kierowcy zatrzymać się przy pierwszym napotkanym barze. Na szczęście szybko znaleźliśmy jakiś lokal, gdzie zamówiłem herbatę dla wszystkich chłopców. Sam natomiast

pobiegłem do telefonu. Zadzwoniłem do szwagra, kazałem mu pojechać na stadion i wyłamać zamek do mojej szafki, w której były dokumenty Włodka. Takie same polecenia wydałem jednemu z moich kumpli. Po zakończeniu rozmowy pojechaliśmy dalej. Po kilku kilometrach znów musiałem jednak zadzwonić do chłopaków, żeby wydać kolejne instrukcje. Zauważyłem, że pan Florek, który jechał wtedy z nami, zaczynał się denerwować. Nie rozumiał, po co robię te przerwy. Udało mi się jednak nakłonić go na jeszcze jedną pauzę. Zadzwoniłem wtedy do chłopaków, którzy spotkali się na stadionie i zapytałem, czy ustalili, który z nich dowiezie nam te dokumenty. Mój kumpel, Mietek, zadeklarował się, że to zrobi. Wsiadł w pociąg i wyruszył do Bydgoszczy.

W tym czasie zameldowaliśmy się w hotelu. Gdy chłopcy poszli do swoich pokojów, ja sprawdzałem, czy zostawili porządek w autokarze. Natrafiłem w środku na kurtkę jednego z zawodników. Włożyłem rękę do kieszeni i znalazłem tam paczkę papierosów. Zezłościłem się i cisnąłem kurtką o podłogę. Okazało się, że kilka minut później przyszedł po nią właściciel – nasz podstawowy bramkarz Artur Dzierżęcki. O całym zajściu opowiedział mu kierowca. Artur wrócił do hotelu i poprosił mnie o rozmowę.

– Kierowniku, wiem już, że mnie pan przyłapał – zaczął skruszony. – Mogę zrobić coś, żeby trener nie dowiedział się o tej całej sytuacji? – dopytywał.

– Dobrze, że przyszedłeś z tym do mnie – powiedziałem. – To nasza ostatnia rozmowa na ten temat, zapomnij o całej sytuacji. Jeśli wiesz, co masz robić, to trener na pewno o tym się nie dowie.

Po dwóch godzinach wrócił jednak do mnie i zaczął dyskusję na nowo. Powiedziałem mu stanowczym tonem, że ma już nic więcej nie mówić, bo inaczej będę musiał pójść do trenera i o całej sytuacji mu opowiedzieć. Chciałem, żeby nie myślał o tej sprawie, bo tylko w ten sposób mógł oczyścić umysł i skupić się na grze w piłkę. Gdyby cały czas rozpamiętywał tę wpadkę, byłby rozproszony na boisku.

Najciekawsze w tym wszystkim jest to, że po upływie jakichś 25 lat byłem z Włodkiem przy Szkole Podstawowej nr 51, do której chodziliśmy na basen. Nagle zobaczyłem tam Artura, który nie grał już w piłkę.

– Ooo, palacz idzie! – wymsknęło mi się, a brat zapytał mnie, o co chodzi.

Zaczerwieniłem się i powiedziałem, że to nic ważnego. Włodek zawołał jednak Artura i zapytał, o co chodzi z tym „palaczem".

– Niech trener nie udaje, że nic nie wie – powiedział z szerokim uśmiechem na twarzy.

Sęk w tym, że Włodek naprawdę nie wiedział. Zawsze byłem lojalny wobec chłopców i jeżeli obiecałem, że czegoś nie powiem, to tego nie robiłem. Pamiętam, że Artur był pod wielkim wrażeniem, bo był pewny, że poinformowałem o wszystkim mojego brata.

A wracając do dokumentów – Mietek przywiózł je do Bydgoszczy na czas i mogliśmy normalnie rozegrać mecz.

***

Przed rewanżowym meczem finałowym postanowiliśmy wraz z Włodkiem, że przydałoby się zorganizować chłopcom tygodniowy obóz. Poszedłem w tej sprawie do zarządu, który jednak nie chciał przychylić się do mojej prośby.

– Jeszcze nic nie zdobyliście, a już macie takie wymagania – usłyszałem tylko i mogłem opuścić gabinet.

Wyszedłem więc i czekałem na rozwój wypadków. Działacze pomyśleli, że mogą wyrazić zgodę, bo i tak nie uda nam się zorganizować żadnego wyjazdu w tak krótkim czasie. Zawołali mnie więc do siebie i wydali pozwolenie. Podziękowałem i zabrałem się do pracy. Uruchomiłem znajomości, dzięki czemu udało mi się dograć ośrodek w Złocieńcu. Problemem było to, że byli w nim zakwaterowani inni ludzie. W niewyjaśnionych do dziś okolicznościach udało się ich wymeldować i zwolnić pokoje dla naszych chłopców. Podczas tygodniowego pobytu zawodnicy… nie dotknęli piłki ani razu. Chcieliśmy, aby całkowicie się zrelaksowali i wyczyścili głowy przed najważniejszym meczem. Pływali więc kajakami, biegali. Pod koniec obozu poznali jakieś dziewczyny i biegali już do nich. Nie było jednak żadnych problemów wychowawczych. Chłopcy byli bardzo świadomi i wiedzieli, na co mogą sobie pozwolić.

Gdy nadszedł czas finału, wszyscy byliśmy bardzo podekscytowani. Na stadion przybyło aż siedem tysięcy ludzi! To była niesamowita frekwencja, biorąc pod uwagę fakt, że były to rozgrywki juniorskie. Nikt jednak nie żałował, że przyszedł na ten mecz. Wygraliśmy go i zostaliśmy mistrzami Polski.

***

Towarzyszyłem panu Florianowi od 1961 roku do ostatnich dni jego życia. W latach 90. legenda naszego klubu zaczęła borykać się z różnymi problemami zdrowotnymi. Odwiedzałem pana Floriana dosyć często i za każdym razem widziałem, że nie radził sobie najlepiej z codziennymi sprawami. A to przypalony czajnik, a to zbite lustro. Zapadła decyzja, aby przenieść go do Domu Kombatanta i Pioniera Ziemi Szczecińskiej na osiedlu Zawadzkiego. W tej materii bardzo dużo pomógł pan Piotr Baranowski, były spiker Pogoni.

Pod koniec swojego życia pan Florian upierał się, aby pochować go w Posługowie, czyli jego rodzinnych stronach. Staraliśmy się przekonać go do tego, aby spoczął w Szczecinie, bo tutaj jest legendą i na pewno nie zostanie zapomniany. Początkowo był nieugięty. Około dwóch tygodni przed śmiercią zadzwonił jednak do mnie i prosił, abym przybył wraz ze swoją mamą do Domu Kombatanta. Spełniliśmy jego życzenie. Gdy dotarliśmy na miejsce, zastaliśmy tam jego córkę. Wtedy pan Florian poinformował nas, że zdecydował się na pochówek w Szczecinie. Poczuliśmy ogromną ulgę, ponieważ wiedzieliśmy, że dzięki temu jego grób będzie regularnie odwiedzany przez wdzięcznych fanów Pogoni.

ROZDZIAŁ 52

Jak piłkarz fotoreporterowi żebra połamał

Ryszard Pakieser
Urodził się w 1959 roku w Szczecinie. Od blisko 40 lat fotoreporter „Kuriera Szczecińskiego". To właśnie zza obiektywu obsługuje mecze Pogoni Szczecin, które może liczyć w setkach. Fotografuje także spotkania juniorskie Dumy Pomorza.

Moja obecność na stadionie wynika ze względów zawodowych. Jestem fotoreporterem i robienie zdjęć piłkarzom jest moją pracą. Pamiętam jednak czasy, w których na obiekt przy Twardowskiego przychodziłem jako zwykły kibic. Do dzisiaj wspominam swoją pierwszą wizytę na stadionie, o której chciałbym co nieco opowiedzieć. Miałem wtedy 7 lat, Pogoń podejmowała Górnika Zabrze. To spotkanie generowało niesamowite zainteresowanie, już kilka godzin przed pierwszym gwizdkiem nie było wolnych miejsc na trybunach. Organizatorzy postanowili zebrać wszystkie dzieci w jedną grupę i zaprowadzić je na trawę przy łuku. Jest to dość duża przestrzeń, więc wszyscy pomieściliśmy się i z zadowoleniem na twarzach oglądaliśmy mecz z poziomu murawy. Uchroniło nas to prawdopodobnie przed zadeptaniem. Gdybyśmy pojawili się wśród dorosłych i starali się usiąść na ławach, a wtedy nie było jeszcze krzesełek, mogłoby się to dla nas źle skończyć.

Pamiętam, że wielkie wrażenie wywarła na mnie radość tłumu po strzelonej bramce. To było coś niesamowitego: nagle kilkadziesiąt tysięcy gardeł krzyczało „gol"! Równie głośno słychać było gromkie „sędzia kalosz, sędzia kalosz". Jako dziecko nie rozumiałem jeszcze, co to znaczy. Gdy wróciliśmy z tatą do domu, podszedłem do niego i zapytałem, dlaczego kibice w ten sposób tytułowali arbitra.

***

Przed 1990 rokiem zostałem zatrudniony w redakcji „Kuriera Szczecińskiego". Nie umiem sobie przypomnieć domowego meczu Pogoni, który opuściłem w przeciągu tych niespełna 30 lat. Może jakiś pojedynczy by się znalazł, ale mimo wszystko mogę się nazwać stałym bywalcem stadionu przy Twardowskiego. Na początku mojej pracy jeździłem jeszcze na mecze wyjazdowe, ale obecnie tego nie praktykuję.

Mam jednak w pamięci pewne wyjątkowe spotkanie podczas delegacji. Pogoń grała z Lechem, a w tym czasie zmarł papież Jan Paweł II[22]. Kibice żądali przerwania meczu, choć sędziowie chcieli go dokończyć. Ostatecznie jednak ulegli fanom i spotkanie zakończyło się przed czasem. Szczególnie mocno utkwił mi w pamięci moment, w którym piłkarze dwóch zwaśnionych klubów – Lecha i Pogoni – stanęli ramię w ramię i wspólnie opłakiwali śmierć Ojca Świętego. Udało mi się wtedy wejść do koła, które utworzyli i zrobić kilka wzruszających zdjęć.

***

Byłem kiedyś świadkiem miłej sytuacji, gdy były spiker Pogoni, Cezary Gurjew, świętował swój ślub na stadionie. Pół godziny przed jednym z meczów ligowych wszedł wraz z panną młodą na stadion. Wybranka Cezarego stanęła w bramce, a on strzelał jej gole. Spodobało się to publiczności, która zaczęła wiwatować na cześć nowożeńców, a także składać gratulacje. Ja natomiast powędrowałem za bramkę i fotografowałem całą sytuację.

Przypomina mi się też wydarzenie znacznie mniej śmieszne. Kilkanaście lat temu, gdy fotografowie siedzieli jeszcze bardzo blisko murawy, Maciej Stolarczyk zrobił ostry wślizg i wpadł korkami prosto w klatkę piersiową mojego kolegi, który siedział obok. Skutki tego wejścia były dość poważne: kolega miał połamane żebra.

Jedna z historii kojarzy mi się z Ferdinandem Chi Fonem, który grał kiedyś w Pogoni. Zawsze po strzelonej bramce robił on fikołka. Za pierwszym razem nie byłem przygotowany i nie udało mi się tego uchwycić na zdjęciu. Jednak po drugim, trzecim i kolejnym golu wiedziałem już, co się święci. Celowałem

22 Papież zmarł 2 kwietnia. 1 kwietnia, podczas meczu, jeden z kibiców otrzymał i rozprzestrzenił nieprawdziwą informację o śmierci Ojca Świętego. Sędzia zdecydował się przerwać spotkanie.

więc obiektyw w jego stronę i robiłem serię zdjęć. Po meczach podchodzili do mnie inni fotografowie i pytali, skąd mam takie fajne ujęcia. Ja się śmiałem i odpowiadałem, że to kwestia obserwacji.

***

Robię również zdjęcia podczas meczów trampkarzy i juniorów. Muszę przyznać, że bardzo lubię to zajęcie. Po pierwsze na mniejszym boisku jest się zdecydowanie bliżej akcji, a po drugie spotkania młodych zawodników charakteryzują się ogromną zaciętością. Każdy z chłopców chce się wykazać, więc nie odpuszcza żadnej piłki. Obecność fotoreporterów nie jest dla nich tak powszednia, więc często wkładają jeszcze więcej serca w grę, gdy widzą wycelowany w nich obiektyw. Często lepsze zdjęcia wychodzą mi podczas rozgrywek juniorskich, niż w meczach ekstraklasowych. Dorośli piłkarze nie zawsze są tak dynamiczni, zdarza im się nie dobiegać do piłki.

Trenerzy z kolei zazwyczaj są bardzo ekspresywni przy linii bocznej, dzięki czemu na zdjęciach można złapać ich emocje. Pamiętam, że najaktywniejszym szkoleniowcem był Bogusław Baniak. Wielokrotnie robił się cały czerwony. Można powiedzieć, że fotoreporterzy polowali na niego, bo takie ujęcia dobrze się sprzedawały.

***

W dziedzinie aparatów fotograficznych nastąpił w ostatnich latach olbrzymi rozwój. Na początku mojej przygody sprzęt nie pozwalał na szybki podgląd wykonanego zdjęcia. Wielokrotnie zdarzało się tak, że przyjeżdżałem do redakcji i okazywało się, że fotografie są prześwietlone albo ucięte. Towarzyszyła temu ogromna adrenalina, której teraz już nie ma. Era aparatów cyfrowych pozwala robić zdjęcia bardzo wysokiej jakości. Poza tym w każdej chwili można sprawdzić, czy fotografia wyszła tak, jak się tego oczekiwało. Przeszkodą dla nowoczesnego sprzętu nie jest też sztuczne oświetlenie, które kiedyś sprawiało nam ogromne kłopoty. Istotną sprawą jest też przekazanie zdjęć. Obecnie nie musimy jeździć do redakcji, wyciągać kliszy i wykonywać szeregu innych zadań. Momentalnie transportujemy pliki na komputer, a stamtąd wysyłamy na serwer. To pozwala zaoszczędzić bardzo dużo czasu,

który jest nam potrzebny, aby dokonać selekcji fotografii.

Do gazety trafia dosłownie kilka zdjęć, a ja podczas jednego meczu robię ich średnio około 500-600. Muszę mieć jakiś zapas, bo przecież nie każde ujęcie nadaje się do czegokolwiek.

Najgorsze fotografie wychodzą podczas opadów śniegu, którym nie towarzyszy wiatr. Wówczas płatki opadają pionowo w dół i przysłaniają widok. Gdy śnieg jest noszony przez wiatr, wówczas opada pod kątem i nie jest tak szkodliwy dla zdjęcia.

ROZDZIAŁ 53

Każdy naród ma w swojej historii okres parszywych rządów

Zbigniew Piasecki
2 oficjalne mecze w Pogoni.
Urodził się w 1954 roku w Szczecinie. Był dobrze zapowiadającym się juniorem, ale jego karierę przerwały problemy zdrowotne. Przez dziesięciolecia pracował w klubie jako wychowawca i trener grup młodzieżowych. Od kilku lat działa też jako prezydent Stowarzyszenia Oldbojów Pogoni im. Floriana Krygiera.

Jestem z klubem ponad pół wieku. Pogoń odegrała dla mnie bardzo ważną rolę, jeśli chodzi o wychowanie, ukształtowanie mnie jako człowieka. Trafiłem tu pod skrzydła pana Floriana Krygiera jako 10-latek. Na pewno dużo skorzystałem na tym, że właśnie tak potoczyło się moje życie i muszę powiedzieć, że dziś – prowadząc działalność społeczną na rzecz klubu – w pewnym sensie spłacam dług wdzięczności.

***

Nie zawsze życie toczy się tak, jakbyśmy chcieli. Przez 9 lat byłem wyróżniającym się zawodnikiem w drużynach młodzieżowych. Do pierwszego zespołu trafiłem jako 19-latek. Zadebiutowałem w ekstraklasie i… chwilę później okazało się, że będzie to mój ostatni mecz w zawodowym futbolu. Po debiucie poszedłem „przedłużyć" kartę zdrowia, a wiązało się to z badanami. Klubowy chirurg, doktor Danyluk, wykrył u mnie nadciśnienie i skierował na dodatkowe specjalistyczne badania w szpitalu przy ul. Arkońskiej. Dokładnie

sprawdzono moje serce i między innymi nerki. A w zasadzie jedną, bo właśnie w wyniku badań okazało się, że drugiej mój organizm nie wykształcił i to było powodem nadciśnienia. W tamtych czasach to był sportowy wyrok – zakazano mi uprawiać futbol.

To był dla mnie szok. Wcześniej przechodziłem kolejne szczeble szkolenia i liczyłem się z tym, że będę zawodowo grał w piłkę. Debiutowałem za trenera Edmunda Zientary i było to dla mnie ogromne przeżycie. Chwilę później przyszło jeszcze większe, tylko tym razem to trudne. Klub jednak szybko wyciągnął do mnie rękę i mogłem rozpocząć pracę z młodzieżą, choć miałem jedynie 20 lat. Przez lata pracowałem z trampkarzami i juniorami, a przy tym uczyłem się. Mogłem też skończyć studia i to na pewno trochę zrekompensowało mi utracone marzenia o byciu piłkarzem.

***

Gdy byłem już trenerem, często zastanawialiśmy się, dlaczego dany zawodnik nie potrafił ostatecznie przebić się do dorosłej drużyny i zostać piłkarzem. Mieliśmy wiele takich przypadków, gdzie młodzi zawodnicy świetnie rokowali i byli perspektywiczni, a jednak przepadali.

Przypomina mi się jeden konkretny przykład chłopca, który trenował w moim zespole. Grał u mnie w trampkarzach i miał niesamowite predyspozycje. Strzelał mnóstwo bramek i zapowiadał się świetnie.

Gdy chodził jeszcze do 6. klasy szkoły podstawowej miała miejsce nieprzyjemna sytuacja. Brakowało wtedy wielu podstawowych rzeczy do życia i kilku starszych kolegów namówiło go do współudziału w kradzieży farby z wagonów stojących na stacji Szczecin Turzyn. Został złapany na gorącym uczynku. Wiadomo, że w kraju niedemokratycznym działania władzy są bardzo szybkie i bezwzględne, więc umieszczono go w specjalnym ośrodku w Podgrodziu.

Wierzyłem w jego talent i przy pomocy klubu udało mi się go stamtąd zabrać. Musiałem zrobić coś, by spróbować mu pomóc. Zostałem jego rodziną zastępczą i zamieszkał u mnie na dwa lata. Następnie został przeniesiony do internatu Zespołu Szkół Mechanicznych na Hożej, gdzie wówczas pracowałem. Ostatecznie nie przebił się, pograł trochę w III lidze. Został jednak po-

rządnym obywatelem i myślę, że jako Pogoń Szczecin mu w tym pomogliśmy. Uratował się z trudnego środowiska.

***

Każdy, kto spotkał się z Florianem Krygierem, ma swój obraz fragmentu jego osobowości. Dotyczy to głównie byłych piłkarzy, ale nie tylko tych, którzy grali w pierwszym zespole, ale również na przykład takich, którzy trafili pod jego skrzydła jako trampkarze. To postać bardzo wartościowa, ale też trochę zagadkowa. Wciąż nie wiemy o nim wielu rzeczy, chociażby z okresu wojennego. Chciałbym te kwestie zgłębić i gdzieś utrwalić. Miałem szczęście, że spotkałem takiego trenera-nauczyciela. Spędziłem z nim około 50 lat i on na pewno ukształtował mnie jako człowieka. Zawsze podkreślam to, że dla niego piłka była pretekstem do wychowania człowieka. Wartości, które przekazywał, miały charakter uniwersalny. Według mnie on był „człowiekiem Odrodzenia".

Osobowość to jedno, ale stronę sportową też trzeba docenić. Po tym, jak awansował z klubem do najwyższej klasy rozgrywkowej, zajął się pracą z młodzieżą. Był tym człowiekiem, który zorganizował szkolenie od trampkarza aż po seniora. Jego stosunek do Pogoni był wyjątkowy. Ten klub był dla niego tak ważny, że spędzał w nim całe dnie. Dosłownie! Przypominam sobie, że były takie dni, gdzie najpierw prowadził zajęcia z trampkarzami, następnie siedział w świetlicy, gdzie spotykał się i rozmawiał z zawodnikami, a później szedł malować słupki bramek. Chciał zadbać o możliwie najwięcej spraw.

***

Z panem Florianem szczególnie kojarzy mi się jedna sytuacja. Graliśmy w trampkarzach z Pionierem Szczecin. Byliśmy dziećmi i przed meczem niecierpliwie czekaliśmy na to, by wyjść na boisko i zacząć grać. Najpierw musiała odbyć się jednak przedmeczowa pogadanka trenera. W jej trakcie dowiedzieliśmy się od pana Floriana, że klub obchodzi 20-lecie. W tej drużynie już wtedy byli zawodnicy, których nazwiska mogą coś kibicom mówić: przede wszystkim Leszek Wolski, ale i Mirek Masicz, który również zagrał w kilku meczach seniorskiej drużyny. Postanowiliśmy, że spróbujemy zrobić trenerowi prezent i wygrać 20:0! Na boisku wyglądało to zabawnie, bo po każdej strze-

lonej bramce sami zabieraliśmy piłkę i pędem gnaliśmy z nią na środek boiska, by jak najszybciej wznowić grę. Udało nam się wygrać dokładnie dwudziestoma golami. Nie pamiętam już, czy ostatniego strzeliliśmy na sam koniec, czy była jeszcze chwila w końcówce, gdy przestaliśmy napierać na przeciwnika, ale faktem jest, że zrobiliśmy trenerowi niesamowity prezent okolicznościowy.

***

Nawet w rozmowach z nami pan Florian często odwoływał się do dzieł starożytnych. Sam pisał pracę naukową o Platonie. Ważne, że to wszystko szło w parze. Jestem nauczycielem, więc doskonale wiem, że „słowa uczą, a przykłady pociągają". Nie wszystkiego jesteśmy w stanie słuchać z uwagą, a tym bardziej, gdy jesteśmy młodzi.

Jego ważną cechą było to, że nigdy nie krzyczał. W sumie to z jego ostrzejszą reakcją spotkałem się chyba dopiero wówczas, gdy też byłem już trenerem i miał do mnie pretensje o coś związanego ze sprawami organizacyjnymi. Natomiast złości nigdy nie wyładowywał na zawodnikach.

Wszystkich uczył właściwego podejścia do klubu. Ta historia starożytna przenikała się chociażby w tym, jak przeformatował na potrzeby Pogoni słynny cytat Seneki. Mówił, że „Klub i Ojczyznę kochamy nie dlatego, że wielkie i bogate, ale dlatego, że nasze".

Gdy kończył się sezon, zawsze wszyscy przychodzili na podsumowanie, czyli na pączki pana Floriana. Na takie spotkanie musieliśmy się też stawić ze świadectwami szkolnymi. Wówczas odbywały się rozmowy, ale również wspólna analiza frekwencji na treningach na podstawie dziennika pana Floriana. Wpajał nam, żebyśmy byli solidni, porządni i punktualni. Wymagał od nas wiedzy na temat historii klubu. Oczywiście nie mam tu na myśli szczegółów, ale przynajmniej tę podstawową wiedzę każdy musiał mieć. Miał też zrozumiałe podejście do niedoskonałości człowieka. Robił bardzo wiele, by mocno przywiązywać dzieci i młodzież do klubu.

***

Wiadomo, że wychowywaliśmy się w czasach, gdy stosunek Polaków do Niemców był mocno antagonistyczny. Echa wojny nie pozwalały nam o tym zapomnieć. Tym bardziej w Szczecinie, dokąd po wojnie trafiała ludność na-

pływowa z różnych stron. Nas jednak pan Florian uczył, że nie ma narodów lepszych i gorszych, a jedynie w ich obrębach funkcjonują ludzie, którzy mają złe intencje. On sam był przecież w oflagu[23] 6 lat. Wojna jednak się skończyła, a on niedługo później jeździł z drużynami wszystkich kategorii wiekowych za zachodnią granicę, by rywalizować z niemieckimi zespołami: Hansą Rostock, Unionem Berlin, Dynamem Berlin. Dzięki takiej corocznej rywalizacji można było dobrze oceniać, kto zrobił postępy, a kto się zaniedbał.

– Panie trenerze, pan naprawdę nie uważa, że Niemcy są źli? – zapytałem go kiedyś.

– Każdy naród ma swojej historii okres parszywych rządów – odpowiedział krótko i pouczająco. Z perspektywy czasu myślę, że on już wtedy uczył nas Europy.

***

Te wyjazdy miały też jeszcze jeden bardzo ważny aspekt. Łączyły seniorów z drużynami młodzieżowymi. Przypominam sobie wyjazd do Rostocku, kiedy nasza drużyna trampkarzy podróżowała razem z pierwszoligową wtedy Pogonią. Wcześniej jedynie podawaliśmy zawodnikom piłki podczas meczów, a teraz jechaliśmy razem jednym jelczem. Było to dla nas wielkie przeżycie. Najfajniejsze było to, że mieliśmy do nich dostęp, można było iść i porozmawiać. Wiadomo, że czasami wpuścili nas w jakieś maliny, podchodzili do nas na wesoło. A później wielkim wydarzeniem było dla nas to, że oni oglądali z trybun nasz mecz!

***

Niedługo przed śmiercią pan Florian mieszkał już w „Domu Pioniera" na os. Zawadzkiego. Wówczas odwiedzałem go dość regularnie i miałem okazję rozmawiać z nim na przeróżne tematy. Starałem się zadawać jak najwięcej pytań. Dla mnie, jako nauczyciela historii, była to kopalnia wiedzy, historia „na żywo". Jeśli chodzi o sprawy pozapiłkarskie, to bardzo interesowały go wszystkie kwestie związane z polityką. Zarówno tą w wydaniu międzynarodowym i krajowym, jak i lokalnym. Śledził wszystkie doniesienia, miał swoje

23 Niemiecki obóz jeniecki.

poglądy i lubił o tym dyskutować. Gdy tylko go odwiedzałem, zawsze miał już przeczytane najświeższe „Kurier" i „Głos". Opiniował, czy miasto zrobiło coś dobrze albo źle, sugerował ciekawe rozwiązania. Na pewno nie wypowiadał się jednak w sposób ostry, bo nawet w rozmowach z nim zobaczyć można było postawę, która towarzyszyła mu przez całe życie. Był człowiekiem pracy organicznej. Moim zdaniem, w dużej mierzy właśnie dzięki tej pracy, Pogoń tak szybko stała się marką i jedną z najważniejszych wizytówek Szczecina.

***

Pogoń odegrała bardzo ważną rolę wśród wielu młodych szczecinian. Obojętnie na jakim poziomie grali i jak długo. Każdy kto tu był, wychodził z wiedzą i postawą inną, niż miał, kiedy przychodził. Każdy nauczył się czegoś, co dziś ułatwia mu życie codzienne. Klub miał i ma ogromny wpływ na wychowanie młodzieży w tym mieście. Jest wielu naszych wychowanków, którzy nigdy nie zagrali w lidze, ale mają Pogoń w sercu, realizują się w innych zawodach i są po prostu porządnymi ludźmi. Oni wszyscy współtworzą wyjątkową markę. Myślę, że warto pomyśleć nad tym, w jaki sposób zintegrować te osoby. Po to, żeby teraz też mieli szansę być bliżej Pogoni, żeby znaleźli swoje miejsce na stadionie. Jestem przekonany, że powstanie nowego stadionu zdecydowanie ułatwi nam doprowadzenie do takiego stanu.

ROZDZIAŁ 54

Mów mi cześć, nie mów mi dzień dobry

Przemysław Pietruszka
126 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1984 roku w Gryfinie. W klubie występował w latach 2009-13, choć pierwsze oficjalne mecze w Dumie Pomorza (bez kontraktu, w rozgrywkach Pucharu Ekstraklasy jako zawodnik testowany) rozegrał już w 2006 roku. Finalista Pucharu Polski (2010). Z Pogonią wywalczył awans do ekstraklasy (2012). Wciąż kontynuuje karierę piłkarską.

Jako młody chłopak mieszkałem koło stadionu Victorii Przecław. To były czasy, gdy komputery nie były jeszcze popularne, więc wracało się ze szkoły do domu tylko po to, by zostawić plecak, wziąć korki i pobiec na boisko. Jako trampkarz trenowałem w ośmioosobowej grupie. To były moje początki z piłką.

W tym samym czasie chodziłem na mecze Pogoni jako kibic. Starsi koledzy zabierali mnie na stadion i wspólnie dopingowaliśmy. Przez następne lata również jeździłem na mecze Portowców. Nie ma co ukrywać, byłem wpatrzony w Pogoń od dziecka.

***

Zawodowo pierwszy raz zetknąłem się z Dumą Pomorza za czasów Antoniego Ptaka. Zostałem zaproszony do sprawdzenia się w meczach Pucharu Ekstraklasy. Te rozgrywki funkcjonowały tylko przez rok i każdy z klubów mógł zgłosić tam kilku zawodników bez kontraktu, co było swego rodzaju nowością. A ja byłem wtedy przestraszonym juniorem z Przecławia!

Na rozmowę z prezesem Victorii przyjechał wtedy trener Sławomir Rafałowicz. Gdy dowiedziałem się o propozycji, przez dwie następne noce w ogóle nie spałem. Chłopaka, który jest kibicem Pogoni od małego, zaproszono na testy. To było coś!

Przed pierwszym występem nogi się trzęsły, ale wyszedłem na boisko i dałem radę. Trenerem Portowców był wówczas Czech Bohumil Panik, z którym nie miałem za bardzo możliwości rozmowy.

Po zakończeniu moich występów w Pucharze Ekstraklasy prezes Victorii usłyszał, że klub wstrzyma się z moim transferem, ponieważ mają inną koncepcję. To był czas, kiedy hurtowo sprowadzano do Pogoni zawodników zagranicznych. Trener Rafałowicz wspierał mnie w tym czasie dobrym słowem i zachęcał do dalszej pracy.

– Skoro zostałeś już zauważony i pokazałeś się, to być może kiedyś uda ci się jeszcze dostać do Pogoni – mówił.

***

Długo żyłem tym, że kiedyś w końcu zagram w Dumie Pomorza i w tym samym czasie pokonywałem z Flotą Świnoujście kolejne szczeble, aż na zaplecze ekstraklasy. Tam zaczęły dziać się nieciekawe sytuacje ze sponsorami. Po wypełnieniu kontraktu Flota chciała go ze mną przedłużyć, choć kilka miesięcy wcześniej usłyszałem od trenera Petra Nemeca, że mogę sobie szukać nowego klubu. Dogadałem się więc z Pogonią.

Prawda była taka, że dostałem jeden telefon ze Szczecina i już wiedziałem, gdzie chcę występować w kolejnym sezonie. Rodzice i starsza siostra zawsze we mnie wierzyli, ale kiedy powiedziałem im o propozycji z Dumy Pomorza, to spojrzeli na mnie i odwrócili się - tak jakbym żartował. Początkowo nie chcieli mi uwierzyć.

Dla chłopaka z okolicznej wioski możliwość gry dla tego klubu to był szczyt marzeń. Nie boję się mówić o tym w ten sposób.

***

Kiedy wchodziłem do drużyny, Olgierd Moskalewicz był dla mnie jak drugi ojciec. Nigdy nie słyszałem, żeby krzyczał lub podnosił głos na któregoś z młodych chłopaków. Kiedy wchodziłem do szatni, to często był między

nami taki dialog.

– Dzień dobry – witałem się z nim.

– Ile razy mam ci mówić… Jestem „Olo", mów mi cześć, nie mów dzień dobry – zwracał uwagę.

Bardzo długo męczyłem się z tym, żeby przełamać się i mówić do niego „cześć". Cały czas miałem w głowie, jak przed laty kibicowałem mu z trybun, kiedy on strzelał bramki. To był mój prawdziwy idol.

Przed meczami przyglądałem mu się, jakie ma przyzwyczajenia, jakie buty zakłada i jak się zachowuje. Starałem się na nim wzorować, zwłaszcza że zawsze można było liczyć na jego pomoc.

Kiedy coś nie wyszło, to potrafił poklepać po ramieniu i wziąć na rozmowę, żeby wytłumaczyć, co robię źle. Trenerzy byli od taktyki, ale to on budował sferę mentalną, zawsze podnosił nas na duchu.

***

Najlepiej trzymałem się z Bartkiem Fabiniakiem. „Fabiś" mieszkał na Przecławiu, 150 metrów ode mnie. To był czas, w którym urodziła się moja córka i nie miałem jeszcze prawa jazdy. Gdy tylko potrzebowałem pomocy, żeby gdzieś pojechać lub coś załatwić, to zawsze mogłem na niego liczyć.

Złożyło się tak, że Bartek miał dużą konkurencję w Pogoni i trenerzy stawiali na innych bramkarzy. Mimo tego, on nigdy nie narzekał. Nie żalił się, że nie gra i zaraz zmieni klub. „Fabiś" zawsze cieszył się, że jest zdrowy i może iść na trening.

***

W naszej szatni zawsze było wesoło. Donald Djoussé był na przykład modnisiem. Zawsze przychodził i przebierał się ostatni. My wszyscy byliśmy gotowi na trening i tylko czekaliśmy na to, w jakiej „stylówie" przyjdzie ubrany danego dnia. Później dostał od nas ksywkę „Paris", bo twierdził, że tylko w Paryżu kupuje ubrania.

***

Kiedyś przed meczem wyjazdowym siedzieliśmy w hotelu i trener Dariusz Wdowczyk wyjął swoją tablicę i mazaki. Myśleliśmy, że będzie rozrysowywał

taktykę, a on wtedy powiedział, że ma dla nas niespodziankę dla rozluźnienia atmosfery. Stanął do nas plecami, zasłaniając tę tablicę, i zaczął rysować. Nagle odwrócił się i dodał, że kto zgadnie kim jest narysowana osoba, temu stawia obiad. Na planszy pojawiła się twarz z długimi włosami, przyklepanymi na bok. Każdy miał swoje typy, ale zgadł Adam Frączczak. „Frączczu" był u nas kiedyś na testach w Świnoujściu, a wtedy właśnie miałem taką fryzurę.

– „Pietruch", a ty masz w ogóle powodzenie u kobiet? – podpytywał zaczepnie trener Wdowczyk.

– Wystarczyło na jedną – odpowiedziałem z uśmiechem. – Teraz jest moją żoną i wtedy ta fryzura jej się podobała!

Trener Wdowczyk ma duże zdolności plastyczne. Śmiechu było przy tym mnóstwo.

***

Przypomina mi się historia z zimowego obozu, kiedy testowany w Pogoni był Łukasz Kosakiewicz. Miał lecieć z nami do Turcji i po obozie otrzymać kontrakt. „Kosa" był bardzo szczęśliwy z powodu tej szansy. Następnego dnia przyszedł do klubu i powiedział, że… nie ma paszportu. W klubie zrobiła się afera, Łukasz niemalże się rozpłakał i wtedy kierownik Rysiu Mizak w trzy dni załatwił mu ten paszport.

Miał z nami lecieć i dogadaliśmy się tak, że będziemy w „dwójce" razem, ale ostatecznie nie znalazł się w samolocie do Turcji. Rysiek przyznawał pokoje i jako że Łukasz z nami nie poleciał, to dostałem od kierownika „superjedynkę".

Podczas obozów, po treningach człowiek ma czas dla siebie, a będąc samemu w pokoju nie ma się nawet do kogo odezwać. Już po pierwszym posiłku poprosiłem o przydzielenie mi kogoś. Rysiu powiedział, że mogę być w pokoju z Danielem Trzepaczem, który pojechał na obóz jako pracownik biura prasowego.

Po pierwszej nocce w jednym pokoju pomyślałem, że kupię bilet na swój koszt i wrócę samolotem do Polski. Do tamtej pory nigdy nie przebywałem z osobą chrapiącą, a on przez kilka godzin tak dawał czadu, że miałem za sobą nieprzespaną noc.

– Daniel, ty niemiłosiernie chrapiesz – zagadnąłem go przy okazji.

Do końca obozu nie chciał mi uwierzyć. Człowiek walczył o skład, był po wyczerpujących treningach, a tu nie można zasnąć. Nawet słuchawki i muzyka nie pomagały.

Rzucałem w niego poduszkami, a w następnych dniach brałem plastikowe butelki, żeby je zgniatać i pohałasować, ale to niewiele dawało.

Obok nas w pokoju byli Darek Zawadzki i Marcin Bojarski, którzy myśleli, że jestem sam i codziennie śmiali się ze mnie, że szaleję w nocy. Pewnego razu przyszli do mnie około północy.

– Przemek, przestań chrapać, nie dajesz spać innym! – rzucił do mnie „Bojar".

Zdziwili się, gdy zobaczyli, że to faktycznie Daniel ich obudził.

Do teraz mi zostało, że przed każdym obozem pytam chłopaków z drużyny, czy chrapią i w ten sposób dobieram partnerów do pokoju.

***

Pięknym momentem dla mnie było wywalczenie awansu do ekstraklasy w Gdyni w 2012 roku. Wtedy zeszło z nas ciśnienie, które gromadziło się przez całą, nieudaną wiosnę. Cieszyłem się, że Pogoń, ale i przede wszystkim jej kibice, wracają do najwyższej klasy rozgrywkowej. Piłkarze grają dla siebie o jak najlepsze zarobki, ale przede wszystkim grają właśnie dla kibiców.

Korzystając z okazji, chciałbym też podziękować panu doktorowi Bartoszowi Paprocie, na którego pomoc mogę liczyć przy każdym urazie. Wiele mu zawdzięczam.

ROZDZIAŁ 55

Samolotem, ale bez rezerwowych

Leszek Pokładowski
215 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1974 roku. Pochodzi z Bytowa. W Pogoni występował w latach 1993-2002. Z klubem wywalczył awans do ekstraklasy (1997). Po zakończeniu kariery piłkarskiej pracował w Pogoni jako trener grup młodzieżowych.

Do Pogoni dołączyłem jeszcze jako junior, więc klub znałem jak własną kieszeń. Pamiętam moment, w którym po raz pierwszy zostałem powołany na ligowy mecz. Byłem wtedy w internacie i nagle poinformowano mnie, że trener widzi dla mnie miejsce w szerokiej kadrze. Stawiłem się w klubie o 7 rano i pojechaliśmy do Mielca. Dotarliśmy tam dopiero o 23. O tej porze – co zrozumiałe – stołówka była już zamknięta na trzy spusty, więc wszyscy poszliśmy spać głodni.

W tamtych latach wyjazdy wyglądały dużo inaczej, przede wszystkim od strony technicznej. Jeździliśmy zawsze starym ikarusem, a naszym kierowcą był pan Tadziu, którego nazywaliśmy „Buncol". Mieliśmy z nim świetny kontakt, wspólnie żartowaliśmy i śmialiśmy się. Kiedyś prosiliśmy go, żeby zamontował telewizor w swoim autokarze, bo bardzo nudziliśmy się podczas tylu godzin w podróży. Nic z tego, pozostały nam tylko gazety... i inne sposoby, które pozwalały się znieczulić i szybko zasnąć, ale o nich może nie będę opowiadał.

Przytoczę za to inną historię związaną z panem Tadziem. Pewnego razu – nie pamiętam teraz, czy jechałem wtedy z I zespołem, czy z rezerwami – „Buncol" odebrał od kogoś telefon podczas jazdy. Ta osoba przekazała mu

informację, że nie dostanie pieniędzy za wykonany kurs. Wtedy Tadziu zatrzymał autokar i powiedział, że dalej nie jedzie. Jeden z piłkarzy chciał usiąść za kierownicą i poprowadzić pojazd, ale ostatecznie nasz kierowca dał się udobruchać. Niewiele jednak brakowało, by Pogoń na mecz nie dotarła.

***

Wiele wspomnień wiąże się też z hotelem Pogoni, w którym zakwaterowani byli sportowcy. Mieścił się niedaleko stadionu, przy hali na Twardowskiego. Dodam tylko, że w tamtym czasie Duma Pomorza była klubem wielosekcyjnym, więc w hotelu mieszkali nie tylko piłkarze, ale także wielu innych zawodników i zawodniczek.

Kiedyś odwiedziła mnie moja ówczesna dziewczyna, a teraz żona. Tak się złożyło, że klub nie uregulował opłat za prąd, więc nie mieliśmy światła. Pół nocy siedzieliśmy więc przy zapalonym zniczu, aby cokolwiek widzieć. Kolejnego dnia mieliśmy czarne uszy, nosy, a nawet ręce. Zabarwiły się również drzwi i ściany. Trzeba sobie było jednak jakoś radzić!

Czas spędzony w hotelu Pogoni to jeden z lepszych okresów w moim życiu. Tworzyliśmy tam niezwykłą, wręcz rodzinną atmosferę. Mieliśmy tylko jeden telewizor na korytarzu, więc tam wszyscy przesiadywali. Graliśmy długimi godzinami w karty, a w weekendy chodziliśmy na swoje mecze. Szczypiorniści przychodzili na stadion, my natomiast udawaliśmy się do hali.

***

W hotelu mieszkali także niektórzy trenerzy. Jednym z rezydentów tego miejsca był Jerzy Kasalik. Za chwilę do niego wrócę, ale najpierw muszę jeszcze opowiedzieć o naszym zwyczaju, który praktykowaliśmy przed meczami w Szczecinie. Wraz z innymi młodymi zawodnikami jeździliśmy zawsze do nieistniejącego już hotelu Neptun na kawę. Tam spędzaliśmy kilkadziesiąt minut, dyskutowaliśmy, odprężaliśmy się, miło spędzaliśmy czas. Po jednym z przegranych meczów wspomniany trener Kasalik, który wiedział o naszym zwyczaju, podszedł do mnie

– Ty sobie lepiej kup grzałkę i pij kawę w hotelu, jeśli masz tak grać – rzucił do mnie, a wszyscy zanieśli się gromkim śmiechem. Udało mu się tym

pstryczkiem rozładować atmosferę.

Innym szkoleniowcem, który mieszkał w hotelu, był Orest Lenczyk. Zaimponował mi on tuż po swoim przyjściu do klubu, gdy ja miałem bardzo długą, roczną przerwę spowodowaną kontuzją. Pewnego dnia obudziło mnie pukanie do drzwi o 7 rano. Wstałem z łóżka i poszedłem sprawdzić, kto tak wcześnie do mnie przyszedł. Okazało się, że był to trener Lenczyk, który wiedział o moim urazie i chciał poświęcić mi swój prywatny czas, pomagając w powrocie do zdrowia. To było naprawdę niespotykane podejście do zawodnika.

***

Skoro jesteśmy przy trenerach, to czas na pewną anegdotę z czasów pana trenera Leszka Jezierskiego. Był taki sezon, w którym niemal do końca drżeliśmy o utrzymanie. Zapewniliśmy je sobie w przedostatnim spotkaniu rozgrywek, w którym graliśmy u siebie z Bełchatowem. W meczu kończącym sezon mierzyliśmy się natomiast na wyjeździe z Wisłą, która zdobywała wtedy mistrzostwo. Wszyscy w klubie byli w dobrych nastrojach dzięki temu, że się utrzymaliśmy i w przypływie radości postanowiono, że do Krakowa dostaniemy się samolotem. Problem w tym, że był on tak mały, że ledwo zmieściła się do niego wyjściowa jedenastka, trener i dwóch rezerwowych. Fizjoterapeuta i masażysta pojechali z konieczności pociągiem. Do meczu przystąpiliśmy więc z tylko dwoma piłkarzami na ławce, z których jeden był bramkarzem. Pech chciał, że jeden z zawodników doznał kontuzji, więc musiał zostać zmieniony. Chwilę później kolejny piłkarz nabawił się urazu. Problem w tym, że oprócz rezerwowego golkipera, nie mieliśmy nikogo na ławce. Nie było innego wyjścia – Marcin Lenczewski musiał wejść w pole. Wtedy pojawił się kolejny kłopot. Rezerwowy bramkarz nie miał koszulki. Trener Jezierski zareagował błyskawicznie – zdjął trykot zawodnikowi schodzącemu, przewinął go na drugą stronę, aby nie było widać numeru i nazwiska, i wysłał Lenczewskiego na boisko. Jak się później okazało, był to pierwszy i ostatni oficjalny występ Marcina w Pogoni.

***

W latach 90. historii związanych ze sprzętem sportowym było więcej. Kiedyś ówczesny prezes klubu, Andrzej Rynkiewicz, powiedział nam, że dostaniemy nowe komplety piłkarskie. Dodał jednak, że musimy wziąć swoje samochody i pojechać na granicę, bo tam miał czekać sprzęt. Ruszyliśmy więc w stronę Lubieszyna. Zostawiliśmy nasze auta jakieś 100 metrów przed przejściem granicznym i poszliśmy pieszo. Kilometr dalej stała ciężarówka, z której każdy wziął swój zestaw. Następnie wróciliśmy z tymi torbami do samochodów i skierowaliśmy się do klubu. Chodziło oczywiście o kwestie związane z opłatami granicznymi i cłem. Z perspektywy obecnych piłkarzy te historie mogą wydawać się niedorzeczne, ale tak właśnie było. Wiele standardów znacząco odbiegało od tego, co jest dziś.

***

W żadnym wypadku nie mogę jednak narzekać – dzięki Pogoni zwiedziłem kawał świata. Pamiętam moje pierwsze zagraniczne zgrupowanie. Polecieliśmy wtedy w zastępstwie za reprezentację Polski do Korei, aby tam zmierzyć się z ich kadrą narodową, która przygotowywała się do mundialu w 1994 roku. To był świetny wyjazd, choć nie obyło się bez przygód.

Na lotnisku w Amsterdamie obsługa portu lotniczego gdzieś zawieruszyła mój bagaż i ostatecznie nie trafił on do naszego samolotu. Na miejscu musiałem więc pożyczać różne rzeczy od chłopaków, a część pokupować.

Zobaczyliśmy tam całkowicie inny świat, tak różny od naszej rzeczywistości. Kupiliśmy sporo rzeczy, które nie były dostępne na naszym rynku.

Równie dobrze wspominam obóz w Malezji. Było tam tak gorąco i wilgotno, że treningi mogły odbywać się albo około 7 lub 8 rano, albo dopiero w okolicach godziny 21. Przez pozostałą część dnia cieszyliśmy się czasem wolnym. Przeżyliśmy duży szok kulturowy: tam każde dziecko miało komórkę. U nas telefony dopiero powoli wchodziły do powszechnego użytku.

Mam w głowie jeszcze jedną historię, która wiąże się z tematem wyjazdów zagranicznych. Kiedyś, podczas pobytu w Niemczech, postanowiliśmy, że wszyscy w drużynie powinni mieć takie same skórzane kurtki. Musieliśmy ich więc sporo nakupować, a byliśmy wtedy w małej grupce. Pamiętam, że istniało

jakieś prawo, które nakazywało płacenie cła za bagaż. Aby uniknąć wydawania pieniędzy, trzeba było mieć ubranie na sobie. Polak potrafi. Założyłem na siebie z pięć kurtek i poszedłem do odprawy celnej. Strażnicy zorientowali się, co się święci.

Wzięli mnie na bok.

– Po co panu tyle kurtek? – zapytali. – Zimno mi, to mam je na sobie – odparłem, jak gdyby nigdy nic.

Ostatecznie jednak udało nam się z nimi dogadać i przewieźliśmy kurtki dla całej drużyny.

***

Na myśl o mojej karierze w Pogoni przed oczami staje mi postać trenera Janusza Pekowskiego. Nie mogę o nim powiedzieć złego słowa jako o człowieku, jednak szkoleniowcem wybitnym nie był. Rzecz działa się przy okazji wyjazdowego meczu z Legią. Jacek Cyzio nie był wtedy do końca zdrowy i trener kazał mi się cały czas rozgrzewać, żebym w razie czego był gotowy do wejścia. Biegałem więc przez 90 minut przy linii bocznej, a na boisko wchodzili ci, którzy akurat siedzieli obok szkoleniowca na ławce. Po pewnym czasie wszyscy wiedzieliśmy, że jeśli trener wysyłał kogoś na rozgrzewkę, to znaczyło, że nie wejdzie na plac gry.

Kiedyś doszło do jeszcze zabawniejszej sytuacji. W jednym z meczów trener Pekowski ściągnął z boiska Sławka Rafałowicza i zastąpił go jakimś innym zawodnikiem. Wysłał kolejnych piłkarzy na rozgrzewkę, po czym odwrócił się do Sławka.

– Szykuj się, wchodzisz zaraz – rzucił do niego, a Rafałowicz zdębiał.

Sławek musiał przypomnieć szkoleniowcowi, że dopiero co opuścił murawę, bo ten był tak rozemocjonowany podczas meczów, że kompletnie tracił głowę.

***

Pracowałem z wieloma trenerami, ale w moich czasach przewinął się też niejeden prezes. Najlepiej wspominam okres, w którym klubem zarządzał Sabri Bekdas. Zdecydowanie poprawiła się wtedy nasza sytuacja finansowa,

zespół został wzmocniony klasowymi zawodnikami. O tym jednak wszyscy wiedzą, więc chętnie opowiem anegdotę, która być może nie jest tak popularna. Dzięki Bekdasowi Pogoń jako jedna z pierwszych drużyn w Polsce miała wymalowany w barwy klubowe autokar. Był to mercedes po wielu przejściach, który przez kilka lat kursował na trasie Warszawa – Stambuł i miał już około miliona kilometrów na liczniku. Nie był to pojazd pierwszej młodości i podczas dłuższych tras do środka przedzierał się zapach spalin. Zgłosiliśmy prezesowi, że nie chcemy jeździć tym autokarem, bo doskwierał nam smród. Krótko po rozmowie z Bekdasem jechaliśmy na mecz do Warszawy. Gdy szykowaliśmy się do powrotu, nagle ktoś wszedł do naszego autokaru. Nie wiem dokładnie, kto to był, ale nazwijmy go barczystym kolegą prezesa. Stanął pomiędzy fotelami i zapytał, czy nie podoba nam się ten autokar. W tym momencie wszyscy wręcz pokochali nasz środek lokomocji i nikt już więcej nie narzekał.

ROZDZIAŁ 56

Nie zawsze z boiska schodzi słabszy zawodnik

Sławomir Rafałowicz
88 oficjalnych meczów.
Urodził się w 1971 roku. Pochodzi z Wałcza. W Pogoni występował w latach 1990-94 i 1995-96. Z klubem wywalczył awans do ekstraklasy (1992). Później pełnił rolę trenera drużyny rezerw, szefa banku informacji oraz analityka. Obecnie jest asystentem I trenera.

22 marca 1992 roku, Bytom. Miejsce i czas zapamiętam na zawsze. Do tej pory mam na plecach ciarki, gdy o tym mówię. Pobiegłem za piłką. Rywale wzięli mnie w kleszcze. Wślizg w momencie, gdy robiłem zwrot, moja noga została w zabłoconym boisku i nienaturalnie wygięła się. Wtedy wszyscy grali w długich, stalowych wkrętach, więc o takie sytuacje było łatwiej. Fatalnie złamana noga. Trzask, a moja stopa przekręciła się o 180 stopni. Przeszywający ból, ale przy tym szoku nie mogę powiedzieć, że był nie do zniesienia. Przekoziołkowałem i upadłem na plecy. Podniosłem do góry nogę i… nie widziałem stopy! To doznanie wzrokowe przeraziło mnie najbardziej, bałem się, że zostanę kaleką. Nie myślałem o karierze, ale zastanawiałem się, czy będę mógł funkcjonować normalnie jako człowiek.

– „Dziadziuś", co ci się stało, co się dzieje! – krzyczał mocno zdezorientowany Darek Dalke, który był wtedy początkującym masażystą. „Zwariował", gdy zobaczył moją nogę. Mój staw wypadł ze swojego miejsca (w tym momencie Sławomir Rafałowicz wstaje, zsuwa skarpetkę i pokazuje duże blizny po szwach z obu stron kostki).

Okazało się, że karetka na stadionie była atrapą. Duży fiat kombi, ale nie

można było otworzyć bagażnika, żeby wsunąć mnie na noszach. Jeden z zawodników wziął mnie na ręce jak dziecko, a następnie włożył do tego auta przez drzwi pasażera. Do szpitala jechałem po nierównych śląskich drogach, a stopa, którą trzymałem w górze, swobodnie dyndała sobie przez 30 minut. W ambulansie nie było lekarza, który mógłby ją nastawić.

– Gdybyście jechali chwilę dłużej, to stopa mogłaby obumrzeć – przywitał mnie lekarz tuż po tym, jak dojechaliśmy do szpitala w Piekarach Śląskich.

– Panie doktorze, nie będę kaleką? – zapytałem od razu.

– Spokojnie, nie takie rzeczy tu widzieliśmy – odparł bez emocji. – Ale powrotu do futbolu panu nie gwarantuję.

Moja przerwa trwała 11 miesięcy. Na pewno ta kontuzja skróciła moją przygodę z piłką. Muszę jednak przyznać, że operacji nie spaprali, bo do końca kariery kostki w tej nodze już nie skręciłem. Cieszyłem się też, że po takiej koszmarnej kontuzji udało mi się podnieść i zadebiutować w ekstraklasie.

***

Wychowałem się w Wałczu i do Szczecina przyjechałem w 1986 roku. Planowałem wybrać szkołę średnią właśnie w Szczecinie albo w Poznaniu. W Wałczu często trenowaliśmy kilkoma rocznikami naraz. Jestem z 1971, ale często ćwiczyłem razem z 70., 69., a nawet 68. Zawsze byłem najmniejszy i trzeba było jakoś radzić sobie z większymi. Do ośrodka w moim mieście przyjechał zespół Stali Stocznia. Graliśmy z ich rocznikiem 68/69 i – jako ten najmniejszy – pałętałem się pomiędzy sporo wyższymi od siebie zawodnikami.

– Nie gadaj, że ty jesteś 68. albo 69. rocznik – zaczepił mnie po meczu trener Stali.

– 71. – odpowiedziałem, co zwróciło ich uwagę.

Niedługo później byłem już w Szczecinie, ale właśnie w Stali. Udało nam się awansować z ówczesnej III do II ligi. W tym czasie Pogoń obserwowała poczynania okolicznych klubów – naszego, czy Chemika Police. Ja nawet o tym nie wiedziałem, nie miałem menedżera. Nastąpiła jednak restrukturyzacja Stoczni Szczecińskiej, która przestała finansować Stal i klub musiał się rozwiązać. Staliśmy się wolnymi zawodnikami i zainteresowała się mną Pogoń.

Na nasz trening przyszedł dyrektor Pogoni, a ja byłem bardzo zaskoczony. Przedstawił się, a chwilę później pisałem już podanie z prośbą o zgodę na transfer. Wtedy taka właśnie była procedura. Gdy kluby dogadały się, w 1990 rozpocząłem okazjonalne treningi z I zespołem Pogoni.

***

W czasach polsko-radzieckiej „przyjaźni" załapałem się na wyjazd z drużyną na Kamczatkę. My byliśmy z wizytą tam, oni z rewizytą u nas. Byłem już w orbicie zainteresowań klubu, ale jeszcze bez kontraktu. W ramach tego pozwolono mi jechać, bo był to obóz raczej integracyjny, trochę w formie roztrenowania. Tuż przed wyjazdem I drużyna wracała z Wodzisławia, a ja już czekałem na nich na dworcu. Dla mnie, jako dziewiętnastolatka, była to niesamowita sprawa. To był koniec świata, lecieliśmy tam samolotami chyba z 20 godzin. Ale na miejscu zobaczyliśmy kawałek innego życia. Komuna, wulkaniczne krajobrazy.

Dość śmieszna sytuacja spotkała nas przed jednym z meczów. Weszliśmy do szatni, a tam stół nakryty tak, jakbyśmy mieli zjeść zaraz elegancką kolację, a nie przebrać się, by rozegrać mecz. Żartowaliśmy, że za chwilę zamiast odprawy będzie impreza!

Po samym meczu również mieliśmy niespodziankę, bo nie mogliśmy skorzystać z prysznica. Zawieziono nas do dużej miejskiej łaźni. Było kilka basenów, mnóstwo pryszniców i saun. Było to dla nas czymś nowym i ciekawym.

Dzięki piłce zwiedziłem kawałek świata. Z Pogonią byłem w Korei Południowej, gdzie graliśmy z przygotowującą się do Mundialu 1994 reprezentacją tego kraju, z kolei w Syrii byliśmy jeszcze przed wojną.

***

Moim pierwszym treningom w Pogoni towarzyszyła wielka trema. Po przyjeździe do Szczecina, jeśli tylko nie kolidowało to z meczami juniorów Stali, z trybun oglądałem wszystkie spotkania Portowców. Pamiętam swój pierwszy mecz – we wrześniu 1986 roku, jako kibic, widziałem wygrane spotkanie z Polonią Bytom 2:0. Później historia zatoczyła koło, bo właśnie w spotkaniu z bytomianami złamałem nogę. Gdy wchodziłem do tej szatni, to

wielu zawodników z wicemistrzowskiego sezonu już nie było. Za klubem była zmiana pokoleniowa, choć kilku zawodników, jak Andrzej Miązek i Mariusz Kuras, zostało.

Wszedłem do szatni, dostałem koszulkę z logo „Casucci" i byłem przeszczęśliwy. To było spełnienie marzeń. Wcześniej widziałem to tylko z trybun, a teraz stawałem się tego częścią. Gdy wyjeżdżałem z Wałcza, to marzyłem, by wystąpić w ekstraklasie. Tu byłem na jej zapleczu, ale już zdecydowanie bliżej większej piłki. Tu się ją czuło.

***

Pierwszy kontrakt podpisałem na zasadzie „za to, że jestem w Pogoni". Wcześniej kibicowałem Portowcom i dla mnie to, że wtedy ktoś dawał mi możliwość gry w piłkę w tej drużynie, było już wystarczającym wynagrodzeniem. Miałem 18 lat, byłem w klasie maturalnej, nie było menadżerów i nawet do głowy mi nie przyszło, by spróbować ponegocjować.

– Panie prezesie, potrzebuję czegoś, żebym mógł się utrzymać – zacząłem „walkę" o swój kontrakt. – Chcę mieć gdzie mieszkać, wyżywienie i jakieś kieszonkowe. Tak naprawdę to chciałbym mieć po prostu „wikt i opierunek". Chciałbym móc trzymać głowę na powierzchni – dodałem.

Podpisałem tę umowę i tak rozpoczęła się moja przygoda z Pogonią.

***

Dziś jest to nie do pomyślenia, ale czasy były inne. Ojciec kupił nowy samochód – skodę favorit – i został mu duży fiat. Niedługo wcześniej zrobiłem prawo jazdy.

– Bierz tego fiata, dobijesz go – rzucił do mnie i przekazał kluczyki.

W 1990 roku taki samochód to może nie był już rarytas, ale to zawsze własne cztery koła. Nie było mnie stać na nowe, więc wziąłem od ojca. Trener pozwolił mi, żebym – razem z Maćkiem Stolarczykiem i Radkiem Majdanem – dojechał na obóz właśnie tym samochodem. Z jednej strony to auto pomagało nam w codziennych sprawach, bo pożyczałem je każdemu, kto chciał w Karpaczu wyskoczyć na przykład na kawę czy zakupy. Był jednak też dodatkowy cel, bo tym samochodem dowieźliśmy na obóz „suplementy". Mam tu na myśli… owoce, które zabrali Radek i Maciek. W tym czasie jedynym

wzmacniaczem, traktowanym jak prawdziwy sportowy afrodyzjak, był supradyn. To była taka mocniejsza multiwitamina. My jednak wierzyliśmy w jego moc.

Te wszystkie przywiezione owoce Radek i Maciek trzymali w pokoju. Trener postawił ich za wzór. Dziś nikt o tym nie musi myśleć, bo idziesz na posiłek i na szwedzkim stole wszystko jest dostępne. A wtedy każdy musiał wziąć takie rzeczy ze sobą i było to dla nas normalne.

***

Za trenera Janusza Pekowskiego grałem w meczu z Sokołem Tychy. Wygraliśmy 3:1, a ja strzeliłem swoją pierwszą bramkę w ekstraklasie. Byłem przekonany, że gram dobry mecz, czułem się fantastycznie. W 71. minucie zobaczyłem swój numer na tablicy zmian. Byłem wściekły. Schodząc, kopnąłem kępkę trawy. Gdyby nie podskoczyła, pewnie nikt nawet nie zauważyłby tej sytuacji. Ta kępka poleciała jednak wysoko do góry, a następnie spadła przy ławce rezerwowych. Za tę sytuację dostałem karę finansową, której zresztą nie potrafiłem zrozumieć.

Teraz jestem trenerem i sam zauważam, że zawodnicy reagują w taki sposób. Widać to nawet po sposobie, w jaki schodzący piłkarz przybija piątki osobom na ławce rezerwowych. Pewnych granic przekroczyć jednak nie można.

– Nie zawsze z boiska schodzi zawodnik, który gra słabiej – tłumaczył mi wtedy szkoleniowiec. – Za trzy dni zagramy kolejny mecz i chciałem cię oszczędzić.

***

Listopad 1995 roku. W niedzielę graliśmy ze Stomilem Olsztyn o godzinie 11. Wyruszyliśmy więc na wschód w sobotę wieczorem, pociągiem, tak zwaną kuszetką. Nad ranem dotarliśmy do Olsztyna. Poszliśmy do okolicznego baru na śniadanie, a następnie na stadion. Gdy dotarliśmy przed godziną 9, bramy były jeszcze zamknięte i musieliśmy czekać na gospodarza. Ten mecz na zmrożonym boisku, po moim golu, wygraliśmy 1:0. I to pomimo tego, że jeszcze kilka godzin wcześniej wszyscy byliśmy w pociągu.

Podczas tego wyjazdu sporo działo się również w trakcie powrotu. Jechaliśmy tym samym pociągiem, co nasi kibice. W pewnym momencie tabor został

zaatakowany przez fanów jakiegoś wrogiego klubu. Najedliśmy się strachu i do Szczecina dotarliśmy z wielogodzinnym opóźnieniem.

***

Lata 90. to były mroczne czasy korupcji. Gdy przypominam sobie nasz spadek w sezonie 1995/96 i w jakich okolicznościach nastąpiło to po ostatnim meczu z Bełchatowem, to aż odechciewa się mówić. Ten decydujący mecz oglądałem z perspektywy ławki rezerwowych. Nie byliśmy na tyle słabym zespołem, żeby spaść z ekstraklasy. Ale nie byliśmy też na tyle mocni, by w tych pomrocznych czasach działać skutecznie poza boiskiem. Z ligi spadliśmy przez niejasne układy. Inna sprawa, że do utrzymania nie dołożyliśmy sportowej cegiełki. Szczególnie słabo wyglądała w naszym wykonaniu runda rewanżowa. Nie pomogliśmy sobie sami, ale uważam, że w dzisiejszych – czystych – czasach nie spadlibyśmy z ligi. Za rękę nikt nikogo wtedy nie złapał, ale wszyscy wiedzą, jakie to były lata.

***

„Dziadkiem", jak do dziś mnie nazywają, zostałem po moim pierwszym obozie w Pogoni. Cztery lata starszy ode mnie Waldek Jaskulski był świeżo po wojsku. Choć zabrzmi to niewiarygodnie, miałem wtedy długie włosy i chyba wyglądałem poważnie.

– Ty, dziadek, już po wojsku jesteś? – zagadnął mnie „Jaskuła".

– Tak się składa, że mam 18 lat – odpowiedziałem z rozbrajającą szczerością, a wszyscy parsknęli śmiechem. Do tego też doszło to, że zachowywałem się bardzo dojrzale w stosunku do wieku i tak właśnie zostałem „Dziadkiem".

***

W 2011 roku, jako szef banku informacji, na pamięć znałem trasy Szczecin-Bytom i Szczecin-Gdynia, bo Polonia i Arka zawsze przed nami grały z naszymi kolejnymi przeciwnikami. Po kilku wyjazdach miałem już dobry kontakt z ich kamerzystami i po meczach udawało się zgrać od nich zapis meczu. Dzięki temu mogłem skupić się na obserwacji, bo trudno jednocześnie filmować mecz i go obserwować. Trzeba skupić się albo na jednym, albo na drugim.

Najgorzej było ze sparingami albo bezpośrednio przed meczem z danym rywalem. W Gliwicach Piast miał na stadionie prezentację zespołu i mecz kontrolny z Kolejarzem Stróże. Filmowanie było zabronione. Nasz dobry znajomy miał możliwość akredytowania się na mecz jako służby porządkowe.

– Dlaczego nagrywacie?! – zaczepił nas w pewnym momencie zdenerwowany pracownik Piasta.

– W celach prewencyjnych i operacyjnych. Czuwamy nad bezpieczeństwem – odparł mu spokojnie kolega i pokazał plakietkę służb porządkowych.

Dzięki temu nagraliśmy to spotkanie, a na stadionie mogła być tylko kamera Piasta Gliwice.

***

Radość po strzelonej bramce jest dla mnie ważna. Nie byłem goleadorem, ale po swoim premierowym trafieniu zdjąłem koszulkę i zacząłem nią machać nad głową. Zawsze cieszyłem się spontanicznie i pozostało mi to do teraz, gdy jestem w sztabie trenerskim. Ta radość to rozładowanie olbrzymich emocji. Na pewno nie następuje też po każdym golu, ale w sytuacjach, gdzie strzelona bramka ma duży ciężar gatunkowy. Na co dzień jestem spokojną osobą, ale w sytuacjach z ekstremalnymi emocjami potrafię eksplodować. To jest silniejsze ode mnie.

***

Do Szczecina przyjechałem ponad 30 lat temu i tu dojrzewałem jako człowiek. Tu poznałem żonę, mam dom, tu urodziły się moje dzieci. Nigdy nie odżegnuję się od swoich wałeckich korzeni, ale dziś Szczecin jest moim domem. A Pogoń jest drugim. Pół dnia spędzam z rodziną, a pół z klubem. Zżyłem się z tym środowiskiem. Tu odnalazłem się jako piłkarz, a później w innych rolach. Klub dał mi coś, dzięki czemu mogłem spełniać swoje marzenia. Do Dumy Pomorza wracałem chyba 5 albo 6 razy. Jako zawodnik i jako trener. Na Pogoń się nie obrażałem, bo często było tak, że dziękowała mi jedna osoba, a po czasie ponownie wracałem i zatrudniał mnie ktoś inny. Pogoni i reprezentacji się nie odmawia.

ROZDZIAŁ 57

Narodowy Dzień Robaka

Marcin Robak
51 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1982 roku. Pochodzi z Legnicy. W Pogoni występował w latach 2013-15. W barwach Dumy Pomorza król strzelców ekstraklasy (2014). Jako gracz Pogoni w sezonie 2013/14 pięć razy zagrał w reprezentacji (debiut 17.01.2010 przeciwko Danii – jako zawodnik Widzewa Łódź, łącznie w kadrze 9A/1 gol).

W Pogoni nie grałem może bardzo długo, ale spektrum wspomnień mam bardzo szerokie. Zarówno tych wesołych, jak i bardzo poważnych. Nie mogę zacząć inaczej, jak od zabawnej i niesamowitej historii, która nazywa się Narodowym Dniem Robaka.

Wszystko zaczęło się 21 lutego 2014 roku, gdy graliśmy z Lechem. Strzeliłem wtedy 5 goli. Kibice Dumy Pomorza byli w euforii, całe miasto cieszyło się z tej wygranej. Gdy po jakimś czasie jechaliśmy do Poznania na mecz wyjazdowy i zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, podszedł do mnie kibic Pogoni i pokazał rękę. Okazało się, że miał tam wytatuowane trzy litery: NDR, które oznaczały Narodowy Dzień Robaka. Była tam także data wspomnianego spotkania z Kolejorzem.

Byłem w szoku, nie spodziewałem się, że moje bramki były aż tak ważne dla fanów Pogoni. Później rozmawiałem z moimi przyjaciółmi ze Szczecina, którzy znają się z tym kibicem i powiedzieli mi, że ten tatuaż nie był z henny! Ten człowiek do końca życia będzie nosił na ręce pamiątkę ze zwycięstwa nad Lechem! Cieszę się, że pomimo tego, iż nie gram już w Szczecinie, nadal jestem w tym mieście szanowany przez dużą grupę osób.

***

Dzień przed meczem w Kielcach odebrałem telefon od lekarza, który powiadomił mnie o śmierci mojej mamy. Byłem zdruzgotany tą informacją, ponieważ planowałem wybrać się po spotkaniu do Legnicy, aby ją odwiedzić. Sprawy potoczyły się jednak inaczej...

Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie miałem wątpliwości, czy wystąpić w meczu z Koroną. Wahałem się długo, dopiero rozmowa telefoniczna z proboszczem z Legnicy pomogła mi podjąć ostateczną decyzję. Nie mogę pominąć również roli trenera Dariusza Wdowczyka, który poświęcił mi sporo czasu. Przyszedł do mnie, porozmawialiśmy. Rano, w dzień meczu, przyniósł mi natomiast kartkę A4 z wierszem dotyczącym całej tej sytuacji. Naprawdę doceniałem ten gest.

Dzięki pomocy proboszcza, trenera, kolegów z drużyny i rodziny zagrałem w spotkaniu w Kielcach i strzeliłem dwie bramki. Chciałbym też podziękować kibicom, którzy podczas naszej rozgrzewki skandowali moje nazwisko, dając dowód swojego wsparcia.

***

Gdy byłem zawodnikiem Pogoni, na świat przyszedł mój pierworodny syn. Wraz z moją żoną postanowiliśmy uczcić to wydarzenie i zamówiliśmy pierniki w kształcie wózków dla dzieci. Rozdawaliśmy je następnie w klubie. Słodkości trafiły do zawodników, pracowników administracji i pań z pralni. Pamiętam, że wszyscy gratulowali nam narodzin synka.

Z kolei kibice postanowili przygotować prezent dla Antka. Po jednym z meczów przekazali mi wydziergany materiał w granatowo-bordowych barwach z datą jego urodzin.

***

Pewna historia wydarzyła się podczas obozu przygotowawczego w Turcji. Mieliśmy wolny dzień, więc wybrałem się z chłopakami z biura prasowego na spacer po mieście. Zaczepił nas jakiś pijaczek, który stwierdził, że doprowadzi nas do miejsca, do którego chcieliśmy dotrzeć. Szliśmy za nim i mieliśmy wrażenie, że ten człowiek nie wie, dokąd nas prowadzi. Chcieliśmy więc zakończyć naszą „współpracę". On zorientował się, że nic nie zarobi na swojej

usłudze i mocno się zdenerwował. Zaczął na nas pluć i nas wyzywać. Zostawiliśmy go jak gdyby nigdy nic i poszliśmy w swoją stronę. Na szczęście nie zrobił nic więcej, więc za swoimi plecami słyszeliśmy jedynie cichnące tureckie wyzwiska.

***

Różne uczucia wywołuje u mnie do dziś słynny transfer do Chin. Klub umieścił na swojej stronie internetowej oficjalny komunikat, w którym poinformowano o moim odejściu. Kibice przyjęli to do wiadomości, pożegnali się ze mną. Ja także byłem gotowy do wyjazdu. Tymczasem skończyło się tak, jak się skończyło. Po kilku tygodniach okazało się, że nadal będę zawodnikiem Pogoni, bo włodarze klubu z Państwa Środka niespodziewanie zerwali wszelkie negocjacje. Rozegrałem więc pełen sezon w granatowo-bordowych barwach i dopiero później odszedłem do Lecha.

Będąc już w Poznaniu, wziąłem udział w akcji crowdfundingowej Dumy Pomorza – „W Pogoni za stadionem". Wykupiłem sobie dwa krzesełka na nowym obiekcie. Czuję się związany ze Szczecinem, więc chciałem wspomóc tę akcję. Poza tym uważam, że miło będzie zobaczyć swoje nazwisko na jednym z siedzisk na stadionie Pogoni.

***

W Szczecinie poznałem świetnych ludzi, tu urodził się mój synek, tu wywalczyłem tytuł króla strzelców, co było dla mnie wielką radością. Dziennikarze mówili mi, że jestem trzecim zawodnikiem w historii Pogoni, który strzelił najwięcej bramek w lidze w danym sezonie. Przede mną dokonali tego Marian Kielec i Marek Leśniak, a więc legendy Dumy Pomorza. Znalezienie się w takim gronie jest dla mnie dużym zaszczytem.

ROZDZIAŁ 58

Z Częstochowy do Nowego Jorku

Maksymilian Rogalski
168 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1983 roku. Pochodzi z Częstochowy. W Pogoni występował w latach 2009-15. Z klubem wystąpił w finale Pucharu Polski (2010) oraz wywalczył awans do ekstraklasy (2012). Po zakończeniu kariery piłkarskiej w 2018 roku wrócił do Szczecina i zaczął pracę w Akademii Pogoni.

Moja przygoda z Pogonią zaczęła się późno, bo dopiero gdy miałem 26 lat. Zostałem ściągnięty przez trenera Piotra Mandrysza, który od początku wykazywał dużą chęć współpracy ze mną. Cieszyłem się, że przechodzę o jeden szczebel wyżej. Wiedziałem także, że I liga ma być tylko przystankiem w drodze do ekstraklasy, która jest właściwym miejscem dla Pogoni.

Moje pierwsze wspomnienia z tym klubem są bardzo miłe. Gdy miałem podpisać kontrakt, to jechałem do Szczecina prosto z Płocka. Dzisiaj zabrzmi to pewnie dość dziwnie, ale nie miałem wówczas nawigacji w samochodzie, a musiałem jakoś trafić na stadion. Wcześniej Krzysiek Pyskaty tłumaczył mi, jak dojechać do klubu.

– Przejedziesz jedno rondo, drugie, trzecie, zobaczysz jupitery i będziesz na stadionie – brzmiało to mniej więcej w taki sposób. Nie spodziewałem się więc żadnych utrudnień.

W praktyce okazało się to nieco bardziej skomplikowane, zwłaszcza że był to już późny piątkowy wieczór. Dodatkowo w sobotę mieliśmy grać sparing, który decydował o moim być albo nie być w Pogoni, więc zależało mi na tym, żeby się w miarę dobrze wyspać przed tym meczem. Gdy stałem na światłach przy ulicy Struga, otworzyłem okno i zapytałem chłopaka, który siedział w pobliskim samochodzie, jak dojechać na stadion. On spojrzał najpierw na mnie, później przed siebie i powiedział, że nie jest w stanie mi tego

wytłumaczyć, bo to jeszcze kawał drogi. Zaproponował, żebym jechał za nim. Tak też zrobiłem. Ten chłopak doprowadził mnie pod samą bramę, gdzie czekał już na mnie kierownik. Byłem bardzo zbudowany tym miłym początkiem w Szczecinie. Jeśli ten chłopak czyta teraz te słowa, to chciałbym mu bardzo podziękować za jego bezinteresowną pomoc.

***

Niedługo później przeżyłem dzięki Pogoni jedną z najciekawszych podróży w moim życiu. W 2009 roku zostaliśmy zaproszeni na tournée po Stanach Zjednoczonych. Gdy przylecieliśmy na miejsce, nie wszystko wyglądało jednak tak, jak sobie to wyobrażaliśmy. Od samego początku nawarstwiały się problemy organizacyjne. Raz dotyczyły one hotelu, później dojazdu w jakieś miejsce, czasem nie mogliśmy nawet rozegrać zaplanowanego meczu.

Pewnego dnia zdarzyło się, że miał po nas przyjechać jakiś autobus i zabrać na stadion. Czekaliśmy ponad godzinę i nikt się nie zjawiał, więc trzeba było odwoływać spotkanie, a później organizować je na nowo. Innym razem nikt nie zadbał o jedzenie, więc wracając do hotelu, zatrzymaliśmy się przy jednym z amerykańskich fast foodów i posililiśmy się hamburgerami. Pomimo tego wszystkiego, mam bardzo dobre wspomnienia z tego wyjazdu. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej mogłem tylko pomarzyć o czymś takim, grając w drugoligowym Rakowie Częstochowa. A tu nagle znalazłem się w Nowym Jorku, a za chwilę w Bostonie na koszykarskim meczu NBA.

Byliśmy też w Filadelfii na hokejowych rozgrywkach NHL. Pamiętam, że kierowcą naszego autokaru był bardzo stary, chyba 85-letni Afroamerykanin. Miał też mały problem – nie potrafił on zbyt dobrze prowadzić swojego autobusu. Gdy wracaliśmy z Filadelfii, wypadliśmy z trasy, natrafiliśmy na jakąś dziurę, przez co nasz autokar został nieco zniszczony. Mało brakowało, a mogłoby dojść do jakiejś tragedii. Znając życie, pewnie nie byliśmy nawet ubezpieczeni podczas tego wyjazdu. Po prostu wolnoamerykanka!

***

Pamiętam, że trener Piotr Mandrysz lubił zabierać nas na Lagunę do Gryfina, żebyśmy tam przechodzili odnowę biologiczną po meczach. Nie polegała

ona jednak na tym, że siedzieliśmy sobie w jacuzzi albo saunie. Musieliśmy przepłynąć z 40 długości basenu. Przed sezonem 2010/11 do zespołu dołączył Andre Gwaze, zawodnik z Zimbabwe. „Andrzej" – jak go nazywaliśmy – nie umiał pływać! Nie sprzeciwił się jednak trenerowi i wszedł do basenu. Chwilę później musieliśmy go wyciągać z wody, bo zaczął się topić. Ponad taflę wystawały jedynie jego wielkie dredy. Chyba dopiero wtedy trener Mandrysz zrozumiał, że „Andrzej" faktycznie nie umiał pływać.

Z tym samym zawodnikiem wiąże się jeszcze jedna historia. Gdy graliśmy mecze na Śląsku, to zawsze jeździliśmy przez Niemcy, bo nasze drogi były fatalne. Pewnego razu wracaliśmy do Szczecina i do rutynowej kontroli zatrzymała nas niemiecka policja. Kierownik pozbierał nasze dokumenty tożsamości i wręczył funkcjonariuszom.

– Wszyscy poza Andre Gwaze mogą jechać dalej – oznajmili policjanci. – Pan Andre zostaje z nami.

Został zatrzymany, ponieważ nie miał pozwolenia na pobyt w Niemczech. Kierownik Ryszard Mizak starał się coś wyperswadować swoim łamanym niemieckim, ale na niewiele się to zdało. Policjanci kazali „Andrzejowi" opuścić autokar. Pojechaliśmy więc do domu bez niego. Następnego dnia wszystko udało się wyjaśnić i kierownik jechał po niego na jakiś komisariat.

***

Z obcokrajowcami zazwyczaj bywało ciekawie. Mieliśmy kiedyś w drużynie takiego piłkarza jak Herve Tchami. Zasłynął on jednym dryblingiem w meczu z Jagiellonią, kiedy w efektowny sposób, zakładając na głowę rywala „piłkarskie sombrero", przerzucił nad nim piłkę. Poza tą jedną sytuacją w żaden sposób nie pomógł drużynie i szybką ją opuścił. Gdy jednak jeszcze był w Szczecinie, to tworzył paczkę z Donaldem Djoussé i Abdulem Ouédraogo. Gdy jeździliśmy na mecze, afrykańska banda siadała z tyłu i niezwykle głośno gadała po francusku. Wszystkim nam pękały głowy, co chwilę ktoś się do nich odwracał i uciszał.

Było z nimi wesoło, szczególnie z Donaldem, który doskonale potrafił naśladować ludzi mimiką twarzy. Najlepiej wychodziło mu parodiowanie trenera Marcina Sasala i kierownika Mizaka. Zawsze też chodził i pytał, kiedy

będzie „salary". Gdy dostawał pieniądze, to dwa dni później znowu domagał się wypłaty, bo wszystko wydawał w Galaxy, kupując całe torby najróżniejszych rzeczy.

***

Za trenera Artura Płatka przypomina mi się historia, gdy po ostatnim meczu rundy jesiennej szkoleniowiec postanowił zrobić coś w rodzaju zakończenia. Spotkaliśmy się całą drużyną, przyprowadziliśmy swoje partnerki. Na drugi dzień mieliśmy z kolei trening w formie zabawy. Trener zabrał nas na tor cartingowy przy Wojska Polskiego, który był cały zasypany śniegiem. Mieliśmy dobrać się w dwójki, wsiąść w auto i dojechać do wskazanego miejsca. Później wysiadaliśmy z samochodu i biegaliśmy po górkach i nasypach przygotowanych dla motorów czy quadów. Taka pętla miała około kilometra długości. Na koniec trener mierzył czas drugiego z pary. Ja tworzyłem duet z Bartkiem Ławą, który nie miał prawa jazdy, dlatego ja musiałem prowadzić. Pamiętam, że gdy tylko dotarliśmy do umówionego miejsca, „Ławka" wyskoczył z samochodu, zaczął biec jak oszalały, pokrzykując na mnie, żebym się ruszył. Ledwo co dotrzymywałem mu tempa, zwłaszcza po tej poprzedniej nocce. Na jednym z wiraży zauważyłem też dwóch doświadczonych piłkarzy, którzy schowali się w zaspie śniegu, bo nie mieli już siły na dalszy bieg. My jednak ukończyliśmy pętlę z najlepszym wynikiem, więc Bartek, który zawsze chce być pierwszy we wszystkim, na pewno miał satysfakcję. Pamiętam też, że zwycięstwo okupiłem tym, że pozbyłem się pysznego śniadania, które zjadłem rano...

***

Podczas kadencji trenera Artura Skowronka, ja oraz Maciek Dąbrowski, zmienialiśmy stan cywilny. Udało nam się uzyskać zwolnienia od szkoleniowca, choć nie było mu to w smak. Opuściliśmy więc obaj zgrupowanie i pojechaliśmy do swoich przyszłych żon. Wtedy oficjalna strona Pogoni opublikowała nasze zdjęcia z treningu z podpisem: „Wyjechali, aby powiedzieć sobie sakramentalne tak". Wiele serwisów sportowych z całej Polski podłapało tego newsa i żartowało, że ja i Maciek weźmiemy ślub ze sobą. Później żona poka-

zywała mi te wiadomości i mieliśmy z tego niezły ubaw. Media lubią wychwytywać nawet najmniejsze pomyłki.

***

W klubie grałem również za czasów trenera Dariusza Wdowczyka, więc wypadałoby opowiedzieć coś i z tego okresu. Nie szło nam wtedy najlepiej, przegrywaliśmy mecz za meczem. Doszło nawet do tego, że uległiśmy na własnym boisku GKS-owi Bełchatów. Frustracja na trybunach sięgnęła zenitu, kibice nas wyzywali. Wtedy trener kazał nam iść do fanów. Pokazał wręcz palcem sektor, pod który mieliśmy się udać. Było to dla nas dziwne, nigdy wcześniej nie doświadczyliśmy takiej sytuacji. Poszliśmy jednak pod ten Młyn, spuściliśmy głowy, nasłuchaliśmy się sporo niewybrednych komentarzy. Minęło trochę czasu, zaczęliśmy grać dużo lepiej, utrzymaliśmy się w lidze. Po jednym z wygranych meczów trener Wdowczyk zawołał nas wszystkich do siebie i powiedział, że kazał nam iść do kibiców ze spuszczonymi głowami po to, żebyśmy teraz mogli iść z podniesionymi. Bardzo mi to zaimponowało. To była świetna zagrywka psychologiczna.

Z kadencją tego szkoleniowca wiąże się jeszcze jedna historia. Wracaliśmy kiedyś z meczu na północy Polski i przejeżdżaliśmy przez Sianów, rodzinną miejscowość Sebka Rudola. Wtedy ktoś powiedział, że dobrze byłoby zrobić jakiś postój. „Rudi" odparł, że możemy zatrzymać się u niego w domu. Bartek Ława spojrzał na niego i zapytał: „Ale jak, zapraszasz nas do domu?" Seba powiedział, że tak i zaraz zadzwoni do mamy, żeby wstawiała wodę na kawę. Później śmialiśmy się, że jego mama musiałaby chyba gotować tę wodę w wannie, żeby starczyło dla naszej trzydziestki. Ostatecznie nie zatrzymaliśmy się u „Rudiego", chociaż on do końca wierzył, że do tego dojdzie. Za moich czasów w Pogoni mieliśmy naprawdę fantastyczne relacje w drużynie. Nigdy wcześniej i później nie miałem takiej szatni.

***

Moim ostatnim trenerem w Pogoni był Czesław Michniewicz. Przed jednym ze spotkań zabrał nas do zamku w Maciejewie. Szkoleniowcy mają różne sposoby na zmotywowanie piłkarzy: jedni wygłaszają przemowy, inni pusz-

czają filmy wojenne. Trener Michniewicz zrobił to jeszcze inaczej. Puścił nam film, który przedstawiał Szczecin z lotu ptaka. Każdy patrzył po sobie i zastanawiał się, czy już możemy wybuchnąć śmiechem. Żaden z nas nie miał pojęcia, o co trenerowi chodziło. Na koniec nasz opiekun powiedział, że Szczecin to piękne miasto i warto dla niego powalczyć. Dość „oryginalnie", nie powiem. Raczej nie mam miłych wspomnień z tym szkoleniowcem.

ROZDZIAŁ 59

Przyjechać, stanąć w sektorze gości i zaśpiewać

Robert Rusinek

Urodził się w 1981 roku w Szczecinie. Od ponad 20 lat jeździ po Polsce za Pogonią. Niedawno świętował jubileusz 200. wyjazdu na mecz Portowców. Od kilku lat pracuje społecznie w Stowarzyszeniu Kibiców Pogoni Szczecin „Portowcy", będąc jego sekretarzem. Zajmuje się m.in. organizacją wyjazdów dla kibiców Dumy Pomorza. Ze strony środowiska Pogoni jest też koordynatorem projektu „Kibice razem".

Wszystko zaczęło się w maju 1996 roku. Miałem 15 lat i chodziłem do 8. klasy szkoły podstawowej. W ekstraklasie przodowała wtedy Amica Wronki. W tym mieście mam rodzinę, więc musiałem trochę ponegocjować z rodzinami, że chcę odwiedzić bliskich. To były też początki organizowania pociągów specjalnych na mecze wyjazdowe. Pod pretekstem wyjazdu do rodziny pojechałem na mecz. Tak to się właśnie zaczęło. Do dziś pamiętam wynik tego spotkania, było 1:1, dla Pogoni bramkę z rzutu wolnego strzelił Piotrek Mandrysz.

Nieco ponad 20 lat później, w sierpniu 2017 roku, pojechałem za drużyną na mecz z Zagłębiem Lubin. Był to mój 200. mecz wyjazdowy za Portowcami. Sezon 2017/18 zakończyłem z liczbą 213 spotkań.

***

Nie od razu zacząłem jeździć na wyjazdy regularnie. W 1997 roku, gdy uczyłem się w technikum, poznałem kolegę, z którym zaczęliśmy powoli eskapady wyjazdowe. Jeszcze w tym samym roku zaliczyłem Katowice, a w kolejnych mecze Pucharu Ligi, m.in. Poznań. Od 2000 roku zacząłem jeździć

zdecydowanie częściej. Ten boom wyjazdowy miał związek z pojawieniem się w Pogoni inwestora z Turcji, pana Sabriego Bekdasa. Ze Szczecina zawsze wyjeżdżała liczna grupa, więc jeździliśmy i my. Od 2003 roku mogę powiedzieć, że jeżdżę na mecze Pogoni stale. Zdarzały się oczywiście przerwy, m.in. na emigrację, czy związane ze sprawami zawodowymi, czy zdrowotnymi, ale kiedy tylko mogłem, jechałem za Pogonią Szczecin wszędzie.

***

Jako kibic czuję to tak, że nie ma wyjazdów mniej albo bardziej ważnych. Nie prowadzę hierarchii, własnej klasyfikacji. Nieważne, czy jedziesz na Lecha, czy Stal Mielec, albo istniejącą kiedyś Dyskobolię Grodzisk Wielkopolski. Wiadomo, że są mecze ważniejsze piłkarsko – o utrzymanie, o awans, o puchary, o mistrzostwo. Ale dla prawdziwego kibica każdy wyjazd jest tak samo istotny. Przyjechać do innego miasta, stanąć w sektorze gości i zaśpiewać: „jesteśmy zawsze tam, gdzie nasza Pogoń gra!".

***

Kiedyś wyjazdy wyglądały inaczej. Obecnie większych problemów nie ma, może poza ciągłym kontrolowaniem kibiców oraz spisywaniem i poszukiwaniem nie wiadomo czego przez policję. Poza tym wyjazd przebiega w sposób cywilizowany, nieco lepiej niż kiedyś. Panowie z policji są natomiast nastawieni na ciągłe poszukiwania środków pirotechnicznych.

We wrześniu 2000 roku jechaliśmy na mecz Pucharu Polski do Opola. Pamiętają to na pewno starsi ode mnie kibice. Wyglądało to tak, że wsiadasz do pociągu i jedziesz, nic cię nie interesuje, nie ma żadnych dodatkowych kontroli. Z drugiej jednak strony w tym czasie 15, 20, a czasami nawet 25 osób w jednym przedziale w pociągu to była norma. Nasza eskapada czasami trwała po 30 albo i więcej godzin. Dosypiasz, gdzie tylko możesz: oparty o szybę na korytarzu pociągu albo w przedziale, jeśli znajdziesz choć trochę miejsca. Ale myślę, że to jest właśnie ta cała wyjątkowość. Dojechałeś, wróciłeś i po dwóch tygodniach znów chcesz ruszać w trasę.

***

Gdy jesteś młodym chłopakiem, to chodzisz na mecze oraz jeździsz za drużyną głównie ze względu na wyniki sportowe. Z biegiem czasu, jeśli jesteś czynnym kibicem, przechodzisz stopnie kibicowania. Stajesz się ultrasem, stajesz się aktywnym kibicem. W pewnej chwili może okazać się, że wszystko się odmienia. Wyniki oczywiście dalej cię interesują, ale to nie one decydują o tym, czy znów będziesz na wyjeździe. Wiesz, że na mecz pojadą twoi koledzy, więc po prostu jedziesz. Wyjazd jest czymś najważniejszym dla kibica.

***

Piłkarzom Pogoni może brakować umiejętności, techniki, ale nie może im brakować waleczności i serca dla tego klubu. Obrażać możemy się na wyniki, na grę poszczególnych piłkarzy, ale aktywni kibice i tak 2 tygodnie później będą na kolejnym wyjeździe. Dla mnie w pewien sposób, niestety negatywnie, znamienny był pucharowy mecz w Bytowie z Bytovią z jesieni 2017 roku. Długo będę go pamiętał. Uważam, że to spotkanie pokazało, jak daleko byliśmy w dupie i to, że nie wszystkim piłkarzom chciało się walczyć za tę drużynę.

***

Dozgonnie będę miał duży szacunek dla Olgierda Moskalewicza. Gdy grał w Pogoni, zawsze był ciekawy, co dzieje się u kibiców. W dniu meczu dopytywał, czy jedziemy, jak liczną grupą, czy wszystko jest u nas w porządku. Dlatego moim zdaniem Olgierd jest na pierwszym miejscu. Osobiście bardzo cenię też Rafała Murawskiego. I tutaj nie ma znaczenia, że grał w Lechu Poznań. Są jednak piłkarze, którzy nigdy nie powinni grać w Szczecinie.

***

Ludzie, którzy nie uczestniczą w aktywnym kibicowaniu, nigdy nie zrozumieją z jakimi emocjami to wszystko się wiąże. Myślę, że środowisko szczecińskie jest nieco inne od tego w całej Polsce. Mecze u siebie to jednak zdecydowanie inna specyfika i adrenalina od spotkań wyjazdowych.

***

Jechaliśmy na pierwszoligowy wyjazd do Kluczborka. Wyjazd jak wyjazd, nikt nie spodziewał się jakichkolwiek historii. Podróżowaliśmy pociągami, z dwiema albo trzema przesiadkami. Ostatnią, w pociąg osobowy, mieliśmy chyba w Ostrowie. W pewnym momencie jeden z kolegów zaczął coś majstrować i zrobił zwarcie w całym pociągu. Tabor stanął w polu kukurydzy i zanim usterka została naprawiona, dotarliśmy na 80. minutę meczu.

***

W 1999 roku jechaliśmy do Łodzi na mecz z Widzewem. Sama podróż obyła się bez przeszkód, 230 osób jechało pociągiem specjalnym. To, co zastaliśmy na miejscu, było trudne do opisania. Śnieżyca i zamiecie takie, że piłkarze, a nawet kibice, nic nie widzieli. Spotkanie trwało tylko 13 minut, po czym sędzia je przerwał. My natomiast jeszcze na trybunach urządziliśmy sobie wielką bitwę na śnieżki, po czym musieliśmy wracać do domu.

***

Za czasów Sabriego Bekdasa jechaliśmy do Olsztyna. Ze Szczecina wyjeżdżaliśmy przy słonecznej pogodzie, w wysokiej temperaturze. Większość kibiców w krótkich spodenkach i koszulkach. Gdy dojechaliśmy na wschód Polski okazało się, że… pada śnieg. Bez przerwy. Wszyscy byli przemarznięci na kość i pamiętam, że podczas akurat tego wyjazdu z napojów zdecydowanie królowała herbata.

***

Byliśmy w Poznaniu, to był 1 kwietnia 2005 roku. Podczas spotkania kibic Lecha Poznań zbiegł na murawę do sędziego i poinformował go, że właśnie zmarł papież Jan Paweł II[24]. Arbiter przerwał spotkanie, a kibice Pogoni odpalili krzyż wykonany z rac. Spotkanie zostało przerwane w 39. minucie i wszyscy w zadumie rozeszli się do domów. Między sobą szli wymieszani kibice Pogoni i Lecha. Kiedy już byliśmy w pociągu specjalnym, który miał nas zawieźć z powrotem do Szczecina, na peronie pojawiła się delegacja kibiców Lecha. Okazało się, że mają dla nas prowiant i napoje na drogę.

24 Papież zmarł 2 kwietnia, ale na podstawie informacji kibica mecz przerwano.

Prawie miesiąc później dogrywaliśmy to spotkanie. I wówczas, na pozostałą część meczu, w zasadzie jedynie drugą połowę, pojechało ponad 800 osób ze Szczecina.

***

W 2000 roku byłem już pełnoletni i szykował się wyjazd na mecz ze Śląskiem Wrocław. Mogę powiedzieć, że był to wyjazd dla „aktywniejszych" kibiców. Myślę, że każdy będzie wiedział, o co chodzi. Tego dnia miałem jednak egzamin poprawkowy, ostatni termin na uczelni i nie mogłem pojechać. Gdybym wtedy odpuścił, zostałbym wyrzucony z uczelni. To było nasze ostatnie dotąd zwycięstwo na stadionie we Wrocławiu i chociaż minęło prawie 17 lat, czasami wracam jeszcze do tego dnia myślami.

***

Po wielu latach aktywnego kibicowania zacząłem z ramienia Stowarzyszenia Kibiców Pogoni Szczecin „Portowcy" organizować wyjazdy. Przy okazji mniej licznych wyjazdów, jeśli chodzi o naszą frekwencję, formalności jest również mniej. Wszystko sprowadza się wtedy do sporządzenia „listy wyjazdowej" oraz wyborze odpowiedniego pociągu rejsowego.

Dużo więcej kwestii do zorganizowania pojawia się, gdy na mecz wyjazdowy udaje się dużo większa grupa naszych kibiców i trzeba zadbać o „pociąg specjalny". Mówimy o przypadkach, gdy jechać chce 500 i więcej osób. Wtedy musimy rozmawiać z PKP Intercity, z którym do niedawna współpracowało nam się bardzo dobrze. W ostatnich dwóch latach niestety to się zmieniło, głównie za sprawą władz PKP.

Przed każdym „specjalem" mamy do wykonania sporo telefonów, a wcześniej planujemy takie kwestie, jak odpowiednia godzina wyjazdu oraz przyjazdu, czy trasa, którą chcielibyśmy jechać. Nie jest też tak, że to wszystko robię sam. Zawsze mogę liczyć na pomóc kilku osób, bez których na pewno nie dałbym rady.

W przypadku pociągu specjalnego formalnie za wyjazd odpowiada nasze stowarzyszenie. Pociąg jest „nasz", jadą nim tylko kibice Pogoni Szczecin i nikt inny, włącznie z panami policjantami, nie ma do niego wstępu. Przekłada się to też na to, że za wszystkie ewentualnie powstałe szkody również od-

powiada stowarzyszenie. Dlatego też apeluję do wszystkich kibiców, by dbać i nie niszczyć transportu w trakcie podróży. Późniejsze kary od PKP przekładają się z kolei na droższe ceny kolejnych wyjazdów. Dotyczy to nie tylko „specjali", bo jeśli nie uda się zorganizować pociągu specjalnego i jedziemy rejsowym, to umowa pomiędzy PKP i stowarzyszeniem, a co za tym idzie – nasza odpowiedzialność, również obowiązują.

Za każde zniszczenia czy zaciągnięcie hamulca ręcznego, przewoźnik przewiduje kary. Naprawdę namawiam do tego, by znaleźć sobie inny sposób na wyładowanie się. Za jeden z wyjazdów do Gliwic, na który pojechało około 530 kibiców, PKP obciążyło nas karą 9 tysięcy złotych. Efektem tego może być to, że na kolejny wyjazd do Poznania kibice pojadą nie za 30 złotych, ale za osiemdziesiąt.

W samym pociągu również od rana mamy trochę pracy. Musimy wydzielić i odpowiednio wyznaczyć miejsca, by zabezpieczyć je np. dla dzielnic i fanklubów z konkretnych miast, z których kibice dosiadają się później. Myślę tu o Choszcznie, Drawsku oraz innych miastach. Chodzi o to, by w trakcie podróży mogli siedzieć razem i nie musieli zajmować pojedynczych, pozostałych wolnych miejsc albo tych na korytarzu. To jednak nie wszystko, bo w takim pociągu jest również wagon przeznaczony dla osób, które organizują wyjazd i – co pewnie wielu zdziwi – miejsca rodzinne. Przy zapisywaniu się na wyjazd można zaznaczyć taką opcję. Nasz najmłodszy wyjazdowicz miał 6 miesięcy.

Ten pociąg specjalny jest wygodniejszy, bo dostosowany do godzin meczu. Wsiada się w Szczecinie, a wysiada na stacji położonej najbliżej stadionu. W przypadku składów rejsowych, niejednokrotnie – głównie w Krakowie – zdarzało się, że musieliśmy opuszczać stadion w trakcie II połowy. A wszystko dlatego, że gdybyśmy zostali do końca, to kolejny pociąg odjeżdżałby dopiero o godzinie 5 nad ranem. Ludzie mają pracę, szkołę oraz inne obowiązki i zazwyczaj nie mogą sobie na to pozwolić.

***

Złośliwy rak tarczycy. Taką diagnozę otrzymałem wiosną 2018 roku. Nikomu tego nie życzę.

– Tylu ma pan gości, a to tylko rak tarczycy – powiedziała do mnie obo-

jętnym głosem pielęgniarka, gdy byłem w szpitalu po zabiegu wycięcia guza. Dziwiła się, że tak wielu znajomych mnie odwiedza. Rozumiem, że spotyka się z takimi przypadkami na co dzień, ale naprawdę nie wiedziałem, co jej wtedy odpowiedzieć. Nie powiedziałem nic.

Gdy dochodziłem do siebie w szpitalu, środowisko kibicowskie zorganizowało akcję, której przekazem były wyrazy wsparcia. W internecie pojawiały się kolejne filmy z grupami z różnych miast, które stworzyły transparenty z hasłami motywującymi i śpiewem dopingowały mnie w walce o zdrowie. Transparent z hasłem „Robcio będzie OK" pojawił się także podczas meczu ligowego w Szczecinie, a w Krakowie piłkarze Pogoni wyszli na rozgrzewkę w koszulkach z dedykacją dla mnie.

Wiem, na czym polegają akcje tego typu, ale nawet mnie skala tego wszystkiego trochę przerosła.

W każdym klubie ktoś musi pracować na to, by jego kibice mieli zagwarantowane wszystko od A do Z. W Pogoni jestem to ja i kocham to, co robię. Nie ukrywam jednak, że były też takie chwile, gdzie byłem tym wszystkim mocno zmęczony, bo z innych rzeczy musiałem rezygnować. Zastanawiałem się nawet, czy nie odpuścić, by zająć się sobą. Muszę jednak przyznać, że po tak licznych wyrazach wsparcia nie umiałbym teraz tego zrobić, nabrałem trzykrotnie więcej siły i chcę dalej działać dla wszystkich kibiców. Skala wsparcia przerosła moje najśmielsze oczekiwania.

Nie chcę teraz nawet wymieniać, bo mógłbym kogoś pominąć i byłoby niezręcznie. Wszystkim chcę za to bardzo podziękować i walczymy dalej.

***

Pogoń Szczecin jest dla mnie najważniejsza na świecie. I to jest koniec. Nic więcej nie musisz dodawać. Wielu aktywnych kibiców może powiedzieć, że gdyby nie zaangażowało się w działania kibicowskie, ich życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Jestem zadowolony, że to wszystko mnie spotkało i tak właśnie potoczyło się moje życie.

ROZDZIAŁ 60

Po co dzwonisz drugi raz?

Andrzej Rycak
117 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1970 roku. Pochodzi z Zamościa. W klubie występował, z roczną przerwą, w latach 1994-99. Po zakończeniu kariery wrócił na Zamojszczyznę, gdzie prowadzi zajęcia dla dzieci. Jego brat bliźniak Wojciech również był piłkarzem.

Zostałem zauważony przez szczecińskich włodarzy po meczu w Lublinie, kiedy to drugoligowy Motor mierzył się w Pucharze Polski z Pogonią. To właśnie Portowcy byli faworytami tego spotkania, a mimo to zwyciężyliśmy u siebie po rzutach karnych. To ja wykonywałem ostatnią jedenastkę przeciwko Radkowi Majdanowi.

Latem zostałem zaproszony na testy i już zostałem w pierwszoligowej Pogoni. Pamiętam, że na początku chłopaki robili sobie żarty, że mam akcent jak bohaterowie filmów o Kargulu i Pawlaku.

***

W tamtych czasach dojazd do Szczecina nie należał do łatwych tras, ponieważ z Lublina jeździł tylko jeden wieczorny pociąg. Najpierw musiałem dojechać tam jednak z Zamościa.

Pamiętam jak Robert Dymkowski razem z Olkiem Moskalewicz i Markiem Walburgiem, byli przerażeni tym, jak długo będą siedzieć w pociągu, żeby przyjechać do Zamościa na mój ślub.

***

Kiedy przychodziłem do Pogoni, to chrzty w drużynach nie były już tak popularne. Na moim pierwszym obozie trener wskazał mi dziewczynę i powiedział, że jeśli z nią zatańczę przy wszystkich, to nie będzie lania w tyłek. Jakoś udało mi się ją wyprosić. Ona było nieco skrępowana, ale zatańczyliśmy i tym samym mi się upiekło.

***

Pewnego razu, podczas pobytu w Kuala Lumpur na zagranicznym obozie, udaliśmy się taksówką z Robertem Dymkowskim i Olkiem Moskalewiczem na plażę. Pływaliśmy sobie, aż nagle ludzie zaczęli do nas machać i pokazywać z oddali, że ktoś się topi.

Ja zostałem z naszymi ubraniami i aparatem fotograficznym, a chłopaki wskoczyli za dziewczyną i chłopakiem do wody. Wyciągnęli ich i tym samym uratowali im życie.

Później żartowałem, że kierowałem całą akcją ratunkową z brzegu.

Udając się na właśnie na ten obóz przygotowawczy do Malezji, każdy z nas zabrał ze sobą jakiś przysmak. Paweł Drumlak nabrał ze sobą batoników – pawełków – którymi bardzo się zajadał.

– Trenerze, nie uwierzy pan! – zagadnęliśmy Bogusława Baniaka. – Przy naszym hotelu jest polski sklep!

Trener oczywiście nie chciał nam uwierzyć, więc założyliśmy się z nim, że jeżeli przyniesiemy mu do pokoju pawełka, to on skoczy w ubraniu do basenu. A skoro szkoleniowiec dał się nabrać, to nie było zmiłuj i wylądował w wodzie.

Pan Baniak zawsze miał duże poczucie humoru, potrafił sobie z nas żartować. Byliśmy z „Olem" w pokoju i zadzwoniliśmy do trenera, który był w gabinecie masażysty.

– Dzień dobry, tu „Przegląd Sportowy", czy możemy z panem porozmawiać? – zaczęliśmy żarty. Oczywiście trener podłapał temat i tak przeprowadziliśmy swój pierwszy w życiu wywiad. Choć do dziś nie mam pewności, czy on również nie zorientował się w tej całej sytuacji i nie pogrywał z nami.

***

Wielu kibiców ma w pamięci wygrany 3:2 mecz z Lechem Poznań z początku 1995 roku. Jeszcze minutę przed końcem przegrywaliśmy 1:2. Dla nas wszystkich było to wyjątkowe spotkanie, ale dla mnie chyba najbardziej, bo strzeliłem wtedy swoją pierwszą bramkę w Pogoni.

Prawda jest taka, że „po meczu" powinno być już na początku drugiej połowy, kiedy Lech prowadził dwiema bramkami. Chwilę później „Dymek" zdobył kontaktowego gola. W końcówce, za sprawą Maćka Stolarczyka, zrobiło się 2:2. Otrzymaliśmy szansę, która w ogóle nie powinna nam się przytrafić. Była końcówka meczu, sił mniej, ale muszę przyznać, że ta adrenalina nas uskrzydlała. Pognałem od połowy za piłką i udało mi się strzelić na 3:2! To było coś niesamowitego. Mówię oczywiście o naszych kibicach, bo fani Lecha zaczęli trochę broić.

Ten mecz jedynie potwierdził, że piłka jest piękna i nieprzewidywalna. W kilka chwil odmieniliśmy losy spotkania i staliśmy się bohaterami.

Spotkania z Lechem zawsze były gorące. Pamiętam, że trener Kolejorza zapowiadał przed rozpoczęciem wiosny, że poznańska lokomotywa straci w całej rundzie tylko cztery bramki. No to u nas na początku wiosny dostała już trzy.

***

Wiadomo, że życie to nie tylko żarty i miłe sytuacje. Są też poważniejsze i bardziej przykre momenty. Nie zapomnę, jak spadliśmy z Pogonią z I ligi po meczu z GKS-em Bełchatów w 1996 roku. Wtedy niesłusznie czerwoną kartkę otrzymał Leszek Pokładowski. Powiedzieć, że sędziowanie było stronnicze, to jakby nic nie powiedzieć. Wyszedłem z szatni i zadzwoniłem do mamy, żeby przekazać jej smutną wiadomość.

– Mamo, jesteśmy zdegradowani – powiedziałem do niej.

– No przecież dzwoniłeś przed chwilą i mówiłeś, że spadliście – odpowiedziała, a ja zbaraniałem. – Dzwonisz drugi raz?

Okazało się, że chwilę wcześniej telefonował do niej mój brat Wojtek, który tego samego dnia spadł do II ligi ze Stalą Mielec. Później chłopaki żartowali, że moja mama dowiedziała się o tym wcześniej ode mnie.

Dwa lata później znowu graliśmy ważny mecz z Bełchatowem, w którym mogliśmy zapewnić sobie utrzymanie na kolejkę przed końcem rozgrywek. Historia powtarzała się niemal identycznie. Graliśmy w osłabieniu, po tym jak Maciek Stolarczyk dostał czerwoną kartkę. O naszym zwycięstwie 1:0 zdecydował gol Piotra Mandrysza.

Mieliśmy coś do udowodnienia w tym spotkaniu i siedziała w nas sportowa złość. Po jego zakończeniu otrzymałem od kibiców przydomek „Książę Szczecina".

***

Nie ma co ukrywać, byłem zżyty ze szczecińskim fanami i oni ze mną także. To dla nich grało się w piłkę i zawsze bardzo przyjemnym momentem było dla mnie, kiedy kibice skandowali moje imię i nazwisko. Niezależnie od tego, czy schodziłem z boiska, czy dopiero się na nim pojawiałem.

Muszę powiedzieć, że szczecińscy kibice są wyjątkowi, dali mi wiele chwil radości.

***

W meczu z Siarką Tarnobrzeg strzeliłem bramkę numer 1000 dla Pogoni w najwyższej klasie rozgrywkowej. Nawet nie wiedziałem przed tym spotkaniem, że jest na to szansa. Otworzyłem wynik, później gola zdobył „Dymek" i ja dołożyłem kolejne trafienie, które okazało się być tym jubileuszowym.

Dopiero po jakimś czasie dowiedziałem się z prasy, że to okrągła bramka. Myślę, że dzięki temu w jakiś sposób na dłużej zapisałem się w historii klubu.

***

W końcu nadszedł też czas na rozstanie. W pewnym momencie nie byłem pewny miejsca w zespole. Przyszedł nowy trener, który miał swoją wizję na prowadzenie drużyny. Do tego byłem rozkojarzony faktem, że urodziło mi się dziecko. Ono było w Zamościu, a ja w Szczecinie. Wtedy trener Bogusław Baniak prowadził Odrę Opole i zaproponował mi przejście do jego drużyny. Pogoń zgodziła się i zostałem wypożyczony.

Wypożyczenie trwało pół roku, a miałem jeszcze dalej ważny kontrakt

z klubem. Wiosną udałem się do USA. Na miejscu okazało się, że budżet klubu nie pozwalał na podpisanie ze mną umowy, dlatego zostałem tam na jakiś czas, żeby popracować, bo piłka nie była już wtedy dla mnie najważniejsza. Po powrocie z San Jose trafiłem z powrotem do Hetmana Zamość.

ROZDZIAŁ 61

Ratowałem wicemistrzostwo, choć mogliśmy być Mistrzem Polski

Andrzej Rynkiewicz
18 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1948 roku w Szczecinie. Jest wicemistrzem Polski juniorów z 1965 roku. W klubie występował w latach 1966-70. Potem pełnił rolę kierownika zespołu, a następnie kierownika sekcji piłki nożnej i dyrektora klubu. Pracował w Pogoni, gdy ta grała w finałach Pucharu Polski (1981, 1982), zajmowała 3. miejsce w lidze (1984) oraz zdobywała wicemistrzostwo (1987).

Mieszkałem w bloku na Gorkiego, zresztą w tym samym, w którym legendarny juniorski trener Pogoni Zbigniew Ryziewicz. Na stadion Pogoni miałem „rzut kamieniem". Gdy na Twardowskiego padała bramka dla Portowców, to my to w domu doskonale słyszeliśmy. Zresztą nie tylko my, cała okolica również. My natomiast, jako dzieci, graliśmy wówczas po wszystkich okolicznych boiskach. Jednym z nich było to zlokalizowane nieopodal Mostu Akademickiego. Teraz tam też jest jakiś plac, ale wówczas było prawie pełnowymiarowe. Właśnie tam codziennie rywalizowała okoliczna młodzież. Ja tam na początku tylko przychodziłem, bo grali starsi. Któregoś razu padło jednak: „mały, zagrasz?". I mnie wzięli. Zaglądał tam pan Florian Krygier. Po którymś z meczów zagaił: „chodź blondynku, nie chciałbyś grać w Pogoni?". I tak się zaczęło. Na początku jednak nie na długo... Przyszedłem na trening – ja, jakiś tam łebek – a tam niemal same cwaniaczki! Pogoniarze! Wie pan, stroje, wszystko. Popatrzyłem na to i chyba mi się przestało chcieć. Na następnych treningach już się nie pokazałem.

***

Rok później, to było w 1961 jeśli dobrze pamiętam, pan Florian organizował turniej dla szkół podstawowych. Moja szkoła wygrała te zawody, ale nie to było najważniejsze. Po turnieju została wyselekcjonowana grupa najlepszych siedmiu zawodników, która miała rozegrać mecz z rówieśnikami – właśnie juniorami Pogoni Szczecin. Znalazłem się w tej grupie. Dla nas wszystkich ten mecz był wyjątkowy, bo miał odbyć się bezpośrednio przed spotkaniem seniorów Pogoni w ekstraklasie.

Wówczas ludzie na mecze przychodzili 2-3 godziny wcześniej. Zajmowali miejsca, grali w karty. A przy okazji oglądali spotkania drużyn młodzieżowych. Myślę, że podczas naszego spotkania na trybunach mogło być już nawet 10 tysięcy widzów! My graliśmy w poprzek boiska. Drużynę tworzyło siedmiu zawodników. 13-latkowie ze szczecińskich szkół podstawowych przeciwko Pogoni. A tam już wtedy były ciekawe nazwiska. Chociażby późniejszy ekstraklasowy piłkarz Jurek Jatczak. Strzeliłem 3 bramki, ten mecz wygraliśmy 5:3. Wróciłem do treningów z Pogonią i… ci sami zawodnicy patrzyli na mnie zupełnie inaczej. Wygrałem to sobie na boisku.

***

Na początek pan Florian żartobliwie zapytał mnie: „co, znowu uciekniesz?". Odpowiedziałem od razu, że teraz to już nie, bo mam inną pozycję! Zresztą, z Florianem Krygierem wiąże się również ciekawa historia, bo z wyróżniającymi się trampkarzami… przeprowadzał indywidualne treningi. Niby proste zadania, ale brał jednego delikwenta i rzucał mu piłkę i kolejne komendy: „przyjmij klatką piersiową, oddaj prawą nogą!" albo „odbij głową, podaj lewą nogą!", „podbij kolankiem, oddaj głową!". To są proste kwestie, ale mam wrażenie, że tego podstawowego wyszkolenia niekiedy brakuje niektórym obecnym zawodnikom, nawet w ekstraklasie.

Mieszkaliśmy nieopodal kortów tenisowych, więc „polowaliśmy" na piłeczki. Gdy udało się taką zdobyć, mieliśmy okazję ćwiczyć żonglerkę. Śrubowaliśmy rekordy podbić taką piłeczką albo graliśmy na podwórku w „kluchy". Do tego potrzebowaliśmy ulicy z betonowych płyt, które wyznaczały pola poszczególnych zawodników. Tu wiele się nie zmieniło, bo przecież ul. Gorkiego do dziś jest właśnie z tych płyt, chociaż obecnie pewnie nikt tam w „kluchy" już nie gra.

***

Po etapie „zabawowym" u pana Krygiera, przychodziła prawdziwa szkoła u wspaniałego trenera Zbigniewa Ryziewicza. Stawaliśmy się juniorami, a w drużynie byliśmy jak rodzina. Z jednej strony będąca ze sobą blisko, a z drugiej strony z bardzo surowymi rodzicami. Ich rolę pełnili właśnie trener Ryziewicz oraz kierownik Marian Barański. Wielka postać, miał za sobą obóz koncentracyjny w Oświęcimiu. Nie było tak, że to byli tylko trener i kierownik. Oni byli mentorami, wychowawcami. Jak oni powiedzieli, tak było, wszyscy ich słuchali. Któregoś razu podczas zgrupowania w Międzywodziu, gdzie Zarząd Portu miał swoje ośrodki, z kolegą Jurkiem Goździakiem wyskoczyliśmy wieczorkiem na dancing. Poznał jakąś Grażynkę. Okazało się, że z boku obserwował nas kierownik, a chwilę później byliśmy już w jego szponach. W „nagrodę" biegaliśmy po plaży, a gdy zrobiło nam się słabo, to kazał nam robić fikołki. A później… marsz z powrotem do łóżek. Ale nawet jak była kara, to po karze nikt do tematu nie wracał, nikt nie rozpamiętywał, nie chował urazy. Myślę, że to wszystko zaprowadziło nas właśnie do największego w tych czasach sukcesu Pogoni, czyli wicemistrzostwa Polski juniorów w 1965 roku. Rok wcześniej Mistrzem Polski została Arkonia Szczecin, a o jej tytule zadecydował ślepy los – rzut monetą, orzeł-reszka, a nie np. rzuty karne. I my tę drużynę kilka miesięcy później ograliśmy.

Z tej drużyny kilku zagrało potem w ekstraklasie. Przede wszystkim Zenon Kasztelan, który już w debiucie w seniorskim zespole strzelił hat-tricka. Niedługo po Mistrzostwach Polski juniorów ja również debiutowałem u boku Mariana Kielca w napadzie, gdzie graliśmy wówczas systemem 4-2-4. W debiucie zdobyłem bramkę i do dziś jestem najmłodszym debiutantem Pogoni ze strzelonym golem! Z tego pokolenia byli też Ryszard Malinowski i wspomniany wcześniej Jatczak.

***

Największy dotychczasowy sukces klubu, wicemistrzostwo Polski juniorów – byłem jako zawodnik. Największe sukcesy – dwukrotny udział w Pucharze Polski – byłem jako kierownik. Mistrzostwo Polski juniorów i wicemistrzostwo Polski seniorów – byłem jako szef sekcji. Chwalę się, ale faktycznie byłem człowiekiem, który pracował przy wszystkich sukcesach sportowych

Pogoni XX wieku.

Od 1960 do 1970 roku byłem w Pogoni jako piłkarz. Od 1980 do 1989 roku jako kierownik drużyny i kierownik sekcji. Następnie od 1990 do 1997 roku jako dyrektor klubu. 28 lat w Pogoni – większość mojego życia zawodowego.

***

1965 rok. Podczas zgrupowania z drużyną juniorską w Szczecinku graliśmy sparing z seniorami. Do 70. minuty wynik 0:0. Trener Stefan Żywotko wściekał się na swoich zawodników, a Ryziewicz tylko się uśmiechał. Dodatkowo dwa razy sam na sam był nasz Zenon Kasztelan, ale muszę przyznać, że Bogdan Białek, taki typ kota w bramce, nabierał go i bronił te sytuacje. Wyobraźmy sobie, jak silna to była drużyna juniorów! Z Zenkiem, który chwilę później zadebiutował na zapleczu w dorosłej drużynie i w debiucie sieknął trzy bramki! Ale wracając do meczu, ostatecznie przegraliśmy go 0:2. W końcówce po bramce wrzucili Marian Kielec i Jurek Krzystolik. Ostatecznie blamażu nie było. W trakcie meczu była jeszcze jedna ciekawostka. Nasz kapitan Kazimierz Protczak był dwukrotnym juniorskim Mistrzem Polski w zapasach. I Marian podszczypywał go, że „może coś spróbujemy, może zobaczymy?". Za chwilę patrzymy, a tam „salto, bach!" i Marian leży na plecach! Mecz wewnętrzny, obeszło się bez kartki, ale takie historie się działy!

***

1966. Zdawałem egzaminy na uczelnię wyższą. W tym czasie po raz kolejny dotarliśmy do finałów juniorskich Mistrzostw Polski, graliśmy z Zawiszą Bydgoszcz w Poznaniu. Spotkanie odbywało się o godz. 16 albo o 17. Mój egzamin na matematykę na Wydziale Budownictwa zaczął się o 9. A przecież nie było wtedy dróg ekspresowych i autostrad. Napisałem jak tylko szybko się dało i wyszedłem. A pod gmachem uczelni czekała moja mama i… ówczesne tuzy klubu: Roman Wilczek, Lucjan Kosobucki i Zofia Kempa. Trzy nieprawdopodobne postaci! Mało tego! Za nimi stała czarna wołga z osobistym kierowcą Mariana Łempickiego, ówczesnego przewodniczącego Rady Miasta. To wszystko potrafił zorganizować klub, żebym miał szansę dotrzeć na ważny

mecz juniorski. Żebyśmy mieli szansę dojechać, musiałem z egzaminu wyjść najpóźniej w południe. Wyszedłem chwilę po 11.

– Coś napyskowałeś, że tak szybko cię wyrzucili? – zapytała mama, która wiedziała do czego jestem zdolny.

– Nie, nie, tym razem nie, po prostu chcę już jechać na mecz! – powiedziałem samą prawdę.

Po drodze, za Gorzowem Wielkopolskim, zatrzymaliśmy się jeszcze i „na wzmocnienie" dostałem schabowego, kapuchę i ziemniaki. Być może właśnie przez tę dietę nie strzeliłem rzutu karnego przy stanie 1:1. Na szczęście wygraliśmy 2:1 i koledzy uratowali mi skórę. W tym roku całe mistrzostwa wygrała Hala Łódź. Jest to o tyle ciekawe, że był to pierwszy sukces Leszka Jezierskiego, który otrzymał ten zespół do prowadzenia jako młody szkoleniowiec.

***

1970. Przez cztery sezony zaliczyłem kilkanaście meczów w I zespole. Byłoby ich zdecydowanie więcej, ale postawiłem na naukę. Najpierw przez miesiąc odbywałem Studium Wojskowe, które było wtedy dla studentów skróconą formą służby wojskowej. Przez to mogłem popołudniami potrenować jedynie z rezerwami. Później zaczęła się poważna nauka i przyszła obniżka formy. Spadła mi waga, fizycznie byłem słabiutki. Poszedłem w odstawkę i grałem gdzieś tam w rezerwach. Następnie jednak pozdawałem wszystkie egzaminy „zerówkowe" i kiedy zimą albo latem jechaliśmy na obozy przygotowawcze, to tam udawało mi się odbudować i znów zaliczyć kilka spotkań w seniorach. W trakcie zgrupowań nie miałem zajęć dydaktycznych, trenowałem, porządnie się wysypiałem. Forma wracała! Kto prześledzi statystyki, ten zobaczy, że niemal co rundę zaczynałem od gry, a po kilku kolejkach szedłem w odstawkę. Zazwyczaj był to już okres, gdy znów skupiałem się na studiach. Na uczelni żadnych ulg nie miałem, musiałem chodzić na wszystkie zajęcia i laboratoria. Uważam, że nie dało rady tego połączyć. W 1970 roku sytuacja powtórzyła się. Po kilku kolejkach usłyszałem od trenera Eugeniusza Ksola, że nie jadę do Chorzowa i będę grał w rezerwach. Wściekłem się, odmówiłem, rzuciłem butami i to był mój piłkarski koniec w Pogoni.

***

1979. Gdy Marian Kielec wznowił karierę i do nas wrócił, bo go poprosili, to miał 37 lat i jeszcze coś. Pecha, bo trafił na tego, kurwa, idiotę. Nazywał się Konstanty Pawlikaniec i był w tym czasie trenerem. Nie chcę go obrażać, ale jako fachura i praktyk był idiotą. Wybitna postać, ale teoretyk! Mógł pięknie pisać książki, ale nie prowadzić zespół piłkarski. Wcześniej był w Stali Mielec i był tak samo oceniany, bo nie radził sobie z selekcją. Ale takie to były czasy, że jak ktoś wydał książkę, to zaraz mówiono: „o, dobry trener, bierzmy go i będą zaraz sukcesy". A wychodził na boisko i nie wiedział co z czym i dlaczego.

***

1980. Po powrocie ze Stanów Zjednoczonych, gdzie grałem jeszcze w piłkę, dalej mieszkałem przy Gorkiego. Moim sąsiadem był Jerzy Kopa, którego ojciec grał w Filharmonii i dorabiał w Operetce. W każdą niedzielę pół osiedla słyszało jego „trele morele" na klarnecie. Któregoś dnia Jurek spotkał mnie na osiedlu.

– „Niunia", co ty tu robisz!? – zapytał wyraźnie zaskoczony, że mnie widzi.

– Wróciłem ze Stanów, rozglądam się – odpowiedziałem.

– Chyba nie zamierzasz wracać do biura projektów, nie będziesz inżynierem – dopytywał, wiedząc, że miałem już dość spore doświadczenie w tej branży. – Tam przecież nic się teraz nie dzieje, będziesz kisił się przez kolejne lata! Chodź do mnie, potrzebuję kierownika drużyny.

Do tego momentu w Polsce kierownikami byli ludzie bez wykształcenia. Najczęściej piłkarze, z którymi coś trzeba było zrobić. A tu przyjeżdża ze Stanów wykształcony facet, inżynier znający języki. Nie byłem zachwycony tym pomysłem. W dodatku przez wiele lat Florian Krygier nie mógł mi zapomnieć, że jeszcze gdy grałem, poszedłem kopać piłkę do konkurencji, do Stali Szczecin. Przekonał się do mnie po naprawdę długim czasie. Oj, był pamiętliwy, był.

Schedę przejąłem po byłym zawodniku Ryszardzie Mańce, któremu Marian Kielec załatwił wyjazd do Kanady. Początki nie były łatwe, bo w 1980 roku cudem uratowaliśmy się przed spadkiem z zaplecza ekstraklasy. Ale później zaczął się nieprawdopodobny marsz w górę.

***

1986. Po Mistrzostwie Polski juniorów pojechaliśmy na towarzyski turniej do Francji. Zabraliśmy ze sobą – co pewnie nikogo nie zdziwi – dwóch bramkarzy. Pierwszy mecz – kontuzja golkipera. Drugi – kolejny bramkarz w szpitalu. Do końca turnieju graliśmy bez normalnego „łapacza"! I teraz najciekawsze: doszliśmy do samego finału! W finale w bramce stanął taki rosły zawodnik z pola, napastnik, Jarosław Olechowski. Był w zespole, który zdobył chwilę wcześniej Mistrzostwa Polski juniorów. Finał ze szwedzkim IFK Göteborg przegraliśmy m.in. przez jego błąd przy interwencji. Nie wiem, co chciał zrobić, ale na pewno nie miał w planach złapania piłki. Oczywiście nikt nie miał do niego pretensji, ale po latach jest co powspominać i z czego się pośmiać. Poza tym ta juniorska drużyna okrzepła, chłopcy zobaczyli, że nie są „palcem robieni". Mogli wygrać mocno obsadzony turniej. Z tej drużyny bardzo duża grupa zawodników doczekała się później debiutów w pierwszej drużynie. I nawet jeśli nie zrobili dużych karier, to zaistnieli.

***

1987. Był taki słynny mecz Pogoń – Legia. Wygraliśmy 4:3. Mogę to śmiało opowiedzieć. W drugiej połowie nie wytrzymałem! Zbiegłem na dół do trenera Leszka Jezierskiego.

– Natychmiast wypierdol na ławkę któregoś z Sokołowskich! – wrzeszczałem. – Inaczej przegramy ten mecz!

Spodziewałem się niektórych sytuacji, tym bardziej, że byłem obarczony pewną wiedzą. Przed meczem przyszedł do mnie Marek Ostrowski.

– Panie kierowniku, była dzisiaj na osiedlu czarna wołga na warszawskich blachach – powiedział, a akurat na jego osiedlu mieszkało wielu zawodników Pogoni. – Niech pan uważa.

Wróćmy do boiska. Co chwilę dalekie lagi, centry i legioniści wszystko kasują głową. A nam ucieka wicemistrzostwo Polski! Ku mojemu zdziwieniu trener Jezierski nie zareagował nerwowo na mnie i moją wizytę przy ławce.

– Cyzio, wchodzisz na stopera! – szkoleniowiec krzyczał do młodego Jacka. – Jurek, za chwilę schodzisz! – tu z kolei wydzierał się do starszego z braci Sokołowskich.

I dziś mogę powiedzieć, że wicemistrzostwo Polski obroniliśmy młodym

Jackiem Cyziem, grającym na pozycji stopera.

Samo Mistrzostwo przegraliśmy niestety trochę później, w 28. kolejce w Zabrzu. Przy stanie 1:1 Marek Leśniak minął bramkarza Józefa Wandzika. Strzelił do pustej bramki, uniósł ręce w górę i zaczął biec w naszą stronę. W tym samym czasie piłka toczyła się do bramki, a w ostatniej chwili z linii na rzut rożny wybił ją obrońca Górnika. Za chwilę na 2:1 strzelił nam Andrzej Iwan. Gdybyśmy wygrali ten mecz, być może bylibyśmy Mistrzami Polski.

Przez cały kolejny rok Jurek Sokołowski, który był kimś w rodzaju szefa związków robotniczych, czy zawodowych, robił na mnie nagonkę. Za to, że – jak twierdził – wyrzuciłem go ze składu. Na koniec sezonu podziękowałem za współpracę i… zostałem reporterem „Przeglądu Sportowego".

***

1990. Po wielu zawirowaniach i prośbach, żebym pomógł ratować Pogoń, wróciłem i zostałem dyrektorem klubu. Jest gdzieś nawet taki wywiad, który przeprowadzał ze mną Ryszard Godlewski, a którego tytuł brzmiał: „Wejdę w pakt z diabłem, żeby pomóc Pogoni". I myślę, że pomogłem, bo w tym czasie wprowadziłem piłkarzy i koszykarzy do najwyższej klasy rozgrywkowej.

Przede mną zalążki nowego pomysłu na klub wprowadził dyrektor Zbigniew Pundyk. Nowego pomysłu, bo przecież po zmianie ustroju, jak powiedział Lech Wałęsa, trzeba było wszystko wziąć w swoje ręce. Pundyk sportem się nie interesował, a jak przychodził do niego Mariusz Kuras, to pytał: „kim ty jesteś?". Ale łeb miał na karku. I to z jego inicjatywy na Pogoni powstała giełda samochodowa, choć wtedy funkcjonowała na zasadach „50/50". To znaczy, że połowę zarabiała Pogoń, a połowę PZMot. Jedną z pierwszych zasad, które zmieniłem, było to, że „95 procent przychodów my, a 5 oni". A później tak to rozkręciłem, że naprawdę się działo! A ja mogłem tu ukryć masę kosztów klubu. Piłkarze, którzy nie łapali się, to przychodzili i przy autogiełdzie sobie dorabiali. Można powiedzieć, że w pewnym momencie byłem tu szefem pięciuset osób. Później tę giełdę zabrało nam miasto, konkretnie Unia Wolności. Wzięli na siebie organizację i koszty, a my otrzymywaliśmy z urzędu dotację. Ale to już nie było to, tym bardziej, że nie mogłem już ukrywać tam kosztów.

***

1998. Już jako szef sekcji piłki nożnej pojechałem z Markiem Ostrowskim na testy do Bayeru Leverkusen. Oni byli świeżo po zdobyciu Pucharu UEFA, więc proszę sobie wyobrazić, jaki to był kaliber. Była okazja dobrze go sprzedać, a poza tym należało mu się – swoje „odegrał", pograł w reprezentacji. Wziął udział w kilkudniowych testach. Oni w sobotę grali mecz ligowy, a Marek w piątek trenował razem z I drużyną.

– To jest nie do uwierzenia, co oni wyprawiają w gierkach! – Marek ekscytował się i opowiadał, gdy jeszcze żył. – Jest dzień przed meczem, a oni nie patrzą, walą się po nogach jak szaleni! Jadą równo po to, żeby dostać „stammplatz", czyli miejsce w wyjściowym składzie.

Testy były zorganizowane wzorowo. Bayer zapłacił za wszystko, ugościł nas wspaniale. Na koniec holenderski trener Rinus Michels zaprosił mnie do siebie.

– Ma pan u siebie wspaniałego zawodnika – mówi do mnie. – Ale w tym momencie nie jest lepszy od chłopaków, których tu mam. Życzę wam powodzenia, ale go nie wezmę.

Oni już wtedy mieli zasadę, że zagraniczny piłkarz, w dodatku doświadczony, musi być dwa razy lepszy od swojego. A mam wrażenie, że u nas czasami do dziś w wielu klubach funkcjonuje to na odwrót.

***

W latach 90. każdy zawodnik ekstraklasowy był u kogoś „na etacie". Mariusz Kuras z Andrzejem Miązkiem dostawali od nas stypendium, ale dodatkowo mieli wałówę i pensję od pana, który prowadził masarnię. Szczeciński, niestety nieżyjący już, optyk Zbyszek Kruszona utrzymywał w swojej firmie Wiesława Latałę. Roberta Dymkowskiego sponsorowałem osobiście, bo oprócz w pracy w Pogoni prowadziłem też inne interesy. Później „Dymek" trafił pod skrzydła innego biznesmena. Podobnych opiekunów finansowych mieli też inni, np. Radek Majdan, Maciek Stolarczyk. Tak trzeba było wtedy funkcjonować. Odcięto mi zastrzyki finansowe z Zarządu Portu, a zostawiłem klub bez złotówki długu! No, mieliśmy trochę zaległości wobec ZUS-u, ale również ugodę, która finalnie miała prowadzić do umorzenia. Żadnemu zawodnikowi nie byłem dłużny ani grosika.

***

Za Jacka Cyzia najpierw za rok brałem 100 tysięcy dolarów za wypożyczenie! 100 tysięcy wziąłem też za kolejne – trzymiesięczne – wypożyczenie Jacka do Legii Warszawa. Miał wracać z wojska, ale był Legii bardzo potrzebny. Usłyszałem: „każdą sumę powiedz, to ci zapłacimy". No to zapłacili. A my dzięki temu mieliśmy trzymiesięczny budżet. 10 tysięcy dolarów to była wtedy wartość stypendium dla 128 sportowców!

Tym bardziej krajało mi się serce, gdy widziałem, w jaki sposób negocjowano transfer Marka Leśniaka do Bundesligi. Sprzedali go za jakieś śmieszne pieniądze, które w dodatku dostali na konto w banku. Ten przeliczył im pieniądze po oficjalnym kursie walut, więc ponownie byli w plecy. Dla porównania – 100 tysięcy, o których mówiłem, przywiozłem do klubu, zamknąłem w sejfie i jak była potrzeba, to pracownik klubu szedł do kantoru i wymieniał. Tym bardziej, że nasz były pracownik, taki mały Żyd Moszkowski, założył w Szczecinie dwa kantory. Szło się więc do niego, wymieniało 10 tysięcy i mieliśmy na miesiąc życia.

***

Koledzy naszego trenera Gienka Ksola z Górnika Zabrze, z którym wtedy wygraliśmy, po meczu poszli do niego do domu. Postawił wódkę, ugościł, a w tym czasie… jeden z przedstawicieli śląskiego klubu przekonywał Marka Leśniaka do przejścia do Górnika! Po dwóch dniach dowiedziałem się, że Marka Leśniaka nie ma w Szczecinie. Poszedłem do ówczesnego wiceprezesa klubu Zbigniewa Zieleniewicza i nakreśliłem problem.

– Co mam ci powiedzieć? Bierz moją ładę, jedź i załatw! – usłyszałem od niego.

Wsiadłem do samochodu, pojechałem do Zabrza i znalazłem Marka. Przekonałem go do zmiany decyzji, spakowałem do auta i przywiozłem do Szczecina.

***

2008 rok. Kiedyś byłem też delegatem do spraw bezpieczeństwa z ramienia PZPN. Oglądałem mecz Śląska Wrocław ze Zniczem Pruszków. Śląsk

walczył wtedy o awans do ekstraklasy. No i dostrzegłem w Zniczu niesamowitego chłopaka. Zacząłem rozpytywać wszystkich, co to za zawodnik

– A, nie ma co się specjalnie interesować – usłyszałem. – Taki tam, Legia go nie chciała. Lekarz klubowy powiedział, że ma „coś tam" z kręgosłupem. Gdybym był wówczas w Pogoni, on następnego dnia byłby u mnie. Od razu zauważyłem, że ma nieprawdopodobny talent. Pruszków wygrał we Wrocławiu, a Robert Lewandowski, bo o nim mowa, strzelił dwa gole.

Trzy tygodnie później siedziałem na Arce Gdynia z byłym sędzią międzynarodowym Jurkiem Kacprzakiem. Gdynianie grali ze Zniczem.

– Słuchaj, w Pruszkowie jest taki chłopak, byłem nim oczarowany – mówię do niego. – Zobaczysz, co będzie robił z waszymi.

Po meczu, w którym Lewandowski uratował remis 2:2 w doliczonym czasie gry, Kacprzak mówi do mnie:

– Andrzej, ty to masz oko. Ten chłopak to kryształek! Czemu nie bierzesz go do Pogoni?

– Do jakiej Pogoni? – zapytałem. – Przecież teraz nie jestem w klubie.

Jestem jednym z pierwszych, którzy dostrzegli jego wielki talent. Tak przynajmniej uważam.

ROZDZIAŁ 62

1948 – naszej historii to początek jest

Tomasz „Skaya" Skuza
Urodził się w 1971 roku w Szczecinie. Wokalista, basista i lider zespołu Quo Vadis, z którym nagrał płytę z przyśpiewkami Pogoni Szczecin. Twórca hymnu Dumy Pomorza „My Portowcy". W latach 1999-2000 pracował w Pogoni jako wicedyrektor klubu.

Moją działalność w Pogoni można podzielić na dwa etapy. Pierwszy z nich trwał od roku 1999 do roku 2000. Przez około 18 miesięcy miałem przyjemność sprawować funkcję wicedyrektora klubu. Był to okres bardzo ciekawy, ale zarazem burzliwy. W dziale marketingu i komunikacji pracowało wielu młodych, pełnych pasji ludzi. Miało się wrażenie, że wspólnie mogliśmy przenosić góry.

Pamiętam pewne zdarzenie z tamtego okresu. Otóż Sabri Bekdas zaprosił do Szczecina Tekina Alkana, który miał mu pomagać w wielu kwestiach związanych z działalnością klubu. Charakteryzował się tym, że zawsze miał szalone, niedorzeczne wręcz pomysły. Potrafił na przykład wpaść do naszego budynku w piątek po południu i powiedzieć, że nazajutrz ma odbyć się sparing z jakąś dobrą drużyną. A do tego stadion ma być pełen kibiców!

Innym razem, to było chyba podczas inauguracji sezonu, wymyślił sobie, że przed meczem mamy zorganizować wystrzały z armat, lądowanie spadochroniarzy i tego typu atrakcje. To jednak nie wszystko. Jako symbol nowego początku Pogoni, mieliśmy przed pierwszym gwizdkiem wypuścić gołębie z klatek. Już samo znalezienie ptaków było dużym wyzwaniem – przecież nie kupi się ich w supermarkecie. Ostatecznie jednak udało nam się wszystko

zorganizować, załatwiliśmy też transport zwierząt na stadion. Gdy całe przedsięwzięcie zmierzało do punktu kulminacyjnego, przyszedł do nas pan Alkan.

– Ale dlaczego gołębie nie są w granatowo-bordowych barwach? – zapytał.

Wszystkim nam opadły ręce. Tyle dni nerwów, wytężonej pracy, załatwiania formalności i to wszystko podsumowane w ten sposób...

***

Mimo tej i podobnych historii nadal czułem ogromną dumę z tego, że byłem członkiem wielkiego projektu o nazwie Pogoń Szczecin. Moje przywiązanie do tego klubu było tak wielkie, że pewnego dnia poczułem potrzebę nagrania przyśpiewek stadionowych w wersji metalowej, angażując w to mój zespół – Quo Vadis. Chciałem, aby w studiu nagraniowym zjawili się także kibice, bo uważam, że nie można nagrywać piosenek rodem ze stadionu bez udziału fanów. Zanim jednak do tego doszło, skontaktowałem się z ówczesnym prezesem klubu kibica, panem Markiem Pawlakiem i poprosiłem go, aby zadzwonił do mnie i nagrał na automatyczną sekretarkę wszystkie przyśpiewki o Pogoni, które zna. Tak też się stało, pan Marek zaśpiewał do słuchawki całą stadionową twórczość. Następnie ja to odsłuchałem, stworzyłem akustyczne aranże i w końcu nagraliśmy te utwory. Później musieliśmy jeszcze dograć chórki, które składały się z kibiców. Zaprosiliśmy do studia około dziesięciu fanów i zaczęliśmy zabawę. Oceniając to z artystycznego punktu widzenia, muszę powiedzieć, że uszy odrobinę krwawiły. W związku z tym zwróciliśmy się do różnych artystów szczecińskich, aby pomogli dokonać lekkiego retuszu tych chórków. Nagraliśmy ich wykonanie tych piosenek i brzmiało to już dużo lepiej. Bardzo miło wspominam pracę nad tym materiałem. Muszę przyznać, że czułem ogromną dumę po zakończeniu tego projektu. Szczególnie wtedy, gdy idąc gdzieś przez miasto, słyszałem nasz utwór jako dzwonek w czyimś telefonie.

***

Tamta kaseta była moją własną inwencją twórczą. Kilka lat później muzyka ponownie połączyła mnie z Pogonią. W 2008 roku, gdy klub obchodził 60. urodziny, postanowiono, że powinien powstać nowy hymn. Z tego co wiem,

napisanie go powierzono najpierw zespołowi Pogodno. Tak się jednak złożyło, że prace nie posuwały się do przodu. Zdecydowano więc, że skomponowanie hymnu przejmie mój zespół. Pamiętam, że ten temat był bardzo żywy i szeroko komentowany. Spędzałem mnóstwo czasu na przeglądaniu forów kibicowskich, na których sympatycy Pogoni wymieniali poglądy na temat kształtu nowego hymnu. Wynotowałem sobie najczęściej pojawiające się elementy, a więc: „Duma Pomorza", „nasz honor", „barwy" czy „Gryf". Później skupiłem się na melodii. Zdecydowana większość fanów chciała, aby było to coś pomiędzy patetyczną „Rotą", a piosenkami wojskowymi. Wziąłem sobie te uwagi do serca i zacząłem myśleć o tym, jak to wszystko poukładać. Któregoś razu wpadł mi do głowy czterowiersz, który uznałem za swego rodzaju punkt wyjścia. Następnie dopisałem resztę, wzorując się na tej bazie. Muszę powiedzieć, że jestem dumny z tego tekstu, ponieważ w czterech strofach, w których zawsze dwa ostatnie wersy się powtarzają, zawarłem wszystko, co powinno znaleźć się w hymnie. Można w nim odnaleźć całą historię Pogoni Szczecin. Wspominamy przecież o barwach, o charakterze, o tym, że z klubem jest się na dobre i na złe. Pamiętam, że gdy tekst i melodia były nagrane - notabene zarzucano nam dużą analogię do utworu zespołu Queen, która była zresztą zamierzona – oddałem hymn do oceny „Sandałowi", wodzirejowi szczecińskiej publiczności. Jemu i jego kompanom nie podobała się jedna rzecz. Mianowicie zabrakło wzmianki o roku założenia klubu. Zaakceptowałem to, wróciłem do domu i dopisałem: „1948 – naszej historii to początek jest". Wtedy wszystko już było tak, jak być powinno. Znów poczułem ogromną satysfakcję, gdy udało się szczęśliwie sfinalizować cały projekt. Zresztą duma nadal mnie nie opuszcza. Nawet mój synek zna już cały hymn na pamięć i wie, że to jego tata napisał słowa. Gdy pojawiam się na stadionie i słyszę pierwsze takty „My Portowcy", za każdym razem rośnie mi serce. Pomimo tego, że minęło już kilka lat, nadal wywołuje to u mnie silne emocje.

***

Przed jednym z sezonów klub zorganizował prezentację drużyny w hali SDS-u. Jednym z punktów programu był nasz koncert. Pamiętam, że był on zaplanowany na godzinę 16, a więc czas, kiedy w mieście są wielkie korki.

W wyniku utrudnień część składu Quo Vadis utknęła na ulicach pełnych samochodów. Konkretnie z naszego trzyosobowego składu zjawiłem się tylko ja. Spoglądałem coraz bardziej nerwowo na zegarek i odliczałem kolejne minuty. Gdy do koncertu zostało dosłownie kilkadziesiąt sekund, zobaczyłem, jak chłopaki wpadli do hali. Momentalnie narzucili na siebie koszulki oraz czapki Pogoni i zaczęliśmy grać. Trzeba przyznać, że mieli wejście jak prawdziwi heavymetalowcy!

***

Innym razem, za czasów Antoniego Ptaka, zorganizowano koncert, na którym występowaliśmy my i zespół De Mono. Nie da się opisać uczuć, które towarzyszyły mi, gdy zobaczyłem tysiące kibiców machających szalikami w granatowo-bordowych barwach. Trzeba było śpiewać, być twardzielem, ale nogi mi nieco miękły. Krótko mówiąc, niepowtarzalne doznanie.

***

Gdy po ostatnich świętach Bożego Narodzenia wróciłem do pracy, podszedł do mnie kolega i powiedział, że chyba mnie udusi. Nie wiedziałem, co miał na myśli, więc po chwili mi wytłumaczył. Otóż jego dwunastoletni siostrzeniec niedawno usłyszał hymn po raz pierwszy i piłował go przez całe święta, całkowicie zagłuszając kolędy. Nie dał rodzinie ani chwili wytchnienia!

ROZDZIAŁ 63

Pieniążki nam pomogły, a dokumenty odsyłamy. Powodzenia w I lidze!

Jerzy Słowiński

30 oficjalnych meczów na szczeblu centralnym.
Urodził się w 1932 roku. W klubie występował w latach 1958-1961. Był w zespole, który pierwszy raz w historii awansował do najwyższej klasy rozgrywkowej (1958). Pochodzi z Grudziądza, ale to w Szczecinie zakończył karierę piłkarską i osiadł w tym mieście.

Sportowe zacięcie miałem po tacie, który uprawiał kajakarstwo w KPW. Był to klub, który powstał w 1939 roku przed wybuchem II wojny światowej. Skrót oznaczał Kolejowe Przysposobienie Wojskowe. To byli sportowcy, którzy na kajakach pilnowali, żeby Niemcy nie wysadzali mostów. Wtedy wiadome było już, że nadchodzi wojna.

***

W wieku 16 lat zdobyłem z kolegami Mistrzostwo Pomorza juniorów w barwach Wisły Grudziądz. Tam występował ze mną Romek Jaworski, z którym spotkaliśmy się później w CWKS-ie Warszawa, a następnie w Pogoni Szczecin. W barwach CWKS-u występowałem głównie w lidze rezerw, bo w pierwszym zespole grali reprezentanci Polski, w tym Lucek Brychczy. Z kolei w pierwszej drużynie miałem okazję zagrać tylko raz, w meczu z ŁKS-em Łódź. Miałem zaszczyt wziąć wtedy udział w pożegnalnym spotkaniu kończącego karierę Kazia Górskiego.

***

W marcu 1957 roku trafiłem do trzecioligowej Pogoni, która rok wcześniej wywalczyła awans z IV ligi. Trzy miesiące przede mną do klubu trafił Romek. To on mnie polecił, ponieważ szukano wysokiego napastnika. Ja wówczas występowałem w Polonii Gdańsk, z której dziewięciu zawodników odeszło do Melbourne, gdzie miejscowa Polonia tworzyła drużynę piłkarską. Ja też dostałem ofertę, ale nie chciałem lecieć do Australii, więc wybrałem Pogoń.

Przyjechał do mnie Stanisław Lajpold, który był klubowym działaczem, jeździł po Polsce i rozglądał się za zawodnikami dla Dumy Pomorza. Kiedy przyjechałem do Szczecina, to w Śródmieściu wszystko było zburzone! Stały tylko pojedyncze domy. Dużo ludzi zamieszkiwało natomiast Pogodno.

Przez pierwszy miesiąc mieszkałem u jednego z kibiców Pogoni przy ul. Koziorowskiego, a więc blisko stadionu. Później przeniosłem się do domu przy ul. Wróblewskiego, który otrzymałem z klubu.

***

Wtedy w III lidze obowiązywał system „jesień-wiosna", więc chłopcy już trochę ze sobą grali. W tej drużynie występowało aż ośmiu zawodników, którzy już wcześniej biegali na pierwszoligowych boiskach. Ja przyszedłem i pomogłem im wywalczyć awans najpierw na zaplecze I ligi, a później do najwyższej klasy rozgrywkowej.

W tym czasie przez dwa lata nie przegraliśmy żadnego spotkania! Muszę powiedzieć, że wtedy bardzo popularny był system „WM", w którym skrzydłowi cofali się do obrony. My natomiast występowaliśmy na czterech napastników, a także po trzech pomocników i obrońców. To był pomysł Floriana Krygiera, dzięki czemu graliśmy bardzo ofensywnie.

***

Nie zapomnę meczu ze Śląskiem Wrocław, po którym zapewniliśmy sobie historyczne miejsce w I lidze. Oglądał nas wtedy pełen stadion. Sprzedano aż 34 tysiące biletów! Po 25 minutach przegrywaliśmy już 0:3. W drugiej połowie Heniek Kalinowski zdobył dla nas pierwszą bramkę. Zostało nam jeszcze około 20 minut do końca, kiedy wyskoczyłem najwyżej do dośrodkowanej

piłki i głową skierowałem ją do siatki. Na tablicy zrobiło się 2:3. Dla nas to było jeszcze sporo czasu, żeby doprowadzić do remisu, a kibice byli w euforii. Po tym golu Śląsk cofnął się i zaczął bronić wyniku. Parę minut przed końcem meczu kontuzji doznał Bogdan Bakuła. Wtedy nastąpiły roszady i na skrzydło wszedł Zdzisław Nowacki. Zrobiliśmy akcję po prawej stronie z Rysiem Wiśniewskim i poszło dośrodkowanie w pole karne. Do piłki ruszyło trzech obrońców, ale pierwszy był przy niej właśnie Nowacki. Po jego uderzeniu „zawijakiem" zrobiło się 3:3. Ten wynik dał nam awans i wybuchła ogromna radość.

Po zakończeniu spotkania kibice nieśli mnie na rękach ze stadionu do miejsca, gdzie do niedawna znajdował się hotel Orbis[25]. Miałem wtedy na sobie płaszcz, który otrzymałem w wojsku za wygranie z CWKS-em ligi rezerw. Podczas przemarszu z tego płaszcza wypadł mi portfel. Po tygodniu dostałem list o takiej treści: „Bardzo panu dziękujemy. Pieniążki nam pomogły, a dokumenty odsyłamy. Życzymy sukcesów w I lidze".

***

Przyznam szczerze, że poza boiskiem najlepiej kolegowałem się z Romkiem Jaworskim i Heniem Kalinowskim. Później dołączył do nas także Józek Piątek. Po meczach organizowaliśmy u niego, jak to nazywaliśmy, „służbowe spotkania". Wtedy zawsze było wesoło.

Najpierw w drugiej, a później w I lidze rywalizowaliśmy z Arkonią w derbowych pojedynkach. W tej drużynie miałem kilku dobrych kolegów dzięki Piątkowi, który parę lat wcześniej tam grał. Później dołączył też do nas z Arkonii „Bajbek" Jabłonowski.

***

Niesamowite było to, że po zdobyciu mistrzostwa III ligi nie musieliśmy pracować, natomiast później, po spadku z I do II ligi, piłkarze od razu byli rozdzieleni do pracy w porcie. Gdy tylko graliśmy dobrze i była szansa na awans, to znów mogliśmy skupić się tylko na treningach.

Byłem oddelegowany do pracy na starówce, jako gospodarz statku. Moim

25 Obecnie jest tam Centrum Handlowo-Rozrywkowe „Galaxy".

zadaniem było przyjęcie towaru z magazynu. Następnie nakazywałem brygadziście załadować towar na statek i sprawdzałem, czy kapitan jest zadowolony.

***

Gdy skończyłem 30 lat, postanowiłem, że czas zakończyć karierę piłkarską i zacząć inną pracę. Zdecydowałem, że będę pływać na statkach. Miałem ku temu okazję, ponieważ Pogonią opiekowały się Zarząd Portu i PŻM, którego prezesem był Felicjan Gawroński. Porozmawiałem z Florianem Krygierem, który się zgodził na to, bym zawiesił buty na kołku. Później przez kolejnych 30 lat pływałem i zwiedziłem cały świat. Zatem na pewno mogę powiedzieć o sobie, że jestem Portowcem.

ROZDZIAŁ 64

W Pogoni jak w rodzinie... i to nie tylko z Jurkiem

Kazimierz Sokołowski
260 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1963 roku w Szczecinie. W klubie występował w latach 80. Zagrał z Dumą Pomorza w finale Pucharu Polski (1982), wywalczył wicemistrzostwo kraju (1987) i 3. miejsce (1984). Jako piłkarz Pogoni dwa razy wystąpił w reprezentacji Polski (debiut 4.09.1985 przeciwko Czechosłowacji).

Moja rodzina jest przesiąknięta Pogonią. Obecnie już trzecie pokolenie interesuje się losami klubu i śledzi jego poczynania. Dwie generacje były natomiast zawodnikami Dumy Pomorza – najpierw mój ojciec, a następnie ja z bratem. Kazimierz Sokołowski senior grał w granatowo-bordowych barwach w czasach bardzo odległych, bo mówimy tu o latach 50. ubiegłego wieku. Ojciec był członkiem drużyny, która w sezonie 1958 wywalczyła pierwszy awans do krajowej elity. Co prawda zagrał on tylko w dwóch meczach, jednak nie zmienia to faktu, że dołożył swoją cegiełkę do tego sukcesu.

Pamiętam, jak siadaliśmy przy stole i ojciec wspominał tamte czasy. Mówił, że wtedy wszystko odbywało się w przyjacielskiej, wręcz rodzinnej atmosferze. Nikt nie myślał o kwestiach finansowych, marketingu albo innych pojęciach, które są obecne w dzisiejszym futbolu. Tamci zawodnicy grali w piłkę, bo było to ich pasją, która okazała się na tyle silna, że doprowadziła do wspomnianego sukcesu. Tato starał się przekazać emocje, które mu towarzyszyły, chciał zarazić wszystkich swoją miłością do piłki i Pogoni. Od małego słuchałem więc przeróżnych historii – które z racji przemijającego czasu wypadły mi już z pamięci – i wciągnąłem się w Pogoń.

***

Trafiłem do klubu już jako trampkarz i przechodziłem kolejne szczeble szkolenia. Poza tym cały czas grałem z kolegami po szkole. Wychodziliśmy na różne klepiska, często za boisko służył nam także asfalt. Futbol stał się moją pasją, pochłonął mnie bez reszty. Ucząc się piłkarskiego rzemiosła w Pogoni, spotkałem wielu świetnych kolegów, z którymi moglibyśmy konie kraść. Poza tym miałem szczęście do bardzo dobrych trenerów, którzy byli dla nas jednocześnie wychowawcami. Uczyli nas nie tylko piłki, ale też życia. Gdy po kilku latach awansowano mnie do drużyny seniorskiej, tam również spotkałem nietuzinkowych zawodników. Uważam, że niektórzy byli nawet lepsi ode mnie, ale być może nie mieli tyle szczęścia, które jest niezbędne w sporcie. Nie chcę wymieniać z nazwisk, bo mógłbym kogoś pominąć. W każdym razie był to dla mnie piękny okres, tworzyliśmy zgraną paczkę młodych ludzi.

***

W tamtych czasach przywiązanie do barw klubowych było większe, piłkarze nie zmieniali klubu co sezon. Dzięki temu wszyscy byliśmy ze sobą zżyci. W klubie zawsze panowała znakomita atmosfera z jeszcze jednego powodu – otóż zdecydowana większość zawodników pochodziła z regionu. Wszyscy kibicowali Pogoni od małego, byli w stanie wskoczyć w ogień za te barwy. To było naprawdę ważne.

***

W integracji pomagał nam jeszcze jeden fakt. Prawie połowa drużyny mieszkała na osiedlu Reda. Dzięki temu poznawaliśmy wzajemnie swoje rodziny, spędzaliśmy ze sobą czas wolny. Ja i Jarek Biernat staliśmy się sobie na tyle bliscy, że jest on chrzestnym mojego syna. Ja z kolei trzymałem do chrztu jego córkę. Moja żona natomiast została poproszona o pełnienie roli matki chrzestnej dla syna Marka Leśniaka. Nasze stosunki określiłbym więc jako rodzinno-przyjacielskie. Byliśmy sobie naprawdę bliscy, chodziliśmy wspólnie do dyskotek, jedliśmy razem obiady.

***

W takiej szatni nie mogło zabraknąć także żartów, które robiliśmy sobie nawzajem. Wodzirejem był zazwyczaj Jurek Stańczak. Pamiętam, że kiedyś wpadł na pomysł, aby wysłać jednego z młodych piłkarzy po węgiel, podczas gdy reszta drużyny siedziała w saunie. Wszyscy śmialiśmy się do łez, gdy chłopak biegał z taczką dookoła basenu. Innym razem kazało się któremuś z kolegów iść do sklepu i kupić pięć kilogramów gwoździ. Czasem, podczas wyjazdów zagranicznych, podsuwaliśmy też chłopakom deklaracje celne do wypełnienia.

Gdy mówię o naszych wojażach po Europie, to przypomina mi się jeszcze jedna sytuacja. Podczas drogi do Francji zatrzymała nas policja. Okazało się, że kierowca naszego autokaru oszczędzał paliwo i gdy zjeżdżaliśmy z górki, wrzucił bieg jałowy, a pojazd zbyt mocno się rozpędził. W konsekwencji cały zespół zrzucał się do kapelusza, aby uzbierać pieniądze na mandat.

***

Nigdy nie zapomnę też czegoś, co cyklicznie miało miejsce w Szczecinie. Mam na myśli jesienne mecze w tym mieście. Ciemne niebo, stadion skąpany w promieniach sztucznego oświetlenia i tysiące ludzi, którzy chcieli nas dopingować. Pamiętam, jak potężne grupy kibiców maszerowały ulicą Jagiellońską, która musiała być zamykana dla ruchu samochodowego. Zainteresowanie Pogonią było niesamowite, wystarczy wspomnieć słynny mecz z Widzewem, podczas którego ludzie siedzieli przy linii bocznej, bo brakowało miejsc na trybunach.

***

Poruszyłem wcześniej wątek rodzinny, więc naturalnie wypada go rozwinąć. Przez kilka sezonów parę stoperów Dumy Pomorza tworzyło dwóch Sokołowskich – ja i mój brat Jerzy. Bardzo dobrze wspominam tamten okres, znakomicie uzupełnialiśmy się na boisku. Brat grał twardo i bezkompromisowo, ja natomiast zbierałem lekkie piłki. Do dziś pamiętam radość ojca, który widział swoich dwóch synów grających w klubie, w którym w on sam występował. Przychodził na nasze mecze, oglądał je uważnie, a później z nami

rozmawiał. Na stadionie było więc aż trzech Sokołowskich! Świetna sprawa. Nieco gorzej było na treningach, podczas których trzeba było walczyć o swoje. Zdarzało się więc, że jeden z nas grał kosztem drugiego. Nie powodowało to jednak żadnych konfliktów między nami. Zawsze się wspieraliśmy, kibicowaliśmy sobie nawzajem.

Były takie osoby, które szukały jakiejś sensacji w tym, że dwóch braci grało w jednym klubie, a nawet w jednej formacji, ale my nie zwracaliśmy na to uwagi. Uważaliśmy po prostu, że skoro dobrze prezentujemy się na treningach, to zasługujemy na to, aby występować w Pogoni. Chcieliśmy wykonać swoją pracę najlepiej, jak potrafiliśmy.

***

Wspominałem o ojcu i bracie, ale mówiłem też, że piłka to trzy pokolenia Sokołowskich. Mój syn, Tomasz, również jest piłkarzem. Urodził się w Szczecinie, ale całą edukację odbył już w Norwegii, gdzie mieszkamy aż do dzisiaj. Tam też rozpoczął treningi piłkarskie. Był powoływany do kadr młodzieżowych, dostawał szanse występów. Poza tym cały czas szkolił się w klubie, by później zadebiutować w lidze. Pewnie niewiele osób o tym wie, ale Pogoń sondowała kiedyś możliwość ściągnięcia Tomka do siebie. Toczyły się już nawet rozmowy w tej sprawie, jednak ostatecznie nie doszło do takiego transferu. Syn wielokrotnie mówił mi, że chciałby zagrać przy Twardowskiego, więc obaj trochę żałujemy, że negocjacje zakończyły się fiaskiem. Pozostaje mu oglądanie meczów Pogoni z perspektywy trybun. Gdy tylko jesteśmy w Polsce i mamy okazję, to wybieramy się na stadion i oglądamy mecze Dumy Pomorza. Syn żywo interesuje się tym klubem, na bieżąco sprawdza wyniki. Losy Pogoni nie są mu więc obojętne.

Chciałbym jeszcze na chwilę wrócić do czasów, w których Tomek był zdolnym juniorem. Gdy dostrzegłem w nim talent, dałem sygnał Polskiemu Związkowi Piłki Nożnej, że jest taki chłopak jak Tomasz Sokołowski, który mieszka i trenuje w Norwegii, ale ma także obywatelstwo polskie. Federacja wyraziła zainteresowanie, spotkaliśmy się kilkukrotnie, porozmawialiśmy. Brakowało jednak konkretów, Tomek nie został powołany na żadne konsultacje. Temat ucichł, więc nie narzucaliśmy się. Wtedy z kolei zgłosił się norweski

związek, który był zainteresowany grą Tomka w reprezentacji. Najpierw wystąpił w kilku kadrach młodzieżowych, później przyszła pora na młodzieżówkę. Ma na swoim koncie także jeden mecz w dorosłej reprezentacji Norwegii, co już definitywnie wyklucza jego grę w biało-czerwonych barwach.

ROZDZIAŁ 65

Kazali chodzić z pałkami i bić ludzi

Jerzy Stańczak
189 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1954 roku. Pochodzi z Myśliborza. W Pogoni grał w latach 1978-84. Z klubem wywalczył awans do ekstraklasy (1981), zagrał w finale Pucharu Polski (1981) oraz zdobył brązowy medal Mistrzostw Polski (1984).

Urodziłem się blisko Łodzi. Tam mieszkała moja mama z ojcem i rodzicami, a potem rodzina przeniosła się do Myśliborza. Bardzo późno, bo dopiero w wieku 14 lat, zacząłem grać w juniorach tamtejszego Osadnika. Koledzy z drużyny mieli po 18 lat.

Jeździliśmy do Szczecina na mecze i wtedy ktoś zwrócił na mnie uwagę. W wieku 17 lat dostałem propozycję przeniesienia się do Szczecina i odbycia służby wojskowej, a jak wojsko i piłka, to oczywiście Arkonia. Ja nawet wcześniej nie wiedziałem, że to jest klub milicyjny.

Ostatecznie zostałem wartownikiem granicznym. W Arkonii grałem 4,5 roku, ale nie w piłkarskiej elicie. Jeszcze mieszkając w Myśliborzu znałem osoby, które bywały na meczach Pogoni, ale szczerze – to nie było ich wiele.

***

Po pewnym czasie uwagę na mnie zwrócił trener Aleksander Mandziara. Do Pogoni trafiłem razem z Jurkiem Schabem na próbę, teraz powiedzielibyśmy, że na testy. Można powiedzieć, że to dla mnie był prezent ślubny, bo chwilę wcześniej się ożeniłem. Pokazałem się z dobrej strony i zostałem.

***

W 1979 roku spadliśmy z ekstraklasy. Trenerem był Konstanty Pawlikaniec, o którym można powiedzieć, że w ogóle nie był „piłkarski". To były trudne czasy, klub stawiał na ludzi, którzy chcieli być w Pogoni. On akurat chciał i zgłosił się jako trener. Okazało się, że nie potrafił nawiązywać kontaktów z piłkarzami. Chciał narzucić swoją metodę, ale takiej tak naprawdę nie miał. Nie można przychodzić do klubu i karać piłkarzy tylko dlatego, że mają trochę inne zdanie.

Miałem konflikt z tym trenerem.

– Ty i tak nie będziesz tu długo – powiedziałem mu kiedyś wprost.

Odstawiał mnie po dobrych meczach. Byłem wkurzony. Po kilku miesiącach on odszedł. Po spadku przyszedł Jerzy Kopa i zaczęła się praca. Każdy zauważył progres.

***

Były takie czasy, że trudno nam było przyjąć, że przegraliśmy mecz na własnym stadionie. Mnie zawsze kibice mocno dopingowali, bo dawałem z siebie wszystko. Były też trudniejsze momenty – ja sam widziałem, jak ktoś opluł zawodnika, a inny rzucił jakiś przedmiot na boisko, na przykład pomidora czy jabłko. Zawodnicy z długim stażem w Pogoni mieli w pewnym momencie mocno pod górkę. Zdarzały się nawet sprawy sądowe. To były jednak incydenty.

W szatni także nie zawsze wszyscy żyli w zgodzie. Przewijało się trochę zawodników, jedni przychodzili, inni odchodzili i nie każdemu zależało tak jak powinno. Wtedy trzeba było to głośno powiedzieć. Nie chcę jednak mówić o nazwiskach. W szatni jest jak w życiu, nie zawsze wszystko się zgadza.

***

Wystąpiłem w jednym meczu finałowym Pucharu Polski, w drugim nie mogłem wystąpić ze względu na kartki. W 1981 roku zagrałem przeciwko Legii Warszawa, z którą przegraliśmy po dogrywce. My byliśmy zespołem z ówczesnej II ligi, który dopiero co wywalczył awans. Pod koniec regulaminowego czasu gry rzekomo faulowałem Mirosława Okońskiego i sędzia wska-

zał na rzut karny. To on zahaczył się o moje nogi i upadł. To były takie czasy, że decyzje trudno było przewidzieć. Straciliśmy gola dopiero w końcówce dogrywki, bo tamtego karnego obronił Marek Szczech, który zastąpił chwilę wcześniej Zbigniewa Długosza.

***

Zdarzały się dziwne sytuacje i mecze. Na przykład przed spotkaniem z Widzewem Łódź, na którym było mnóstwo ludzi, mówi się, że nawet 35 tysięcy.

– Dlaczego siedzisz na ławce? – zapytał mnie Zbyszek Boniek, który grał wtedy w Widzewie.

– Trener tak zdecydował – co innego mogłem odpowiedzieć?

Widocznie Widzew miał wygrać ten mecz. To było zaskakujące, bo wcześniej grałem, później grałem, a z Widzewem z jakiegoś powodu nie. Mecz jednak pamiętam dobrze, bo kibice siedzieli przy samej linii. Nigdy na to nie pozwalano. Można powiedzieć, że zadowoleni byli wszyscy, poza mną.

***

Trzeba było walczyć o to, żeby młodzi mieli lepiej, niż mieliśmy my. Kiedy Marek Leśniak przyszedł do Pogoni, to wiadomo było, że to młody i zdolny chłopak, który potrafi grać także w piłkę ręczną. Dostawał jednak bardzo małe kwoty.

– Mogę zrzec się części moich pieniędzy, żeby on tu został – zaproponowałem trenerowi Ksolowi.

Nie było wtedy oczywiste, że tak się stanie. Później okazało się, że wyrósł z niego dobry piłkarz. Ja jestem człowiekiem, który myśli nad pewnymi sprawami i jeśli uzna, że trzeba interweniować, to to robi. Miałem zaufanie wśród kolegów.

***

Będąc piłkarzem Pogoni, zostałem zabrany przez milicję wraz z Jurkiem Schabem. Pewnie dlatego, że obaj kiedyś graliśmy w Arkonii, więc potraktowali nas jak milicjantów. Mieliśmy chodzić po ulicach z pałkami i bić lu-

dzi… My, którzy na co dzień dawaliśmy rozrywkę kibicom na stadionie. To coś niemożliwego. Wszystko działo się w okresie stanu wojennego. Przebrali nas, wsadzili na samochody opancerzone i zabrali. Byłem po tym wezwaniu w traumie. My nie mogliśmy tego robić, ludzie nas przecież znali. Kiedy tylko było można, to szliśmy do domu i czekaliśmy aż minie te kilka godzin, po czym wracaliśmy do bazy. Obiecałem sobie wtedy, że muszę wyjechać. Do 30. roku życia nie mogłem tego zrobić, bo takie były przepisy dla zawodników.

***

Obecnie mieszkam na północy Szwecji, gdzie przeprowadziłem się po zakończeniu kariery w Polsce. Tu przeżyłem drugą piłkarską młodość. Mogłem zagrać towarzysko z Tottenhamem i Manchesterem City. Z Pogonią nie udało mi się wystąpić w pucharach, ale lekko sobie to odbiłem właśnie na północy. Wyjechałem, żeby znaleźć trochę normalniejsze życie, niż w Polsce tamtych lat.

***

Szkoda, że tylu moich znajomych z drużyny już umarło. Marek Ostrowski, Zbyszek Czepan, Marek Szczech, Marek Włoch, Andrzej Krawczyk, Zbyszek Stelmasiak, Krzysiek Urbanowicz – można tak wymieniać. Staram się, jeśli jestem w Polsce, by się do kogoś odzywać, ale nie zawsze jest tak, jakby człowiek chciał.

ROZDZIAŁ 66

Nie ma pan szans wrócić do piłki

Maciej Stolarczyk
255 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1972 roku. Pochodzi ze Słupska. W klubie występował głównie w latach 90. Z Pogonią wywalczył dwa awanse do najwyższej klasy rozgrywkowej (1992 i 1997). Jako piłkarz Pogoni zagrał 3 razy w reprezentacji Polski (debiut 10.12.1994 przeciwko Arabii Saudyjskiej, łącznie w karierze 8A). Po zakończeniu kariery piłkarskiej związał się zawodowo z Dumą Pomorza, gdzie pracował też jako trener pierwszego zespołu. Od stycznia 2015 roku do czerwca 2018 pełnił rolę dyrektora sportowego klubu.

Jestem ze stutysięcznego miasta, ale moje życie od najmłodszych lat kręciło się wokół piłki. Pod domem mieliśmy boisko asfaltowe i każdego dnia z kolegami graliśmy tam po kilka godzin. Często wyobrażałem sobie, że w przyszłości będę piłkarzem. To była prawdziwa pasja, ale w jakiś sposób sama przerodziła się w zawód. Gdy przyjechałem do Szczecina, to zajmowałem się na poważnie już tylko piłką. Tym bardziej, że nie mogę mówić o żadnych spektakularnych sukcesach szkolnych (śmiech)! Oczywiście skończyłem technikum, zdałem maturę, a nadrabiam teraz, kończąc studia.

***

Z Gryfem Słupsk przyjechałem na halowy turniej do Szczecina. Wypatrzył mnie trener Włodzimierz Obst. Spotkaliśmy się później jeszcze na innym turnieju, już na dużym boisku. Szkoleniowiec skontaktował się z moimi

rodzicami i zaproponował, abym kontynuował szkołę w Szczecinie. Miałem wówczas 15 lat, za sobą 8 klas szkoły podstawowej i miał to być moment, w którym chciałem rozpocząć naukę w technikum w Szczecinie. Były jednak pewne perypetie.

Po przyjeździe zamieszkałem w internacie Zespołu Szkół Samochodowych. Dla mnie były to duże zmiany i nie byłem na nie przygotowany. W szczególności na poukładane życie w internacie. Takie kwestie jak „pobudka o godz. 6, nauka własna o 19" nie były dla mnie. Postanowiłem wrócić do Słupska. Determinacja trenera Obsta sprawiła jednak, że klub zagwarantował mi stancję. Dalej mieszkałem niedaleko „samochodówki", ale już nie w internacie. Mieszkałem u starszej pani. Trochę się nią opiekowałem, a w zamian miałem swój pokój. Takie warunki jak najbardziej mi odpowiadały. Później przeprowadziłem się do przyjaciela Leszka Marchewki, z którym graliśmy w jednym zespole. Jego rodzina przyjęła mnie pod swój dach i traktowała jak swojego.

***

Wśród rówieśników widziałem bardziej utalentowanych. Byli wręcz tacy, którzy byli skazani na profesjonalny futbol. Już wtedy trener Obst powtarzał, że jeśli jeden, dwóch zawodników z jednego rocznika przebije się do zawodowej piłki, to będzie sukces. Z tego zespołu udało się tylko mojemu przyjacielowi Radkowi Majdanowi i właśnie mnie.

Niewiele osób wie albo pamięta, ale ja do Pogoni przychodziłem jako ofensywny pomocnik albo napastnik. Ściągano mnie więc jako zawodnika, który ma strzelać bramki! Wtedy był też inny system grania, ale skończyło się tak, że zostałem obrońcą. Zdecydował o tym trener Eugeniusz Różański.

***

Myślę, że w latach 90. łatwiej mieli wychowankowie. Nie było prawa Bosmana, nie było wolnych zawodników. Za każdy transfer trzeba było zapłacić, więc biedniejsze kluby, a takim bez wątpienia była Pogoń, chętniej promowały swoich zawodników. Choć muszę przyznać, że początki były naprawdę trudne. Już jako 16-latek jeździłem na obozy z I drużyną, ale funkcjonowałem

tam raczej jako tło. To były takie typowe zgrupowania zimowe lat 90. Jechało się w góry i wbiegało na wierzchołki, a następnie zbiegało. Piłki było mało, albo w ogóle jej nie było. Gdy wracałem z takiego zgrupowania, przez miesiąc chodziłem „do tyłu".

***

Graliśmy na zapleczu ekstraklasy. Przyszedł trener Aleksander Brożyniak. Wtedy trafiłem do I zespołu. To nie był dobry sezon dla Pogoni. Jesienią zdobyliśmy bardzo mało punktów, jedenaście. W całej rundzie rozegrałem może 2 mecze. Do klubu przyszedł Eugeniusz Różański. Po zimowych przygotowaniach już w pierwszym meczu z Ostrovią Ostrów Wielkopolski zagrałem od pierwszej minuty. Po latach dowiedziałem się, że wówczas, przed rozpoczęciem rundy wiosennej, mocno dyskutowano na mój temat. Czy powinienem być jeszcze w pierwszym zespole, czy się nadaję, czy może jednak nie. Szkoleniowiec zdecydował jednak, że ja i Jacek Sawicki dostaniemy swoje szanse. A przy tym cofnął mnie na pozycję obrońcy. Co ciekawe, o miejsce w składzie rywalizowałem właśnie z Jackiem. Uważam, że miał spory potencjał. Niestety z poważnego grania wykluczyła go kontuzja. Wtedy wskoczyłem na jego miejsce. Dzięki dobrej wiośnie udało nam się utrzymać, a już rok później awansowaliśmy do najwyższej klasy rozgrywkowej.

***

Ze zjawiskiem fali spotkałem się, ale chyba w mniejszym stopniu, niż inni. Chociaż oczywiście pamiętam, że w szatni było wesoło. Jak starszy zawodnik chciał poczytać gazetę „na toalecie", to młody musiał lecieć do kiosku po tę gazetę. Najbliższy był przy szpitalu na Jagiellońskiej, więc kawałek był. A jednak trzeba było pobiec, nie było wyjścia. To kształtowało hierarchię i pokorę wśród młodzieży. Młodszy, nawet jeśli miał swoje zdanie, musiał je zostawić dla siebie. Podobnie zresztą było podczas treningów. Ze starszymi nie było dyskusji. A jak się coś nie podobało, to trzeba było zacisnąć zęby i pracować dalej. Ale na „pan" do starszych w moich czasach nie musieliśmy już mówić.

Pamiętam natomiast, jak po jednym z treningów zrugał mnie Kaziu Sokołowski. Chyba straciłem piłkę w jakiejś gierce. Kaziu warknął na mnie w ten

sposób, że minęło prawie 30 lat, a człowiek dalej to pamięta. Wszyscy mieli respekt do niego i Andrzeja Miązka. W trudniejszych momentach nie było klepania „po pupce", ale ostra, męska rozmowa. Myślę, że miało to też dobre strony, bo jednak przynosiło oczyszczenie atmosfery w szatni.

***

Miałem 21 albo 22 lata. Zerwałem więzadła krzyżowe. W tych czasach dla piłkarza to był dramat. Niemalże wyrok. To była kontuzja, która często kończyła piłkarskie kariery. Nie było artroskopii, robiło się operację na otwartym kolanie. Mój zabieg przeprowadzał na szczęście ówczesny doktor reprezentacji Polski Tadeusz Moszkowicz, więc miałem przynajmniej pewność, że jestem w rękach dobrego specjalisty. Zawieziono mnie do Tychów, a o wszystko zadbał dyrektor Andrzej Rynkiewicz. Do zdrowia wracałem przez 1,5 roku i wtedy często zastanawiałem się, co będzie dalej. Myślałem, czy po powrocie poradzę sobie, czy będę w stanie grać na wysokim poziomie. Nie było rehabilitacji z prawdziwego zdarzenia, to wszystko było robione „na czuja". Pamiętam, jak poszedłem na badania podczas komisji lekarskiej.

– Nie ma pan szans wrócić do piłki nożnej – usłyszałem od lekarza. Szczerze mówiąc, spodziewałem się nieco innej formy motywacji. Ale muszę powiedzieć, że podziałało to na mnie mobilizująco. Wróciłem.

W tym trudnym czasie bardzo pomogli mi kibice. W szczególności panowie Mieczysław Chomacki i Dariusz Pomykaj. Jestem im wdzięczny, bo oprócz zwyczajnej pomocy dali mi też wiarę w ludzi.

***

Tradycją tych czasów było życie „na pożyczce". Zawsze w szatni znalazł się ktoś, kto miał swoje zaskórniaki, które pożyczał kumplom z drużyny. Pamiętam takie okresy, że przez kilka miesięcy nie otrzymywaliśmy wypłat. Co ciekawe, jak już je dostawaliśmy, to… w dość obszernych transzach. I nie mówię tu o kwotach, ale o fizycznej objętości gotówki. Pieniądze, które otrzymywaliśmy, pochodziły albo z wpływów z biletów, albo z giełdy. A więc, jak łatwo się domyślić, nie były to duże nominały, powiedziałbym wręcz, że drobniaki. Procedura odbierania wynagrodzeń też była całkiem wesoła. Po

treningu przychodziło się do kierownika drużyny Leszka Pokorskiego, który siadał w małym pokoiku masażystów w nieistniejącym już budynku ówczesnej szatni. Wyciągał kopertę i nigdy nie obyło się bez komentarza.

– Ooo, Stolarczyk, ale ci się dzisiaj trafiło! – mówił uroczystym tonem. – Masz troszeczkę więcej, rozbiłeś bank, gratulacje!

Po takim komentarzu przekazywał bardzo, bardzo grubą kopertę, bo – jak wspomniałem – w środku były raczej niskie nominały. Prawda była taka, że te pieniądze znikały tak szybko, jak się pojawiały, bo nie były to żadne fortuny.

Pieniądze były przewodnim tematem w szatni. Każdy zastanawiał się, kiedy wyrównają nam wypłaty, kiedy będzie lepiej. To integrowało szatnię, bo każdy sobie pomagał, ale na pewno nie było to normalne.

***

Na wyjazdach nie byliśmy wszyscy ubrani jednakowo, jak dzisiejsze zespoły. Mamy nawet takie zdjęcia, że jesteśmy w koszulkach reprezentacyjnych. Był to mecz wyjazdowy Pogoni, tyle że jeden z nas wrócił z zapasem kadrowego sprzętu.

Same wyjazdy były dla nas mordercze. Nie było żadnej autostrady i nigdzie nie mogliśmy dotrzeć względnie szybko. Podróże trwały po kilkanaście godzin. Najbliżej było do Wrocławia. Nie wiem już, w którym to było roku, pamiętam jedynie, że mieliśmy już pewne utrzymanie, jechaliśmy właśnie na mecz ze Śląskiem. W ramach oszczędności dyrektor Rynkiewicz zarządził, że pojedziemy do Wrocławia w dniu meczu.

– Panie dyrektorze, jak w dniu meczu, przecież tam się jedzie 8 godzin! – protestowaliśmy.

– Ustaliłem nową regułę – odpowiedział dyrektor. – Na wyjazdy do 400 kilometrów w jedną stronę będziemy jeździć w dniu meczu. A tak się składa, że do Wrocławia jest 390.

***

Graliśmy z Legią Warszawa, która albo wtedy grała w Lidze Mistrzów, albo była zaraz po międzynarodowych występach. Zwyciężyliśmy 3:1. Do dziś pamiętam jedno zdjęcie z tego meczu. Na tym obrazku ujęty jest moment, gdy

legioniści wykonują rzut wolny, a my wszyscy wybiegamy z muru będącego tuż przed linią bramkową. Na twarzy każdego próbującego blokować piłkę zawodnika widać było ogromną determinację.

Z kolei z Bełchatowem graliśmy o życie. Był to mecz decydujący o naszym pozostaniu w ekstraklasie. Przed spotkaniem i w trakcie meczu słyszeliśmy mnóstwo głosów, że podłożymy się rywalowi, że nie wygramy tego spotkania. Kibice krzyczeli na nas z trybun, atmosfera była naprawdę nieprzyjemna. Dodatkowo mecz nie układał się dla nas dobrze. W drugiej połowie, jeszcze przy bezbramkowym remisie, wyleciałem z boiska za czerwoną kartkę. Negatywna reakcja trybun nasiliła się. Ja stałem w tunelu i do końca spotkania nerwowo oglądałem ten mecz już jako kibic. Na szczęście kilka minut po czerwonej kartce Piotrek Mandrysz zdobył – jak się później okazało – zwycięskiego gola, dzięki któremu pozostaliśmy w ekstraklasie.

To było tak ogromne obciążenie psychiczne, że w kilkadziesiąt minut przybyło mi kilkanaście lat.

***

Trzeba mieć trochę szczęścia. Z jednej strony cieszę się z tego, czego udało mi się dokonać. Jako piłkarz doszedłem do pewnego poziomu, uważam, że sporo osiągnąłem. Zawsze pozostaje jednak niedosyt. W moim przypadku wiąże się on z niewielką liczbą meczów w reprezentacji Polski oraz brakiem transferu zagranicznego. A miałem to w zasięgu ręki. Prawda jest jednak taka, że przez całą karierę działałem sam, nie miałem menedżera. Przez chwilę pomagał mi Tadeusz Fogiel, ale jedynie w temacie związanym z Wisłą Kraków. Graliśmy z wiślakami, spodobałem się trenerowi Henrykowi Kasperczakowi i po meczu zatelefonował do mnie właśnie Fogiel. Nie był moim menedżerem, tylko pomógł nawiązać kontakt. Po latach widzę, że mając agenta można zdziałać więcej. Taka zdrowa relacja pomaga przy negocjacjach.

***

Lubię być przygotowanym do tematu, którym się zajmuję. Gdy grałem w piłkę, chciałem być trenerem i już wtedy wiele kwestii notowałem. Po zakończonej karierze piłkarskiej szybko zacząłem pracować z młodzieżą. Z jed-

nej strony podobało mi się to, ale widziałem też mankamenty. To było około 10 lat temu i przyznaję, że trener musiał wiedzieć bardzo dużo – o przygotowaniu fizycznym, o psychologii, o wszystkich dziedzinach. Nie było specjalizacji. Postanowiłem rozszerzać swoją wiedzę. Skończyłem kurs UEFA PRO, wznowiłem studia. Chciałem po prostu być dobrze przygotowany do swojej roli. Teraz myślę, że funkcje I trenera i dyrektora sportowego są najtrudniejszymi, które przyszło mi pełnić. Te są najbardziej oceniane przez kibiców. Od tych osób zależy kształt personalny zespołu oraz filozofia gry.

Dziś cieszę się, że mogę z trenerami rozmawiać jak partner. Dają mi to właśnie kwalifikacje. Zawsze prowadzimy fachową rozmowę, ale szkoleniowiec nie może podważyć moich kompetencji. Spotkałem się z takimi opiniami, gdy pewien trener, reagując na czyjąś krytykę, odpowiadał: „ale jak on może się na ten temat wyrażać, skoro nie ma żadnych papierów!". Chciałem tego uniknąć, wytrącić komukolwiek taki potencjalny argument. Chcę, by pracujący u nas trenerzy mieli świadomość, że możemy dyskutować normalnie. Mam oczywiście też doświadczenia piłkarskie, co może pomóc trenerowi, ale merytorycznie też muszę być mocny.

***

Jestem przyszywanym wychowankiem. Urodziłem się w Słupsku i tam mam najwierniejszych kibiców – mamę, siostrę i szwagra. Mój śp. tata zbierał wszystkie wycinki na mój temat. Gdybyśmy spojrzeli na obowiązujące przepisy, to nim jestem i nie ukrywam, że tak też się czuję. Mieszkam w Szczecinie ponad 20 lat. Pogoń zawsze będę traktował jak swój dom. Żyjemy po sąsiedzku z rodziną Moskalewiczów, a sam „Olo" również trafił do Szczecina jako nastolatek. W Szczecinie ożeniłem się i tu urodzili się moi synowie.

Pracowałem jako piłkarz w kilku klubach, ale to w Pogoni przeszedłem najwięcej – od gry w juniorach, przez awanse z pierwszą drużyną, promocję do reprezentacji, a następnie inne szczeble zawodowe: prowadzenie drużyny juniorskiej, praca jako trener koordynator w Akademii, rola asystenta i pierwszego trenera w I zespole i praca dyrektora sportowego. Mogę powiedzieć, że w aspektach sportowych przeszedłem wszystko. Ten klub zawsze będzie dla mnie domem. Cieszyłem się też ze współpracy z Darkiem Adamczukiem.

Najpierw podziwiałem go na boisku, później z nim grałem, a następnie mogliśmy tworzyć coś dużego dla lokalnej społeczności.

***

Lubimy wspominać taką historię. Mieliśmy dostać profesjonalny sprzęt firmy Uhlsport. Kierownik drużyny po treningu oznajmił, że dziś wyjeżdżamy do Niemiec.

– Kierowniku, w jakim celu? – w szatni pełna konsternacja. Nie mieliśmy w planach przecież żadnego sparingu.

– Jedziemy tam po to, żeby przewieźć sprzęt, który kupiliśmy w Niemczech – oznajmił bez mrugnięcia okiem kierownik.

W praktyce sprowadzało się to do tego, że gdyby sprzęt został do nas przetransportowany w normalny sposób, wysokie podatki i cło znacznie podniosłyby jego cenę. Skończyło się tak, że po treningu spakowaliśmy się do autokaru i pojechaliśmy do Niemiec. Tam ubraliśmy na siebie cały sprzęt. Żeby była jasność – jechaliśmy ubrani jak cebule. Rekordzistą był Leszek Pokładowski, który miał na sobie 5 par dresów.

– Dlaczego pan jest tak grubo ubrany? – zapytał go na granicy celnik.

– Zimno mi – odpowiedział spokojnie Leszek. – A panu to ciepło?

Ostatecznie udało nam się bez problemów wrócić do klubu i w końcu mieliśmy profesjonalny sprzęt!

ROZDZIAŁ 67

Wawrowski, pij mleko, do Musiała ci daleko

Henryk Wawrowski
235 oficjalnych meczów w Pogoni.
Urodził się w 1947 roku w Szczecinie. Dumę Pomorza reprezentował w latach 70., w czasie rozkwitu swojej kariery piłkarskiej. Jako piłkarz Pogoni wystąpił w 25 meczach reprezentacji Polski (debiut 31.10.1974 przeciwko Kanadzie), wywalczył srebrny medal olimpijski (1976, Montreal w Kanadzie).

Gdy porównuję czasy, w których ja byłem czynnym zawodnikiem, z obecnymi, to widzę, że dzieli je ogromna przepaść. Można by wręcz powiedzieć, że była to zupełnie inna era. Upłynęło tak wiele lat, że bardzo dużo historii i anegdot wypadło mi z pamięci. Wciąż jednak wspominam swoje pierwsze chwile w Pogoni. Niedługo po dołączeniu do drużyny, pojechałem na obóz przygotowawczy. Pracowaliśmy tam bardzo intensywnie, nikt nie odpuszczał ani przez moment. Nogi były tak zbite, że nie dało się chodzić. Gdy zajmował się nami masażysta i próbował rozluźnić nasze mięśnie, to z bólu wbijaliśmy się zębami w metalowe obramowanie łóżka. Nikt wtedy nie myślał o różnego rodzaju substancjach, które przyśpieszyłyby regenerację. Teraz takowe preparaty są sprawą absolutnie normalną.

***

Podczas tego obozu przeszedłem też chrzest, który nie mógł ominąć żadnego z nowych zawodników. Polegał on na tym, że rada drużyny wymyśla jakieś zadanie – czasem trzeba było zaśpiewać, innym razem opowiedzieć ka-

wał. Następnie zamykało się oczy, stawało tyłem i zbierało lanie po pośladkach.

Przypomina mi się jeszcze jedna historia związana z chrztem. Co prawda nie dotyczy ona sekcji piłkarskiej, ale myślę, że to całkiem zabawna anegdota. Otóż pewnego razu wioślarze przyjmowali nowego członka do swojej osady. Jako że byliśmy z nimi w przyjacielskich stosunkach, to zaprosili oni mnie i Rysia Malinowskiego, żebyśmy powitali nowego. Dali nam wiosła do ręki i kazali ochrzcić wioślarza. Rysiu tak wczuł się w swoją rolę, że po dwóch uderzeniach trzeba go było odciągać od nowego kolegi, żeby ten mógł jeszcze kiedyś usiąść.

Trzeba przyznać, że Malinowski miał silną łapę. Pamiętam też, że pewnego razu chciał otworzyć drzwi w tramwaju. Nacisnął na klamkę tak mocno, że ta została mu w ręce. Był z niego naprawdę mocny zawodnik. Na boisku również budził postrach, choć nie był jakoś szczególnie postawny.

***

Myślę, że w tamtych czasach trzeba było być „twardzielem". Na początku mojej przygody graliśmy piłkami skórzanymi z rzemieniem, więc gdy dostało się po głowie, to zostawał ślad na twarzy. Teraz futbolówki są zrobione z pięciu-sześciu warstw, więc kontakt z nimi jest mniej bolesny. Zmieniła się otoczka, ale fundament tej gry pozostaje przecież taki sam – chodzi o to, żeby przechytrzyć rywala i strzelić co najmniej jedną bramkę więcej. To, że kiedyś grało się w innej formacji, nie ma tak wielkiego znaczenia. Mecze wygrywają ludzie, a nie systemy taktyczne.

Muszę przyznać, że obserwując obecny stan polskiej piłki, nie podoba mi się to, że nasze kluby ściągają tak wielu przeciętnych piłkarzy zza granicy. To akurat bardzo kontrastuje z moimi czasami. Wtedy wszyscy zawodnicy byli Polakami, co więcej – 90 procent z nich pochodziła z okolicy. Każdy czuł się związany z Pogonią, bo był to klub, któremu zawsze kibicował. Poza tym na trybunach zasiadało po 30 tysięcy ludzi, więc to dawało dodatkową motywację. Zdarzało się nawet tak, że brakowało miejsc na widowni, więc fanom pozwalano siedzieć na bieżni. Ważne było też to, że trenerzy chętniej wprowadzali młodych, zdolnych chłopaków. Nie odstawiali ich na boczny tor po jednym nieudanym meczu.

***

Uważam, że miałem szczęście do świetnych szkoleniowców. Pamiętam na przykład, że Kostek Pawlikaniec był pierwszym, który chciał wprowadzić naprawdę profesjonalne zasady. Skupiał się na tym, kto ile i gdzie ma biegać. Był bardzo wymagający wobec siebie i swoich zawodników. Nie tolerował spóźnień i braku dyscypliny.

Dużo zawdzięczam też trenerowi Edmundowi Zientarze, który przesunął mnie z pomocy do obrony. Myślę, że była to dobra decyzja, bo od tamtej pory zbierałem pozytywne oceny za swoje występy. Zarówno od dziennikarzy, jak i od kibiców.

***

Skoro zahaczyłem o temat naszych sympatyków, to myślę, że warto go rozwinąć. Jak już wspominałem, zainteresowanie meczami Pogoni było ogromne. Na stadion przychodziło ponad 30 tysięcy ludzi, więc nie starczało dla nich miejsc. Oprócz tego, że siedzieli na bieżni, to wdrapywali się też na słup, który kiedyś stał przy murawie. Ludzie przychodzili specjalnie 2-3 godziny przed pierwszym gwizdkiem i zaklepywali sobie to miejsce. Zresztą ci, dla których wystarczyło miejsc na ławkach, również zjawiali się na stadionie dużo przed rozpoczęciem meczu. Spotykali się ze znajomymi, grali w karty, pili piwo, dzieciom kupowało się lody. Nikt nie robił żadnych burd, pomimo tego, że trybuny nie były oddzielone od murawy żadnym ogrodzeniem. Był tylko niski żywopłot.

Wokół niego spacerowali sobie milicjanci. Żaden z kibiców nawet nie pomyślał, żeby zwyzywać lub rzucić czymś w funkcjonariusza. To samo dotyczyło kibiców gości – panowała pełna kultura, nie było nawet potrzeby wydzielania specjalnych sektorów dla przyjezdnych! Wszyscy siedzieli razem i cieszyli się sportowym widowiskiem.

Co ciekawe, relacje Pogoni z Lechem były w tamtym czasie bardzo dobre. Kiedyś doszło jednak do pewnego nieprzyjemnego incydentu po jednym z meczów w Szczecinie, który zaburzył te kontakty. Po spotkaniu Rysiu Malinowski opluł kibica Lecha i później było coraz gorzej. Taka napięta sytuacja trwa do dzisiaj. Żałuję, że tak jest, ale co mogę poradzić?

***

Gdy mówię o kibicach, to przypominają mi się przyśpiewki obowiązujące na meczach kadry narodowej, do której byłem powoływany jako zawodnik Pogoni. Wskoczyłem do drużyny na miejsce Adama Musiała i trochę czasu musiało minąć, zanim sympatycy biało-czerwonych mnie zaakceptowali. Często śpiewali: „Wawrowski, pij mleko, do Musiała ci daleko". Wtedy ja podchodziłem do trybuny, kłaniałem się, machałem do nich. Mieli rację – trudno było dobić do poziomu prezentowanego przez Adama, ale dawałem z siebie wszystko. Nie było w tym jakiejś szczególnej złośliwości, bo po dobrym meczu kibice zawsze nagradzali nas brawami.

***

Na obcych stadionach zawsze nazywano nas śledziami i krzyczano na przykład: „Z drogi śledzie, Wisła jedzie!" Dla całej Polski nie byliśmy więc Pogonią, tylko właśnie takimi rybami. To, rzecz jasna, wynikało z naszego położenia geograficznego i faktu, że sponsorował nas port.

Formalnie byliśmy zresztą pracownikami portu. Najbardziej odczuwałem to na początku pobytu w Pogoni, gdy trzeba było wstać o 6 rano, żeby na 7 zdążyć do pracy i stanąć przy tokarce. O 16 biegło się do szkoły, a pomiędzy był jeszcze przecież trening. Nie chcę się teraz użalać, ale myślę, że młodzi piłkarze powinni wziąć to sobie do serca i docenić, że wielu z nich ma teraz łatwiej od nas.

Nie podoba mi się podejście niektórych zawodników z naszej ligi, którzy narzekają, że ich życie jest takie trudne, bo mają częste i intensywne treningi. Niejeden człowiek marzy o tym, żeby wyjść na boisko i na oczach tysięcy ludzi strzelić bramkę. Rozumiem, że można być czasem zmęczonym albo mieć kontuzję, ale nie przesadzajmy. Wiem, o czym mówię, bo na 217 meczów rozegranych w Pogoni, opuściłem tylko kwadrans.

***

Muszę się pochwalić, że dzięki tym 217 spotkaniom w całej historii polskiego futbolu jestem na 4. miejscu wśród piłkarzy, którzy rozegrali najwięcej minut bez przerwy. Jedna zmiana była spowodowana kontuzją, z którą grałem

przez większość spotkania i trener postanowił dać mi odpocząć w końcówce.

Druga sytuacja, w której musiałem opuścić murawę przed końcem spotkania, była dość specyficzna. Przegrywaliśmy chyba z Szombierkami Bytom 0:1 i trener Zientara dawał mi jakieś wskazówki zza linii bocznej.

– Siedź pan cicho w tej budzie, nie wychodź stamtąd! – zagotowałem się i odkrzyknąłem.

Reakcja była natychmiastowa – Wawrowski do zmiany. Generalnie zawsze miałem ogromny szacunek do szkoleniowców, ale wtedy puściły mi nerwy. Pamiętam też, że niedługo po Mistrzostwach Świata w Argentynie Jacek Gmoch[26] objął Zagłębie Sosnowiec. Przed meczem podszedłem do niego.

– Nie pręż pan tak tych muskułów, bo i tak pana zespół przegra – powiedziałem.

Tak go tym rozwścieczyłem, że był cały czerwony. Mecz wygraliśmy 2:0 i wyszło na moje. Jacka Gmocha uważam za najśmieszniejszego polskiego trenera, przynajmniej w moich czasach. Niewiele potrafił, a kreował się na wielkiego specjalistę.

26 Jacek Gmoch był selekcjonerem kadry w 1978 roku. W ostatnim kontrolnym meczu przed wyjazdem na finały Mistrzostw Świata w Argentynie dał zagrać Henrykowi Wawrowskiemu jedynie 45 minut, po czym skreślił go z kadry wyjeżdżającej na Mundial. Wawrowski już nigdy nie zagrał dla Polski.

ROZDZIAŁ 68

Dla niego byli końcem, dla mnie byli początkiem

Leszek Wolski

461 oficjalnych meczów w Pogoni – drugi najlepszy wynik w historii.

Urodził się w 1953 roku w Szczecinie. Strzelił ponad 100 bramek dla Dumy Pomorza. W klubie grał w latach 70. i 80. Wywalczył awans do najwyższej klasy rozgrywkowej (1981), Jest jednym z ośmiu piłkarzy w historii Dumy Pomorza, którzy dwukrotnie wystąpili z klubem w finale Pucharu Polski (1981, 1982), zajął 3. miejsce w ekstraklasie (1984) i zdobył wicemistrzostwo Polski (1987).

Mieszkałem najpierw przy Wróblewskiego, a potem przy Żwirki i Wigury. Do stadionu miałem blisko. Klub robił nabór do trampkarzy, działo się to na bocznym boisku. Pamiętam, że pierwszym moim trenerem był były bramkarz Ludwik Konarski. Prawdę mówiąc… to ja go nie lubiłem. Nie miał podejścia do młodych, nie był sympatyczny, ale wtedy były inne czasy. Nikt się za mocno młodzieżą nie przejmował. Każdy musiał sobie radzić sam. Rano wychodziło się z domu, szło grać w piłkę i tylko w przerwie wracało, żeby zjeść chleb z wodą i cukrem.

Jako dziecko chodziłem na mecze Pogoni. Zazwyczaj szukałem kogoś dorosłego obok stadionu, żeby z nim wejść na trybuny. Dla mnie tamci zawodnicy są jak dla dzisiejszych dzieci Leo Messi albo Cristiano Ronaldo. Po meczu w domu próbowałem powtarzać to, co zobaczyłem na stadionie. Sąsiadka nie była zadowolona.

***

Jeśli chodzi o trenerów, to w okresie młodości ważnym szkoleniowcem był dla mnie Florian Krygier. Był dla mnie jak ojciec. W domu się nie przelewało. Jako młody chłopak byłem lekko niedożywiony. On załatwił mi obiady w Domu Portowca. Dzięki temu wzmocniłem się fizycznie. On wiedział, co się dzieje.

Potem był Zbigniew Ryziewicz. Superfacet, który nauczył mnie charakteru. Był „baciarem", facetem „z jajami". Spod jego skrzydeł wyszło wielu piłkarzy. To była ważna postać dla młodych. Uczył, jak być mężczyzną.

Jako junior nie byłem najbardziej wyróżniającym się zawodnikiem. Byli lepsi, strzelali więcej, lepiej biegali, ale potem oni zaginęli, a ja grałem.

Grałem mecz w trzecim zespole juniorów, byłem młodszy od kolegów z drużyny. Miałem stuprocentową sytuację, której nie wykorzystałem. Ja się wtedy tak mocno rozpłakałem... Chciałem przestać grać w piłkę, było mi wstyd. Na szczęście podszedł kierownik drużyny, pan Marian Barański, i mnie pocieszył. Ja naprawdę chciałem dać sobie spokój. Są takie momenty, które decydują, kim będziesz. W moim przypadku znalazła się osoba, która pomogła, a właściwie kilka osób.

Gienek Ksol dał mi szansę debiutu w seniorach, był też Edmund Zientara, który stawiał na technikę i dużo się od niego nauczyłem. Leszek Jezierski był niesamowity, potrafił pogonić, ale robił to mądrze. Miał też wyniki.

***

Najmocniej podziwiałem oczywiście Mariana Kielca. To był w tym czasie bóg. Po meczu czekało się na niego pod szatnią, a on wychodził… czarne włosy, przystojny, podchodził do saturatora, wypijał szklankę wody. Każdy chciał go widzieć z bliska. Piłkarze Pogoni chodzili często do lokalu o nazwie Bajka. Gdy tylko się tam pojawiali, to orkiestra przestawała grać.

– Tango! – mówił wtedy Teodor „Bajbek" Jabłonowski.

Muzycy na to, że przed chwilą już grali.

– Grać! – „Bajbek" na to.

No i grali! Ci piłkarze byli doceniani w szczecińskim środowisku. Za moich czasów już tak nie było. Za darmo na dyskoteki raczej nie wchodziłem.

Nie było potem już takiej gwiazdy jak Marian.

Moim marzeniem było wtedy zagrać chociaż połowę meczu Pogoni. Nie spodziewałem się, że w jakiś sposób zastąpię Mariana w drużynie. Jako junior podawałem mu piłki zza linii bocznej, czekałem na bieżni, żeby ta piłka spadła. Byłem w niego wpatrzony jak w obrazek, jak większość młodych chłopaków. To był nasz idol. Gdy on przerywał karierę, to jeszcze nie miałem z nim większego kontaktu. Znałem go, ale nie bezpośrednio. Dopiero później poznaliśmy się bliżej, gdy byłem już starszym zawodnikiem.

***

W latach 80. grałem też z Markiem Leśniakiem. Można powiedzieć, że się nim opiekowałem. Byliśmy często współlokatorami w hotelowych pokojach. Andrzej Rynkiewicz chyba wiedział, że Marek kogoś takiego potrzebuje. On miał swoje nawyki i zasady, był spokojny, ale uparty. Byliśmy w wielkiej przyjaźni. Nie dyrygował jednak drużyną. W różnych czasach robili to inni zawodnicy. Znaczącą postacią był Zenek Kasztelan, a wcześniej Hubert Fiałkowski. Ja czasami coś powiedziałem, ale nie za często. Nie miałem nigdy takich predyspozycji. Był okres, w którym byłem kapitanem drużyny, wybranym przez kolegów. Miałem więc coś do powiedzenia jako doświadczony zawodnik, reprezentowałem młodszych partnerów z zespołu. W drużynie byli jednak inni, którzy mieli lepsze predyspozycje do mobilizacji zespołu w odpowiednim momencie. Starałem się raczej pomagać piłkarzom swoją postawą na boisku, dawać przykład. Być może przez te lata, dzięki temu, inni zawodnicy nabierali do mnie szacunku. Mogę każdemu spojrzeć prosto w oczy.

Raczej unikałem wywiadów. Gdy ludzie mnie poznawali w sklepie, czy na ulicy, kończyło się rozmową. Natomiast teraz jest to trudniejsze. Lata minęły, ale gdy jakiś czas temu byliśmy w Pogorzelicy z żoną, to jakiś pan mnie rozpoznał. To mnie dość zdziwiło, bo zewnętrznie się zmieniłem. Gdy grałem w piłkę, to nie było tylu kamer na każdym kroku. Jeśli przyjeżdżał redaktor, to ja zawsze stałem z boku. Taki byłem i taki jestem. Cenię sobie skromność i spokój. Tak byłem wychowany.

***

Jeszcze jako junior zadebiutowałem w I drużynie. Z klubu odeszli do Lecha Poznań Włodzimierz Wojciechowski i Roman Jakóbczak. Wtedy zrobiło się miejsce, pojechałem na sparing do Świnoujścia. Tam zadebiutowałem i zdobyłem 3 gole. Dołączyli mnie do drużyny, a następnie przyszła liga. Miałem dużo szczęścia, bo gdyby tamci nie odeszli, to kto wie, czy by się udało. Tak zostałem w drużynie na 16 lat. Dla Mariana ci dwaj byli jedną z przyczyn zakończenia kariery, dla mnie wręcz odwrotnie.

Młodzi zawodnicy byli wówczas od noszenia sprzętu i czyszczenia butów. Dziś powiedziałbym, że to niesprawiedliwe, ale wtedy tak nie myślałem. Zresztą, strzeliłem kilka goli i mnie zaakceptowali, bo zarobiłem dla nich trochę pieniędzy. Nie było jednak łatwo na początku. Trzeba było mówić na „pan" do niektórych.

– Waldek! – Zbyszek Kozłowski odezwał się kiedyś po imieniu do Waldemara Folbrychta.

– Jaki Waldek? Pan Folbrycht jestem dla ciebie! – odpowiedział stanowczo starszy.

Nie było to miłe. W moich czasach, gdy już byłem dojrzałym zawodnikiem, tego nie było, to się zatarło.

***

Moim atutem była technika, a wadą brak szybkości. Gdybym był szybszy, to może byłbym poziom wyżej. Ale czuję się spełniony. Piłka mi nie przeszkadzała. Dobrze posługiwałem się lewą nogą, potrafiłem odnaleźć się w sytuacji, miałem nosa. Większość goli zdobywałem z obrębu pola karnego. Gdy grałem w pomocy, to umiałem też podać w odpowiednie miejsce.

Pierwszą bramkę strzeliłem w meczu z Gwardią Warszawa. Była straszliwa ulewa, oni nas gnietli cały mecz. W końcu ich stoper poślizgnął się, a ja biegłem od połowy „sam na sam". To był dopiero mój trzeci lub czwarty mecz w lidze. Tę bramkę pamiętam doskonale. Miałem za mało czasu, żeby myśleć, a z tyłu już doganiał mnie Antoni Szymanowski, bo z moją szybkością trudno było uciekać. Ale wpadło!

W późniejszych sezonach miałem udany mecz na Widzewie, gdzie zdo-

byłem trzy gole[27]. Było chyba 4:4, a mecz prowadził Andrzej Libich, który dał karnego gospodarzom. W tym czasie w Widzewie grali Zbigniew Boniek i Włodzimierz Smolarek. W Szczecinie w pierwszym swoim sezonie zdobyłem ładnego gola ze Stalą Mielec. Dostałem długie podanie, przyjąłem na pierś i uderzyłem wolejem. Z kolei z Legią Warszawa ładną piłkę zagrał mi Zenek Kasztelan i do siatki trafiłem prawą nogą, co często mi się nie zdarzało. To był szał. Było kilka tych spotkań.

***

Grając w piłkę zarabialiśmy bardzo dobrze jak na tamte czasy. Jedna moja premia za wygrany mecz była wyższa, niż miesięczna wypłata mojego ojca. W porównaniu z większością społeczeństwa, to były to dobre pieniądze. Szkopuł w tym, że niewiele można było za nie kupić. Trzeba było mieć układy i znajomości, a ja raczej nie umiałem z tego korzystać. Jeden z byłych zawodników Pogoni był kierownikiem sklepu mięsnego. Przychodziło się z tyłu sklepu i zawsze rzucał jakieś ochłapy. On jednak traktował nas po chamsku. Gdy miało się rodzinę, to trzeba było ją wyżywić. Jadąc z kadrą Polski na zachód byłem „golasem". Jako reprezentant Polski miałem schowane 20 dolarów i pół nocy nie spałem, bo bałem się, żeby mnie z nimi nie przyłapali. Jeździli z nami „działacze" i „opiekunowie", którzy mieli oko na wszystko. Gdy jeździliśmy z Pogonią, to też dołączał „redaktor". Wtedy mnie to nie interesowało, dopiero później sobie to uzmysłowiłem.

***

Któregoś dnia graliśmy na kadrze młodzieżowej z USA w Bydgoszczy. Wojtek Rudy i Janek Białas wracali na Górny Śląsk, bo występowali w Zagłębiu Sosnowiec i GKS-ie Tychy. Z tym drugim klubem akurat miała zmierzyć się Pogoń, więc zabrałem się z nimi. Pamiętam, że podjechała skoda i miałem wsiąść z przodu, ale paliłem jeszcze papierosa. Wtedy wszyscy piłkarze palili i to mnie uratowało. Z przodu usiadł Janek. Zaczęła się szarówka. Przed nami jechała nieoświetlona furmanka z pijanym woźnicą, a z naprzeciwka auta, których światła raziły kierowcę. Nie widział furmanki i zdarzyła się tragedia, bo

27 To było w 1976 r.

kierowca najechał na nią. Janek zmarł po kilku dniach. Potem bałem się jeździć autem. Nie zagrałem w meczu z Tychami, wróciłem do Szczecina i czułem strach nawet wtedy, gdy chciałem pojechać taksówką z dworca do domu.

***

Nie mam niedosytu w kwestii reprezentacji. Jestem spełniony jako zawodnik. Osiągnąłem więcej, niż marzyłem. Grałem w drugiej reprezentacji, w kadrze olimpijskiej, w reprezentacjach młodzieżowych do lat 23 i do lat 21. Nie udało się zagrać w pierwszej. Prawda jest taka, że byli wówczas lepsi zawodnicy ode mnie. Był Grzegorz Lato, Andrzej Szarmach.

Był okres, gdy jeździłem na konsultacje. Miałem nawet jechać na jedno zgrupowanie najważniejszej kadry, ale w ostatniej chwili powołano kogoś innego. Nie było łatwo dostać się do kadry narodowej. Takie były czasy, że zawodnikom innych klubów było łatwiej tam awansować. Nie mam jednak żadnego żalu.

***

Kiedyś kibice Pogoni i Legii byli zaprzyjaźnieni, ale ten klub podbierał nam zawodników. Na przykład Janusza Turowskiego. Czy mnie chcieli? Jakby chcieli, to by wzięli. Miałem propozycje z Szombierek Bytom, gdzie trenerem był Jerzy Kopa, który chciał mnie ściągnąć. Była też możliwość gry w Odrze Opole, ale nigdy z nikim nawet nie negocjowałem. Gdy chcieli mnie zabrać do wojska, to pomogła mi Pogoń. Poszedłem na studia, a wtedy mogło chodzić o Śląsk Wrocław. Każdy musiał w jakiś sposób odbyć służbę. Adam Kensy trafił do Zawiszy Bydgoszcz, gdy Pogoń spadła z ligi. Mnie osobiście się to odejście nie podobało, bo jeśli się spadło, to trzeba wrócić, a nie odchodzić z drużyny. Każdy jednak podejmuje swoje decyzje.

Propozycje były, ale jestem szczecinianinem, od urodzenia mieszkałem w tym mieście. Wszyscy bliscy są stąd. Czego miałem szukać? Osiągnąłem sukces, bo dostałem się do I drużyny, grałem w niej. Tego chciałem, o tym marzyłem. Dlaczego miałem to zmieniać? Klub starał się zapewnić jak najlepsze możliwości. Chyba nie było gorzej, niż gdzieś indziej. Prawdę mówiąc, byłem tak skoncentrowany na grze, że nie zajmowało mi to głowy. Nie liczyłem

kasy. Pieniądze były ważne, ale nie najważniejsze. Propozycje były. Mogłem grać na Śląsku, mogłem trafić do wojska, ale udało się przed tym uchronić.

***

Szczecin to mój dom i dlatego grałem w Pogoni. Dzięki niej miałem superżycie. Osiągnąłem sukcesy, o których nie marzyłem, grałem z orzełkiem na piersi w kadrach juniorskich. Często zawodnicy zmieniają klub i żałują, a ja ryzykantem nie jestem. Wolałem Pogoń!

Zaliczyłem tylko krótki epizod poza Polską w austriackim Simmeringer SC. Nawet nie był to cały sezon. W tym okresie było trudno wyjechać. Udało mi się po rozpoczęciu sezonu. Pamiętam, że było do załatwienia dużo formalności, musiałem jeździć do Warszawy. Sam wyjazd był ciekawy, jeśli chodzi o stronę sportową. Pod tym względem i pod względem życia był to przeskok. Z perspektywy czasu była to fajna przygoda. Tam nie było żadnej umowy. Sezon zakończył się, nie wypłacili mi pieniędzy i musiałem wrócić do domu. Nikt nie miał menedżera, dogadywaliśmy się na słowo. Pograłem potem jeszcze w Pogoni i zdobyłem wicemistrzostwo. Przebitki, jeśli chodzi o finanse, były ogromne. Pieniądze, które zarabialiśmy, były dobre na życie w Polsce, ale gdyby wymieniło się je na zachodnią walutę, to można było się uśmiać. Grając na zachodzie i zarabiając nawet miernie, to po przeliczeniu na polską walutę były to ogromne kwoty. Kariera piłkarza jest krótka i szybko mija. Potem wielu się zastanawia, co ze sobą zrobić. To był problem wielu moich kolegów, którzy nie poradzili sobie w życiu. Trzeba było zacząć od zera.

***

Podróże autokarami to były męczarnie. Szczególnie te powrotne, z obolałymi i spuchniętymi nogami, często na niewygodnych siedzeniach. W późniejszych latach jeździliśmy już zazwyczaj pociągiem. Mieliśmy swój wagon. Dojeżdżaliśmy na przykład na Górny Śląsk, tam nas odczepiali od pociągu i nie musieliśmy nawet rano wstawać. Kierownik przynosił do wagonu świeże bułeczki, szynkę i herbatę. Potem podjeżdżał autokar rywali, zabierał nas na trening i do hotelu. Graliśmy następnego dnia. To była ta zdecydowanie lepsza opcja.

Byłem jako piłkarz w kilku miejscach na świecie. W Korei Północnej,

Kuwejcie, Portugalii, ale byłem młody i głupi. Powinienem się tym bardziej zainteresować, poczytać o tych miejscach, dowiedzieć się czegoś. Człowiek tracił czas na bzdury, nie miał świadomości. My tylko graliśmy w piłkę i nikt nie myślał o tym, co będzie później. Nieliczni kończyli szkoły, tacy jak Jurek Krzystolik, Kaziu Pawlaczyk czy Rysiek But. Niewielu miało jakieś refleksje i potem źle się to kończyło. Ja też mogłem więcej z tego czasu wyciągnąć.

Wszędzie krzyczeli na nas: „Pogoń śledzie, syfem jedzie". Tak, już wtedy. Nie było żadnych przekleństw, ale pojawiały się nieprzyjemne wyzwiska.

***

Czas mojej kariery powoli dobiegał końca. W drużynie było wielu młodych zawodników i mogłem im jeszcze dawać przykład. Chyba po to wtedy byłem w zespole. Na boisku także się starałem. Nie pamiętam takiej sytuacji, żeby ktoś musiał mnie prosić, abym wszedł na boisko (śmiech). Możliwe, że opowiadał to Andrzej Rynkiewicz. Jeśli trzeba było, to pomagałem.

W Poznaniu przegrywaliśmy, wszedłem po przerwie i zdobyłem gola na remis. Cegiełkę do srebrnych medali dołożyłem. To było super, bo mogłem spokojnie zakończyć karierę.

***

„Nie pytaj, co ci dała Pogoń, ale powiedz, co ty zrobiłeś dla niej" – czytałem, że to moje słowa. Szczerze mówiąc, nie pamiętam dokładnie, kiedy to powiedziałem. Tak jednak myślę, więc mogę się pod tym podpisać. Nigdy nie stawiałem żądań, ani wielkich wymagań. Byłem skoncentrowany na piłce, to było moje życie. Inne sprawy były tylko mniej ważnymi dodatkami. Byłem happy, gdy graliśmy. Znam gorycz spadku do II ligi, potem radość z powrotu. Mogę powiedzieć, że wszystko z Pogonią przeżyłem. Dobre i złe chwile. To był na pewno najpiękniejszy okres mojego życia.

Czuję, że byłem kimś dla tego klubu. Dużo jest zapisane w samych statystykach. Rozegrałem najwięcej meczów w I lidze i zdobyłem najwięcej goli. To o czymś świadczy. To nie 10 meczów i kilka bramek. To było 16 lat grania na dobrym poziomie. Czy ktoś powie, że jestem legendą? To wielkie słowo. Ja nie czuję się legendą...

***

Nie ma mnie często na meczach Pogoni, bo mieszkam w Kanadzie. Gdy więc odbierałem medal wiosną 2018 w przerwie meczu ligowego, to było coś bardzo miłego. Zresztą, ja zawsze jestem wzruszony, gdy przychodzę na stadion, bo trochę zdrowia na nim zostawiałem. Cieszę się, że nowy obiekt będzie w tym samym miejscu. Ta ziemia to historia.

ROZDZIAŁ 69

Monsieur Derendarz sam szył piłki

Zbigniew Wojdak
Urodził się w 1936 roku w Hrubieszowie. Piłkarz i trener juniorskich drużyn Pogoni Szczecin. Występował w zespołach juniorskich oraz w pierwszej drużynie w latach 50. Z młodzieżą pracował w latach 70.

Mieszkałem przy ulicy Pięknej, a blisko, bo przy Kordeckiego, istniał klub Kolejarz. Młodzież z okolicy schodziła się tam i grała w futbol. Był z nami między innymi taki kajtek, który nazywał się Marian Kielec. To był 1948 rok. W latach 1949 i 1950 przenieśli nas na Twardowskiego, ponieważ Kolejarz połączył się ze Związkowcem. Sztorm Szczecin istniał, miał boisko przy Wałach Chrobrego, ale to były lata jeszcze wcześniejsze niż 1948. Tak powstał Kolejarz przy Zarządzie Portu, a jego pierwszym prezesem był pan Fortuński. Wtedy do drużyn młodzieżowych dołączali kolejni chłopacy z innych rejonów miasta. Chyba tylko ja oraz Teodor Jabłonowski jesteśmy w klubie od samego początku.

***

Całą piłkę w Szczecinie kształtowali lwowiacy. Mieczysław Matyas, który był trenerem I drużyny w momencie zmiany nazwy z Kolejarza na Pogoń, to przecież lwowiak. Wraz z bratem Michałem przez wiele lat przed wojną grali w tamtejszej Pogoni. Można wymieniać dalej: Zygmunt Czyżewski z Czarnych Lwów, Zbigniew Ryziewicz. To trenerzy, ale byli jeszcze działacze ze Lwowa. Mówiło się o Pogoni różnie, bo już wtedy piłkarze klubu to byli Portowcy.

Pierwsze mecze odbywały się na boisku od ulicy Twardowskiego. Przy-

chodziło na nie od 5 do 10 tysięcy ludzi. Publika zbierała się dookoła, siedziała na prymitywnych ławkach w postaci belek.

Uczestniczyliśmy też w wyjazdach nazywanych przez władze „Łączności miasta ze wsią”[28]. Udawaliśmy się wówczas wojskowymi samochodami z plandeką do różnych miejscowości w regionie. Na rynku ustawiano ring i pięściarze boksowali, a potem publika udawała się na boisko, gdzie my graliśmy z miejscową drużyną. Kolejarz to już był znany w okolicy klub.

***

W latach 70. szkoliłem w Pogoni zespoły młodzieżowe. Byli to juniorzy, trampkarze i drużyna TME, czyli Technikum Mechaniczno-Elektryczne, w której grało wielu młodych zawodników Pogoni Szczecin. Dużo wcześniej byłem w zespole seniorskim Pogoni. Jeszcze w połowie lat 50., gdy drużyna grała w niższych ligach za kadencji trenera Mieczysława Matyasa. To była A-klasa, a potem liga międzyokręgowa. Z niej można było awansować do II ligi, co zresztą chwilę później Pogoń zrobiła.

Nie grałem dużo w meczach seniorskich. Byłem jeszcze juniorem, ale jeśli występowałem, to na prawej obronie, gdzie potem grał już Mieczysław Domżalski.

***

Prestiż był przy rozgrywkach juniorskich, bo w nich rywalizowało się z najlepszymi w Polsce, czego seniorzy jeszcze nie mogli robić. To był większy splendor dla szczecińskiego środowiska i było to lepsze, niż „mordowanie się” w A-klasie. Byliśmy ambasadorem Szczecina. Byłem na mistrzostwach Polski juniorów w 1954 roku w Świdnicy. Nie przywieźliśmy stamtąd medalu, ale zabraliśmy Bogdana Bakułę, który potem u nas grał.

Później upomniało się o mnie wojsko i miałem trafić do Gwardii, czyli obecnej Arkonii. Ze mną miał iść Teodor Jabłonowski. Podniosły się jednak głosy, że zbyt wielu młodych jest zabieranych do klubów wojskowych i poszedł tam jedynie „Bajbek”. Mnie jednak wojsko nie ominęło, ostatecznie musiałem jechać aż do Krakowa i tam trenowałem z Wisłą.

28 Organizowany w latach 50. ruch, w ramach którego ludność dużych miast miała m.in. pomagać rozwiązywać problemy mieszkańców wsi.

***

Doskonale pamiętam pierwszy mecz przy sztucznych światłach w Szczecinie przeciwko Kolejarzowi Poznań. Ktoś pukałby się w głowę, że to niemożliwe, bo nie było tych wież, które są obecnie. Działacze zapewnili z Zarządu Portu słupy telegraficzne oraz lampy, które na co dzień oświetlały nabrzeże. Gdy piłka wylatywała za obręb świateł, to nikt nie wiedział, gdzie spadnie. To wydarzenie ściągnęło publikę i zainteresowanie wokół klubu wzrosło.

***

Zmian w kadrze drużyny na samym początku było bardzo dużo. Jedni odchodzili, drudzy się pojawiali. Później zaczął się tworzyć człon zespołu, któremu dowodził Marian Kielec, choć przed nimi wyróżniał się też piłkarsko Henio Kalinowski. Potem sporo do powiedzenia miał Hubert Fiałkowski. W każdym klubie jest tak, że tworzą się grupki i to nie wpływa dobrze na drużynę. W Pogoni też takie niuanse występowały, że jeden niechętnie podawał drugiemu. Potem były ostrzejsze dyskusje w szatni.

***

Działacz Staś Lajpold to był przesympatyczny i pocieszny „facio". Zdarzało mu się, że jechał autokarem i zaczynał od kawału o zającu. Potem przysypiał, budził się i znowu to samo.

– Panowie! A ten kawał o zającu to znacie? – pytał.

I tak z pięć razy w trakcie podróży. Niestety sam już dziś nie pamiętam tego żartu.

Jeśli jednak chodziło o skaperowanie zawodnika, to Lajpold jechał wszędzie, gdzie go posłali. Negocjował z innymi działaczami i samymi zawodnikami.

***

To prawda, że pan Florian Krygier lepiej czuł się z młodzieżą. To był dobry wujek dla młodych ludzi. Był dobrotliwy, co nie zdaje egzaminu u seniorów. Starszy zawodnik zazwyczaj nie chce być tak traktowany. On sam lubił pracować z młodszymi. Ten człowiek włożył wiele w to, żeby w Pogoni było

porządnie. Od rana do wieczora można było go spotkać z łopatką i grabiami, poprawiającego boiska. Sam kopał rowy drenażowe przy niektórych boiskach. Pracował jako trener, udzielał się też fizycznie. Oddał zdrowie klubowi. Byli tacy, którzy go krytykowali, ale prawda jest taka, że on sam dbał o wiele spraw i to dawało efekty w kolejnych latach. Trzeba przed nim pochylić głowę.

***

Florian Krygier jednocześnie robił trenerów ze mnie i z Włodka Obsta. Nabrałem też wiedzy naukowej na kursie we Wrocławiu. Przez wiele lat łączyłem trenowanie różnych zespołów z pływaniem na morzu, bo jestem po szkole morskiej.

Z mojego wypustu szkoleniowego są m.in. Kazimierz Sokołowski, bramkarz Mirosław Dygas czy Krzysztof Dąbrowski. Każdy z nich zagrał w pierwszym zespole Pogoni Szczecin. W klubie panowała polityka, która zakładała, że z każdego rocznika do I zespołu trafia zawsze co najmniej dwóch zawodników. Wprowadził to chyba Edmund Zientara i to był bardzo dobry pomysł. Chwalę go do dzisiaj, bo nie miał zadartego nosa. Naradzał się z innymi trenerami, pytał o konkretnych piłkarzy. My też czerpaliśmy od niego, ponieważ byliśmy sporo młodsi.

***

Jednym z gospodarzy na stadionie był „monsieur Derendarz", facet pochodzący z Francji. On własnoręcznie szył piłki. Buty były kwadratowe, a kopało się raczej ze szpica, a nie tak jak dzisiaj podbiciem. Pierwszy sprzęt był bardzo prymitywny. Potem to wszystko się budowało. Zarząd Portu był właścicielem sprzętu ogólnego i często oddelegowywał pracowników portu wraz z maszynami do pracy na stadionie. To oni odbudowywali obiekt. Na obecnej płycie głównej było jeszcze dużo poniemieckich materiałów wybuchowych. Saperzy to najpierw rozminowywali. Trybun też nie było, należało je dopiero odnowić na skarpach. Boiska były klepiskami, zimą nawożono żużlu, na którym przy odpowiednim drenażu nie zalegał tak mocno śnieg. Dopiero w następnych latach przygotowano stadion, na którym odbywały się też zawody lekkoatletyczne. Uczestniczył w nich między innymi Wiesław Maniak.

ROZDZIAŁ 70

Co ty mi będziesz mówił, to przecież mój „ojciec”

Stefan Żywotko

Urodził się w 1920 roku we Lwowie. Do Szczecina trafił tuż po wojnie. W Pogoni pracował w latach 1965-69 i może poszczycić się tym, że do dziś pozostaje szkoleniowcem z najdłużej trwającą, nieprzerwaną, trenerską pracą w Dumie Pomorza. Poprowadził klub do awansu do najwyższej klasy rozgrywkowej (1966). Jest też najbardziej utytułowanym polskim trenerem za granicą – z algierskim JS Kabylie zdobył siedem tytułów Mistrza Algierii, jeden Puchar Algierii oraz dwukrotnie wygrał afrykańską Ligę Mistrzów. Po zakończeniu kariery szkoleniowej osiadł w Szczecinie, gdzie mieszka do dziś.

Urodziłem się na przedmieściu, które w 1923 roku przyłączono do Lwowa. Wtedy Zniesienie stało się dzielnicą tego miasta. Tam chodziłem do szkoły podstawowej, wychowywałem się i zaczynałem grać w piłkę. Nazwa Zniesienie wzięła się z tego, że król Jan III Sobieski rozgromił w tym miejscu Tatarów.

Lwów był wtedy bardzo bogatym miastem pod względem piłkarskim, ponieważ miał trzy klasy rozgrywkowe, w tym ligę okręgową i międzywojewódzką. W każdej z nich było po 10-12 klubów. Ja jestem „Powidlakiem”, ponieważ mój tata pracował w zakładach Ruckera, który był prezesem Czarnych. Jako młody chłopak byłem na wszystkich ich meczach. Zawodnicy mnie znali i ciągle któryś z nich klepał mnie przyjaźnie po głowie. Była tam prawdziwie rodzinna atmosfera. Tam też stawiałem swoje pierwsze piłkarskie kroki. Miałem kolegów w Pogoni Lwów, ale ze względu na tatę musiałem grać w Czarnych, z którymi byłem od początku do końca, czyli do 1939 roku.

***

W trakcie II wojny światowej grałem w piłkę w lwowskim Piszczewiku, którego nazwa wzięła się od związku spożywców, a ja pracowałem w fabryce konserw. W tym klubie była dobra organizacja i zjeździliśmy całą Małopolskę wschodnią przy okazji meczów ligowych. Następnie trafiłem do Spartaka, gdzie razem z Kazimierzem Górskim zagraliśmy 2 czy 3 mecze, aż wreszcie otrzymałem wezwanie do wojska i wylądowałem w Hrubieszowie. Znajdowała się tam jednostka kawalerii, w której byliśmy podzieleni na szwadrony. Pamiętam, że panowała w niej organizacja typowo ułańska. Stworzyłem tam drużynę piłkarską, której byłem trenerem.

Po zakończeniu wojny moją jednostkę przeniesiono do Koszalina, gdzie odbył się wielki sportowy festyn. Spotkałem tam wielu lwowiaków. Poznałem też wtedy Bronisława Skobla, który później był prezesem Pogoni. Stamtąd przeniosłem się na jakiś czas do Gryfic, a następnie do Szczecina. W tutejszej Arkonii kończyłem karierę piłkarską i rozpocząłem przygodę trenerską.

***

Początkowo na stadionie znajdującym się przy Twardowskiego było wiele dziur po bombach. W miejscu, gdzie jest skarpa, znajdowały się łoża dla żołnierzy, którzy obsługiwali artylerię przeciwlotniczą. Boisko nie nadawało się do grania. Z czasem stadion został podzielony na dwie części i grały tu dwa zespoły. Na dole, gdzie obecnie znajduje się boisko nr 2, grała Gwardia, czyli późniejsza Arkonia. Z kolei na głównej płycie występował Kolejarz, który później przeistoczył się w Pogoń. Tam, gdzie był basen, postawiono barak, który przysposobiliśmy na szatnię dla Gwardii. Często obie drużyny grały ze sobą mecze szkoleniowe na jednym albo drugim boisku.

Była tutaj też sekcja bokserska, której trener pochodził ze Lwowa. Wówczas klub miał zbliżone kolory koszulek, więc zaproponował, by i w Szczecinie była Pogoń. A że trochę lwowiaków się tutaj zjechało, to zgodzili się i tak powstała nazwa Pogoń Szczecin.

***

Z Arkonią rozstałem się, ponieważ sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Partii pojechał na urlop do Czechosłowacji i stamtąd przywiózł trenera. Poukładałem tę drużynę, wychowałem kilku juniorów, a w zamian znaleziono na

zastępstwo innego szkoleniowca. W tym samym czasie Pogoń prowadził mój dobry kolega, Marian Suchogórski, który nie radził sobie z piłkarzami mającymi różne nawyki. Wtedy prezes Skobel często chodził do krawca, będącego moim sąsiadem i dużo rozmawialiśmy o piłce nożnej. To on mi zaproponował przejście do Pogoni, która wyleciała z I ligi. Na początku kibice patrzyli na mnie podejrzliwym wzrokiem, bo wówczas Pogoń i Arkonia ostro rywalizowały. Przyszły jednak wyniki i dzięki nim przekonali się do mnie.

***

W związku z tym, że jeszcze jako trener Arkonii często grałem sparingi z Pogonią, to miałem bardzo dobre rozeznanie w tym, jakie umiejętności mają poszczególni zawodnicy. Pracę w klubie zacząłem od tego, że po przegranym meczu wyjazdowym 0:2 z Hutnikiem Kraków, na kolejne spotkanie, które graliśmy z Górnikiem Wałbrzych, ściągnąłem wielu juniorów do pierwszej drużyny.

Trener Zbigniew Ryziewicz, będący ich opiekunem, kłócił się ze mną, ponieważ chciałem zabrać piłkarzy przed samym meczem finałowym Mistrzostw Polski juniorów. Ci starzy zawodnicy nie wiedzieli, co ze sobą zrobić, kiedy dowiedzieli się, że nie zagrają. Usłyszeli ode mnie, że mają sobie zająć miejsce na trybunie. Nie mogłem pozwolić na to, by w zespole byli piłkarze zainteresowani biesiadowaniem. Wtedy junior Zenek Kasztelan przyjechał na mecz i na dzień dobry strzelił trzy bramki .

– Gwałtu! – krzyczały wtedy trybuny.

Ostatecznie zostawiłem trzon starszych zawodników, których trzeba było szanować. Do nich dostawiłem grupę nieopierzonych juniorów, a reszta musiała szukać sobie nowego klubu. Zaczęliśmy wygrywać i Pogoń się ożywiła. Przy okazji muszę powiedzieć, że trener Ryziewicz był specjalistą od prowadzenia młodzieży. Pogoń zawdzięcza mu naprawdę wiele. Dzięki niemu wychowało się tutaj tylu świetnych zawodników.

***

Czesław Boguszewicz pochodził ze Słupska, a w Szczecinie uczył się w Technikum Mechanicznym. Kilku chłopców z tego miasta dobrze grało w piłkę, ale mieli tam jedynie zespół juniorów, więc zaprosiłem ich na treningi

Pogoni. W tej grupie byli: Mirosław Justek, Tadeusz Czubak i wyróżniający się Czesiek, który do dziś dzwoni do mnie i powtarza, że „otworzyłem" mu życie.

Młodych zawodników trzeba było pilnować. Na początku dostawali pieniądze, tak jak każdy senior, który grał w meczu. Patrzę pewnego razu, a Czesiu ma już amerykańskie dżinsy, marlboro, błyszczące zapalniczki i nie tylko.

– Chłopie, czy tyś się nie pomylił? – zapytałem go.

Postanowiłem wtedy, że będzie dostawał pieniądze na dożywianie i 50 złotych na drobne wydatki. Reszta jego zarobków będzie natomiast trafiała na książeczkę PKO, która była u mnie w domu. Po latach ładna suma uzbierała się na jego koncie. A w tym czasie Czesio dojrzał jako piłkarz. Do tego stopnia, że później zagrał przecież w reprezentacji Polski.

***

Początkowo na mecze wyjazdowe pociągami podróżowało nam się makabrycznie. Bywało tak, że wracaliśmy z Przemyśla do Szczecina przez Wrocław. Czasem nie było już miejsc siedzących i trzeba było stać, a dużo przestrzeni zajmowały chociażby walizki z piłkami. Wtedy skontaktowałem się z dyrektorem ówczesnej DKP, którego znałem ze Lwowa. On był bramkarzem i nie raz graliśmy przeciwko sobie. Zorganizował nam wagon, dzięki czemu jeździliśmy specjalnie przez niego przygotowywanym pociągiem. Mieliśmy łóżeczka, zawsze posprzątane i do tego jeździła z nami osoba przygotowująca dla nas śniadanie. Nie musieliśmy szukać hotelu, tylko kiedy przyjeżdżaliśmy na dworzec, to odstawiano nas na bocznicę. Nikt piłkarzy nie budził, mogli spokojnie się wyspać i mieliśmy przygotowane smaczne jedzenie.

***

Gdy Lwów walczył o mistrzostwo Austrii to i w Czarnych utarło się, że będą grać „kwadrans Rapidu". Polegało to na tym, że przez 75 minut grało się z rywalem jak równy z równym, a na ostatni kwadrans narzucało się tak szaleńcze tempo, że przeciwnik nie wytrzymywał. To mi się bardzo podobało i już na treningach w Szczecinie piłkarze Pogoni dostawali ode mnie mocno „w dupę", żeby na meczach właśnie tak grać z rywalami. W trakcie zajęć chłopcy często biegali z piłkami lekarskimi… po schodach na łuku. Było tak,

że nawet Górnik Zabrze tutaj przyjechał i nie wytrzymał naszego tempa.

Nigdy nie zostawiałem kwestii motoryki pomocnikowi. Nie pracowałem z żadnym trenerem przygotowania fizycznego. Sam wiedziałem, czego dokładnie brakuje konkretnemu zawodnikowi. Piłkarze muszą bezwzględnie akceptować szkoleniowca, bo inaczej tworzą się grupy na „anty”. Jeżeli trener jest sprawiedliwy, to grupa kładzie uszy po sobie i wszyscy grają dla drużyny. Dobrze, że są piłkarze, którzy grają na siebie, ale ostatecznie zawsze liczy się wynik całego zespołu.

***

W następnych latach, po odejściu z Arki Gdynia postanowiłem, że zostanę bezrobotnym do momentu, kiedy otrzymam poważną ofertę pracy. Po jakimś czasie dostałem wezwanie z Głównego Komitetu, żebym wyrobił świadectwo lekarskie i dowiedziałem się, że za dwa dni mam wyjazd do Afryki, do… Algierii. Na miejsce dotarłem w dzień wigilii Bożego Narodzenia. Tam okazało się, że każda miejscowa drużyna ma trenera-obcokrajowca. Pojechałem tam „na wariata”, wszystko było szybko załatwiane. Ruszałem tam na dwa lata, a zostałem półtorej dekady.

***

Cały czas czułem, że Pogoń to moja drużyna. Grało w niej wielu chłopaków, których wychowywałem, więc postanowiłem zaprosić ich do siebie. W Szczecinie mecz rozegrała drużyna z Algieru, znajdująca się pod opieką Zarządu Portu, podobnie jak Pogoń. Te dwa zespoły zmierzyły się ze sobą i w ramach rewanżu klub z Algierii też musiał przyjąć Pogoń u siebie. Trener tej drużyny, którego dobrze znałem, zaczął wymyślać różne przeszkody, żeby się nimi nie opiekować. Postanowiłem, że ja się nimi zajmę. Powiedziałem mu, że ma zapewnić tylko lokum i wyżywienie, a ja zaproponowałem m.in. rozegranie meczu towarzyskiego.

Gdy chłopcy dowiedzieli się, że zagrają z moją drużyną ze Szczecina, to postanowili pokazać im, na co ich stać. Po pierwszych trzydziestu minutach było już trzy do zera, a ostatecznie skończyło się 5:0. My byliśmy wówczas w okresie przygotowawczym do sezonu, więc zawodnicy łapali formę, a po-

nadto chcieli pokazać, że to ja jestem ich trenerem. W Tizi Wuzu miałem niemalże identyczną górkę ze schodami, jaka była w Szczecinie i kiedy chłopcy z Pogoni po niej biegali, to moi piłkarze sprawdzali, ile potu wyleją, trenując na niej.

***

Marian Kielec był prostym chłopakiem, który rozwinął się w Pogoni. Prowadziłem go, kiedy kończył wiek juniora i wchodził do pierwszej drużyny. On był bardzo posłuszny i wszystko, czego od niego wymagałem, to robił. Wiedział, że wiele może mi zawdzięczać. Wykonywał moje polecenia, chociaż miał charakterek, ale ja miałem na niego sposób. Podczas jubileuszowego meczu na 70-lecie z Sandecją spotkałem go na stadionie.

– Popatrz, kto to przyszedł na mecz – powiedział ktoś do niego.

– Co ty mi będziesz mówił, kto to jest, jak to przecież mój „ojciec" – odpowiedział Marian.

Zakończenie

Zgłębiając kolejne opowieści naszych bohaterów, często zastanawiałem się, który wyraz w książce stanie się tym najbardziej abstrakcyjnym, zupełnie niepasującym do terminologii piłkarskiej. W pewnym momencie jednak zupełnie odpuściłem, gdyż zrozumiałem, że nie ma to sensu. Dla większości naszych bohaterów Pogoń Szczecin to całe życie albo bardzo ważne jego fragmenty, dalece wykraczające poza boisko i futbol.

Poprzez wspomnienia naszych rozmówców zespół redakcyjny starał się pokazać Pogoń wielowątkowo i wieloaspektowo. Jako ważny i nierozłączny element polskiego Szczecina (choć jeden z rozmówców opowiadał i o czasach wcześniejszych), ale także jako zjawisko, które nie ma wymiaru materialnego. Jako wartości, które wszyscy nosimy w sobie, które dumnie prezentujemy zapytani o to, skąd jesteśmy. Myślę, że to nam się udało.

W trakcie prac nad książką odbyliśmy wiele spotkań. Koncepcja od początku zakładała 70 historii, dlatego też nietrudno domyślić się, że nie wszystkie opowieści trafiły na łamy tego tytułu. Z tego miejsca przepraszam każdego z rozmówców, którego wspomnień do książki nie zmieściliśmy. Nie oznacza to, że były mniej interesujące. Ostateczna selekcja była równie trudna, jak samo tworzenie książki i nigdy nie będę miał pewności, że w stu procentach właściwa.

Z tego właśnie względu, drogi Czytelniku, chcemy dać Ci szansę zapoznania się z kolejnymi bohaterami. Ich opowieści zostały zamieszczone na specjalnej podstronie w internecie. Na następnej stronie znajdziesz hiperłącze oraz kod QR, dzięki którym możesz do nich trafić. Niewykluczone, że w najbliższym czasie dopiszemy tam… kolejne rozdziały. Niektórzy bohaterowie nie mogli z nami porozmawiać w przeciągu kilku ostatnich miesięcy, ale obiecali, że gdy tylko znajdą czas, opowiedzą nam swoje historie. Szkoda byłoby, żeby i one nie uzupełniły internetowego rozwinięcia naszej książki.

Krzysztof Ufland



http://pogonszczecin.pl/newsy/70historii

Spis treści

Wstęp 8
Słowniczek 11

1. Marian Kielec **15**
Gdyby wtedy przyszedł ktoś z Pogoni, pewnie wznowiłbym karierę

2. Dariusz Adamczuk **32**
Musicie wyjść! Król Hiszpanii czeka

3. Edi Carlo Dias Marcal – „Andradina” **41**
Nie zasłużyłem na tak piękne pożegnanie

4. Bogusław Baniak **48**
Nazwisko nazwiskiem, ale Pogoń jest najważniejsza

5. Zdzisław Baśkiewicz **52**
Połóż się i udawaj, że cię boli, a my znajdziemy szkło

6. Adam Benesz **56**
„Bekus”, co w jednym sezonie grał w trzech klubach

7. Kazimierz Biela **63**
Pokolenia Bieli

8. Jarosław Biernat **68**
Pół nocy spędzone w szafie

9. Radosław Biliński **73**
Gdyby nie Pogoń, pewnie do dziś siedziałbym we Włoszech

10. Janusz R. Błaszczyk **77**
Bramka numer 299, 7 meczów bez gola, zima i dopiero 300. trafienie

11. Czesław Boguszewicz **82**
Synek, nie zesrałbyś się w portki?

12. Artur Bugaj **87**
„Bogaty", co gonił za golami 87

13. Jacek Cyzio **93**
W Weronie wyglądaliśmy jak handlarze

14. Krzysztof Czemarmazowicz **98**
Nie masz stówy? Za pięć dych też polecę!

15. Tadeusz Czubak **104**
Wchodził Marian i orkiestra przestawała grać

16. Dariusz Dalke **108**
Chodź, potańczymy, bo co innego nam zostało?

17. Piotr Dębowski **113**
Biegłem z wielkim telefonem przy uchu, a obok latały ławki

18. Barbara Dilmann **116**
Jeden z wnuków ma na imię Florian

19. Zbigniew Długosz **119**
Kałuża! Duża? Józek Kałuża!

20. Artur Dyczewski **126**
Nie jestem Andrzej

21. Robert Dymkowski **132**
Na sobie dwie albo trzy koszulki, ale kiedyś i tak zabrakło

22. Dariusz Dźwigała **139**
Ta kwota to w jakiej walucie?

23. Michał Elmerych **145**
Jesteś wyrzutkiem, ale trwasz na przekór wszystkim

24. Waldemar Folbrycht **152**
Junior, nie trenuj mnie tak!

25. Adam Frączczak **157**
Załóżmy cel i mówmy o nim głośno

26. Wojciech Frączczak **164**
Pogoń pierwsza w Polsce miała trenera od bramkarzy

27. Iwona Gacparska **169**
Żaden inny klub nie miał swojego artysty

28. Tomasz Gierwiatowski **175**
To dzieci są moim szefostwem

29. Teodor „Bajbek" Jabłonowski **181**
Pierwszy reprezentant z okręgu szczecińskiego

30. Waldemar Jaskulski **190**
Kary nie będzie, jak nie przegracie z Legią!

31. Jerzy Jatczak **195**
Pepiki, musicie dużo biegać i walczyć

32. Jan Jucha **200**
Na Dolny Śląsk zamiast do papieża

33. Marcin Kaczmarek **206**
Syria? Nawet z nogą w gipsie pojadę

34. Zenon „Jojo" Kasztelan **211**
„Pan Elegancja" uderzał z rotacją

35. Adam Kensy **214**
Jak nie wiecie, co zrobić z piłką, grajcie ją do Adama

36. Jerzy Kopa **220**
Tam węgiel był wyciągany spod ziemi, u nas tylko wożony statkami

37. Aneta Korpowska **226**
Trener rywali aż krzywo na mnie spojrzał

38. Zbigniew Kozłowski **230**
Żona wysłała męża na zakupy do stolicy

39. Jerzy Krzystolik **235**
Działacze respektowali umowę z moimi rodzicami

40. Eugeniusz Ksol **242**
Do Niemiec nawet na Wszystkich Świętych

41. Marek Leśniak **248**
Aj, Jezus Maria! Ten chłopak jest cudowny!

42. Bartosz Ława **256**
Srebrny medal, którego nie było

43. Radosław Majdan **264**
Nie ma sianka, nie ma granka!

44. Piotr Mandrysz **270**
Rondak i salto były jego znakiem rozpoznawczym

45. Grzegorz Matlak **275**
Drużyna wraca do Szczecina. To mój warunek

46. Bogdan Maślanka **283**
Chciałem spuścić ŁKS z ligi

47. Andrzej Miązek **288**
Dobrze zrobiłeś, a za mecze z pauzą i tak ci zapłacimy

48. Christos Mitsopoulos **294**
Opiekowałem się przyszłymi Mistrzami Europy przez trzy dni

49. Olgierd Moskalewicz **297**
Uwielbiałem wskoczyć na płot i cieszyć się z kibicami

50. Jarosław Mroczek **304**
Usiąść na nowym stadionie i powiedzieć: wreszcie jest

51. Andrzej Obst **311**
Na obozie nie dotknęli piłki… ani razu!

52. Ryszard Pakieser **318**
Jak piłkarz fotoreporterowi żebra połamał

53. Zbigniew Piasecki **322**
Każdy naród ma w swojej historii okres parszywych rządów

54. Przemysław Pietruszka **328**
Mów mi cześć, nie mów mi dzień dobry

55. Leszek Pokładowski **333**
Samolotem, ale bez rezerwowych

56. Sławomir Rafałowicz **339**
Nie zawsze z boiska schodzi słabszy zawodnik

57. Marcin Robak **346**
Narodowy Dzień Robaka

58. Maksymilian Rogalski **349**
Z Częstochowy do Nowego Jorku

59. Robert Rusinek **355**
Przyjechać, stanąć w sektorze gości i zaśpiewać

60. Andrzej Rycak **362**
Po co dzwonisz drugi raz?

61. Andrzej Rynkiewicz **367**
Ratowałem wicemistrzostwo, choć mogliśmy być Mistrzem Polski

62. Tomasz „Skaya" Skuza **378**
1948 – naszej historii to początek jest

63. Jerzy Słowiński **382**
Pieniążki nam pomogły, a dokumenty odsyłamy. Powodzenia w I lidze!

64. Kazimierz Sokołowski **386**
W Pogoni jak w rodzinie… i to nie tylko z Jurkiem

65. Jerzy Stańczak **391**
Kazali chodzić z pałkami i bić ludzi

66. Maciej Stolarczyk **395**
Nie ma pan szans wrócić do piłki

67. Henryk Wawrowski **403**
Wawrowski, pij mleko, do Musiała ci daleko

68. Leszek Wolski **408**
Dla niego byli końcem, dla mnie byli początkiem

69. Zbigniew Wojdak **417**
Monsieur Derendarz sam szył piłki

70. Stefan Żywotko **421**
Co ty mi będziesz mówił, to przecież mój „ojciec"

Zakończenie 428